7683

Konstanty M. Górski

Artykuły ~~okolicznościowe~~ literackie
i ~~wspomnienia~~ pośmiertne
drukowane w „Czasie"
i innych periodykach

Odpisy

Czy drukować?
może jakie wyjątki?

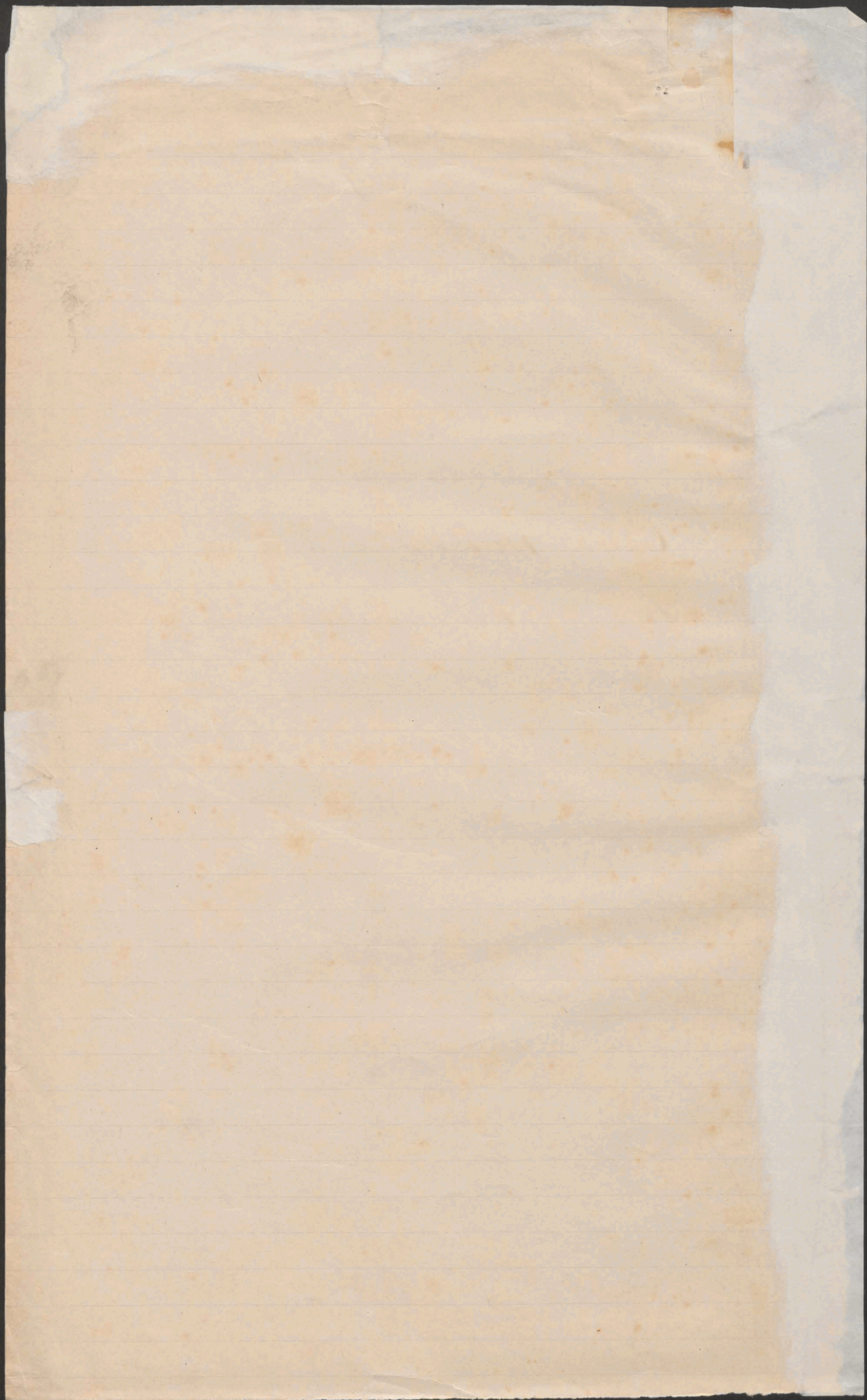

Czas z Niedzieli 5 Kwietnia 1896.

W sprawie Krytyki.

Od jednego z naszych współpracowników, który nie chce na razie wymienić swego nazwiska, otrzymaliśmy następujące pismo:

Szanowny panie Redaktorze!
Artykuł, zamieszczony w Wasze Czasie z dnia 3 Kwietnia 1896 roku, a noszący tytuł: „Krytyka krytyki" wywołał we mnie bardzo radosne uczucia. Może też nastanie czas – tak mówiłem dziś sam do siebie – czas, gdzie nietylko w całej Europie, ale i u nas będzie wolno szczerą prawdę wypowiedzieć, gdzie publiczność zrozumie, że sprawozdawca artystycznych produkcyj nietylko nie powinien kłamać, ale kłamać nie może.) ...

(Zgoła w codziennem życiu piętnujemy pogardą na jakiejże podstawie człowiek piszący do dziennika, ma być skazany na kłamstwo?

Po cichu szepcą sobie wszyscy, że Koncert pana X. lub pani Y. był zupełnie lichy, albo nudny, ...

(Na linii A – B mówi się głośno o niepowodzeniu. ... Biada jednak dziennikowi, który ogólne zdanie w łamach swoich umieści. ...

– Przed kilku laty, kiedy wielki tragik cesarskiego wiedeńskiego teatru wystąpił u nas jako deklamator, brukowe, nieistniejące już dziś pisemko

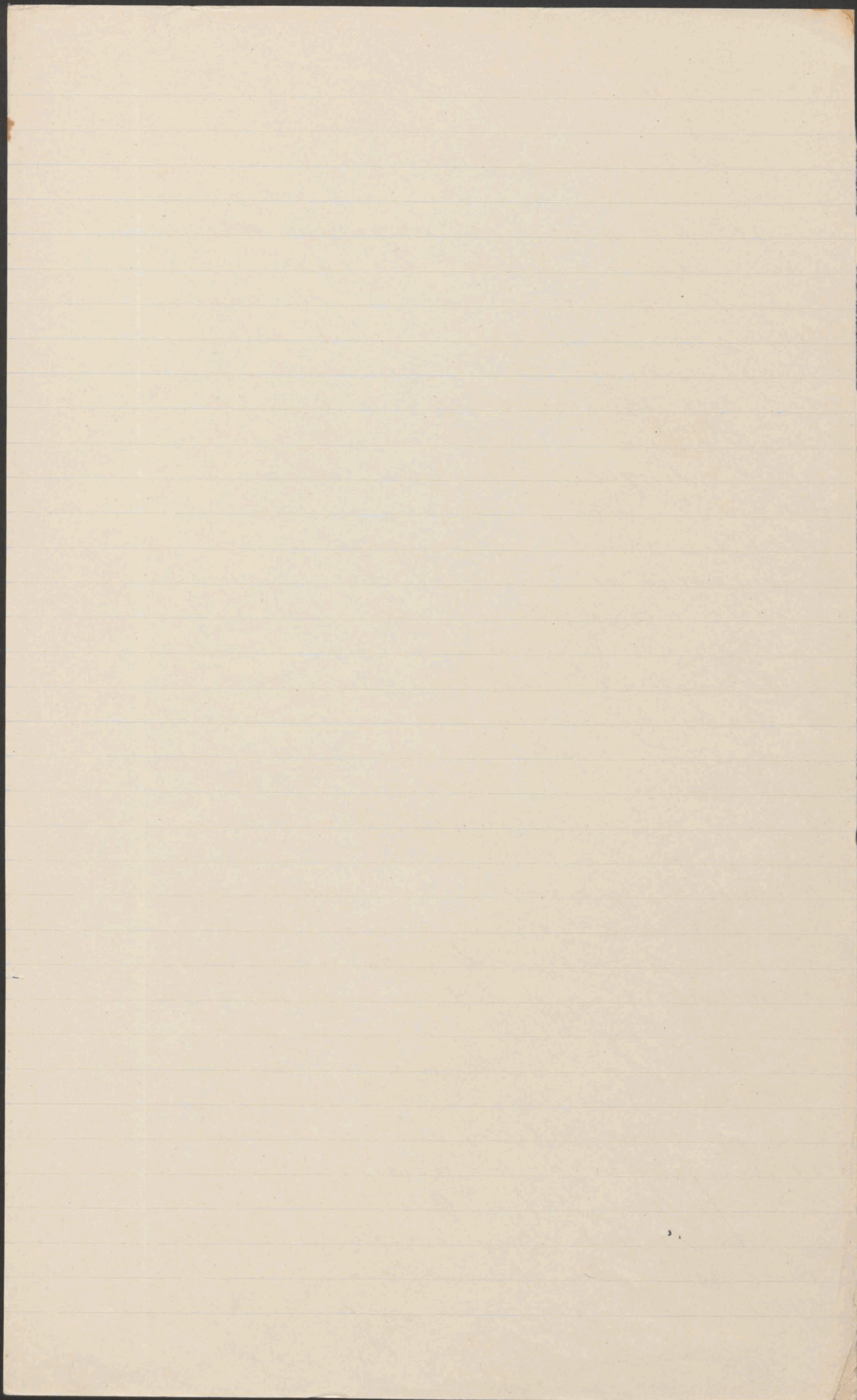

doniosło, że „jakiś pan Lewinsky" przyjechał wyłudzać polskie pieniądze. — Ale niech przyjedzie, jak zmarnowany, zmanierowany polski aktor, jak monologista z Pacanowa, wszystkie dzienniki zadmą w puzon reklamy. — „Patryjotyzm" pewnych gazeciarzy polega na systematycznem bałamuceniu opinii. —

Nie znam się na muzyce i nie pisywałem nigdy recenzyj z tego zakresu. Zdawałem natomiast sprawę z literackich, aktorskich i malarskich produkcyj. — Wypowiadałem zawsze moje własne, subjektywne zdanie; nie lubię używać wyrazu „my", odzywać się w imieniu tak zwanego ogółu. — Mówię zazwyczaj „ja", występuję jako pierwszy lepszy pan z publiczności, który dlatego tylko śmie pisać, że interesuje się sztuką żywiej od innych, że bada jej objawy jednostajniej i pilniej. — Od pisarzy i artystów, których pozwoliłem sobie krytykować, dostałem nieraz dowodów uznania, szczerości za szczerość. — Ja sam próbuję czasem sił jako artysta i chciałbym się wtedy od publiczności, od recenzentów dowiedzieć, czy mam iść dalej na tej twórczej drodze. — Nie dziwię się więc, że na moje bezstronne uwagi odpowiadano niekiedy stronnie i poczciwie. — Zdarzyło mi się nawet raz, że artysta, którego dzieło potępiłem, dał mi delikatnie do zrozumienia, iż pomimo niechęci krytyka do twórcy,

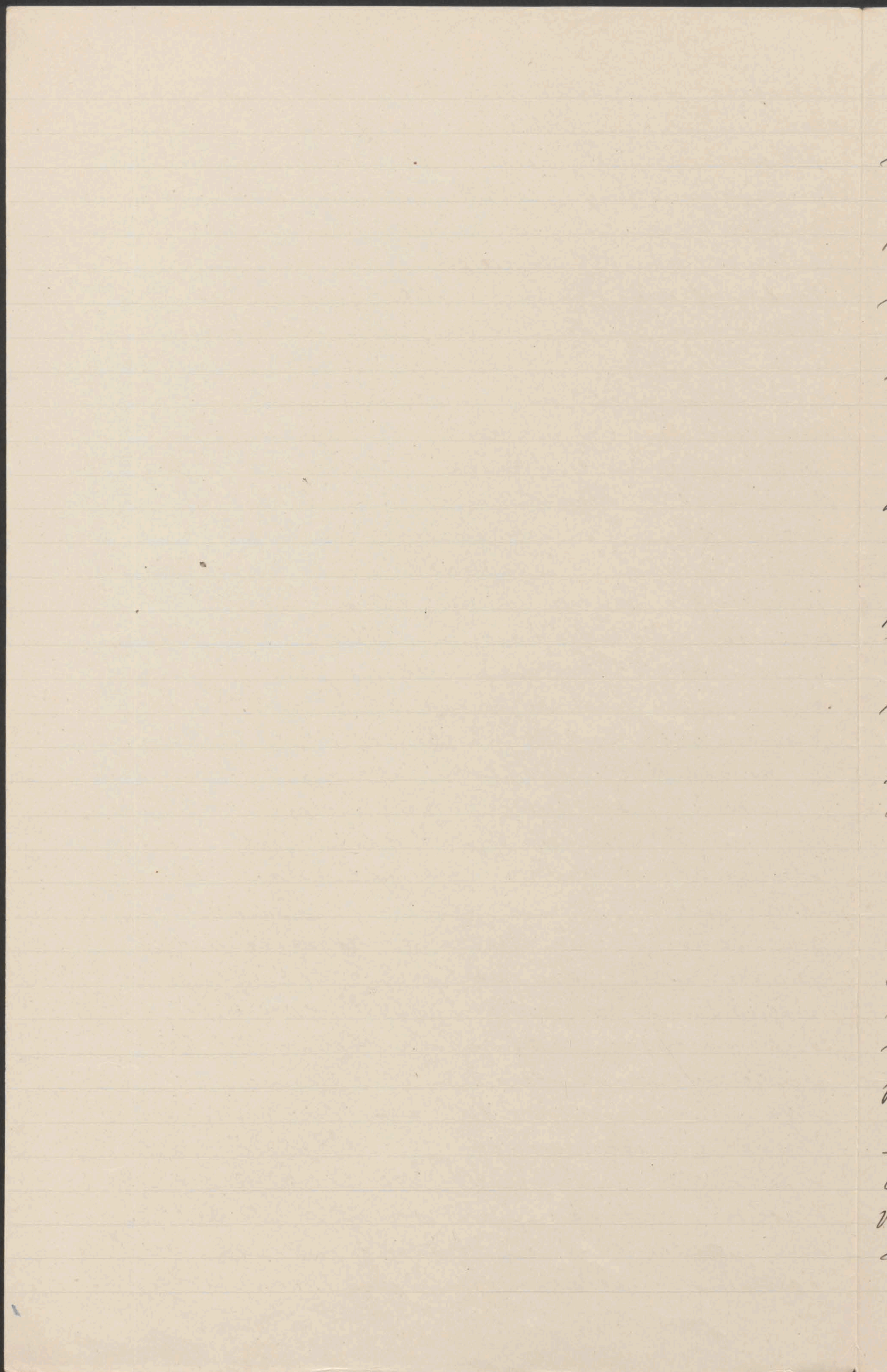

może istnieć szacunek człowieka do człowieka. ++ Była to piękna chwila w mojem życiu, chwila, w której, poczułem, że stary Kraków leży w Europie. — Ale po za tem! Ileż niechęci, ileż nienawiści wywołały moje szczere recenzye! Ileż brutalnych anonimowych listów otrzymałem w ciągu dziesięciu lat, w których pisywałem sprawozdania!

Nie mam nikomu za złe, że przeczytawszy niepochlebną recenzyę swego dzieła, żachnie się i oburzy. Pragnę tylko, aby każdy zganiony artysta zadał sobie na jedną, krótszą minutę pytanie, czy też ten przeklęty pismak nie ma przypadkiem racyi?....

Otóż doświadczenie podaje mi pod tym względem następującą statystykę: Na dziesięciu skrytykowanych pisarzy, belletrystów lub uczonych, znajdzie się jeden, który przez chwilę przypuści, że jego praca nie jest arcydziełem. — Mnie, krytykowi, wystarcza to zupełnie. —

Na stu artystów dramatycznych zdarzy się jeden szczery, głęboki, zdolny rozważać, czy zarzuty, które mu stawiają, nie są pozbawione pewnej słuszności.

Na tysiąc malarzy, nie wypadnie — o ile wiem, ani jeden człowiek dość objektywny, aby zrozumieć, że najpiękniejszy pomysł może być niezrozumiałym dla osób niewtajemniczonych i obcych, że chęć mogła nie sprostać,

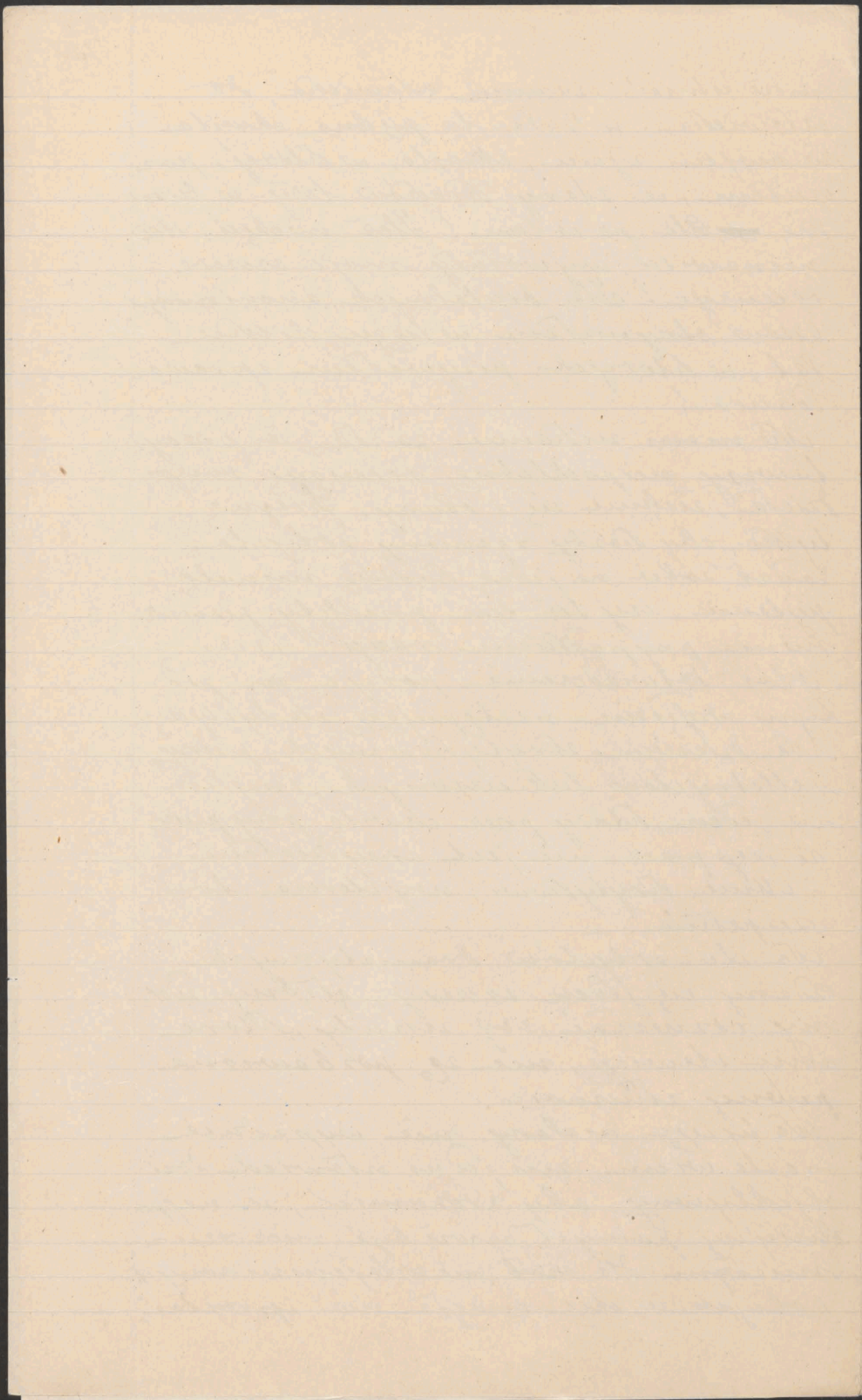

nie odpowiedzieć zadaniu.
Muzyków nie znam, Szanowny panie Redaktorze. Sądzę jednak, że trzeba między nimi rozróżnić dwie grupy: kompozytorów, pełnych wiecz dziecinnej prostoty i wykonawców. Ci ostatni zdają się zawsze czekać na „brawo". – Kiedy malarz wystawi swe dzieło, nie chodzi zwykle na wystawę, nie podsłuchuje co mówią o jego obrazie. + Poeta lub powieściopisarz, puszcza w świat swój tomik i czeka, co świat powie.) ++
Aktor, prawdziwy aktor, żyje w atmosferze, którą Molière lub Shakespeare, Becque lub Hauptmann wytworzył; rampa dzieli go od publiczności, oraz nie jest sobą, nosi perukę, przywdział strój obcy, jest przedewszystkiem literacką postacią. + Inaczej z pianistą i śpiewakiem, inaczej się ma rzecz z deklamatorem na estradzie.
Im trzeba oklasku, ażeby mogli dalej grać, śpiewać, wiersze wygłaszać. + I miłość własna musi tu rość w niedościgłość. +
Przed dwoma laty wykazywał Witkiewicz, jak śmiesznym, jak z gruntu fałszywym, jest proces o sztuce trudnej i tajnej krytyce.
Ażeby się odważyć na wypowiedzenie zdania o cudzem dziele, trzeba coś czuć samemu, być kawałkiem artysty. +
U nas zadanie krytyka jest przykrej-

sze

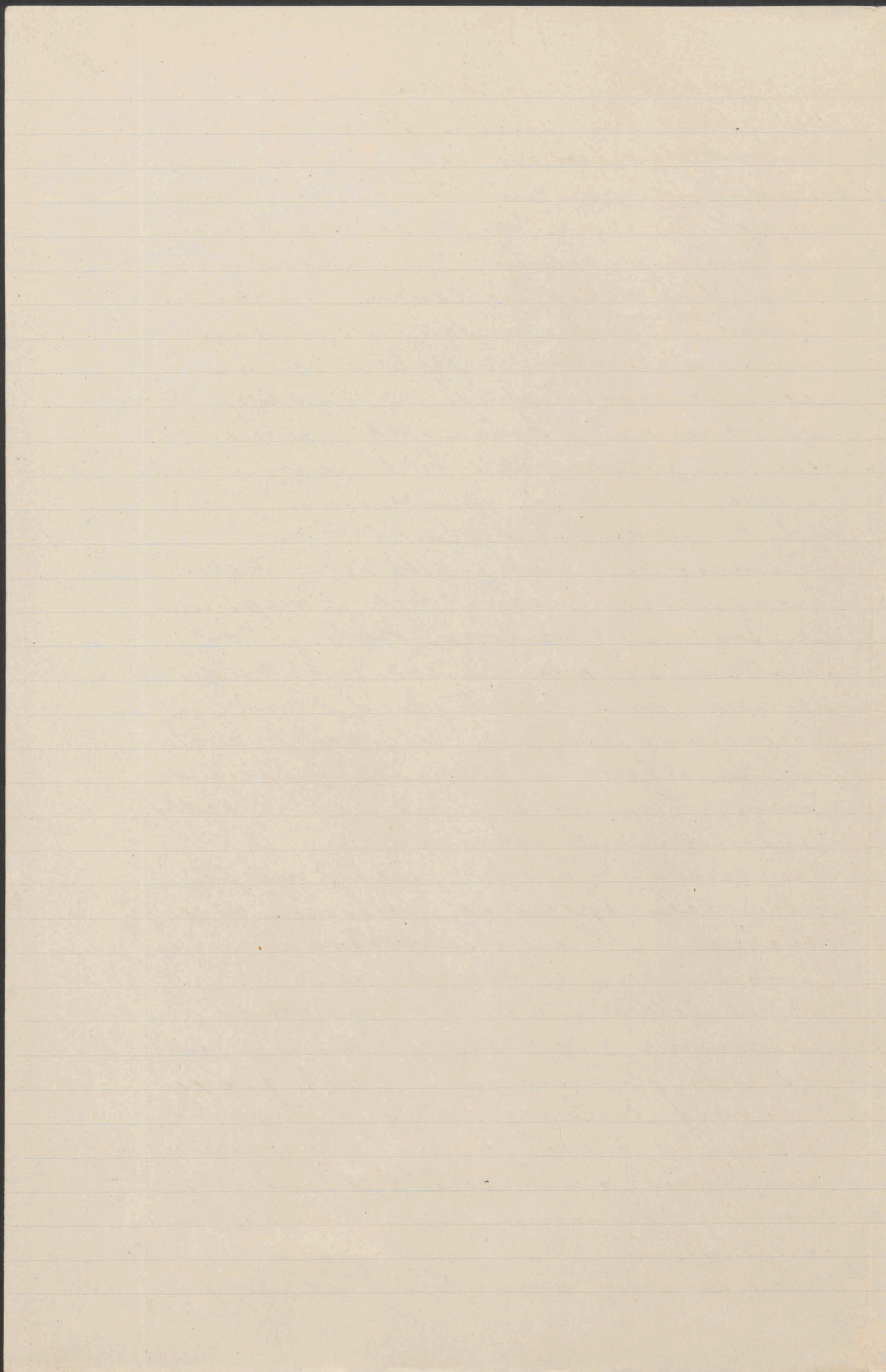

niż w każdym innym kraju.
Nie wolno nam dbać o względy
poziomu artystycznej produkcji,
musimy z obowiązku chwalić,
musimy stanąć — byle chwalić.
W przeciwnym razie zarzucają nam
brak obywatelskiego poczucia.
Niema jeszcze w polsce dosyć ludzi,
zdolnych pojąć, że tylko ~~prawdzi~~
prawdziwość wagę, że w ogóle
w życiu istnieje tylko — prawda.
Szujski przysyłał napróżno
wstęp z pisma: <u>et veritas libera-</u>
<u>bit vos.</u> Miłość, szczerości i
prawdy nie przeniknęła dotąd
naszego społeczeństwa.
Szanowny panie Redaktorze!
Niechaj pan zechce ~~pomieścić je~~
~~w swoim dzienniku~~ raczy przyj-
jąć niniejsze uwagi, wywołane
artykułem o „krytyce krytyki",
niechaj pan zechce pomieścić
je w swoim dzienniku. —
Być może, iż szczere, osobiste
moje wyznania wydadzą się
panu, zbyt śmiałemi.
Wrazie, gdyby to Szanowny pan
uznał za stosowne, proszę ogło-
sić imię i nazwisko autora
tych notatek, a życzliwego i
wiernego polskiego przyjaciela
i sługi.

Ahasverus.

Czy drukować ?

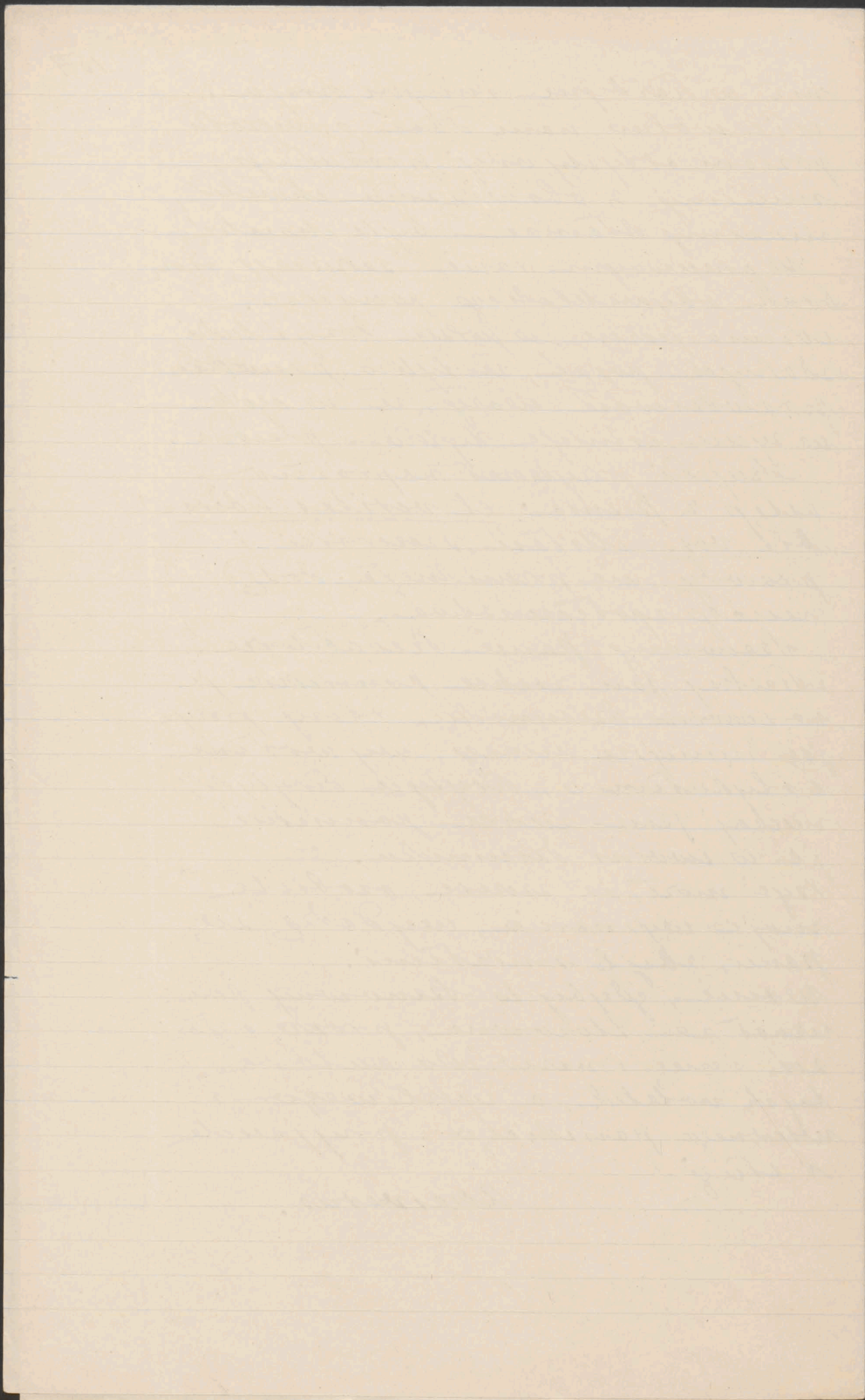

155

Czas z środy 8 Kwietnia 1896 r.

Dom Beethovena.

— Kiedy przed dwoma przeszło laty powstała u nas myśl stworzenia domu Matejki, powoływano się na podobne instytucye zagranicą, na ~~Casa-Buonarotti~~ Casa-Buonarotti we Florencyi, na Dürer-Haus w Norymberdze. — Wymieniano również salzburgskie Mozarteum, ale zrzadka i jakby nieśmiało. Bo w istocie tylko plastyczni artyści, proszą się o ten rodzaj pośmiertnego hołdu, o izby, pełne oryginalnych dzieł, albo przynajmniej wiernych reprodukcyi, sztychów, fotografii czy odlewów. —
W Casa-Buonarotti i Dürer-Haus mogą dostarczyć przedmiotu do długich i poważnych studyów. I tu i tam wiszą na ścianach prace, zdolne przywabić ~~trochę~~ turystę, zainteresować go i nauczyć. Wyszedłszy z tych dwóch małych muzeów, czuje widz, że mógł się bliżej zapoznać z twórczością wielkiego artysty. — Trzeba tymczasem zdawna polubić kompozytora lub poetę, trzeba się z nim zżyć, przywiązać się do niego, ażeby w ogóle pójść oglądać jego mieszkanie i pozostałe po nim wspomnienia. — Kto nie czytał Jerozolimy wyzwolonej, nie ma po co odwiedzać podziemi

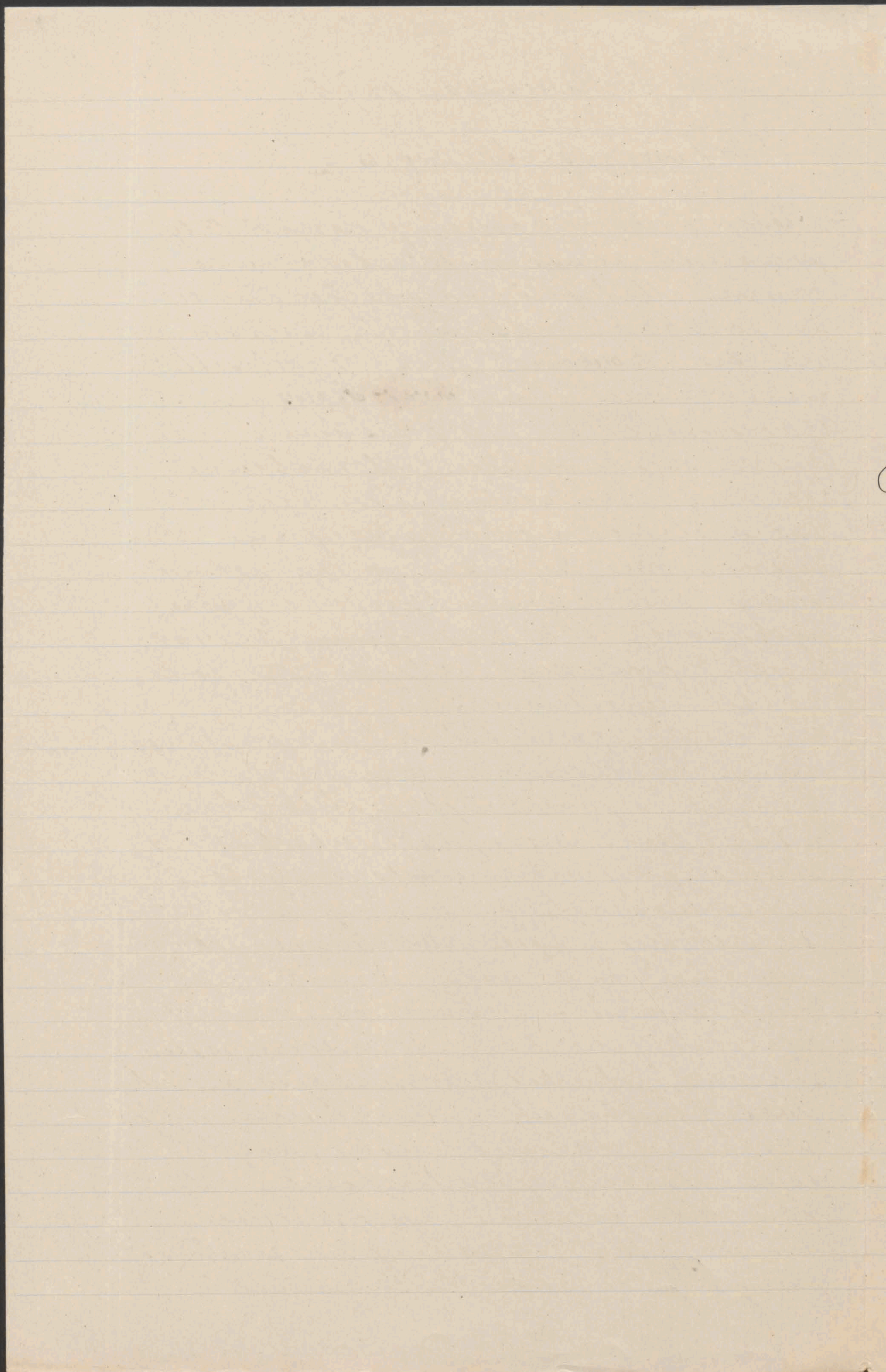

Torquata-Tassa w Rzymie, w San Onofrio. — podobnie się ma rzecz z domami muzyków. — posiadają one urok tylko dla wielbicieli danego artysty, dla gromady wiernych mu dusz, przemawiają jedynie do wybranych. — Oko, obojętny człowiek niczego się tam nie dowie, nie nawróci się do kompozytora. Stojące wzdłuż murów instrumenta nie dzwonią, nie rozbrzmiewają już pieśnią; z leżących na pulpitach autografów partytur, nie wstaje żadna melodya. Są to milczące dowody piętyzmu, nieme pamiątki. —

A jednak — i to w ostatnich latach, pewne niemieckie miasto za przykładem Salzburga, otworzyło swoim i obcym dom, w którym się wielki muzyk urodził. —

W Bonn pozostał święto dom Beethovena i wiadomości o nim, podane przez ruchliwy paryski tygodnik, Revue hebdomadaire, obiegą w tej chwili zagraniczne pisma. — W roku 1889 poruszono myśl zakupienia kamienicy, w której poddanie autor „Fidelia" na świat przyszedł. Na czele komitetu stanął sędziwy skrzypek Joachim, może najlepszy, najwytworniejszy, najbardziej „klasyczny" i uprawniony odtwórca Beethovena. — Jakże tam sprawa przedłożona, w bogatym i wysoce cywilizowanym kraju! Urządzono dwa wielkie koncerta, wysławy pozostałości i pamiątek

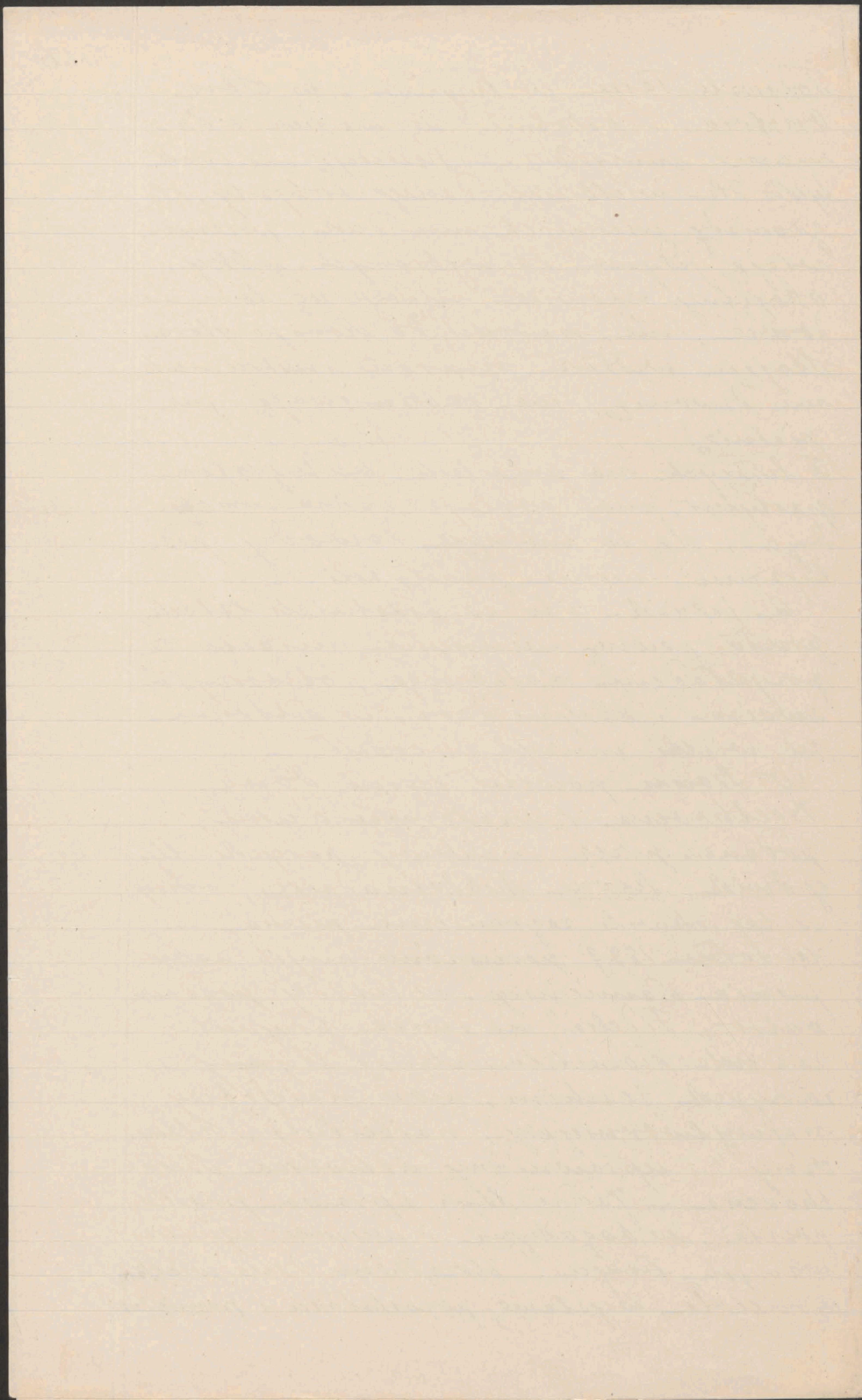

rozrzucono przez odezwę — i odrazu znalazły się fundusze, posypały się dary. Cesarz Wilhelm II ofiarował podstawę kompozytora, trąbki akustyczne, których dotknięty głuchotą pod koniec życia, używał. Złożono potem instrumenta, umyślnie dla niego sporządzone, np. fortepian wiedeńskiego fabrykanta Grafa, skrzypce, altówki, wiolonczelle, na których pod kierunkiem artysty wykonywano jego kwartety. Na ścianach domu, który trzeba było do dawnego stanu przywrócić, wiszą dziś portrety mistrza, jego krewnych i bliskich. Jest między tymi obrazami portret dostojnej i przywiązanej kobiety opatrzony na odwrotnej stronie pięknie następującą dedykacyę: „Wyjątkowemu geniuszowi, wielkiemu artyście, dobremu człowiekowi.”

Czyżby nie można gdzieś wypisać tych słów w Krakowskim Domu Matejki? Najwybitniejsi, najmożniejsi ludzie w Niemczech dopomogli słowem lub ofiarą nowej instytucyi. — Tak samo było i u nas. Ledwo poruszono myśl, aby twórcę „Skargi” uczcić godnym i głębiej pojętym pomnikiem, pomnikiem bardziej istotnym od marmurowego grobowca, zgłosili się z darami dostojnicy kościelni, przywódcy arystokratycznych rodów, przedstawiciele hojnej warszawskiej plutokracyi. — Tutaj się jednak podobieństwo urywa. — Za komitetem w Bonn stanęło zaraz całe społeczeństwo, składki posypały się ze wszystkich

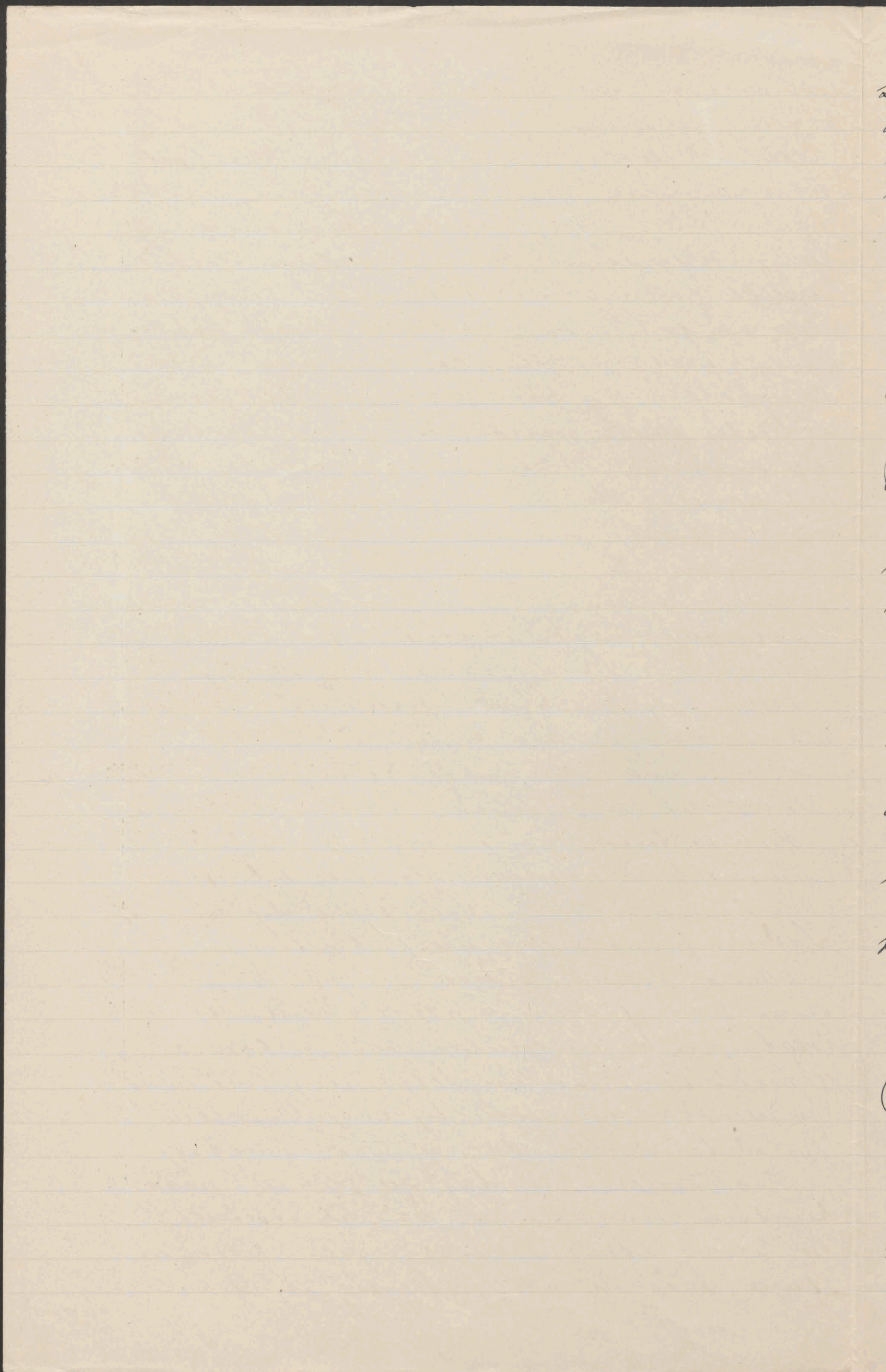

stron swoja; z każdego niemal niemiec-
kiego domu, gdzie wieczorami grywają
Beethovena, a nie wszystkim u nas
wiadomo, ile jest takich domów — prze-
słano choćby kilkadziesiąt fenigów — na
pamiątkowy dom artysty. Nie wielka
możnych melomanów, ale naród
złożył Beethovenowi ten pomnik.
Czy inicjatorowie Matejkowskiego mu-
zeum mogą to samo o naszem spo-
łeczeństwie powiedzieć?) ,,,
Jedynym radosnym u nas objawem
są dary, niewiele bardzo skromne,
ale bardzo serdecznie witane, dary
ze stron małych gmin miejskich
i wiejskich. —
Ale wróćmy do Bonn, dodajmy
szczegół, o którym dzienniki nie
wiedzą. +++ Wielbicielka Beethovena,
siostra słynnego niemieckiego profe-
sora, postanowiła ozdobić rodzinny
dom artysty, jakimś pięknym,
allegorycznym obrazem. ++ Udała się
w tym celu do malarza Gellschap'a,
znanego z dział wykonanych, w berliń-
skim arsenale. + Miałem w ręku
szkic takiej kompozycji. ++ Nad kołyską
przyszłego muzyka stają, jakby dwie
wróżki, dwie kobiece postacie). +++,,
Jedna z nich jest Muza, kierowniczka
natchnień, druga — to wierna towa-
rzyszka jego życia, Niedola. ,+++,
Malarz podjął się pracy, ale posta-
wił warunek. +++ Nie chce on zapłaty
za dzieło, pragnie je ofiarować od
siebie, do muzeum pamiątek.

Wielbicielce Beethovena, nie pozostało nic prócz prawa zakupienia wspaniałych ram do obrazu. —
Szczęśliwe Niemcy, ofiarne i bogate! —

Vasari.

Czy drukować!

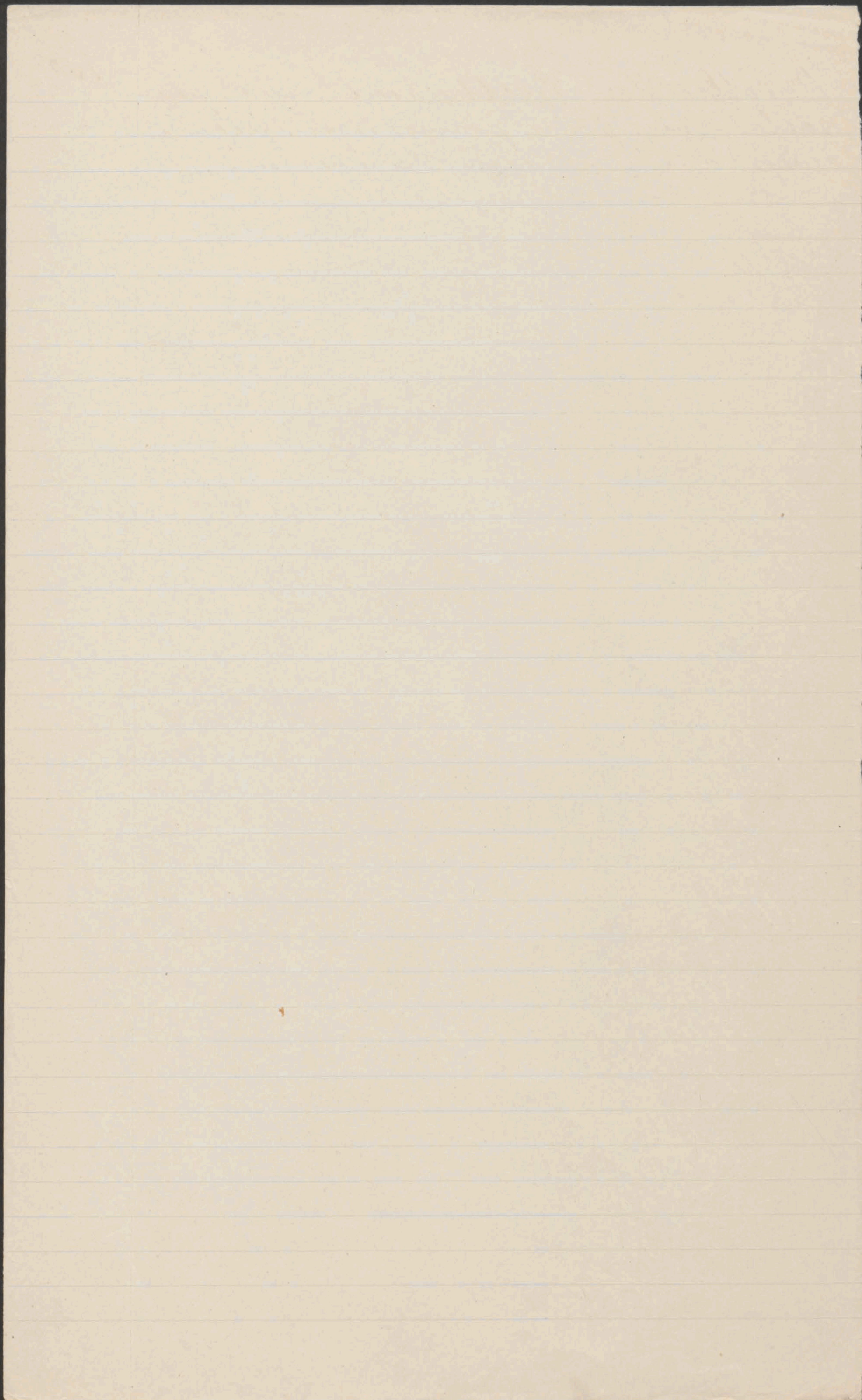

Czas z Soboty 4 Lipca 1896.:

Fantazmagorye.

Miałem niedawno przydziwny sen. - Zapiszę go, bo zdaje mi się, że był to sen proroczy. -

Chodziłem po moim starym Krakowie, ale zdawało mi się, że jest w nim wiele rzeczy niezwykłych i nowych. - Po ulicach szły pędem elektryczne tramwaje, a na placach biły strugi wody z publicznych studzien i fontann. - Zrozumiałem, że zaprowadzono już wodociągi, że świeci nademną odmienne słońce XX stulecia. —

Na szczęście nie zmieniono hejnałów. Kiedy z wieży maryackiej odtrąbiono południe, postanowiłem zajść, starym zwyczajem, na wystawę Towarzystwa sztuk pięknych. - Czułem bowiem, że jest to poranek niedzielny. Poznałem go odrazu... czyż ja wiem, po czem go poznałem? Może po skupieniu osób, wracających ze mszy, z książką do modlitwy w ręku.... Może po staranniejszych toaletach kobiecych. - Może po tłumie białych chłopskich sukman i chust czerwonych, świecących. - A może po prostu czułem ów dziwny, radosny nastrój, który w świąteczne dni, w dni wypoczynku, ogarnia i małe i ogromne miasta. -

W sali to jasny ranek. Tam zobaczył

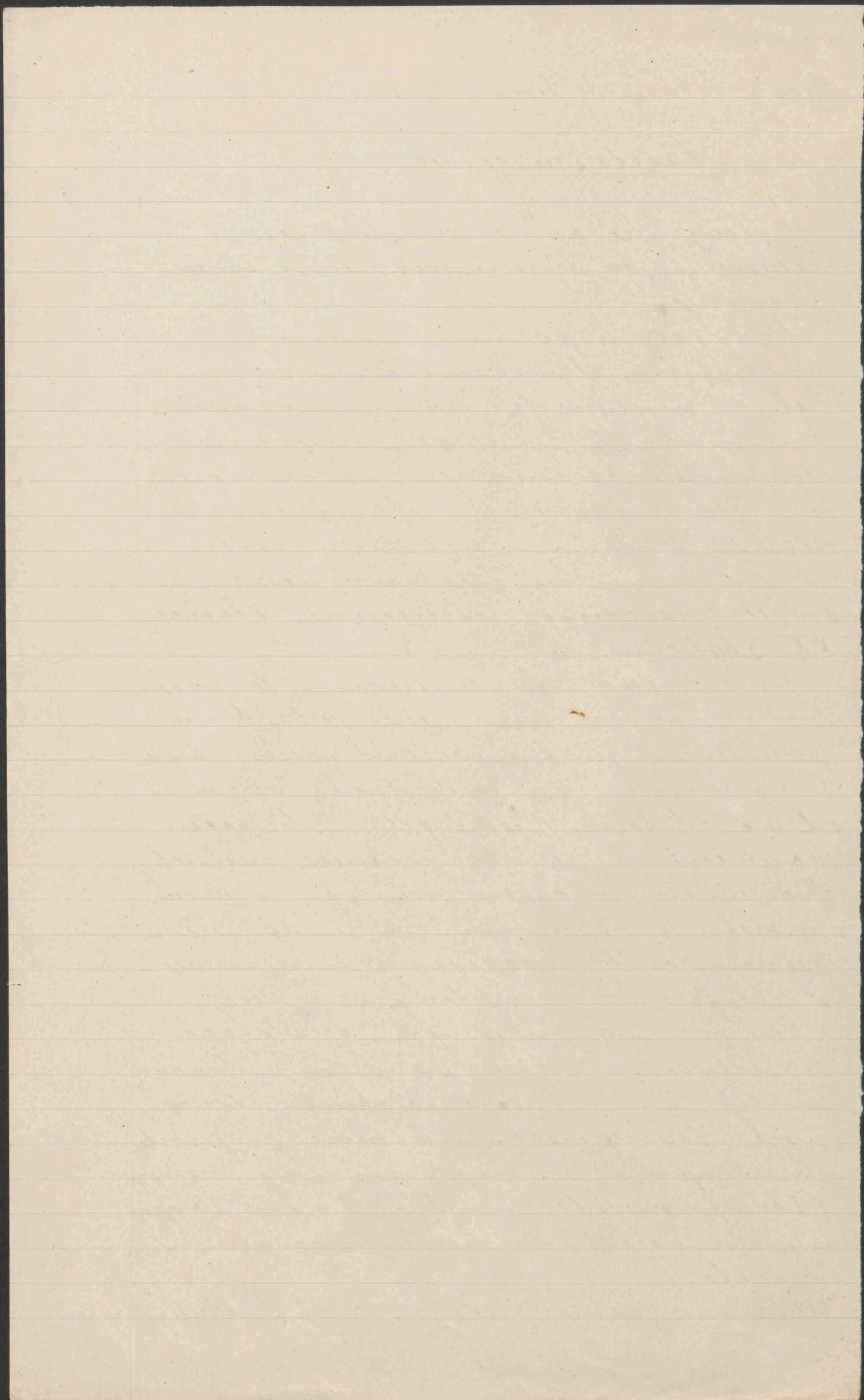

Graetchen.
I możeby nie była zapamiętała jego słów, gdyby w powietrzu nie było tyle błogiej pogody, tyle ochoty do życia, tyle niedzieli. —

Po drodze zadawałem sobie pytanie, czy też Towarzystwo sztuk pięknych jeszcze istnieje? czy apatya jednych, wichrzycielstwo drugich nie zabiły przypadkiem starej instytucyi?

W Sukiennicach nie zastałem wystawy, wskazano mi natomiast nową siedzibę, budynek skromny, a jednak pod względem architektonicznym wytworny. Na jawie nie byłbym nigdy uwierzył, aby coś równie pięknego wystawiono w Krakowie. Bo od czegóż mamy audyty, komisye, sądy znawców, od czegóż t. zw. opinię publiczną osobiste względy i zawiści? Ale we śnie wierzy się we wszystko, co się widzi.

Wkroczyłem do gmachu. Ze ścian patrzały czeskie, węgierskie, amerykańskie obrazy. Po środku same włoskie posągi, manierowane i słodkie. Jedynie publiczność mogłaby być polska, ale niestety publiczności nie było. —

Zapukałem do drzwi Kancelaryi. Otworzył mi zdziwiony pan Seweryn Böhm, sekretarz Towarzystwa.

— Jestem dawny Wasz korespondent szebelem — przybywam tu po wielu

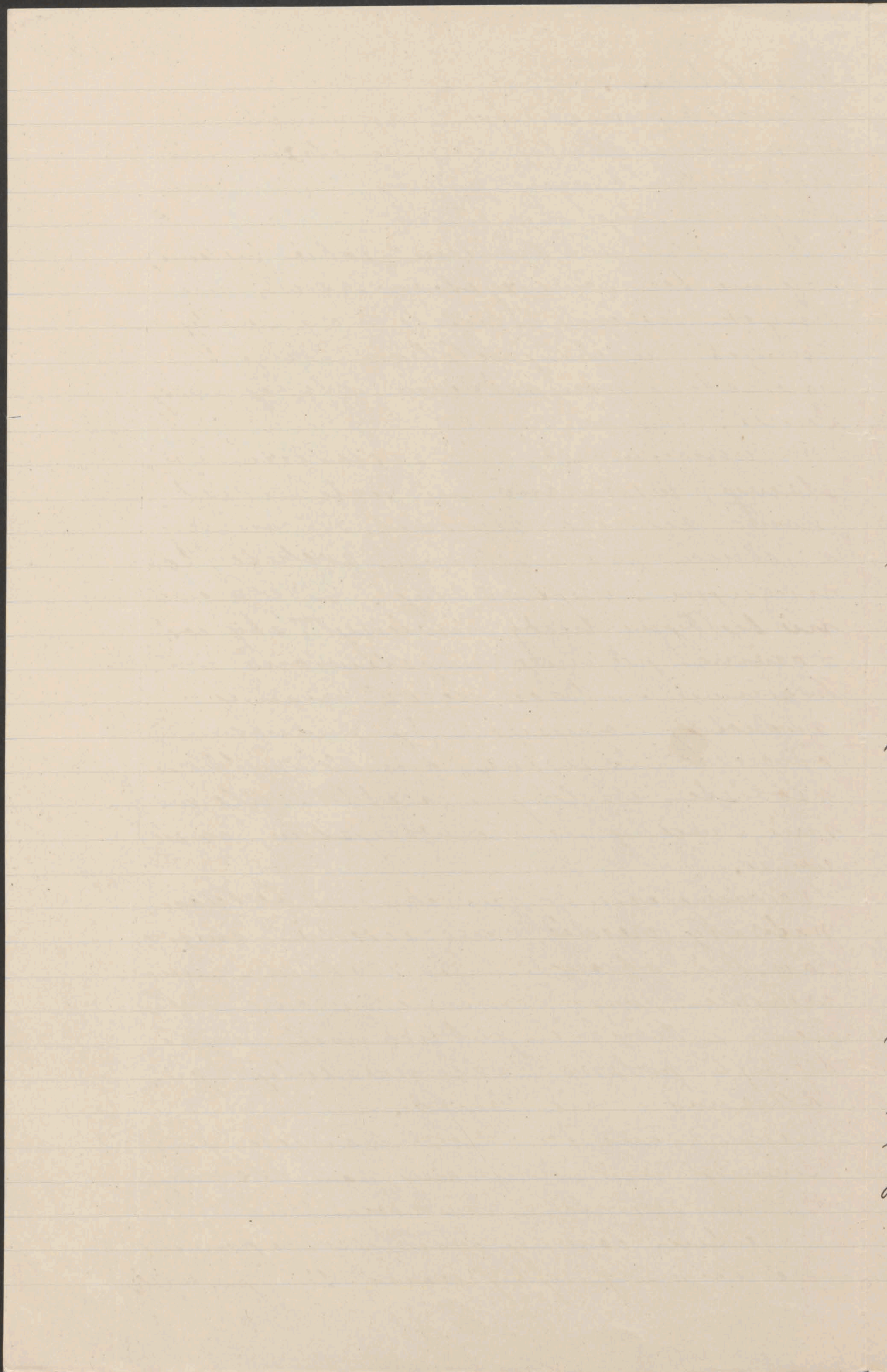

latach nieobecności. — Powiedzcież, co się stało? Gdzie są polscy malarze? Gdzie cała nasza artystyczna produkcya? —
Pan Böhm uśmiechnął się zrazu, ale po chwili przybrał spokojny, urzędowy wyraz twarzy. —
— Jakto? — rzekł. — Gdzie produkcye? Rzuć pan okiem na te ~~publiczność~~ publikacye! —
Na stołach kancelaryi leżały ilustrowane wydania wszystkich polskich pisarzy od Reya do Miriama: światłodruki; cynkotypie, chromolitografie i znowu światłodruki i platynotypie. —
Cały szereg rysunków odnosił się do orzeczeń Towiańskiego i do starannie wybranych, do niezrozumiałych poezyi Cypryana Norwida.
Inny cykl objaśniał kompletne dzieła Sotera Rozbickiego. —
Tu i owdzie fantasmagorye neochrześcijańskie, eteryczne Madonny odbijane na zielonym papierze.
Ani jednej uczciwej akwaforty, ani jednego sztychu. — Nigdzie śladu obserwacyi, samodzielności, życia. — Czasem, jakiś starszy artysta ilustrował dziwaczne ludowe podanie, bo wszystkie proste i szczere legendy wyczerpali już młodsi.
P. Böhm widział, jak posmutniałem i rzekł:
— Odkąd Stachiewicz stworzył swoje

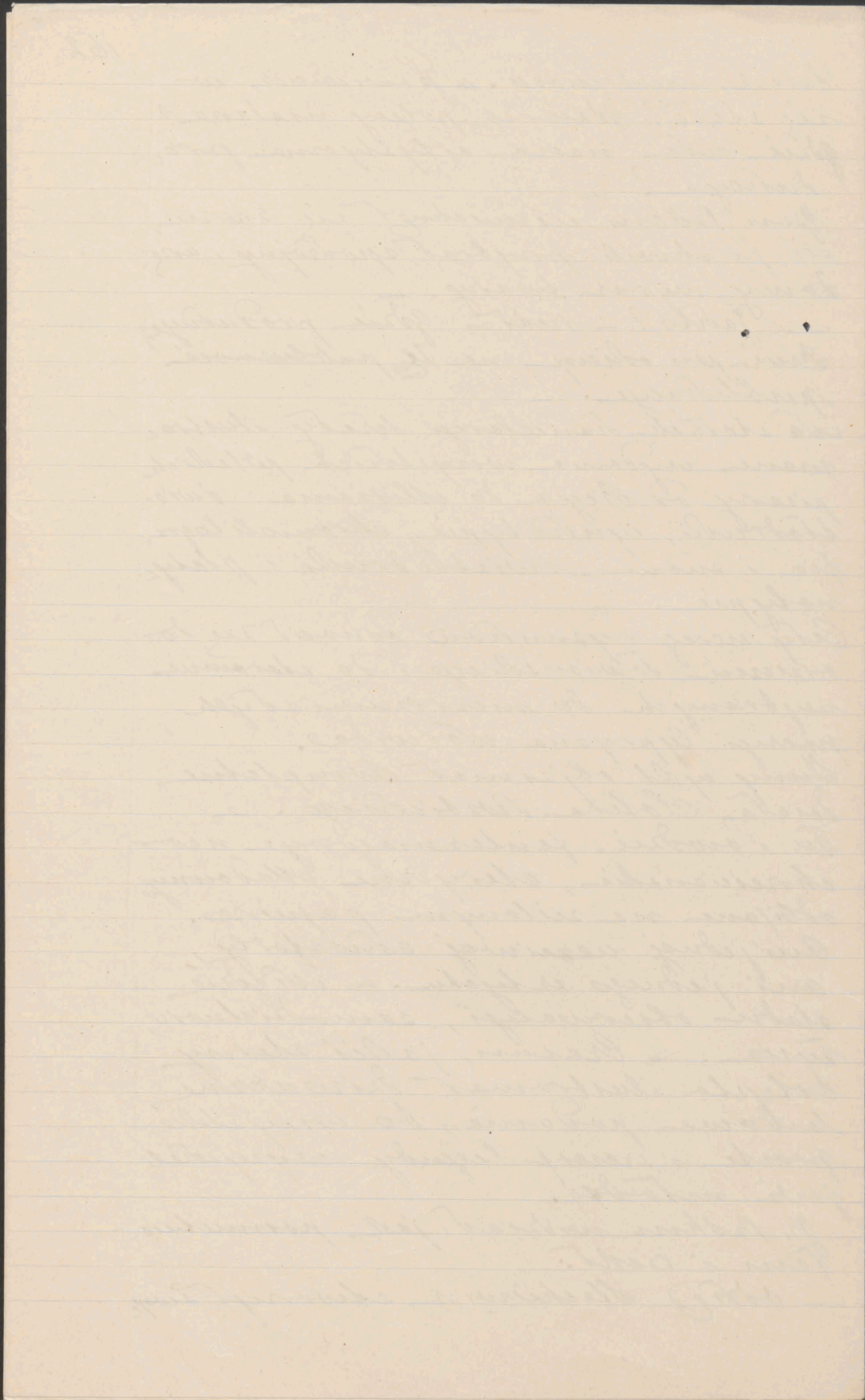

Madonny, połowa naszych malarzy
ufa jedynie w ilustrowanie dzieł
cudzych, ludowych lub poetycznych.
— A druga połowa?
— Maluje panoramy.
— ?!?! —
— Tak jest, panoramy. Jedź pan
dziś od Gdańska do Zakopanego
i od Poznania do Wilna, w każdem
miasteczku ujrzy pan takie dro- [?]
liste, budzące malowidło. —
— To niepodobna!
— Ja jednak mówię prawdę.
— Nie wierzę! Jacek Malczewski…
— Siedzi w Londynie, robi kręgi
widoków Sybiru według wskazówek
Kennana.
— A Chełmoński [?]?
— Związał się z Kappellim [?] i Po-
powskim. — Pierwszy z nich
wziął na siebie zagony, drugi chaty
wsi pod Warszawą. — On zaś maluje
niebo na górze i rozporządza niedużemi
zgoła [?] trzema kubkami błękitnej
farby. —
— Czyż i Wyczółkowski tak upadł?
— Wcale nie upadł. Traktował
z nim magistrat o odnowienie [?],
ale on wolał jechać do Quedlinburga [?]
gdzie pracuje nad olbrzymim wido-
kiem odwiecznej krypty romań-
skiej. —
Z ust sekretarza padały same
podobne nowiny. —
Pochwalski ograniczył się do półkola,
do sali wiedeńskiego parlamentu

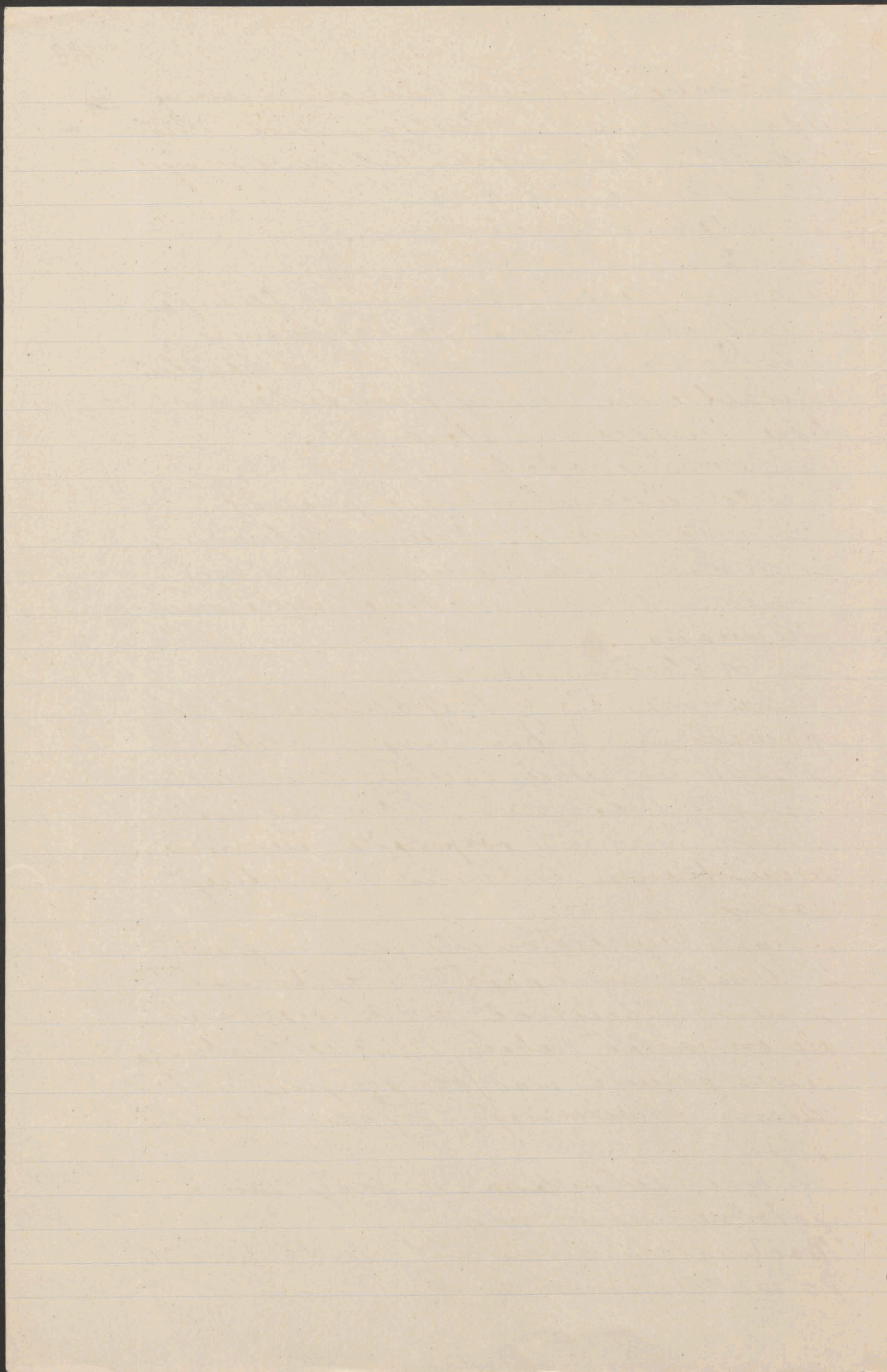

z portretami deputowanych.
Włodzimierz Tetmajer maluje wybór posłów z mniejszej odległości. — Lenz i Badowski urzeczywistniają panoramę Warszawy. — wyborny pomysł! W cukierni na Ujazdowskich Alejach zgromadzili najzdolniejszych miejscowych dziennikarzy, członków klubu myśliwskiego, pierwszy kadryl baletu.
Ze strachem zadałem jeszcze jedno pytanie: co słychać o krakowskiej szkole sztuk pięknych?
Odpowiedziano mi:
— Niema jej — i to oddawna.
Część uczniów pracuje dla wiedeńskiego nakładcy i rysuje z głowy galerye kobiecych piękności. — Inni wynajęli pusty cyrk przy ulicy Dietlowskiej i wprawiają się w malowanie panoram. —
— A dyrektor, a Fałat?
— Siedzi na wsi i robi studya z natury. — przyjeżdżają po nie amatorzy i kupcy z daleka, z Berlina, z Monachium i z Paryża. Ale u nas, już się nikt o takie [illegible] prace nie spyta. — Nieliczni ludzie, którzyby w kraju mogli kupować obrazy, wolą umieszczać kapitały w przedsiębiorstwie jakiejś panoramy.
— Cóż więc dajecie, wy Towarzystwo, cóż dajecie swoim członkom jako premie?
— Reprodukcye obcych, a zwłaszcza dawnych malarzy. — Trochę Böcklina,

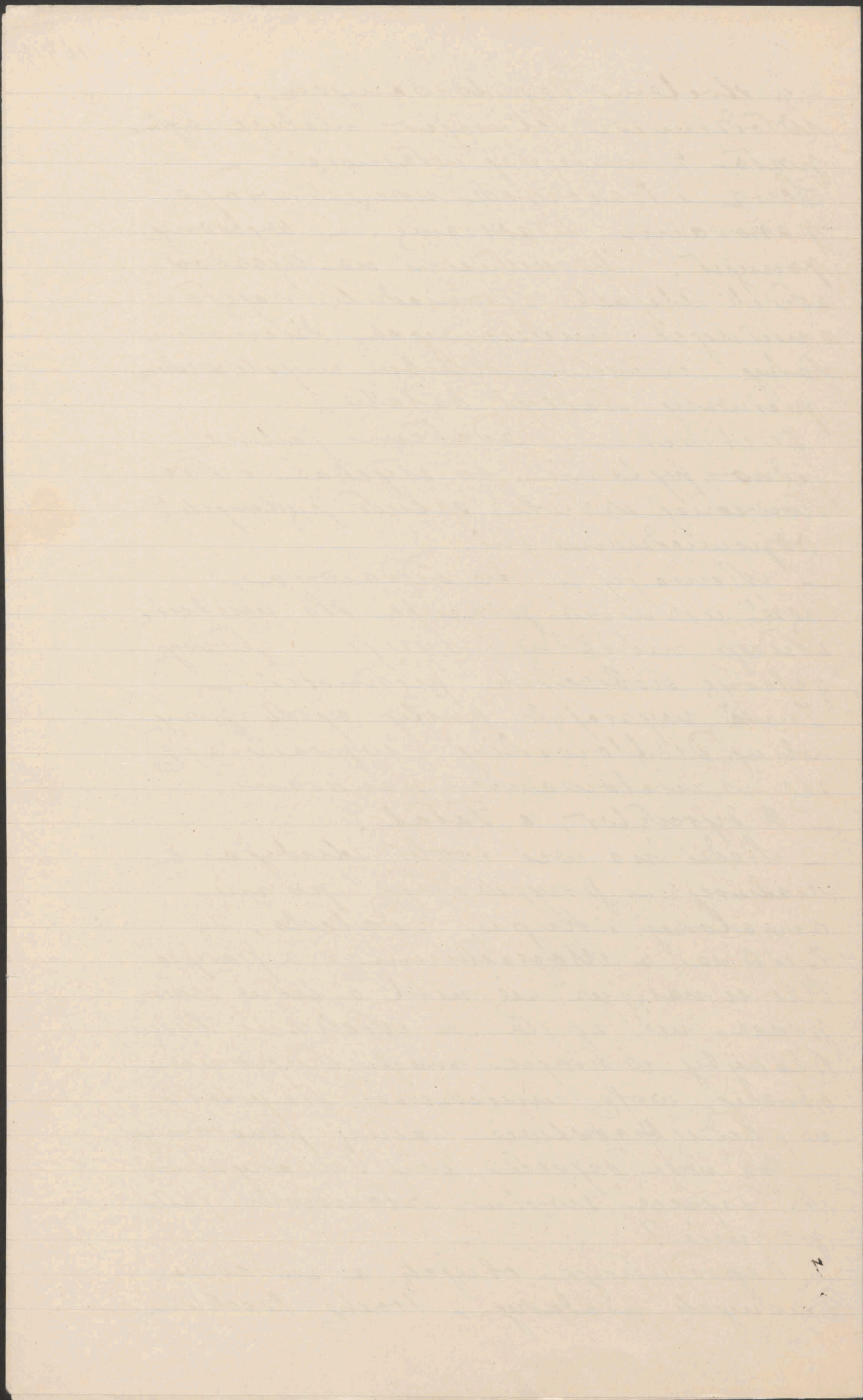

trochę Halsa, Velasqueza i – czy pan zgadnie? najwięcej Rafaela.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Tu obudziłem się naprawdę.
Wybiegłem na ulicę, zaszedłem do pracowni Malczewskiego, Fałata, Wyczółkowskiego, Axentowicza, Makarewicza, Piotrowskiego.
Przekonałem się, że stoją jeszcze płótna na sztalugach.
Odetchnąłem...
Spytałem jakiegoś przechodnia, czy to dziś poniedziałek, wtorek albo środa?
Spojrzał na mnie, jak na waryata, i powiedział: niedziela.
Zrobiło mi się w duszy zupełnie świątecznie.
Z wieży maryackiej odtrąbiono południe.
Sen – mara.

Ahasverus.

Nie drukowal[i] tałgsm?

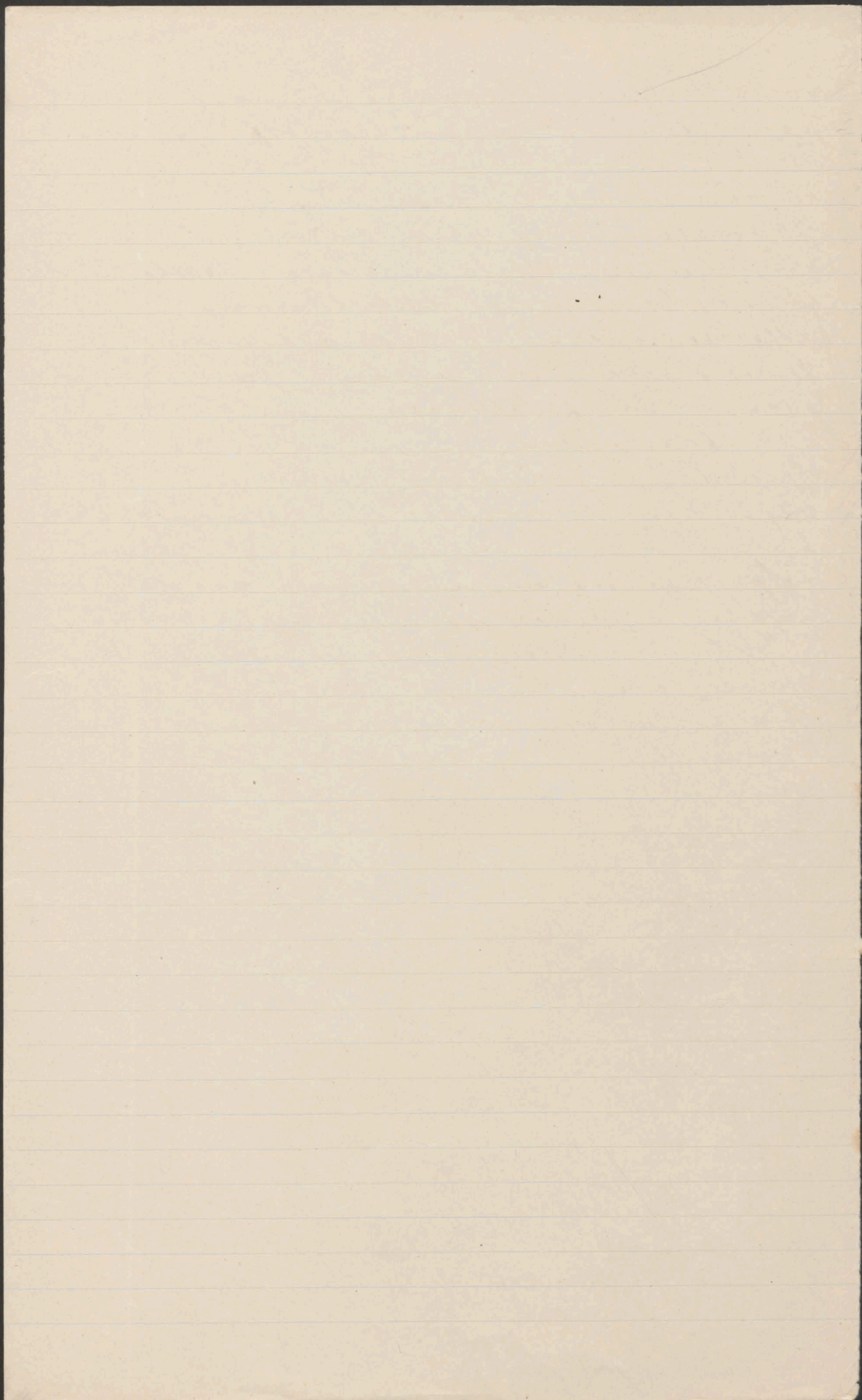

Czas z. Soboty 10 października 1896 r.

Paryż 5 października.

(A. H.) Natłok ciekawych spraw, dużo drobnych wydarzeń zajmowało od dwóch ~~...~~ tygodni wydzielenie się ludności Paryża. + Piszę stąd, miałbym niewątpliwie przecie potrącić o różne artystyczne i literackie kwestye. A jednak nie wolno mi dziś tego uczynić. Mówić dziś o czemkolwiek innem, jak o przyjeździe cara, znaczyłoby tyle, co dobrowolnie odbarwić, zfałszować obraz chwilowego Paryża. Bo miasto, zwane stolicą światła, pracuje od dziesięciu dni nieustannie nadtem, aby nie świecić, ale olśnić. — La ville lumière staje się stolicą ogni sztucznych.
Dziś, gdy to piszę, złoci się jeszcze zwykła rudawa wielkomiejska łuna ponad wieżami katedry. — Wieczór sprowadził, jak co dnia, ciemność ponad stolicą. Chorągwie znikły w pomroku, a miliony lamp i weneckich latarni nie zapłonęły jeszcze. — Ale jutro, jutro zamienią się linie ulic w olbrzymie smugi różnobarwnych świateł i tłum, co się już od trzech dni ciśnie po bulwarach, będzie się tłoczył i dusił. —
Wszystkie dyrekcje kolei żelaznych zniżyły ogromnie ceny biletów jazdy i według obliczeń najpoważniejszych dzienników, ludność miasta zwiększyła się na te dni o siedemkroć stotysięcy. Taki przyrost czuje się nawet

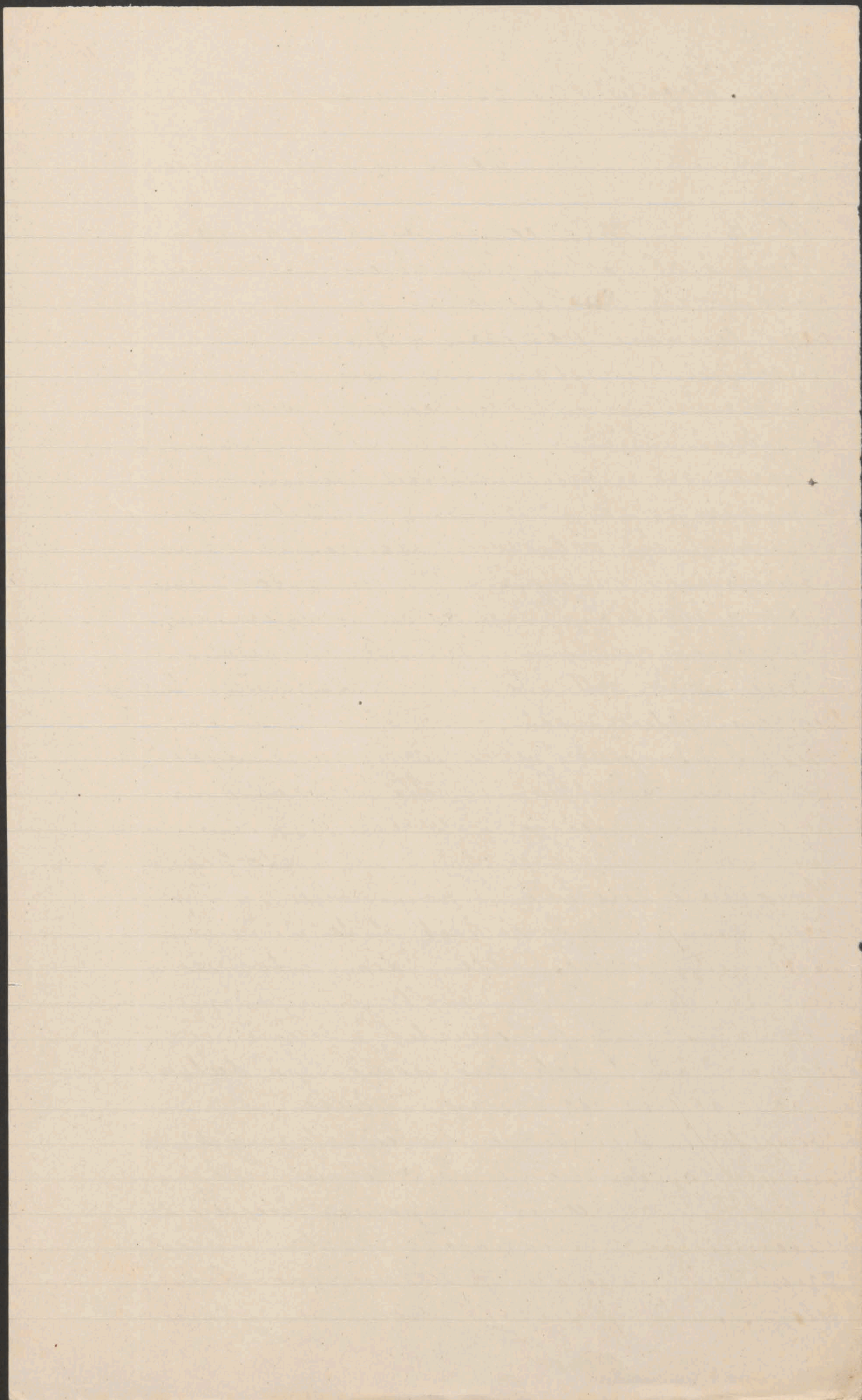

w Paryżu. — Odwrotnej nie mamy już nikt o miejsce w omnibusie, a skwerki, chodząc po Sekwanie, ugi- nają się pod ciżbą podróżnych, chociaż nie wszystkim pasażerom dozwa- lają na nie wstępu. — Trzeba czasem czekać dość długo, aż nas jaki parowiec zechce wziąć na pokład. —
Publiczność wie, że w dniu ju- trzejszym będzie jeszcze trudniej zwiedzić dekoracye miasta i dla- tego spieszyła obejrzeć ulice pełne flag, maszty o masztach powie- szonych, place, dokoła których cią- gną się sznury białych i kolorowych lampionów, gdzie jutro zapalą się światła. — Coś będzie wi- dzialnym dla niewielu, bo ulice, któremi ma jechać, będą chwilo- wo zamknięte dla publiczności. Ujrzą go tylko szczęśliwi właści- ciele okien, o które się też — wzdłuż projektowanego przejazdu ubiegają ludzie majętni. — ~~....~~ Wiem o mieszkaniu, że którego lokator płaci rocznie, trzy tysiące franków; że wynajęcie okien dano mu dziesięć tysięcy. —
Na Avenue des Champs Elysées widziałem wiele parterowych sklepów, zamienionych na trybuny. Każdo kosztuje tam około trzech ludowców. — Ale, jak mówił dziś rano jeden z tutejszych wybitnych dziennikarzy, wolno jest czasem

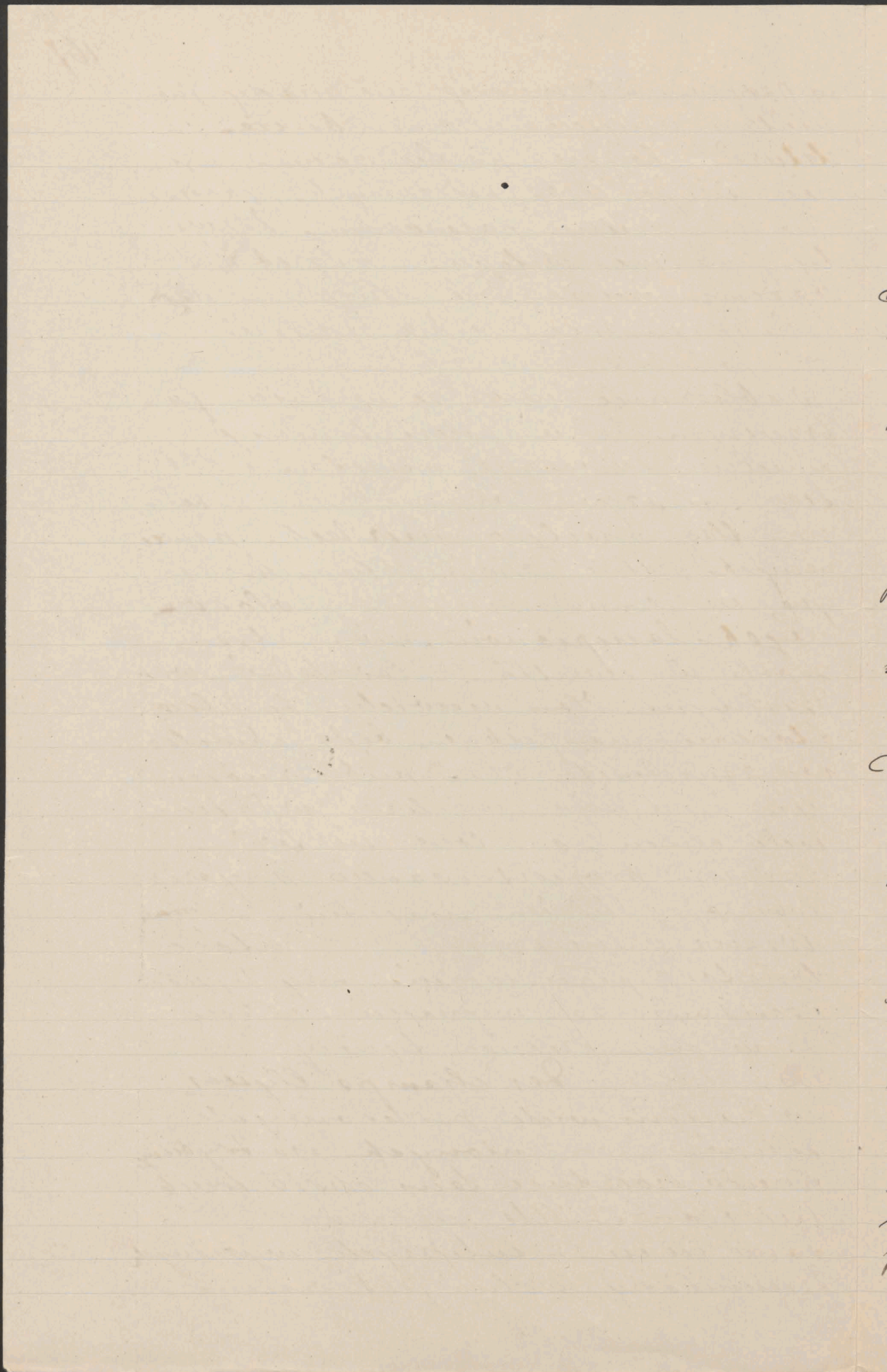

szelci Paryżowi. I mógłby był dodać z poetą:

Dulce mihi furere $\overset{\text{recepto}}{\text{est}}$ amico.

Nie moja wina, że ja lepiej znam Horacego. Gdyby mój francuski kolega po piórze przypomniał sobie to zdanie, byłby je może pomieścił w artykule, bo dotąd tylko jeden łaciński cytat wraca we wszystkich humorystycznych i poważnych pismach, cytat, tworzący dość zabawną grę słów:
o rus, (o Russe!) quando te aspiciam!...

Francuzi muszą bowiem żartować, nawet teraz. Pisma i pisemka są pełne inwektyw na prezydenta Faure'a. Jedno z nich wyrzuca mu monarchiczne ambicye, chęć otoczenia się królewskim zbytkiem, a to dlatego, że służbę, pomieszczoną w pociągu, którym wczoraj wyjechał do Cherbourga, miał ubrać w bogatą liberyę. Przypadły się obelgi, powiem dziennik wspomniał o „małpiarskiej, małpującej cesarstwo rzeczypospolitej"; drobna prasa rozniosła po kraju wiadomość o Feliksie Faure — samodzierżcy. — Tymczasem biedny prezydent nie sprawił swoim lokajom kolorowego stroju z galonami:

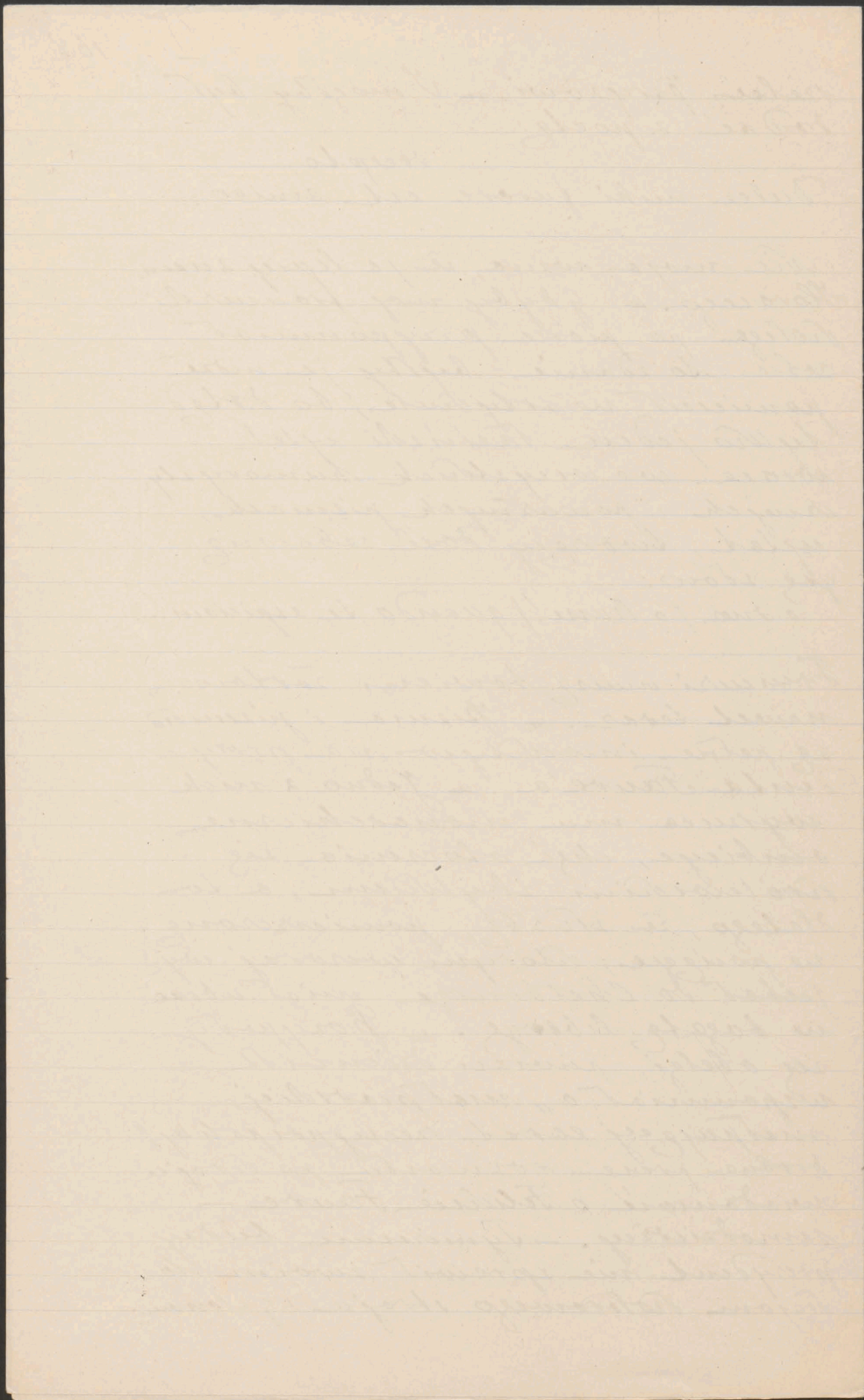

wystąpili w Cherbourgu w takim
samym czarnym fraku, jak on
sam, przedstawiciel Francyi.
Zrównali się przed carem. Właści-
wie powinniby byli wszyscy
razem wdziać liberyę. — Redaktor
humorystycznego pisemka <u>Le
Grelot</u> poparł moje zdanie.
Przed trzema tygodniami pomieścił
on bowiem ciekawy rysunek: ....
„Przed manekinem, przedstawiającym
Rosyanina, dostojnicy francuscy
klęczą i biją pokłony. — U dołu ~~napi~~
napis: „Próbna lekcja etykiety i
sztuki płaszczenia się."
Tu i owdzie odzywa się — wśród zupeł-
nego oszołomienia — jakiś głos, naccho-
wany rozsądkiem i godnością. ....
Taki E. Lepelletier np. zapytał, na co
wozić cara po wszystkich gmachach
Paryża, kiedy jego właściwie, tylko
mennica obchodzi.
Car będzie tymczasem objeżdżał
miasto. Zawiozą go do Akademii
francuskiej, gdzie go powitają wier-
szem Coppéego, umyślnie na ten cel
ułożonym. — Pokażą mu na godzinę
teatr „Francuskiej Komedyi," i będą mu
znów deklamować wiersz p. Claretie,
umyślnie na ten cel ułożony. — Pozwolą
mu wejść do „Opery", ale nie ujrzy
tam <u>Sigurda</u> w pełni okazałości i
w całym blasku zwykłych przedsta-
wień. — Z obawy, aby się jakie niebez-
pieczne indywiduum nie wkradło
między statystów, obcięto część aktu

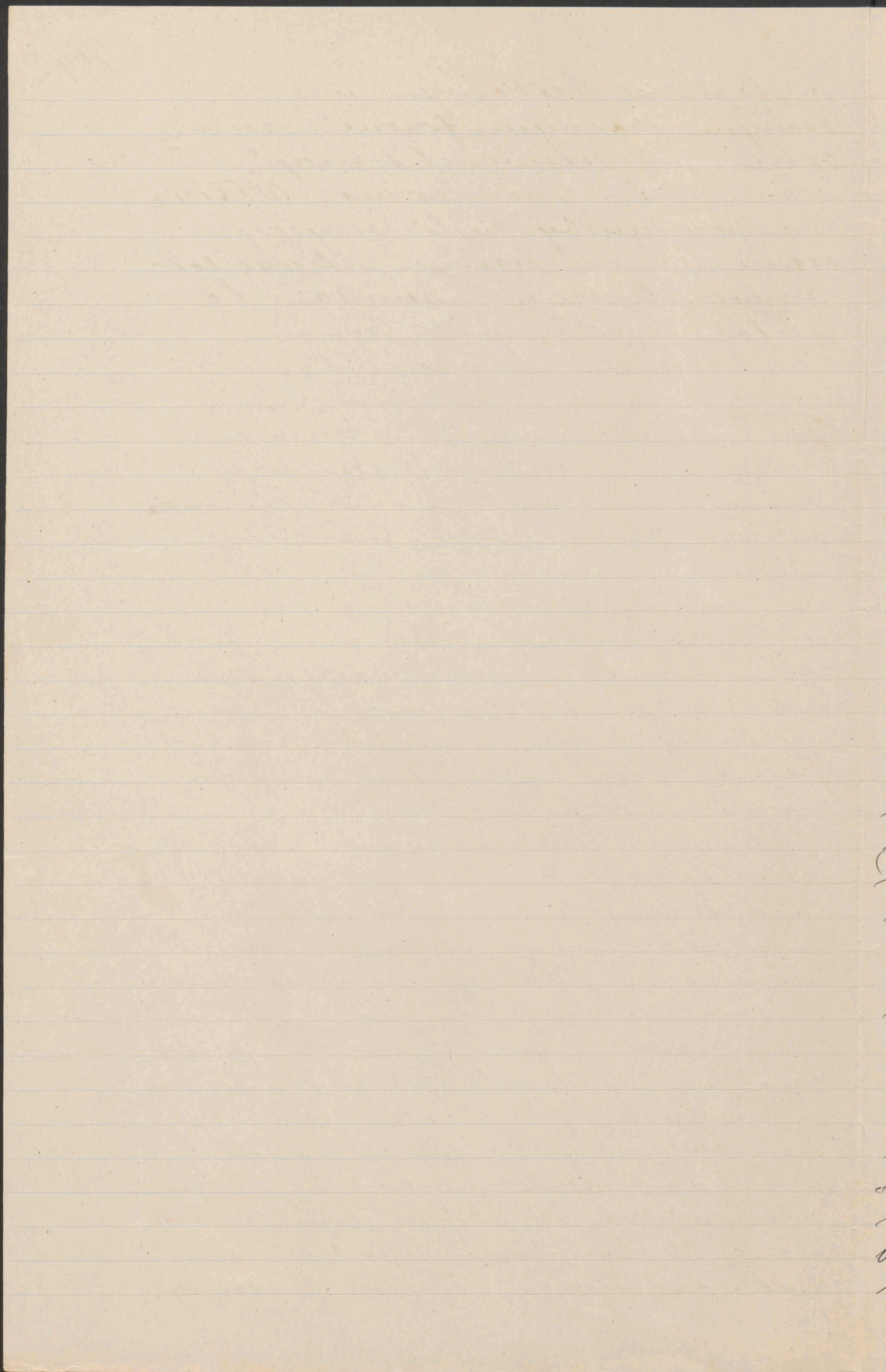

w operze francuskiego kompozytora, sceny wymagające tłumu na deskach. Coś będzie jednak w galerji Louvre'u, w Panteonie, u Inwalidów. ++ U wrót kościoła Notre Dame przyjmie go arcybiskup paryski i, jak to już w liście pasterskim ogłosił, odśpiewa tegoż dnia, po południu, uroczyste Te Deum. ++

Ulice, któremi Mikołaj II przejedzie, są już dzisiaj przybrane. ++ A i na innych, odległych, powiewają od kilku dni chorągwie. ++ Prócz rady miejskiej, zajęły się tem komitety obywatelskie, utworzone w poszczególnych dzielnicach. ++ Flagi wdarły się aż na najwyższe szczyty, aż na wieże katedry. ++ Tak zwane „wielkie bulwary" liczą całe szeregi łuków tryumfalnych, ozdobionych kulami z żelatyny czy celulozy, zawierającemi lampki elektryczne.) ++ , , , , ,
We dnie rażą one oko swoją barwą różową i zieloną, wieczorem nabiorą przejrzystości i blasku. ++
Całą Rue de la paix otrzymała po obu stronach umieszczone drewniane rusztowanie, majowym kolorem i stylem naśladujące podobne za czasów Ludwika XV stawiane po ogrodach. ++ Watteau używał ich tak często za tło do swoich scen miłosnych. ++ I jak w pawilonach odwiecznych, tak i dziś służą te lekkie kraty za podporę girlandom świeżych liści. ++

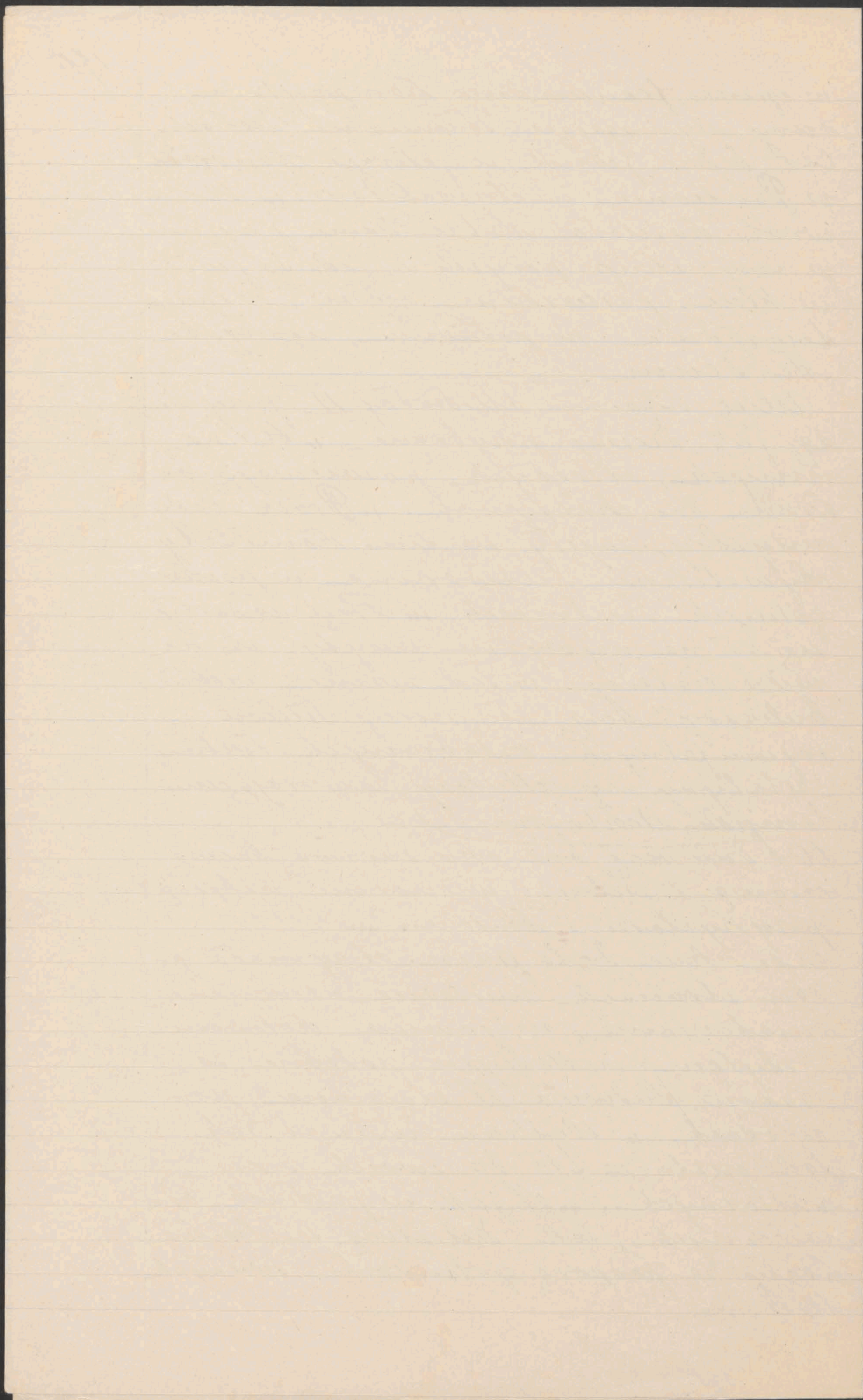

Nie wiem, czy Place de la Concorde nie jest przypadkiem najpiękniejszym placem na świecie; w każdym razie nie równa się z nim żaden inny pod względem dekoracyjnych pomysłów. „Obelisk z Luksoru, bardzo zdumiony takiem otoczeniem, patrzy z jednej strony na Louvre, z drugiej na wielki Łuk tryumfalny. — Po prawicy — mówię tak, bo mi się zawsze zdaje, że ten kolos różany czuć musi, — po prawicy ma kościół św. Magdaleny, a po lewej, za Sekwaną Palais Bourbon, dwa gmachy o starożytnych frontonach. — Otóż dekoratorom Paryża, i to dziś nie wystarcza. „Otoczyli plac szeregami lamp i od strony Louvre'u, stanęły maszty z flagami, girlandami i wielkiemi literami R. F., co zwykle znaczy: République Française, ale dziś przypomina także: (wyrazy) Russie France.

Pola Elizejskie mówią prawie wyłącznie o Rosyi!

(Co kilkadziesiąt kroków wznosi się słup, uwieńczony orłem dwugłowym. „Tylko lilie, i tylko pośród okręgu — okręt jest herbem Paryża — przypominają Francyę. — Między słupami, festony lamp białych. —

Jest miejsce, gdzie się Pola Elizejskie rozszerzają w okrąg (Rond-point). Dokoła stoją jesienne, bezlistne kasztany. „Ale ręka ludzka ubrała ich gałęzie w papierowe kwiatuszki,

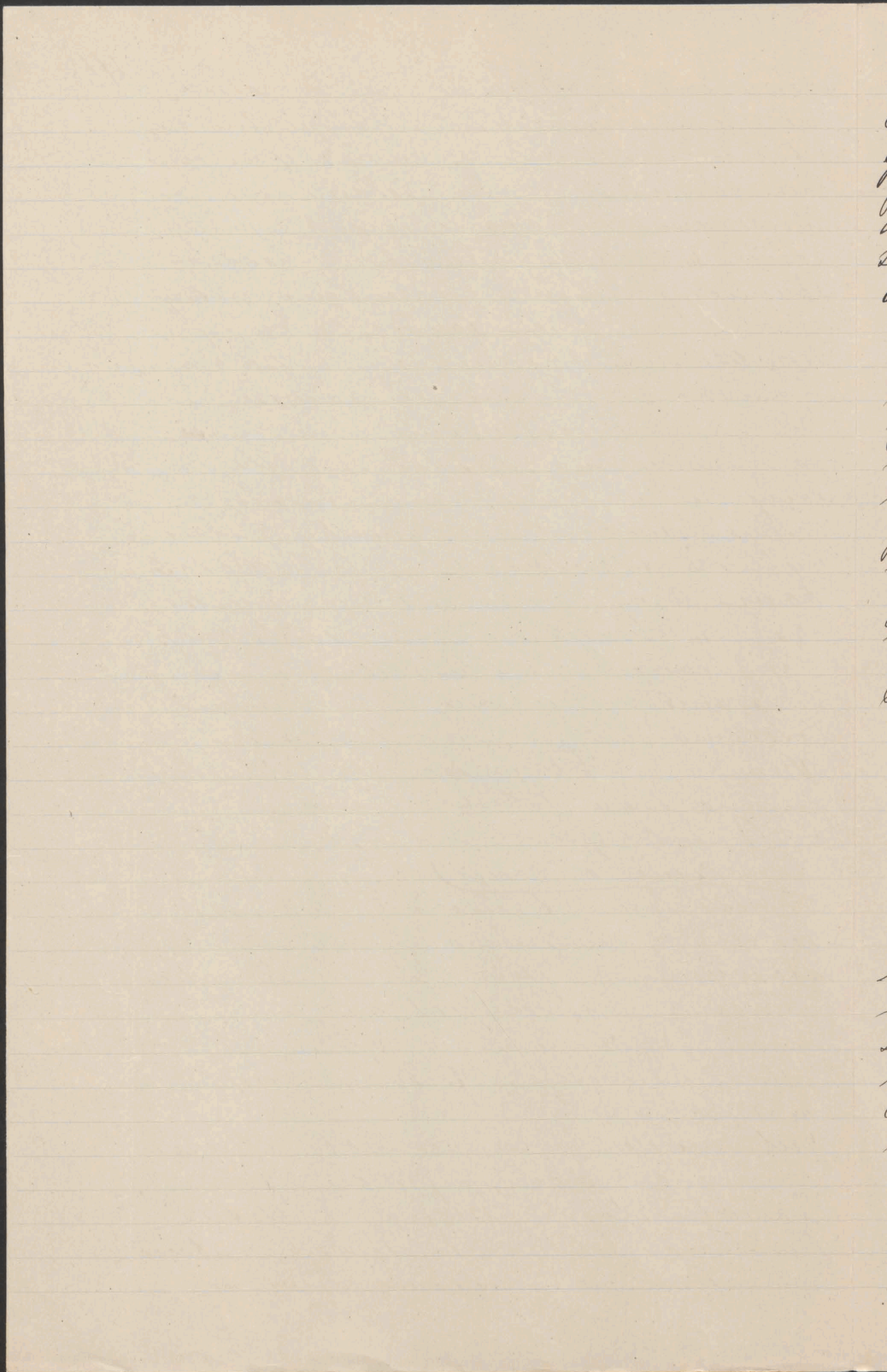

czerwone, różowe i białe. — Niegdy carowa Katarzyna jeździła po pustych guberniach ~~twego~~ swego państwa, Potemkin zaś kazał ustawiać przy drodze istne teatralne dekoracye, przedstawiające chaty, domki, cerkwie. Dla carycy urządził dworach cywilizacyę której jeszcze nie było. — Carowi sprawia Paryż wiosnę, której już niema. —

Poza tem wszystkiem i ponad tem wszystkiem, wznosi się olbrzymi Łuk tryumfalny ku czci wielkiego Napoleona. — Na jego ścianach kamiennych wyryto nazwy miejsc, gdzie cesarz zwyciężał i nazwiska ludzi, co zdobywali sztandary. — Poszedłem zobaczyć, czy imię Kniaziewicza widnieje na pomniku. Otóż, jest. —

Wśród wszystkich tych przygotowań ciśnie się tłum niezliczony, ciśnie się, rozbija, cieszy się i śmieje. Potrzeba czasem kwadransa, aby módz ujść sto kroków. — Wesołość ogarnia powoli najobojętniejszego przechodnia. — Jeżeli zaś radość, spokojna radość, złożona ze swobody i dumy, nie udzielała się tobie, mój czytelniku, jak i mnie opanować nie mogła, nie nasza w tem wina. —

Chorągwie poruszane wiatrem, głucho i niemo trzepocą, jeżeli razem z ich fałdem, nie trzepoce się i w naszej piersi serce. —

Czytelnikowie!

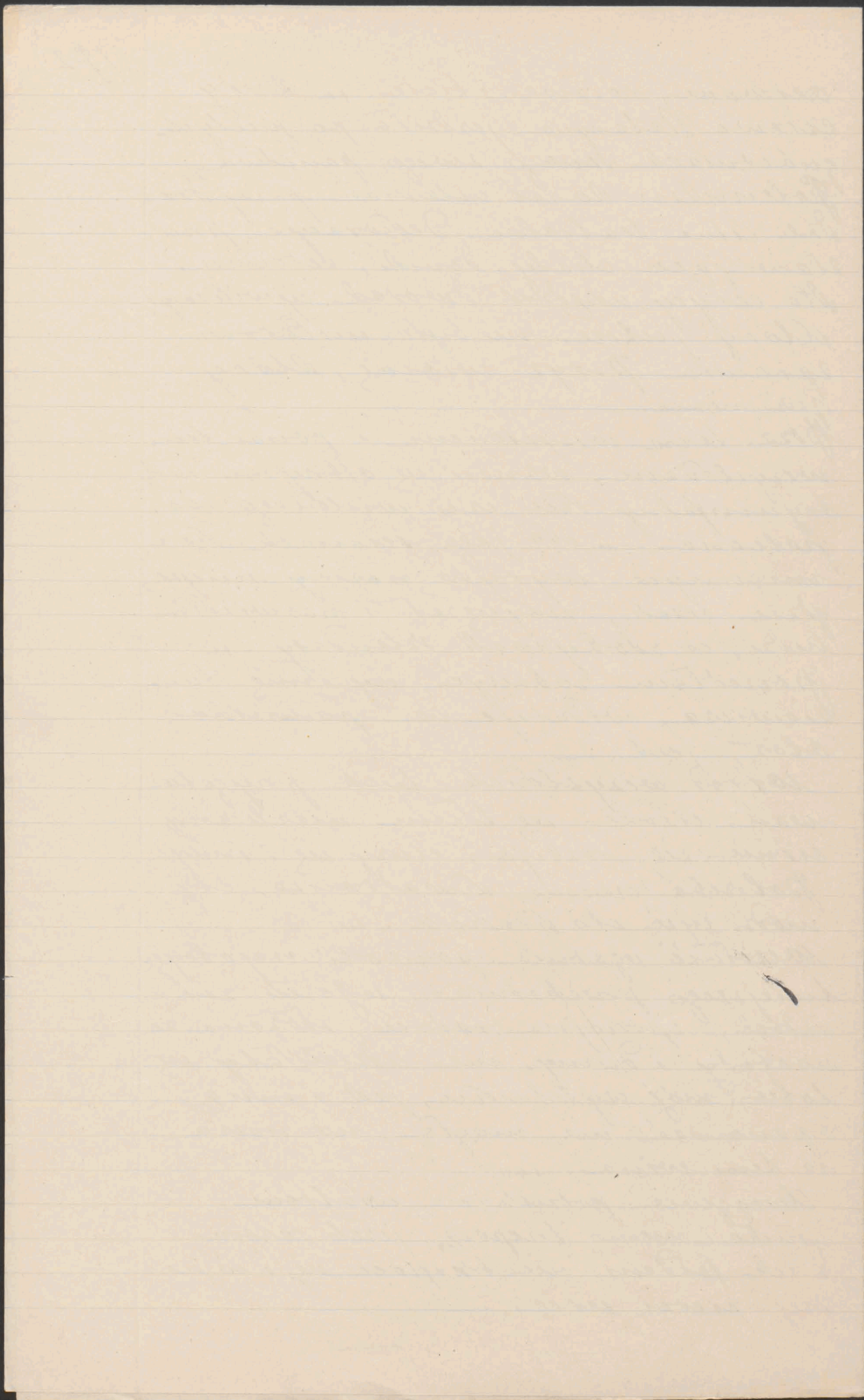

Czas z środy 21 października 1896 roku.

Z Paryża.

Z Paryża piszą nam (ak): Teatry paryskie nie przedstawiają chwilowo prawie wcale sztuk nowych. — Sara Bernhardt w najsłynniejszej i odwiecznej swej roli, jako Dama Kameliowa. — „Comédie française” wznowiła Montjoye, dramat Oktawiana Feuillet'a, znany i u nas z występów Jana Królikowskiego i p. Żelazowskiego. — Krytyka powitała dość niechętnie tę szlachetną, ale nieco nieprawdopodobną i przestarzałą sztukę. — Jak Sarah Bernhardt, aby czemś nowem przywabić, przywdziała sama strój z 1845 roku i narzuciła go otoczeniu, tak wdowa po Oktawianie Feuillet przy pomocy aktorów odmieniła cały szereg takich zwrotów, ~~które~~ i szczegółów w Montjoye, które uważała za przedawnione. — Paryż śmiał się długo z tego współpracownictwa autorów dramatycznych, ale mimo to chodzi pilnie na sztukę. —

W „Opéra comique” powracają nieustannie Mignon Thomas'a i Orfeusz Gluck'a, któremu krytyka przy wznowieniu przepowiadała arcykrótki żywot, a który jednak utrzymuje się na afiszu i po staremu zachwyca. Z nowe, jakkolwiek od dwunastu lat napisaną, ale dotąd nie wystawioną

sztukę wystąpił jedynie Odeon. —
Emil Bergerat, piszący do dzienników pod pseudonimem Caliban, jedna z tych niewyraźnych bladych fizyognomii paryskiego literackiego świata ~~[illegible]~~, którym tylko zarozumiałość i gorycz do ludzi trochę charakteru nadaje, ułożył był oddawna komedyę wierszem, osnutą na tle słynnej powieści swego teścia Teofila Gautier <u>Capitaine Fracasse</u>. (przekład powieści drukowało niegdyś warszawskie <u>Słowo</u> za czasów, kiedy Henryk Sienkiewicz był jego redaktorem). P. Porel, ówczesny dyrektor Odeonu ~~[illegible]~~ miał sztukę zamówić u Emila Bergerat, ale jej potem nie grał. <u>Inde irae</u> autora, żale, które jeszcze dziś wywodzi po kilku naraz pismach paryskich. — Bo jeżeli Caliban uznaje tylko formę wiersza, a mało dba o treść swych poematów, to zrozumiał, że treścią jego literackiej kariery może być jedynie reklama. — Porel odpowiada na te zaczepki i malutka ta literacka wojna, dzieli malutkie literackie pisemka.
Sztuka ma tymczasem drobne, ale rzeczywiste powodzenie i ściąga widzów, zachęconych pierwszem przedstawieniem za nowej dyrekcyi Odeonu. — Na czele „drugiego teatru francuskiego" stoi bowiem, jak wiadomo, <u>Antoine</u>, rozgłośny kierownik „Théatre Libre", któremu

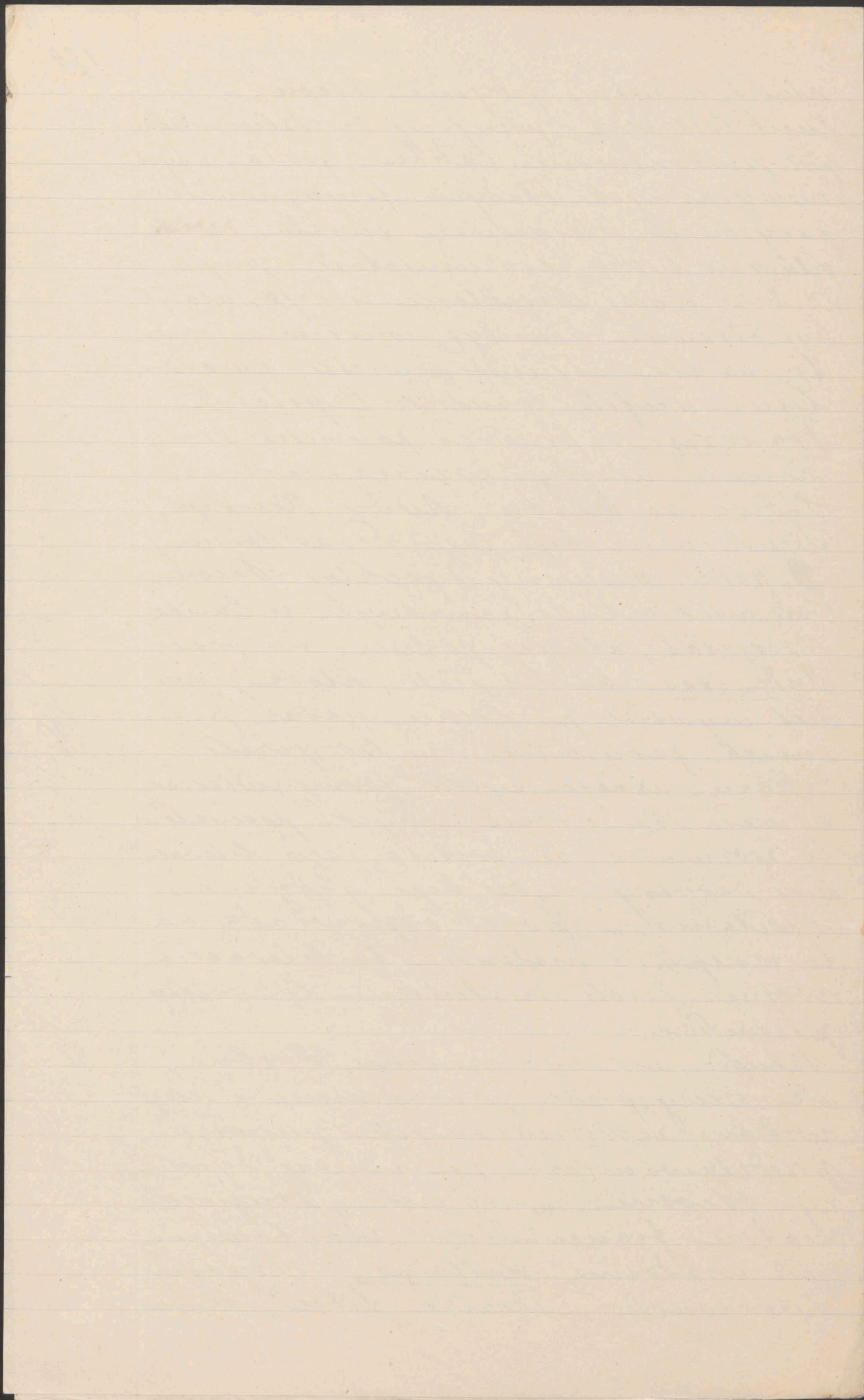

175 / 27

ze towarzysza dodano literata, Pawła Ginisty. || Nie spodziewano się, aby nowy kurs w Odeonie rozpoczął się od wystawienia _Capitaine Fracasse_, morskiego węzła teatralnego, i z nowych dyrektorów. || Nie spodziewano się ani komedyi wierszem, ani mistrzowych wierszy takiego fachowego wirtuoza rymu, jakim jest Bergerat. ||
Powróćmy może do jego sztuki. Na dziś zapiszmy, że następną nowością Odeonu będzie _Don Carlos_ Schillera, o którym dzienniki, jak zwykle doskonale poinformowane, twierdzą, że w oryginale pisany jest prozą. || Francuski tłomacz wprowadził zmiany, usuwając na drugi plan Pozę, sprawę Niederlandów, całą politykę i _Gedankenfreiheit_!

Czy drukować

— —

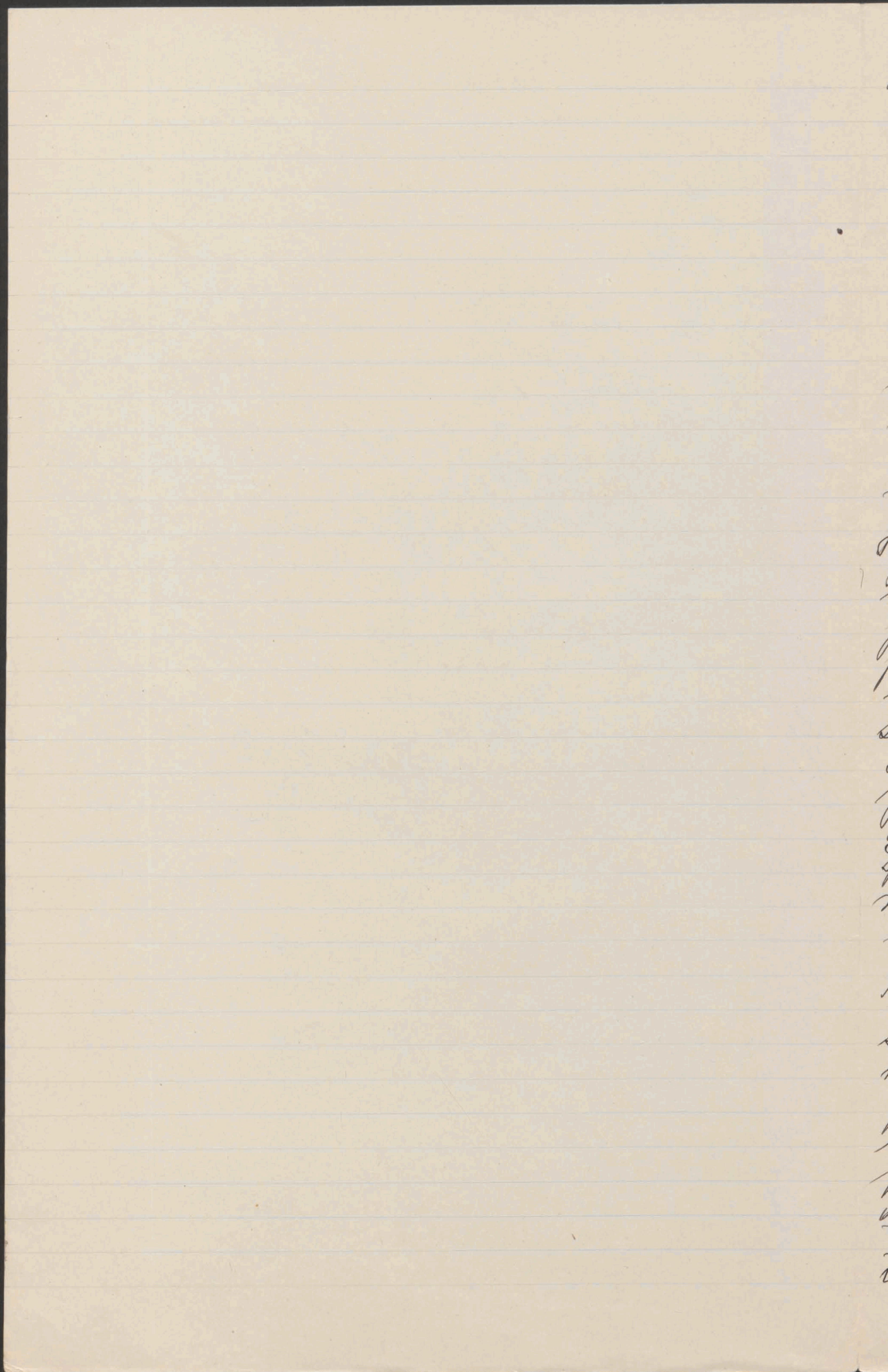

Czas z Wtorku 27 października 1896 r.

Z Paryża piszą nam (A. H.): Alfred de Musset należy, jak Heine do tych poetów, których obcy oceniają lepiej od rodaków. — Najnowsza generacya francuskich literatów, lekceważy oddawna autora Carmosiny. = Inni pisarze romantycznej epoki mają dziś wiele więcej czytelników i wielbicieli. Sława Lamartine'a odżyła na nowo, a Wiktor Hugo nie zamarł jeszcze zupełnie w swoim urzędowym grobowcu w Panteonie. = W tych dniach wyszedł z pod prasy pierwszy tom prywatnej jego korespondencyi, a chociaż się Hugo nie ukazuje tu z nowej, ze świetnej strony, listy stały się przedmiotem ciekawości całego umysłowego Paryża. = Tymczasem zaczyna się objawiać zwrot i ku Mussetowi. Przed carem i carową zagrano jedną z najsłabszych jego jednoaktówek, w Wersalu wygłoszono przed nimi jeden czy dwa jego wiersze. = Zarazem zapowiadają w kilku teatrach wznowienia jego komedyi i dramatów. = Sarah Bernardt przebiera się po męzku i będzie grać tytułową rolę w Lorenzaccio, Odeon przedstawi w ciągu zimy, Andrea del Sarto, a komedya francuska Le Chandelier. = Wśród całego tego Mussetowskiego ruchu ukazały się

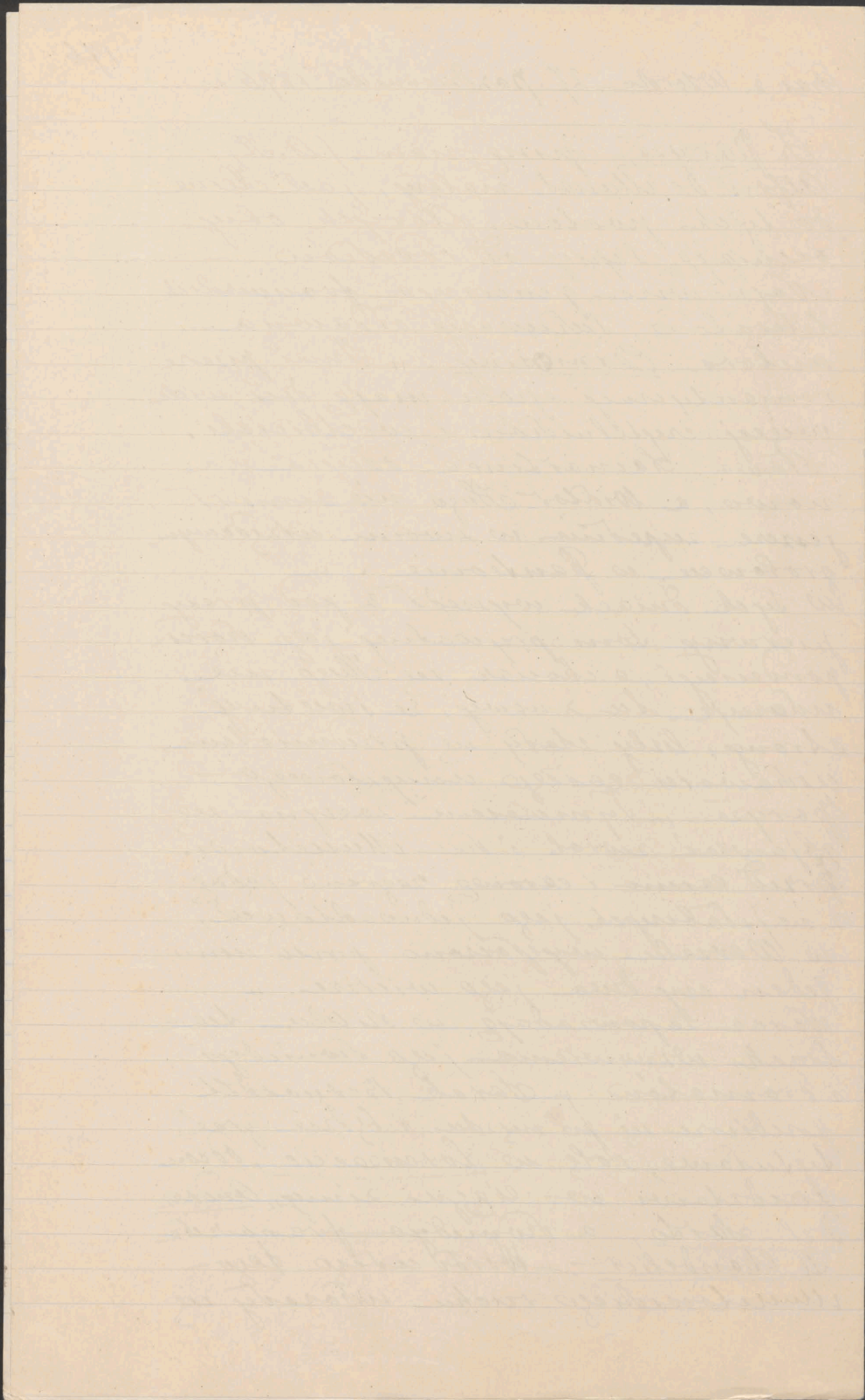

nowe „dokumenta", dotyczące naszego poety, pani George Sand i owego lekarza, który ją w Wenecyi, podczas choroby autora Nocy pociesza. — Zowie się on Pagello i żyje sobie dotychczas gdzieś we Włoszech. P. Paweł Mariéton ogłosił w Echo de Paris niewydane listy pani Sand i urywki z pamiętników doktora. Drobne te wiadomostki zrobiły w Paryżu wrażenie. — Dawniej, za dobrych czasów myślano, że badanie życia wielkiego pisarza ma o tyle pewne uprawnienie, o ile zdoła wyjaśnić jego twórczość.
Dziś biografia stała się własnym, ostatecznym swoim celem. —
Dziś, mniej naiwni od naszych poprzedników, wiemy, że poeci nie na to żyli, aby pisać wiersze, ale poprostu dlatego, żeby potomni mieli sposobność studyować miłosne ich przygody. — Dzieła słynnych autorów, nie mają żadnej wartości w oczach inteligentnego czytelnika, są to tylko dokumenta do biografii, pisanej ku radości i zadowoleniu wszystkich pp: Zołzikiewiczów, zamieszkujących obydwie półkule, naszej nędznej planety. —
Wskazówki p: Mariétona i niedyskrecye p. Pagello, doktora wiecie nawet lekarskich, nie przemogą jednak przeciw pamiętnemu krótkiemu zdaniu Alfreda de Musset, o pani Sand: „Zdradzała mnie, jak zwykła

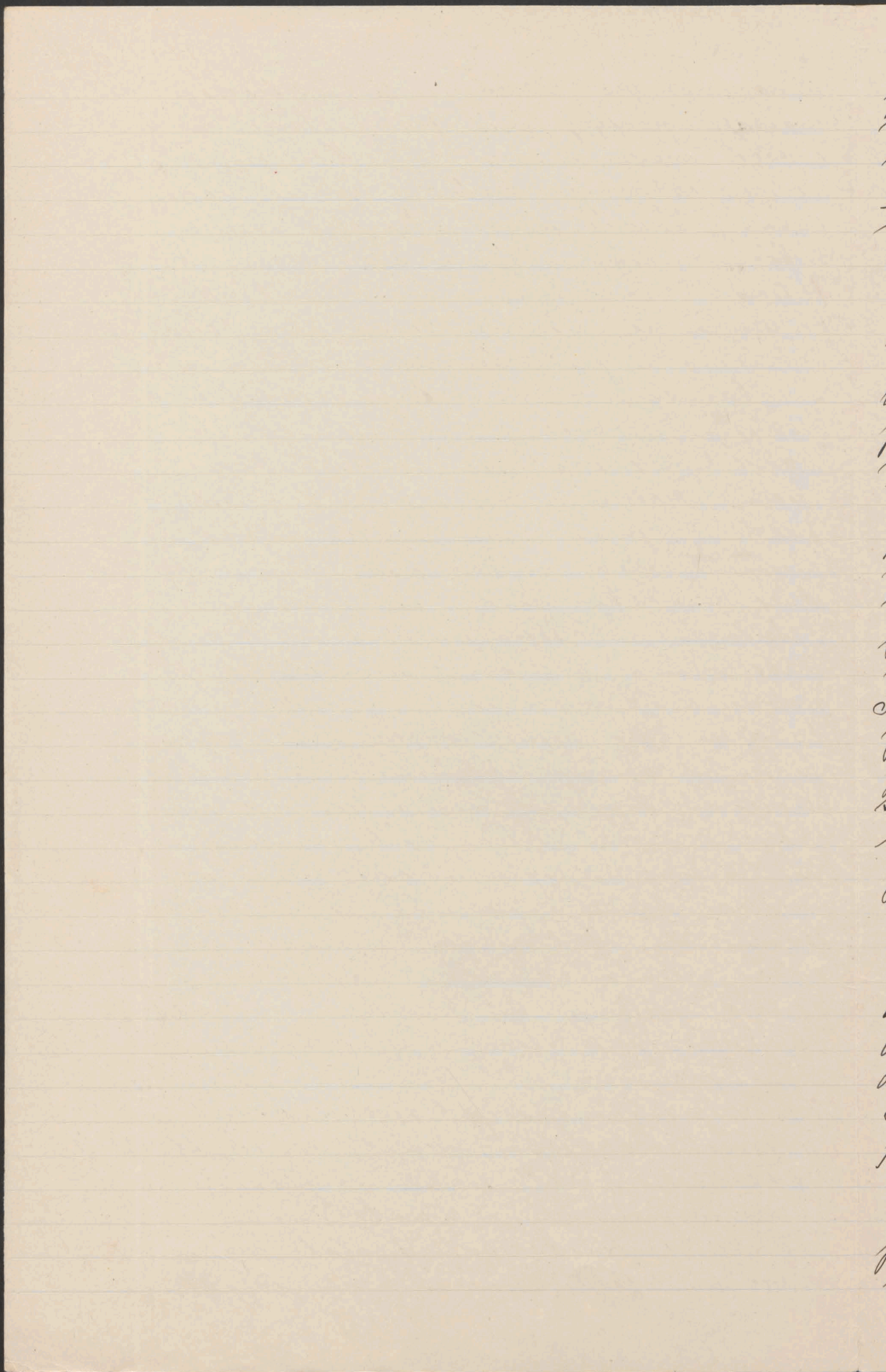

prawda". – A co daleko ważniejsza, nie przeszkodzą nam odczytywać takich utworów, jak Nuit de Décembre, lub Souvenir, nie wyjaśnią nam nic z ich treści, nie zaćmią nic z ich blasku. –

Edward Pailleron, autor słynnego „Świata nudów", odczytał w przeszłym tygodniu dwie jednoaktówki przed komitetem francuskiej Komedyi. Pierwsza z nich, nosi tytuł: Mieux vaut douceur, druga zaś Et violence. Obydwie komedyjki stanowią całość, jakkolwiek i osoby, występujące w nich i fabuła sztuk, jest zupełnie różną. ++ Ciekawym wydaje się nam fakt, że dwóch popularnych, ogólnie uznanych pisarzy dramatycznych, Herman Sudermann i Edward Pailleron, wpadło równocześnie na pomysł wystawienia kilku jednoaktówek, związanych jakąś wprawdzie luźną, a przecież wspólną nicią. +++ Publiczność krakowska zna już Fryca, jedną z trzech sztuk, którym niemiecki autor nadaje łączny tytuł Morituri. ++ Ruchliwa krakowska dyrekcya wystawi zapewne i dalsze dramaciki Sudermanna, a potem przyj[?]dzie może kolej na „dyptyk" Paillerona. Sędziwy francuski komedyopisarz, jeden z członków „nieśmiertelnych" nie zalega dotąd pola." ++ Po odczytaniu wspomnianych jednoaktówek, które przyjęto do grania, przedłożył kilku bliższym znajomym aktorom francuskiego

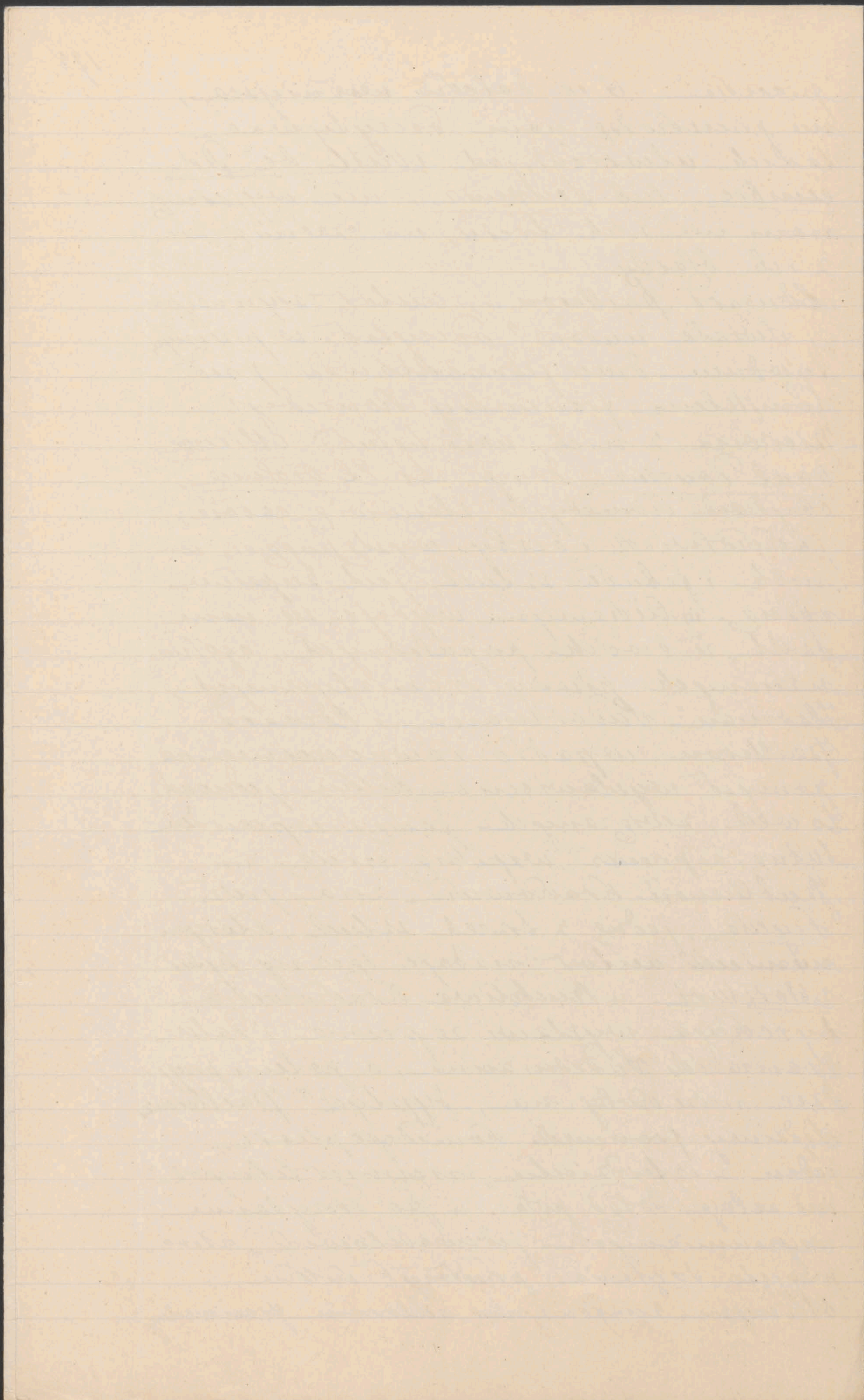

teatru scenaryusz nowej sztuki.”
Oby go wiodła w pracy ta muza, która towarzyszyła stworzeniu „Świata nudów,” a nie ta, której zawdzięczamy „Komedyantów,” (Les Cabotins), trzeciorzędny dramat czy melodramat, który ani na scenie Comédie Française, ani na deskach letniego teatru w Warszawie nic prócz znużenia, nudów i sarkań nie wywołał. —

Czy drukować?

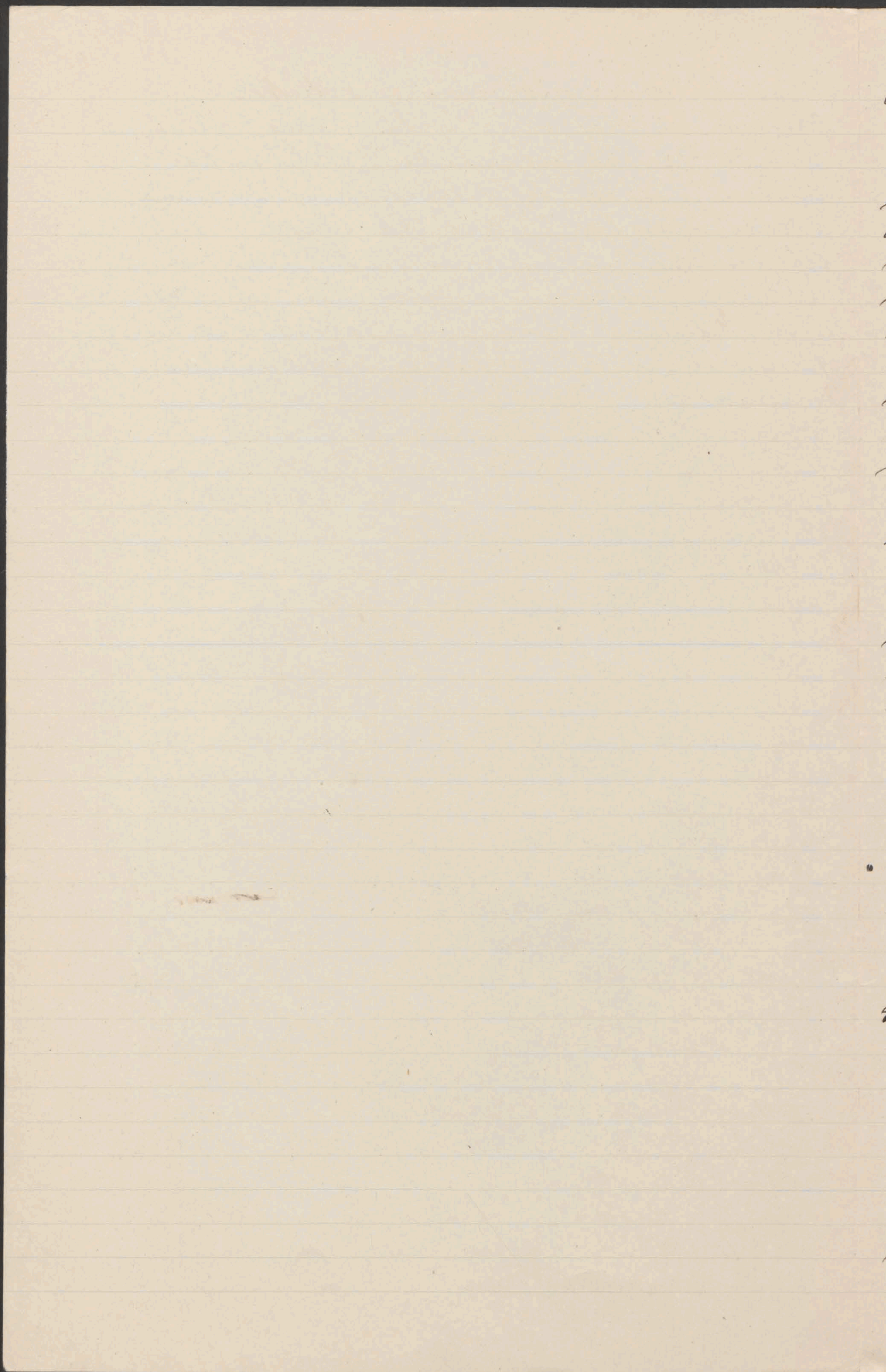

Czas z Niedzieli 15 Listopada 1896 roku. –

<u>Z Paryża</u> piszą nam: (A. H.)
Tutejsze teatralne sfery, i teatralne dzienniki zajmują się zwłaszcza losami Odeonu. — Po kilkutygodniowem wspólnem działaniu dwaj dyrektorowie subwencjonowanej sceny, doszli do takich różnic w zapatrywaniach, a następnie do tak silnej wzajemnej nienawiści, że jeden z nich podał się do dymisyi. — Kierownikami „drugiego francuzkiego teatru" są jak wiadomo, od jesieni p. Antoine, który niegdyś stworzył słynny <u>Théâtre libre</u> i wywarł tem samem ogromny wpływ na najnowszą dramatyczną literaturę oraz p. Ginisty, literat, do niedawna zawsze gotowy bronić i dzisiejszego wspólnika i najświeższych kierunków w piśmiennictwie. — Wystarczyło zaprzędz tych dwóch przyjaciół do jednej roboty, aby ich rozdwoić. P. Ginisty nie mógł wytrzymać z kolegą w dyrekcyi i prosił o zwolnienie z obowiązków. — Sprawa oparła się o ministeryum, gdzie chwilowo załagodzono spory. — P. Ginisty został samodzielnym dyrektorem, a p. Antoine kierownikiem sceny. — Innemi słowy literatowi powierzono wybór sztuk, aktorowi zaś reżyseryę. Nadto udzielono byłemu przywódcy, byłego <u>Théâtre libre</u>, niejako urlopu, o który podobno nie prosił. —

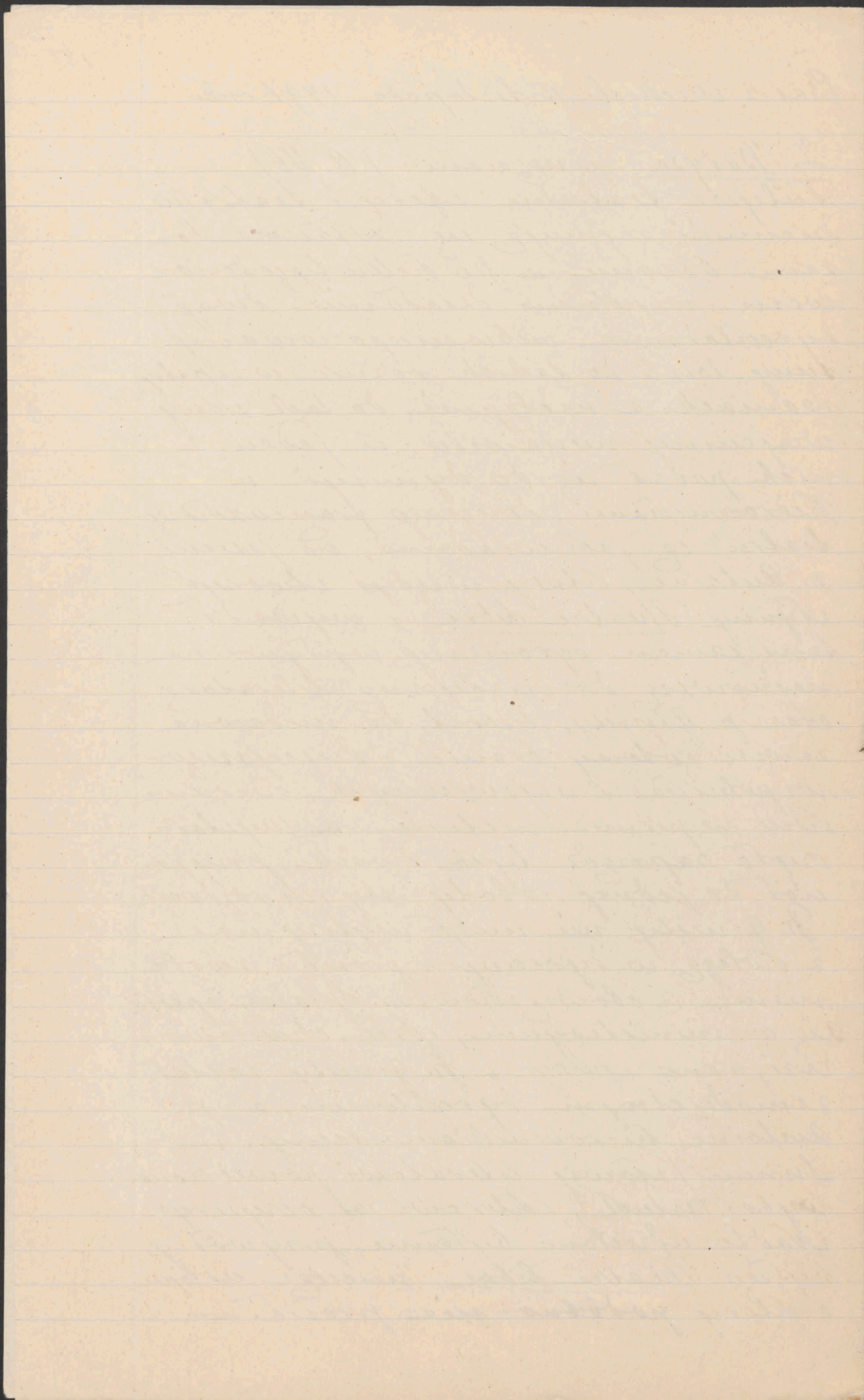

Wygląda to na rodzaj kary i przypomina wygnania z Wersalu, za czasów Ludwika XIV. W kołach dobrze poinformowanych utrzymują jednak, że Ginisty nie da sobie rady ze sceną i że Antoine wróci z urlopu, jako pan i samodzierżca „Odeonu". Dotychczasowa działalność dyrekcyi tego teatru nie zaznaczyła się niczem prócz rozgłośnych osobistych waśni.

Pierwsza wystawiona sztuka *Capitaine Fracasse* Emila Bergerat zrobiła kompletne fiasco. Nie mogę wam o niej obszernie pisać, bo uciekłem po drugim akcie; „w teatrze — mówi który z paryskich krytyków — ziewanie jest także opinią."

To com widział było nietylko nudne, pod względem literackim śmieszne, ale i źle wystawione, źle grane. Dekoracye, sprowadzone z Londynu, wydały mi się wprost dziecinnemi. Każdy teatr niemiecki przyzwyczaił nas do wiarogodniejszej wystawy, a nasz krakowski p. Spitziar nigdy nic równie słabego nie wymalował.

— Drugą sztuką był *Don Carlos* Schillera grany bez żadnego zrozumienia niż niemieckiego dramatu. W Odeonie nie wygłaszają tyrad, ale je krzyczą, nie mówią, ale wyją i ryczą naprzemian. Jeden tylko stary aktor, Taillade, oddał poważnie postać inkwizytora. —

O trzeciej sztuce, o *Persach* Aischylosa powiem później. Grano ją

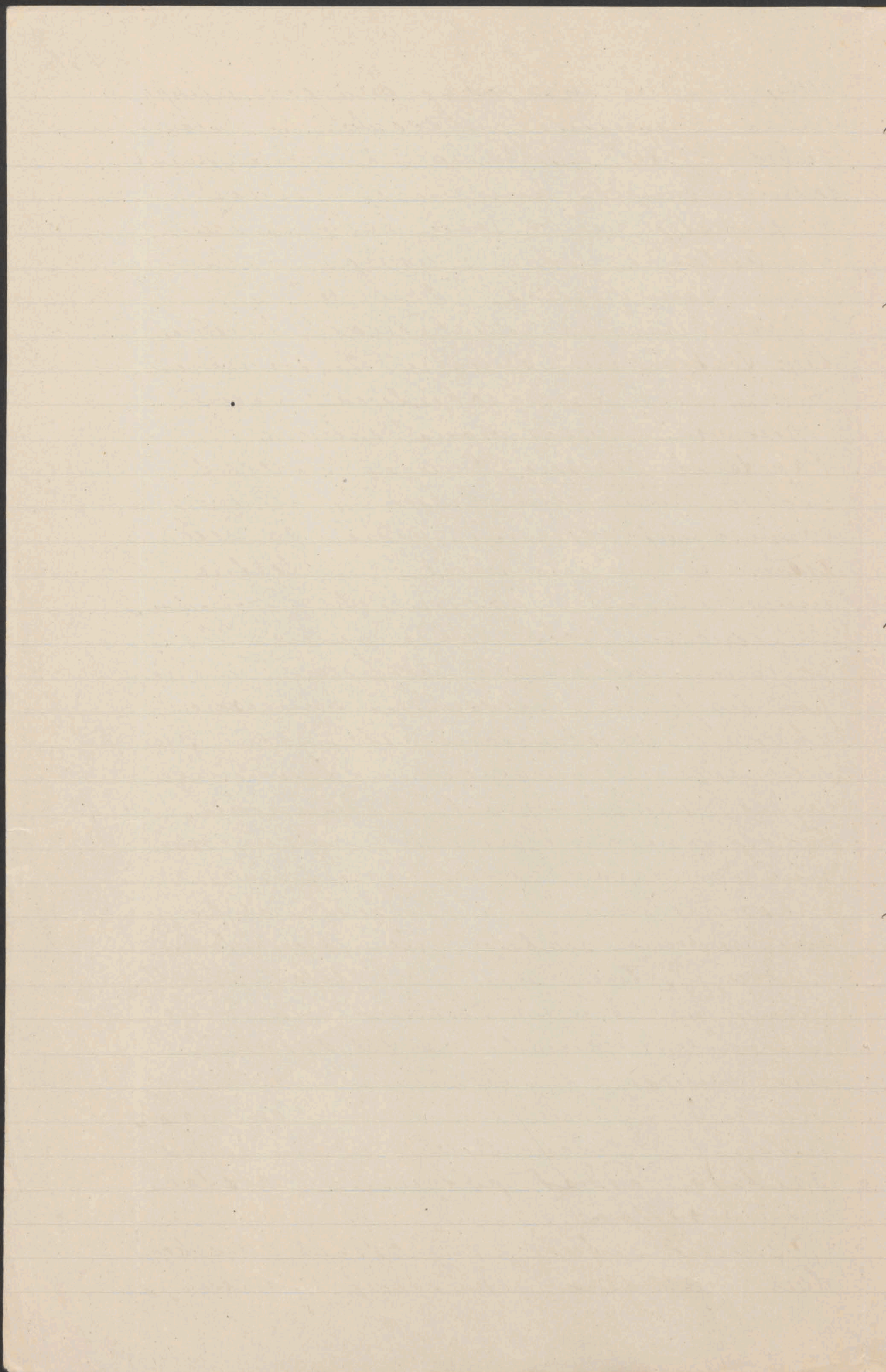

dości dopiero dwa razy. Za pierwszym razem poprzedziła je odczytem pani Dieulafoyowa (Dieulafoy), słynna ze swych studyów i wykopalisk w Małej Azyi. — Podczas podróży na wschodzie przywykła uczona dama do noszenia męzkiego ubrania, a za osobnem pozwoleniem nie zdjęła go i w Paryżu. — Z deseń Odeonu przemawiała więc owe fraku.... Strój prelegentki miał być, jak słyszę, największą atrakcyą odczytu.

O innych paryskich teatrach, nie mam wiele do zanotowania. — Ukazała się wprawdzie ciekawa, psychologiczna sztuka Les Bienfaiteurs, ale jak to Francuzi tłoczy zaraz przepowiedział upadek tak, prędko, że nie miałem czasu przekonać się osobiście o jej wartości. — I stary krytyk zaliczał pewno tę komedyą rangą, bo była zanadto literacką, zanadto dobrze pisaną, oderwaną, nie dość obliczoną na efekt, nie dość sceniczną. — Coquelin, który jest w swoim teatrze wyłącznikiem, zwrócił się teraz do melodramatu do dzieła owego d'Ennery, autora drugiej sztuk teatralnych, którem zawdzięczamy Dwie sieroty, a p. Wojnowicza jedną ze swych ról najlepszych i najbardziej realistycznych. —

Obydwie sceny muzyczne Grand Opera i Opera Comique postanowiły rywalizować tej zimy ze sobą, wystawiając

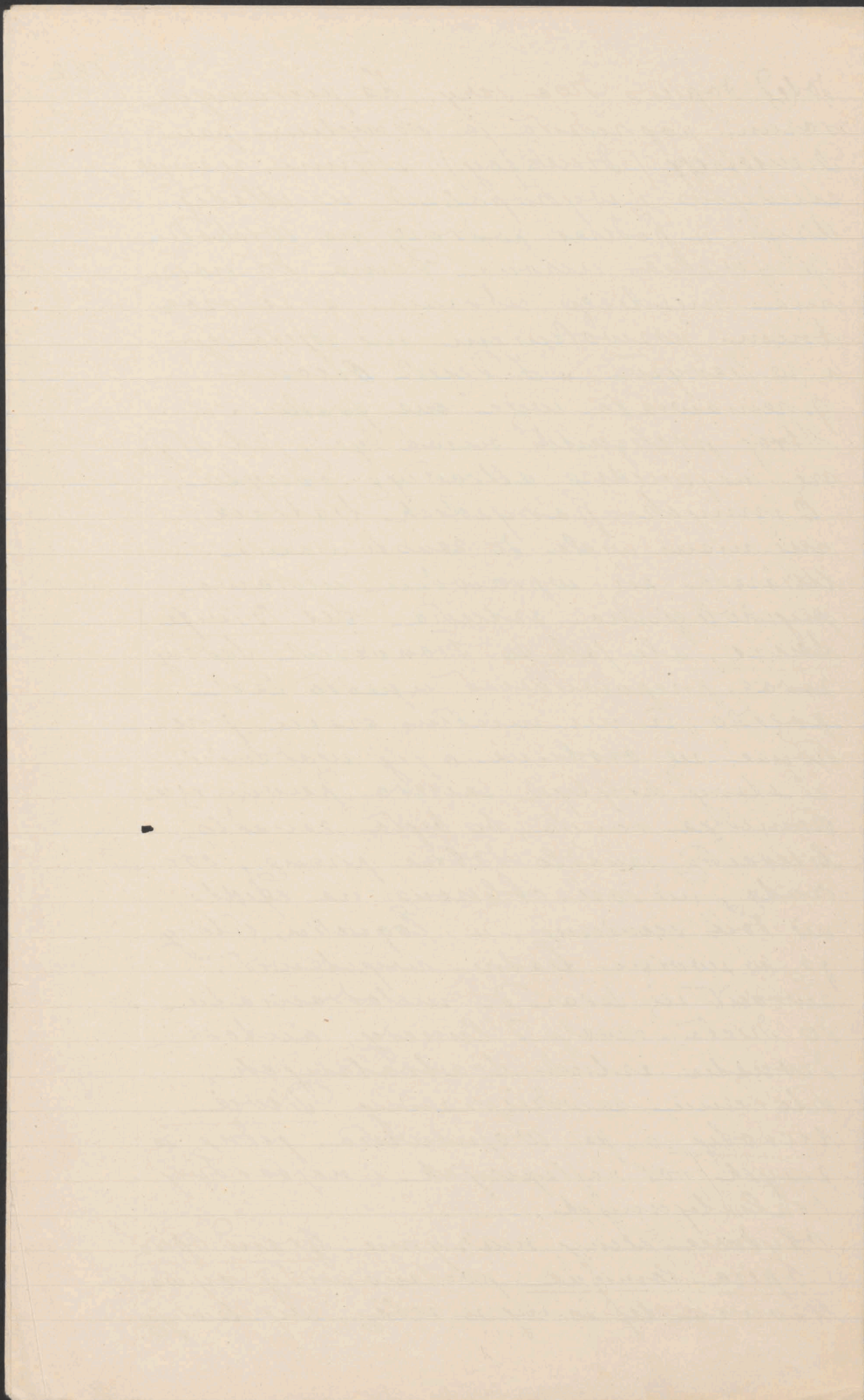

Don Juana — pierwszy z tych teatrów gra już od dwóch tygodni to dzieło, które Gounod ogłosił niegdyś za najwyższy artystyczny wytwór ludzkiej duszy. — Ale w Académie nationale de musique — tak zowie się oficyalnie wielka opera paryska — grają dramma giocoso Mozarta, według dawnego, francuskiego układu t.j. w pięciu aktach.
Salzburski mistrz napisał tylko dwa... — Zapełniając, a podobno i przepełniając dzieło tańcami, wyjętemi z niescenicznych dzieł autora, zdołali tutejsi reżyserowie udoskonalić, „zaokrąglić" utwór.)
(Balet przeważa i zwycięża, panna Hirsch zaćmiewa w Paryżu Mozarta. Natomiast w Opéra comique mamy niebawem ujrzeć prawdziwego Don Juana w dwóch aktach. — Nie można wprawdzie przypuszczać, aby p. Carvalho wystawił operę z tą czcią dla zamiarów kompozytora, której każdy niemiecki teatr daje ciągłe dowody, mimo to wolno się spodziewać, że całość wypadnie bardzo dobrze. — Tytułową rolę ma śpiewać taki artysta, jak Victor Maurel, a Zerlinę, pani Delna. Jest to arcypoważna śpiewaczka. Słyszałem ją tylko raz, ale słyszałem ją w Orfeuszu Glucka. —

A chociaż znam ten muzyczny poemat z wielu scen niemieckich, austryackich i włoskich, muszę przyznać, że p. Delna, nie dorównywująe—

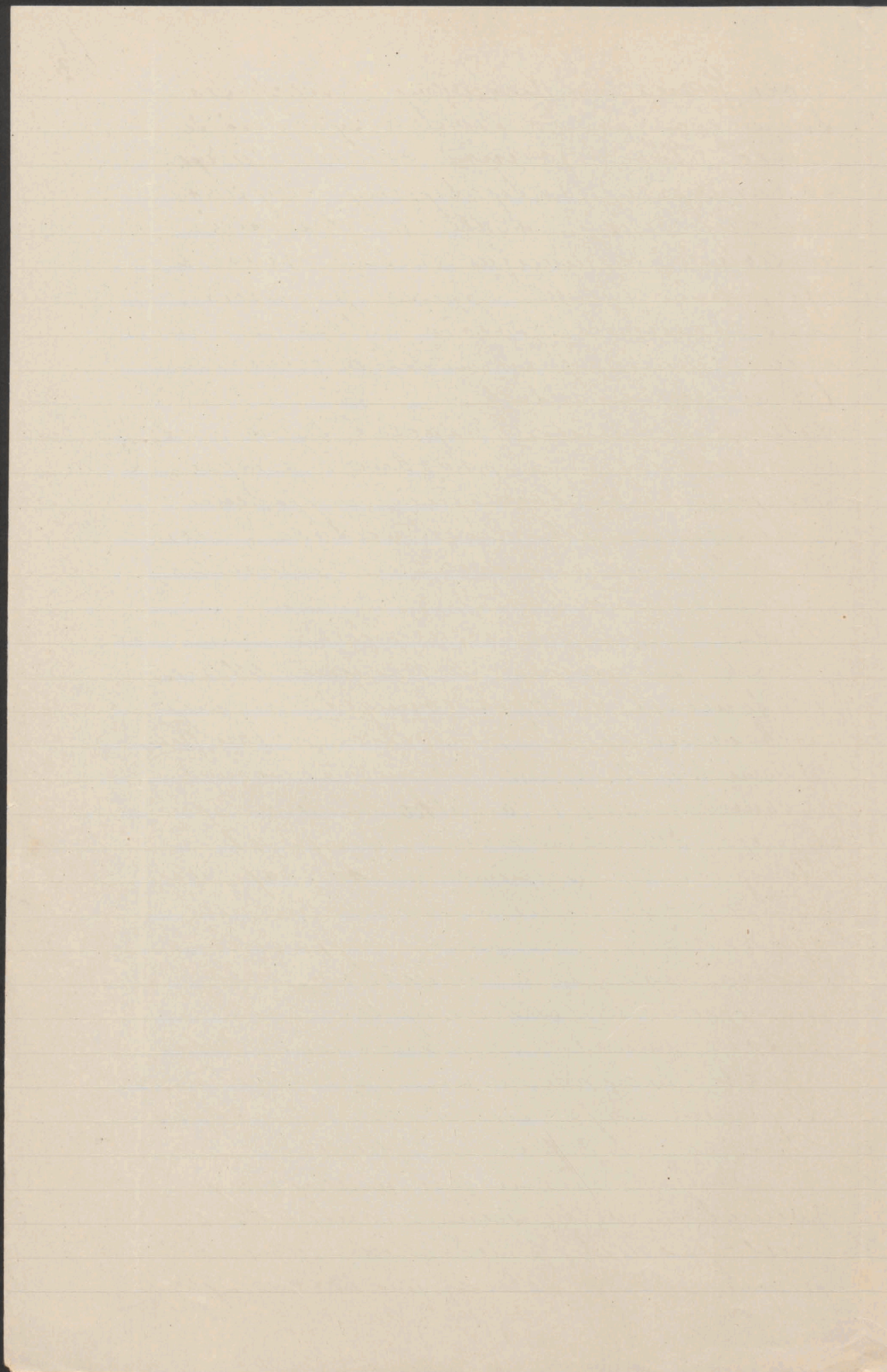

ani wiedeńskiej Rosa Papier, ani
zwolenniczka amerykańska Hastreiter,
która przed siedmiu laty zachwy-
cała Rzym, może się liczyć do wy-
bornych wykonawczyń ogromnej
i wspaniałej roli, która nie tylko
potężnego głosu, ale i gry, potężnej
gry wymaga. — Gdyby wielka
arya *Che farò senza mia Euridice*
stała wyrazem i siłą na wysokości
innych ustępów, dzieła byłaby
zupełnie znakomitym *Orfeuszem*, Czy doda-
wać?

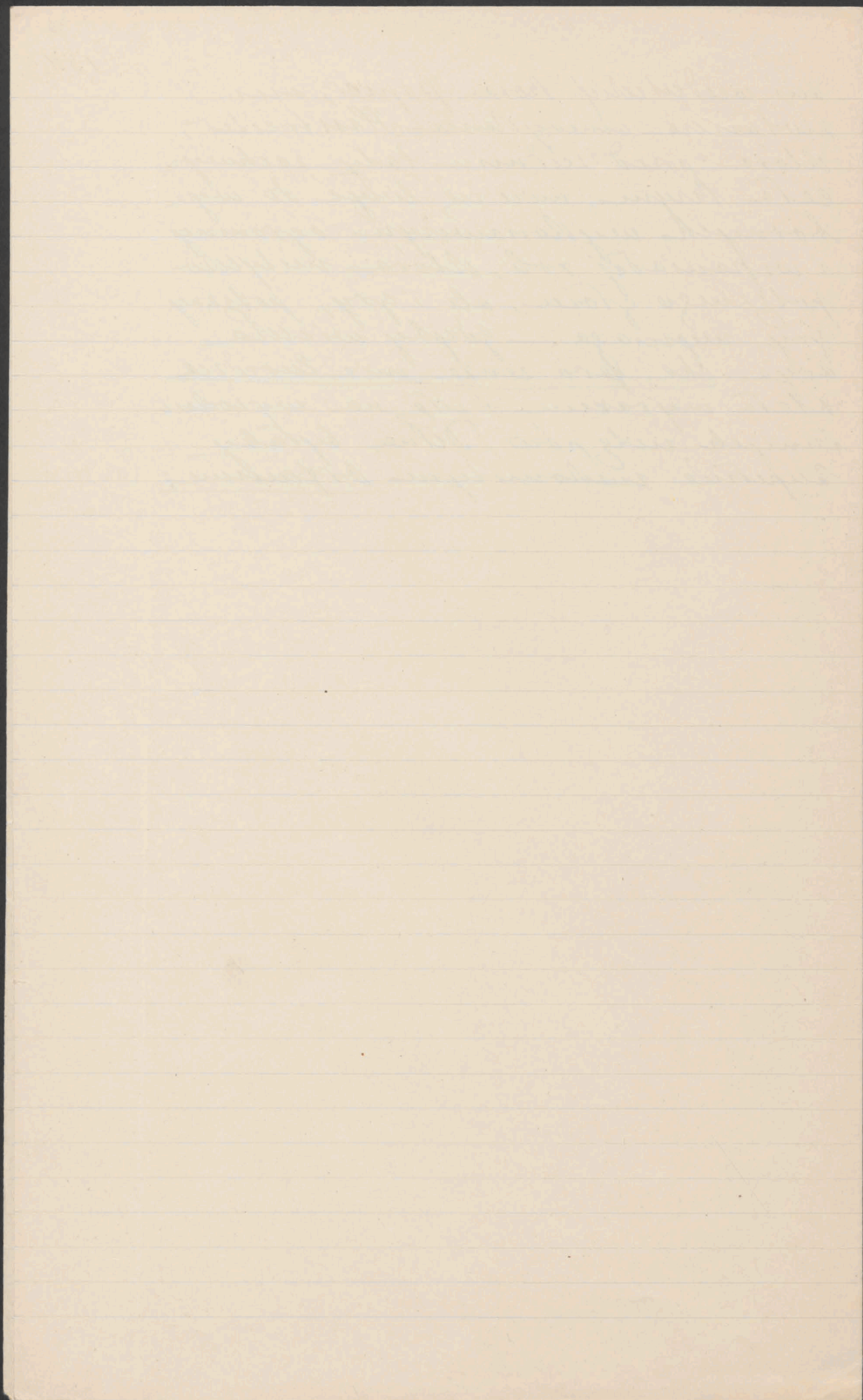

Czas z Wtorku 1 Grudnia 1896 r. —

Ruch artystyczny i umysłowy.

Z Paryża piszą nam: (A. R.).

Stało się! Antoine podał się do dymisyi i w liście pełnym taktu, wystosowanym do ministra oświaty, wyłożył powody, które go zmusiły do tego kroku. — Połowa prasy stoi dziś po jego stronie, druga podnosi zasługi jego dotychczasowego wspólnika, p. Ginisty, który odtąd obejmie na własną rękę kierownictwo Odeonu. — Głosy dzienników paryskich są zbyt burzliwe i zbyt niezgodne, za mało w nich czuć uczciwości, za dużo osobistych uprzedzeń, aby można było coś wywnioskować z tak niesfornego koncertu. — Muszę więc mówić o wdzięcznych wrażeniach, wyniesionych z „drugiego francuskiego teatru.”
Po niefortunnym „Don Carlosie” dano abonentom wcale dobre przedstawienie „Persów” Aischylosa, do których Jan Richepin napisał prolog, zawierający parę ślicznych, natchnionych ustępów.
Mówiła go znakomicie pani Segond-Weber. — Dekoracya musiała razić ludzi najmniej obznajmionych z prawami doryckiego budownictwa, chórzyści deklamowali głosami

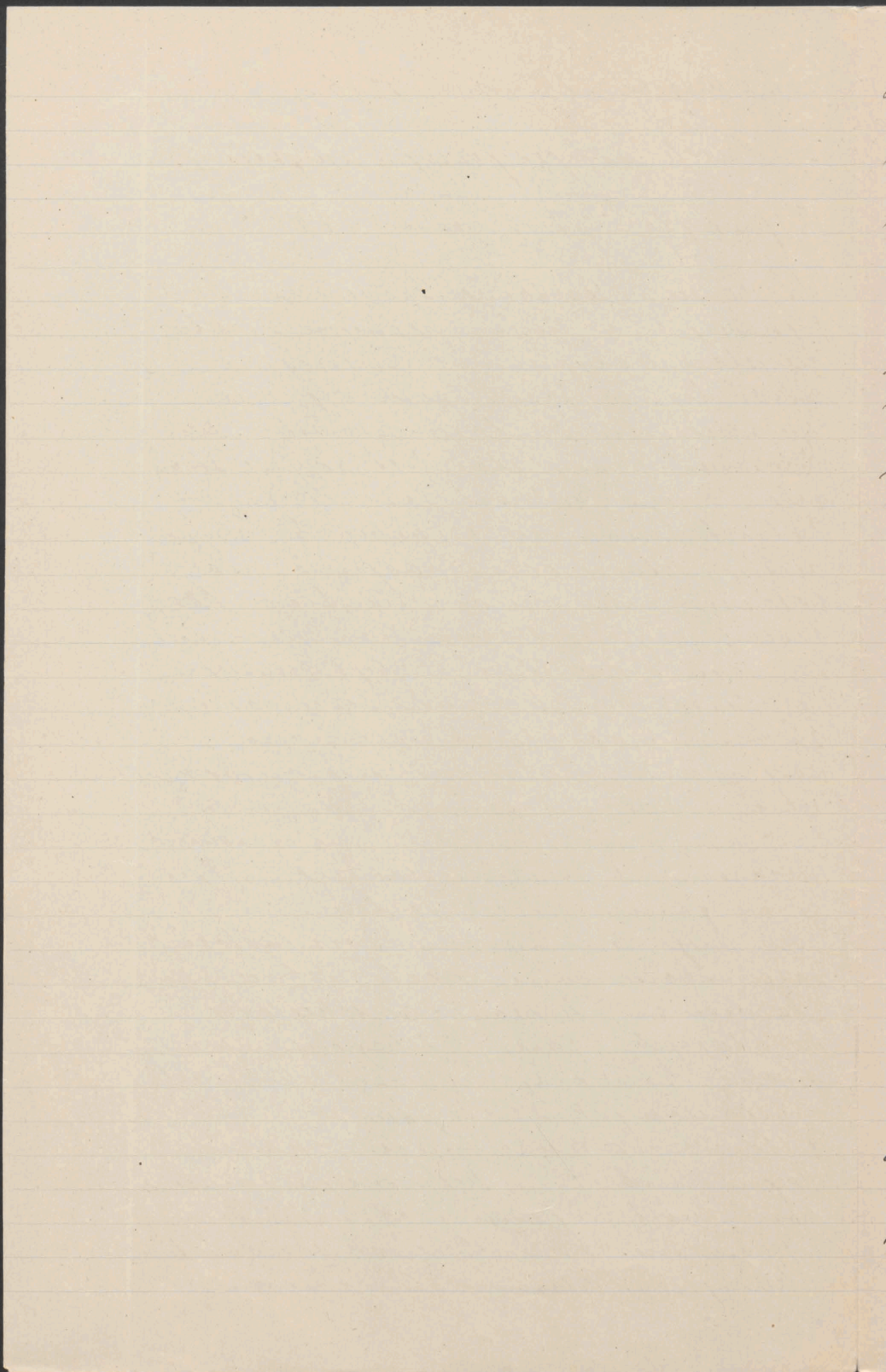

donośnym, ale bez zrozumienia, p. de Max, który grając tytułową rolę w „Don Carlosie" przyczynił się w znacznej części do niepowodzenia sztuki, był znowu z tym Kserksesem.

Ale Taillade w roli Dariusza a zwłaszcza pani Tessandier jako Atossa dowiedli raz jeszcze, że wśród ludzi romantyków nie zaginęło poczucie klasyczności. Było to wszystko raczej rzymskie niż ~~[illegible]~~ hellenskie, ale nie brakło stylu ni powagi.—

Tessandier czy Tessardier

p. Tessandier w charaktery zdawała się nadto wybornie.— Miała odwagę wyjść z ramy przedstawienia, wystąpić w stroju wschodnim, pełnym świecideł i przepychu.— Wolno to uczynić artystce, która umie tak szlachetnie mówić, i tak żałośnie zawodzić, artystce posiadającej prymiat rzadki u francuskich, stylowych aktorów: własną indywidualność.—

Inne popularne utwory Odeonu zasługują również na pochwałę: widziałem „Les Précieuses Ridicules" Molière'a, „La Folie amoureuse" Regnard'a wreszcie „Tartuffe'a"— widziałem te trzy sztuki w niezłej obsadzie, grane poprawnie, z werwą z charakterem ~~[illegible]~~. Postać Świętoszka wyszła nawet znakomicie w grze p. Chelles.—

Mimo to uroda, jak gdyby współudziału Antoine'a, uroda jego

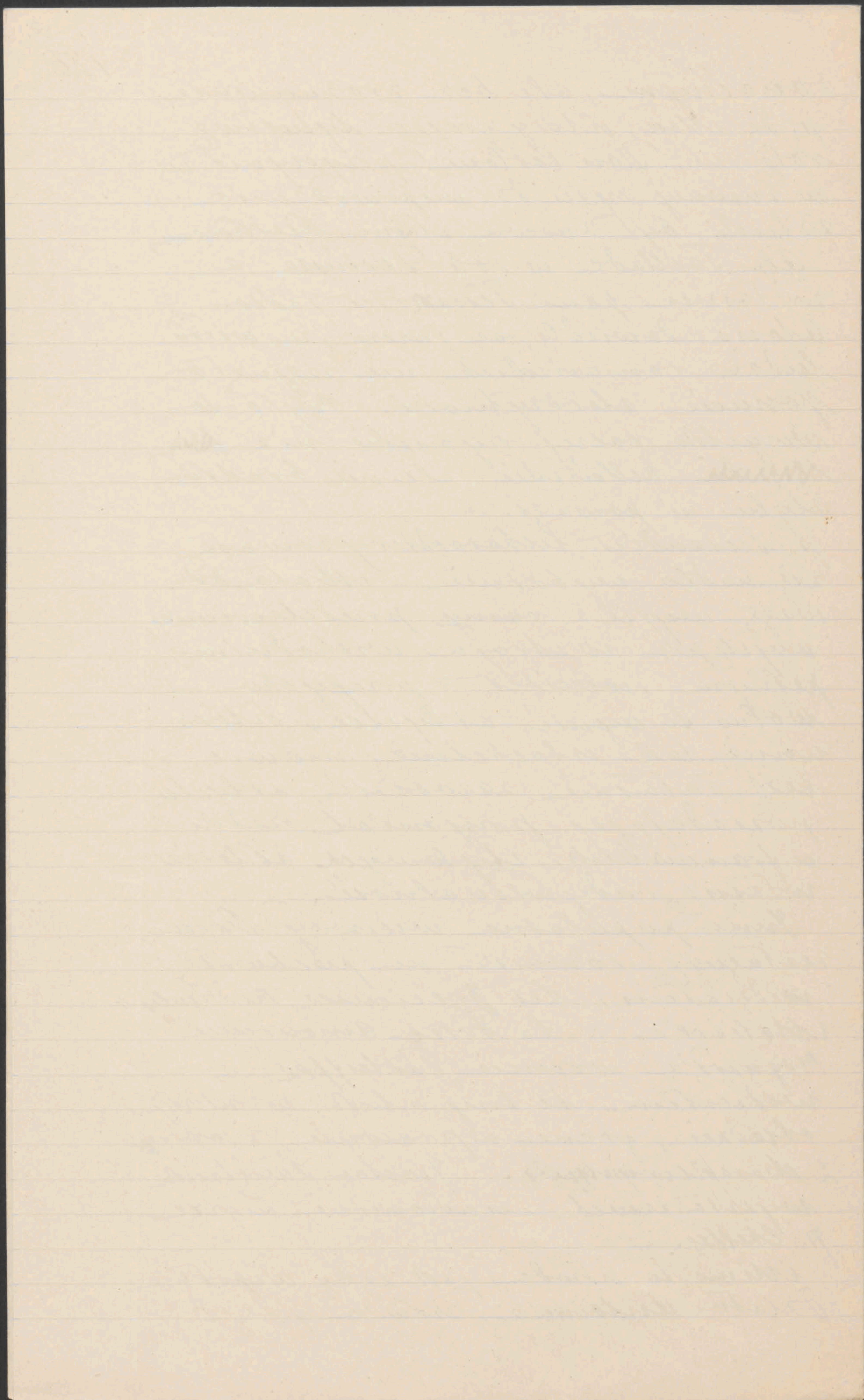

świeższych poczuć i pojęć nowożyt-
nych. — On jeden byłby być może
wytłomaczył aktorom, że w chwilach
najsilniejszego uczucia ludzie nie
zawsze krzyczą, że Makbeth szeptał,
mając wymówić „Amen". —
Antoine wstąpił podobno jako
aktor, do trupy, z którą impresario
de Glaser zamierza jeździć po stoli-
cach Europy. Stało się, nie zobaczy-
my w Odeonie sztuki nowszego
kierunku i jeżeli d'Ennery napisze
jakie dzieło równie poważne jak
np. „L'école des veufs", to ujrzą je
w Petersburgu albo w Kopenhadze,
ale nie tu... „Peer Gynt" Ibsen'a
spotkał się zresztą — przed dwoma
tygodniami — z apriorystyczną admi-
racyą mieszkańców Monmartre
i ze sceptycznem podrwiwaniem
Paryża. — Jak ten stary „wujaszek"
całego artystycznego świata, ognisty
smok stojący na straży tradycyi,
jak ten Francisque Sarcey tryumfuje!
Pisząc z Paryża, popada się łatwo
w jednostronność i wspomina jedynie
o teatrach. — Przejdźmy więc do nau-
kowych i artystycznych studyów.
P. Lucyan Magne, profesor tutejszej
szkoły sztuk pięknych, należy do
najsłynniejszych badaczy architektury
starożytnej. — Kiedy rząd grecki posta-
nowił uchronić od ostatecznej zagłady
Partenon, którego ostatnie trzęsie-
nie ziemi wyrządziło nowe szkody,
zwrócono się z Aten do kilku uczonych

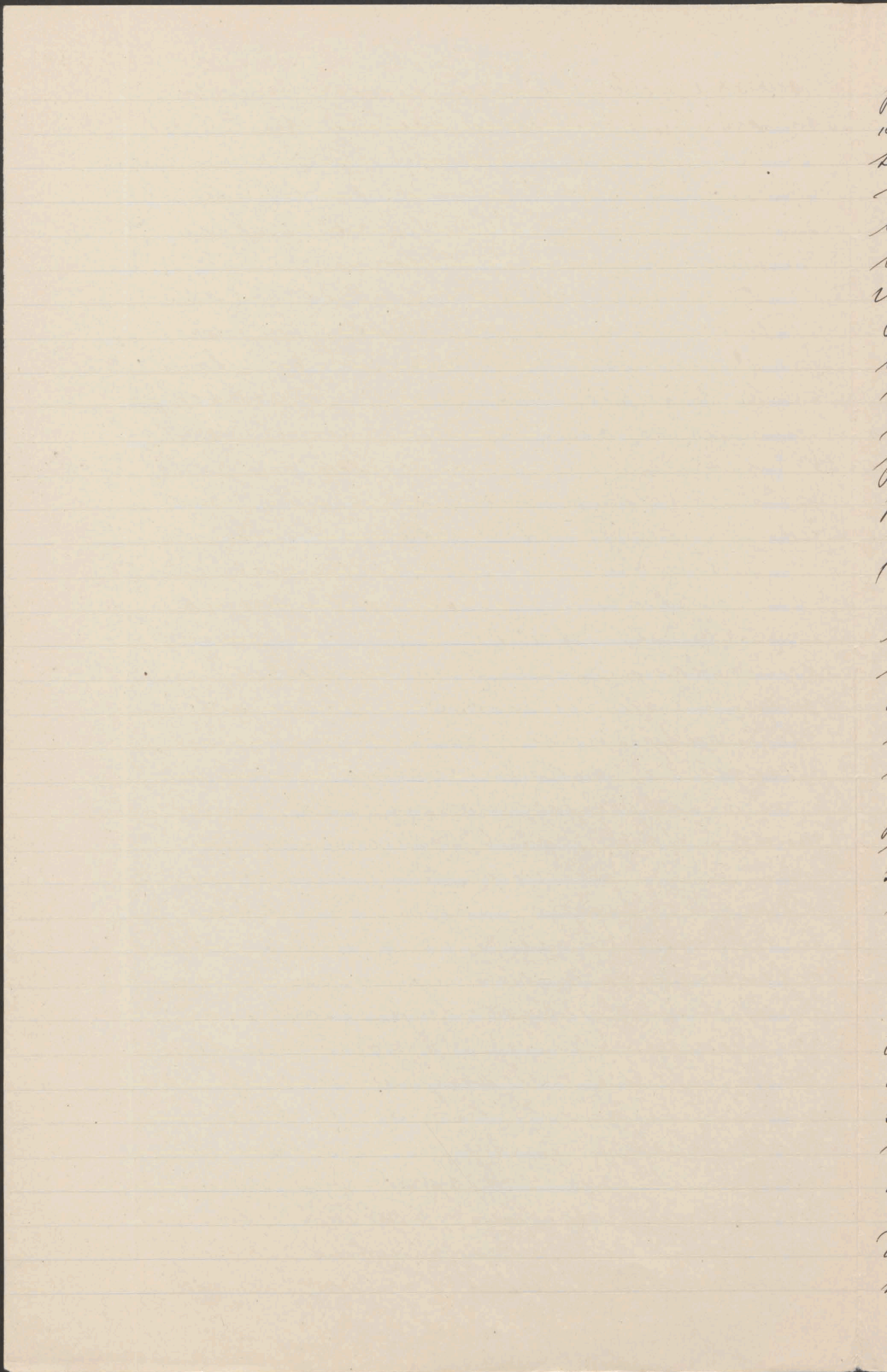

przebywających, jak tam mówią w „Europie". Podobno Grecy uważają się do dziś dnia za lud wschodni, niemal azyatycki i nazywają „Europą" to, co my zowiemy „Zachodem". Wezwano więc między innymi Niemca p. Durm'a z Karlsruhe, autora pierwszorzędnej książki o budownictwie Hellenów, opatrzonej w liczne rysunki i plany gmachów, wykonane przez samego autora. Przywołano również p. Magne, który, podobnie jak niemiecki kolega, włada i piórem i ołówkiem.) Ze swej podróży do Grecyi przywiózł on szereg zdjęć i widoków starożytnych gmachów, i wystawił je w tej chwili w Trocadero, w salach odlewów z rzeźb francuskich. Widzimy tam pełno akwareli, świadczących nietylko o archeologicznej biegłości, ale i o malarskim talencie pisarza. Niebawem by zdobyć sławę poważnego historyka sztuki, wypadnie być i kawałkiem artysty. Wiedza na tem pewno nie nie straci.

Prywatne wystawy rzeźb i obrazów nie otworzyły się jeszcze dla publiczności. Tylko stowarzyszenie „Ste" pozwala nam obejrzeć dwadzieścia kilka rycin, rysunków i afiszów. Są to rzeczy ciekawe, śmiałe, ale już nie nowe. Wytworzyła się dawno idealistyczna moda, wytwarza się teraz szablon archaizujący i stylowy

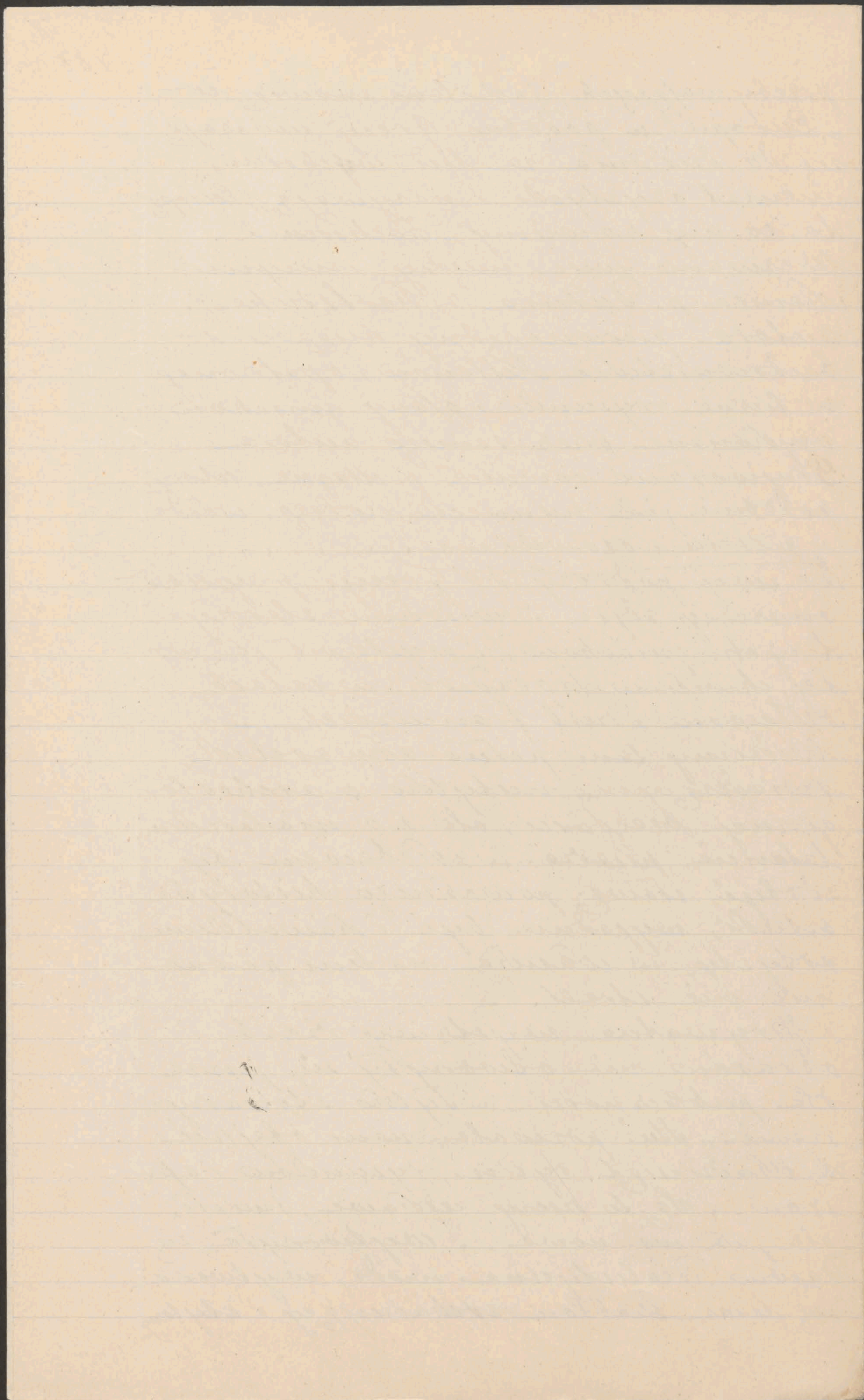

Z drugiej strony odzywa się zamiłowanie do tematów bolesnych, które mają przerazić tłum i zgorszyć filistra. „Któż wie, czy nie najlepsze są dwa rysunki Sattlera owego Niemca, który się zżył z Dürerem, zapatrzył na niego i dzisiaj w Niemczech takiej sławy używa, a jednak — mojem zdaniem — jest dotychczas tylko epigonem, człowiekiem, który zbiera u publiczności te laury, które się artystom głębszym od niego należą. Mam tu zwłaszcza Maxa Klinger'a na myśli." —

Na zakończenie zapiszmy rzadki fakt przekład polskiej książki na język francuski. I dodajmy, że dziełko zasłużyło sobie na ten dowód uznania zagranicy. — powieść p. Zofii Urbanowskiej p.t. „Księżniczka" powieść napisana dla panien, jest u nas, a zwłaszcza w Warszawie bardzo cenioną i czytaną powszechnie. „La princesse" tłomaczona przez M. Lodiani, ukazała się nakładem firmy Armand Colin i Sie, która nie pierwszy już raz wpisuje na okładce książki uwagę: pour les jeunes filles. —

P.S. I znowu muszę wrócić do spraw scenicznych. Sara Bernhardt która teraz występuje w tytułowej, męzkiej roli w „Lorenzaccio" Musset'a, będzie potem grać nową trzyaktową sztukę Wiktoryna Sardou pod tytułem „Spiritisme." —

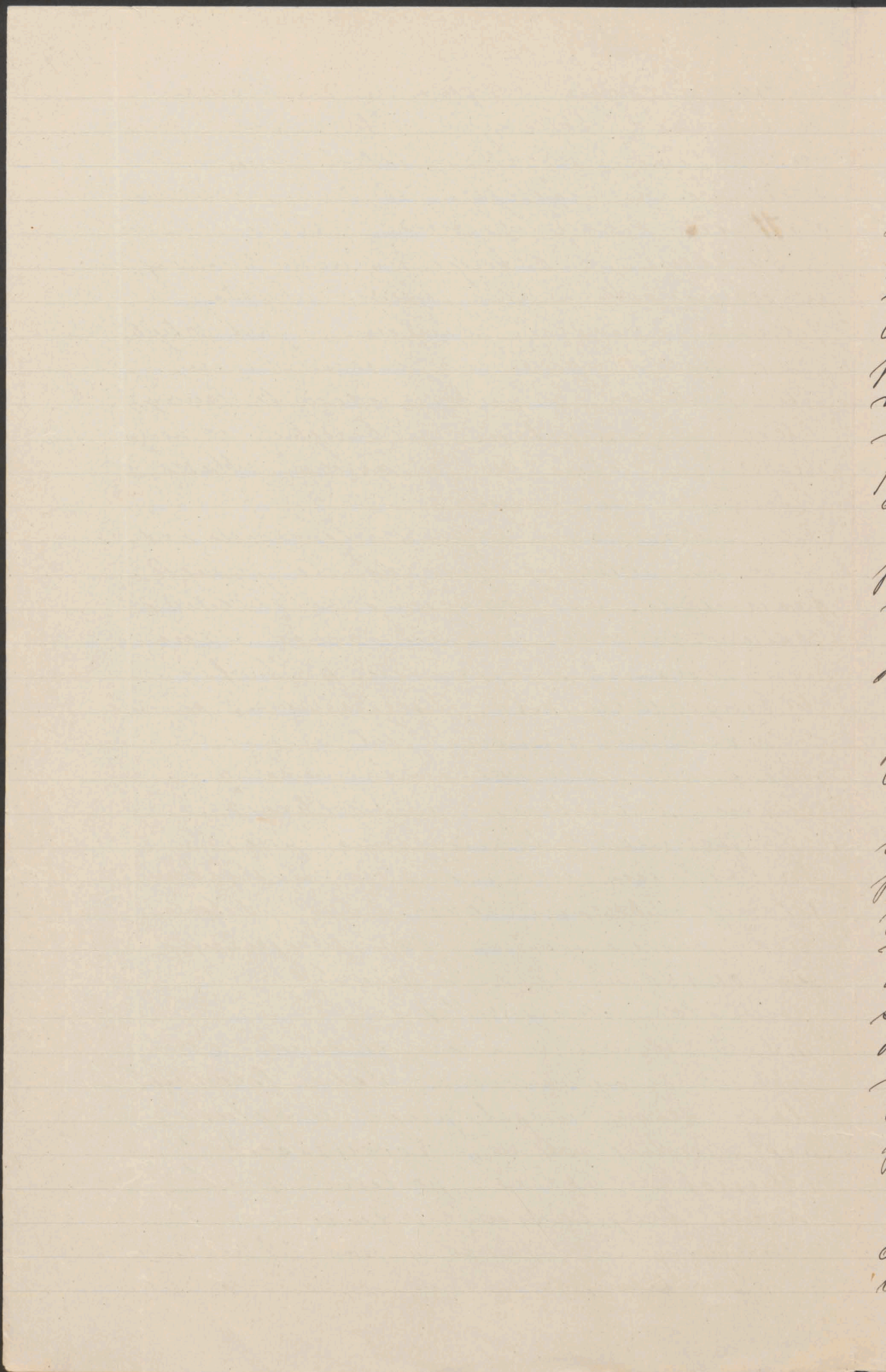

Czas z Niedzieli 6 Grudnia 1896 roku.

Z Paryża piszą nam (A. Sz.): Panna Wanda de Boncza (Rustkowska) rozpoczęła występy na scenie „Komedyi francuskiej,” jako Kamila w „On ne badine pas avec l'amour” Alfreda de Musset. = Młoda i niezwykle piękna artystka spotkała się z uznaniem, które się jednak nie zamieniło na tryumf. Rodzice jej są podobno jeszcze polakami, ale utalentowana aktorka jest już, jak szyszę, Francuzką. Do Konserwatoryum weszła z zamiarem poświęcenia się muzyce, potem postanowiła próbować szczęścia na deskach. Wystawszy najwyższą nagrodę szkoły dramatycznej, występiła zrazu w Odeonie, zdobywając sobie podlask publiczności i sympatyę prasy. = Obecnie gra na scenie, która – słusznie czy niesłusznie uchodzi za pierwszą w Europie. = Sądząc z jej Kamilli, przypuszczam, że nie powinnaby przedstawiać poetycznych, zmiennych, zawsze nieco fantastycznych kobiet Musseta. = Tragiczny wyraz twarzy, surowy charakter jej piękności, pewna skłonność do deklamacyi usposabiają ją raczej do ról Corneillea, do wielkiego repertuaru. Prasa wyraża się o niej przyjaźnie, ale bez entuzyazmu. = Walery dodaje, że otoczenie nie bardzo pomagało artystce. = Nie wiem, które z dwóch uczuć, które się we mnie budzą jest

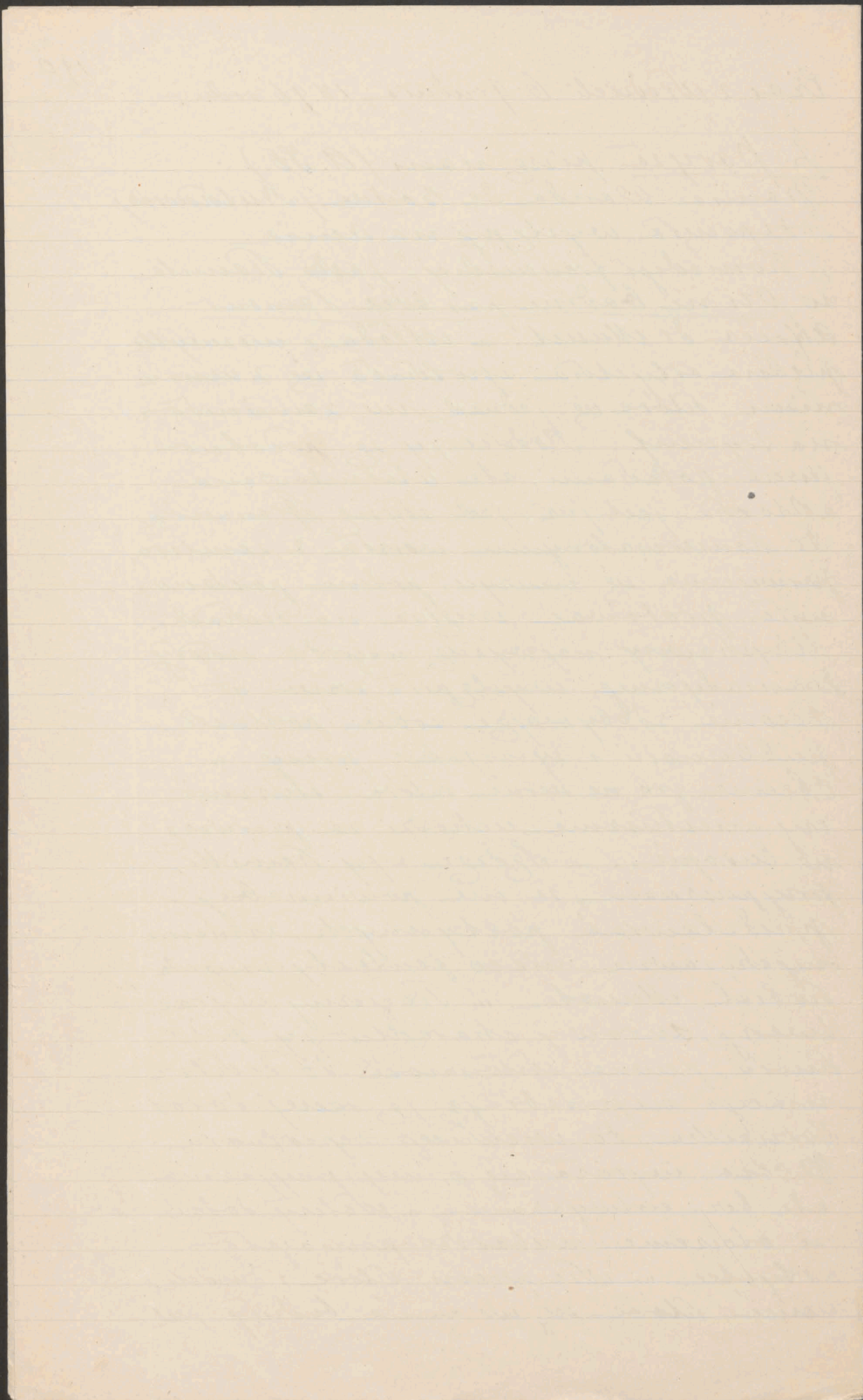

jest prawdziwem, ale to pewne, że albo nie należy przedstawiać, ośmieszać tadich fantazyi, jak komedya Musseta, albo też grają go źle — na najsłynniejszej scenie Europy. —

Paryżowi brak widocznie teatrów, skoro otwarto nowy, w Quartier Latin. Przedsiębiorcy wzięli sobie za cel wystawianie „wyborowych dzieł największego literackiego geniusza, którego ludzkość wydała.” — Czy to Goethe? Czy może Szekspir? — Nie, Voltaire! —

Niechaj mi więc nie powtarzają, że szowinizm francuski zamiera. — Masakruje się „Don Carlosa” w Odeonie, karykaturuje „Hamleta” na najpierwszej scenie Europy” — i otwiera „Théâtre Voltaire”! ?

Literatura

Listy z Francyi –

5 Listów. Słowo 1897. i 1898.

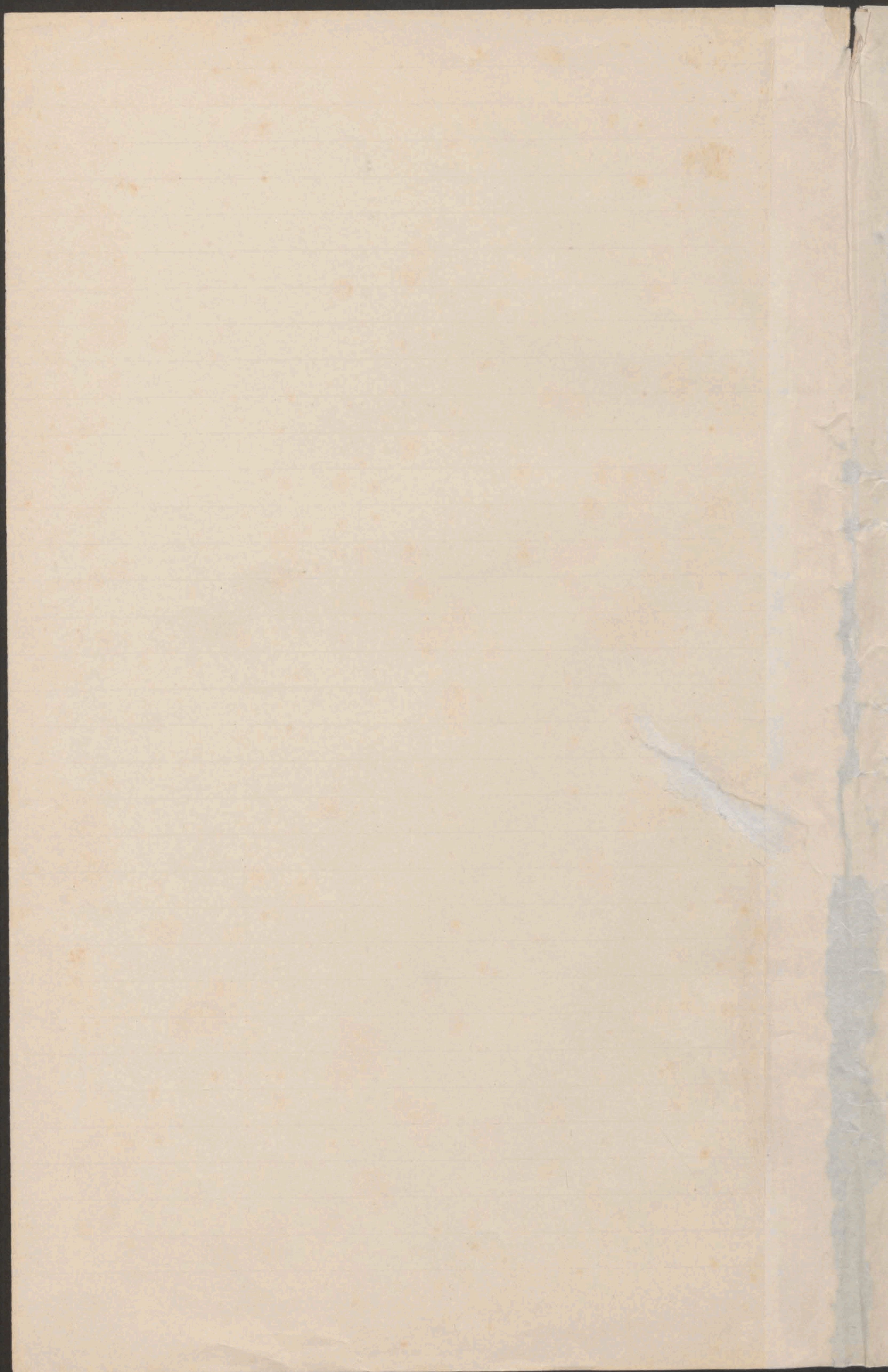

Nagłówki:

Listy z Francyi

I piątek 5 listopada 1897
II niedziela 28 listopada 1897
III niedziela 12 grudnia 1897
IV piątek 31 grudnia 1897
V środa 23 lutego 1898

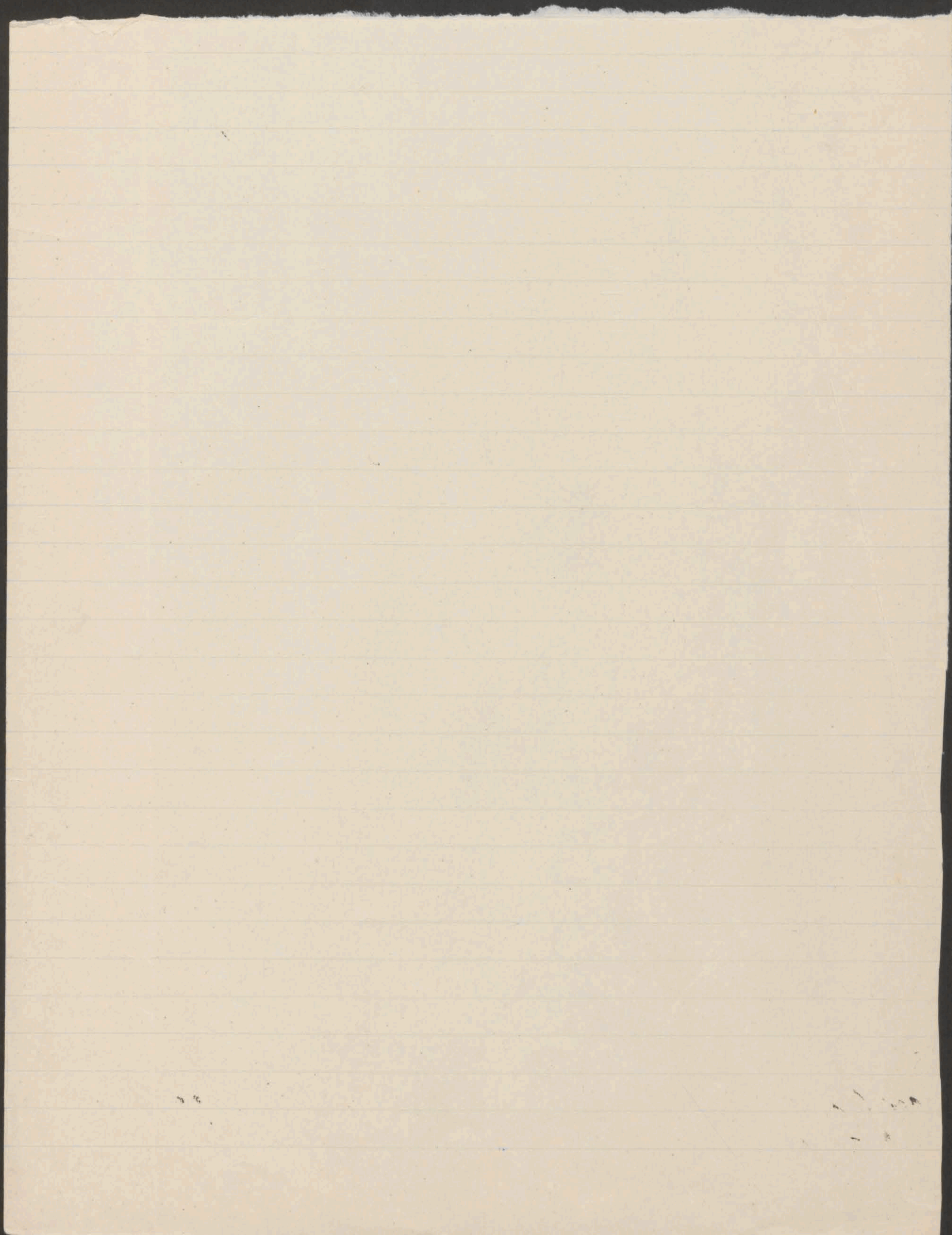

~~I~~

Piątek dnia 15 Listopada 1897 r.

~~Słowo Nr. 252.~~

Listy z Francyi.

I

(Obfitość materyału. – Posiedzenie publiczne pięciu akademii. – Mowa Alberta Sorel. – Zmarli akademicy. – Ks. d'Aumale. – Jego domniemany następca. – Gwido de Maupassant i jego pomnik.)

Pisując sprawozdania z artystycznego i literackiego ruchu w Paryżu, ma się tylko nadmiar przedmiotów, o których wspomnieć należy, tylko trudność wyboru. – Po za kilku miesiącami letniemi, każdy dzień przynosi to nową książkę, odbijaną niekiedy w tysiącach egzemplarzy, to wystawę prac jednego malarza, to wystawę zbiorową, urządzoną przez grupę artystów, zazwyczaj ciekawszą i piękniejszą od olbrzymich wiosennych „salonów". – Co tydzień niemal podnosi się tu po raz pierwszy kurtyna nad jakąś sztuką, która – słusznie czy niesłusznie – zainteresuje Europę i obiegnie świat. – Można ją będzie oklaskiwać nietylko na deskach „Rozmaitości," ale nawet oglądać po naszych prowincyonalnych miastach i miasteczkach. – Doprawdy, nie brak tematu dla korespondenta. Trudniej o trafny wybór spraw, które się ma

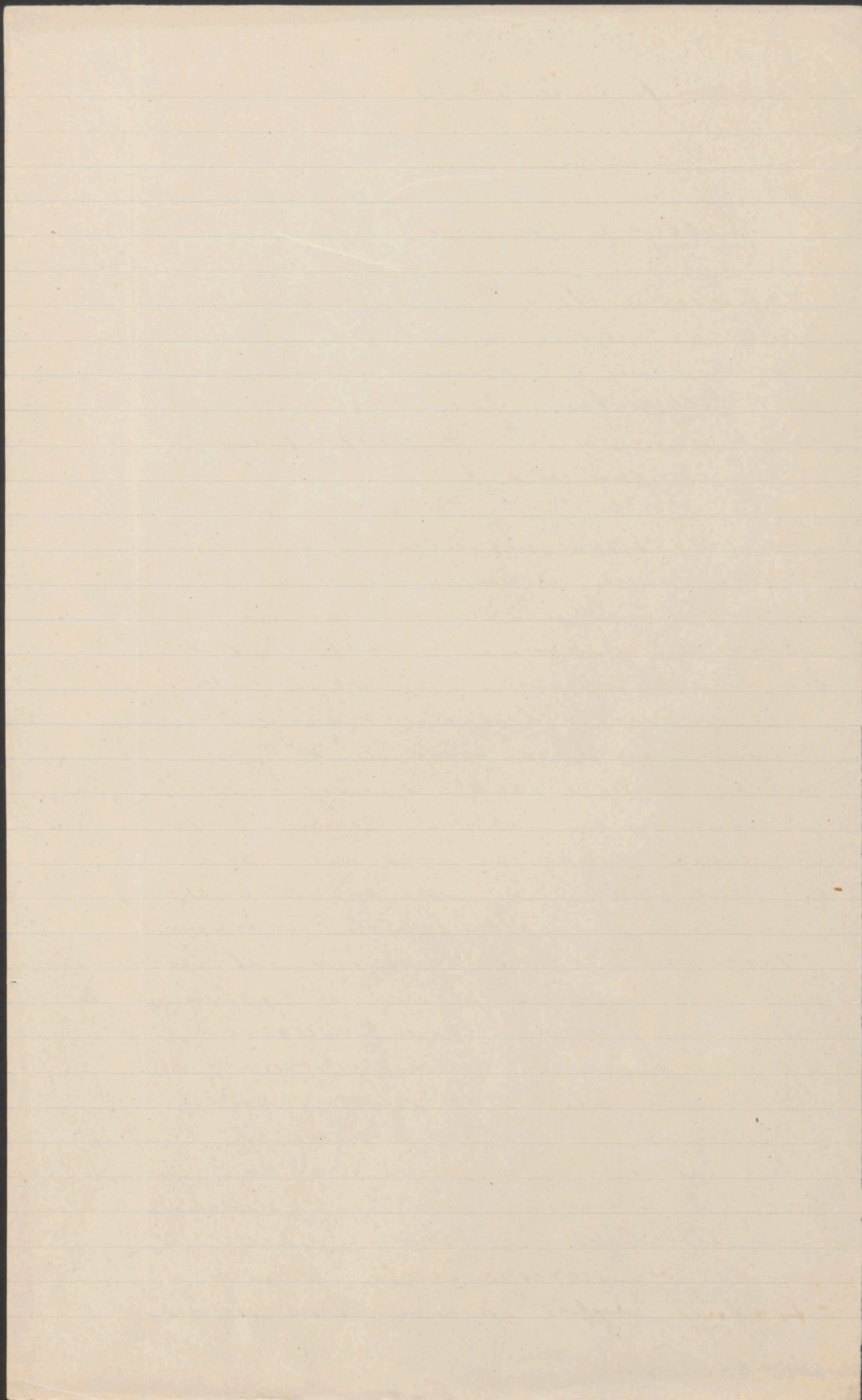

poruszę. Rozpoczynając szereg tygodniowych listów z Paryża i odzwierciedlania o umysłowem i społecznem życiu Francyi, nie mógłbym wybrać bodziej ważnego i poważnego przedmiotu, niż ten, który mi los dziś nasuwa. Mówię o publicznej sesyi tak zwanego „Instytutu".

Raz na rok, dnia 25go października, gromadzą się członkowie pięciu akademii. Każda z nich ma osobne cele, odrębną administracyę, własne swoje fundusze. Ale corocznie, w chwili, kiedy Paryżanie zaczynają wracać do Paryża, akademie przedstawiają się wspólnie publiczności. Dzieje się to w małej sali pod szumną kopułą dawnej kaplicy, wystawionej z zapisu kardynała Mazariniego.

Uczeni w haftowanych frakach zajmują połowę ciasnej sali; druga połowa i trybuny należą do zaproszonych gości. Nie łatwo o miejsce, bo i świat naukowy i świat — jakby to powiedzieć? — „światowy", umiejętnościom zupełnie obcy, ubiega się o bilety. O ile wiem, zaszczyt przewodniczenia przypada corocznie na członka jednej z pięciu akademii: kolejno wysyłają swego przedstawiciela na krzesło przewodniczące. Tym razem zajął je pan Albert Sorel.

Nie potrzebuję go zapewne przedstawiać czytelnikom „Słowa". — Wielotomowe jego dzieło o Europie

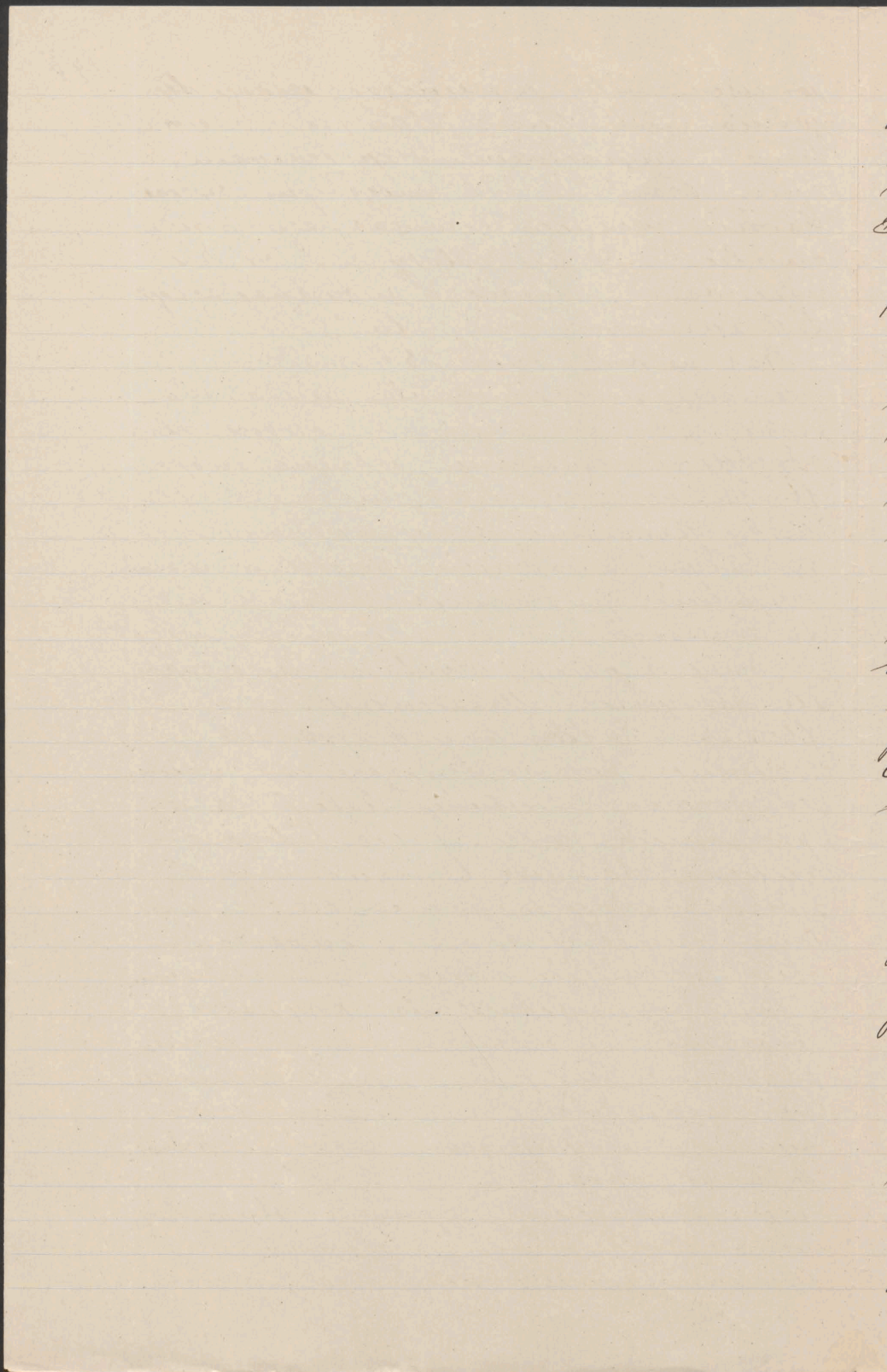

i Rewolucyi Francuzkiej stoi na pół-
kach licznych polskich domów — i
dworów i miejskich kamienic — stoi
zarazem tuż obok książek wielkiego
Hipolita Taine. Zwolennicy dawniej-
szej literatury francuzkiej znają
jego drobne a wyśmienite prace o
Montesquieu i o pani de Staël. —
Albert Sorel należy do Akademii
francuzkiej, jest sekretarzem senatu,
profesorem w szkole nauk polity-
cznych; jest także — aby użyć wyraże-
nia, które się niemal spotyka na kar-
tach pogrzebowych — członkiem wielu
stowarzyszeń naukowych, np. Akademii
w Kopenhadze i Akademii Umiejętności
w Krakowie. — W charakterze takim
mógł więc w czerwcu r.b. przewo-
dniczyć zgromadzeniu, na którem
p. W. Gasztowtt, tłumaczył Fran-
cuzom piękność i doniosłość utwo-
rów Henryka Sienkiewicza.
Ale Sorel jest czemś więcej, niż
oficyalnym przedstawicielem
„naukowych stowarzyszeń." —
Jest to indywidualność, pewna
siła duchowa, człowiek intelek-
tualny i znaczący. — Kto choćby
miał sposobność zetknąć się z nim
osobiście, wynosi, poza wrażeniem
wielkiej, serdecznej uprzejmości,
pamięć szlachetnych pojęć i powa-
żnego nastroju. —
Sorel sumienny w badaniu, jak
Niemiec, posiada iście francuzki
dar przedstawiania rzeczy jasno,

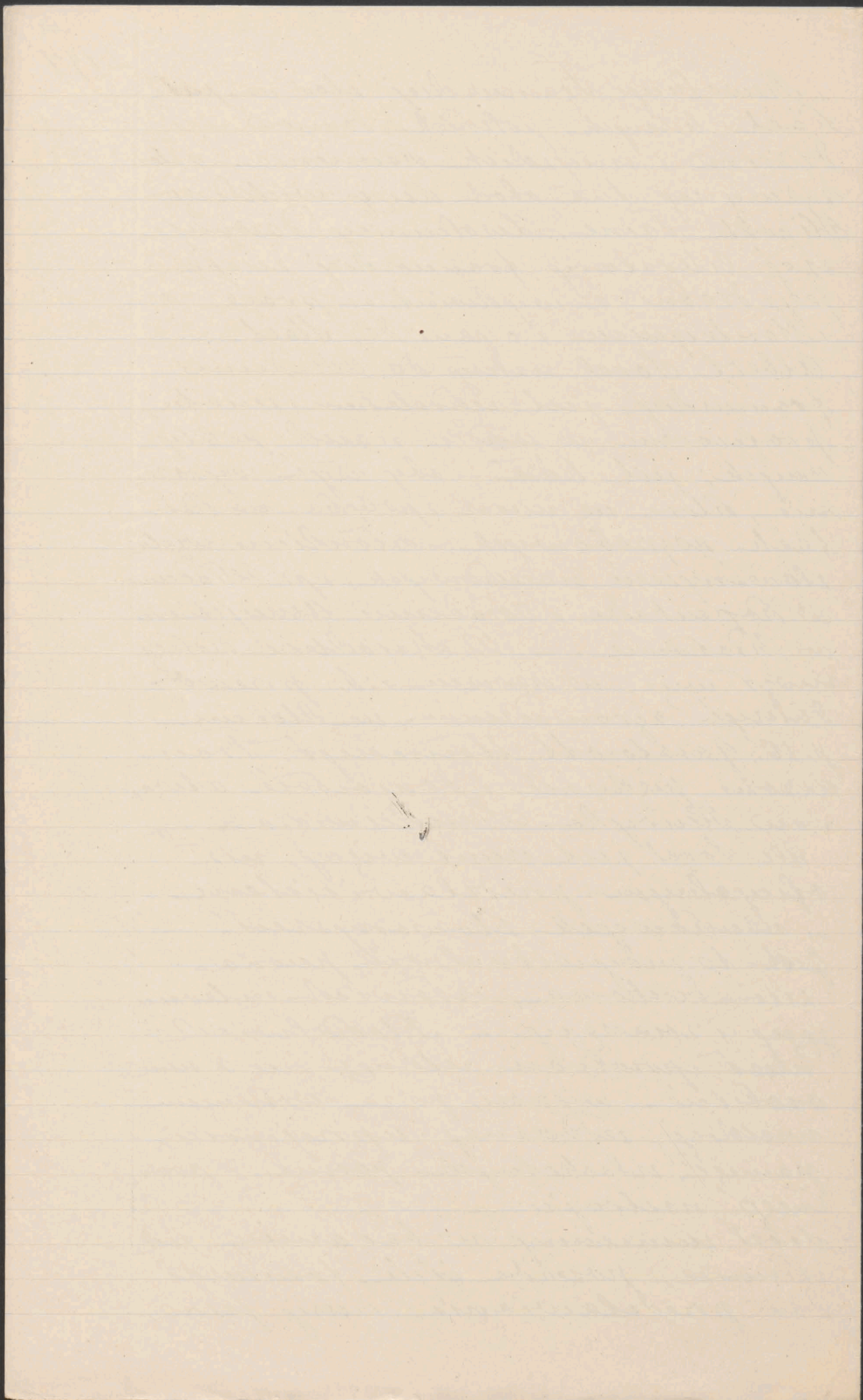

zwięźle, prosto, a zawsze w wyraźnych konturach. — Kto słyszał jego toasty, jego przemówienia w tem „kole historycznem", którego prezesem był do niedawna, musiał podziwiać ich swobodę, dobroduszny humor i dowcip. Sama postać przyczynia się do wrażenia. — Albert Sorel ma lat pięćdziesiąt pięć, ale wydaje się młodszym. — Trzyma się prosto, ledwo zaczyna siwieć. — Nie nosi brody; duże wąsy nadają coś wojskowego twarzy pięknej, skłonnej do uśmiechu.

Przepada za Chopinem i lubi o nim chwilkę pomówić i wspomnieć artystkę, która tak wykwintnie grała preludya i mazurki — księżnę Marcelinę Czartoryską.

Miły w poufnej rozmowie, wesoły, z kieliszkiem toastowym w ręku, francuski uczony ~~umie~~ ~~[illegible]~~ bywa i surowym i głębokim, umie subtelną i silną ręką trącać o pewne delikatne, a potężne, nie wszystkim dostępne struny. —

Prezydując zgromadzeniu pięciu akademii, musiał poświęcić słowo wspomnienia wszystkim jej członkom, zmarłym w ciągu roku. — Ubył zaś Henryk Meilhac, pisarz wykwintny, może zbytecznie lekceważony po za Francyą, nie należałoby bowiem zapominać, że współautor ~~[illegible]~~ libretta „Pięknej Heleny" jest również współautorem „Frou-Frou." Ani Challemel-Lacour, były

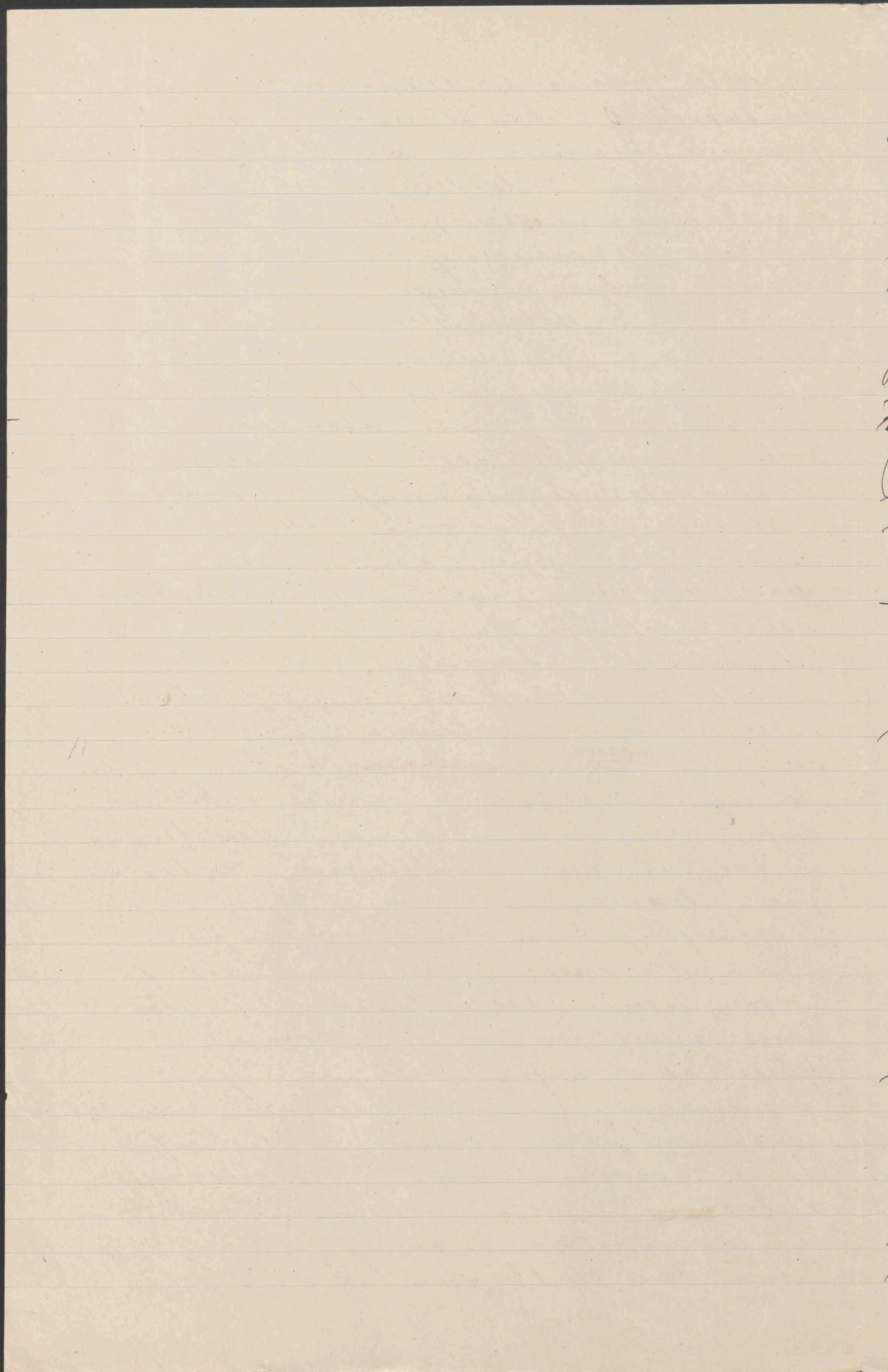

minister, ani niemiecki kompozytor Jan Brahms, ani von Arneth, historyk Maryi Teresy, ani Leon Gautier nie stawili się do apelu. Ten ostatni, mało znany w szerszych kołach, należy do grona niezbyt licznych, niestety, Francuzów, których prace cały świat naukowy ocenia. Leon Gautier pozostawia po sobie znakomite dzieło o epicznych poetach Francyi średniowiecznej. Obok Gastona Parisa i pawła Meyera liczy się Gautier do najzdolniejszych, najsumienniejszych badaczy, w zakresie filologii romańskiej. –

Sorel wspominał kolejno szanownych tych pracowników. – Nie mógł im jednak poświęcić wiele czasu. – Czekała go niezwykła, niezwykle sympatyczna postać: Książę d'Aumale, członek trzech akademii, hojny ich dobroczyńca, zmarły w maju bieżącego roku.

Pamięć jego, musi być żywą w Instytucie, któremu zapisał Chantilly. Nazwisko to budzi u wielu osób wspomnienie słynnych wyścigów, dla innych jest „obrazów wspaniałych zarysem", nasuwa na myśl Madonny Rafaela, rzeźby rzecz... renesansowe, kodeks, ozdobiony malowidłami, przez Jana Foucquet, największego wśród francuskich miniaturzystów XV stulecia. Ale niebylko w gronie uczonych zbieraczy i amatorów sztuki, słynął Książę

d'Aumale i odtąd żądał będzie.
W braku poety, któryby śpiewał
jego czyny, opowiadają ściany wersal-
skiego pałacu o młodzieńczych wy-
prawach afrykańskich tego syna
Ludwika Filipa.
Olbrzymie obrazy Horacego Verneta
są słabemi dziełami sztuki, ale treść
ich jest podniosła, opowiadają bo-
wiem potomnym, jak książę d'Auma-
le walczył, jak zwyciężał w Afryce.
Rewolucya 1848 r. wytrąciła ojcu
berło, a synowi miecz z ręki.
Za cesarstwa poszedł na wygnanie.
podczas wojny niemieckiej nie mógł
się bić. Kiedy później, przewodniczą-
cy sądowi wojennemu nad marszał-
kiem Bazaine, usłyszał z jego
ust jako usprawiedliwienie, słowa:
„Ależ nie było już wówczas rządu!",
ten syn zdetronizowanego króla
odpowiedział: „Lecz Francya jeszcze
była!" — dopiero owemu oficerowi,
który jeździł po Paryżu na czarnym,
gwiaździstym rumaku, dopiero
generałowi Boulangerowi, przypadło
w udziale wykreślić Henryka
d'Orleans ze spisu żołnierzy francu-
skich. Pozwolono mu jednak zostać
w kraju, jakkolwiek był synem
królewskim. Kiedy, bawiąc przy-
musowo w Brukseli, usłyszał roz-
mowę o jednym ze swych przodków,
skazanym przez Ludwika XIV na
pobyt zdala od dworu, d'Aumale
miał naraz powiedzieć: Jacy oni byli

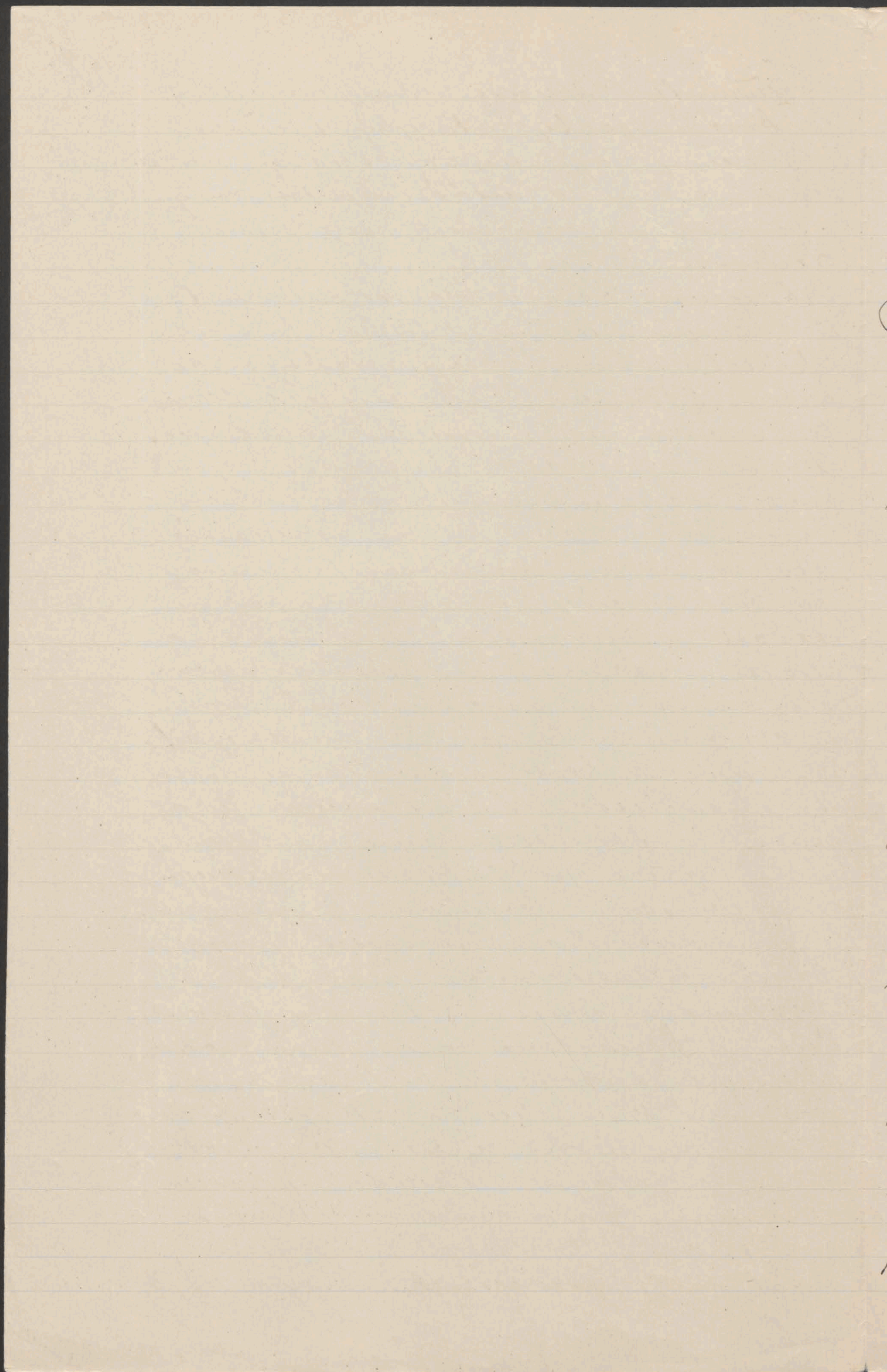

szczęśliwi! Podówczas wysyłano na wygnanie do Chantilly." —
(Paryż, ta gawiedź subtelna, wiecznie komiczna, ale bądź co bądź gawiedź — nie może zapomnieć wytwornego księcia.) —
Tak temu niedawno, jak się widziało w teatrze twarz jego już wynędzniałą, głowę łysawą, postać skurczoną, ale imponującą. — Wiemy także, jak poszedł między dwoma aktami do Sary Bernhardt, winszować jej nowej roli. — Na prośbę by zechciał usiąść, odpowiedział wówczas: „Nie jestem tak stary, abym nie mógł chwili postać, przed taką artystką, jak pani."
Sorel nie kusił się nawet o nakreślenie całej tej pięknej postaci, nie wdawał się tembardziej w biografię.
Mówił o członku Instytutu, jako członek Instytutu, ale w tonie jego słów jest coś wzruszającego, świadczącego o rzeczywistem wzruszeniu. Sorel umie mówić pięknie a prosto o przedmiotach, przez samą swoję piękność prostych. —
Kolejno udzielił głosu kolegom z innych akademii. — pan Henryk Moissan przedstawiał tym razem nauki ścisłe, pan August Himly tak zwane „nauki moralne i polityczne", — pan Emil Picot akademię epigraficzną i historyczno literacką (des inscriptions et Belles-lettres), a pan Jerzy Lafenestre — sztuki

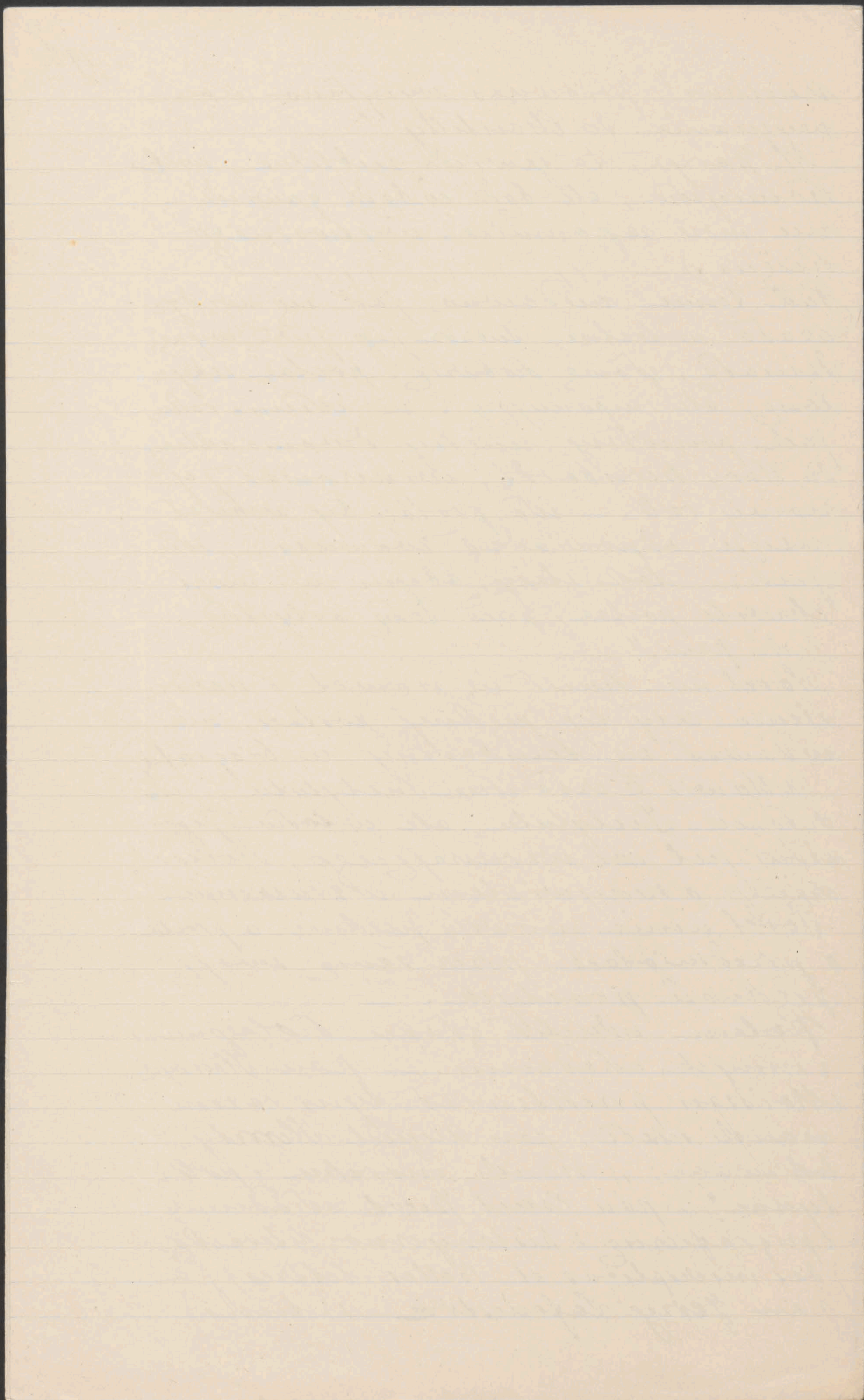

piękne. Historyk malarstwa włoskiego, biograf Tycyana, odczytał pracę o stosunku Lafontaine'a do współczesnych mu artystów. Pan Lafenestre miłuje od dawna wielkiego bajkopisarza i poświęcił mu nawet przed paru laty książkę, którą czytelnikom moim polecam. Kosztuje w handlu dwa franki, ale jest więcej warta.

Publiczność, wychodząca z posiedzenia, zadawała sobie pytanie, kto też zastąpi Księcia d'Aumale w Akademii francuskiej. Nie brak kandydatów. Zdaje się jednak, że pierwszeństwo otrzyma Eugeniusz Guillaume, ten sam, który przed laty kilkunastu zasiadał w pierwszem jury nad pomnikiem krakowskim Mickiewicza. —

Jest to znakomity rzeźbiarz, znany również jako historyk sztuki. Wiadomo, że rząd francuski wysyła corocznie szereg młodych artystów do Rzymu. Malarze, rzeźbiarze, rytownicy i kompozytorowie muzyczni przepędzają na koszt kraju trzy lata, całe trzy lata nad Tybrem. Szczęśliwi ci ludzie mieszkają w Willa Medici i mają przed sobą najwspanialszy widok na Rzym, a w ogrodzie za gmachem — uroczyste i ciche, wonne i święte gaje.

Eugeniusz Guillaume jest dziś kierownikiem całej tej ufnej w swe siły i zapalonej młodzieży. —

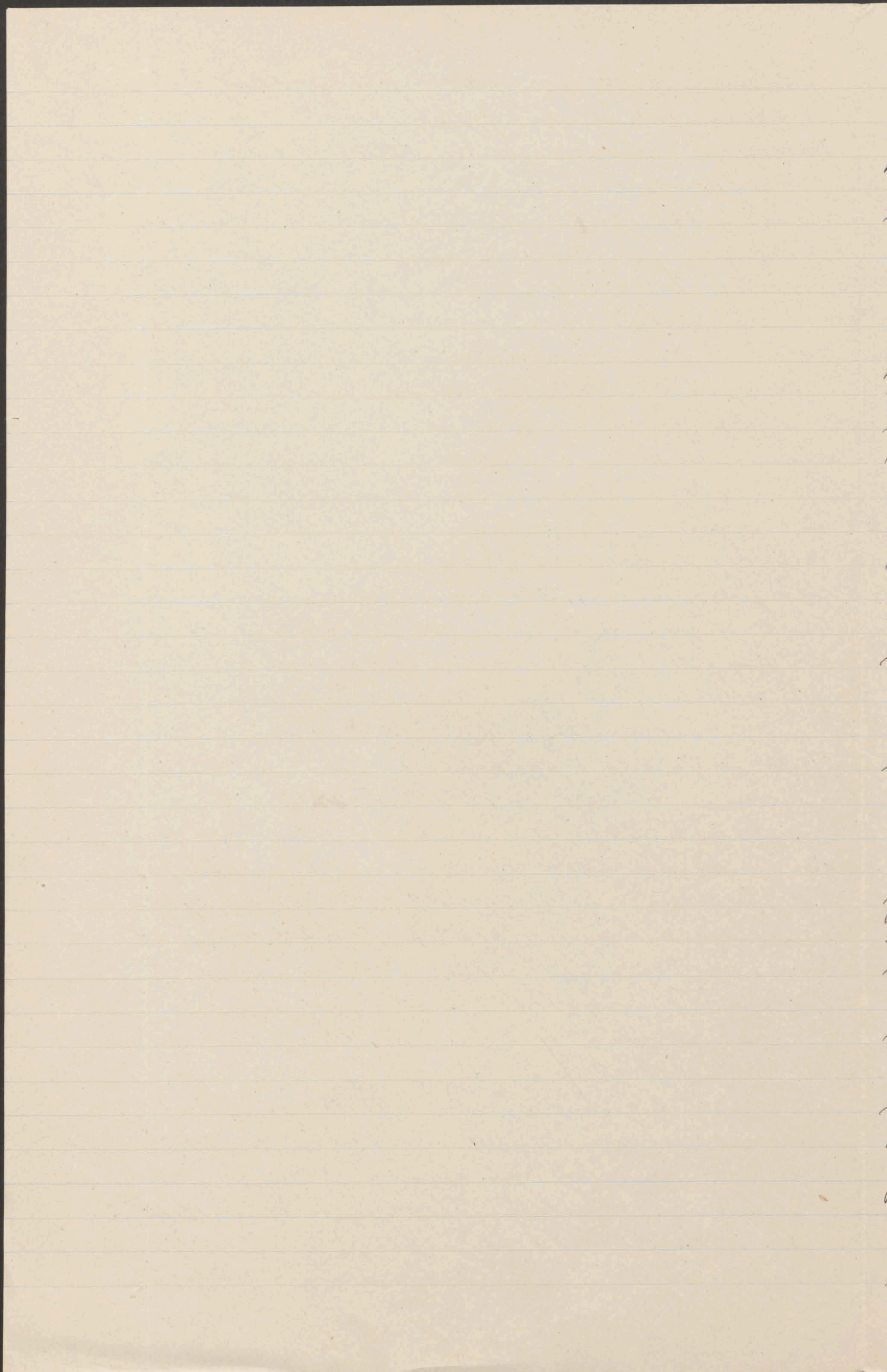

We dwa dni po uroczystej sesyi Instytutu odsłonięto w Paryżu pomnik człowieka, który drwił z oficyalnych odznaczeń i nie chciał należeć do żadnego urzędowego grona. Guy de Maupassant twierdził podobno, że istnieją cztery wydarzenia, cztery kroki w życiu, które na zawsze poniżają człowieka. A mianowicie: małżeństwo, order Legii honorowej, wybór do Akademii, i współpracownictwo w „Revue des deux mondes". Pozostał wierny trzem z tych postulatów. Ogłosił natomiast znakomitą powieść w dwutygodniku pana Buloza „Notre Coeur", może nie najsilniejszą, ale w każdym razie, jedno z najwytworniejszych swoich dzieł.

W dzielnicy Paryża, którą bardzo lubił i często opisywał, wśród cieni parku Monceau, wznosi się dziś jego popiersie. U stóp siedzi kobieta w białym marmurze, młoda, strojna, Paryżanka z 1897 r. Najnowsza moda — bo i w rzeźbie panuje teraz zwyczaj — kazałaby tej niewieściej postaci wieńczyć głowę pisarza. Pan Raoul Verlet, autor pomnika, czuł jednak, że banalna alegorya nie odpowiada naturze talentu, charakterowi wielkiego nowelisty. Co dziś po fałdach greckiej chlamidy, co po nużących personifikacyach „Sławy", czy „Poezyi"?

W pobliżu portretu ulubionego autora usiadła nie Muza, ale czytelniczka,

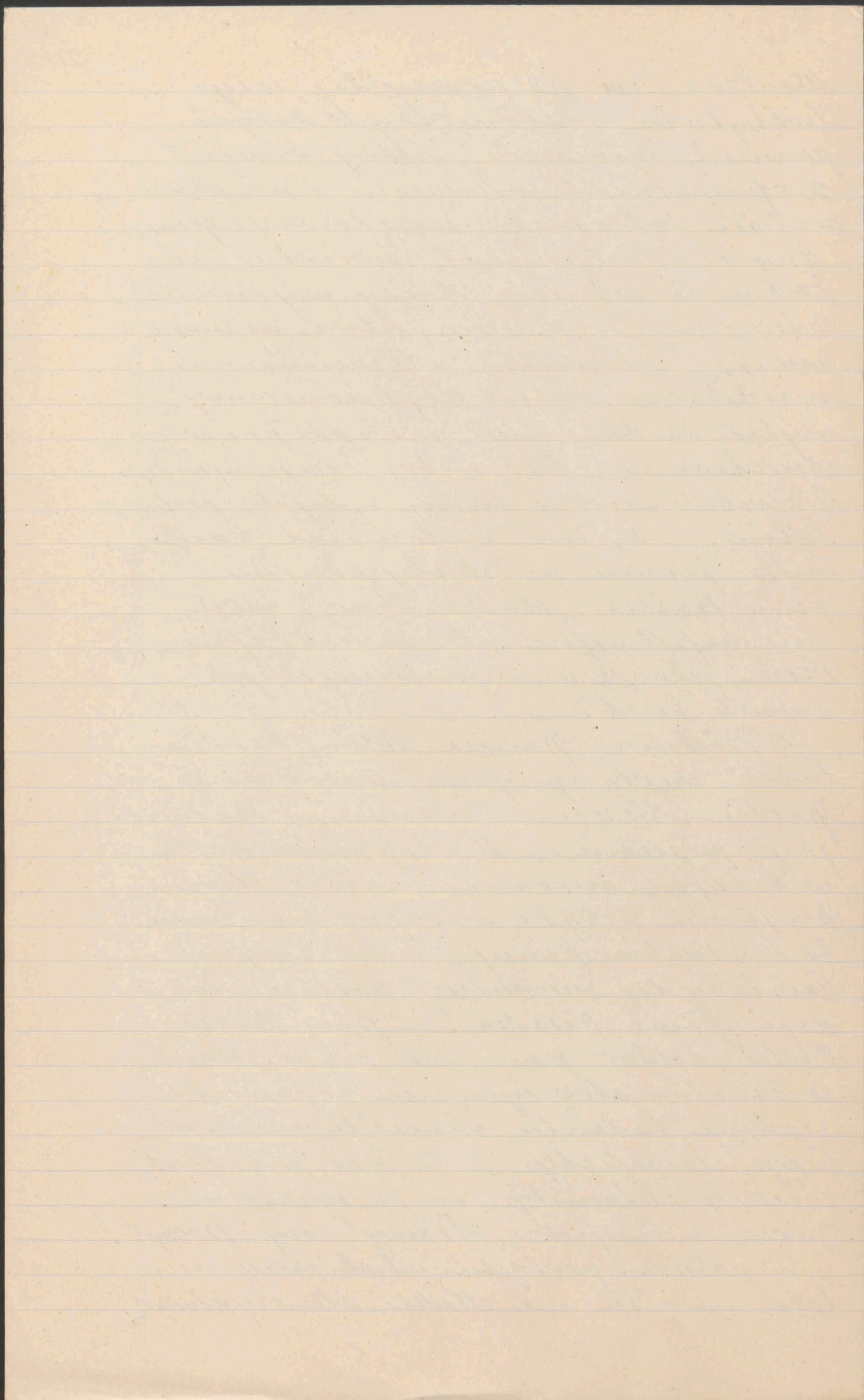

Chwilowo odbiegła na bocz. drożynę, zadumała się nad nią. – Być może, że ogarnia kobietę bolesny, niezdobyty pesymizm Maupassanta. – Może nas zniewa jej złe myśli. – Może na mocy najsilniejszego z praw duchowych, na mocy prawa reakcji prowadzi ją na drogę wyrozumiałości, przebaczeń i względnej ~~[illegible]~~ pogody. ‡

Co do mnie, nie mam dziś ani dosyć miejsca, ani dość czasu, aby się raz jeszcze zapuszczać w dyskusyę nad społeczną wartością powieści, które czyta wydekoltowana dama, siedząc w białym madmuaze. –

Wiem jednak, że Maupassant był wielkim, pierwszorzędnym pisarzem. Wiem, że wśród niezliczonych literatów, ulegających, raz tej, raz wprost przeciwnej modzie, on jeden pozostał zawsze sobą. ‡

Całe chóry współczesnych mu autorów powtarzały popularną, chwilowo uznaną piosenkę. Koledzy sadzili się na styl nowy, niby indywidualny, przeto z umysłu przepiękną prozę ~~francuską~~ francuską wykrzywiali nowym językiem i przyjmy[?]tką. – On pozostał wiernym tradycyjnemu językowi. ‡ Nie bawił się w dziwactwa stylowe. Lubił zwrot krótki, zwięzły i dosadny. Osiągał wrażenie nie ilością, ale doborem środków. ‡ Wśród stylistycznego rozpasania towarzyszów, zachował spokój i miarę. ‡ Rzekłbyś, że uważał on sobie za punkt honoru

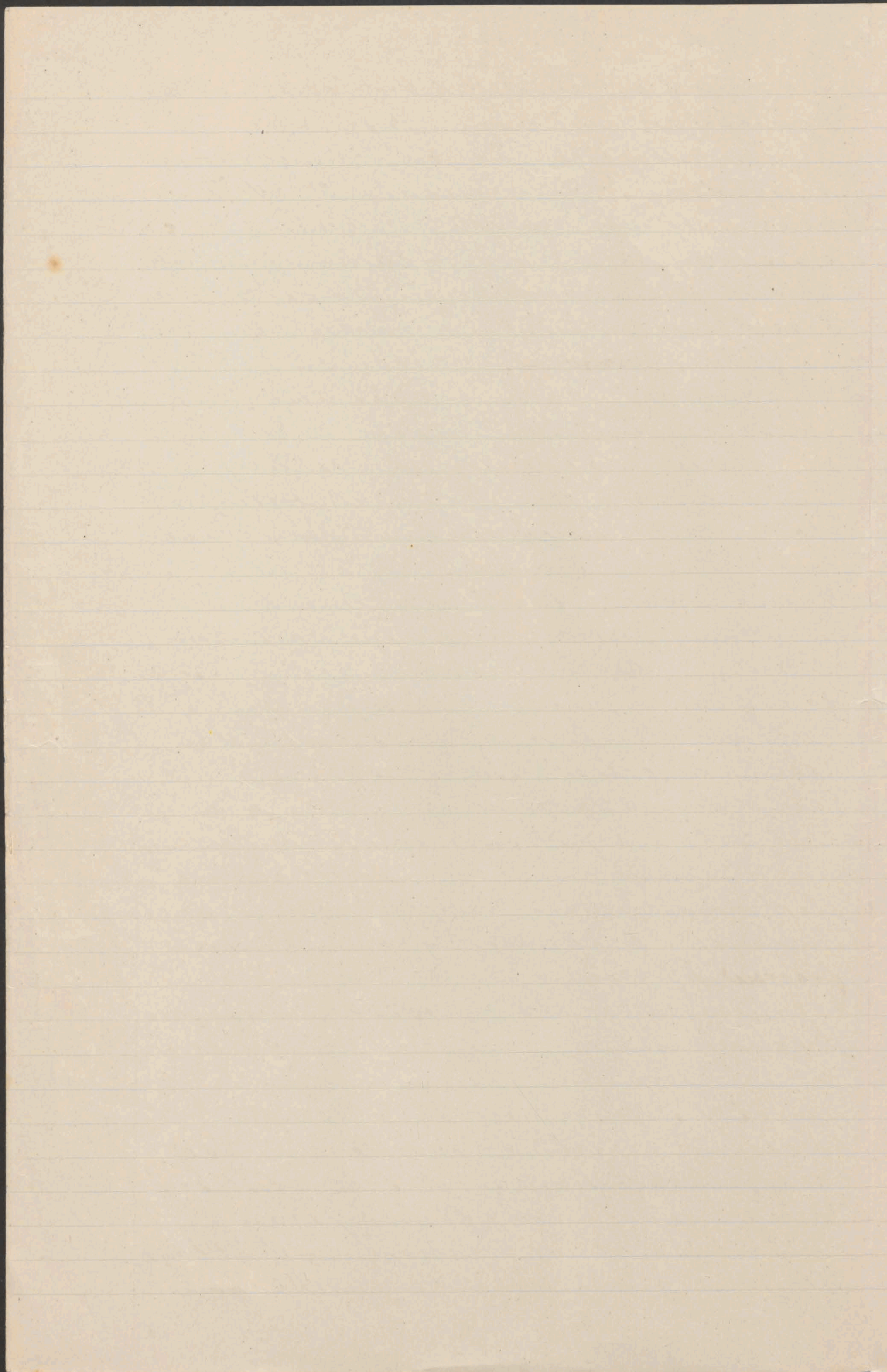

nie używać ani zbytecznych wyrazów, ani efektu, któryby nie był koniecznym. — Mniej sławny od swego przyjaciela Zoli, który teraz serdecznie przemawiał przy odsłonięciu pomnika, był on większym od niego i subtelniejszym artystą, jednym z najdoskonalszych pisarzy Francji.

R. M. Górski.

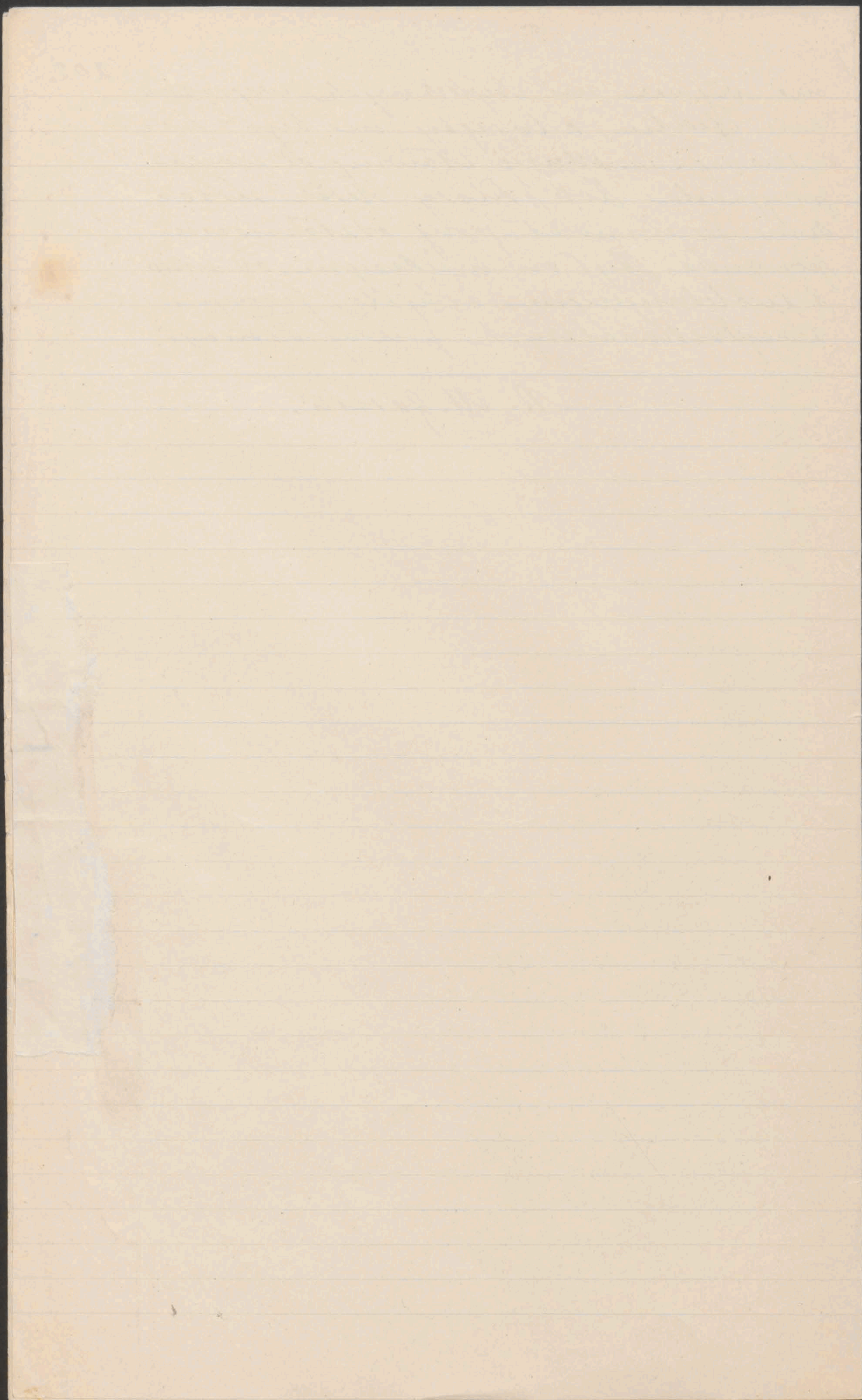

57
203.

II

Niedziela, (28) Listopada 1897.

~~Słowo~~ N. 273.

Listy z Francyi.

II ~~III~~.

Prix de Rome. – Dwie instytucye francuzkie w Rzymie. – Systema konkursów w paryzkiej Szkole sztuk pięknych. – Wystawa prac jej uczniów. – Jak Paryż wpływa na artystów. – Ryszard Wagner i jego „Mistrze śpiewacy" w wielkiej Operze.

Wszystkie znaczniejsze szkoły sztuk pięknych wystawiają corocznie prace swoich uczniów. – Publiczność może wówczas poznać, jaki duch panuje w zakładzie, czego się młodzież usiłuje nauczyć i czego się nauczyła. –
W Paryżu, nie pokazuje nam ogółu robót, przedstawiają jedynie te obrazy i rzeźby, których twórcom przyznano „prix de Rome." – Mówiłem już w ostatnim liście, że każda tego rodzaju nagroda uprawnia do trzechletniego pobytu w Rzymie. – Daje ona sposobność do zżycia się z wielkiemi sztukę minionych stuleci, do studyowania arcydzieł, zapewnia na pewien czas życie bez troski, bez obawy o jutro. Jednym pozwala podziwiać starożytne marmury i freski Fra Angelica

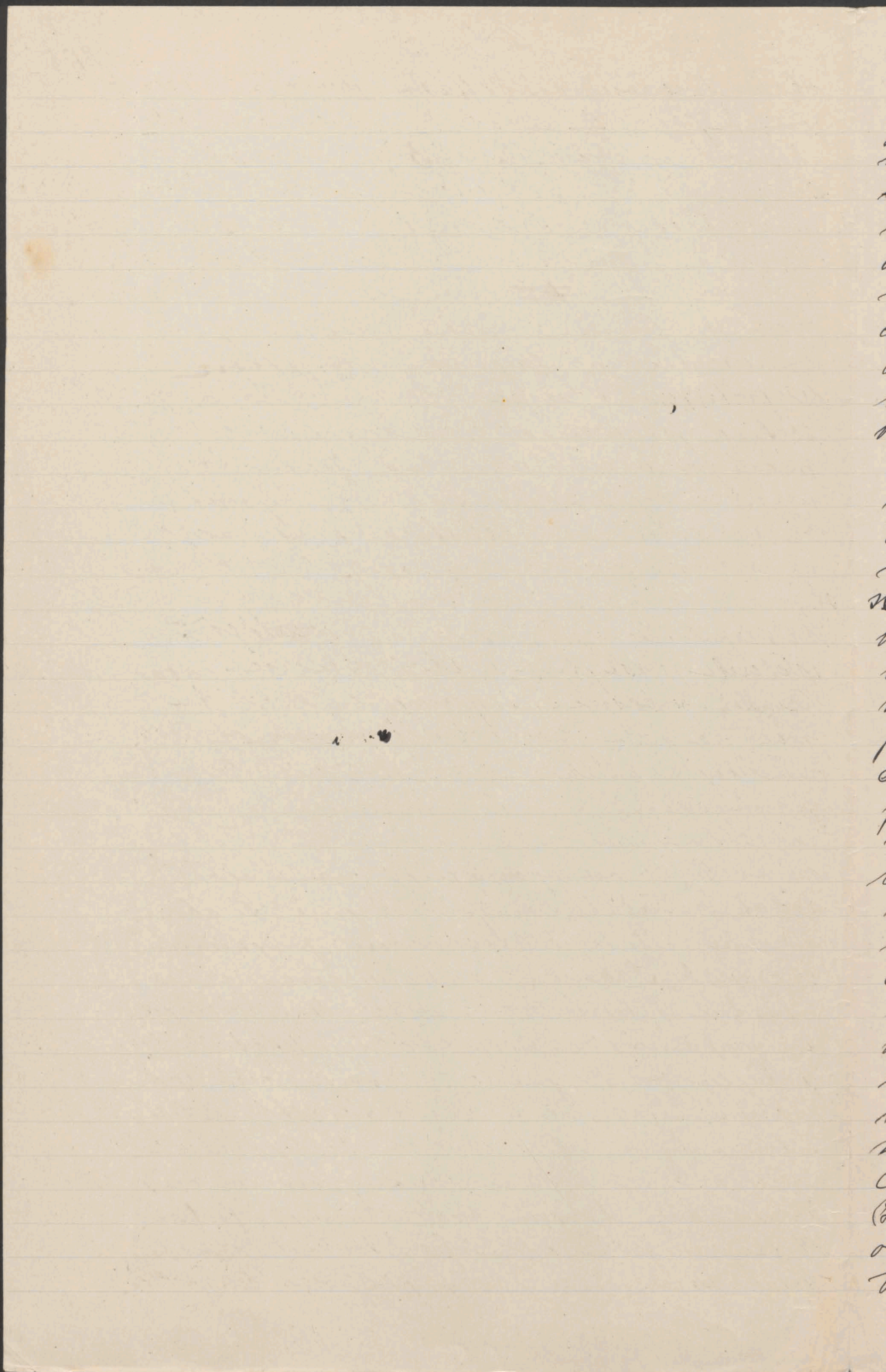

obok fresków Michała Anioła, drugim daje dość swobody i czasu, aby się mogli w sobie skupić i tworzyć samodzielnie. ++ Francya posiada dwie wielkie szkoły w Rzymie i umiała obydwie pomieścić w gmachach wspaniałych, architektonicznie tak szlachetnych, że najzwyklejszy turysta, o nich zapomnieć nie może.

W palazzo Farnese roi się od historyków wszelkiego odcienia. Badacze starożytności klasycznej żyją tam w wielkiej zgodzie z paleografami, oddanymi średniowiecznym poszukiwaniom, miłośnicy epoki Odrodzenia stykają się z szeregiem znawców katakumbowych rzeźb i malowideł. Na czele instytucyi stoi obecnie ksiądz Duchesne, słynny ze swoich prac na polu archeologii chrześcijańskiej. ++ Młodzi francuzcy uczeni, przybywający do Rzymu, są zazwyczaj wybornie przygotowani do studyów w bibliotece Watykanu. ++ Wdrożyli się poważnej historycznej metody w Ecole des Chartes, albo w Ecole Normale. ++ Mogą więc rywalizować z owym Instytutem Germańskim, którego dyrektor, p. Petersen, zaciekły prusak, słynie nie tyle ze swych dzieł uczonych, ile z krzyżackiej nienawiści do Słowian, Czechów czy polaków.) ++ ......

(Zdawałoby się, że człowiek który od tylu lat mieszka tuż przy Kapitolu, z okien pałacu Caffarelli

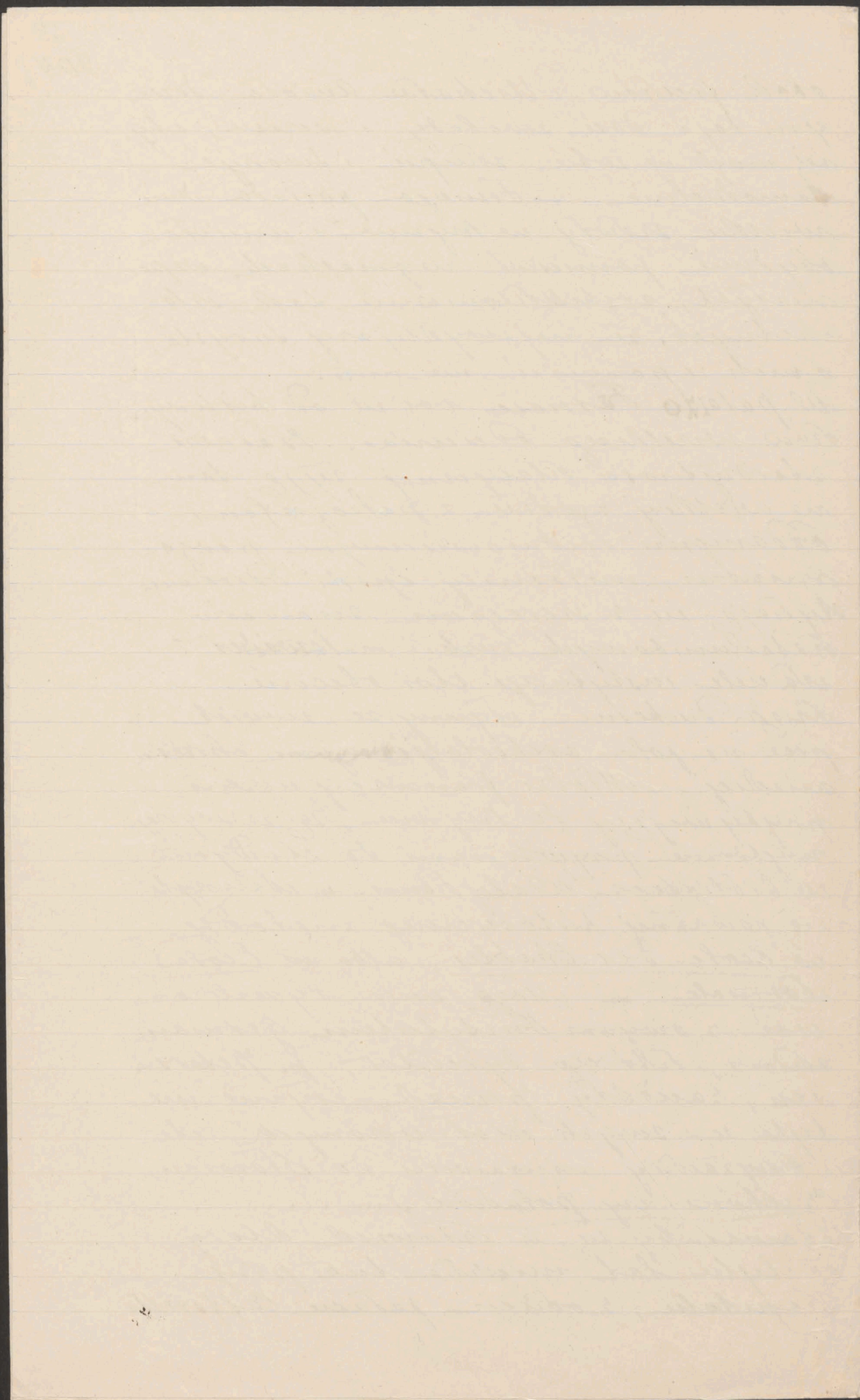

ogląda codziennie szczegóły europejskiej
sztuki, powinien mieć pogodę filozofa,
lekceważyć politykę, zmienne koleje
losów, powinien rozumieć, że przed-
stawiciele rzeczywistej nauki nie
znają narodowych szowinizmów
i uprzedzeń. — P. Petersen nie jest
bynajmniej młodzieńcem, a mimo
to należy do gromady owych młodo-
niemieckich uczonych, dla których
wielkość Germanii stoi przed
prawdą i zastania ją, podobnie
jak dla Bismarcka, księcia na
Lauenburgu, siła przed prawem.
To też niechętnem okiem musi
patrzeć się na francuską instytucyę,
która tam w dole, w pałacu, do
którego budowy sam Michał Anioł
przyłożył rękę, rozwija się i rośnie.
W drugim zakładzie Francuzów,
w Villa Medici na Pincio, sprawy
idą mniej pomyślnie. —
Młodzi malarze i rzeźbiarze, przy-
bywający tu z Paryża, bywają
zbyt surowi, niezdolni z krynic
korzystać. — Z jednej strony brak
ogólnego historycznego wykształcenia,
~~[illegible]~~, którem młodzież artystyczna
całego świata dziś gardzi, nie pozwala
im wniknąć w skarby Wiecznego
Miasta. — Z drugiej strony
talent ich nie rozwinął się dość
samoistnie, został niejako spaczony
świeżo zamknięta wystawa prac,
nagrodzonych przez rząd, środowisko
paryskiej, była tego nowym

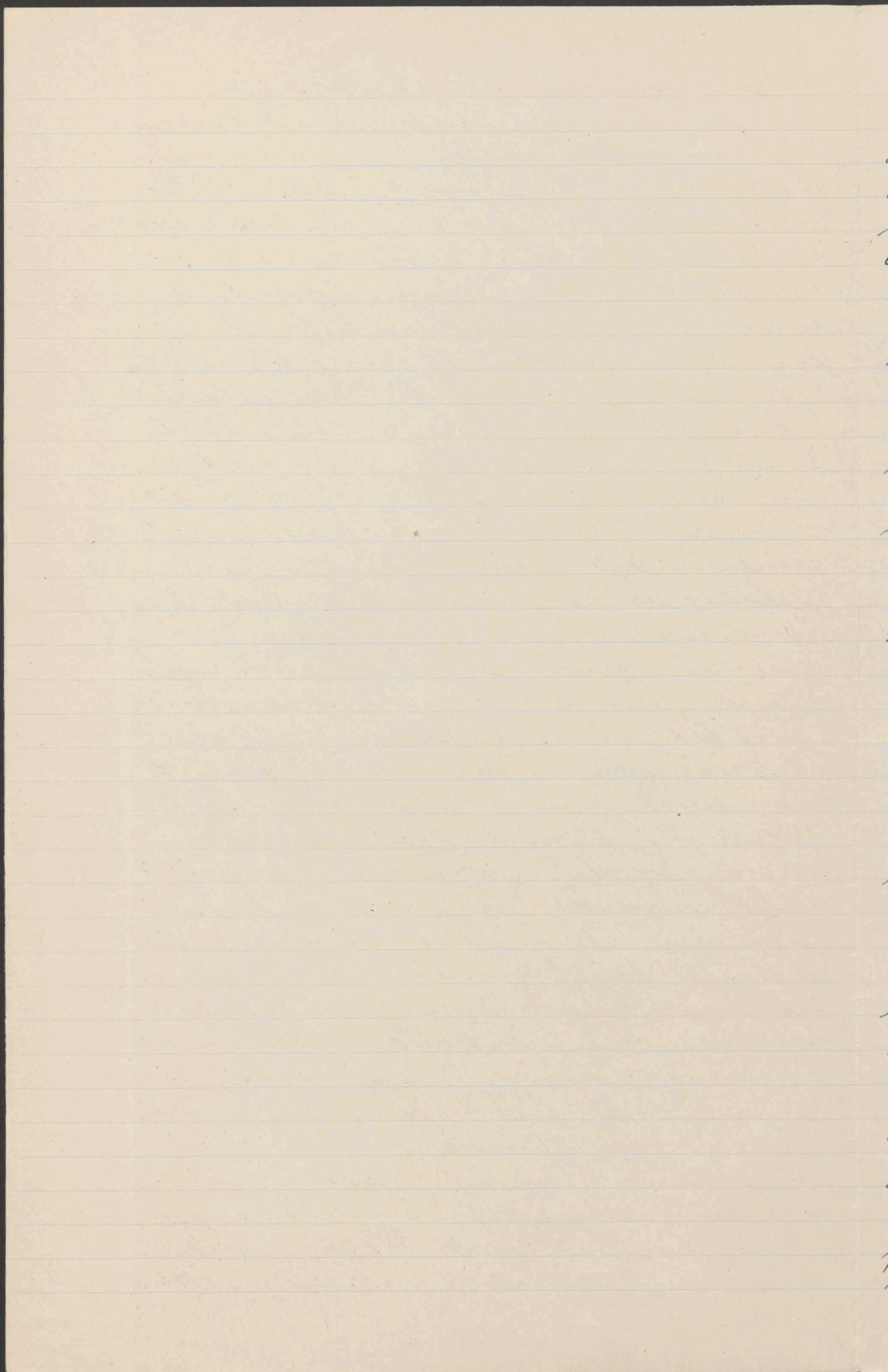

i wyraźnym dowodem. —
Prace uczniów, może mniej słabe, niż w roku ubiegłym, nie noszą na sobie piętna osobistych talentów, nie świadczyły o systematycznem rozwijaniu indywidualności; ale raczej o ujęciu jej w formułę. — Taka zasada może być dobrą w specyalnych fachowych szkołach, kształcących do praktycznego zawodu. We szkole sztuk pięknych jest zabójczą. Tyle sztuki, ile szkolnictwa.

Przeszłej jesieni staliśmy przed szeregiem obrazów, przedstawiających ostatni epizod historyi Apollina i Marsyasza: obdzieranie zwyciężonego śpiewaka ze skóry. — Najlepsza praca była prostem i zupełnem naśladowaniem dzieł p. Gustawa Moreau, czystem <u>pasticcio</u> jego cieniowanych, nieco archaizujących malowideł. Rzeźbiarze wystawili kilka pretensyonalnych scen pod tytułem „Mucius Scaevola przed Porsenną". — Obecnie nikt nie otrzymał pierwszej nagrody malarskiej wśród płócien, przedstawiających przybicie Prometeusza do skały, nie było też ani jednej prawdziwie udatnej kompozycyi. Istniało tylko to, co Francuzi nazywają „le morceau", dobrze wykonana, wiernie oddana partya obrazu, szczęśliwie wymodelowany tors, ładnie ułożona

draperya. Rzeźba stała natomiast o wiele wyżej.
Trzej młodzi artyści, dali nam trzy odmiennie pojęte, pięknie ugrupowane „Rozstania Orfeusza z Eurydyką." — Było tam natomiast i pewne popiersie, wyróżnione wśród wielu, a prawie śmieszne.
Błogosławione to były czasy, kiedy młody artysta wchodził nie do szkoły, ale do pracowni słynnego malarza lub rzeźbiarza, a często nawet złotnika. Wstępował po prostu jako czeladnik ~~rzeźbiarz~~ do majstra. Z razu nie pobierał żadnego wynagrodzenia, płacił nawet, będąc „w terminie". — potem otrzymywał pewną płacę, coraz wyższą, aż z kolei otwierał pracownię na własną rękę i odpowiedzialność. Wówczas uczono się za młodu techniki, oswajano z farbami, z pendzlem, z marmurem i dłutem. Kierunku prawideł estetycznych nikt chłopcu nie narzucał. Kto posiadał wprawę, mógł potem malować, co serce każe, malować, co się przyśni. Z biegiem czasu powstały szkoły, akademie. Pewna doza rzetelności musiała odpaść, zaginąć, trochę poczucia — przycichnąć. Jednak można było jeszcze iść swoją własną drogą. Nie wszystkie akademie są ~~snie~~ siedzibami

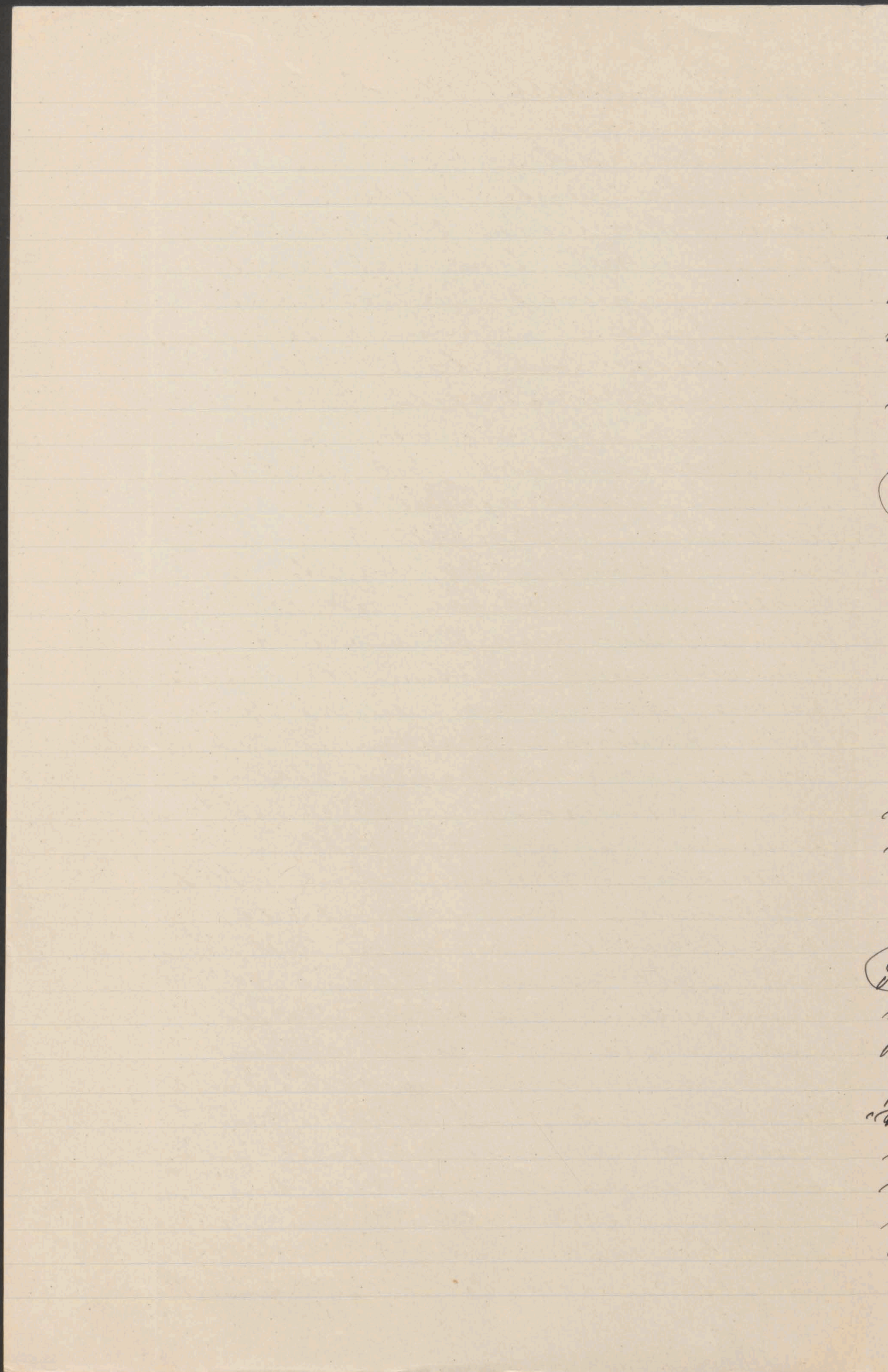

akademję. Można się wiele nauczyć w Krakowie pod kierunkiem Matejki i kilku pierwszorzędnych, twórczych, samodzielnych ludzi. Można się bardzo wiele nauczyć w Monachium, w szkołach belgijskich, a zwłaszcza i przedewszystkiem w Paryżu — byle nie być Francuzem i nie marzyć o Prix de Rome. W rządowej szkole paryskiej panuje system, który może być bardzo korzystnym, jeśli się go wprowadza na małą skalę. — Skoro się zaś rozpanoszy, odrazu wszystko zabija. Jest to system nieustannych konkursów. —

Jak każdy Francuz, zaczynając pisać, wzdycha na samą myśl o Akademji Czterdziestu, tak każdy malarz śni w nocy i we dnie o pobycie w Willa Medici, na koszt kraju. Nie przeto, że owinięty w fałdzistą swą togę, spokojny i śmiały, w nieśmiertelność patrzący Sofokles stoi w Lateranie, a Venus pozbawiona szaty, a skromna, naga i wspaniała, mieszka tu na Kapitolu. — Nie przeto, że na suficie Sykstyny leci przez twórcę Jehowa i ruchem ręki stwarza ziemię i słońca, że w Stanzach po nad dysputującymi

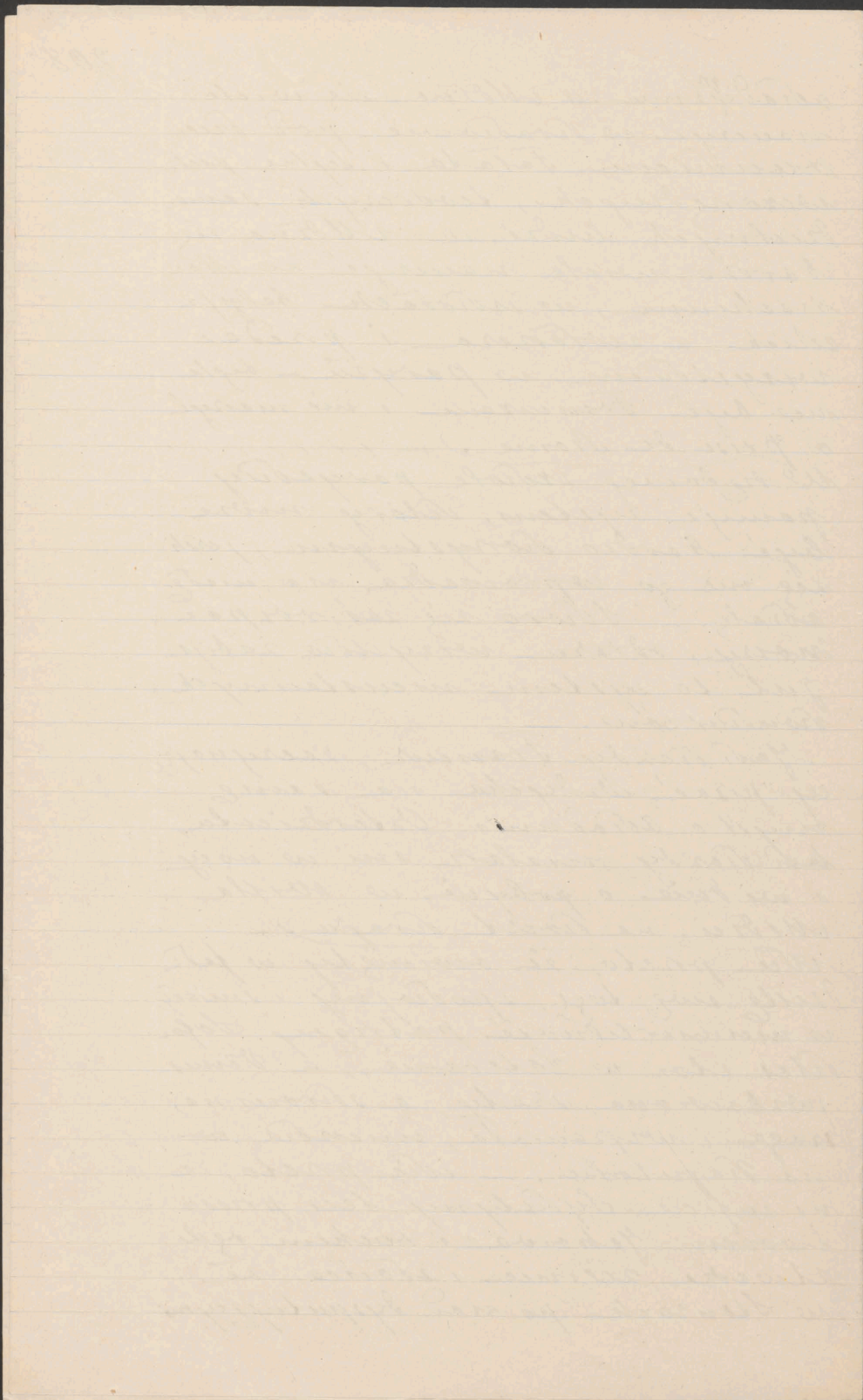

teologami oświeca się niebo i Trójca święta objawia. + Ale dlatego, że być wysłanym do Rzymu to znaczy — uzyskać rozgłos, rzucić w świat nieznane dotąd nazwisko, mieć trzy lata spokoju. —
„W nadzieję ludzie orzą — mówi Jan Kochanowski — i w nadzieję żyją!" — ale nadzieja młodych francuskich artystów nie zawsze jest szlachetna, szczerozłota i dumna. + Posłuszni jej, wyrzekają się własnych pragnień i porywów, oddają się duszą i ciałem ścieżce rządowej, która ich wolno, ale bezpiecznie, po szczeblach konkursów prowadzi do celu. + Nie do rozwoju artystycznej indywidualności, ale do pochlebnego świadectwa. ++ Potrzeba wyjść zwycięzcą z wielu następujących po sobie turniejów, aby móc wstąpić w poważniejsze szranki. +++ Należy pobić współzawodników w konkursie niższego stopnia, aby móc uczestniczyć w wyższym. ++
Na samym szczycie błyszczy <u>Prix de Rome</u>. + Nie dziw, że młody artysta, przechodząc szereg takich prób, ulegając kolejno wpływom tylu <u>jury</u>, zatraca osobistą swą zdolność i nastrój osobisty. +++ Jego talent jest to kawał marmuru, z tylu stron dotykany obcym dłutem,

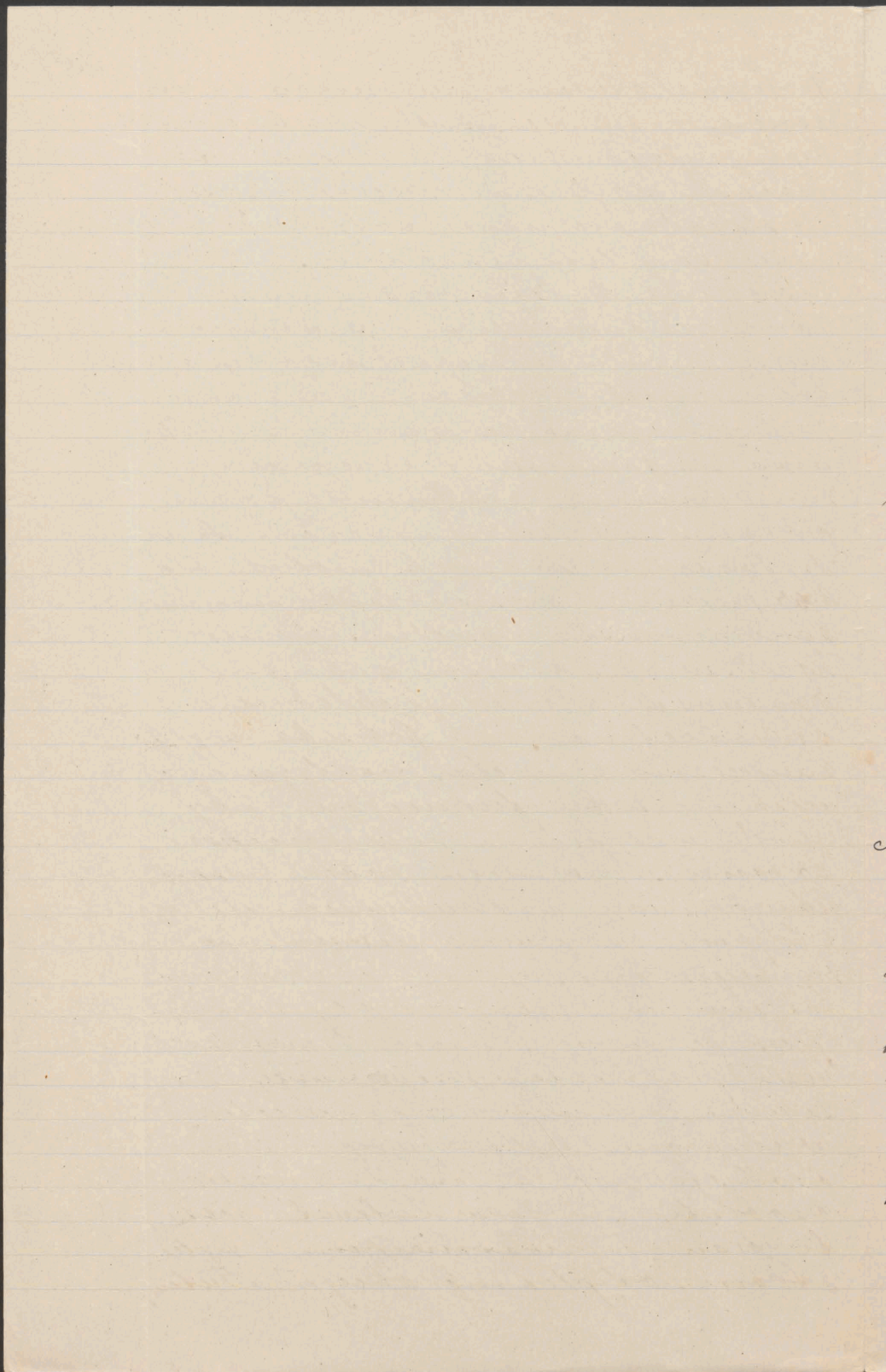

tak często gładzony pilnikiem
profesora, że ostatecznie poezya
musi być chudą i nieznaczną
figurą. //
Logicznie rzecz biorąc trzeba
przyznać, że system Francuzów
jest trafny, odpowiedni i naj-
sprawiedliwszy. + W tem tylko
bieda, że logika zastosowana do
życia wydaje nieraz niespodzie-
wane, nie zawsze logiczne rezultaty.
Życie nie jest łańcuchem ścisłych
rozumowań, lecz zbiorowych obja-
wów. – Ktokolwiek prosto na
świat patrzy, widzi w nim –
nie szereg abstrakcyi, ale tłum
barwny, często niezgodny tłum
zjawisk. + Dla mnie jest ustrój
paryskiej Szkoły sztuk pięknych,
ciekawym okazem, albo też przeżyt-
kiem owego klasycznego nastroju
(esprit classique), o którym
Hipolit Taine tak mądrze mówił
w pierwszym tomie swej pomni-
kowej pracy. + Logiczny umysł
XVIII wieku, obcy wszelkiemu histo-
rycznemu poczuciu, nie oświecony
znajomością rzeczywistych stosun-
ków, pozbawiony kontroli prostego
rozsądku, doprowadził Francyę do
zupełnego i smutnego przewrotu,
do Rewolucyi, która popełniła
jeszcze więcej błędów, niż okru-
cieństw. + Francuzi obalają trony,
odmieniają nieustannie formę rządu,
lecz nie zdołaliby zabić logicznego

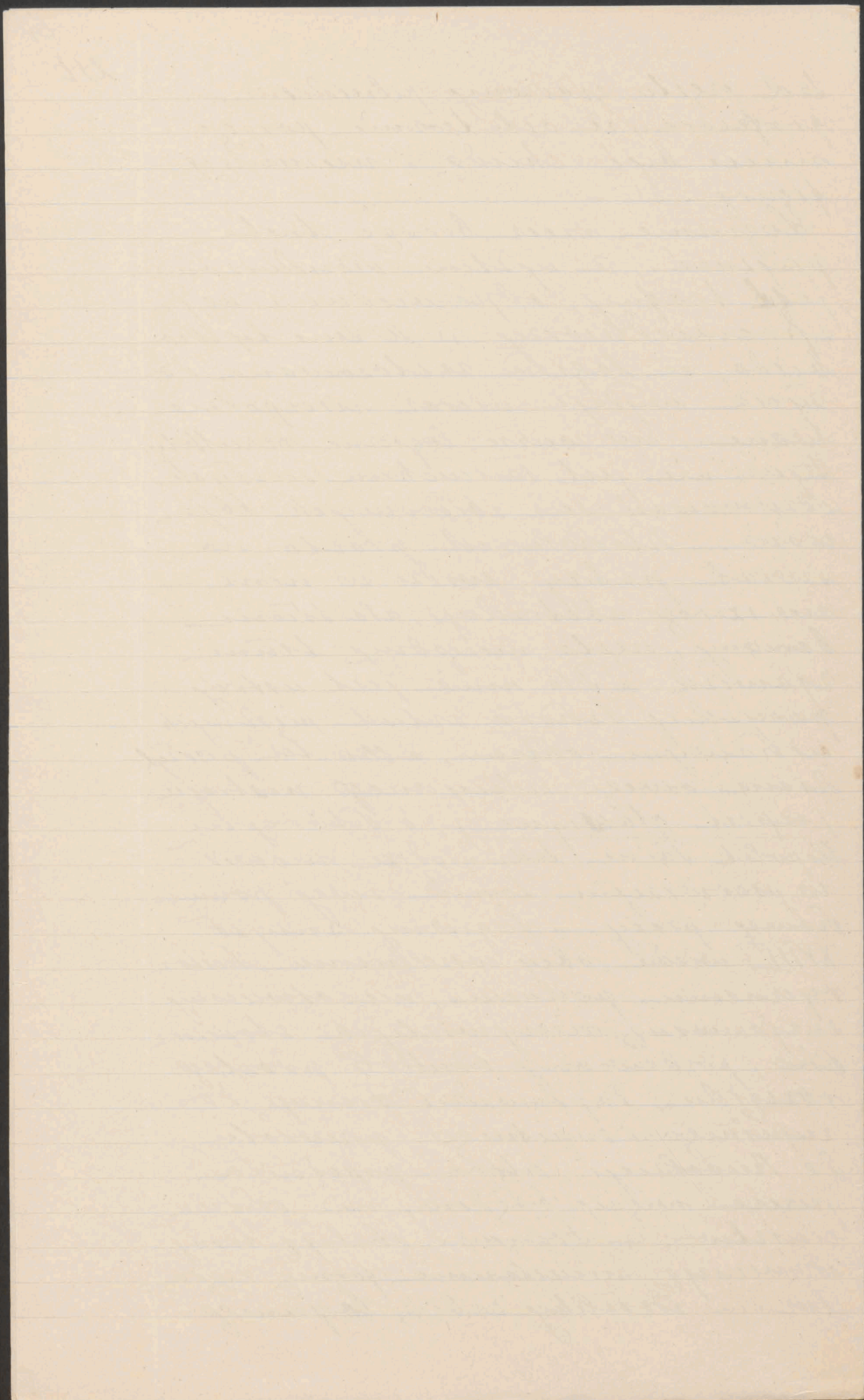

zwycząju łatyńskiego umysłu. — Naród zkądinąd pozbawiony filozoficznych upodobań i zdolności, trzyma się jeszcze, trzyma się ciągle łacińskich nawyknień. —

Mniejsza więc o talenty, mniejsza o osobniki, które system zabija. Społeczeństwo nie mówi im: „Starajcie się wydoskonalić, wyrobić sobie indywidualność, starajcie się być sobą." — Mówi im natomiast: „Pracujcie pilnie, pracujcie tą myślą, że powinniście się swoim profesorom podobać. — Jeżeli pójdziecie utartą drogą, jeżeli przytłumicie w duszy osobiste wasze popędy, nie zbraknie wam obstalunków ze strony Paryża i kraju."

Nie można się dziwić, ani zupełnej nierówności tych prac, które uczniowie Szkoły sztuk pięknych wystawiają, ani niskiemu poziomowi moralnemu młodych artystów francuskich. — Są to przeważnie ludzie, chciwi uznania, odznaczeń, obstalunków. — „Walka o byt" jest dla wielu pierwszorzędną zasadą. — Kiedy na wiosnę r. b. otworzło podwoje Szkoły kobietom, uczniowie płci męzkiej, powitali koleżanki sykiem i gwizdaniem. — Na zapytanie, co ich skłania do tak brutalnego ze strony francuzów uprzejmością wsławionego postępku,

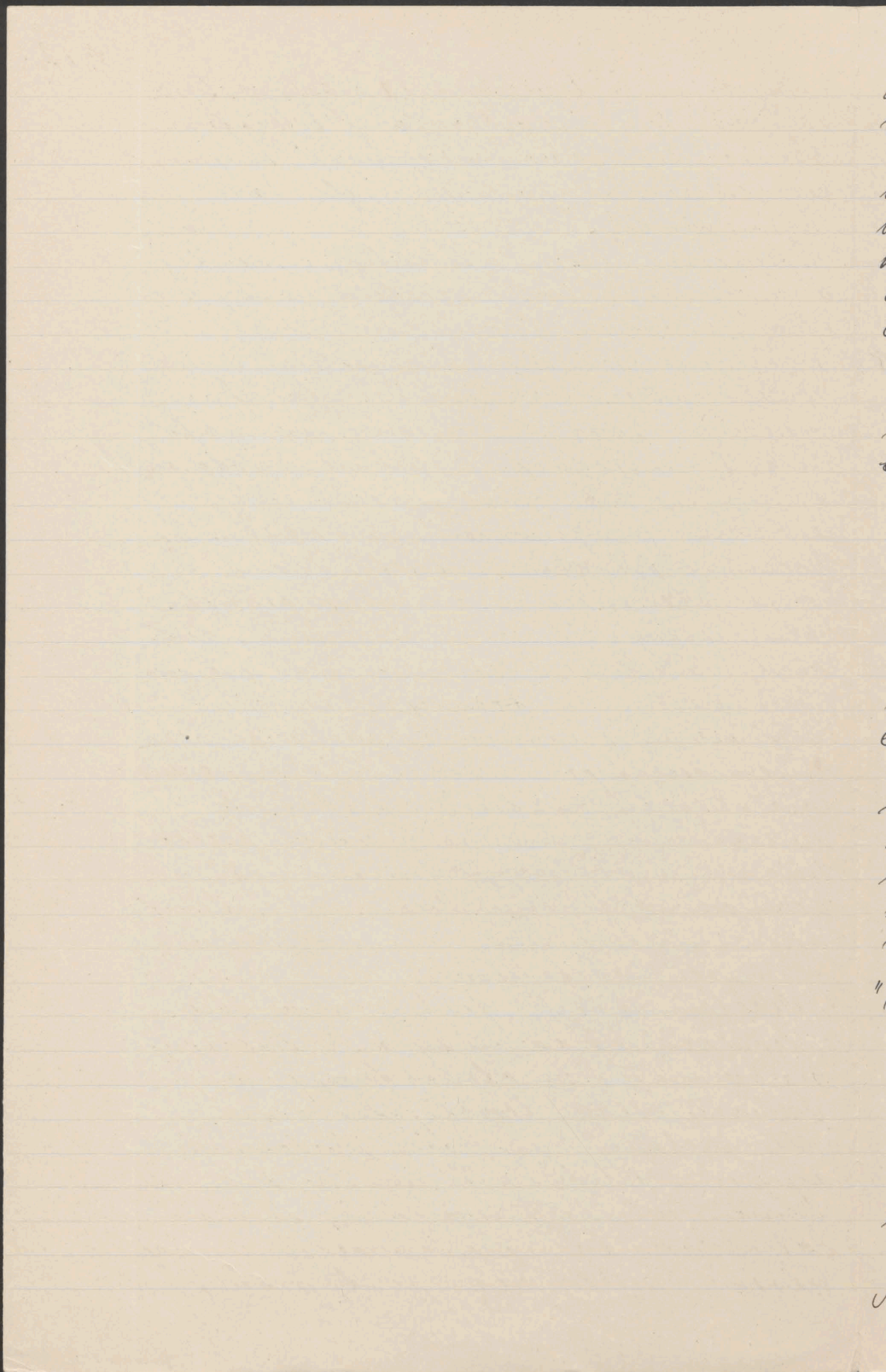

odpowiadali spokojnie i bez wstydu, że kobiety mogą odtąd zdobywać odznaczenia i nagrody, że dla dawnych uczniów będą stanowiły poważną konkurencyę. ... A więc precz z artystkami! — Bo tu nie chodzi o sztukę, chodzi po prostu o zamówienia, o chleb powszedni. „Prasa zemściła się na młodych malarzy.) ..

(Mojem zdaniem powinna była raczej wystąpić przeciw ustrojowi Szkoły rządowej. — Skoro się stawia zasadę „walki o byt", skoro się ją w czyn wprowadza, nie należałoby ufać w szlachetną miłość sztuki, w altruizm przyszłych artystów.

System oficyalnej Szkoły, niestety nieco przedawniony — wywołały w Paryżu reakcyę. Powstał cały szereg szkół prywatnych, gdzie i Francuzi i obcy uczą się rysunku, malarstwa, modelowania. ... Znani nieraz słynni mistrze udzielają tam rad młodym artystom i artystkom. — Postronne, niemal na przedmieściach umieszczone „akademie", pp. Julian, Colarossi, Délécluze ściągają tłumy adeptów. Wielu znakomitych rzeźbiarzy i malarzy wyszło z tych skromnych instytucyi. —

Chcąc być zupełnie szczerym, muszę oświadczyć, że każda francuzka szkoła artystyczna wyrabia w swoich uczniach pewną wielką rzadką w reszcie Europy

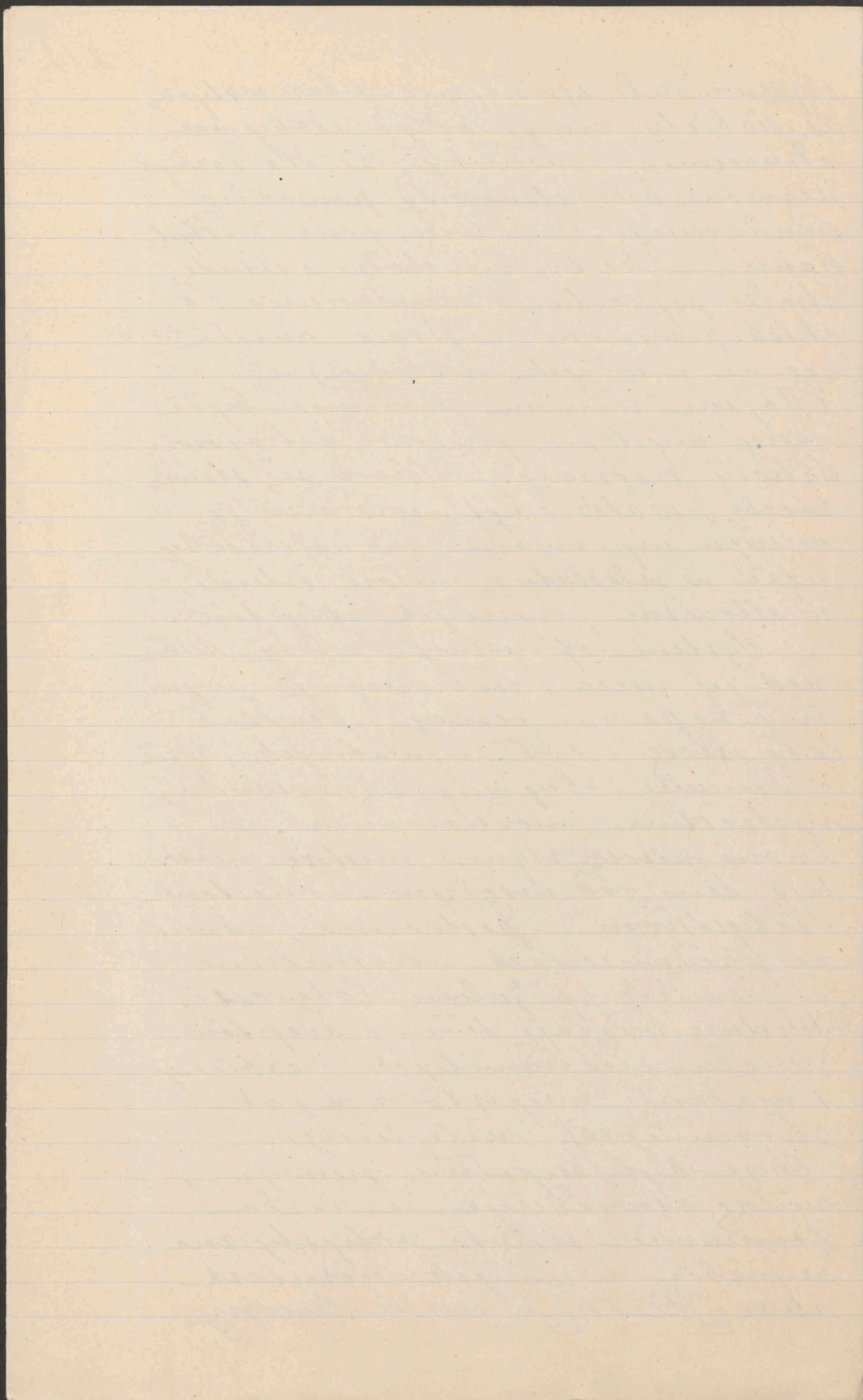

zalety: uczy rysować, znać kształt ludzkiego ciała. I oficyalni profesorowie przy ulicy Bonapartego i kierownicy prywatnych „pracowni” wśród południowych dzielnic Paryża, kładą główny nacisk na zrozumienie figury ludzkiej. —

(Benvenuto ~~Cellini~~ Cellini niegdyś mówił, że sztuka jest to umiejętność narysowania mężczyzny i kobiety). —

(Dzisiejsi artyści francuscy mają wprawdzie szersze, rozleglejsze i może głębsze pojęcie swego zadania, ale nie lekceważą tradycyi Renesansu, zasad Celliniego. — Toteż nigdzie się tak nie można nauczyć rysunku, jak w Paryżu. — I dlatego należy wysyłać młodych naszych artystów nad Sekwanę. — Nie radziłbym im jednak pozostawać zbyt długo w „Świetlanem Mieście”. (Ville Lumière). —

(Wolałbym, aby się borykali ze szczerem, choć może grubiańskiem pojęciem Niemców, pragnąłbym, aby uniknęli oschłej, lichej atmosfery bulwarów. — Nie wystawiam sobie, nie zdołam sobie wystawić otoczenia, „środowiska” bardziej wrogiego artystycznej twórczości, niż Paryż. — Ryszard Wagner, niezmiernie genialny i prosty, ufał, że znajdzie we Francyi publiczność dość inteligentną, dość „europejską,” aby ocenić „Tannhäusera”. — Wygwizdano operę, wygwizdano

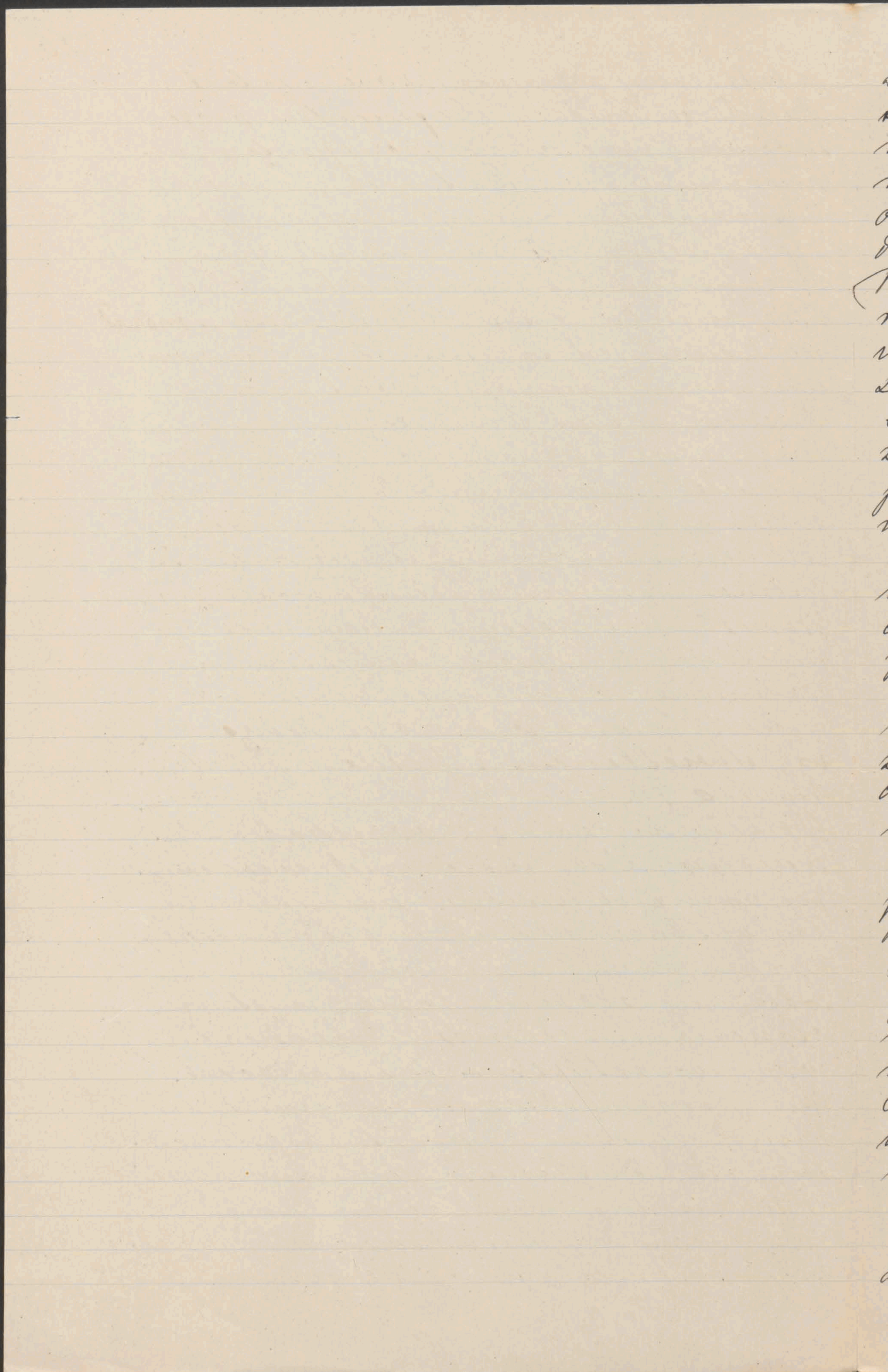

arcydzieło, poemat subtelny i potężny. — Francya wywarła jednak na swój sposób dobroczynny wpływ na talent Wagnera. — Szukał on oddawna kierunku, myśli przewodniej, szukał samego siebie. — Błahość muzyki francuskiej obrzydziła go do tego stopnia, że postanowił zerwać z tradycyą i pisać po swojemu. — Poczuł, że nie zadowoli eleganckich gości Wielkiej Opery, że nie zdoła się nagiąć do wymagań paryskich. — Poczuł równocześnie, że ma coś osobliwszego do powiedzenia, i dużą myśl w dużych ramach. — Wiedział, że dziecinny ~~tłum~~ Francuzów nie może go zrozumieć. — Postanowił zatem nie liczyć się z nimi, być śmiało i prosto sobą, wielkim, czysto niemieckim muzykiem i poetą. — Płytkość ówczesnego Paryża kazała Wagnerowi zamknąć się w germaniźmie.

Muzyce Meyerbeera zawdzięczamy po części uświadomienie potęgi, którą Ryszard Wagner miał w sobie, i odkrył światu. —

Jeżeli Paryż ma tak działać na wszystkich artystów, to wyprawmy naszych ~~odważnych~~ nad Sekwanę. Cóż kiedy wyjeżdżają tam i inne wpływy, a wielu młodych malarzy wywozi stąd więcej dziwactw, niż szczerości.

Wagner opuścił Francyę, ale jego opery powoli do niej wracają.

Usiłowano zrazu zabić „Lohengrina", ale przetrwał pierwsze burzliwe wieczory." — „Tannhäuser" wywołał już same owacye oklaski. — Świetnie powitano „Mistrzów śpiewaków" z entuzyazmem. + Charakterystyczny to może objaw, że nie najpoetyczniejsze, fantastyczne opery, ale ta realniejsza, do muzykalnej komedyi zbliżona, najwięcej odpowiada gustowi francuskiemu. ‖

Co prawda przedstawienie Wielkiej Opery ma być znakomite. — Nie mogę o niem jeszcze mówić de visu lecz wierzę rad pochwałom. ‖

Bo paryska subwencyonowana scena umie dobrze wystawiać Wagnera. — Widziałem wprawdzie takie reprezentacye „Lohengrina", że nie chcianoby ich słuchać w małych miastach niemieckich, gdzie czasem, np: w Frankfurcie nad Menem, zdarzy się taki pyszny Lohengrin, jak Bandrowski. — Pamiętam natomiast „Tannhäusera" godnego stolic niemieckich

I jeśli księżna Paulina Metternich bywając w Paryżu, chodzi oglądać operę, której losem zajęła się jeszcze za Cesarstwa, jako ambasadorowa austryacka, nie ma już ona dziś powodu łamać w chwili gniewu wachlarza o brzeg loży. ‖ Bo na scenie śpiewają wybornie, w sali słuchają nieźle, i dzieło, które prześladowano przed laty, zwycięża dziś, zupełnie bez protekcyi.

R. M. Górski.

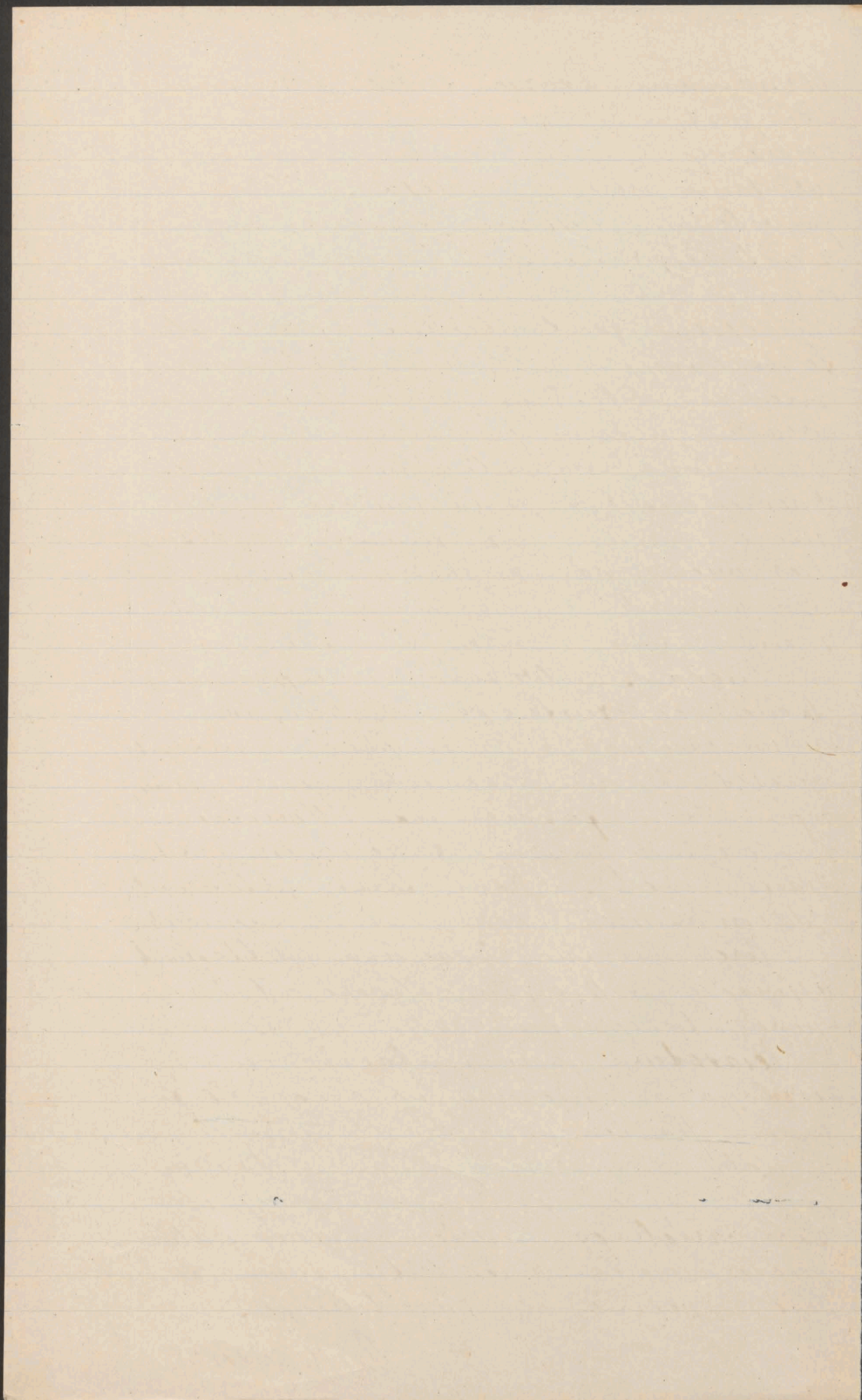

(Niedziela, 12 Grudnia) 1897 r.

~~Słowo Nr 234.~~

Listy z Francji.

III

~~III~~

(Ostatnia książka pana Brunetière. — Niektóre jego poglądy, gusta i uprzedzenia. — Charakter „społeczny" jego pism. — Podział literatury francuskiej na obozy i znaczenie, które autor różnym obozom przypisuje.)

A gdybyśmy też, nie pomni wrzasku i skandalu, pomówili dziś o czemś obcem całej sprawie Dreyfusa? Nie będzie to rzecz łatwą. — Trudno jest tak się skupić, zamknąć się w takiej ciszy, aby krzyk roznosicieli gazet, nie doszedł do uszu, nie dostał się z ulicy przez okna zamknięte i zasunięte firanki. — Silny wiatr bije dziś o ściany starego domu, w którym mieszkam. Nad całym Paryżem rozszalała się burza. — Płomienie świec chwieją się na stole.

Nie powiem dziś ani słówka o najnowszej jego powieści, wychodzącej w odcinkach dziennika. — Wolę poczekać, aż ukaże się w tomie. — Nie mam również serca

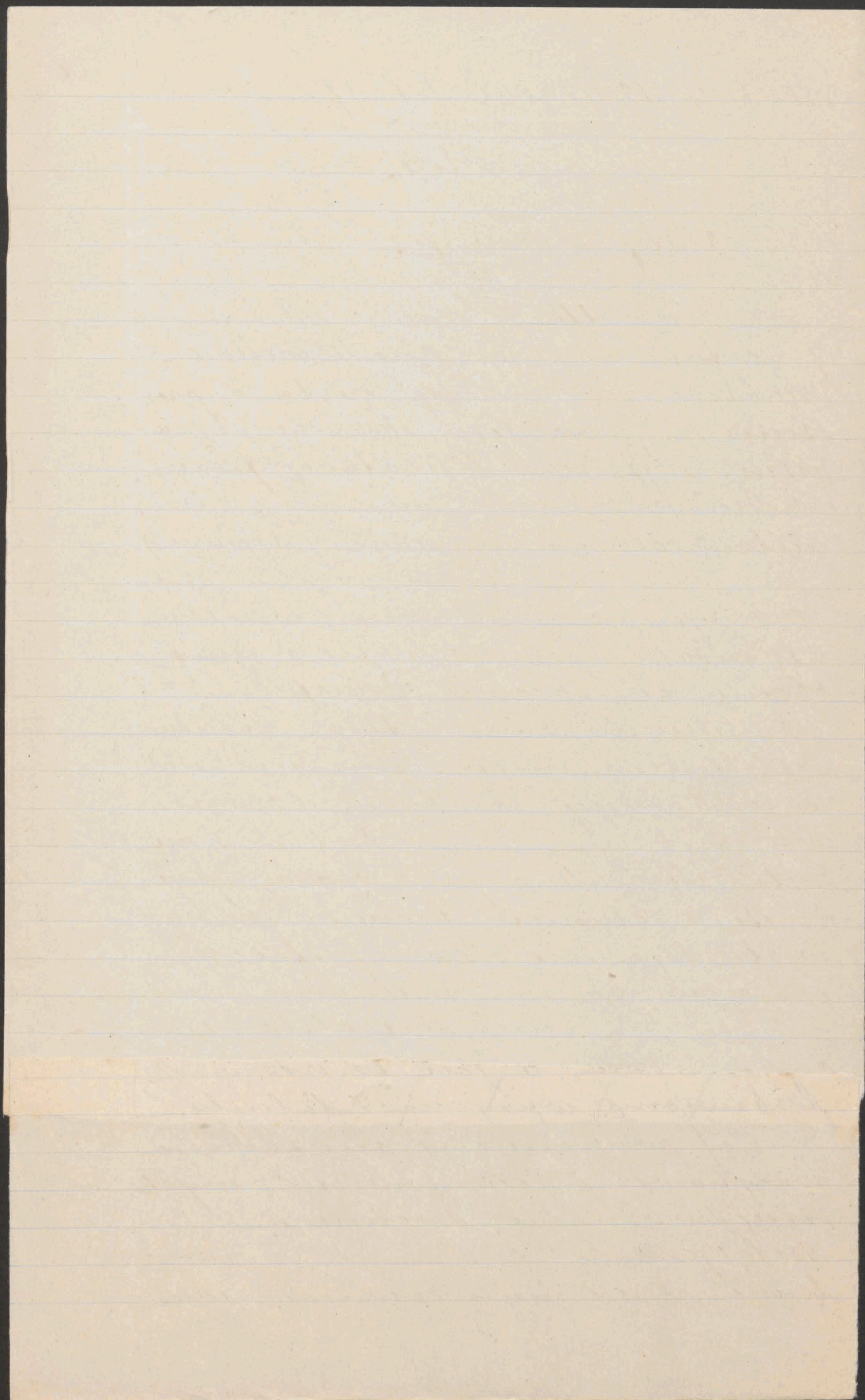

prawić o sztukach, które w tej chwili gromadzą publiczność w teatrze. — Na cóż mam mówić o błahych, lichych komedyach, kiedy się taka straszna, bolesna tragedya rozgrywa?

Szczęściem istnieje świat osobny, świat naukowej pracy, świat książek uczonych. + Autorowie ich nie liczą na nieśmiertelność, badają jednak, trudzą się i piszą. — piszą, bo mają coś do powiedzenia społeczeństwu, bo szukają tej prawdy, którą nieraz gardzi tłum mężów politycznych, bo całe swe życie oddali na jego usługi.

Ta miłość prawdy naukowej nie jest wrodzoną, właściwą ludom romańskim. — Germanie, którzy ją w polityce lekceważą, są a priori jedynymi jej wielbicielami w badaniu. Ale niemieckie tchnienie przeszło dziś przez Francyę. ++ Po za histeryą starych, w ciągu lat ostatnich szowinistów, pracuje się dziś w Paryżu równie sumiennie i równie krytycznie, jak w Lipsku i w Berlinie. — Możebyśmy więc pomówili o kilku ciekawych i poważnych dziełach naukowych?

Układam sobie te nowe francuzkie wydawnictwa na stole. I wydaje mi się odrazu, że burza zewnętrz przycicha, że światło przestaje się chwiać i migotać. —

Biorę naprzód do ręki gruby tom „podręcznik dziejów francuzkiego

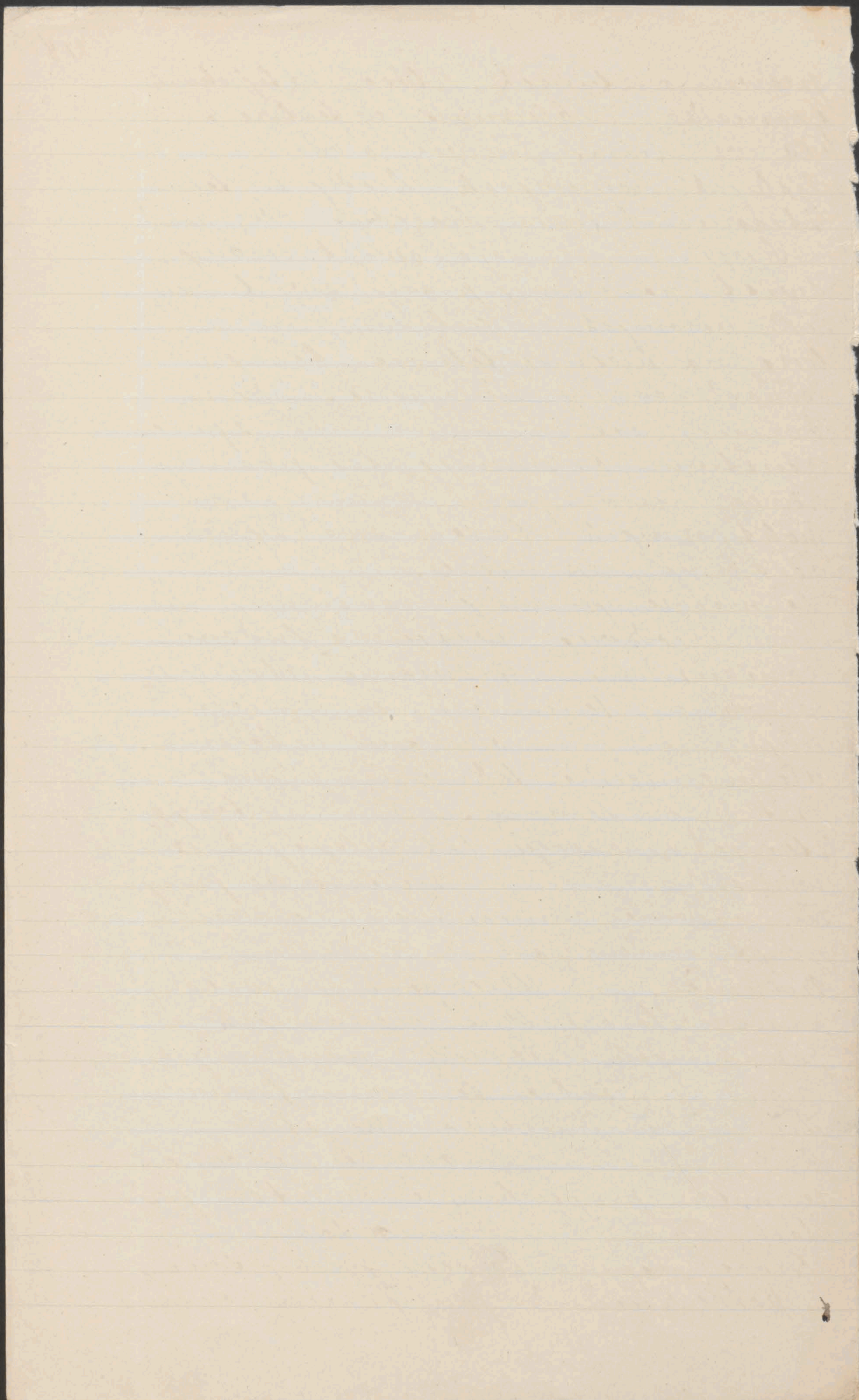

piśmiennictwa" (Manuel de l'Histoire de la littérature française. Paris, Ch. Delagrave, 1898). Autorem jest p. Ferdynand Brunetière, członek Akademii Czterdziestu.
Dziwny to człowiek. – Niema pewno we Francyi pisarza, któryby tyle był czytał i tak dokładnie znał nietylko francuskich, ale i obcych autorów. – Dość powiedzieć, że na wiele lat przed modą, która wprowadziła Schoppenhauera do Francyi, pan Brunetière ocenił doniosłość jego filozofii. – Zwalczał ją nieraz – ale rzecz w Paryżu zbyt rzadka – przeniknął ją, zanim ją osądził. – Jako profesor w „École Normale," jako literacki recenzent w „Revue des Deux Mondes," wydał wojnę różnym artystycznym kierunkom, które uważał za zgubne. Przebiłał indywidualizm romantyków, miażdżył powieść realistyczną. – Nie znał wówczas, ani litości, ani upamiętania. –, Nie pojmował w ogóle literatury – po za swem osobistem pojęciem o literaturze. Bywał wprost niesprawiedliwy i dla Średniowiecza, i dla lat ostatnich. – P. Brunetière ogromnie wiele czytał i wie bardzo dużo, ale wydaje się czasem, że nie wszystko rozumie. – Dopóki nie przekracza granic wieku XVII i XVIII-go, dopóki mówi o Corneille'u i Molierze, o dziełach Voltaire'a i Jana Jakóba

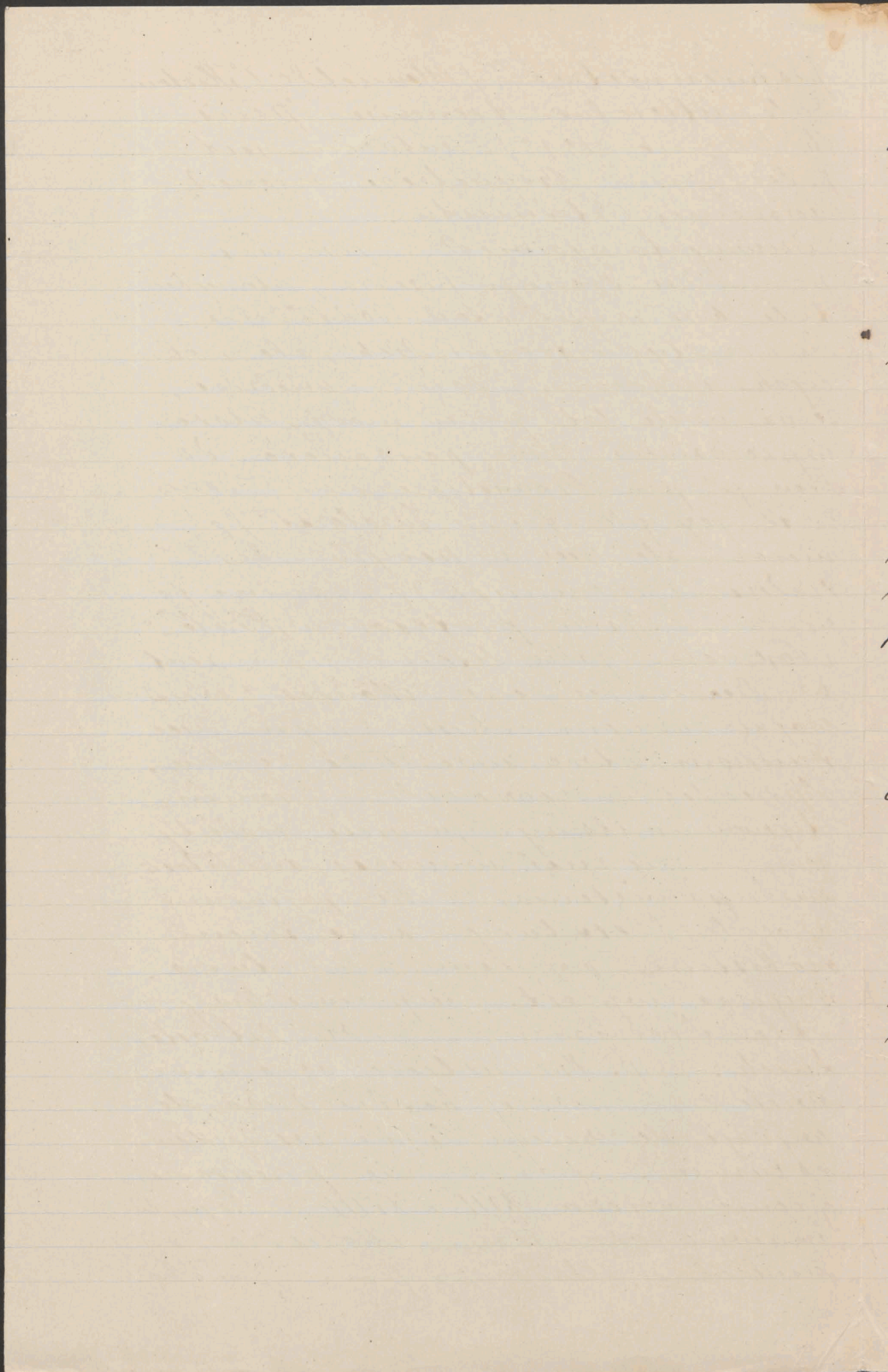

Rousseau, słuchamy go pilnie, wierzymy mu na słowo. — Ale kiedy nie będąc filologiem, zaczyna prawić o poezyi średniowiecznej francuskiej, kiedy ją w czambuł potępia, kiedy pieśni ludowe XIV stulecia, zestawia z kupletami współczesnych „cafés chantants", czujemy, że się coś psuje, że pisarz przestaje być historykiem. — Podobnie ma się rzecz z nowożytnemi kierunkami w piśmiennictwie. —

Śmieszne uwielbienie, którem Edmund de Goncourt otaczał swoje własne prace i swoją dostojną osobę, umyślne czy przypadkowe niejasności tak zwanych „dekadentów", „neo-mistyków", — „neo-chrześcian", kółka wtajemniczonej ~~adoracyi~~ admiracyi, coraz częstsze, wśród młodych pisarzy, sztuczna tajemniczość jednych, błacha subtelność drugich — wszystko to irytowało pana Brunetière do tego stopnia, że brakło mu zbyt często owej pogody, bez której niema krytyki, przynajmniej tej apodyktycznej, jedynej, którą sam pan Brunetière uznaje. — Dla niego krytyk — jest to sędzia, odpowiedzialny wprawdzie przed potomnością za wyroki, ale w chwili obecnej uprawniony do wymierzania sprawiedliwości, do stawiania pomników i do karania śmiercią. — Nie przypominam sobie,

aby literacki recenzent „Revue des deux Mondes" zadekretował pozgę komukolwiek ze współczesnych. Byłem natomiast świadkiem licznych, krwawych egzekucyj. Spod togi sędziego publiczność odgadywała oskarżyciela, widziała nieraz w krytyku — polemistę. Po jego ocenach nie pozostawało nic, albo prawie nic z Flauberta, Daudet'a, Zoli, Verlaine'a, z kilku uczonych, z kilku wytwornych książek braci Goncourt. Kiedy Bourget, Loti, Lemaitre zaczęli wystawiać głowy nad poziom zwykłej mierności, pan Brunetière kosił je z zapałem, jak puste makówki. Wszyscy starsi pisarze, których wymieniam, albo spotkali się z odmową akademii francuskiej, albo nie myśleli o niej, (jak np: Verlaine), ale też wydali jej wojnę. Młodsi natomiast, postarali się o zaszczytny fotel i kolegują dzisiaj z panem Brunetière. Piszą nawet do dwutygodnika, którym od lat kilku kieruje.

Nie wątpię, że ze szczerością, której dał nieraz dowody, uznaje on sam, że się grubo pomylił w surowych sędziowskich wyrokach. A nawet kto wie, czy dzisiaj nie czuje, że dawne prace takiego Bourget'a, te właśnie,

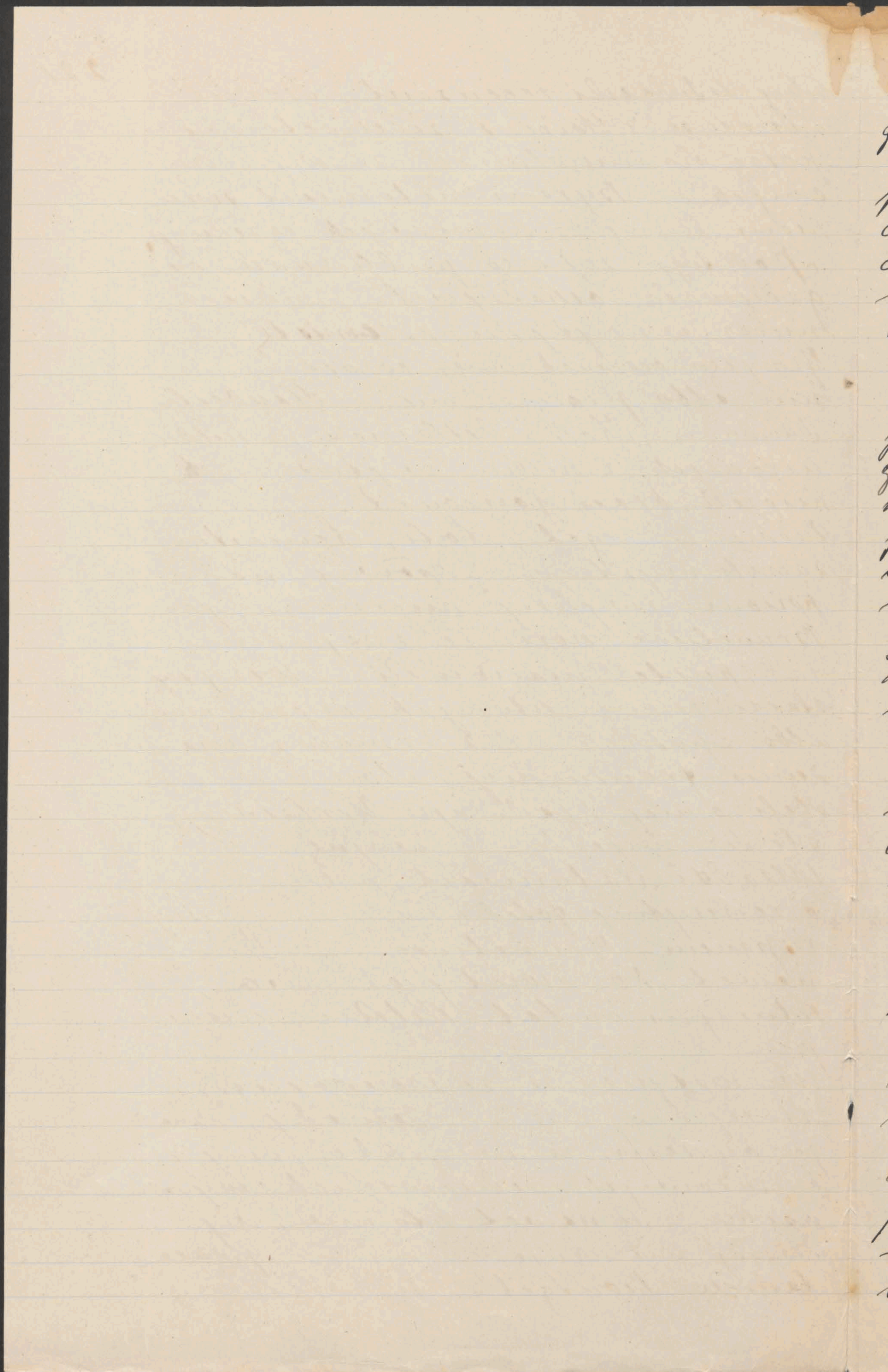

które zwalczał i potępiał, są wyższe, głębsze, prawdziwsze od ostatnich. —
Brunetière, jest to z natury — mówiąc po nowopolsku — „społecznik,” to jest człowiek zajęty ogółem spraw społecznych, oddany nietylko stronie ich materyalnej, więcej zatem, niż socyolog — w codziennem, potocznem znaczeniu wyrazu. — To wszystko, co dotyczące całości społeczeństwa, praw jego bytu i rozwoju, pociągało go zawsze. — Wobec nowego literackiego utworu, jeżeli nie pierwszą, to jedną z pierwszych jego myśli, była ta: czy dzieło przyniesie ogółowi pożytek, czy szkodę. —
Przez pewien czas miał określone pole działania: recenzyę literacką i historyę literatury. — Jako profesor w „Ecole Normale” wygłaszał podobno ustnie te same poglądy, które rozwijał w artykułach „Revue des deux Mondes.” jeżeli się czytelnicy dzielili na dwa wrogie obozy, to, jak z ust wiarogodnych słyszałem, wśród słuchaczy miał prawie samych zwolenników i przywiązanych uczniów. — Od chwili objęcia redakcyi pisma, w którem szereg lat, pełnił obowiązki literackiego recenzenta, powierzył dotychczasowy swój dział panu René Doumic, młodemu i zdolnemu pisarzowi, który podziela w zupełności jego przekonania, ale ich broni w całkiem odmienny sposób:

Spokojniej, dyskretniej, a może skutecz-
niej. + Walczy nie oburzeniem i po-
gardą: walczy ironią. –
Literackie krytyki słynnego „Przeglą-
du dwóch światów" uległy zwy-
kłemu prawu wszechrzeczy fran-
cuskich. + Porzucając większość
dotychczasowych środków walki,
wymowę, patetyczność, siłę, chwy-
cił się broni obosiecznej, ale jedy-
nej, która zadaje dziś rany. :)
(Chwycił się ironii. –
Brunetière przestał wówczas
zajmować się dziejami piśmiennic-
twa, postanowił rozstrzygać wielkie
spory – odsłonił przyłbicę. –
W odczytach i broszurach wystę-
puje jako polemista i „społecznik."
Jedna z tych odezw, nosząca tytuł
„Bankructwo nauki," wywołała
burzę długotrwałą i – w mojem przeko-
naniu – niepotrzebną. – Bo dlatego, że
słynny skądinąd uczony wypowiedział
raz zdanie, które zaszkodziło prawdzi-
wej i prawej umiejętności, a w kołach
przyrodników wywołało, albo śmiech,
albo żal i oburzenie, dlatego, że pan
Berthelot, chemik, aplikujący chwi-
lowo na męża stanu, poczuł się
kandydatem na francuskiego minis-
tra i zawołał: „Świat nie ma już
tajemnic!" – czyż wypadało dla tego,
czy wypadało poważnemu badaczowi
ogłaszać z hałasem, że nauka już
zbankrutowała? – p. Brunetière, który
wprowadza teorye ewolucyjne do

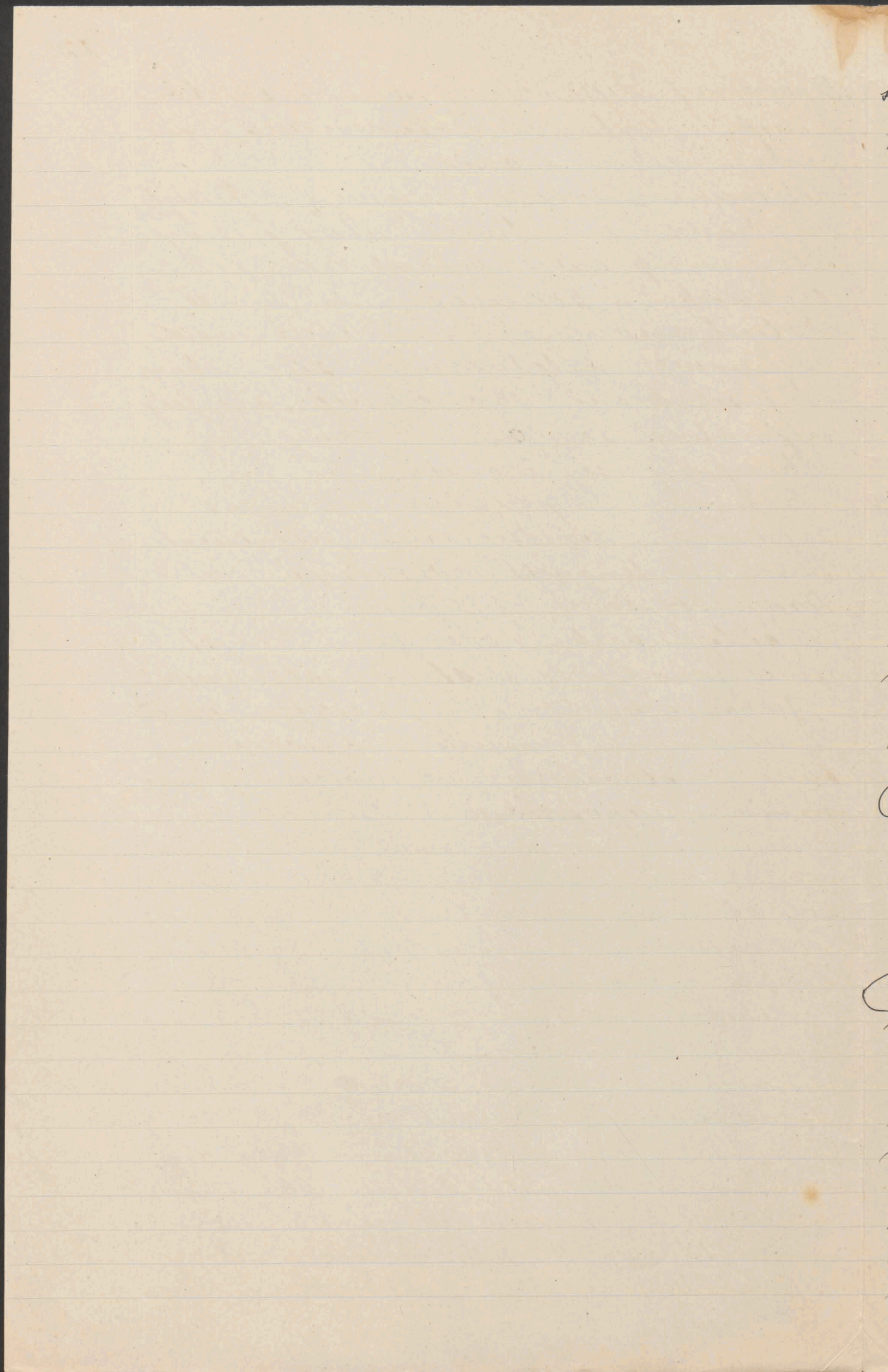

studyów nad rozwojem umysłowości i piśmiennictwa, uległ ponownie wojowniczemu swemu temperamentowi. ✝ W gruncie rzeczy sam ufa jeszcze w naukę.

Na wiosnę r. b. wyjechał do Ameryki, aby w publicznych wykładach zwalczać realistyczną powieść francuzką. Nie ośmielę się twierdzić, jakoby mu ta kampania przysporzyła w Paryżu życzliwych. Świeżo udał się do Rzymu, gdzie dostąpił zaszczytu prywatnej, blizko godzinę trwającej audyencyi u Leona XIII. ⸗ Brunetière ma podobno zamiar pisać rodzaj apologii katolicyzmu. ⸗ Podaję to na wiarę dzienników i to - paryskich; innemi słowy - nie biorę odpowiedzialności za wiadomość. Rzecz sama nie wydaje mi się jednak niemożliwą.) ✝✝

(Wśród wszystkich literackich swoich ciasnot, wśród szeregu nieprawidłowości, jakich się dopuścił, niezwykły człowiek, o którym dziś piszę, odznaczał się zawsze szczerością słowa i głębokością przekonań). ✝.

(Fontenelle napisał, że gdyby miał prawdę w ręku, nie wypuściłby wcale pięciu palców ręki otworzyć i raz, dawno, w zapale polemiki Brunetière oświadczył, że w danym razie jest gotów tak samo postąpić. - Przyszło mu zapewne na myśl francuzkie przysłowie, że: nie każdą prawdę należy wygłaszać. ✝ Nie wiedział, że się jego zdanie spotka

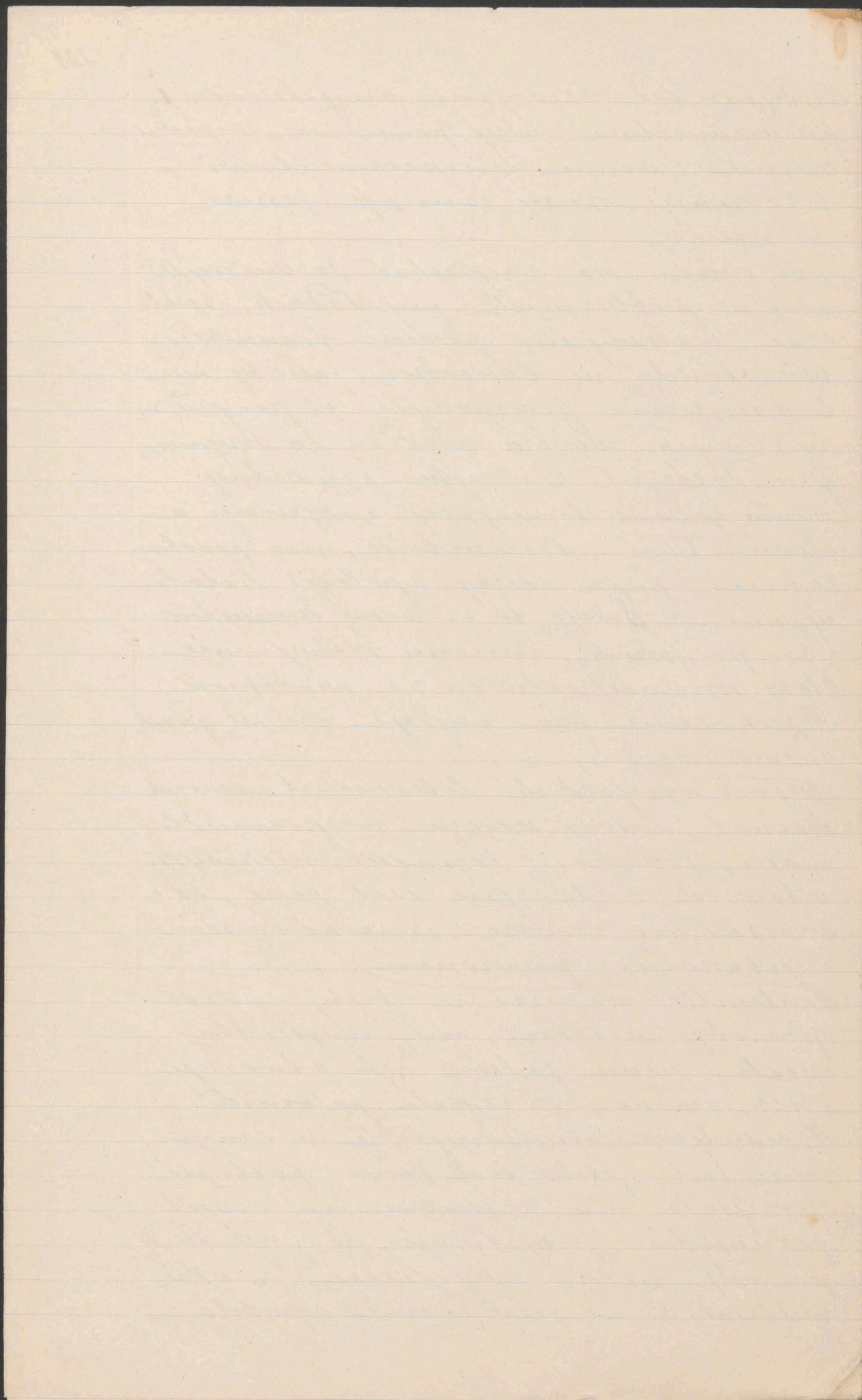

z czterowierszem Mickiewicza. – Myślał zapewne o chwilowych prawdach w zakresie polityki, o oportunizmie pośród spraw bieżących. – Nie sądzę jednak, aby i wówczas przed laty, Brunetière należał do tych, którzy radzą – przejść do porządku dziennego nad sprawą winy lub niewinności żołnierza, oskarżonego o zdradę. To w każdym razie pewna, że nie trwożący się, o skutki badania, uczciwy badacz szukał dla samego siebie prawdy, światła dla własnego sumienia! – Do niedawna był on w kwestyach religijnych prawdziwym, nieuprzedzonym sceptykiem. Całe jego wysilenie opierało się – jak sądzę – na nowoczesnej filozofii. – Uznawał w wierze, w ślepem poddaniu się dogmatowi, wielką siłę społeczną, wielką i społecznie dobroczynną. – Pozostawał jednak na neutralnym terenie obserwacyi.

Świeżo ogłoszony podręcznik wydaje mi się nietylko ważnem i ciekawem dzieckiem p. Brunetière, ale również znaczącym faktem w jego biografii, w dziejach jego wewnętrznego rozwoju. – Przedmowa zapowiada wprawdzie inną książkę, obszerniejszą, może wielotomową, ale ja czuję w obecnej rodzaj literackiego testamentu. – Nie zdziwiłbym się, gdybym na czele lub na końcu tomu znalazł oświadczenie tej mniej więcej treści: „Mam lat blisko pięćdziesiąt.

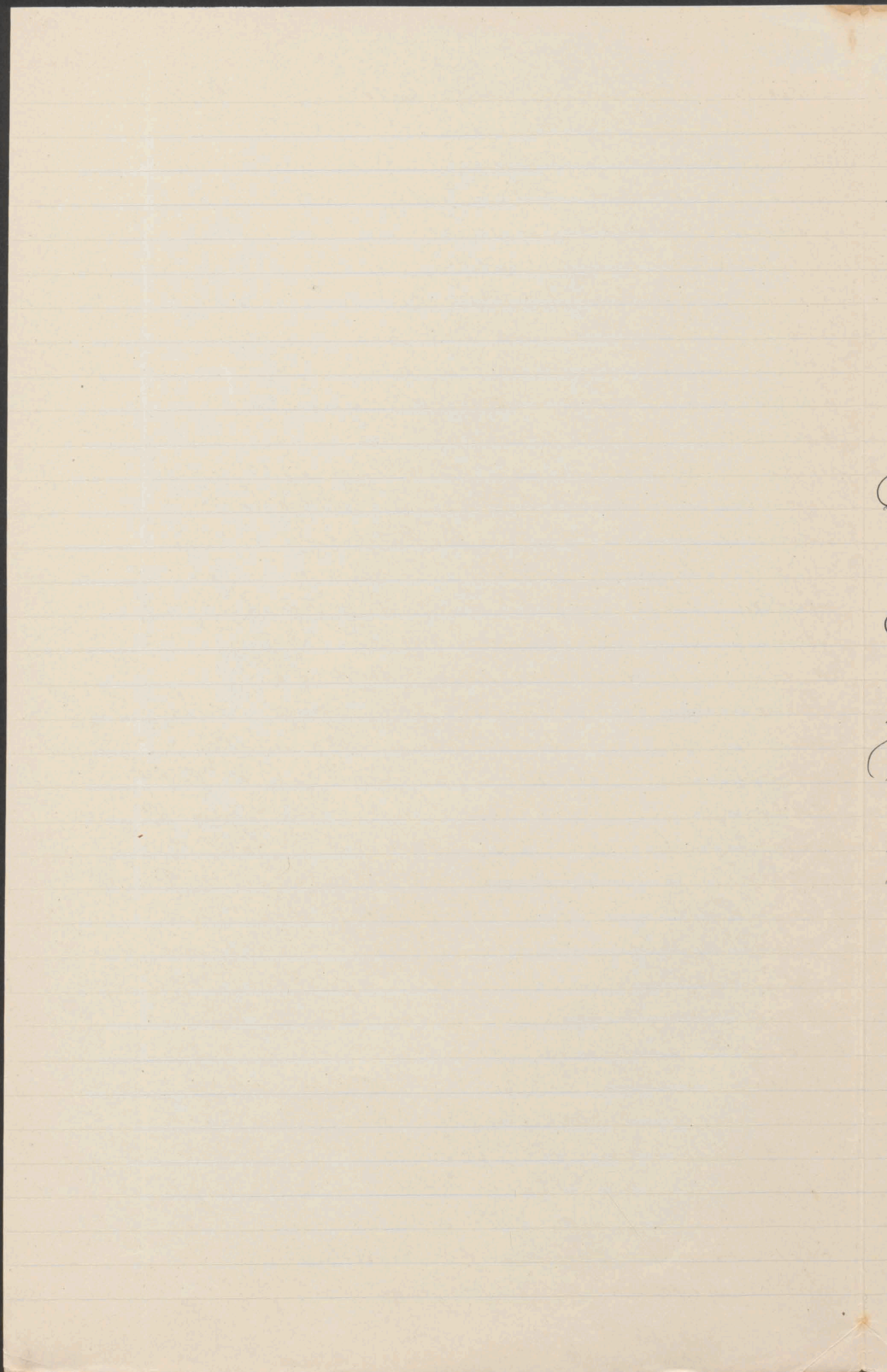

Mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że połowę życia poświęciłem badaniu literatury francuskiej, tych wpływów, którym ulegała, i tych, które wywarła na zewnątrz. – Doszedłem do różnych rezultatów, z których nowości i znaczenia ani wykształcona publiczność, ani nawet uczeni, nie zdaję sobie sprawy. Obecnie mam zamiar porzucić przeszłość dla teraźniejszości. – Nie chciałbym jednak, aby rezultaty moich dotychczasowych usiłowań poszły na marne. – Wydaję zatem dzieło podwójne. ++
Górna część każdej stronicy zajmie wykład mego osobistego zapatrywania na rozwój francuskiego piśmiennictwa. + ; ; ;
W dolnej znajdziecie, obok bardzo sumiennych wskazówek bibliograficznych, objaśnienia do właściwego tekstu mojej książki: szereg uwag, notat, odsyłaczy do różnych odsyłaczów i cudzych i moich. – Radźcie sobie z tem jak możecie."

Muszę dodać, że gdyby ta fantastyczna, przezemnie skomponowana odezwa, była naprawdę wyszła z pod pióra p. Brunetière, różniłaby się z pewnością od powyższej.
Po pierwsze: byłaby o wiele skromniejszą – i ta skromność nie wydałaby się nikomu śmieszną.
Po wtóre francuzczyzna byłaby tak skomplikowaną, zdania tak

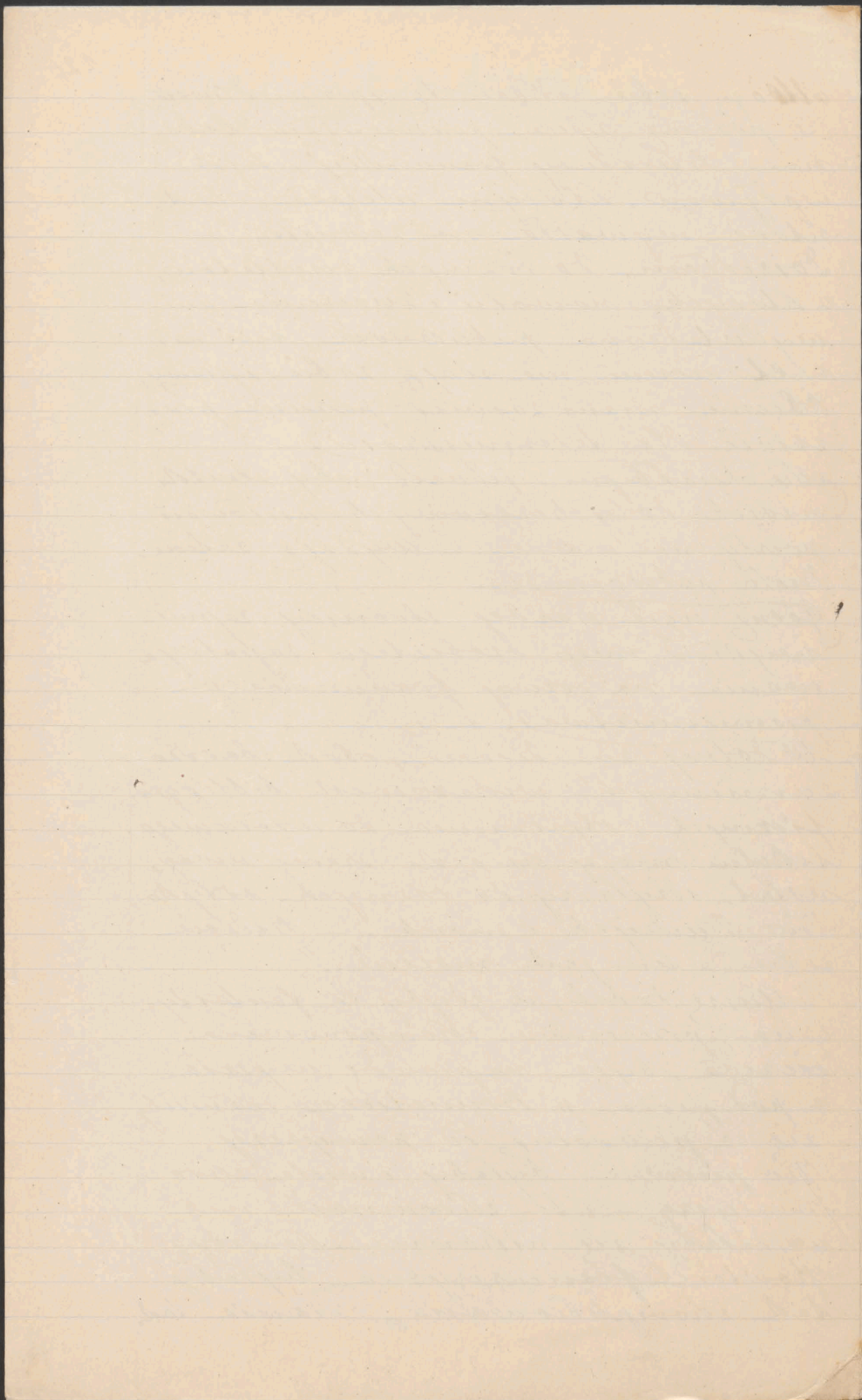

poplątane w jeden olbrzymi odwet, że nie byłbym się nigdy ośmielił przetoczyć odezwy na połowę przez czytelnię — żart na stronę, sumbowdziej, że może to i niestosowny żart. — Ale trudno nie przyznać, że pan Brunetière, człowiek w zasadzie nowodziejny i pojmujący zmienność epok, usiłuje niekiedy pisać stylem XVII wieku, a nie wie, że dzięki dziwnemu swego umysłu, wrodzonej dokładności, niezwykłemu poszanowaniu szczegółów popada nie w pełnię, nie w odwagę ducha Bossueta, ale w rozwlekłą drobiazgowość wielu autorów niemieckich. —

Książka jest wysoce interesującą, nosi bowiem na sobie wyraźne piętno niecodziennego umysłu, i stąd niepospolitej erudycji. — Zwykłe zalety autora występują tu w blasku wady nie rzucają się tak silnie w oczy. — Pobieżny obraz dziejów piśmiennictwa francuskiego, zajmujący jego górną część strony, można z łatwością w jeden wieczór przeczytać. Sądzę jednak, że aby ten środek w całej pełni swej ocenić, należy znać dawniejsze dzieła, ważniejsze poglądy, szczegółowe studya pana Brunetière. —

W notatkach dolnych mieszczą się: z jednej strony — daty biograficzne, daty wydań, tytuły najlepszych monografii o danym pisarzu, a z drugiej — i to jest najciekawsze, —

szereg uwag zwięzłych, nieraz nawet zbyt krótkich, chwilami trochę ciemnych, uwag, które rozwijają myśl ledwo zaznaczoną w tekście. — Wygląda to wszystko dość dziwnie. — Rzekłbyś, że Brunetière, mając wydać obszerną wielotomową książkę o literaturze francuzkiej, zapisał sobie dwieście, których dotykać zamierza, a dzisiaj, zmieniwszy plan pierwotny, ogłasza drukiem owe osobiste notatki. — Kto nie zżył się z autorem, niezwiele z nich skorzysta. — Dla człowieka, umiejącego czytać tylko skrypta, dla wczytanego w ciężką francuzczyznę byłego profesora Szkoły Normalnej, są to rzeczy pełne nauki. Tom liczy przeszło 500 stronic, ale niemasz w nim całych dwudziestu kart, poświęconych wiekom średnim. Mówiąc o dziejopisarskiej działalności Voltaire'a, potępia p. Brunetière jego kaprys w wyborze faktów i epok, godnych opracowania, lub niegodnych nawet prostej wzmianki. — Pomimo to, w ciągu tych długich stuleci, których piśmiennictwo, zalewające całą Europę średniowieczną, znalazło dziś badaczy w Niemczech, Włoszech, Skandynawii, a nawet i u nas, p. Brunetière nie widzi nic — nic zdolnego zająć uwagi. —

Wiek XVI przynosi nowy pierwiastek: poczucie artystyczne, sztukę, która uszlachetni skromne zadanie pisarza. — Twórz zadaniami niady,

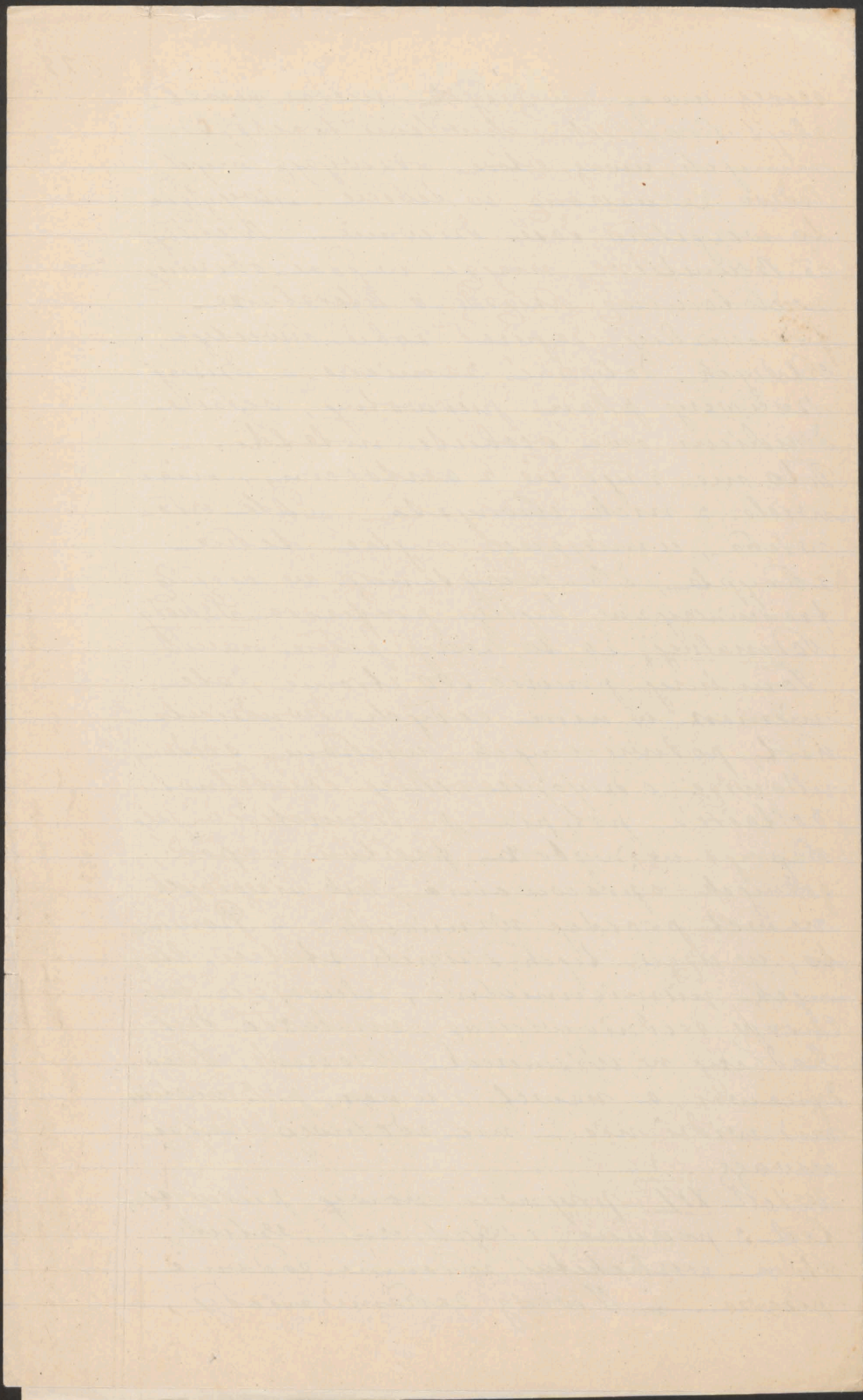

wróg zasady: „sztuka dla sztuki,"
podnosi doniosłość obyczajów. —
Wierny francuzkiej zasadzie klasy-
cznej, że, chcąc dobrze skomponować
dzieło, należy wiele rzeczy poświęcić,
dużo prawd we mgłę utopić, i całe
światło, podobne do blasku opa-
trzonej reflektorem lampy, skupić
na kilku najważniejszych szczegó-
łach, Brunetière lekceważy olbrzymi
ruch i rozwój ojczystego piśmienni-
ctwa, aby półtora wieku wydobyć
z ciemności — i jako wzorzysty ideał
przed narodem postawić. —
Blizko trzysta stronic poświęca
epoce, w której odbywa się proces
„unarodowienia literatury." —
Trwa on od 1610—1723 roku, od 1723
zamordowania Henryka IV do
wstąpienia na tron Ludwika XV,
od zubtelności pałacu Rambouillet
do salonu pani de Lambert. —
Andromaki i Celimeny, Neronowie
i Harpagoni — oto są prawdziwe,
szczere i rodzime typy. —
Na początku XVIII stulecia zaczy-
na się „koszlawienie ideału klasy-
cznego.")
Od roku 1802, od urodzenia Wiktora
Hugo trwa epoka „nowożytna". —
Autor mówi tu szybko o zmarłych,
a mówi z pewną, niezwykłą u
niego wyrozumiałością. — I Gustaw
Flaubert i Leconte de Lisle i nawet
ten komedyant Baudelaire spoty-
kają się z poważną, spokojną oceną.

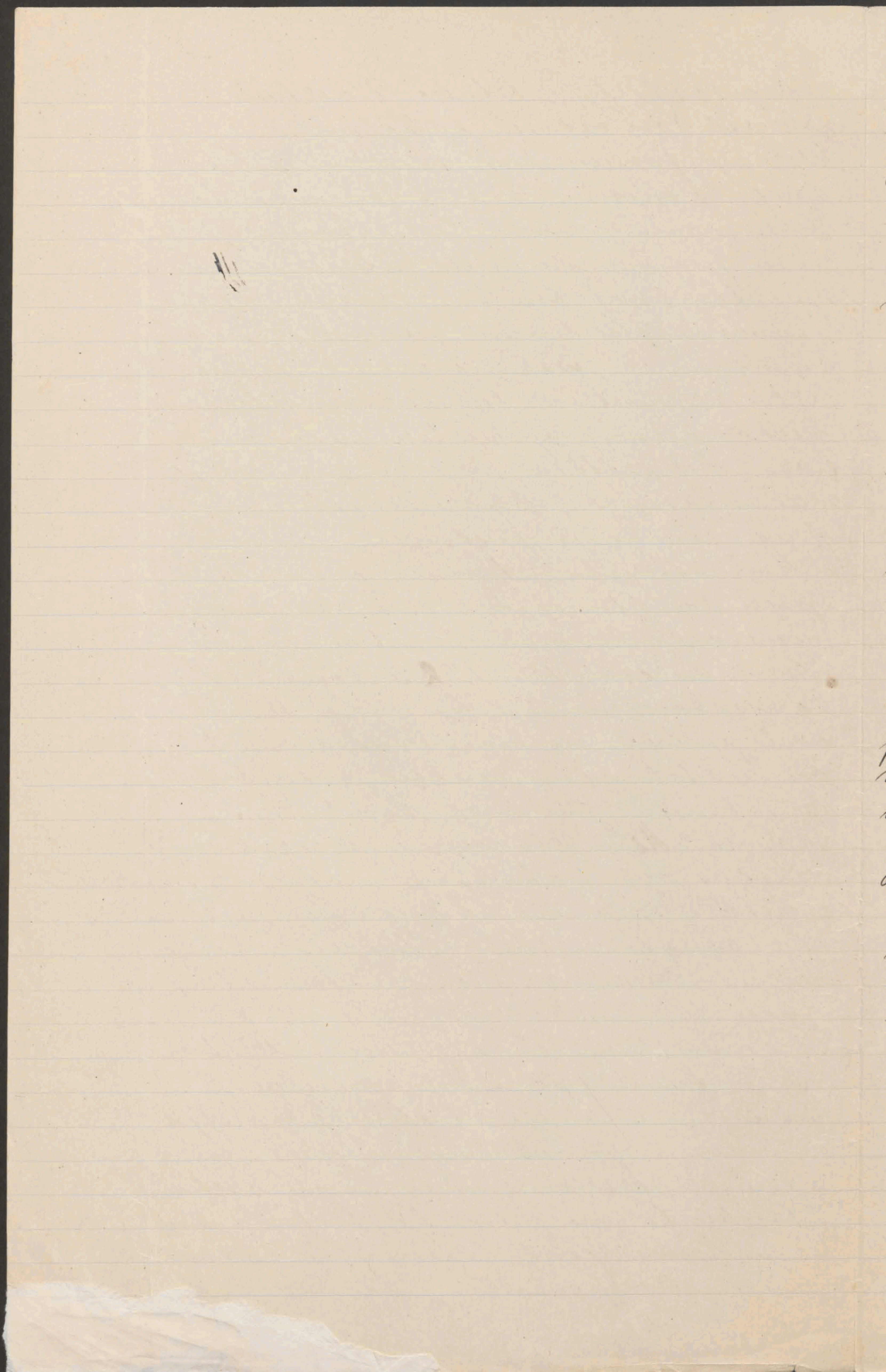

O braciach Goncourt niema wzmianki. — Żal mi trochę młodszego z nich, Juliusza, który był może chorobliwym, ale szczerym pisarzem. — Starszy, Edmund, tyle o sobie samym naopowiadał, że my, potomni, możemy go już nie wspominać. — Wszakże mu ziemia będzie lekką i nasza obojętność miłą. —

Ostatnie słówko o książce Brunetière'a. —

Wszak polecam ją ogółowi do czytania: polecam ją tym wszystkim, którzy lubią dzieło przestudyować, wyssać szpik z kości, tym, którzy zwykli wydobywać żywotne soki z kartek bibuły skromnego podręcznika. — Można się z niego wiele nauczyć i o literaturze francuzkiej i o nauce francuzkiej. — Wszakże mi będzie wolno dodać ogólniejszą, czysto osobistą uwagę, którą mi dzieło Brunetière'a nasunęło. — Oto w Niemczech, nawet artyści, jak głęboki Piotr Cornelius, jak płytki Wilhelm Kaulbach pragną iść w zawody z uczonymi. We Francyi nawet uczeni, nawet ludzie tak oczytani, tak dbający o prawdę, jak pan Brunetière, chcą nam przedstawiać dzieła sztuki, rozporządzać wszechwładnie, jak malarze, blaskiem, światłem i cieniem. —

I jedni się mylą i drudzy.

Cały stos innych uczonych książek czeka jeszcze na mnie. —

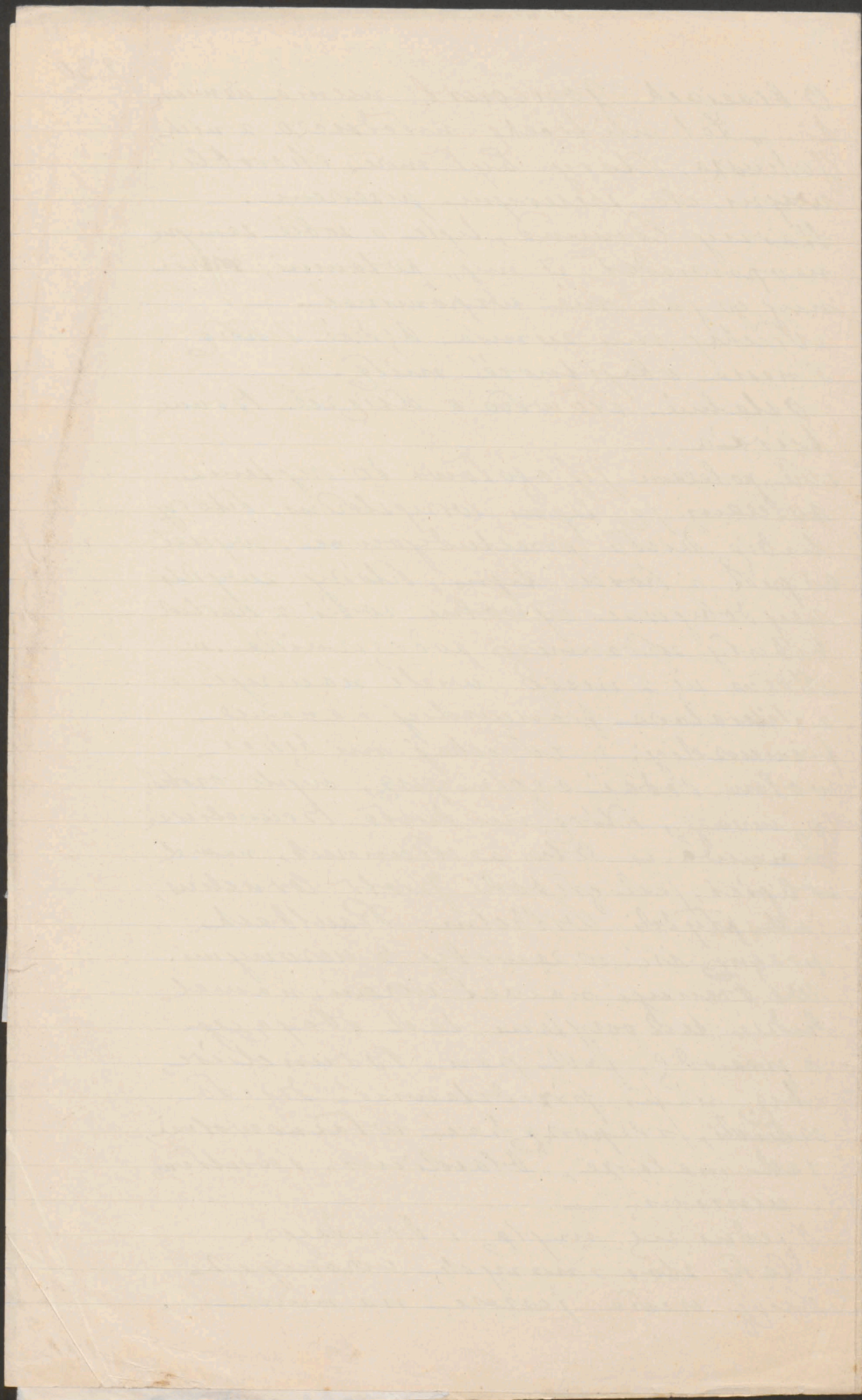

Ale noc przyszła, noc cicha, noc senna. — Brunetière zawiódł mię dalej, niżeli iść myślałem. — Pomówię kiedyindziej o kilku naukowych dzieciach francuskich, całkiem odmiennych, mniej osobistych, bardziej metodycznych, a równie ciekawych.

R. M. Górski. —

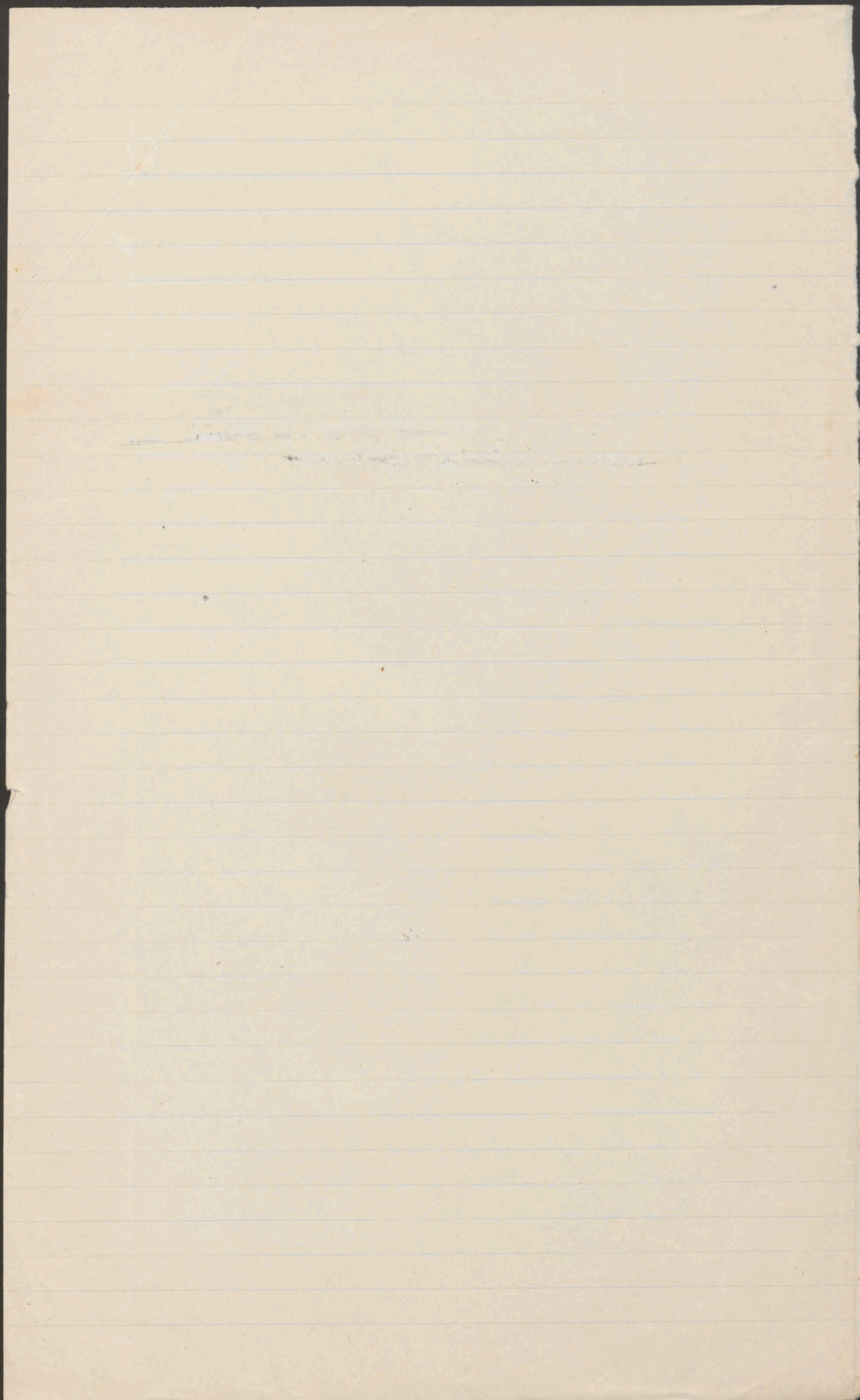

Listy z Francyi.

IV

piątek 31 grudnia 1897

(P. Scheurer-Kestner i cywilna odwaga „Figara." — Śmierć Alfonsa Daudeta. Nekrolog pióra Zoli. — Flaubert, Goncourt, Zola. — Powieści Daudeta — Jego obrazki i nowele. — Jego charakter).

Wrzawa wywołana sprawą Dreyfusa prawie przycichła ~~[illegible]~~.
Pośród tego względnego ukojenia zabrzmiała naraz nuta wielkiej narodowej żałoby. — Dnia 16 grudnia, o godzinie 8ej wieczorem, skonał nagle Alfons Daudet. —
Ubywa znowu Francyi jeden z tych nielicznych już dziś pisarzów, których talent całą Europę przyciągał i zachwycał. „Jest temu lat ośmnaście — pisze w swym nekrologu Zola — pewnego wieczora, w samotni mojej w Medan, krótka depesza ~~Mapas-~~ Maupassant'a, który miał również zginąć okropną śmiercią, donosiła mi o pierwszej bolesnej stracie, dotykającej nasze szczupłe kółko: Flaubert nie żyje! I ośmnaście miesięcy temu telegram Daudet'a spadł na mnie, z tą samą nagłą brutalnością, w letni pogodny poranek: Goncourt nie żyje! A teraz uderza piorun po raz trzeci, w wesoły wieczór, w chwili, gdy serce zapominało i o żałobie i o nieustannej zmienności ludzkiej doli:. „Daudet

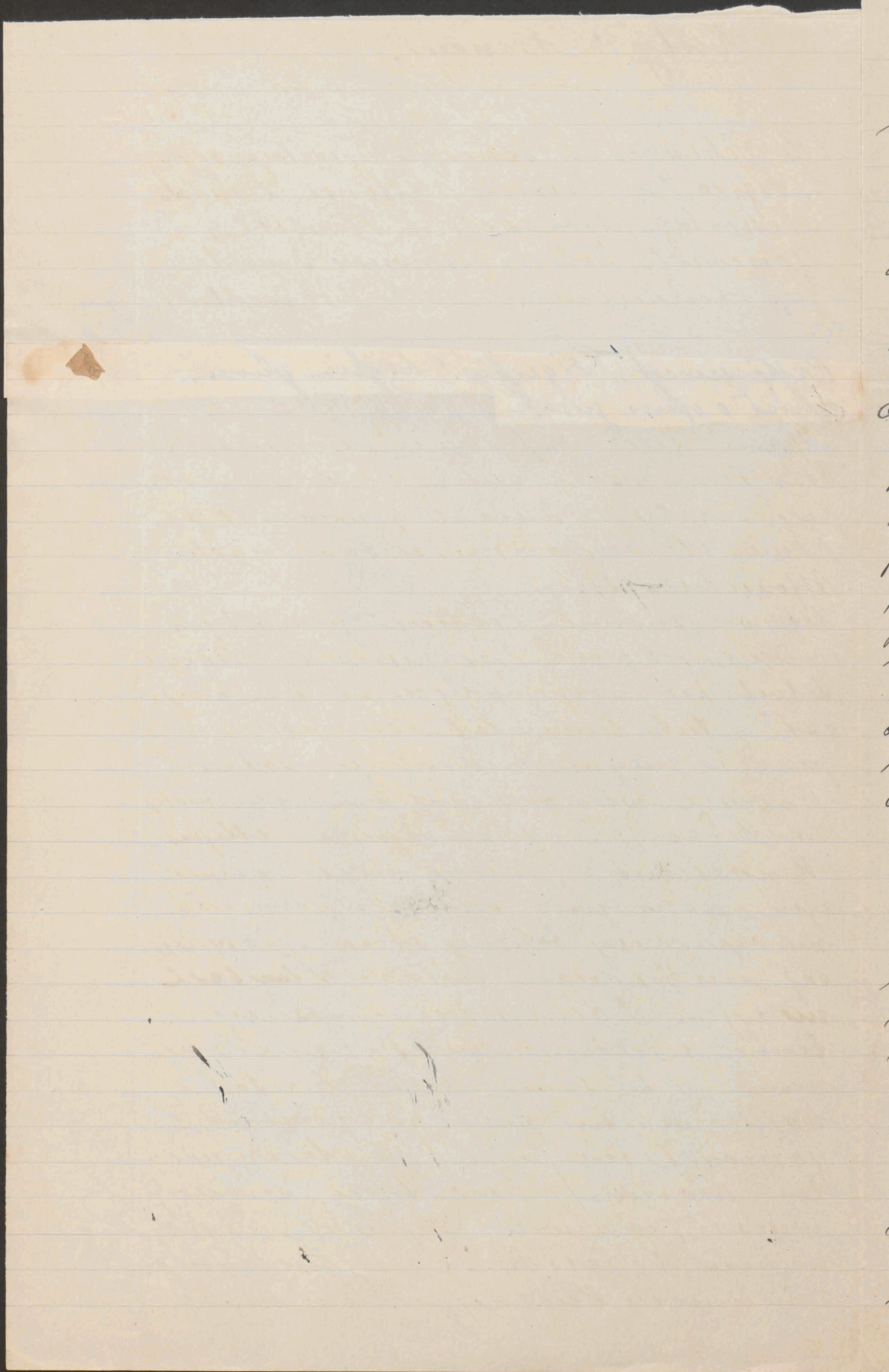

nie żyje!"

„Wszyscy trzej umarli tym samym nagłym zgonem. – Uniosła ich od razu śmierć gwałtowna i dobroczynna, tak lekka temu, kto odchodzi, tak przerażająca i bolesna dla tych, którzy zostają."

Zola tak kończy wspomnienie: „Goncourt poszedł za Flaubertem, a oto teraz Daudet zasnął obok tamtych. Jestem sam."

Ma, jak sądzę, słuszność, panowie Bourget albo Marcel Prévost – zwłaszcza w obecnem stadyum długiej już działalności są to – drugorzędni powieściopisarze. –

Pierwszy z nich utracił, co miał najlepszego: ufność, zapał młodości; drugi zagubił pewne szlachetne poszanowanie czytelnika, nie tylko względnie czystość swoich bohaterek, ale i czystość własnych, literackich zamiarów. – Nie mówię o Wiktorze Cherbuliez, dziś bardzo zestarzałym, ani o Juliuszu Claretie, który się chyba nigdy nie zaliczał do mistrzów powieści. – Nie wspominam wielu innych pisarzy, mniej lub więcej obcych, albo wrogich kierunkowi Zoli. – Wśród czwórki, z której sam jeden pozostał, ja osobiście rozróżniam ludzi odmiennych nie tylko doniosłością, ale i naturą talentu.

Flaubert, najstarszy, był w gruncie rzeczy zadawnionym romantykiem.

prawie bezwiednie, niejako przypadkiem został, jeżeli nie twórcą, to przywódcą realistycznej szkoły. — Sądzę że zrazu marzył o czem innem, że dopiero z czasem uświadomił w sobie pewien brak lirycznego polotu „i z tym mu zstąpił do prostej powieści." Stworzył na tem polu istne arcydzieło, bolesną, przykrą, pozornie gorszącą, w istocie zaś bardzo moralną książkę, „Madame Bovary"! On pierwszy wykazał, ile jest smutku, nędzy i goryczy w nieprawej, w nieustannie przed światem ukrywanej miłości, ile jest w niej prozy.

Pod jego ciosami upadł dogmat romantyzmu, wiara w oczyszczającą władzę, w prawa namiętnych porywów. — Flaubert stoczył się potem z tej rzeczy, stoczył się jak po równi pochyłej, do wytężonego badania wszelkich objawów ludzkiej moralnej niemocy, małości i głupstwa. — Był on, jak trafnie mówi Brandes, nie „realistą", lecz... „imbecylistą".—

Szczegóły umiejętnie dobierane poczęły zastępować brak większej myśli, szerokiej i płodnej. — Jak Balzac, którego z nim dziś nie porównywam, trawił dni całe na poprawianiu języka swoich powieści.

Doszedł w każdym razie do niepospolitego mistrzostwa, — w tym zakresie, jest jednym z największych stylistów, jakich nasze stulecie wydało. —

[illegible]

Zatopiony w drobnej zazwyczaj historyi, przeważnie drobnych swoich bohaterów, czuł on do końca dumną nienawiść do wszystkich objawów codziennego życia. —
Opisując śmiesznych liberalnych aptekarzy, upominał się — nie bez wrzawy — o prawa szkodliwości dla szkodli. Twierdził, że świat cały istnieje wyłącznie na to, aby go poeci mogli opisywać. — I odróżniając, jak romantycy, święte grono artystów od pospolitej ciżby, a chcąc długo naprzód piętnować, odrzędzić od czci i wiary, mówił o nim tubalnym swoim głosem: bourgeois. —
Talent br. Goncourtów wyrósł w innych warunkach, z innych podstaw. — Dwóch rysowników, zamiłowanych w akwaforcie, zaczęło naraz pisać osobiste uwagi, notować przeczucia wrażenia. — Z biegiem czasu pióro i papier zastąpiły w ich życiu rylec i płyty miedziane. —
Malarze szukali nieraz w beletrystyce nowego ujścia dla nadmiaru poczuć, obserwacyi, zachwytów. — posiadamy drobne poezye Rafaela, Leonarda da Vinci, cały szereg sonetów, madrygałów i hymnów Michała Anioła.
A w naszym wieku, czyż Eugeniusz Fromentin ~~Fromentin~~, którego obrazy wiszą już w Luwrze, nie napisał wykwintnej psychologicznej powieści? Czy Jules Breton nie ogłosił kilku tomów wierszy uroczych i dźwięcznych, natchnionych

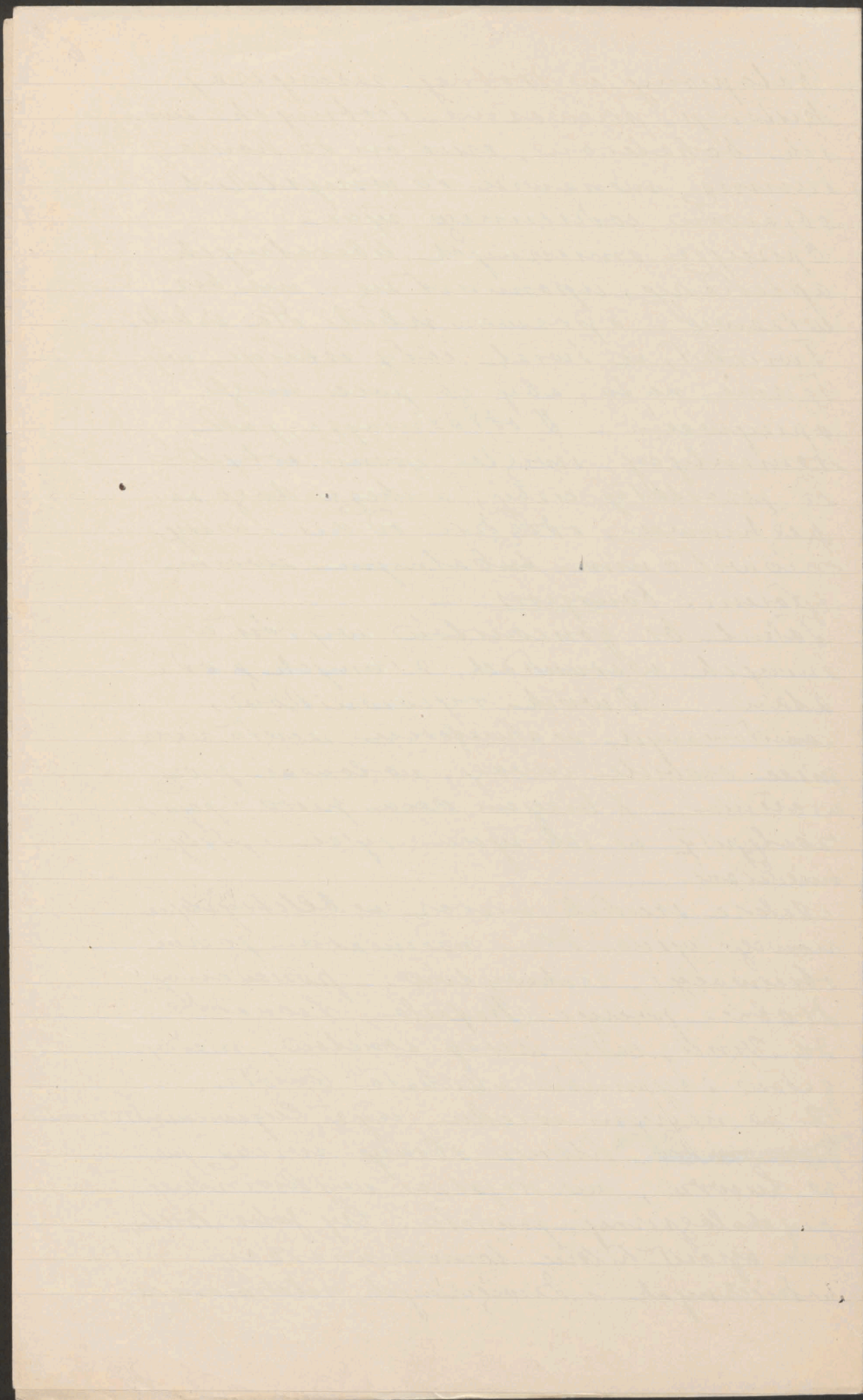

i prostych? – I w Polsce znam pewnego malarza, jednego z najwyższych, który zamiast przynosić mi od czasu do czasu poemat do przeczytania i zamiast go potem chować do kieszeni, powinien był dawno puścić w świat szeroki subtelne strofy, subtelne a święte, jasne przesiąkłe „zapachem ziół i szarych pól" – wonne i kolorystyczne zarazem. – Ale żaden z powyższych malarzy – kładę na to nacisk – nie opuścił pracowni. – Pisywali wiersze, jak Ingres grywał na skrzypcach – w wolnej, dobrej chwili. – Zauważam natomiast, że artyści plastyczni, przerzucając się zupełnie na pole literatury, przynoszą zazwyczaj ze sobą pewne nawyknienia malarskie, pewną „technikę", która im w nowym zawodzie raczej przeszkadza, niż służy. – Taki Teofil Gautier np. nie pozbył się nigdy jakiejś formalistyki, jakiegoś drobiazgowego zamiłowania w szczegółach, niezbędnych w rysunku, często zbędnych w poezji. – Los jego przyjaciół, zawód braci Goncourtów potwierdza moją uwagę. – Trawiąc akwaforty, nauczyli się, że trzeba dodawać kreskę do kreski, mnożyć pociągnięcia rylcem, im więcej bowiem sztrychów, tem bardziej zaokrągla się postać. – Zostawszy powieściopisarzami, nie szczędzili więc po dawnemu rysów, wiadomostek, drobnych obserwacyj. – Ale czytelnik nie zdołał wszystkich zapamiętać, zachować razem w umyśle. –

~~V — Il [illegible] [illegible] p[illegible] [illegible] pro=~~
~~[illegible] [illegible], per tutti i generi [illegible] gi:~~

Szczegóły, które w rycinie występują równocześnie, następują w opisie kolejno, jeden po drugim i każdy rys poprzedni ginie pod wrażeniem dalszego. Wyobraźnia czytelnika nie umie ani utrwalić, ani rozmieścić nawału szczeg. charakterystycznych dotknięć rylca. Opisane krajobrazy braci Goncourt zamieniały się na pstrociznę plam bezładnych, postacie na zbiorowiska pociągnięć piórem, na figury, złożone z tylu postrzeżeń, że nie mogły się jasno, czysto zarysować. — W literaturze trzeba zatarcia linij. Kreski i kropeczki mogą potem uzupełnić prawdę, czy prawdopodobieństwo. — Dickens, Flaubert, Maupassant, Tołstoj i Sienkiewicz posiadają dar nakreślenia postaci kilkoma prostemi słowy. — Chodzi o to, aby pisarz odczuwał linie zasadnicze. —

Dopóki żył młodszy z braci Goncourtów, Juliusz, chodzili czasem żywi ludzie po ich książkach. — Im więcej lat oddalało starszego, Edmunda, od dni współpracownictwa, tem częściej odzywała się sztuczność i przesada. — Sława Edmunda nie przestała jednak rosnąć. — Znał on wyborny sposób narzucania się tłumom. —

Po pierwsze — ogłosił się wrogiem wszystkiego, co ludzie uznają i szanują. — Ktokolwiek się nie dostał do „Revue des deux Mondes" albo do akademii francuzkiej, stawał się

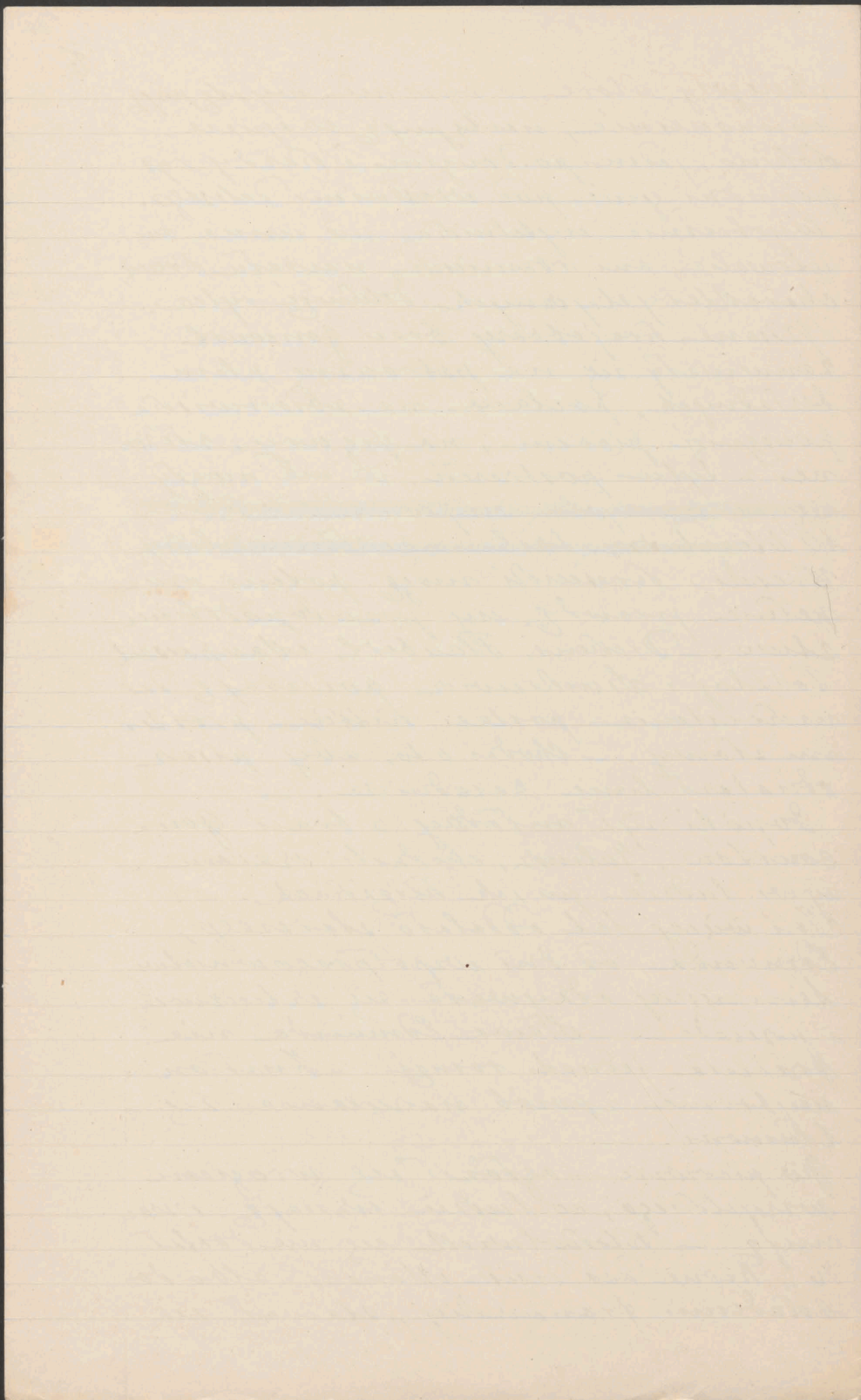

oczywiście jego stronnikiem i jego wielbicielem. —
Po drugie — zdumiewał swoich wyrozumieniami, które we Francyi nie mogły nie wywołać wrażenia. — Były bowiem tak nowe, że sprzeciwiały się powszechnemu rozsądkowi. — Wyznał np: że istnieją trzy filisterskie admiracye, trzy przesądy: zamiłowanie do wsi i natury, do katedr gotyckich, do morza. — Człowiek, który w sobie nosił napewno orlą duszę Fausta, był tylko książkowym, drobiazgowym umysłem, bratem Wagnera, „uczonego durnia" w poemacie Goetheego. — Trzeci pomysł Edmunda de Goncourt był również prosty i wiodący do celu: wypowiedział po kolei wojnę wszystkim znanym mistrzom — z wyjątkiem kilku wiernych.
Kto taki sztandar podnosi, może zacząć liczyć na sprzymierzeńców.
Każdy ma bowiem wśród ludzi uznanych, bogów, których mu zazdrości. Sposób otwarty mówiącego wrzekł dzieło. — Edmund de Goncourt postawił samego siebie na ołtarzu i sobie samemu zaczął palić kadzidło. — Opowiedział przed światem w dziewięciu tomach „Dziennika" — co w danej chwili myślał o przyjaciołach, o przeciwnikach, o sobie. Nie wahał się ogłosić za dramatycznego pisarza tak wielkiej potęgi, że Szekspir jest wobec niego chłystkiem.

~~Avvarnendes~~.

Jeżeli zasada Don Basilia: „Szkaluj, szkaluj, zawsze coś z tego zostanie" — jest w istocie praktyczną, to i ta druga: „Chwal się, chwal" — prowadzi niezawodnie do pięknych rezultatów. —
Autor „Chirie" był z pewnością człowiekiem wysoko wykształconym, bynajmniej nie pozbawionym talentu. Sądzę mimo to, że jeżeli kiedy w historyi literatury znajdzie miejsce, to będzie w niej występował jako ~~typ~~ typ „grafomana" i, mówiąc z Heinem — „als ~~Warnendes~~ Exempel." — Warnendes
Nie ambicya, nie duma, nie pycha nawet, ale licha próżność zabiły w nim zdolność, szczerość i artystyczne poczucie. — Kto nie ceni sztuki, dla niej samej, ten dla niej żyć nie wart i blaskiem jej żyć nie może.
Goncourt musiał mieć jednak pewną dobroduszność, która nie zawsze opuszcza pyszałków i egoistów: musiał w życiu codziennem posiadać wdzięk, dowcip, wybitne talenta towarzyskie. Bo czemże wytłómaczyć przyjaźń, którą go otaczali tacy ludzie, jak Alfons Daudet albo Zola?
Emil Zola, trzeci towarzysz Daudet'a, jest znowu całkiem odmienną postacią, duchowym synem nawskroś nowych kierunków. — Przed laty mniej więcej czterdziestu, sumienni badacze, uczeni skromni a poważni, zaczęli ustawiać w rusztowanie szereg hypotez, opartych na długiej obserwacyi. — Czynili to ostrożnie,

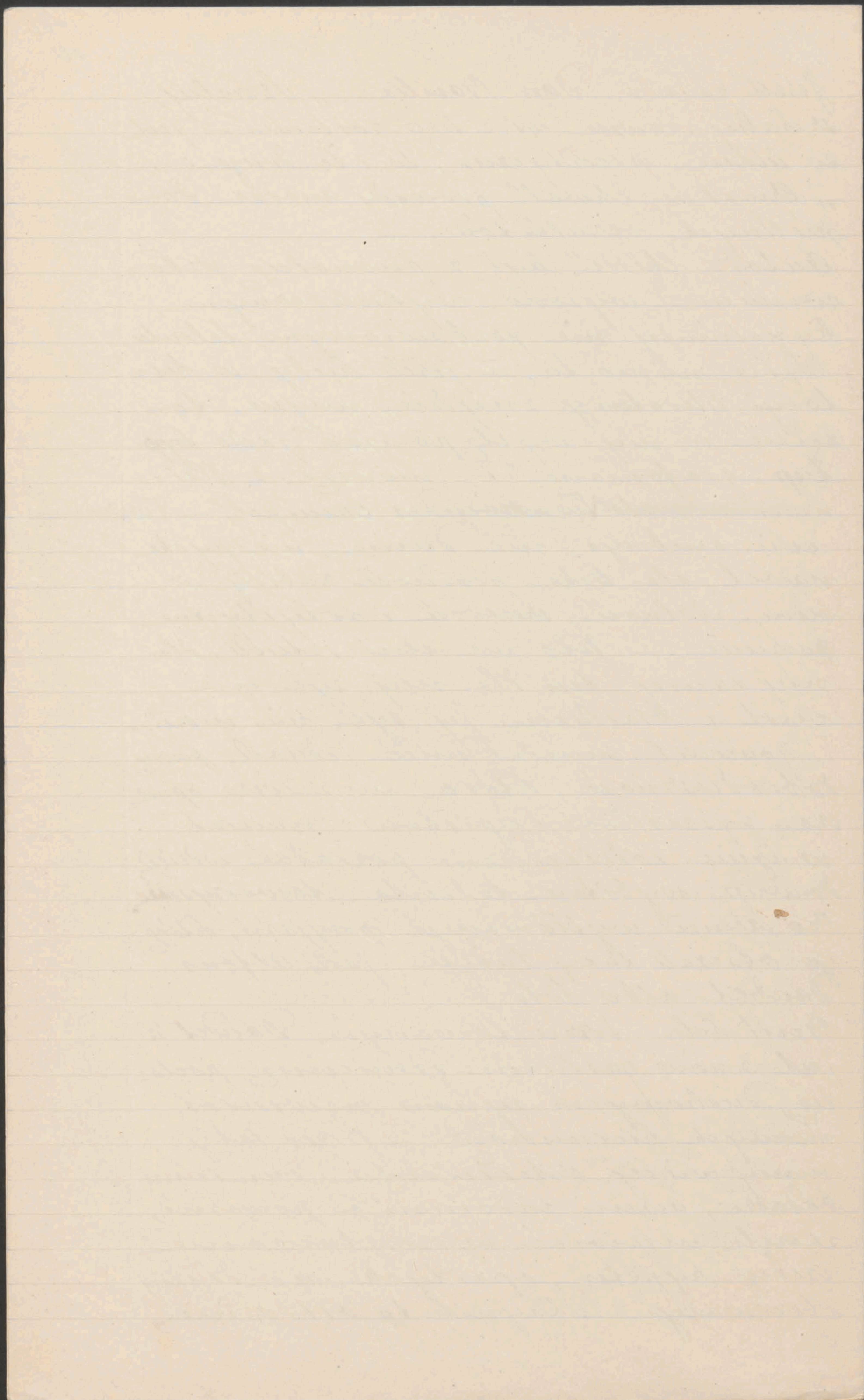

wiedząc, że nowe doświadczenie
może jutro obalić gmach, jako domek
karciany. — Znaleźli się jednak mędr-
kowie, pół-uczeni, którzy oświadczyli
tłumowi, że nowy dom, w którym
ludzkość ma mieszkać, jest już go-
towy, stały, niewzruszony. —
Tłum nie lubi czekać, nie ocenia
szlachetnej, powolnej pracy naukowej,
nie rozumie poświęcenia, bezinteresow-
ności uczonych. — Tłum żąda
rezultatów. —
Dla tego, kiedy architekt, mający
stawiać wieżę, zbuduje rusztowanie,
zdarza się, że tłum, chciwy ujrzeć,
co się też dzieje, bierze chwilami zewnę-
trzny układ belek i desek, za zamie-
rzoną gotycką iglicę, za to, co dopiero
majaczeje w myśli szczerego artysty.
Tak było z teoryą dziedziczności,
którą — na wiarę popularnych, zbyt
ufnych, zbytnią wyobraźnią obda-
rzonych pisarzy — Zola, człowiek
bardzo oczytany, ale nie specyalista,
nie przyrodnik, powitał jako pewnik
naukowy. — Oparł na niej cały
szereg powieści, całe swoje literackie
i życiowe credo. — Nie należąc sam
do gawiedzi, wmieszał się, albo raczej
został wmieszany do tłumu. —
W subtelnych hypotezach, pełnych
restrykcyj i znaków zapytania, z
łatwowiernością południowego
Francuza, ujrzał niezbite naukowe
zdobycze. — O ile sami nie badają
wszyscy uczciwi ludzie ze szkolnym

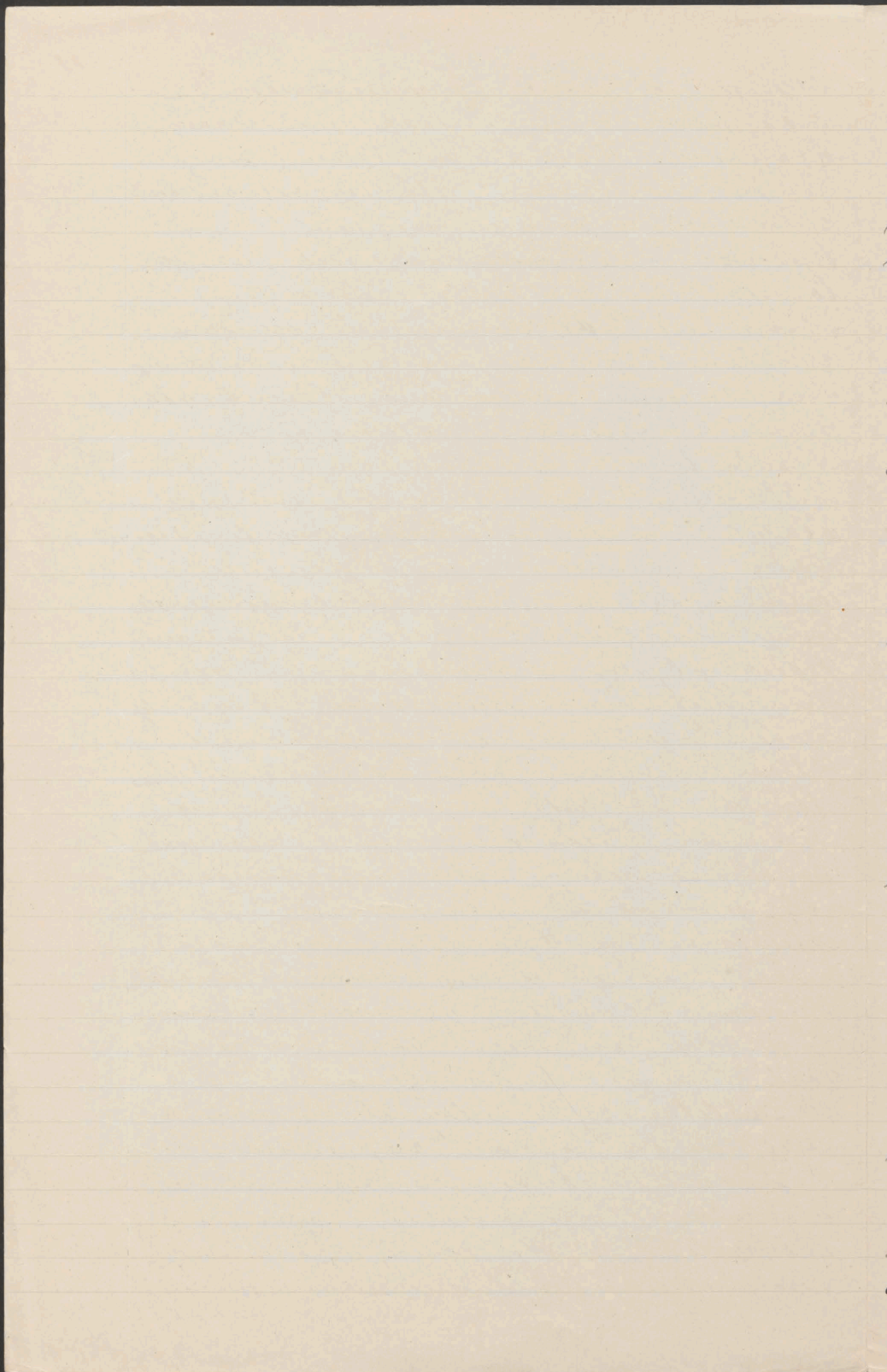

wierzyć w jakąś Nieomylność. —
Przed kilku laty „Widma" Ibsena obiegły całe Niemcy. — przechodziły z rąk do rąk, a też i owdzie dostały się na deski. —
Wielbiciele norweskiego pisarza, przynieśli wówczas egzemplarz dramatu słynnemu niemieckiemu uczonemu, który nietylko zajmuje katedrę psychiatryi, ale jest również dyrektorem domu obłąkanych. —
I cóż profesor odpowiedział? „Dla nas specjalistów — mówił — nie przedstawia ta sztuka interesu. — Autor dając zbyt mało rysów ścisłych i nowych. — Ale dla publiczności jest ich natomiast za wiele." —
Lękam się, że podobny sąd grozi „naukowym powieściom" Zoli.
Zola uwierzył w hypotezę dziedziczności, zaufał w teoryę, że wszystko, co się w naszych duszach dzieje, jest tylko ostatecznym rezultatem fizyologicznych mniej lub więcej uświadomionych premis. —
Nakreślił fantastyczną genealogię swoich bohaterów, — rodziny Rougon Macquart, i tomami powieści, poczynając wił nas przekonać o prawdzie naukowych przypuszczeń. —
Wszystkie grubiaństwa, wszystkie wstrętne szczegóły, zbyt częste w książkach wielkiego pisarza pochodzą z jego zaślepienia, z nieszczęsnego, niewytłomaczalnego przedsięwzięcia. — Kto koniecznie chce z góry, w imię „nauki", widzieć

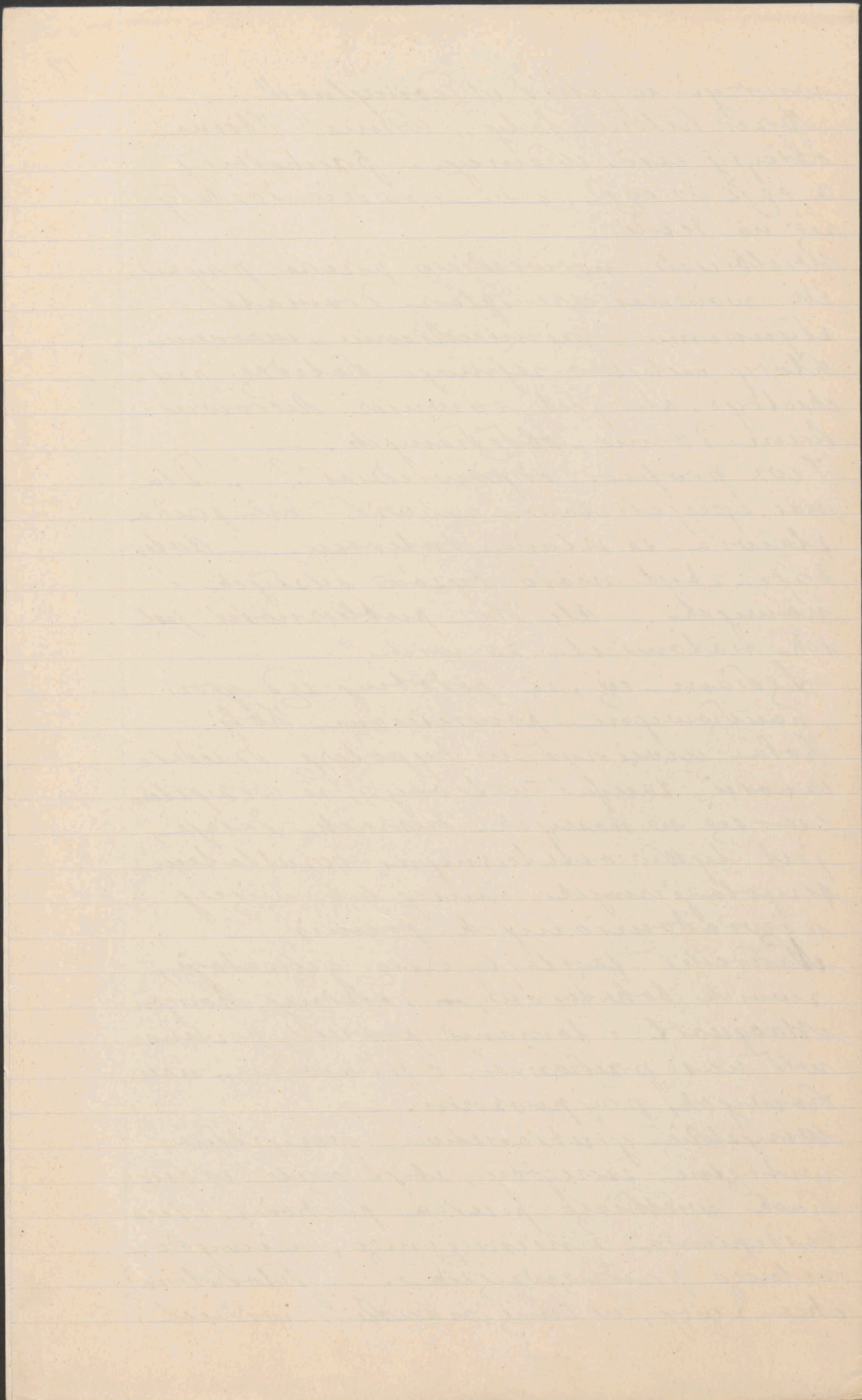

95

13.

w ludzkości, tylko te instynkty, które są wspólne i jej i zwierzętom, którekolwiek stanowią każdo „~~[illegible]~~" fa la bête humaine", musi prędzej czy później zejść do opisu ich zezwierzęcenia.
Wydają mu się najprawdziwszemi, najbardziej pierwotnemi. — Każdy objaw prastarej bestyalności, staje się dokumentem, kluczem do zrozumienia współczesnego życia.
Człowiek jaskiniowy, o którym nic nie wiemy, ma czasem objaśnić naturę dzisiejszego człowieka. —
Zola byłby dziecinnym pisarzem, gdyby nie był wielkim. — Ma on na szczęście nietylko uprzedzenia i teorye — ma talent. — Talent potężny, nie pozbawiony subtelnych pociąć, ale raczej silny, gwałtowny, niż wykwintny. —
Dla tego psychologia tłumu, przypływy i odpływy uczucia w mózgu ludzkim są bardziej znane dostępniejsze od porywów i wahań pojedyńczej, skomplikowanej duszy. — Zola patrzy na świat, przez szkła powiększające, widzi cały ~~szereg~~ szereg olbrzymich ~~[illegible]~~ bestyi, same ogromne postacie i potwory.
W „Germinal" kopalnia, Au bonheur des dames nowożytny bazar, w Rêve gotycka katedra stają się czemś nakształt istot żyjących, tajemniczych, i ~~całe~~ samą swoją wielkością, potężnych, pochłaniających ciała, a czasem ~~[illegible]~~ i dusze ludzi. —

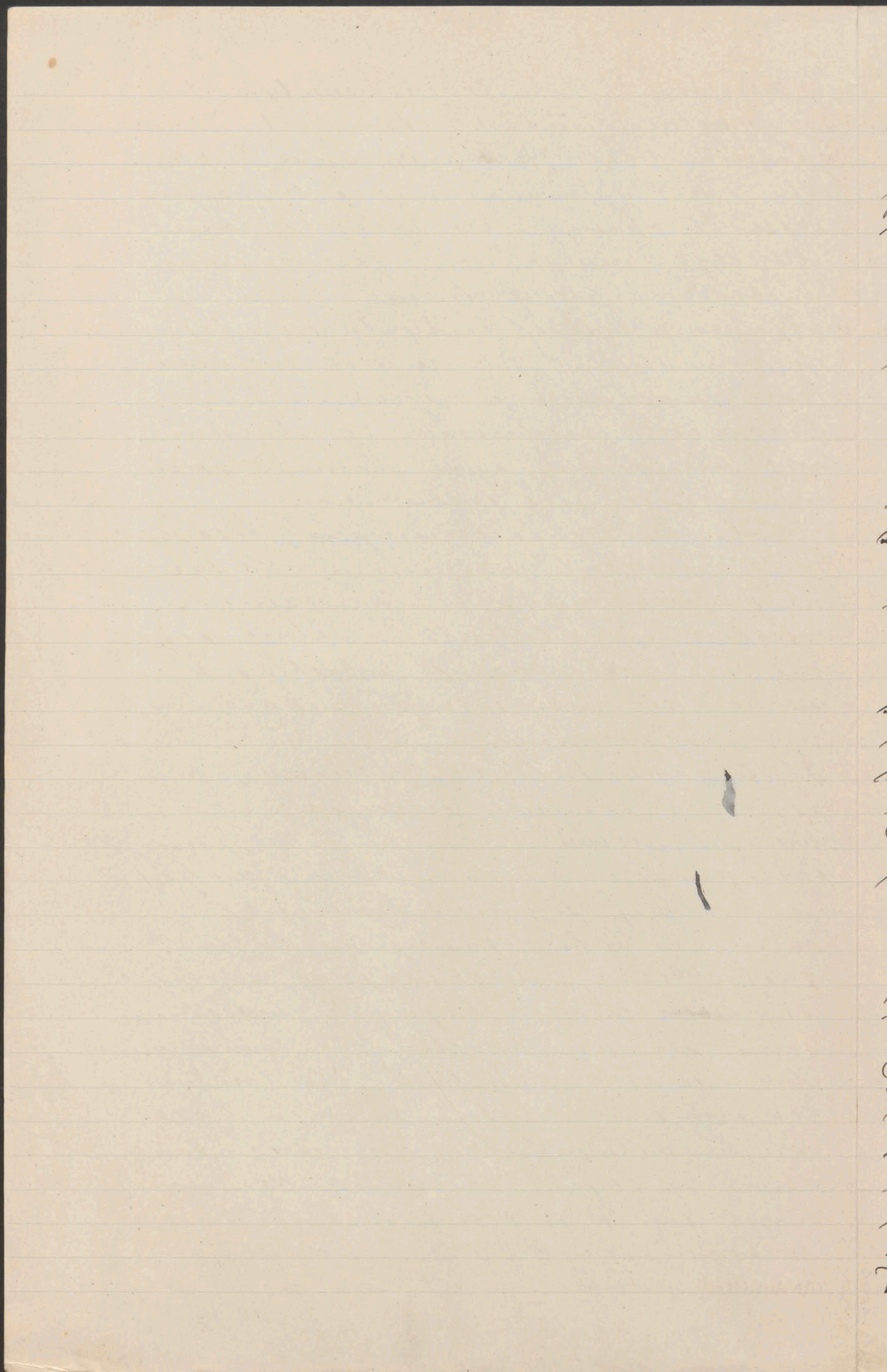

Zola jest to dyrektor wielkiej orkiestry, rozmiłowany w brutalnych, chałaśliwych dźwiękach. — Stąd podnieście batutę, trąby ryczą, huczą bębny. — Flety i skrzypce rzadko przychodzą do głosu. —

Trzebaby raz skończyć z teoryą o realizmie Zoli. — Czyż on odtwarza świat istniejący, czy czuje w sobie spokój bezstronnego obserwatora? Nie, on rzuca się na wielkie kwestye z zapałem, z uprzedzeniem, z wrzącą wyobraźnią. — przedstawia swój własny świat, pełen widm osobistych. — Skoro postawię świecę na podłodze, meble podrosną rzucają mi na ścianę cień wydłużony, jakby tajemniczy. Tak robi Zola. Obniża chwilami światło i sam się może dziwi, kiedy mu wyrastają rosną. Autor „Germinala" nie jest fotografem. — Jest to, jak mówi Juliusz Lemaitre, znakomity poeta, patrzący się na świat czarno, pesymistyczny i pełen pogardy. —

W przeglądzie francuskich powieściopisarzy z ostatnich lat należałoby wspomnieć Maupassant'a. — Był to najwiękrzy z nich, był to może jedyny rzeczywisty twórca figur żywych, nieporównany malarz kta, wspaniały pejzażysta. — posiadał i mądrość, dumną siłę i kobiecą wrażliwość. — Skoro go jednak Zola nie wymienił w nekrologu Daudet'a, skoro mówiąc o czterech

[illegible]

zaprzyjaźnionych autorach, zamilczał o nim, jak gdyby był piątem kołem u wozu, zajmę się nim kiedyindziej. — Wypada teraz mówić o czwartym, — o twórcy „Nababa". —

W kółku, które polubił, on jeden był z urodzenia lirycznym, świeżym poetą. — On jeden umiał rozrzewniać czytelników, on jeden zdołał wywoływać ten uśmiech, który się godzi ze łzami, z błogiem a tęsknem, z poważnem a radosnem uczuciem. —

Urodził się w południowej Francyi, w kraju gdzie sterczą dotychczas rzymskie gmachy, gdzie w wieczór letni świerszcze nie przestały dzwonić ni cykać. — Żadne bezkształtne szare teorye nie stawały nad jego kolebką. — Pochylały się nad nią starożytne przedstawicielki wdzięku, te „gracye skromne", o których mówi Horacy. — Chodząc dzieckiem po ulicach rodzinnego miasta, Daudet oglądał rzymskie amfiteatr, oraz świątynie, wsparte na korynckich kolumnach. — Ta niedościgła piękność, którą my ludzie północni, poznajemy dopiero z opowiadań i rysunków, ogarnęła chłopca odrazu i urobiła na zawsze.

Alfons Daudet miał lat siedmnaście, kiedy za radą drogiego, zawsze wiernego mu brata, zajechał do Paryża. Początki były trudne. — W izdebce

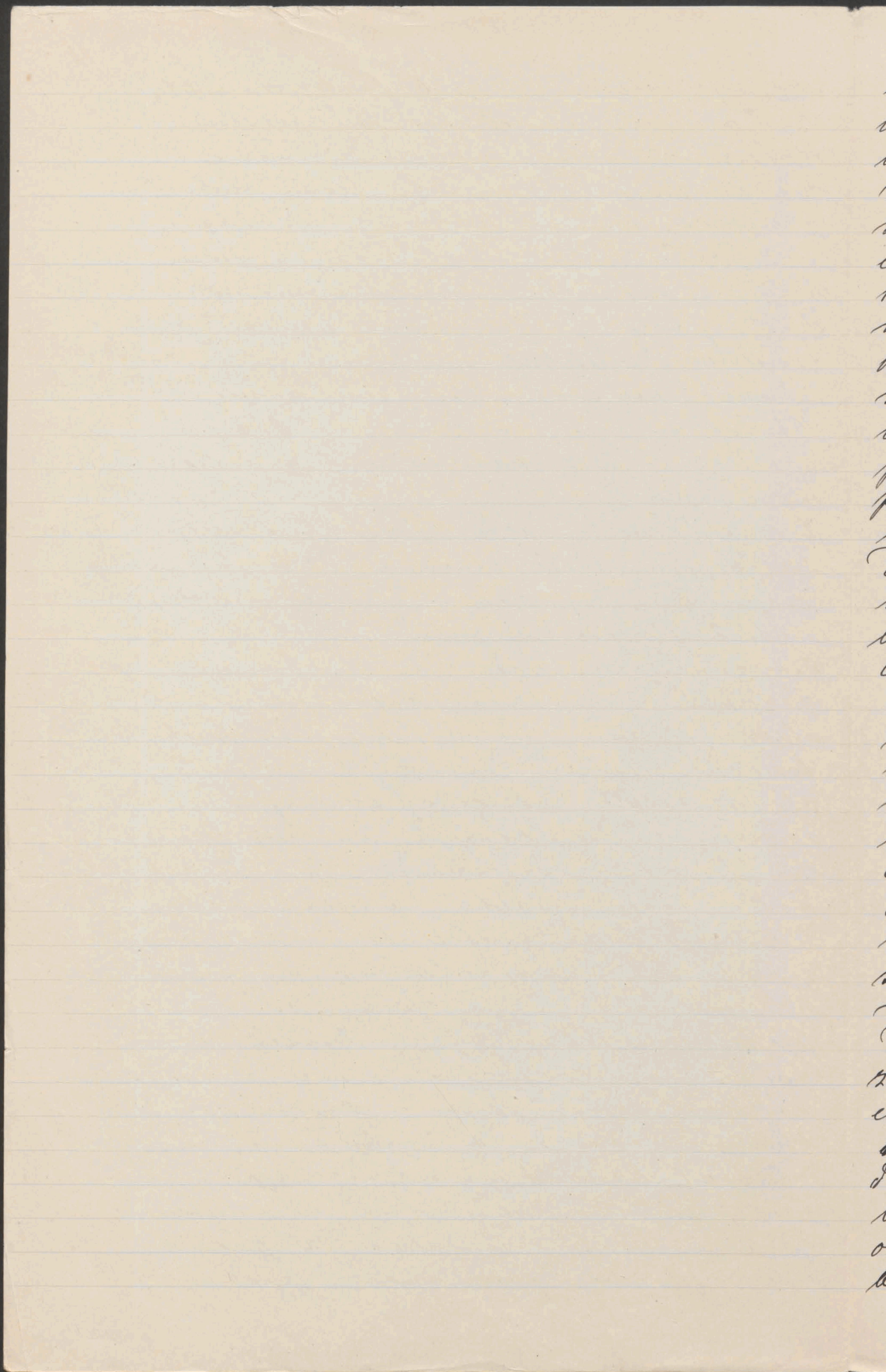

98

16

woda marszła przy kominku. – Ale w duszy wrzało. – Młodszy brat wierzył w swoją gwiazdę i zdał sobie z tego sprawę, że może wypłynąć, że wypłynie. – Później, w kilku ciekawych książkach, opowiedział, ile się zrazu fizycznie i moralnie nacierpiał. – Starszy brat, Ernest, dostarczył również szczegółów do życiorysu Alfonsa. – Niemiecki wielbiciel pisarza, poświęcił mu przed laty dziesięciu dwa tomy, pełne literackich sądów i rysów biograficznych. –
Daudet, który nie gonił za popularnością, doczekał się – prawie bezwiednie – uznania w całej Europie. –
Zaczął od wierszy, ale chociaż był w gruncie duszy poetą, nie wiele szumu rozszerzył. – Nie miał również wielkiego powodzenia w teatrze. – Jeżeli „Fromont jeune et Risler aîné" albo „Sapho" doczekały się licznych przedstawień na deskach, zawdzięczały się to głównie sławie, którą zyskały książki o równobrzmiących tytułach. –
Daudet był to mistrz opowieści, zrazu przeważnie liryczny, a później coraz bardziej dbały o szczegół, do ścisłości opisu, o drobne, trafnie dobrane, charakterystyczne rysy. –
Wiadomo, że miał stale w ręku ołówek i kartkę papieru, że zawsze był gotów notować ciekawy zwrot,

8
Czy nie trzeba ~~ale~~ wymienie w przypisku jaki to wielbiciel ~~p~~ niemiec pisał o Daudecie.

?

gest, mimowolne wyznanie swych intelektualności. — Z małych, skrzętnie zbieranych obserwacyi składał figury, którym jednak nie brakło żywotności, konsystencyi, wybitnej linii przewodniej. — Poruszają się swobodnie, w atmosferze prawdziwej, w sytuacyach ciekawych, poważnych, niemal bez-lesnych. — Obok protagonistów roi się tłum osobistości podrzędnych, malowanych z subtelnem, szczerem zrozumieniem ich duszy, to z drwiną, jakby kpiącego się o ich losy, pogodą, to znowu z cichem, litościwem współczuciem poety, który musi świat kreślić takim, jakim go widzi i ludzi swych nie może uwolnić od nieszczęścia. — Nazwano Daudeta „francuskim Dickensem" i jest w tem nazwaniu wiele prawdy. —

Wierność obrazu, tragizm intrygi zapewniły autorowi — „Królów na wygnaniu" zrazu tysiące, później miliony czytelników. — Być może, iż z biegiem czasu zwyczaj ciągłego pracowania na podstawie notatek, iż rosnące czysto fizyczne krótkowidztwo, że wreszcie zamiar nagięcia języka do coraz nowych, przelotnych subtelności osłabiają doniosłość ostatnich jego powieści. — Cała prasa paryska uznała w tych dniach nad trumną pisarza, „Sapho" za jego arcydzieło. — Nie mógłbym

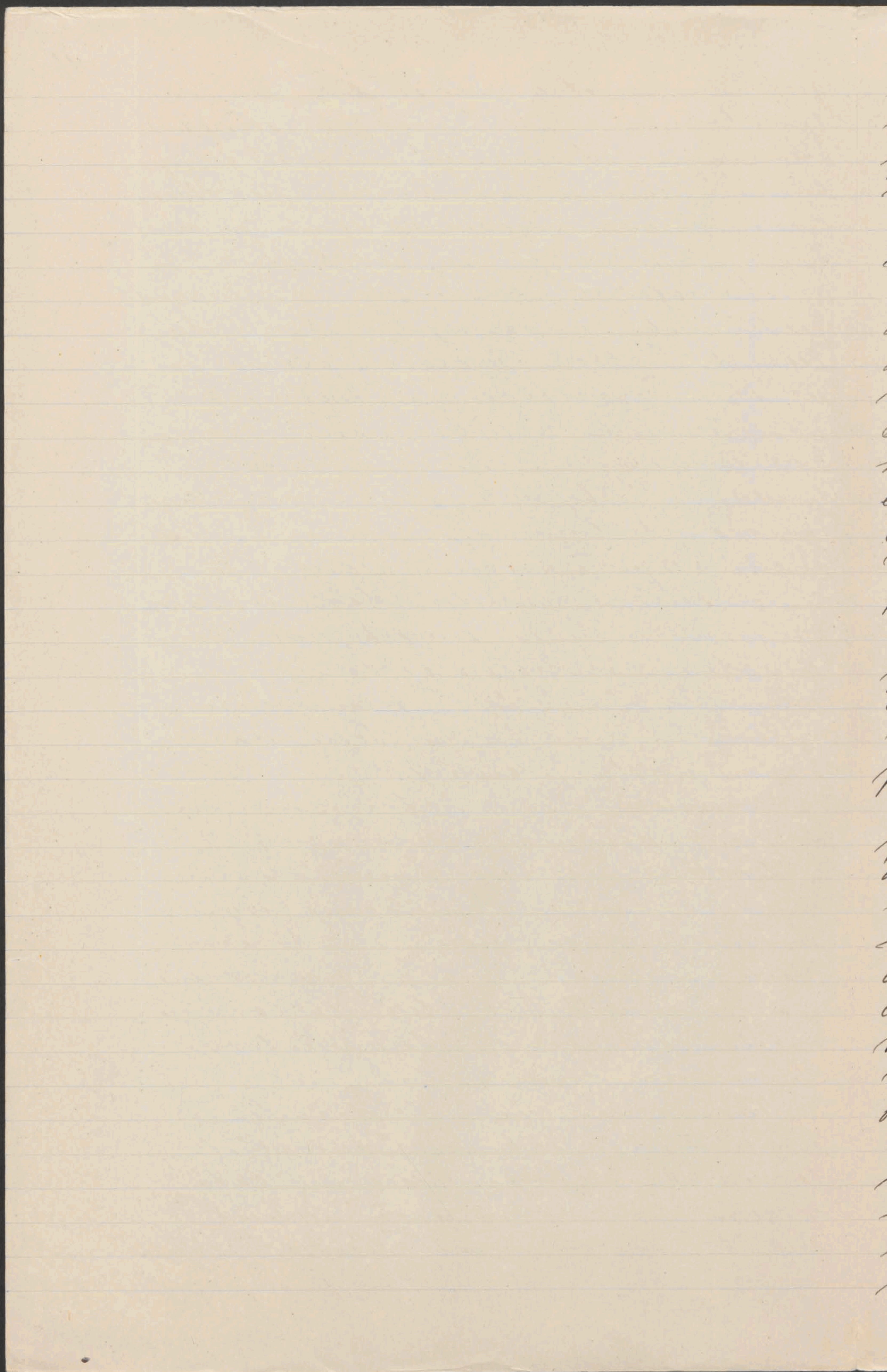

tego sądu podpisać. –
Jeżeli, jak mówił wielki myśliciel francuski, to co jest prawdą z tej strony Pirenejów, nie jest nią za górami, podobna różnica sądów nie powinna zadziwiać. –
Paryżcy piszarze siedzą nad Sekwaną, ja zaś, chociaż się na nią cały dzień patrzę, jestem zawsze z nad Wisły. – Inny kraj, inni ludzie, a p. Faguet dowodzi nieustannie, że my obcokrajowcy nie jesteśmy ani zdolni, ani godni literaturę francuską zrozumieć. –
Daudet zadedykował „Sapho" „swoim synom gdy dojdą lat dwudziestu" i może miał słuszne powody stawić dzieciom przed oczy takie opisy bezgranicznego zepsucia. – Książka była może potrzebnem ojcowskiem ostrzeżeniem. Dla nas jest przedewszystkiem prybórą. – A że autor opowiedział dzieje swej bohaterki modelki jęz zykiem wyszukanym, często niejasnym, trudnym do czytania dla nas, którzy jednak umiemy ocenić mistrzowskię prozę Maupassant'a, możemy jeszcze dodać, że „Sapho" wydaje się nam książką ze wszech miar nużącą. –
Osobliwszy to zarzut, osobliwszy wobec Daudeta. – Wszakże wśród miernoty współczesnej pseudo-humorystycznej literatury we Francji ten człowiek potrafił

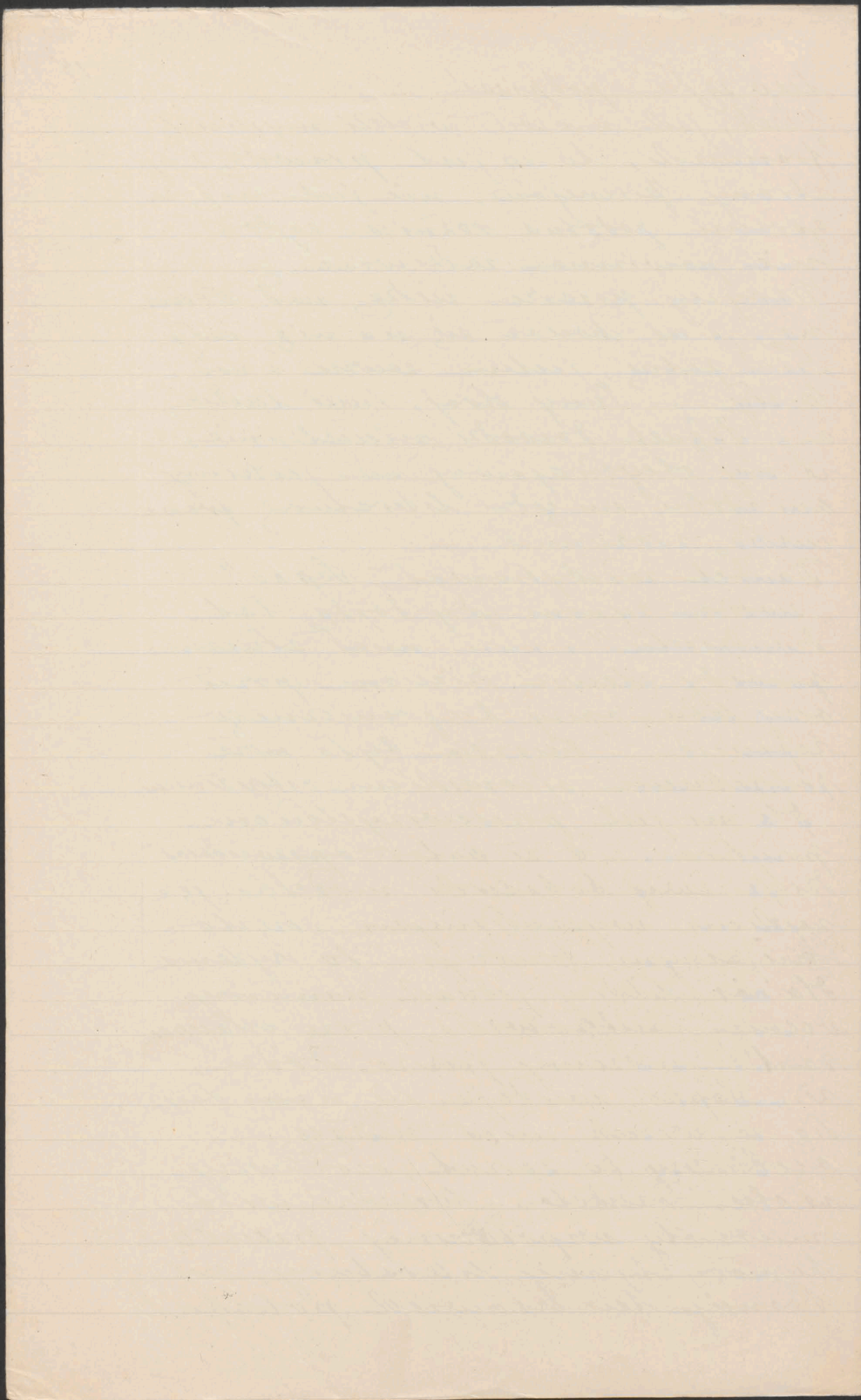

wywołać iście komiczne typy i
wesołe sytuacye. — Syn południa
zrozumiał śmieszność południowców,
poczciwych frantów, niewinnych
krzykaczy, łgarzy, okłamujących zwłaszcza
siebie samych. —
Niekiedy i w tem jest niebezpieczeń-
stwo, zostają tacy ludzie mistrzami;
jak „Numa Roumestan". —
Zazwyczaj ograniczają pole działania
do klubu małego miasta, a nawet
do jednej kawiarni. — Tam urodził się,
wyrósł i wydoskonalił Tartarin,
obywatel miasta Tarascon, który
dzięki Daudetowi nabrał w Europie
takiego rozgłosu, jakim się u nas cie-
szą Osiek, Pacanów, Smorgonie i
Ryczywół. — Tartarin jest to daleki
krewny Sancho-Pansy i Zagłoby. —
Raz wyjechawszy do Afryki, aby na
lwy polować, zabija wychudłego,
zagłodzonego, ledwo żyjącego lwa,
który przypadkiem uciekł z menaże-
ryi. — Raz znowu, jak Zagłoba, ~~[illegible]~~
zdobył mimowoli chorągiew, doszedł
Taraskończyk do sławy pierwszo-
rzędnego alpinisty. — W rodzinnem
mieście opłakano już zgon bohate-
ra. — Nagle wśród obchodu ku
jego czci Tartarin wchodzi. —
Tartarin bowiem nie umiera. —
Istnieją jednak drobne powiastki
Daudeta, krótkie, poetyczne i skro-
mne, obrazki, ballady prozą lub
nowelki, którym śmiem jeszcze
dłuższe, piękniejsze życie rokować.

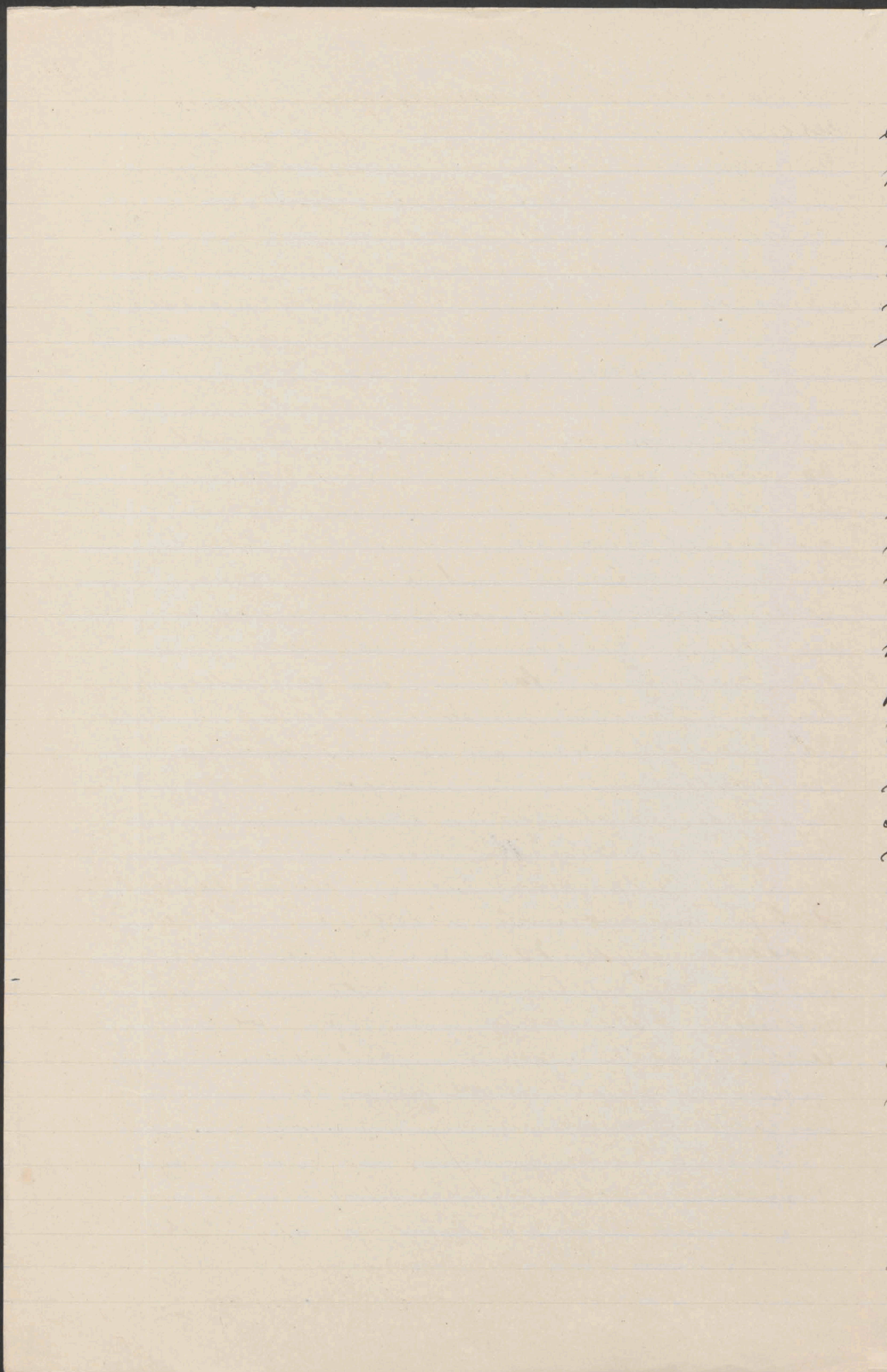

Są to prace z lat pierwszych, pisane bezpośrednio przed wojną niemiecką lub po niej. – Znam pośród nich rozkoszne krajobrazy nadmorskie, wesołe bajki, fantastyczne legendy. – Piękny muł, wierzchowiec jednego z papieży awinionskich medytuje przez siedm lat nad zemstą; bo oto paź, paź lekkomyślny i swawolny wypija stale porcyę ciepłego wina, którą codziennie z pałacu przynoszą wiernemu bydlęciu. – Po siedmiu latach paź zasiadł wielkim dostojnikiem. – Muł poznaje go pod nowym mundurem i jednem, ale od dawna obmyślanem uderzeniem kopyta zamienia go w proch. –
Po dygnitarzu zostaje tylko chmura pyłu; zaledwie kilka piór beretu ulata ponad chmurą. – Zmienia się scena i zmieniają czasy. –
Za drugiego Cesarstwa, jedzie teraz młody podprefekt, na zebranie kółek rolniczych i układa w powozie mowę oficyalną. –
Dzień jest upalny, a w lasku przy drodze jest chłodno. – Pan podprefekt wysiada, aby wśród cienia zebrać w pamięci najważniejsze punkta swej odezwy.
W lasku jest chłodno. – Po drzewach idzie dziwny szum, z gałęzi dziwny śpiew trznadli, czyżyków, gilów, sikor i makolągwek. – Mech jest miękki. – Jest chłodno. – Pan podprefekt – i tu jest tragedya –

nie zostanie nigdy prefektem. –
Bo oto przemarzył całą godzinę, zapo-
mniał o obowiązkach. – Nie stawi
się w ministerstwie na oznaczony czas. –
Nie otworzy posiedzenia przemową.
Pan podprefekt pisze wiersze.
Mój Boże – tym razem mówię ja,
a nie Daudet – gdzież się ta poezya
nie gnieździ?

. . . .

Trzecim o tem kilku powiastek, które
wszyscy u nas czytali, ale może nie
wszyscy do dziś dnia pamiętają. –
Są jeszcze inne, wywodzone powiastki
tak wymowne, w swej zwięzłości,
tak jędrne i proste, że kto je raz
poznał, ten ich nie zapomni. –
Lekcya w alzackiej szkole ludowej.
Ostatni dzień nauki po francusku. –
Dzieci się wstydzą, że tak opieszale
uczęszczały do szkoły. – Lekcya odby-
wa się spokojnie, w jakiejś uroczy-
stej ciszy. – Naraz odgłos bębnów i
odgłos krzykliwych piszczałek. –
Prusacy przyszli zająć terytoryum.
Pomimo zgiełku z zewnątrz, w
izbie panuje pierwotna, nieustan-
na cisza. – profesor pisze kredą na
tablicy: Vive la France!
Inna opowieść. –
Stary francuski generał jest chory,
nie może sam czytać gazet. Wojna
z Niemcami wybuchła i rodzina
szanując stan jego zdrowia, fałszu-
je dla niego telegramy dziennikowe. –
Codzień odbiera wiadomości o nowem –

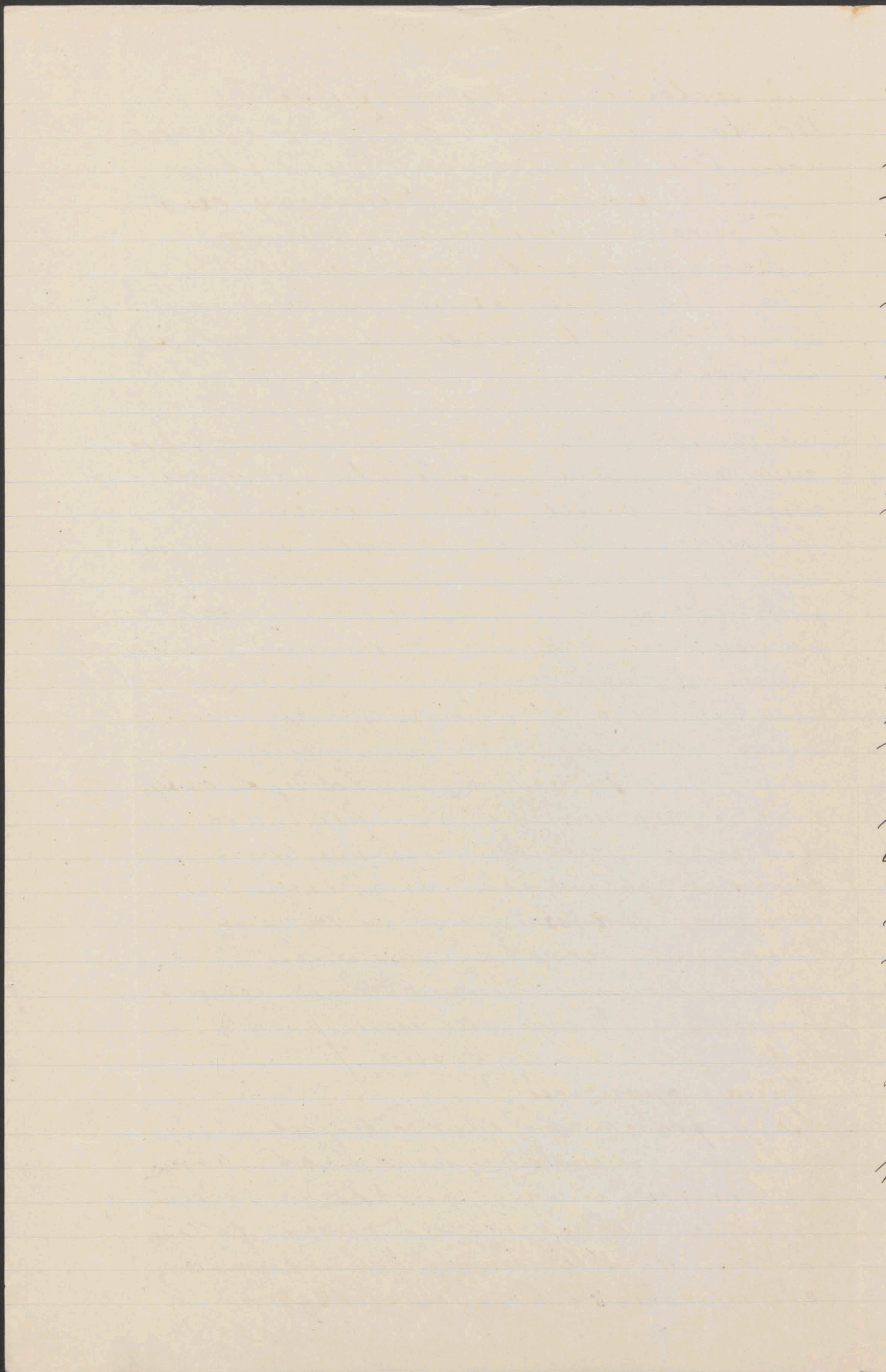

zwycięstwie francuskiem. —
Codzień poddaje się jakaś niemiecka
warownia. — Według obliczeń gene-
rała, Francuzi powinni już byli
wejść tryumfalnie do Berlina. —
Dziś wstał pogodny, generał czuł
się sam, więc — mimo próśb córki —
wychodzi na balkon. — Pola Elizejskie
są dziwnie puste, okna pozamykane
zamknięte. — I naraz, znowu ~~odgłos~~
odgłos bębnów, odgłos krzykliwych
piszczałek. — Przez Arc de l'Etoile
wchodzą Niemcy do Paryża. —
Generał pada, zabity apoplektycznym
atakiem. . . . .

Alfons Daudet, który takie zdarze-
nia wymyślał, miał podczas
niemiecko-francuskiej wojny, karabin
na ramieniu. —
Był to w ogóle człowiek szlache-
tny i dobry. — Przez szereg lat
ostatnich, cierpiał bez przerwy.
Choroba zabijała w nim powoli
władze fizyczne, duchowych władz,
twórczości artystycznej nie zabiła.
Daudet mówił niedawno do je-
dnego ze swych wiernych przyj-
aciół, te mniej-więcej słowa:
„Ja byłem taki dumny, tak
szalenie dumny z młodości, z jej
potęgi, iż ~~wszystko~~ słuszna, abym
dziś za to cierpiał.“
Ostatni czas w życiu pisana był
tak. Dwóch braci, jego przyja-
ciół, poważniło się do ~~tego~~

stopnia, że sobę, że jeden z nich umierający nie chciał nawet widzieć drugiego i cały swój majątek zapisywał Daudetowi. — Daudet już sam bliski śmierci, pojechał na drugi koniec Francyi, aby braci pogodzić. — Przeprowadził rzecz całą, pozbył się zapisu na swoje imię. I potem w kilka dni umarł. —

Zanim go spokój wieczności ogarnie, zanim się na jego mogile pierwsza trawa ~~[illegible]~~ zazieleni, my, obcokrajowcy, nieznani, dalecy przyjaciele, powinniśmy mu poświęcić chwilę wspomnienia szczerego. — Nie podziwiamy bezwzględnie wszystkich jego pism, ale poznaliśmy się oddawna ~~[illegible]~~ na szlachetności wszystkich jego zamiarów.

Był on po trosze i nasz, bo czytywano go często i u nas przy świetle lampy, zbiorowo, w ciągu zimowych wieczorów. —

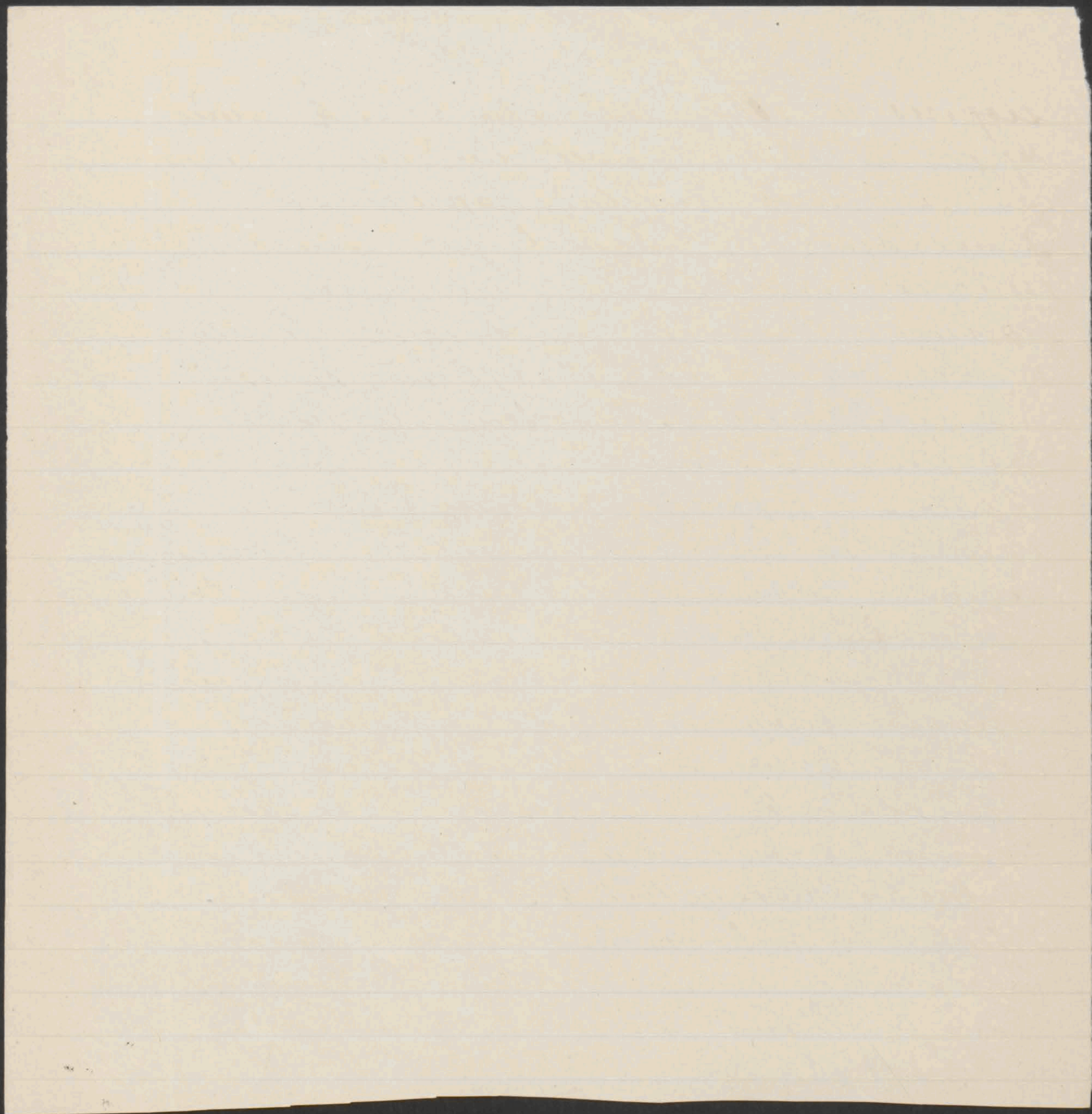

106

25.

~~Środa (23) Lutego 1898 r.~~

~~Słowo [illegible] 42~~

Listy z Francyi.

Środa 23 Lutego 1898

V

(p. St. Rzewuski i jego dramat w Odeonie. — Biografia a krytyka literacka. — Nowe prace o A. de Musset i Goethem. — Sztuki treści feministycznej. — Prawa krytyki i obrony. — Proces literacki. — Pan Dubout a Aleksander Fredro.)

Przedstawienia sztuki polskiego pisarza na wielkiej paryskiej, subwencyonowanej scenie jest wydarzeniem zbyt rzadkiem, abym go nie miał zapisać na czele niniejszego listu. Chcąc wszelkich nieporozumień uniknąć, pośpieszam dodać, że nie chodzi tymczasem o polską sztukę sceniczną, przełożoną na język francuski, ale o sztukę pisaną po francusku przez polskiego pisarza. — Jest nim p. Stanisław hrabia Rzewuski, znany w Paryżu głównie z dzieł dramatycznych i nowel, a u nas — z krytycznych studyów o Henryku Becque, Pawle Bourget, Gabryelu Séailles i Gwidonie de Maupassant. — Te nowe „portrety literackie", mniej zwięzłe i mniej wykwintne od dawnych, które Lucyan Siemieński podpisywał,

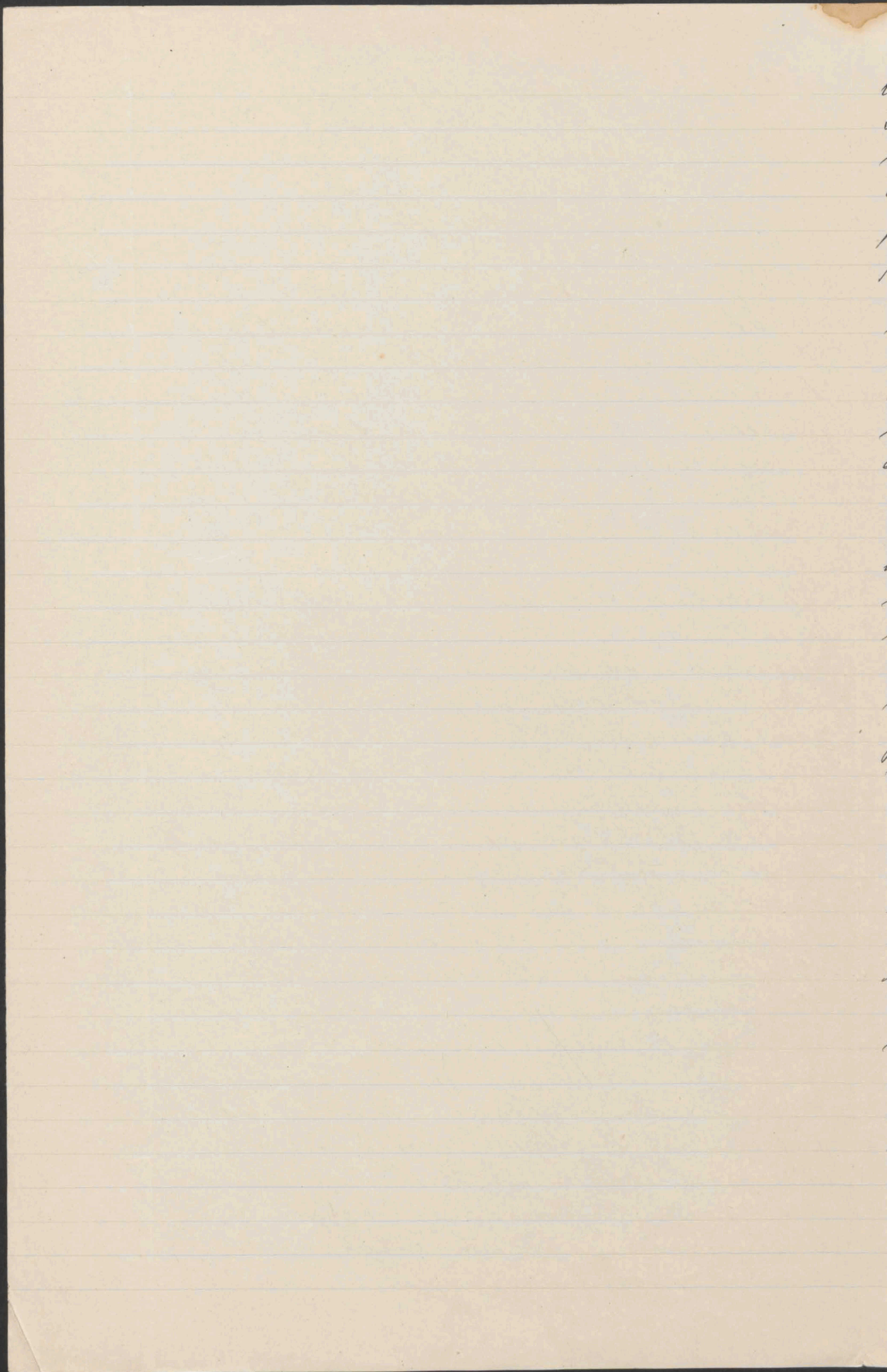

ukazały się naprzód w „Przeglądzie Tygodniowym,” później zaś wyszły w osobnym tomiku. — Autor ogłosił je również po francusku pod tytułem „Etudes littéraires” (Paryż 1888). —
Obydwa rządowe teatra paryskie i Komedya Francuska i Odeon zwykły uroczyście obchodzić rocznicę narodzenia lub zgonu wielkich scenicznych poetów XVII^go stulecia, a zwłaszcza Molière'a i Racine'a. Wystawiają podówczas jedno lub dwa jego dzieła i dają dodają drobną okolicznościową sztukę napisaną specyjalnie w celu apoteozy. —
Autorowie podobnych jednodniówek dramatyzują zazwyczaj jakąś anegdotę z życia rozsławionego pisarza. —
Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że ilość anegdot jest ograniczoną. — Ale jak mówią Francuzi: „Quand il n'y en a plus, il y en a encore.” Po naw-pół autentycznych zupełnie nie autentyczne rysy i historyjki dostają się na deski, równie cierpliwe, jak papier. —
Pan Rzewuski porzucił te dawno utarte szlaki i nie wprowadził autora „Fedry” na scenę Odeonu. Wolał przenieść rzecz jednoaktówki w czasy późniejsze, w dni, kiedy całe ćwierć wieku minęło od

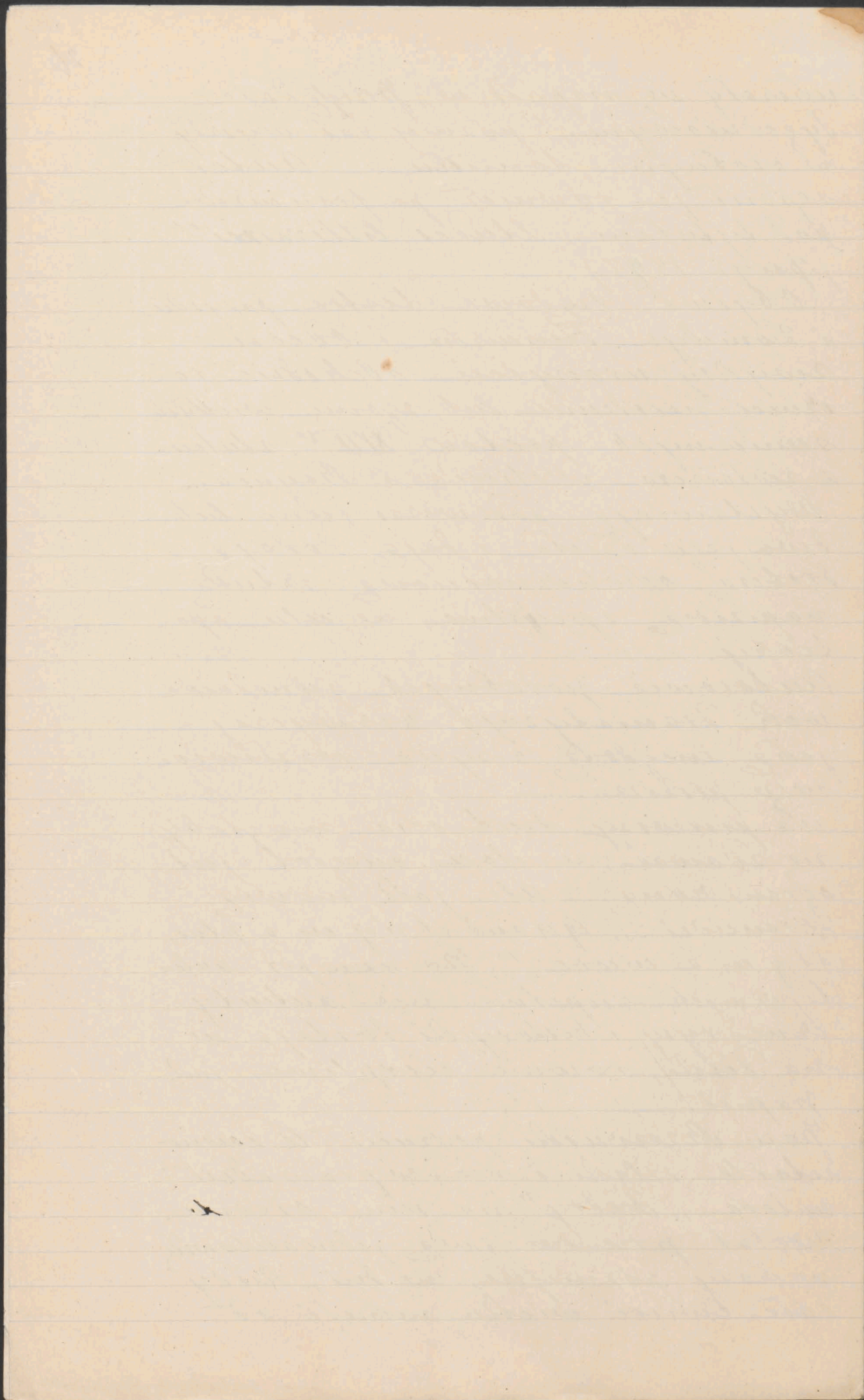

śmierci Racine'a. — Poczuł zapewne — i pozwolę sobie przydłużyć temu poczuciu — zrozumiał, że ilekroć wielbimy znakomitego pisarza, mamy na myśli jego dzieła, wdzięk, który wyważył, rozkosz, którą sprawił, nie zaś jego osobę, chwilami błahą a niekiedy wprost lichą. —
W ostatnich czasach objawiają się tak dziwne pojęcia o stosunku biografii poetów do ich dzieł, że trudnoby mi było nie dotknąć dziś tej sprawy. —
Porzucam więc na chwilę dramat pana Rzewuskiego — i otwieram nawias.
Do niedawna badano życie takiego Alfreda de Musset, w wyłącznej nadziei, że biograficzne szczegóły pozwolą wniknąć głębiej w znaczenie, w przewodnią myśl jego utworów. — Ale dziś — proszę mi to wyrażenie przebaczyć — dziś odwrócono króla do góry ogonem. Co miało być środkiem, wiodącym do celu, stało się nagle celem. Najpiękniejsze poezye Musset'a zeszły do rzędu wiarogodnych dokumentów. — Krytycy czytają „Noce" nie dlatego, że są to cudne dzieła, ale po prostu w zamiarze kontrolowania innych biograficznych świadectw. — Jest w tem trochę winy niemieckich pedantów, trochę wpływu źle zrozumianych i źle dobieranych mistrzów z poza

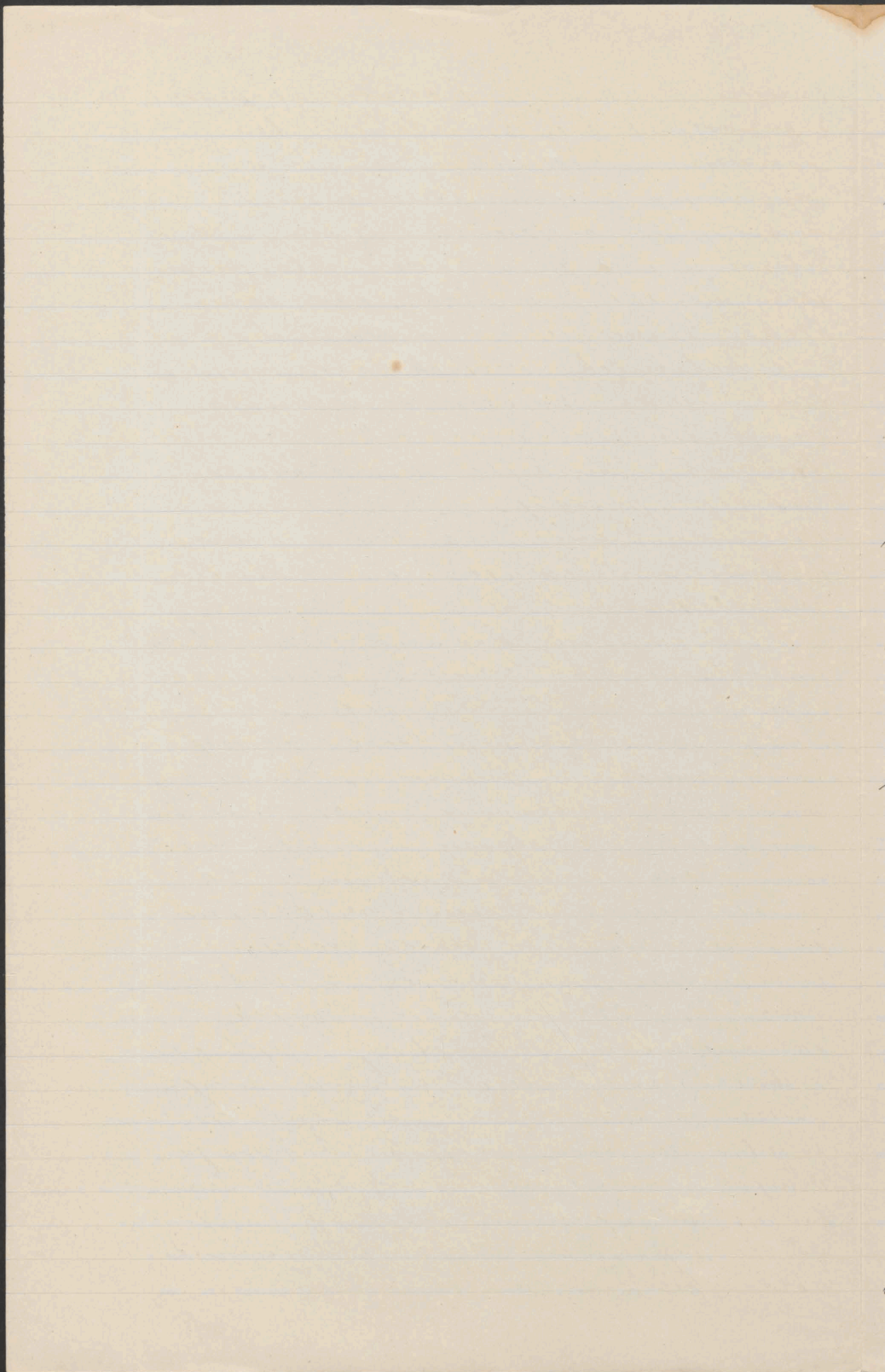

Renu. — Jest wiele drobnej, nędznej, całemu światu właściwej, ciekawości. [illegible], że chcąc poetę zrozumieć, trzeba go przedewszystkiem zniżyć do ogólnego poziomu, wyprzeć z niego artystę, widzieć w nim tylko codziennego człowieka, zwykłego przechodnia.
Autor „Lorenzaccia" zaciekawia dziś publiczność, jako wielbiciel i kochanek Amantyny Lucylii Aurory (trojga imion) baronowej Dudevant, z domu Dupin.
Wielu moim czytelnikom wyda się zrazu, że nie znają tej pani. — Mylą się. — Jest to Georges Sand. — Czyż sam fakt tej pomyłki nie przedstawia nauki? Potomność zna i chce znać jedynie autorkę „Margrabiego de Villemer," a nie dba o rozwódkę. — pamiętamy pseudonim, nazwisko jest nam obce. — odczytujemy jeszcze niektóre powieści, nie pytamy o biografię. Mimo to traktowano nas przez całą przeszłą zimę wspomnieniami o stosunku pani Sand do Musset'a, wyznaniami świadków i osób trzecich, korespondencyą, wydobytą z tych starych biurek, które niegdyś nosiły nazwę sekretarzy. Wznowiono dawne żale, niesnaski i goryczę. — poświęcono całe tomy obronie jednej, albo drugiej strony. Poruszono tysiące drobiazgów, które się też podniosły, tumanom kurzu podobne, i zasłoniły jedynie

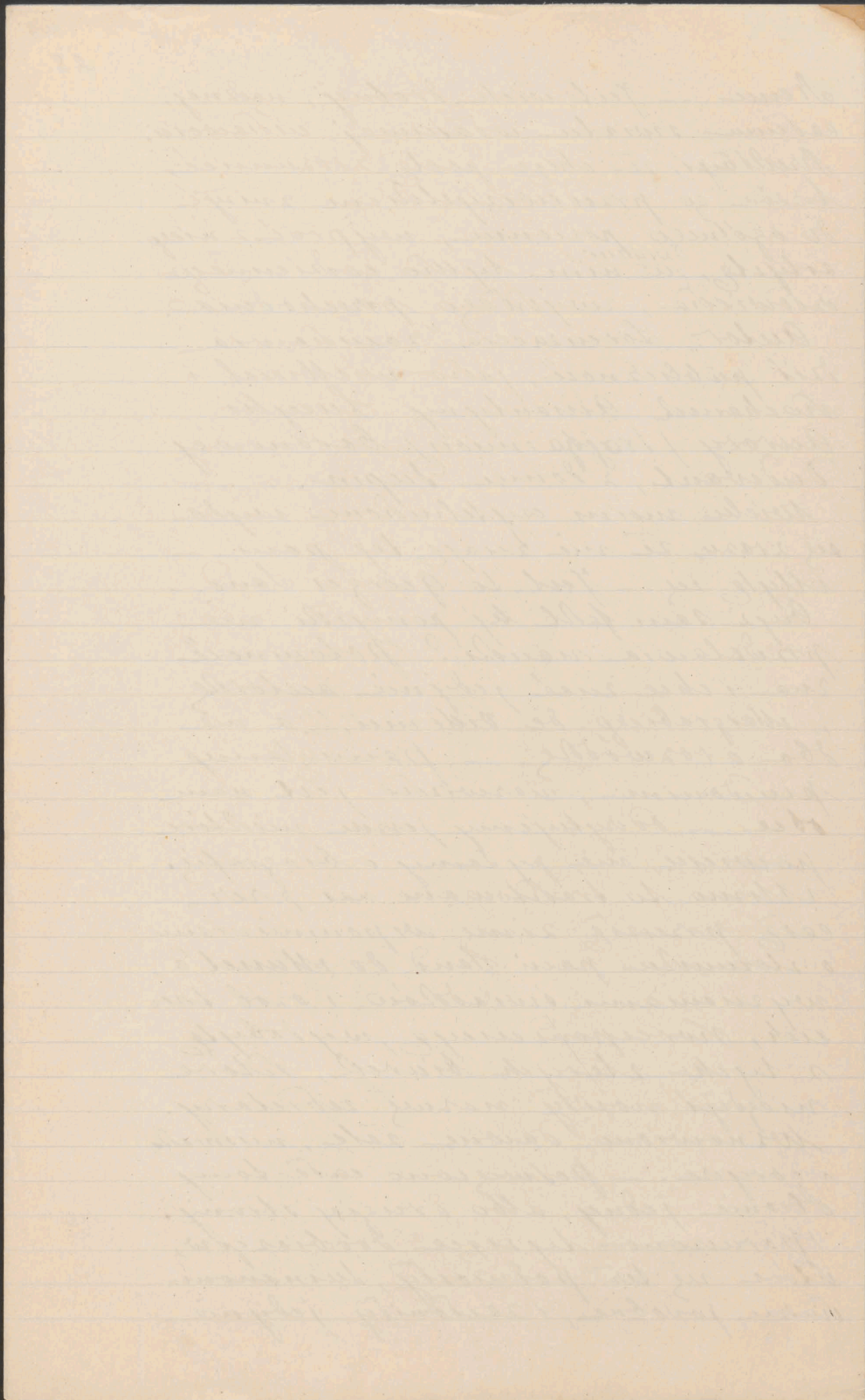

twarz wielkich pisarzy. —
Nie wzbogaciliśmy się jednak wcale a ~~[illegible]~~ wcale w ciekawe wskazówki, objaśniające ich dzieła. Pozostał po tej kampanii niesmak — i nic więcej. —
W rodzie obecnym, ale tym razem świadomie, z wyraźną złą wolą użyto starego sposobu zohydzania pisarza: przedstawiono go jako lichego człowieka. — pan Edward Rod, najnudniejszy z paryskich dziennikarzy, autor wielu powieści, z których była jedna „La Vie privée de Michel Teissier" spotkała się z pewnem uznaniem, postanowił zabić obcego poetę. —
Szowinizm francuski, silniejszy dziś, niż kiedykolwiek, poparł niejako krytyka w przedsięwzięciu. — Wielu pisarzy z nad Sekwany sądzi, że należałoby raz usunąć z drogi takich obcych, ~~przecenionych~~ przecenionych autorów, jak Schakespeare albo Goethe, że trzeba oczyścić widownię, by Lamartine albo Wiktor Hugo, mogli w niej sterczeć sami. — Trzeba wmawiać i w swoich i w obcych, że po za Francyą niemasz zbawienia. —
Znalazł się jednak w paryżu recenzent — <u>il y a encore des juges à Berlin</u> — recenzent, któremu się tytuł książki pana Rod wydał nieodpowiednim. — Nie godzi się na: „Essais sur Goethe", wolałby „Essais contre Goethe". — W istocie nie jest

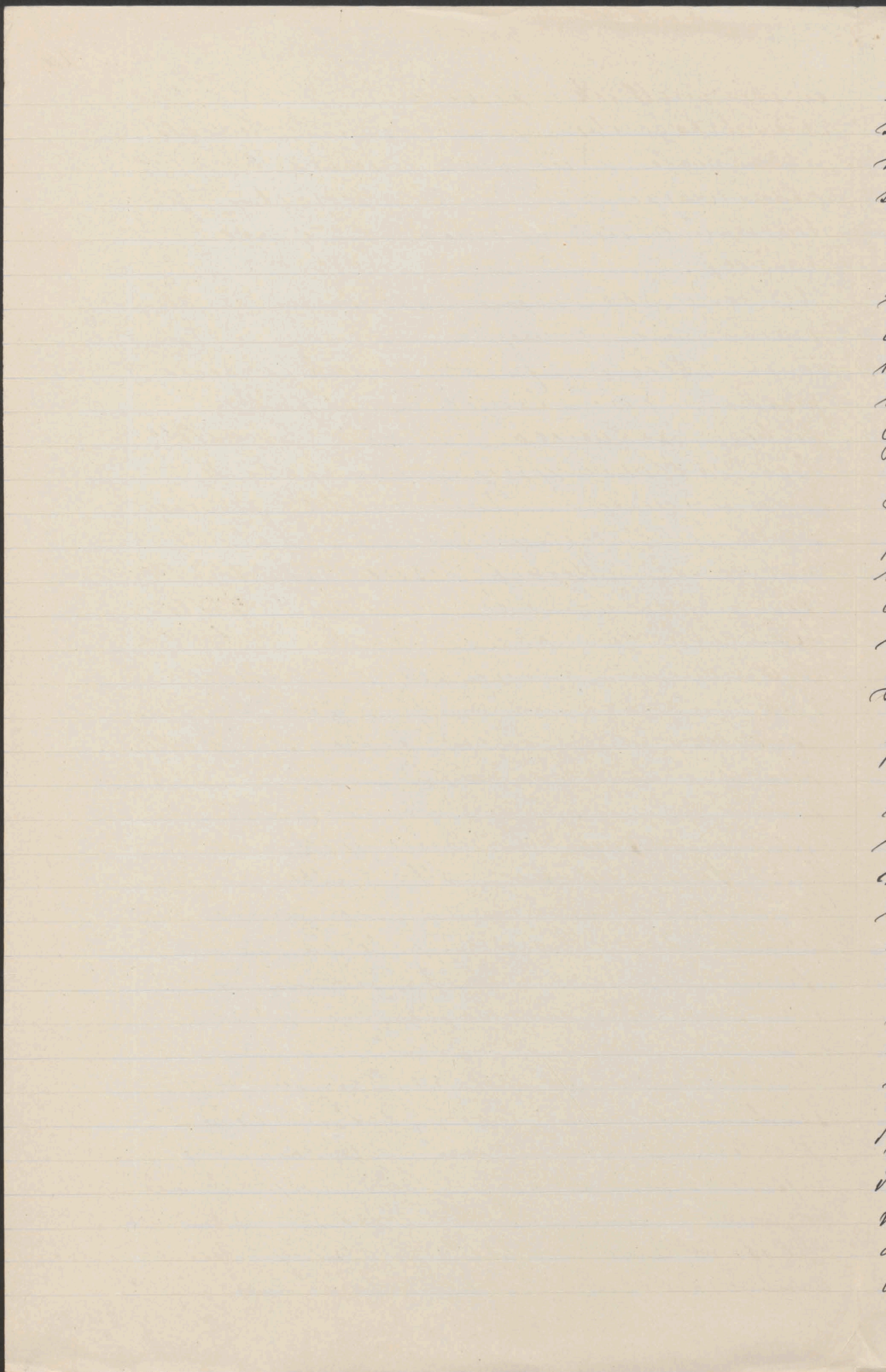

to ocena, jest to prosta, jakkolwiek subtelnie motywowana napaść. – Nie mogąc umniejszyć w Goethem artysty, stara się p. Kod oszkalować człowieka. Zapomina o własnych słowach poety: „Jakiegoż czytelnika ja pragnę? Najmniej uprzedzonego, człowieka, który o mnie, o sobie, o świecie zapomina i w książce mej tylko żyje." Zapomina również, że do nikogo, tylko do Goethego zwrócił Napoleon te słowa: „Vous êtes un homme!"
Syn frankfurckiego mieszczanina, później dworzanin i minister, potrzebował całego wysiłku swej energii, aby się z więzów rodzinnych uwolnić, nie utknąć w drobnych intrygach w Wejmarze, pozostać na dworze, a nie stać się dworakiem, potrzebował zaprawdę i tęgości i woli, aby się zwolna udoskonalać i kształcić, aby zostać tem, czem mógł być, czem się czuł, jednym z największych poetów, jedną z najpotężniejszych indywidualności wszech czasów i krajów. –
Zarzucają mu nieraz, że porzucał i zapominał dawnych przyjaciół i towarzyszów lat młodych, że w ogóle dbał więcej o idee, niż o jednostki. – odpowiedział on z góry i na to oskarżenie: „Ten jest mi druhem, kto dotrzymuje kroku, kiedy dążę. Skoro mi radzi spoczęć, ja się od niego wymykam."
Naprożno powtarzają więc historyą,

jak Goethe przerwał stosunki z ta-
kim Lavaterem, Stolbergami i t.d.
Człowiek, który w duszy nosił
„Fausta", prace z zakresu biologii,
historyi sztuki, optyki i t.d. nie mógł
czasu obcować z ludźmi, którzy wyszli
razem z nim, lecz nie niebawem
nie zdobyli towarzyszyć. — Czyżbyśmy
woleli, aby i on ustał w drodze?
My nie, ale p. Edouard Rod... Byłoby
może mniej o jednego wielkiego czło-
wieka, nie urodzonego we Francyi,
jedynej — jak wiadomo — ojczyźnie
geniuszów. —
Paryż liczy kilku znakomitych
znawców literatury niemieckiej, np.
pp. Chuquet, Bréal, Lichtenberger. —
Uczone ich dzieła nie dostają się
jednak do szerokich warstw publi-
czności, wśród których p. Rod dużo
złego narobi. — Aby dać pojęcie jak
się Francuzi zachowują wobec ob-
cych pisarzy, warto przyto-
czyć wiekopomne słowa Wiktora
Hugo. — Zapytano się go, czy zna Goethego.
„Nie — odrzekł — ale znam Schillera.
C'est la même chose." —
Nie po raz pierwszy to usiłują obniżyć
Goethego, przedstawiając jego życiorys.
Co parę lat ukazuje się książka, ma-
jąca za cel oczernić autora „Ifigenii",
albo oczyścić „poetę" „Pucelle d'Orléans."
Daremny trud! jak nikt w Voltairze
nie obniży człowieka, tak nikt go
w Goethem nie zabrudzi. —
Woda z najszlachetniejszej natury

~~[illegible]~~

spływa jak po piórach łabędzich.
W ostatnich dniach odezwały się w Paryżu nowe głosy przeciw poecie niemieckiemu. — Wystawiono w Odeonie jego dramat z lat młodych, rzecz napisaną o zakład — w ciągu tygodnia. — Nie należało zapewne wprowadzać „Claviga" na tę scenę francuską, na której nie grają „Fausta", ani nawet „Egmonta"; ale skoro się sztuka dostała na deski, trzeba ją było poprzedzić fachowym odczytem, a nie stronniczą, niechętną i plotkarską krytyką. — ~~Prasa~~ z p. Franciszkiem Sarcey na czele, prasa, która się zapewne dopiero z wykładu pana ~~Lin~~ Lintilhac ~~Lintilhac~~ dowiedziała o miłości Goethego do Fryderyki Brion, potępiła i życie pisarza niemieckiego i jego dzieło. Powstało ono, jak wiadomo, pod wpływem memoryałów Piotra Caron de Beaumarchais, przyszłego autora „Cyrulika Sewilskiego." Francuski tłomacz wprowadził całe ustępy tych polemicznych broszur do dramatu, wkładając je w usta bohaterów. — I na podstawie takiego „obrobienia" uznano Goethego za pisarza, któremu brak życia i talentu. —
We Francyi nie nauczono się jeszcze szanować obcych autorów. — Nie tłomaczą ich, ale „adoptują". — ~~Ham~~ Hamlet jest — jak twierdzą afisze — dziełem pp. Al. Dumasa (ojca) i Pawła Meurice „podług Schakespear'a."

Taki przyrządzony „Ducińki Królewicz” nie zachwyca Paryżan... Ani mnie. — Jest tylko ta różnica między publicznością bulwarów a mną, że ja wiem, że to, co grają na scenie Komedyi Francuzkiej, nie jest dzieciem Schakespeare'a i że on za to odpowiadać nie może. —
Nie moja wina, jeżeli wspominam takie małostki. — pomijając je milczeniem, fałszowałbym obraz artystycznych i literackich pojęć współczesnego Paryża. — Lecz, z drugiej strony, może już nadszedł czas przejść do innych objawów, do świeższych wiadomości? Możeby wypadało zamknąć nawias.[23]
— Wracam do jednoaktówki pana Rzewuskiego. — Mówiłem, że, chcąc uczcić Racine'a, postanowił wykazać wpływ poety na dusze szlachetne i proste, nietylko na współczesnych, ale i na dalsze pokolenia. —
Bohaterką sztuki jest Marya Leszczyńska, towarzysząca ojcu na wygnaniu. Bieda, niemal nędza zagląda do drzwi byłego króla. — Opuścili go wszyscy, prócz szlachetnego młodego Francuza, pana d'Estrée. — Stara niańka pociesza swą panią — bez tronu — i bez ziemi. — Marya nie potrzebuje jednak pociechy: zna dwóch ludzi na ~~ziemi~~ świecie, którzy ją radują i koją. — Pierwszym z nich jest Racine, człowiek oddalony nieżyjący. — Ale poeci nie zamierają w tym znaczeniu

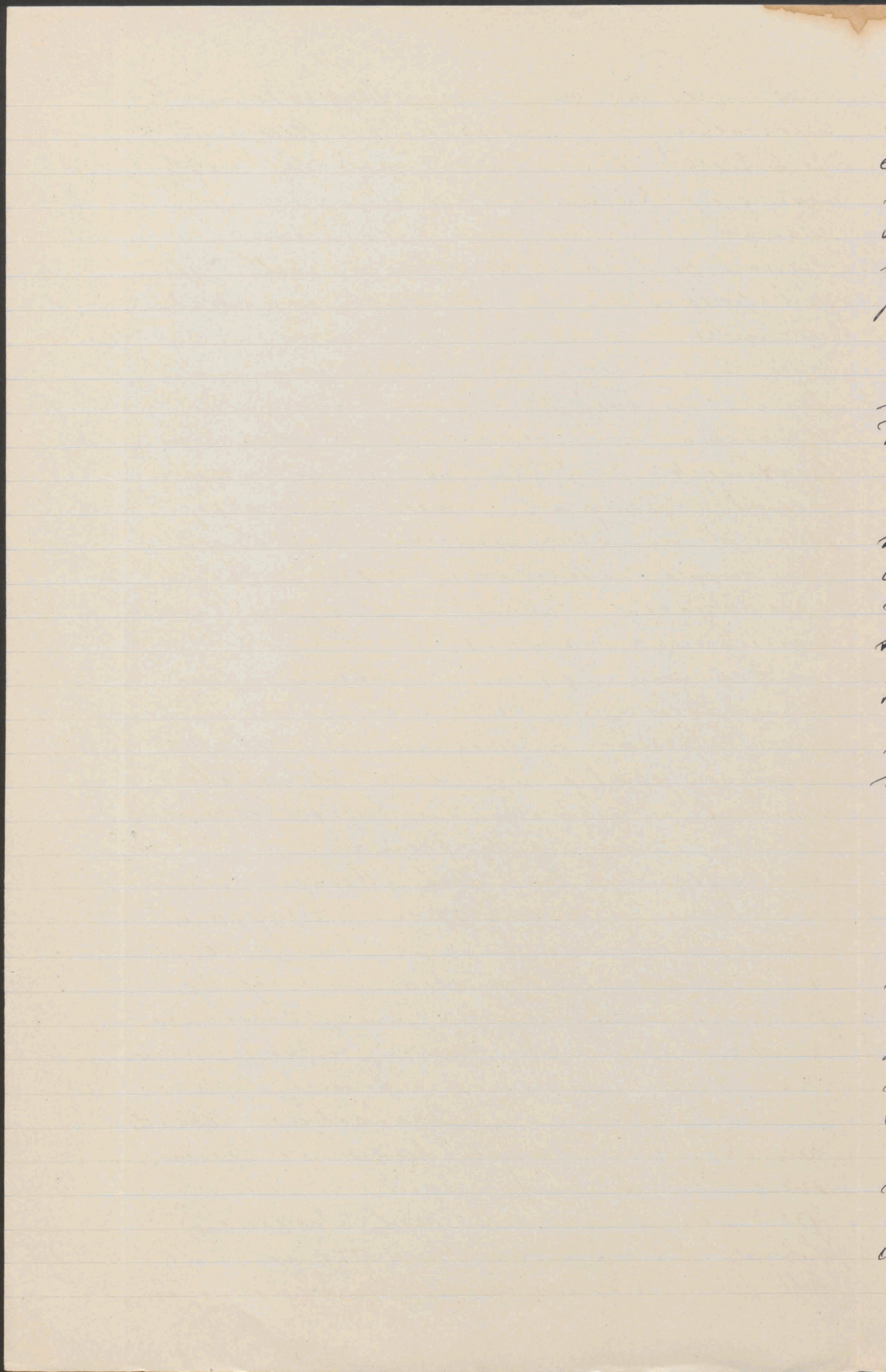

dniu, w którym lekarz stwierdza ich
zgon urzędowy. — Któryż to pisarz fran-
cuski powiedział, że zmarli działają
na nas silniej, niż żyjący?
Dla Maryi Leszczyńskiej Racine żyje,
uczy ją co dnia zaparcia się siebie,
poczuć szczytnych, przeżyć szczodrych.
Nie zapomniała ziemi rodzinnej,
ale całą swą duszę powierzyła obce-
mu pisarzowi w opiekę. — Armand
d'Estrée jest drugim człowiekiem,
o którego dba, któremu wierzy.
Kocha go nawet, bo jeśli się najwyż-
szych, dalekich poetów wielbi, ko-
cha się tylko ludzi żywych, ludzi
z kości i krwi. — Marya przyrzekła
szlachcicowi francuskiemu, że będzie
jego żoną. —
Naraz zjawia się list, który całe
to skromne życie, całą pogodną
miłość w niwecz i boleść obróci.
Proszą w nim uroczyście o rękę
Maryi Leszczyńskiej dla Ludwika XV,
króla Francyi.
Cóż ma dziewczyna uczynić?
Poświęcić się dla ojca, może dla
rodzinnego kraju, a może nawet
dla ojczyzny najukochańszego
poety, dla której oddawna czuje
sympatyę, niemal przywiązanie?
Czyżby jej nie było już wolno szukać
cichego szczęścia, w cichej, spokojnej
miłości?
Marya Leszczyńska odzywa się do
Racine'a. I po chwili namysłu, wśród
której bohatersko krótkiemu i cichli

wielkich wodzów, znane postacie tragedyi, zdaje się do niej przemawiać, polska wygnanka powzięła stanowczą decyzyę, bo nie chce być tych dumnych siostr niegodną. — Zostanie żoną francuzkiego oficera, zapomni o własnem, serdecznem i szlachetnem kochaniu.
Cały ten proces duchowy przeprowadzono wiarogodnie i pięknie. — Dodać należy, że dramacik znalazł na scenie „Odeonu" przedstawicieli sumiennych i pełnych ciepła. —
Dotknąłem dziś teatru, pozostańmy więc trochę na deskach. — Nie mogę zdawać sprawy z całego szeregu sztuk, wystawionych od początku sezonu, t. j.: mniej więcej od dnia, w którym zacząłem pisywać niniejsze „Listy z Francyi."
Wszak Paryż posiada trzydzieści teatrów, nie licząc tak zwanych cafés concerts, które się również bawią w operetki, balety, pantominy, nie licząc dalej scen zupełnie prywatnych, przeznaczonych dla stałych abonentów, a nie dla szerokiej publiczności. — Gros owoczesnej zimy sztuki o tendencyi „femi„feministycznej," a Warszawianka, pani Marya Szeliga otworzyła nawet osobny „Feministyczny teatr."— Później nastała era dramatów „społecznych". — I jedne i drugie wywołały wiele wrzawy, i jedne i drugie wprowadziły nowy obyczaj,

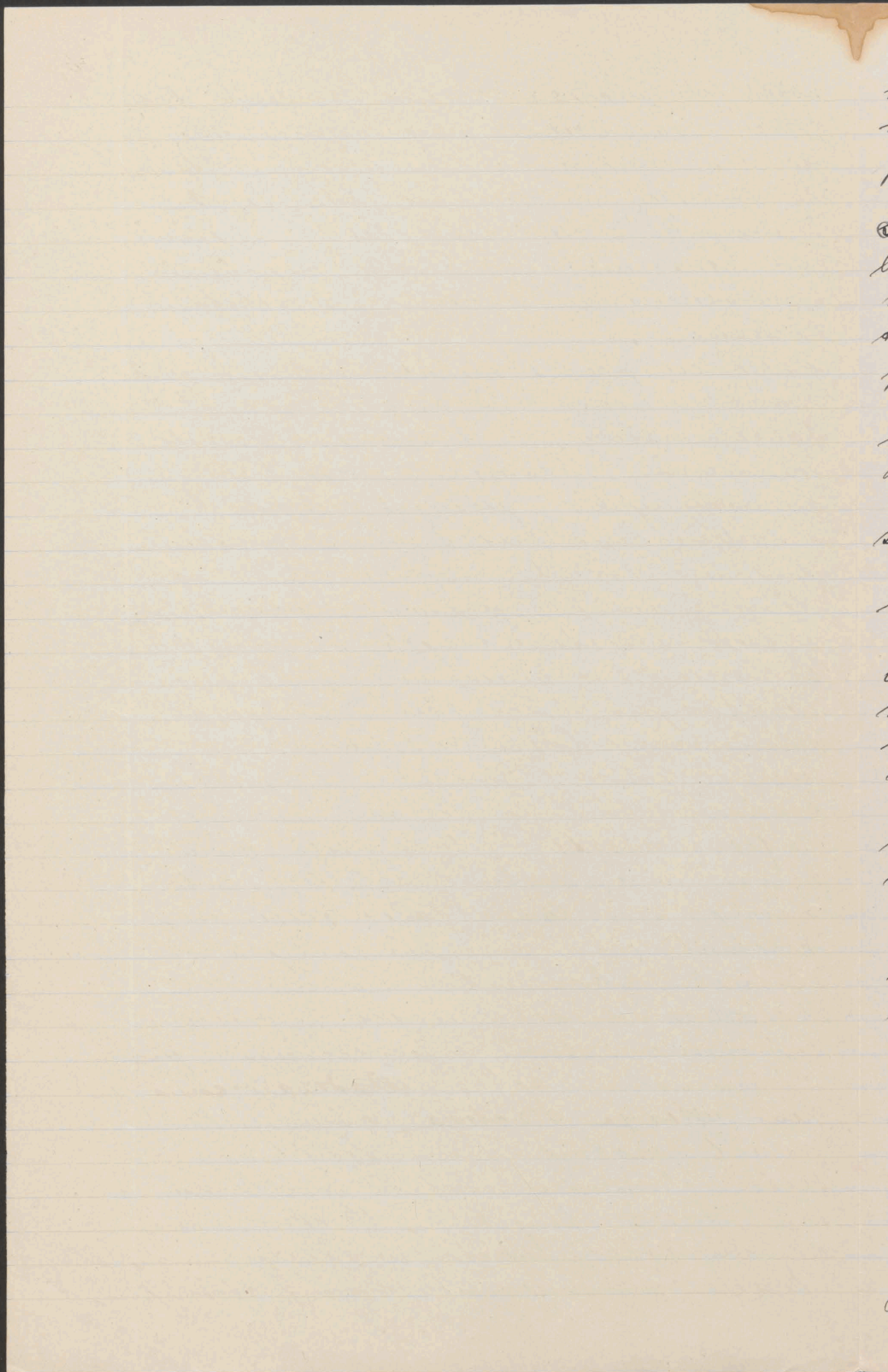

nowe pojęcia o prawach krytyki lite-
rackiej. — p. Juliusz Case autor komedyi,
przypominającej trochę „Norę" Ibsena,
oburzył się na recenzyę Juliusza
Lemaître'a i odpowiedział na nię
broszurą. — W zasadzie nic słuszniej-
szego: wolno apelować do wyższego
trybunału, chociażby nim była
publiczność... p. Oktawiusz Mirbeau
wystawia niebawem dramat treści
socyalistycznej, zwrócony przeciw
kapitałowi, a p. Franciszek Sarcey
ośmiela się twierdzić, że „Źli pasterze"
są sztuką nieudolnie zbudowaną. —
Autor odpisuje w języku, któregoby
się powstydzili ulicznicy warszawscy.
Doprawdy nie mam prawa zali-
czać się do wielbicieli p. Sarcey;
sądzę bowiem, że prosty rozsądek,
tak zwany chłopski rozum, nie
może wystarczyć krytykowi
spraw artystycznych i literackich;
sądzę, że poważne te zalety, nie za-
stąpią ani wyobraźni, ani daru
wmyślenia się w świat cudzy, ani
wrażliwości, bez której niema
zrozumienia autora. — Mimo to
ucieszyłem się, widząc, że stary
Sarcey wyszedł ze stajni Augiasza
czystym, — z dyalogu z panem
Mirbeau zwycięzkim. —
Nie koniec na tem. Oto dalsze
szczegóły wojny wypowiedzianej
krytyce. —
Tenże Sarcey, znany w Paryżu
głównie pod przezwiskiem „wujaszka",

napisał, że antrakty podczas przedstawień komedyi Bisson'a „Jalouse", są zbyt długie, że muszą niechybnie zniecierpliwić i odstręczać widzów. — Dyrektor teatru „Vaudeville" wpada podówczas na pomysł bardzo nowy. Ucieka się do opieki prawa i każe stwierdzić przez woźnego: po pierwsze, że przestanki między aktami trwają co najwyżej tyle a tyle minut, powtóre, że sala jest szczelnie zapełnioną. —

Dotąd nie znano krytyki literackiej, kreślonej przez urzędników, ma ona zapewne piękną przyszłość przed sobą.

Nareszcie sprawa pana Dubout. Jest to bankier-poeta. — Napisał on tragedyę w pięciu aktach, wierszem. Juliusz Lemaitre, który, niestety, porzucił recenzyę teatralną w „Journal des Débats" i przeniósł się do „Revue des deux mondes," wykazał w dwutygodniku błahość pomysłu i lichotę formy. „Fredegonda" p. Dubout'a upadła zresztą z hałasem, po kilku przedstawieniach. — „Poeta" wpadł w gniew, w święty gniew wszystkich skrytykowanych wierszorobów. — Wytoczył proces panu Brunetière, redaktorowi pisma i żądał wydrukowania w niem obszernej odpowiedzi oraz, co gorsza, czwartego aktu „Fredegondy." — Chciał on w imię prawa prasowego, dotyczącego odpowiedzi i sprostowań, ogłosić chociaż fragment tragedyi w dwutygodniku, bądź co bądź stawianym

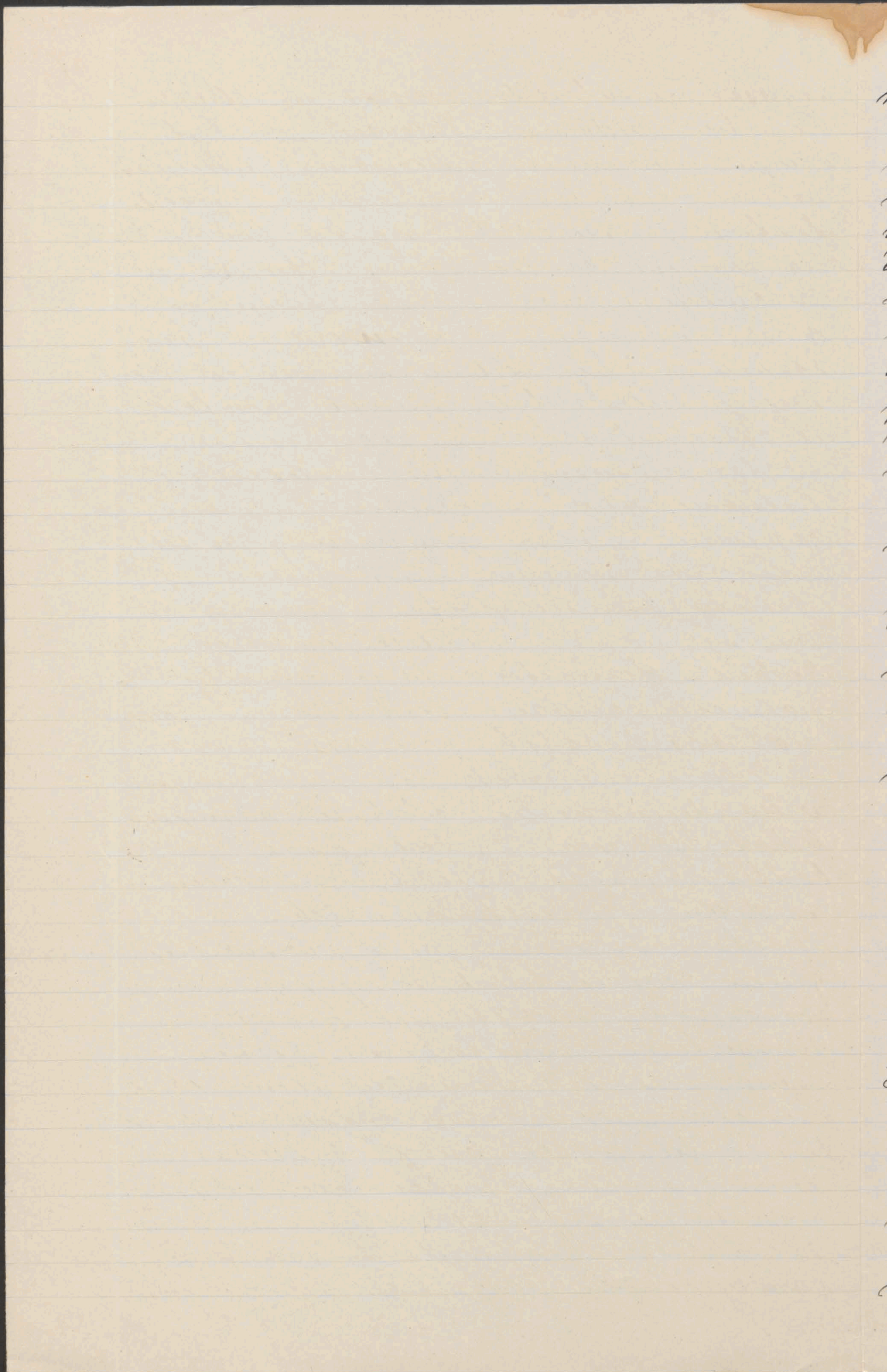

~~[illegible]~~ i czytywanym w całej
Europie. — Zdaje się nawet, że litera
prawa była za rymującym bandzie-
rem i że wypadło się uciec do adwo-
kackich subtelności, aby go z kwitkiem
odesłać. — A jednak przynajmniej dla
nieprawników, sprawa jest prosta
i jasna. — p. Dubout, wystawiając
swą tragedyę, poddał ją tem samem
pod sąd ogółu, a więc i pod sąd recen-
zentów. — Jeżeli się lękał ich zdania,
mógł urządzić u siebie przedstawienia
„Fredegondy" i zaprosić na nie
przyjaciół. — „Wolność, Tomku, w
swoim domku." — Słowa, które tu
przytaczam, znajdują się w komedyi
starego, wielkiego Fredry, niedocenia-
nego, nie dość podziwianego pisarza.
I on spotkał się z krytyką i to nie
z rozsądną, umotywowaną, ale z
nienawistną i zaciekłą. —
Nie wytoczył nigdy procesu, nie
odpowiedział broszurą ani artykułem, —
Postąpił szlachetnie i dumnie
w obec zawiści, ale w obec nas
źle postąpił. —
Przestał pisać, a raczej przestał pisać
z wiarą w swój talent, z wiarą
w samego siebie. —
Seweryn Goszczyński, którego za
dzisiejsi lat mało kto u nas wspomni,
zabił przyszłość Fredry, o którym
może nietylko polscy czytelnicy
kiedyś mówić będą.
Od blizko półtora roku patrzę tu
na komedye Moliere'a, mistrzowsko

grane. – Im bardziej je podziwiam, tem wyżej urasta w mojem pojęciu Fredro.

Przypomina mi to ciekawe zdanie wielkiego znawcy sztuki starożytnej, epoki Odrodzenia, rzeźb, obrazów współczesnych, człowieka, który czytał naszych pisarzy w oryginale.

„W literaturze polskiej – mówił mi – są trzy wielkie nazwiska:
„Mickiewicz, Fredro, Sienkiewicz."

Chciałem zaraz zapytać: czy Kochanowski i Słowacki nie należą do najwyższych kolorystów, najsubtelniejszych mistrzów języka?

Ale zamilkłem. Uradowałem się bowiem czcią oddaną Fredrze.

R. M. Górski.

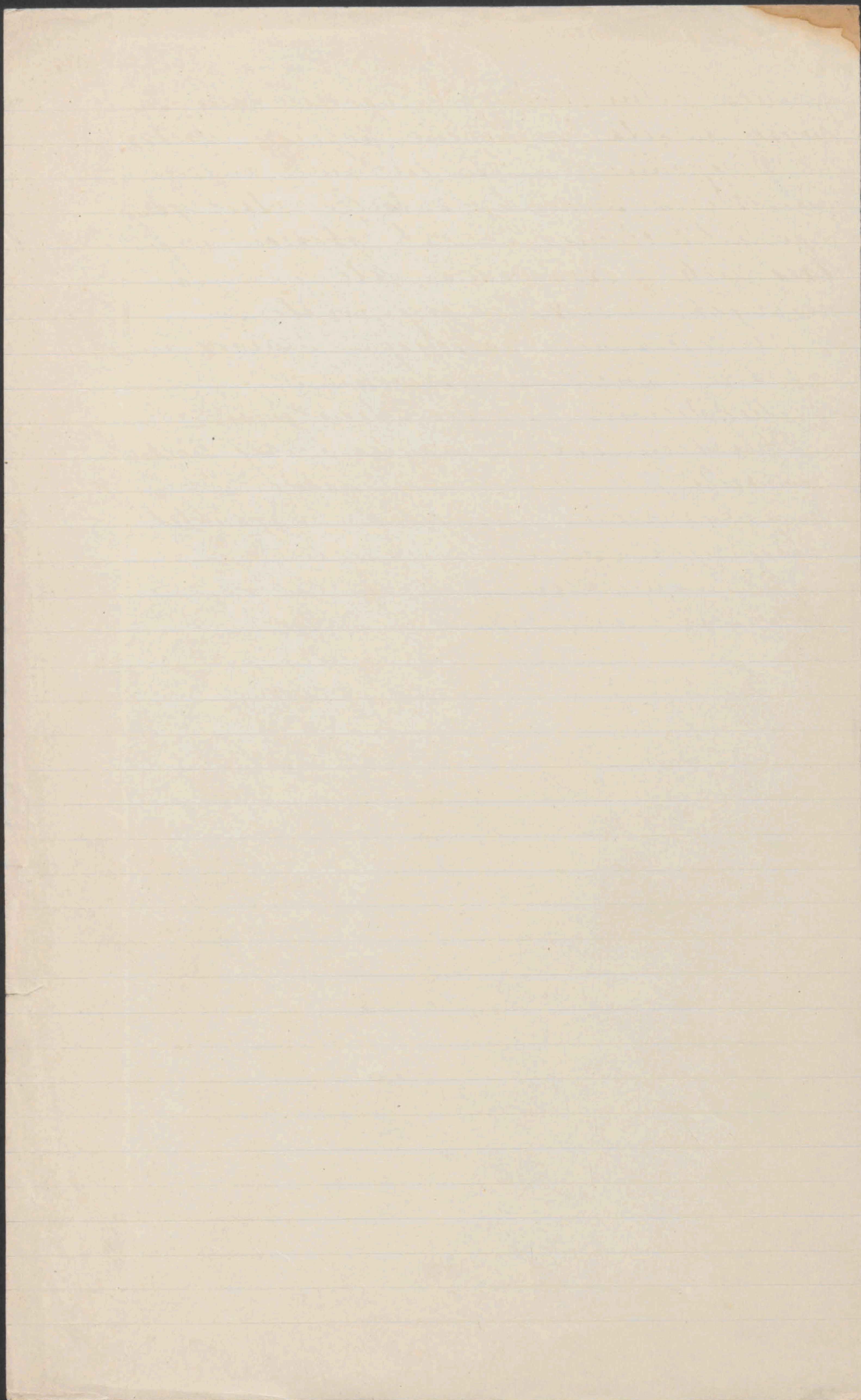

Czas z piątku 23 listopada 1900 r.:

Z literatury zagranicznej.

Burschenliebe. – Edel-Wild. Cyclus von T. Resa. – München. Braun und Schneider.
Gedichte von T. Resa. – Königsberg i. Pr. Thomas und Oppermann. 1900.

Przed laty mniej więcej dziesięciu doznałem raz wielkiej i niezwykłej radości. – Odkryłem poetkę bardzo szczerą, zupełnie osobistą. – Taką mi się przynajmniej wydała podówczas i taką mi się po dziś dzień wydaje. Odkryłem ją przypadkiem, by ją niebawem na długo stracić z oczu i teraz na nowo odnaleźć. –

Pamiętam słoneczny dzień w Weronie i jakąś szmaragdowo chłodną, staroświecko cienistą kawiarnię, do której uciekłem przed żarem. –

Gdzie to było, dokładnie nie pomnę, ale wiem, że nazwisko, a raczej pseudonim poetki przywodzi mi zawsze na myśl konne, w słońcu białe, posągi Scaligerów, albo też ogromne, rozpięte, jasne parasole przekupek na Małym Rynku Werony, na piazza delle Erbe. – Znużony oglądaniem pinakoteki, pogrążony w tem zupełnem, bezmyślnem zmęczeniu, dobrze znanem każdemu, co parę godzin wydzierać musi, aby się przyjrzeć obrazom, siedziałem

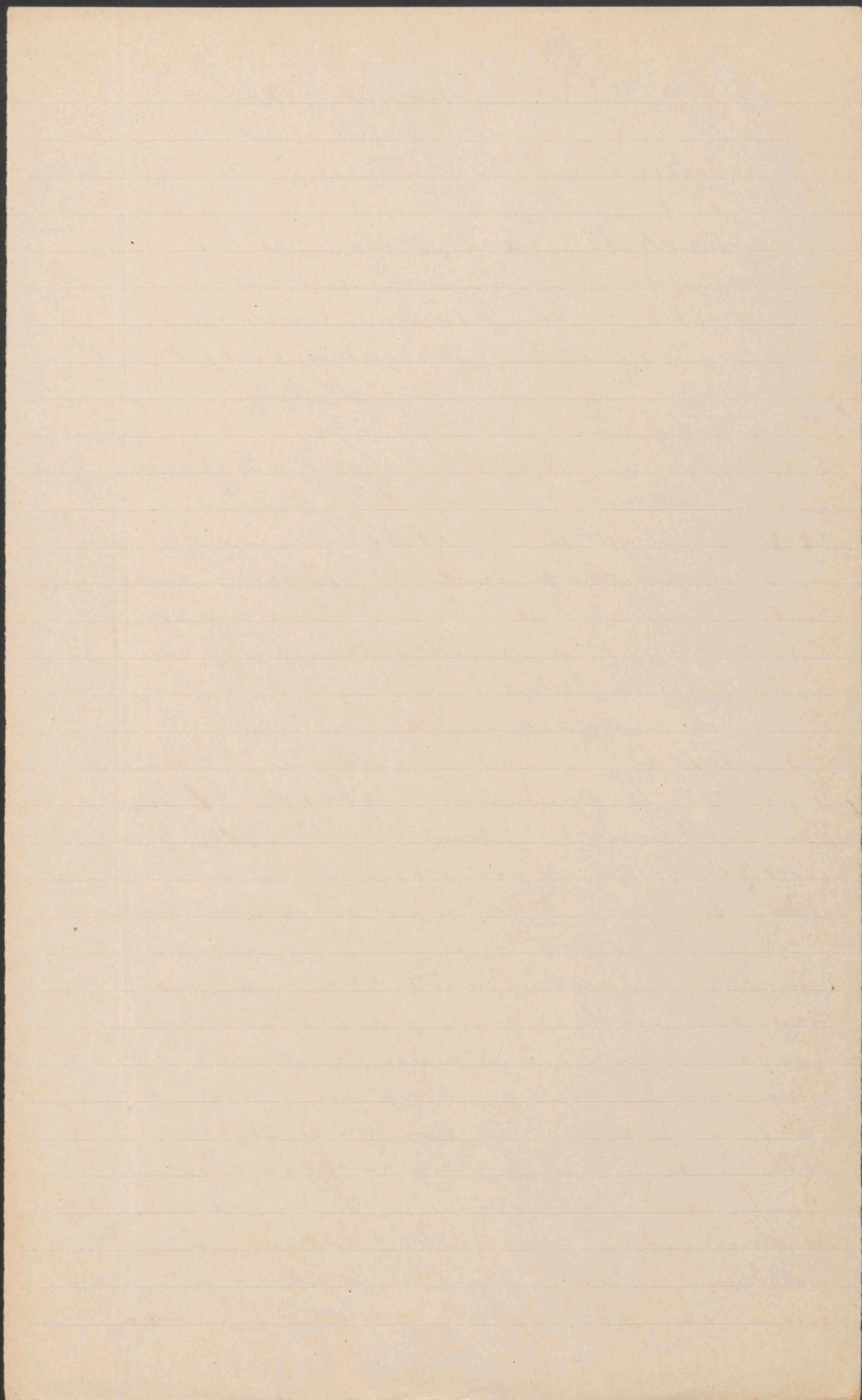

w cieniu, zdala od słońcem wygrzanego bruku. – Na stołach leżały dzienniki i pisma ilustrowane. – Natrafiłem na numer Fliegende Blätter, wydawanego monachijskiego tygodnika, którego już dzisiaj – jak zdaje się – nie wolno głośno podziwiać. –

Przed dziesięciu laty – niechaj mnie to uniewinni! – całe artystyczne Monachium oczekiwało czwartku, dnia, w którym się pisemko ukazuje. A niemasz dziesięciu lat, jak słynny krytyk niemiecki, tak sobie wyobrażał raj na ziemi: przebywać w kraju ciepłym, nad morzem bardzo sinem, pod ochroną drzew cienistych i wonnych, mieć przy sobie bardzo drogą kobietę, nie widzieć o świecie, nie otrzymywać listów ani gazet, tylko raz na tydzień dostawać z poczty Fliegende Blätter. –

Ja podówczas, w Weronie, sięgnąłem po numer. – Były w nim mało rysunki Oberländera, dzisiaj ich nie pamiętam. – Był jednak, tego nie zapomnę, cykl wierszy p.t. „Miłość mężczyzn" – tak muszę tłumaczyć wyraz „Burschenliebe" – cykl podpisany: F. Resa. – Po przeczytaniu powiedziałem sobie: oto nareszcie kobieta. – Bo czyż i moi czytelnicy nie doznawali nigdy uczucia, że większość współczesnych poetek, dba głównie o to, aby płci

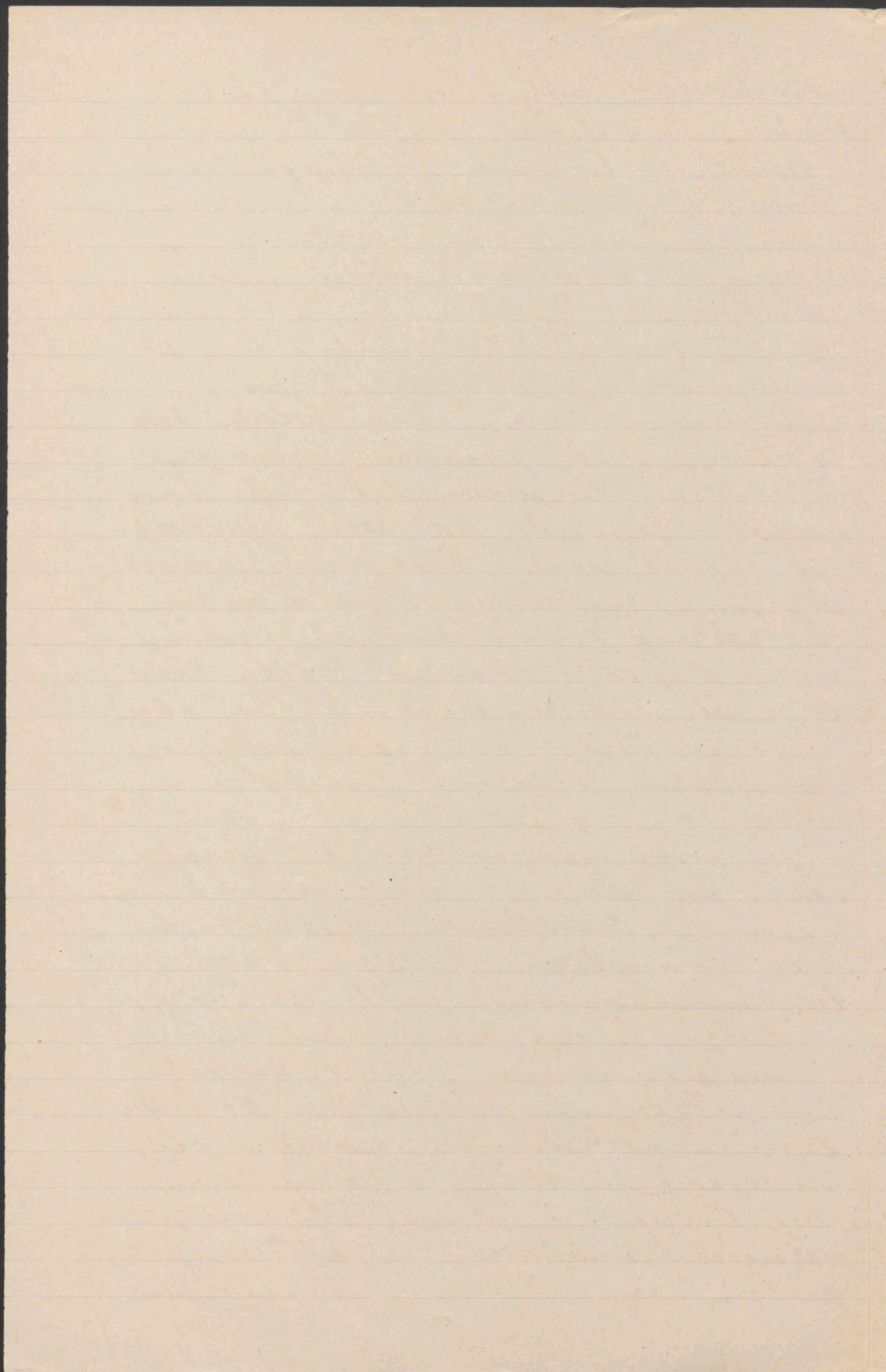

swoją się wyrzec, niewieści charakter zatracić? Chwilami wydaje mi się, że kobieta, która siądzie do pisania, przebiera się po męsku, podobna w tem do Georges Sand, która obrała męską nazwę i strój męski. — Piszące kobiety chcą nas naśladować, rywalizować z nami, jak gdyby nie posiadały osobnej, subtelniejszej wrażliwości, odmiennej zdolności pojmowania życia, cierpienia i kochania, odrębnej skali poczuć, poczuć może bardziej chwilowych, bardziej zmiennych, ale przez chwilę ogromnie głębokich. —

Kobieta jest bliższa dziecka, niż my, bliższa dziecka, dla którego wszystko staje się radością bez granic, albo boleścią bezdenną. — Że zaś dzieciństwo jest najistotniejszą, jedyną, żywą, rzeczywistą poezyą, mogły, powinnyby wśród kobiet powstać poetki, jeśli nie większe, to szczersze od poetów. — Oswobodźcie im usta, a mówić poczną. —

Ja sobie zawsze wyobrażałem artystę jako człowieka, u którego dzieciństwo trwa dłużej niż u nas, ludzi przeciętnych. Objawia się ono podziwem, zachwyceniem, potęgą śmiechu, zapału, cierpienia. — Artysta, jak dziecko, wodzi po świecie oczyma pełnymi zadumy i wszystko co ogląda, jest mu cudem i zielona wstęga lasu, błękit ponad nią, zimowe, roziskrzone gwiazdy, wiosenne

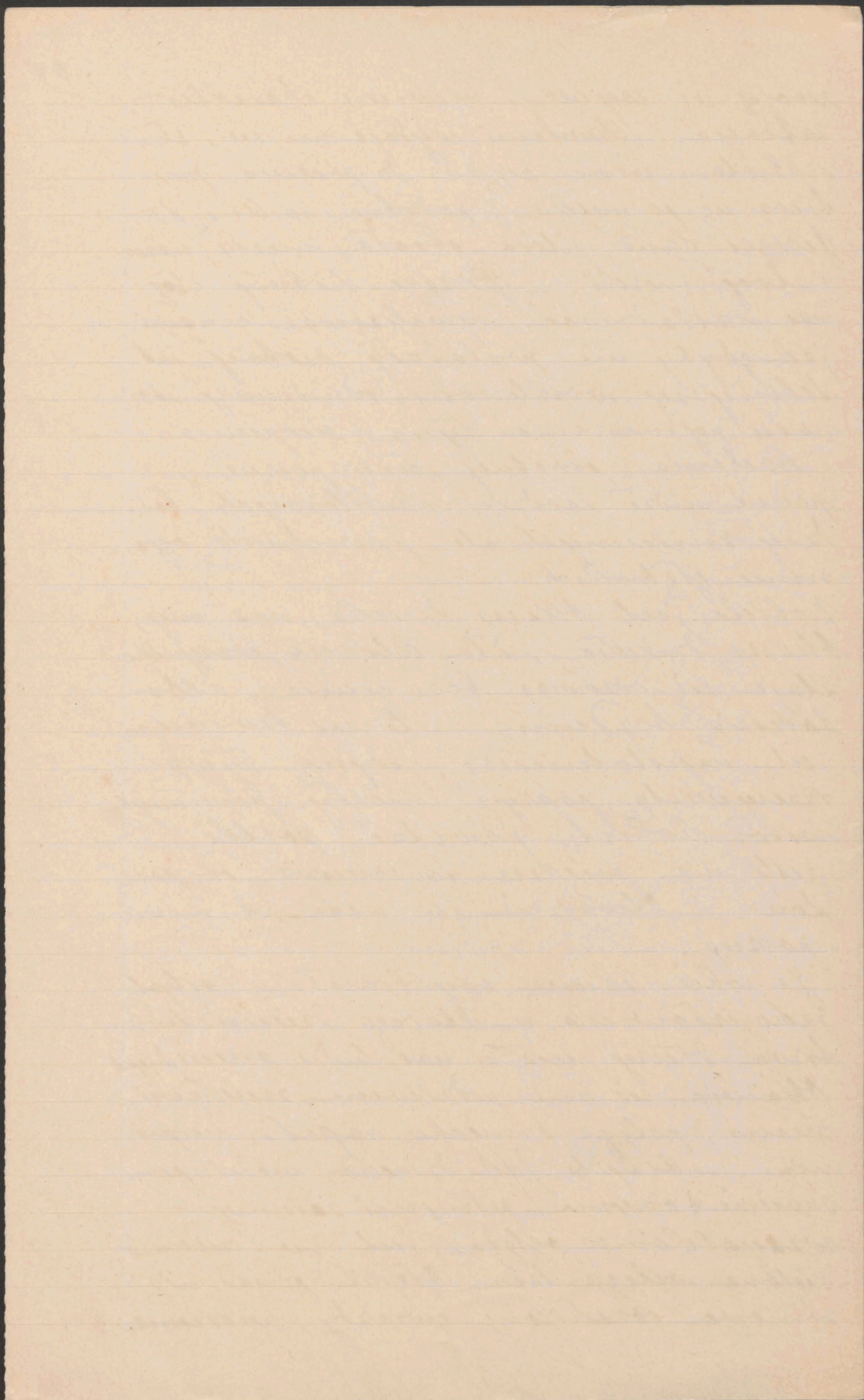

szepty gajów, jesienne tudzież niebios
wśród liści purpurowych i złotych.
I góry sine, złote w słońcu jasne –
i morze ciągle się mieniące. – I ludzkie
uczucia są niezgłębione, dumne, wie-
kuiste. Przychodzi jednak pora, w
której artysta poznaje, że wszechświa-
tem rządzą prawa jednostajne i nu-
dne, że wiosny powracają po sobie ze
starego zwyczaju, że żadna z nich
nie była osobliwszym uśmiechem
przyrody do jednostki, że każde poko-
lenie, choćby najmarniejsze, miewa
porywy miłości, buntu albo szału,
że każde, choćby górne, ginie w ludziach
lub owadziem samolubstwie. I
artyści przestają się dziwować światu
poczynają rozumować jak owi ludzie
uczeni w pięknym, zapomnianym
wierszu Cypryana Norwida. – Jest on
tak piękny i tak zapomniany, że
chcę go przytoczyć w całości. –
Nosi tytuł, który w niniejszym
artykule dysonansu nie stworzy,
tytuł: „W Weronie."
Nad Capuletti'ch i Monteckich domem,
Spłukane deszczem, poruszone gromem,
Łagodne oko błękitu
Patrzy na gruzy nieprzyjaznych
grodów,
Na rozwalone bramy do ogrodów
I spuszcza gwiazdę ze szczytu. (u)

Cyprysy mówią, że to dla Giulietty

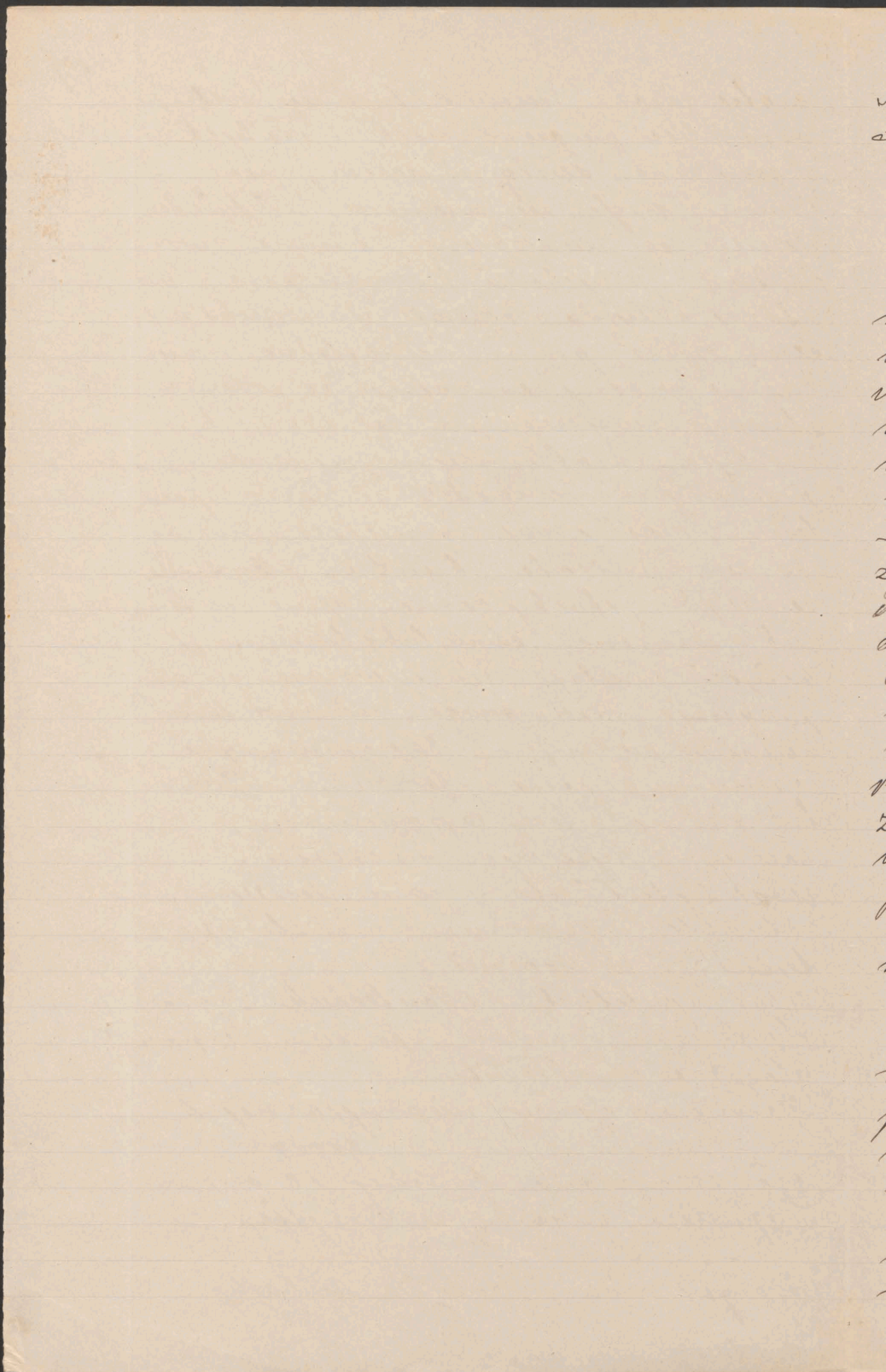

I dla Romea łza z nad planety
Spadła i w groby przeciekła...
A ludzie mówią i mówią uczenie,
Że to nie łzy są, ale że kamienie
I że nikt na nie nie czeka *).

Otóż z dniem, — takie jest przynajmniej moje przekonanie — z dniem, w którym artysta przestanie się dziwić, w którym orzeknie, że już pojmuje świat, jego brzydotę i nudę, z dniem, w którym się z niemi pogodzi, z chwilą, w której nie będzie, jako owi maluczcy — z tym dniem, z tą godziną, musi zginąć na zawsze. — Może trwać, żyć, działać jako wirtuoz, malarz, rzeźbiarz, albo wierszopis: artysty już niema. — Ale kobiety — nie mówię o tych nieszczęsnych, które troska o byt materyalny zapędza w szeregi feministek — kobiety żyjące życiem naturalnem, zachowują dłużej i pełniej zdolność naiwność dzieciństwa, swobodę uczuć prostych. — Nie zrywają nici, wiążącej ich, jakby nieświadomie z przyrodzeniem. —

Dlaczegóż więc poetki chcą naśladować poetów, dlaczego odbiegają ze swej wyższości nad nami i nie pojmują uroku szczerych, subtelnych wyznań kobiecych? Bo nie ma co ukrywać: takie utwory, jak „Słowicze pieśni" Konopnickiej, są rzadkością w każdej współczesnej literaturze. — Pełno natomiast —

*) Może Autorce lepiej Norwida, cytuję
powiem z pamięci:

filozoficznych, silnych, bezpłciowych wierszy w rodzaju tych, które układała francuska poetka pani Ackerman. — — Aż tu nagle, w Weronie, wśród zgiełku włoskiego lata, doznaje się wrażenia dziwnego, niewieściego wpływu). ‖‖‖‖‖‖‖‖

(Rzekłbyś, że jakaś kobieta, bliska, droga, a jednak nieznana, usiadła przy wędrowcu i długo się przed nim zwierzy. — Kobieta bardzo wytworna, z natury bardzo nieufające, z razu wstydzi na kochaniem, potem zbolała aż do zapomniętania. Nie literatka, gotowa ze swej serdecznej męki dobywać temat do nowelli, nie aktorka, jak Rachel, która przy śmierci wiernej służącej studyowała i swój ból i trudy konania. — Kobieta do której można odnieść prosto słowa Dantego: „płacze i opowiada," piange e dice. Pośród jej wyznań poznaję od czasu do czasu cytat z Goethego, ale się temu nie gorszę. — Ustępy z „Fausta" przychodziły same na wargi Niemki, rozczytanej w Goethem, zrosły się z jej duchowym rozwojem, zamieszkały na zawsze w jej głowie. — Może kto zawoła: „literatura!" — ja wówczas tak odpowiem:

Jest pewna naiwność w przytaczaniu wierszy, które każdy wykształcony człowiek pamięta. — Jest w tem szczerość. — Zwrot wielkiego pisarza nasunął się sam pod pióro poetki;

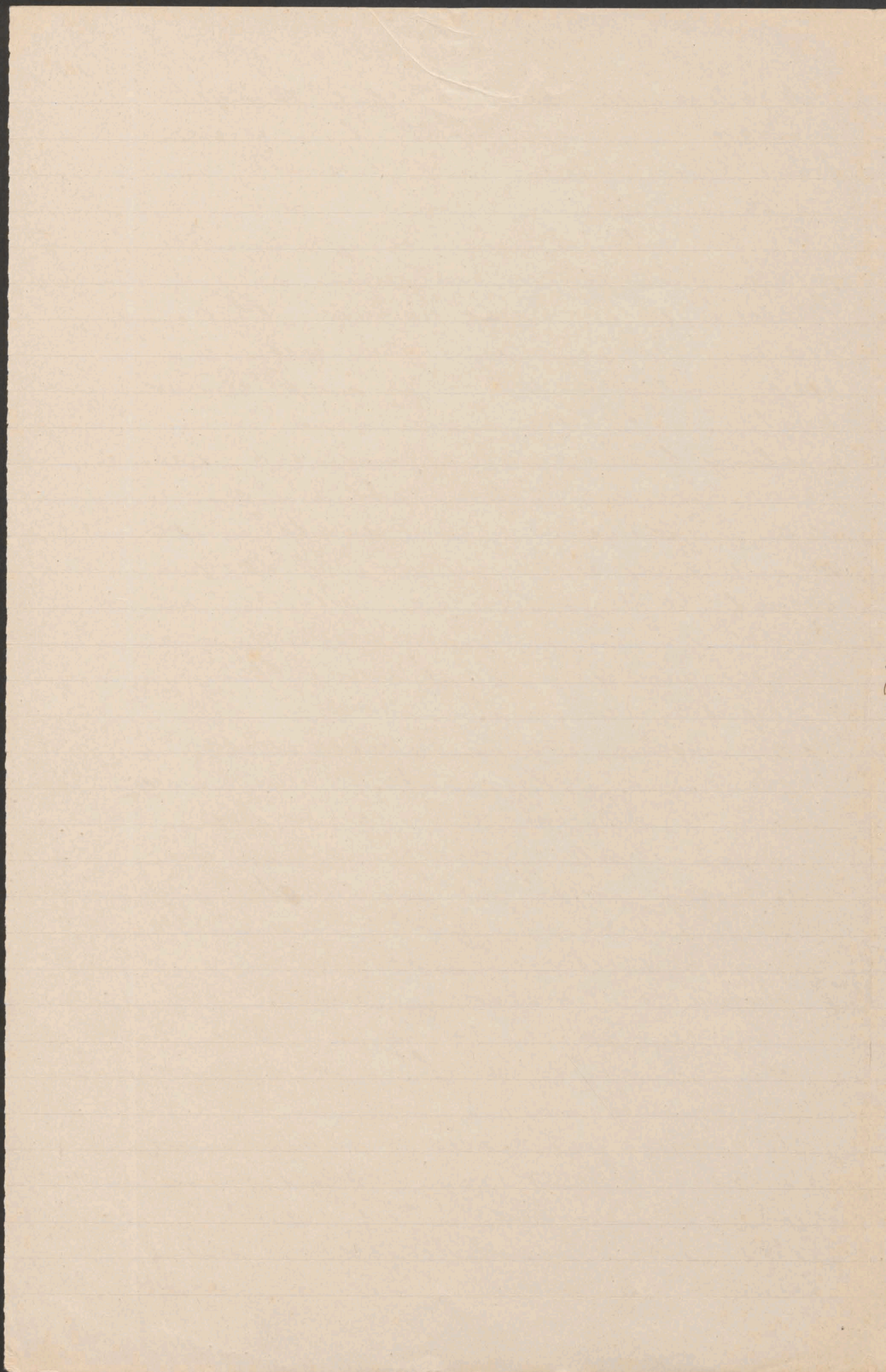

odpowiedział jej chwilowemu uczuciu; rzekła więc: „niech zostanie."—
Gdyby sobie T. Resa zamarzyła może, czem ma zastąpić obce słowa, które się jej przypomniały, popadłaby w sztuczność i „literaturę".— I gdyby ona, co pisze tak prosto i jasno, gdyżby postanowiła dać nam nie szczere tylko obrazy, nie szczerą spowiedź, ale kunsztownie opracowane poematy, byłaby zapewne stworzyła sztuczność i „literaturę".
Tak się nie stało.— Kto czyta jej poezye, słyszy jakby szept kobiety kochającej, a jednak porzuconej, szczerej kobiety, która mrze w żalu, bólu, w nienawiści, w pragnieniu zemsty — i mrze przez miłość, bo zwalczyć jej nie może.—
I kto wyznań słucha, ma ochotę powiedzieć serdecznej kobiecie:
„Mów do mnie, ja ciebie będę słuchać, jak brat, słuchać i smucić się z tobą. Bo, wiesz to najlepiej, pomódz ci nie mogę."—

— — —

Przez szereg lat T. Resa zginęła dla mnie.— Spotykałem co najwyżej jej podpis, pod jakimiś drobnymi wierszami.— Świeżo, w niemieckiem wielkiem mieście, ujrzałem w oknie księgarni dwa tomiki autorki.— Pierwszy zawiera „Burschenliebe"

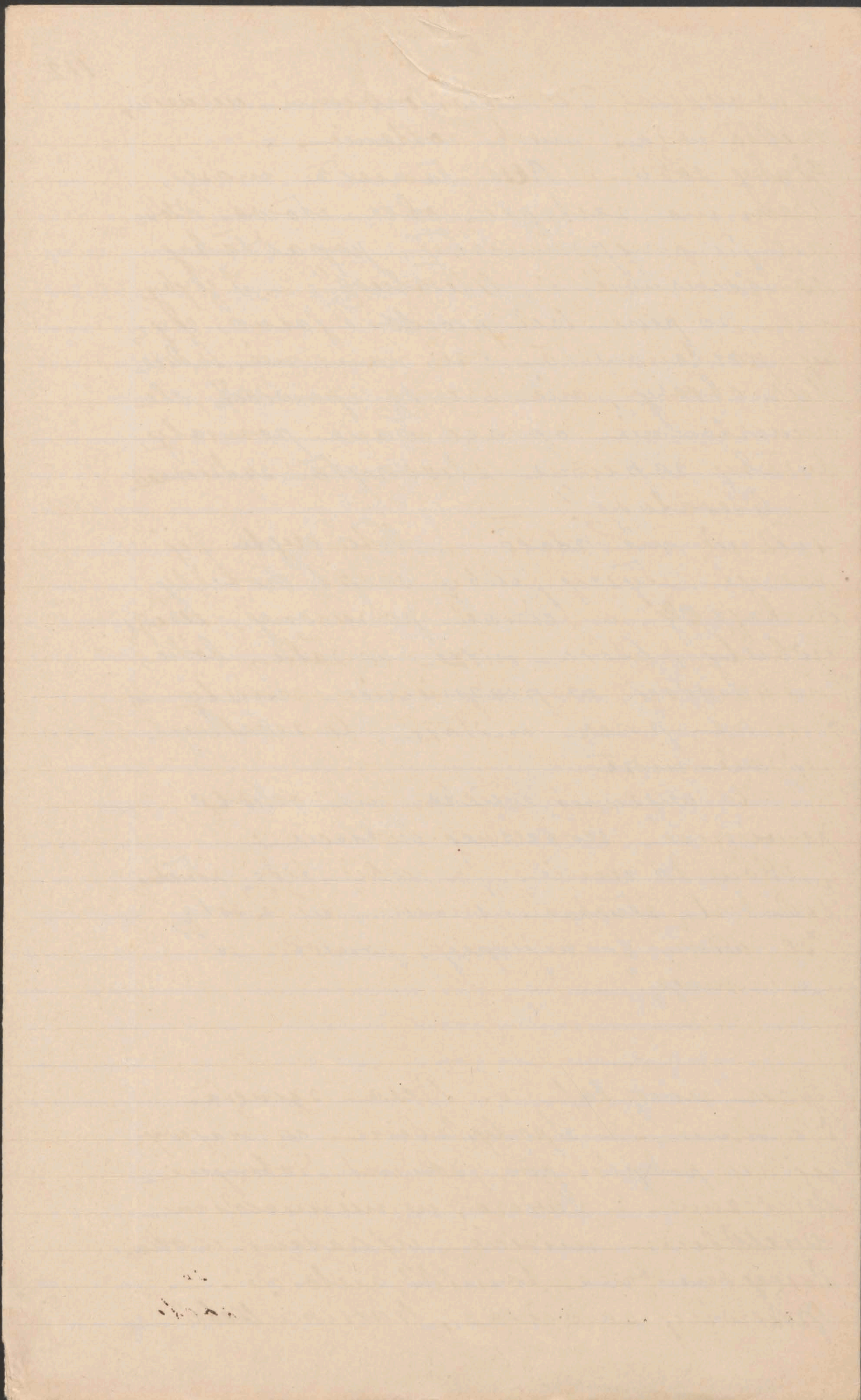

jest dumniejszy i śmielszy, drugi, wydany w bieżącym roku, stanowi, niezmiernie ciekawy epilog pięknych, miłosnych dziejów. —

Zrazu miałem ochotę przetłomaczyć cały szereg utworów, ale rozbiłem się o zbyt wielką trudność; przekonałem się, że nie oddam ich prostoty. — Są to bowiem raczej szepty, wyznania rozkochanej kobiety, a potem raczej jęki śmiertelnie rannej łani, niż kompononowane, cyzelowane utwory, które z cierpliwością i wysiłkiem, można prędzej czy później w innym języku odtworzyć (odwoorzyć). — Dwa tomiki pani T. Resa tworzą w mojem pojęciu coś nakształt dziennika, bez licznych opisów, ale z szeregiem stanów duchowych, zanotowanych nie przez krytycznego psychologa, ale przez osobę czującą bardzo bezpośrednio, bardzo żywo. — Liryczny ten dziennik ułożył się sam, niejako z natury rzeczy i z natury poezji, w rytmy, rymy i strofy. — Nie ośmieliłem się ich oddawać po polsku i proszę o pozwolenie przytaczania niemieckich słów, w swojskiej lichej prozie, pozbawiając je owego wewnętrznego drgnienia, które wiersz przynosi. — Proszę jednak i o prawo zacytowania kilku utworów — nie w przekładzie, ale w bardzo swobodnem naśladowaniu. —

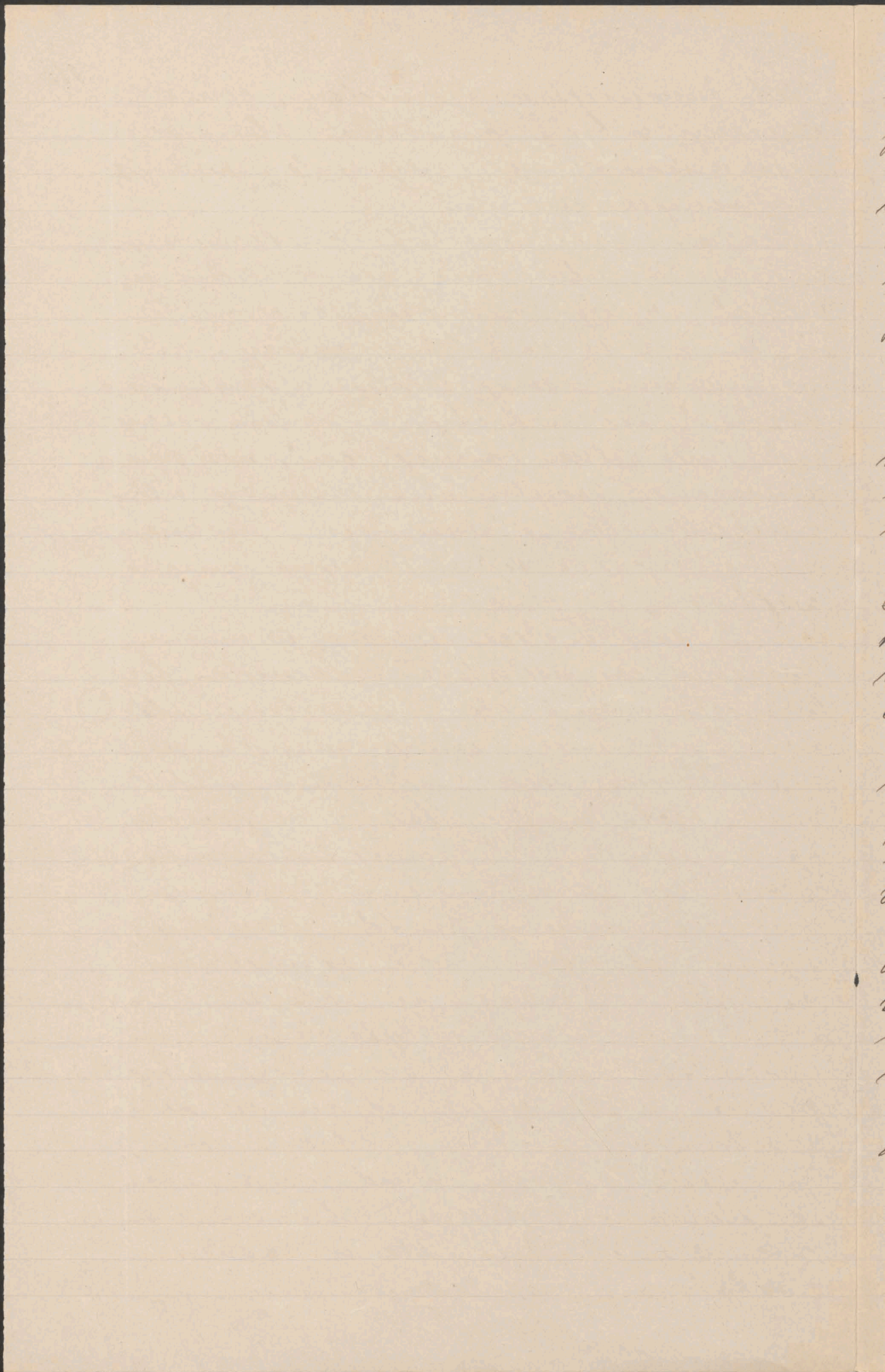

rodzaj wiersza odmienił się w mojej przeróbce, rymy stały się rzadszemi, styl zwyrodniał, ton nasiąkł „literaturą". — Zachciało mi się jednak choć trochę harmonijnych dźwięków, bo słowo poety musi posiadać rytm, jak blask — szmaragd. —

— — — —

— — —

„Jeszcze raz zadźwięcz, pieśni dziką tęsknotą łzawa, żalu pełna. — Jeszcze raz zwycięż, serce dumne, swój ból i swój głęboki gniew. —

„Pęknijcie jeszcze raz, rany moje, unieście miłość, nienawiść hen — do morza! A potem oswobodzenie, uzdrowienie, — a potem błoga cisza niepamięci. —

„Błyśnij raz jeszcze, płomienie hardy, błyśnij ku niebu, które cię potępia. — Jeszcze raz rozpal się, ty dumne, ze śmiercią zbratane, szalone me kochanie!" —

Takim wierszem bez nowych obrazów, nowych zwrotów, otwiera się pierwszy tomik. — Ale czyż nawet w tej marnej, prozaicznej wersji, nie czuć szczerości, potęgi? Ta kobieta włożyła całe serce, całe swe życie w miłość — a nie w sztukę. Nie przerabia swych uczuć na poematy, jak jaki autor misternych sonetów. Czuje, więc się odzywa; nie śpiewa, ale krzyczy. —

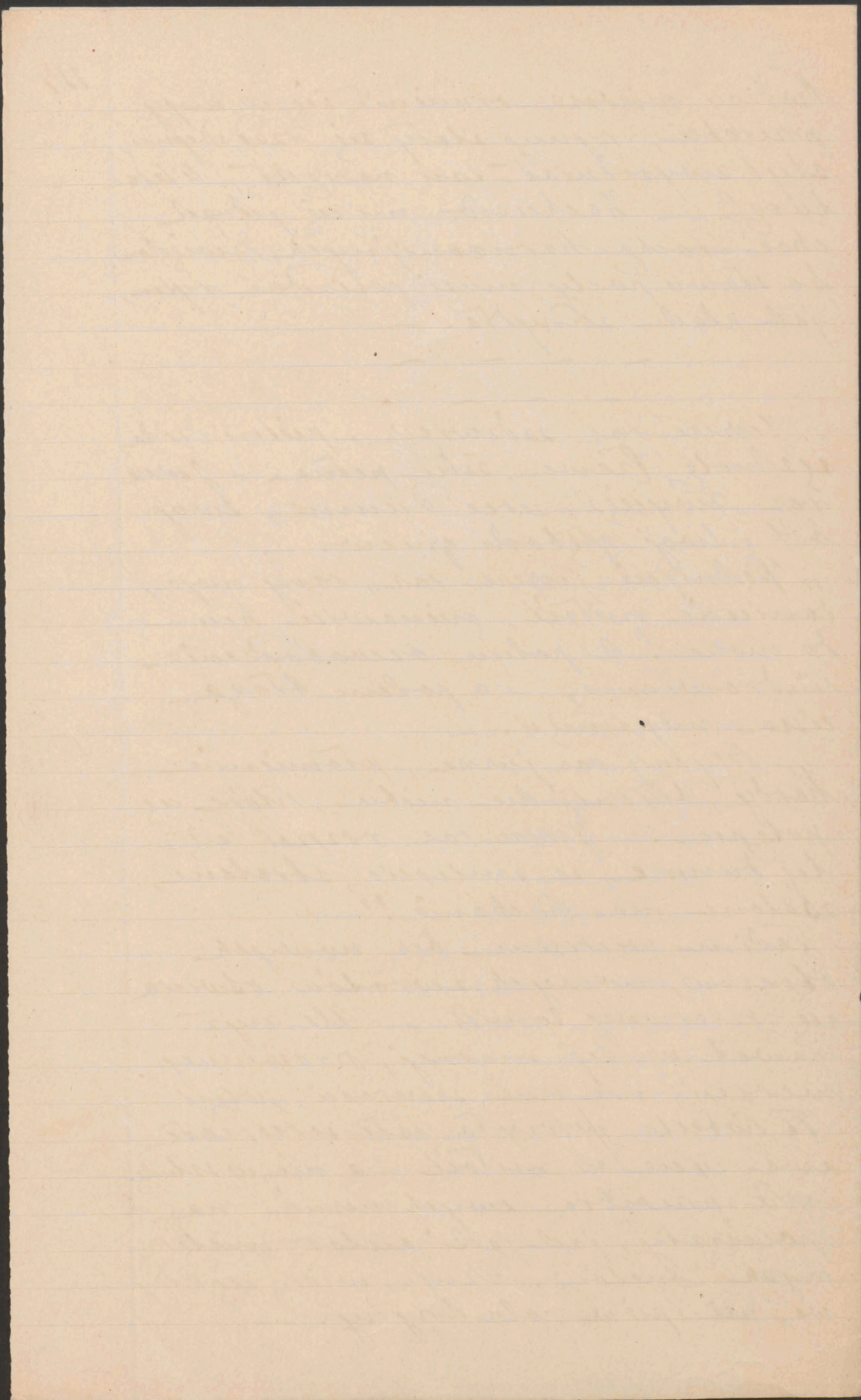

„Błyśnij ku niebu, słowo Cię potęgą!"
Te słowa są niemal jedyną wskazówką, pozwalającą poznać okoliczności, wśród których tak silne kochanie wzrosło i zamarło. – Inny wiersz pierwszego tomiku „Mea culpa", potrąca o tę samą stronę. Ogniki błędne nad urwiskiem!

– Mnie zdawna swojsko na tej drodze:
Zuchwałem sercem wiersz patrzam na nią
I dalej w ślepym szale chodzę.
Ludziom i prawom – śmiech i wzgarda!
Pod jarzmo szyi mej nie nagnę.
Dalsz mi szczęście, rozkosz dali?
Ja po nie sięgam, gdy zapragnę.
Że przyjęty tej, że czeka śmiałek,
Że trwogę, że mię śmierć pokona,
Czem mi to dziś? Ku tobie, szczęście,
Otwartam, tęskniąc, me ramiona.
O jak mi jego wargi płoną,
Gdy nagle zeschną się z mojemi...
Róża, co kwitnie nad przepaścią
Jest najwspanialszą z róż na ziemi.

Dalsze wiersze opowiadają, „jak się to stało", Wieś tam. – Mój Boże, jakżeż by się inaczej stać mogło? Była wiosna i ku młodej, nieświadomej kobiecie poczęło się uśmiechać dwoje czerwonych ust i dwoje oczu niebieskich. – Czem, kiedy „jak miesiąc nad rozłogami, wschodziła nad sercem tęsknota", dwie męskie źrenice spoglądały w odnę umiłowanej, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy, że komuś usta i duszę oddaje. – Musiało to trwać długo, długo.

Gwiaździe ciemny

~~VI Wiem, że mnie cichych marzeń objął rój,~~

Miłość, której nie zawsze potrzeba wiosny i słońca, dojrzewała powoli w piersi dwóch istot ludzkich, tak samotnych, tak nagle osamotnionych. — I wrócił dziewczynie, zawrzał na kamieniackim potoku, zaszumiał gaj, nadeszła chwila zwierzeń...

Myśl mi się w mętnej głowie plącze, *Nie wiem, co będzie i jak skończę, ~~...~~

√ Wiem, że mnie cichych marzeń objął rój, ~~... siła, ... pił, ... mój...~~ *(opuścić linię)*

Jak się to skończyło? Tu znowu pytam, a jakżeż mogło inaczej się zakończyć? Znudziła się chłopcu miłosna niewola. — „Musiał" wyjechać na krótko, na parę tygodni, kobieta przeczuła sercem, że wyjeżdża na zawsze. I nie porwał się z nią osobiście, ustnie... Mężczyzna, który ma odwagę powiedzieć kobiecie, że przestał ją kochać, mężczyzna, który się nie lęka narazić na jej łzy i wyrzuty, jest po dziś dzień wyjątkiem. — Więc i ten chłopiec, bohater dziennika T. Resy, utulił sobie sumienie, ~~popr~~ poprzestał na liście. — I poszedł w świat...

A ona powraca nad potok, do lasu, do wczesnych pierwiosnków, które ukochany niegdyś podeptał. —

„Kto po tygodniach, wśród owej woni, wśród blasków, wśród żaru, kto się zapyta, czy nie brak jednego

Miłość, której nie zawsze potrzeba
wiosny i słońca, dojrzewała powoli
w piersi dwóch istot ludzkich, tak
zamożnych, tak nagle osamotnio=
nych. – I wrócił kwiecień, zawrzał
na kamieniach potok, zaszumiał
gaj, nadeszła chwila zwierzeń...

Myśl mi się w mętnej głowie plącze, — opuścić linię
Nie wiem, co będzie i jak skończę,
~~Wiem~~, Że mnie odeszła wszelka siła,
Gdym pocałunków twych żar piła,
Wiem tylko, żeś ty mój, żeś mój... — opuścić linię

Jak się to skończyło? Tu znowu pytam,
a jakżeż mogło inaczej się zakończyć?
Znudziła się chłopcu miłosna
niewola. – „Musiał" wyjechać na
krótko, na parę tygodni, kobieta
przeczuła sercem, że wyjeżdża na
zawsze. I nie pożegnał się z nią oso=
biście, uciekł... Mężczyzna, który
ma odwagę powiedzieć kobiecie,
że przestał ją kochać, mężczyzna,
który się nie lęka narazić na jej łzy
i wyrzuty, jest po dziś dzień wyjąt=
kiem. – Więc i ten chłopiec,
bohater dziennika T. Kesy, utulił
sobie sumienie, ~~popr~~ poprzestał na
liście. – I poszedł w świat...
A ona powraca nad potok, do lasu,
do wczesnych pierwiosnków, które
ukochany niegdyś podeptał. –
I kto po tygodniach, wśród owej
woni, wśród blasków, wśród zorzy,
kto się zapyta, czy nie brak jednego

√ Wiem, że mnie cichych marzeń objął rój,

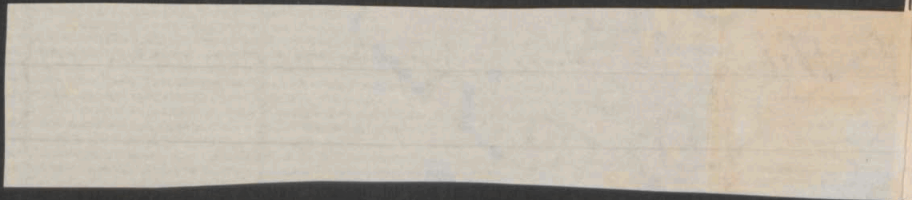

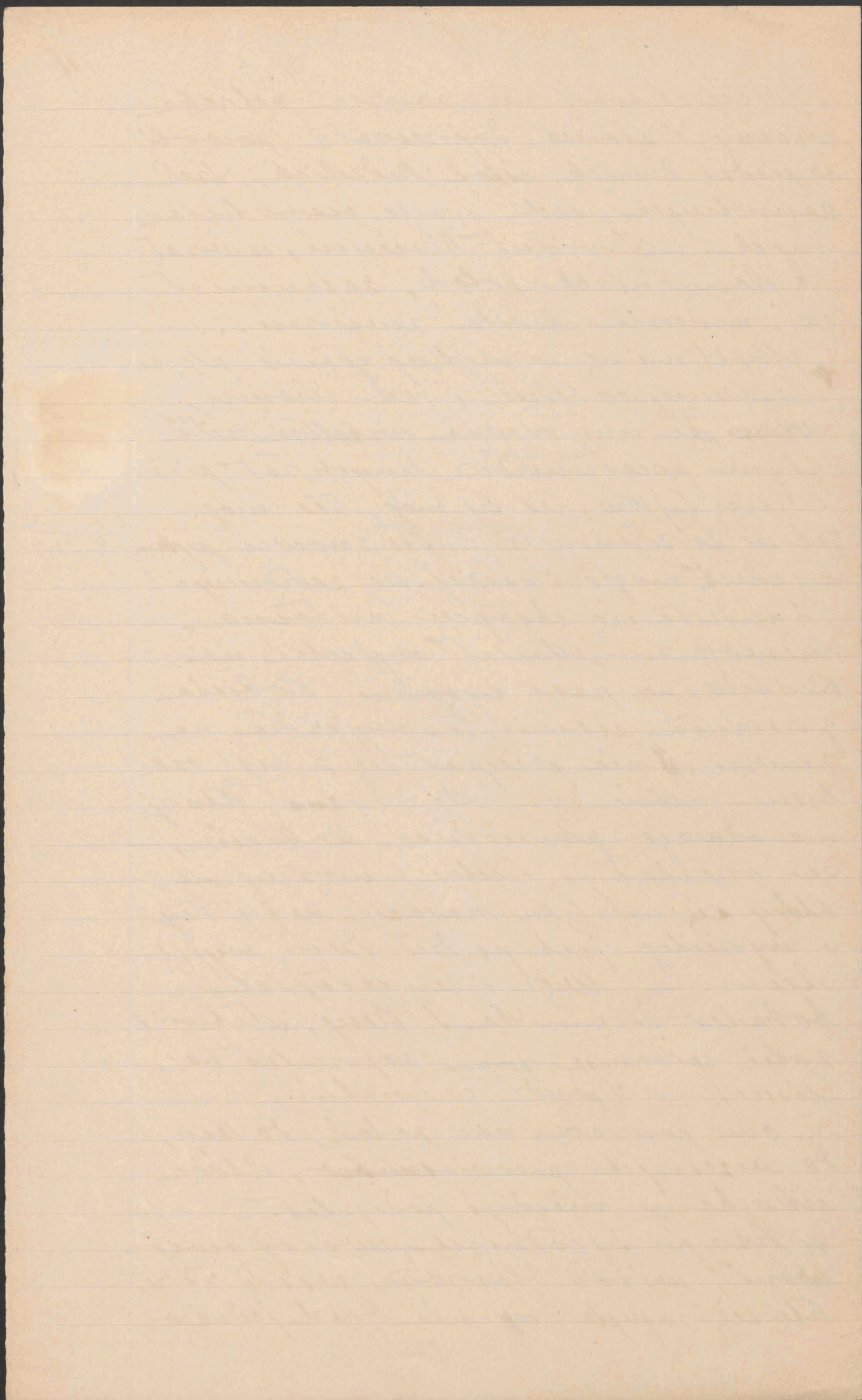

świata, co nie świtnie, czy serce czyje
grzać nie zdoła?" — Słucham cichej
wody, szmeru wiatru i są bardziej
żałe niż miłość mężczyzny."
A dalej:
„Nie opuściła cię odwaga ani honor
— bo zginąć nie może to, co nie
istniało." —
I znowu:
„Widuję go codziennie. — Uciekam
od widoku lic płomiennych, warg,
co się tak paliły na moich. —
Unikam jego i jego ukłonów.
Serce mi drży, oko za nim nieru-
chome patrzy, oko, które zamglił,
serce, które skruszył."
„I zazdroszczę pyłowi, co leży pod
jego stopami." —
Przyszła jednak krótka chwila
bolesnej radości. — pod oknami słońca,
w noc miesięczną stanął znowu
kochanek, którego myśl przyzywa
i — przeklina. —
Muszę ostrzec, że tym razem moje
naśladowanie jest skróceniem,
zupełną przemianą oryginału.
Wszystko zdradziłem — traditore —
i strój i ilość i charakter wiedzy.
Spłakana, marząca, pół żywa, pół
senna,
w noc leżę odziana, miesiącem
promienna.
Aż nagle ujrzałam, że z tym niepokojem
w księżyca stanąłeś, pod oknem, pod mojem.

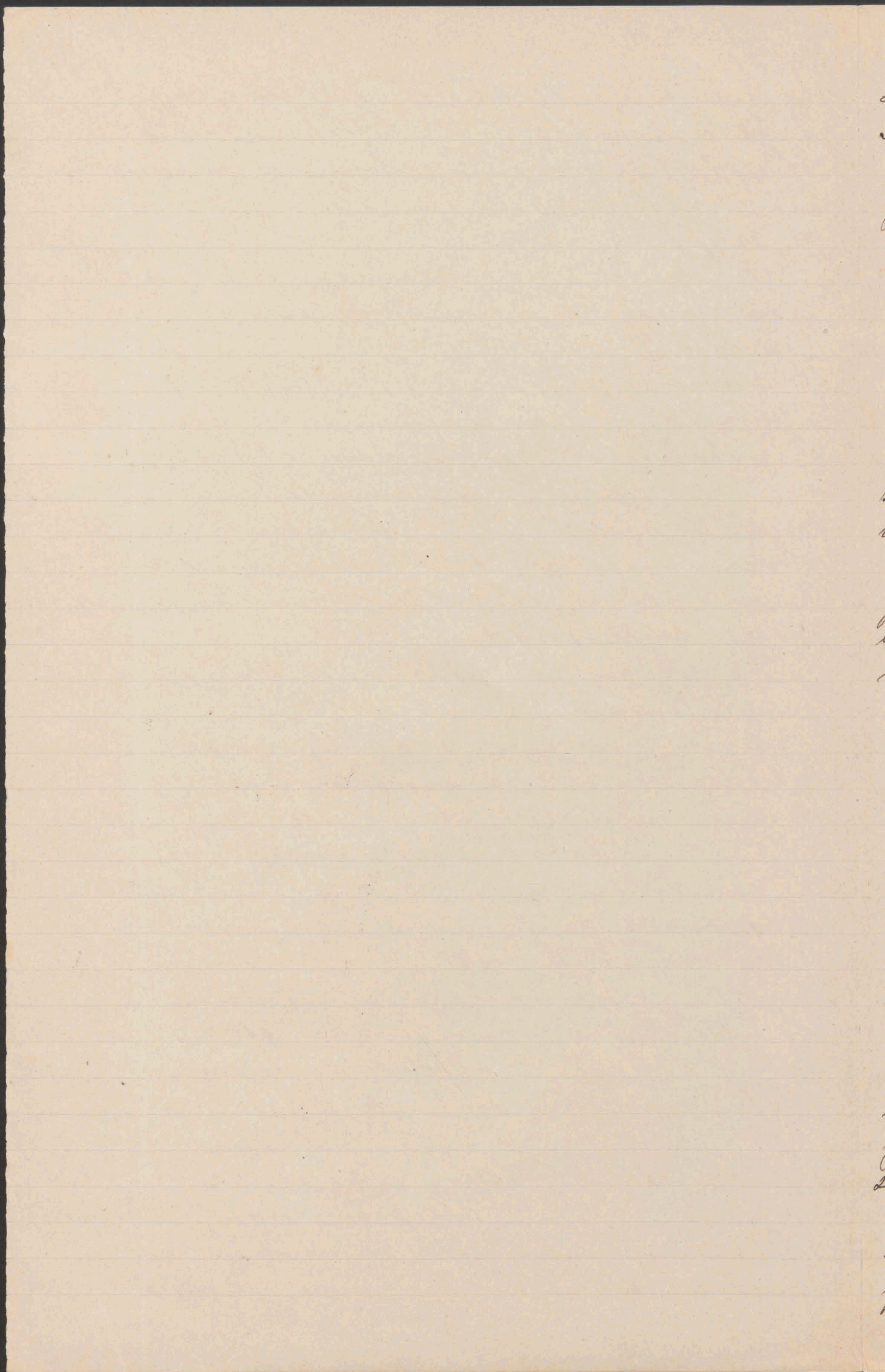

I łzawo spoglądasz, tęskliwie i smutnie,
Ty, coś mię opuścił, bezmyślnie, okrutnie.
A odejść nie możesz i nie wiesz, że w górze
późnego tryumfu zerwały się burze,
Łzem rzęsę podniosła, z zachwytem szalona:
„I tyś nie zapomniał i twój ból nie
skona!
„Cierp, jakom cierpiała, i dręcz się i
zrywaj!
„Ty zemsto, ty dzika, ty słodka, o bywaj!"

Ale uczucie zemsty łagodnego serca nie zadowolni: T. Reza śni o wiecznem ukojeniu, o śmierci, o niepamięci. Błędny ognik, który jej w kochaniu przyświecał, wiedzie ją dziś ku samobójstwu. — „O duszę, która teraz ginie, niech się Bóg kiedyś u ciebie upomni!" —

— — — — —

— — — —

Drugi tom otwiera się wierszem tej treści: —
„Co we mnie śpiewa, to Tęsknota. Nigdy i nigdzie nie ukryłam się przed Nią. — wśród kwiat, wśród śmiechu dzwoni wieczernie ten sam, jedyny głos.
„Na kogo spojrzy raz Tęsknota o wielkich oczach, ciemna, trwożąca bólem, ten się zagubi w zaklętem Jej kole, do końca swych dni Jej sługą.
„I w mojej pieśni dyszy pełne Jej tchnienie. — I z Niej to błyszczał mój płomień. Ona wypija mi krew z pod

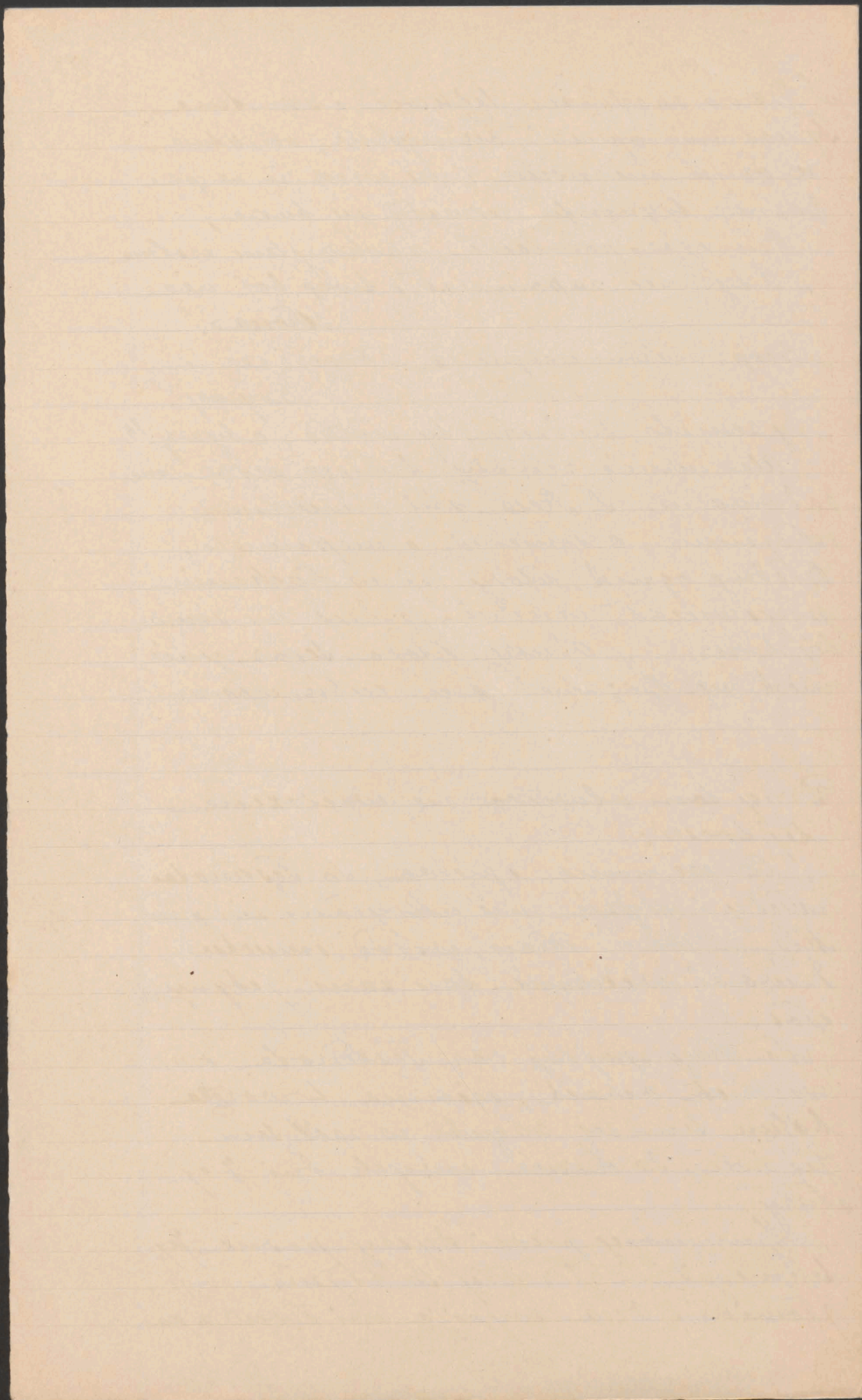

serca. – Ja już Jej nigdy nie ujrzę." opuszczone linie
I ciągle też trwa pieśń o tęsknocie, ubiera się w różne rytmy, w różne kształty, w formę krótkich alegorycznych powieści, ale wraca i wraca. Obrazy przeszłości wstają tak żywe, że w duszy budzi się ochota oblec je w wierszowaną mowę, jak bezpośrednie wrażenia. Albo jakieś uczucia, jakieś marzy, jakieś nadzieje odzywają się w sercu. – Biedna kobieta zrywa się i opada.

Oto dwie próbki podobnych nastrojów. Pierwsza nosi tytuł „Wiem".

Jakże pełne są noce, długie tęsknie są noce.
Czasem w między niem powietrza coś po drzewach łopoce
I wtedy odgłos dochodzi, odgłos szmerów wiosennych.
Czasem powonie zalecą kwiatów cichych i sennych.
Wtedy płacz mię porywa. – I choć cisza dokoła,
Wiem, że serce twe woła, i że zawsze mnie woła. opuszczone linie

Drugi wiersz zowie się „Róże".

Mroźna noc! Tyle gwiazd pała,
Na drogach leży śnieg wysoko...
Aż zabłysło mi oko, twe oko,
I wiosna mi w duszę wejrzała.
Wargi twe się gorące
I lśnią w purpurze...
Wśród śniegów, wśród lodów mam róże
I słońce.

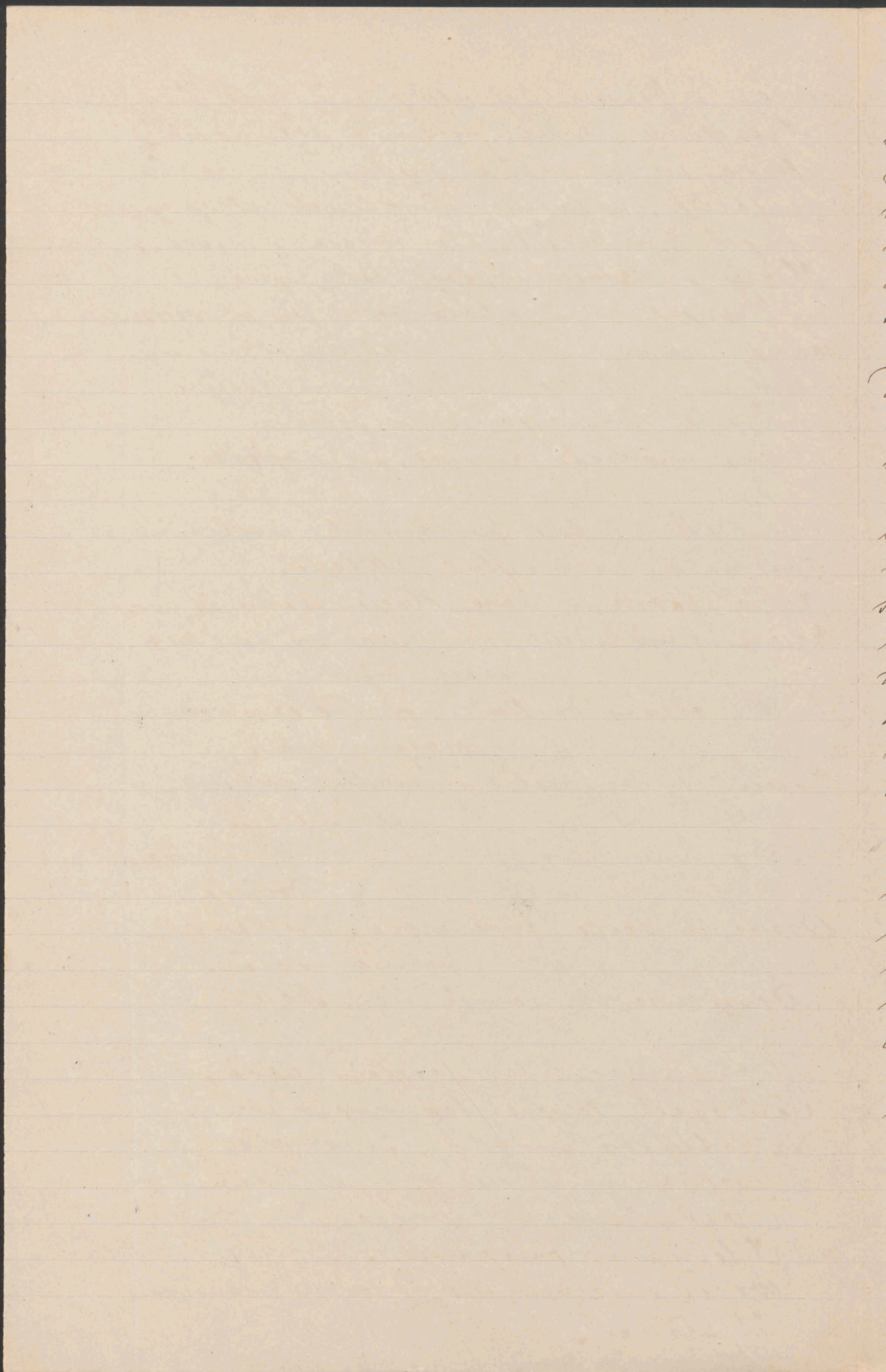

Niepodobna mi wdawać się w szczegółowy rozbiór podobnych licznych wierszy. Przewijają się wśród nich różnorodne sceny, obrazki macierzyńskiej miłości i obrazy własnego, błogiego dzieciństwa, spędzonego gdzieś w głębokim zaciszu.

Od czasu do czasu T. Resa spotyka dawnego kochanka... „Wszystko minęło, dni słodkich pożądań, dni szczęścia, tęsknoty — i blask twoich oczu i twoje pieszczoty. — O, że ja tak tobą gardzić, tak bardzo gardzić muszę." — I gdzie indziej: „Trwożne, śmiertelne przeczucie szepce mi wśród bólu i gniewu, że wejdziesz odwrotnie na inną, obcą mi drogę." Na wieść, że „On" się żeni poetka przypomina sobie stare podanie. — Chcąc trwałe szczęście zapewnić nowemu domowi, należy w jego podwalinach pogrześć żywą istotę. — „Twe szczęście — woła — musi być ogromne, tak trudno, tak ciężko było memu sercu skonać w czarnej trumnie." I zrywa się szał nienawiści, nowy, najczystszy dowód niezmiennego kochania.

Wspomniałem o alegorycznych powieściach. — Są one znamiennym, symbolicznym objawem. — Wostład Dzieci, w którym zbolała, utrudzona poetka ~~przesta~~, przestaje się wadzić i ufać i męczyć się i zamierać. Poczyna rozmyślać o kochaniu,

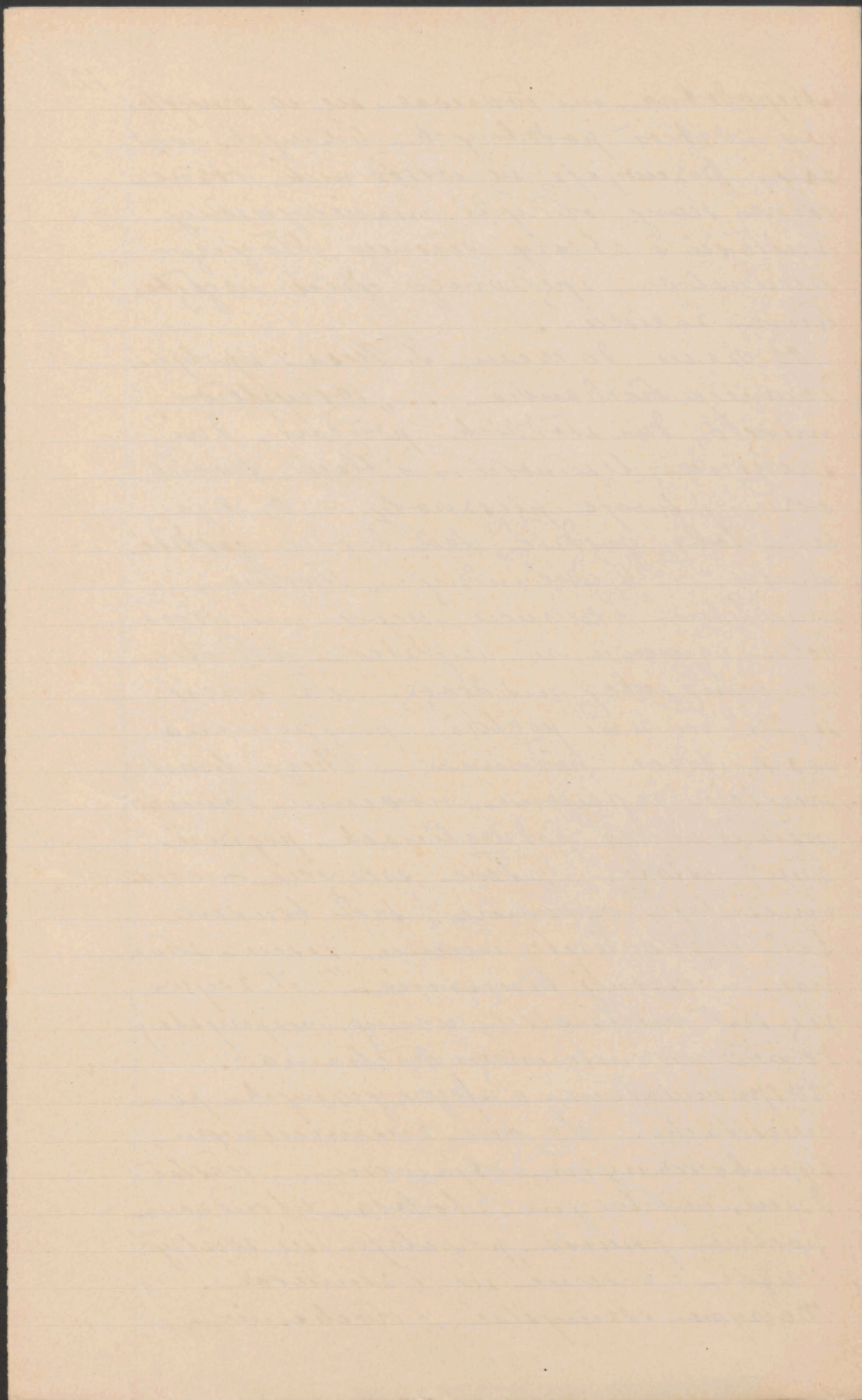

wkładać trochę refleksyi do swego liryzmu. — Opowiada więc np. piękną legendę o królu Haraldzie — Miłość tak nim owładnęła, że zapomniał o sławie i bohaterskich czynach. — Ocknął się jednak i Harald wkrótce stanął przed swą monarszą i sędziowską stolicą.
Miłość — Frau Minne — zostaje skazaną, zrazu na wygnanie, potem na wieżę, wreszcie na śmierć w głębi morza. — Na wody padła róża i odtąd pieśń z nich wstaje. — Król Harald zwyciężył wrogów, zyskał chwałę, rycerze podnieśli go na tarczy. Dzisiaj syt zaszczytów i uwielbień, zasiadł do uczty i każe sobie przygrywać u stołu. — Ale wojenne, głośne hymny nie budzą go z zadumy. — Śni mu się o odmiennych dźwiękach. „Słyszałem niegdyś inny śpiew, najpiękniejszy, jakim w życiu słyszał. — Ledwo go pomnę. — Jak marzeń głos, gra mi po sercu melodya. V
Było to, jak
Kiedy wichr
ne ~~słońce~~
jak snop st.
Kiedy las pełen dziewiczych pęków
ostoi i rozszarpy…"

V Było to, jak gdyby mi dzwoniły drozdy — w złote bursztynowe wieczory….

Była to Miłość.
Jak róża, upadła do morza. I naraz podnosi się jej skarga. Król Harald zrywa się z tronu: „Miłość, miłość żyje!"

wkładać trochę refleksyi do swego liryzmu. — Opowiada więc np. pięknę legendę o królu Haraldzie. — Miłość tak nim owładnęła, że zapomniał o sławie i bohaterskich czynach. — Ocknął się jednak i karał winnej stanąć przed swe monarsze i sędziowskie stolicę. Miłość — Frau Minne — zostaje skazaną, zrazu na wygnanie, potem na wieżę, wreszcie na śmierć w głębi morza. — Na wody padła róża i odtąd pieśń z nich wstaje. — Król Harald zwyciężył wrogów, zyskał chwałę, rycerze podnieśli go na tarczy. Dziś syt zaszczytów i uwielbień, zasiadł do uczty, i każe sobie przygrywać u stołu. — Ale wojenne, głośne hymny nie budzą go z zadumy. — Śni mu się o odmiennych dźwiękach. „Słyszałem niegdyś inny śpiew, najpiękniejszy, jakim w życiu słyszał. — Ledwo go pomnę. — Jak marzeń głos, gra mi po sercu melodya. Było to, jak szum morskiej fali, kiedy wichrem owiane, zachwiane słońce w niej zaśnie. — Było to, jak snop słonecznych promieni, kiedy las pełen dziecięcych pęków ozłoci i rozżarzy..."

Była to Miłość.

Jak róża, upadła do morza. I naraz podnosi się jej skarga. Król Harald zrywa się z tronu: „Miłość, miłość żyje!"

V Było to, jak gdyby mi dzwoniły drozdy—
w złote bursztynowe wieczory....

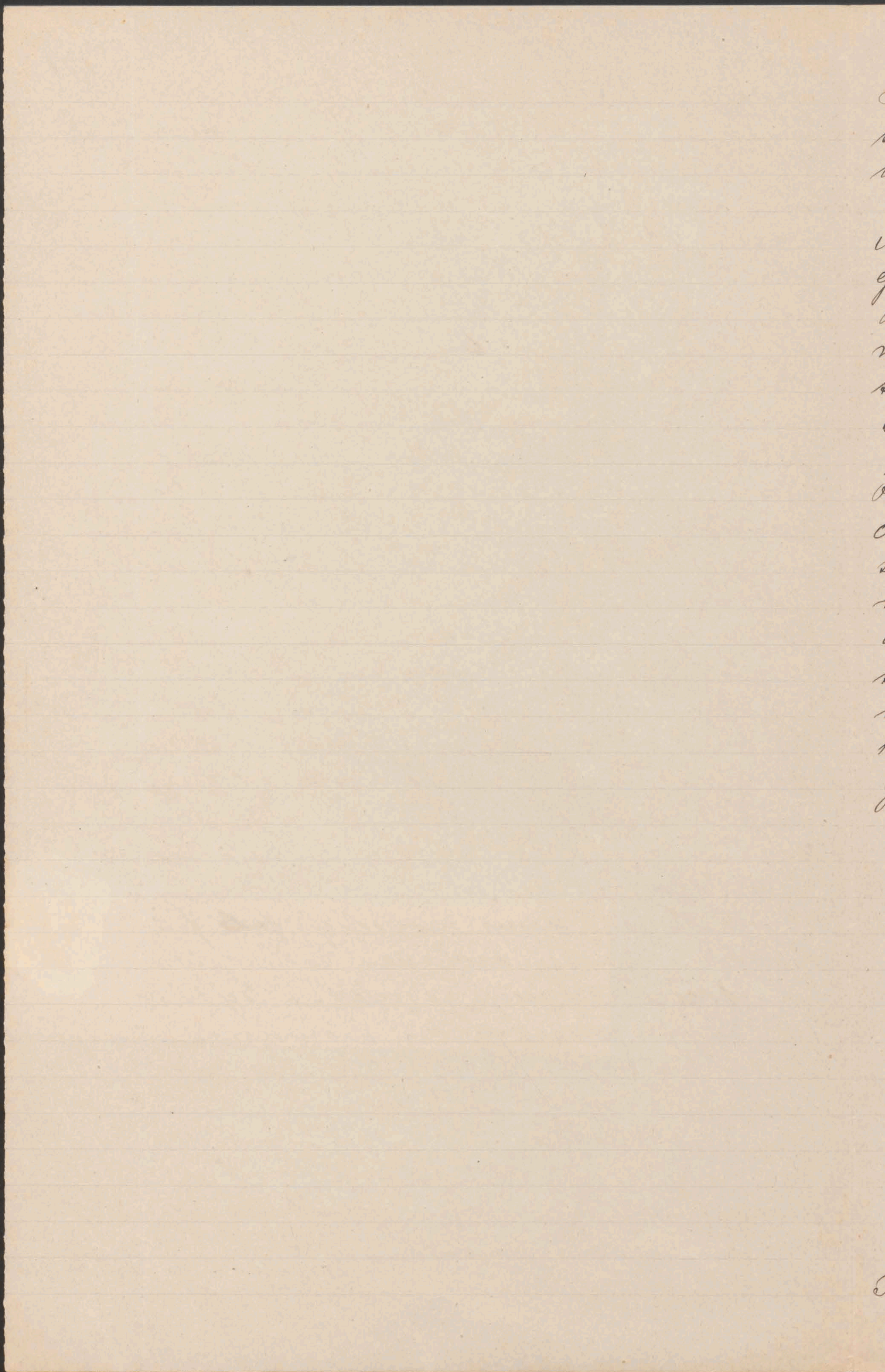

I padnie jej do nóg, jej uwolnionej z więzienia, uszczęśliwionej — odtąd jej wieżą będzie serce króla.

Jak te kobiety dbają o kochanie! Nie mówmy im o duchowych pragnieniach i porywach, o dalekich, oderwanych pojęciach, nie mówmy nawet o sławie, zdobytej krwią lub trudem. — odpowiedzą zawsze jak T. Resa.

„Wiem wszystko, żeś ty mój, żeś mój!“ — ona nie umiałaby też mówić o czem innem, jak o kochaniu. — Kiedy się wypłakała, współczuje z innemi, rozmiłowanemi duszami, z żołnierzem, opuszczonym przez dziewczynę, z kobietą, w której głos wędrownego śpiewaka budzi odległe wspomnienia. — Współczuje i z tym rybakiem, rzucającym sieci na gościńcach zapomnienia, odmiany.

Ja jeszcze żyję, jeszcze śpiewam,
W świat mi się jasna droga mości.
Zrzuciłem z karku ciężkie jarzmo,
Nieludzki ból miłości.
Królowo, u twych stóp klęczałem,
Dziś konwie pęta, pełne blasku.
Śpiewam pieśń dziką o potokach,
Ginących marnie w piasku.
Śpiewam o chmurze posłoneczny,
Z której ustawiczną rosą nęcą,
O orle, który złamał skrzydła,
Zanim się wzbił do słońca.

Istota ludzka tak wrażliwa, jak T. Resa, opuszczony

VI [illegible]
[illegible] . . .

tak czuła na ból i nędzę życia, mogłoby była zaciemić swe pieśni nastrojem, zgrzytem, wybuchem nerwowego śmiechu. — Dzisiaj tak łatwo o ironię, towar pokupny i tani! Nawet u ludzi wykwintnych i prostych, kiedy ból zatargnie, serdeczne słowo staje się jadem, podobne szlachetnemu winu, które się w ocet zamienia. Tymczasem moja poetka tego świata, stawała się z biegiem lat coraz wytworniejszą. — Wyraźnie w przedostatnim wierszu drugiego tomu zwierza się radośnie i śmiało: „Młodość już mam za sobą!"

Ustają nędze, trudy, ufania i zawody. — przychodzi ulga, cisza, ukojenie. — Dość było walk, dość bólów, dość rozpaczy.

„Młodość już mam za sobą." — Mówi to kobieta, która bardzo żywo kochała i w życiu pragnęła głównie miłości. — Mówi to dziś spokojnie, a jednak zna dobrze wagę słów, bo zawsze była szczera.

Jakże się do niej nie przywiązać? Sully Prudhomme wiedział, co czyni, dedykując zbiór wierszy „nieznanym przyjaciołom." Dopóki moi czytelnicy nie zajrzą do jej dwóch tomów, T. Reza będzie w każdym razie miała jednego „nieznanego przyjaciela," którym jest

R. M. Górski.

Literatura

Recensye o Sienkiewiczu

Najnowsza Powieść Sienkiewicza: Bez Dogmatu (Bibl. War.)
„Listy z Afryki" „Słowo" 1893
Pisma H. Sienkiewicza. T. XX. Czas 1894
Krzyżacy. Czas 1900

„Henryk Sienkiewicz odezwa dla obchodzenia Jego Jubileuszu?? (czy drukowa[illegible]),

Słowo № 3. Środa 27 Stycznia / 8 Lutego 1893 r.

Przegląd literacki

Henryka Sienkiewicza: „Listy z Afryki" 2 tomy. 1893 r.

I.

Odbyliśmy wszyscy, my stali czytelnicy „Słowa", ogromną podróż, jeżeli nie w sam środek, to jednak sporo w głąb Czarnego Lądu. ++ Odbędą ją zwłaszcza ci, co jak ja, poddadzą się po raz drugi wrażeniom, zebranym dziś na kartach jednej książki.

– Mnie się aż dotąd śnią białe postacie Arabów, czarne, ruchliwe, trochę „dyabelskie", kształty Somalisów i rozświetlone habity misyonarzy. Widziałem morza błękitne, zielone i mleczne, widziałem pustynię „bez miłosierdzia", kratowaną z wielbłądami, podobne do biblijnych, piramidy, Sfinksa, rozmawiającego z księżycem, baobaby i palmy, głowy krokodylów, wynurzone z wody. ++ Przebyłem siedm rzek i siedm gór. I słyszałem łoskoty fal, rozdzierające świsty parowców, wrzawę wschodnich portów, kłótnie arabskich tragarzy, tętniące po nocach odgłosy murzyńskiej, jednostajnej śpiewki i stękanie lwa pod namiotem. Słyszałem nawet tę ciszę, co „aż

w uszach dzwoni" i w której ucho
chwytała jakby szmer skrzydeł lecącego
czasu. — Byłem w krajach, dokąd
nigdy przedtem nie zabiegałem wy-
obraźnią. — Bo chociaż sprawy ziem
dalekich zajmują dziś rządzących,
geografów i ekonomistów, my wszyscy
nie wylatujemy myślą tak daleko.
Ląd Afryki jest dotąd dla ogółu czar-
nym, t.j. ciemnym lądem. — Brak
naszej wyobraźni rysów, mogących
składać wszelakie, tak bardzo obce
obrazy. — Nawet z powieści Loti'ego
wynosimy raczej widzenia senne,
gorączkowe, nadmiar pamięci haszy-
szowych odurzeń, albo uczucie jakiejś
ciężkiej, upajającej woni. — Bo Loti,
pisarz dziwny, nawskroś nowoczesny,
notuje zwłaszcza najbardziej osobiste
wrażenia i uprzytomnia sobie dale-
kie strony wspomnieniami
najmniej uchwytnych, najmniej
świadomych poczuć. — Podobnie
melodya, albo zapach kwiatów odś-
świeża najlepiej wrażenia jakiejś
sytuacyi minionego, albo chwilowego
nastroju. — Po za tym czarodziejem
francuzkiej literatury rzadko, aby
nas kto wywiódł myślą w kraje
wiecznego lodu, lub wiecznego słońca
i potrzeba pierwszorzędnych zagadnień
społecznych, jak nasza emigracya
abyśmy się bliżej zapoznali z Brazylią.
Nie mamy czego tak szukać po

morzach i lądach. # Zazwyczaj sięgamy wyobraźnią na wschód, mniej lub więcej znany ze wspomnień osobistych, z obyczajnego i umysłowego rozwoju, albo marzeniu o białych miastach, rozsiadłych w koło brzegów Śródziemnego morza. —

Są takie miejsca w Attyce, gdzie, jak mi się zdaje mieszkałem długo. — Znam w Taorminie widoki, otwierające się w dół za piniowemi gajami, znam dorycckie świątynie w Paestum, stojące w szczerym polu —

Nie przypominam sobie zaś, abym kiedy w godzinach zamyślenia podróżował po afrykańskim brzegu i jak przyjaciel Słowackiego, nie zasiadłem nigdy na ląd barbaryjski, gdzie nieustannie wre marokańska fala. # Chyba, że mię i tam zaciągnął Loti, wiodąc przez fantazye marokańskich Arabów, albo że z naszych Rostafiński służył mi za dragomana, przyrodnik i wytworny stylista zarazem. — I dla nas, jak dla Rzymian, kończy się zwykle świat u słupów Herkulesa i tęsknimy najbardziej do krajów, gdzie się rozsiadła rzymskich murów spuścizna. # A jeżeli przychodzi czasem chętka wybrać się do Indyj, to chyba na wiosnę

Wzmiankę
Rostafińs
opuściłab

143a

Wzmiankę o Rostafińskim opuściłabym ?

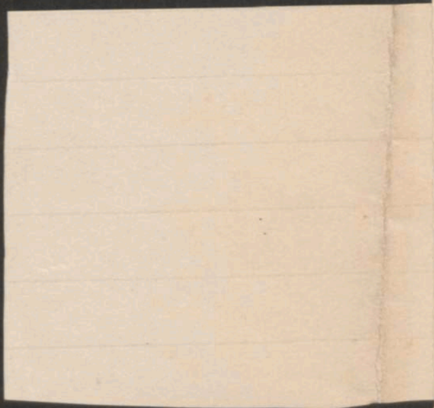

Heine'go, który ich zwykłemi oczyma nie oglądał, a wie, że ludzie klęczą tam w zadumie przed kwiatami lotosu i z grozą patrzą mądre oczy antylop. — Po za kołem uczonych rzadki to dziś człowiek, któremu cała kula ziemska stoi otworem na myśli, człowiek, który otwiera „do świata ramiona upragnione". —
Przyczyna tego leży po części w kierunku obecnego naszego piśmiennictwa. — Za czasów romantyzmu przenosił się Wiktor Hugo myślą na Wschód, a Musset w pierwszym tomiku swoich wierszy, obracał się w Hiszpanii, której nigdy nie widział, i we Włoszech, które poznał dopiero później. — Przewodnią artystyczną myślą naszej epoki jest przekonanie, że tematy istnieją wszędzie dla tych, co umieją szukać. — Dawniej malowano tylko szwajcarskie i włoskie widoki, dziś Chełmoński nie jest jedynym pierwszorzędnym w Europie pejzażystą, który maluje to, co ma przed sobą, choćby to nawet były biedne równiny pod samą Warszawą. — Ażeby egzotyzm wrócił z potęgą do literatury, trzeba było, aby bardzo utalentowany młodzieniec został porucznikiem okrętowym i zaczął prosto spisywać

na co patrzy, nie inaczej oczywiście
o tem, że zamieni mundur oficera
marynarski na zielony strój człon-
ka Akademii francuzkiej. #
— A jednak nie brak usiłowań na
tem polu, nie brak opisów podróży.
Uczeni zwiedzający dalekie lądy, o-
głaszają zazwyczaj dzienniki swej
wyprawy. # Nie wiem, czy mam
tak niecierpliwą rękę, czy też odwa-
dze eksploratorów nie zawsze towa-
rzyszy szczerość literacka, ale co
do mnie, na dziesięć książek tego
rodzaju, spostrzegłem w najlepszym
razie jedną, która mi daje jakie
takie pojęcie o wyglądzie kraju,
i jaką taką strawę dla wyobraźni.
Nawet „Listy z Ameryki" Sien-
kiewicza, gdzie się od czasu do cza-
su trafiają istne malowania, są
jeszcze wyłącznie pisane dla War-
szawy, z myślą o niej, z przycinka-
mi do niej, bez tego zapominania
się w przedmiocie, którego wyma-
gamy, kiedy sami, śladem
autora, pragniemy odczuwać.
Są to pewno najpoetyczniejsze
odcinki, jakie w naszym języku
posiadamy, ale bądź co bądź odcinki,
gdzie kaprys piszącego odrywa nas
jeszcze od obrazu. # Dopiero nie-
dawno, trzy lata temu, chodził po
Afryce, po obcym dalekim nam
lądzie, człowiek, który pojechał

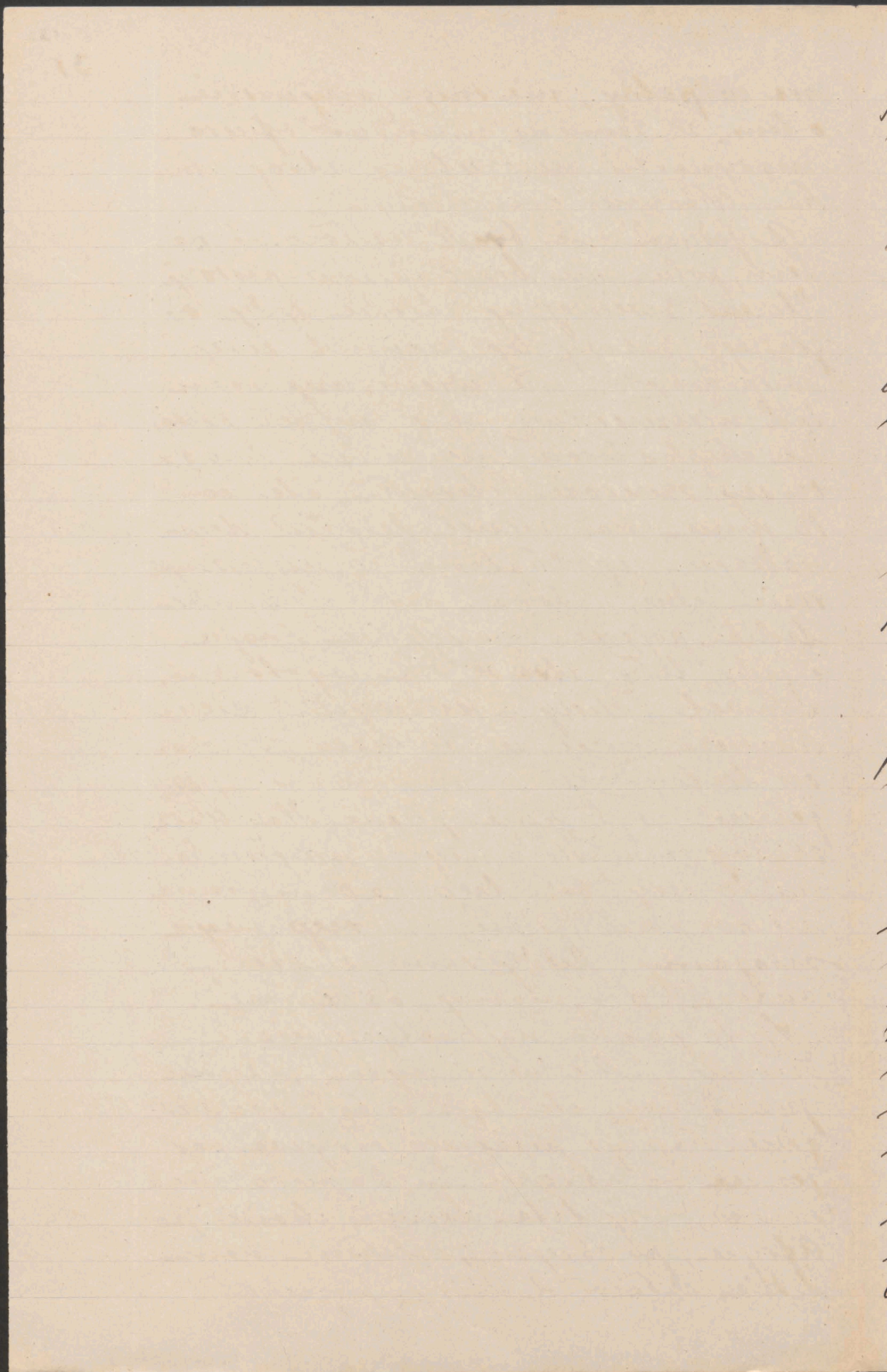

jedynie po obrazy i przywiózł ich
tyle moc, jaką z naszych pisarzy
zapewne on jeden zdolny był
zgromadzić. Odtworzył je zaś dla
nas tak żywo i widomo, że prze-
wyższył obrazem wszystkich tych,
co się dziś silą o malowanie
słowami, a tak prosto, jak po-
dróżnik, coby swe przygody opo-
wiadał półgłosem przy kominku. —
Wszędzie, gdzie dojdą owe tomy
„Listów z Afryki," wyda się
czytającym, że z dalekich stron
przyszedł gość w dom i zwycza-
jem wędrowców wspomina gło-
śno to, co sam przebywał.
Niełada gość! prawił przez długie
lata takie piękne, bohaterskie
powieści, że wielcy i mali u ust
mu zawiśli.
Czasem w krótkich historyjkach,
które sypał z rękawa, drażnił
on, gniewał i smucił, czasem
śmieszył ludzi do rozpuku. —
potem znów mówił rzeczy sub-
telne i wykwintne, a dziś, kiedy
zdziwienie minęło i zrównoważyły
się zdania, już chyba nikt nie
myśli mu zaprzeczać prawdy bo-
żej, a widzianej z wysoka.
Później wodził nas aż na drogi mi-
stycyzmu i pokazywał, że świa-
tłość wśród ciemności świeci.
Od młodych lat twór się zmieniał

drogi i odnaleźć swój talent w coraz to nowych tematach. + Po walkach, które wiódł za jedną i drugą sprawę, po wzruszaniu, bawieniu, badaniu, doszedł do tego, o czem każdy szlachetniejszy pisarz marzy, a co bywa tylko udziałem nielicznych, do zupełnej i mistrzowskiej prostoty.

XX

Odczytawszy w tomie „Listy z Afryki," wracam myślą do amerykańskich korespondencyj, pisywanych do tej „Gazety polskiej," której kierownicy potrafili najwcześniej odczuć i przywiązać do siebie talent Sienkiewicza. Wracam do dawnych listów, zwłaszcza dlatego, że zawdzięczamy im wszyscy dobre chwile, przebyte w epoce, która się dziś wydaje lepszą, a może nią i była. ++ — Ileż to początkujących pisarzy aplikantów przy literaturze, przemycało świadomie i nieświadomie zwroty Litwosa do swoich prób autorskich! A jednak, jeżeli oderwawszy oczy od „Listów z Afryki" zajrzę dziś do tych pełnych werwy felietonów, kto z nich, pragnący udoskonalenia

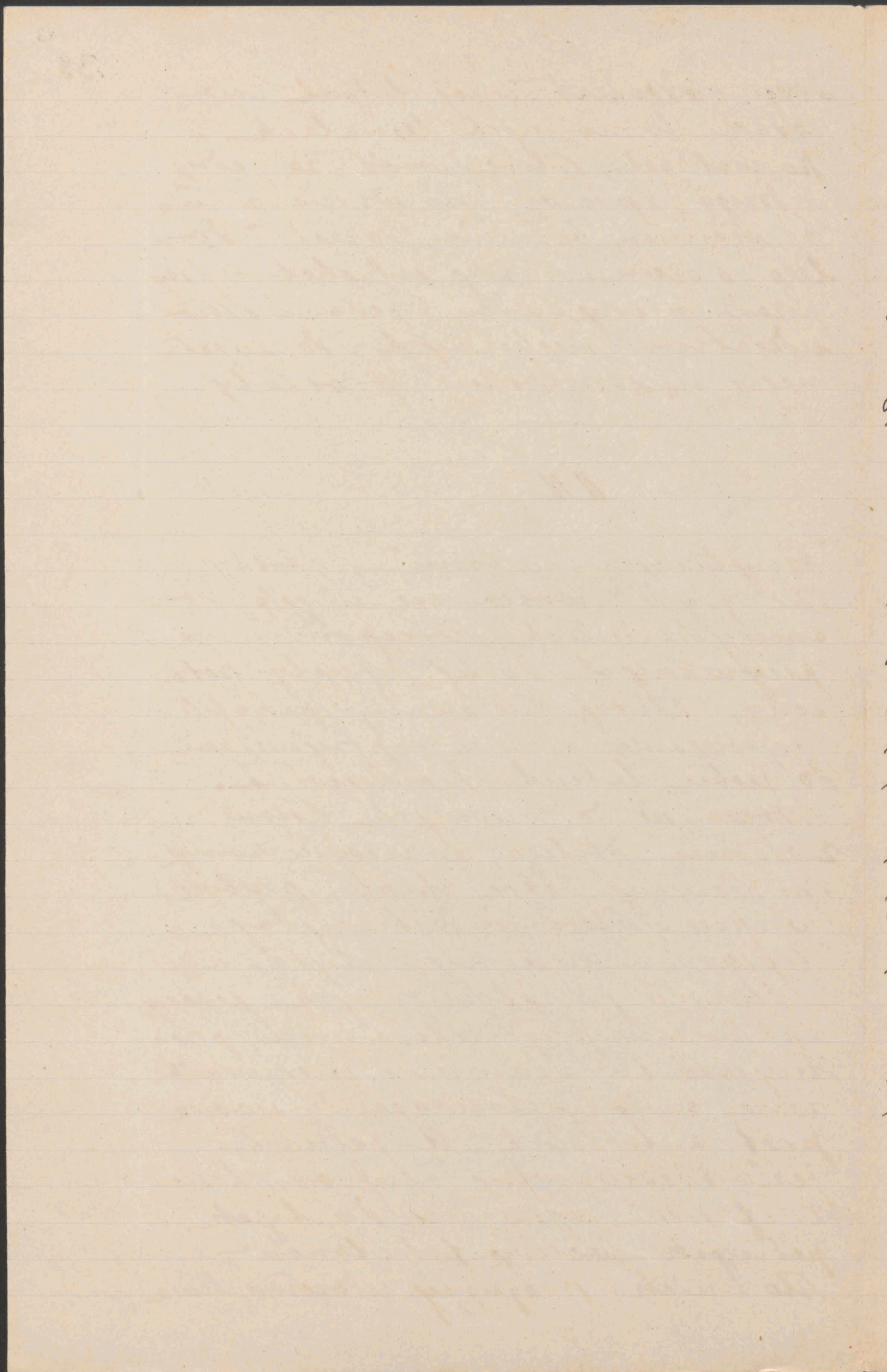

swego stylu, uszlachetnienia tonu,
nie pożałuje, że nie mógł się za młodu
wzorować na wytworniejszej książce?
Kilkanaście lat dzieli te dwie prace,
kilkanaście lat, ogromny przeciąg czasu
nawet dla pisarza, co tak wielkiemi
krokami postępował naprzód. + A
jednak przeskok jest tu zdumiewa-
jący. + Werwy jest dziś niewątpliwie
mniej, mniej humoru i dowcipu,
ale, co do mnie, wyznam śmiało, że
wolałbym może, aby w nowych
listach nie było go wcale, bo choć
~~[skreślone]~~ zwykle najwytworniejszy
rozrywa mi czasem obrazy i mąci
pogodny ton dzieła. + Nie mówię tego
z powodu zbytniego ustępu o krytycz-
kach „Bez dogmatu", któremu, zda-
niem mojem, nadano zbyt wielką
wagę. + Pisałem i ja niegdyś, co
myślę o tej powieści i mógłbym się
łatwo poznać w szeregu „różnych
przygodnych recenzentów," którzy
„włażą Płoszowskiemu na ramio-
na, poufaląc się z nim, jak wyżły," a
jakoś nie zdołam sięgać po dumne
słowa oburzenia i kiedy wielki artysta
pozwolił sobie małego „scherzo", nie
umiem zdzierać ciężkich frazesów
z kołka. + Uważam to bowiem
tylko za wybryk humoru, za odzwy-
czajanie się dawnej, wczesnej „manierę"
pisarza. + Kiedy sobie nadto przypo-
mnę, ile krytyka robi złego ~~[skreślone]~~

niesumiennością swoją, brakiem znajomości i zwłaszcza brakiem poczucia, kiedy np. zważę, że na polu oceny sztuki plastycznych, nawet Witkiewicz nie wszystkim niepowołanym zamknął usta i że się ten i ów „przygodny" i wygodny recenzent popisuje dotychczas niezrozumieniem dzieła i lubuje we frazesach, myślę chwilami, że za tych, którym się zdarzyć nie wypada, pomścił się artysta, mający większe prawa – i że to ponieważ dobre. – Szkoda tylko, że ustęp „Listów z Afryki" zdaje się spadać na ludzi, którzy niewątpliwie mają najwięcej warunków do sądzenia i najmniej win na literackiem sumieniu. –

Listy, pisane do „Gazety polskiej", były jak mówiłem, odcinkami, które dla niepospolitych zalet podę-czono w książce; listy zaś, drukowane wyrobkowo w „Słowie," powstawały z myślą o całości, o kompletnem dziele. – Stąd ogromna istotna różnica, odmiana ogólnego charakteru. ⌗
– Przedewszystkiem ostatnie korespondencye są wybitnie artystycznemi, a pierwsze musiały być z natury więcej informacyjne. – Ameryka gra już zbyt ważną rolę w życiu starego lądu, wywiera nadto wielki wpływ nietylko na ekonomiczne

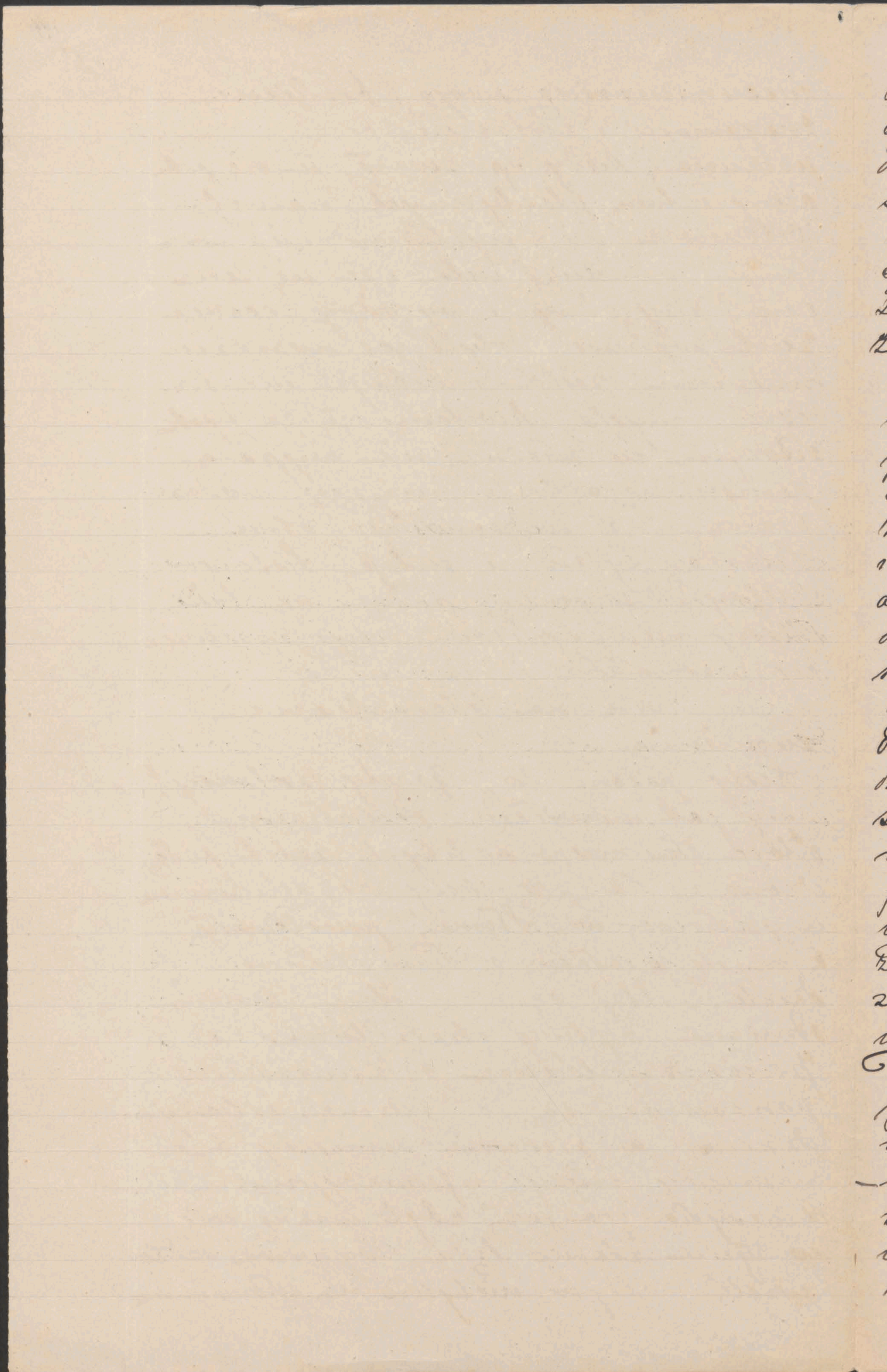

ale i na cywilizacyjne stosunki Europy, aby, pisząc o niej, mógł pominąć urządzenia, obyczaje i nie dawać przysięgowych fałszów. + Kto z nas może zaręczyć, że nie pojedzie przyjrzeć się ciekawemu społeczeństwu Stanów Zjednoczonych, że go tam nigdy nie zagna ciekawość lub interes?

O Zanzibarze zaś nie można tego z równem prawdopodobieństwem przypuścić. + Jest w Sienkiewiczu sprawozdawca, który umiał rozpoznać i ocenić ludzi, stosunki bytu i kraj od New-Yorku do San-Francisco, ale siedzi w nim i ten demon pisarski, który mu kazał kraszić informacye humorem i nie pozwolił, aby się odcinały szarawymi traktatami. ≡

Od najwcześniejszych swoich literackich wystąpień umiał Sienkiewicz ten dziwny dar, że to, co on napisał, rzucało się odrazu publiczności w oczy, jak gdyby było odznaczone innym wyrazistszym drukiem. – Każde zdanie, które ogłaszał, zachęcało do dalszego czytania. + Tylko z biegiem czasu używał coraz to innych sposobów. Dawniej odróżniał się od dziennikarskiej prozy werwą, a dzisiaj ma na to wyższy i trudniejszy fortel – prostotę. ≠

Wyszczególniam jednak czytelników, uskarżających się na brak humorystycznych ustępów w „Listach z Afryki", wyszczególniam innych, uczeńszych, którzy się

151

37

spodziewali więcej wiadomości o Czarnym Lądzie. # Ależ Sienkiewicz nie jeździł na studya etnograficzne, nie wysyłała go żadna akademia, jak np. Dybowskiego!— (opuścić X ?)

Wolno każdemu szukać w książce szczegółów, które go interesują, ale wolno i autorowi wymagać, aby go sądzono według tego, co daje i co dać zamierza. — Krytyka, która w ten sposób przestawia punkt swego widzenia, musi się narazić na ostre potępienie. # A mimo to sądzę, że ostatnia książka Sienkiewicza zawiera kilka bardzo prostych uwag, wynikłych z tego, co zapewne przez źle ukrytą zazdrość nazwaliśmy ... „chłopskim rozumem"! — Kto wie nawet, czy nie dla swej spokojnej a głębokiej prostoty uszły podobne spostrzeżenia uwadze doktrynerów?

Ekonomiści uznają potrzebę nowego pola działalności dla Europy, szukają zaradczych środków na nędzę przeludnionych krajów i wyraz „Afryka" nabiera dla nich magicznego znaczenia. # A oto naraz podróżnik wytrawny i silny, zahartowany w kalifornijskich lasach, nie chce wierzyć w długotrwałość europejskich kolonii w Afryce i przyjmuje co najwyżej możliwość państw, powstałych z połączenia białej i murzyńskiej rasy. # I dość drukowanej

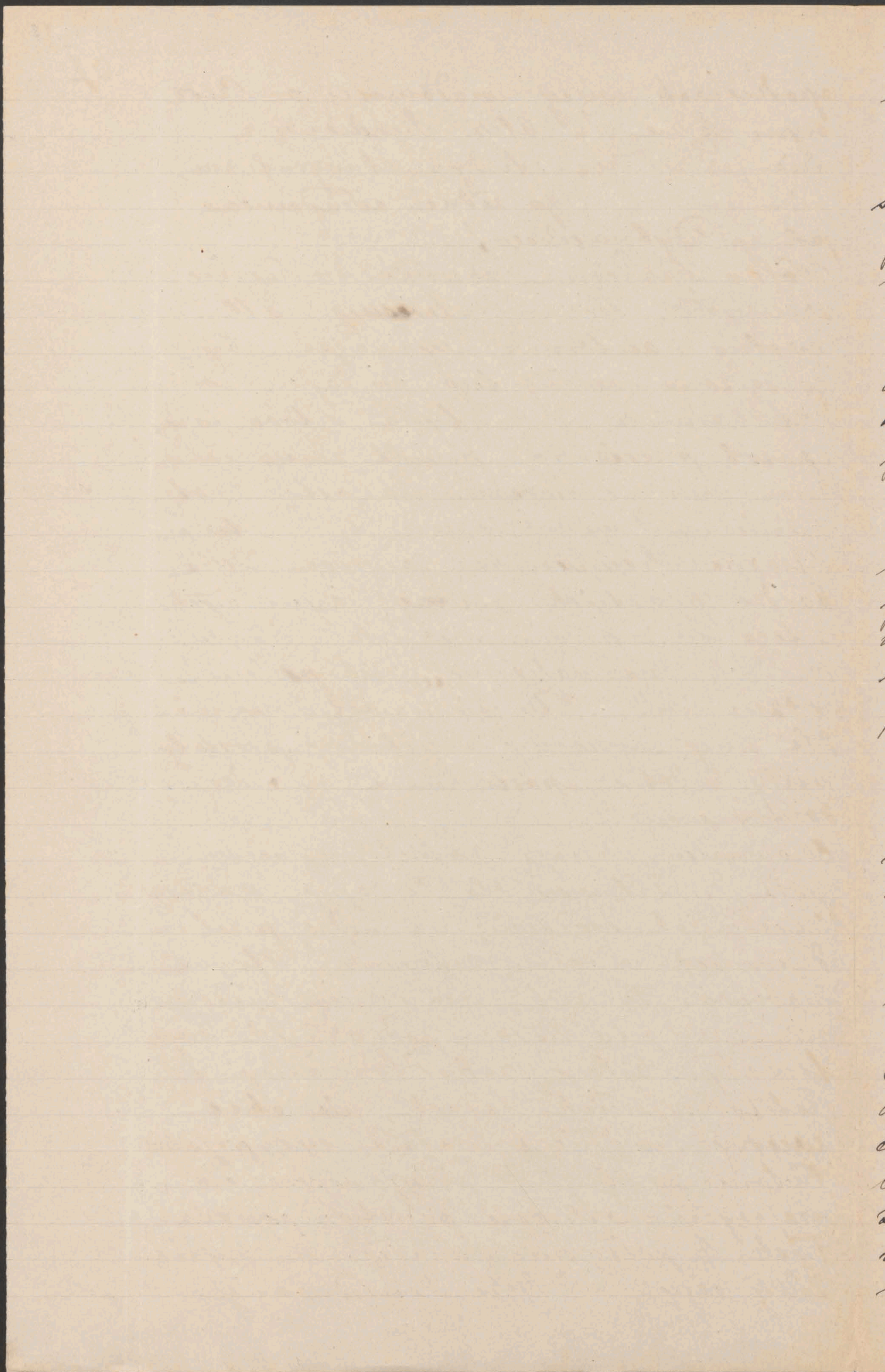

bibuły wpada odrazu w wodę gorą-
cych mórz południowych i rzek,
ziejących chorobą. + A tego podróżnika
szczególnie właśnie febra i widział on
jej ślady po wynędzniałych i bezkrwi-
stych twarzach. –
Trzymają się tam jako tako jedni
katoliccy misyonarze, zapewne
dlatego, że w przeciwstawieniu
do anglikańskich i do urzędników
pruskich są sami i nie kłócą się
o drogie głowy rodzinne. + Czyż to, co
o nich mówi Sienkiewicz, nie należy
tedy nietylko do pięknych, ale do
praktycznych, ciekawych stronnic
książki? + Doznają oni czci od innoż-
wierców, i europejczyków i murzynów,
poparcia od władz niemieckich, a
rozsiewają jedyną cywilizacyę, moż-
liwą w tych krajach, chrześciańską.
I to mówi znowu czytelnik, który się
na to patrzał i są to znowu rzeczy
bardzo proste... A on nie szukał ich
ale chodził, „febrę zbierając do dzieła",
chodził jak malarz i tym razem
mógłby był zastosować do siebie słowa
autora, tak niepodobnego mu, jak
Flaubert: „Świat jest szeregiem illuzyj,
które się proszą, aby je opisać." – Ale
chwilami zbierała go chęć głębszego
wniknięcia w życie Arabów, Hindu-
sów i czarnych, a dziwny instynkt
wskazywał mu stan duszy dzikiego,
niezrozumiałego dla swej mowy

człowieka, który się naraz budzi wśród przepisów pruskiej biurokracyi i gubiąc się w ich wymaganiach, może zginąć..
Sienkiewicz rozpoznał to wszystko poczuciem, bo się mowy Ki-suahili nie nauczył i tem znowu różni się autor amerykańskich korespondencyj od malarza afrykańskich obrazów. – Z angielskim językiem zapoznał się bowiem szybko i zżył się ściśle z Szekspirem. # Nie można mu doprawdy brać za złe, że nie studyował murzyńskiego narzecza, są nauki, na które w życiu czasu jakoś nie starczy. # Ograniczył się więc na tem, co mu oczy dawały. # Ale znalazł się za to na pustyni, do której, jak sam wyznaje, tęsknił od wczesnego dzieciństwa. # U każdego z nas budziła się za lat młodych ciekawość do innych światów, bujniejszych lasów i odmiennych zwierząt, chęć do myśliwskiego żywota, do trudów i walk i noclegów pod szałasem. Ale pragnienia te usypowały zazwyczaj miejsca innym popędom i Robinson już się nam nie śni po nocach, nie nawiedzają nas bohaterowie Mayne-Raida. #
Życie starej Europy, ciasne, trudne, bolesne życie codzienne, ogarnia nas coraz bardziej. # Od chęci poznania świata, nawet swojskiej

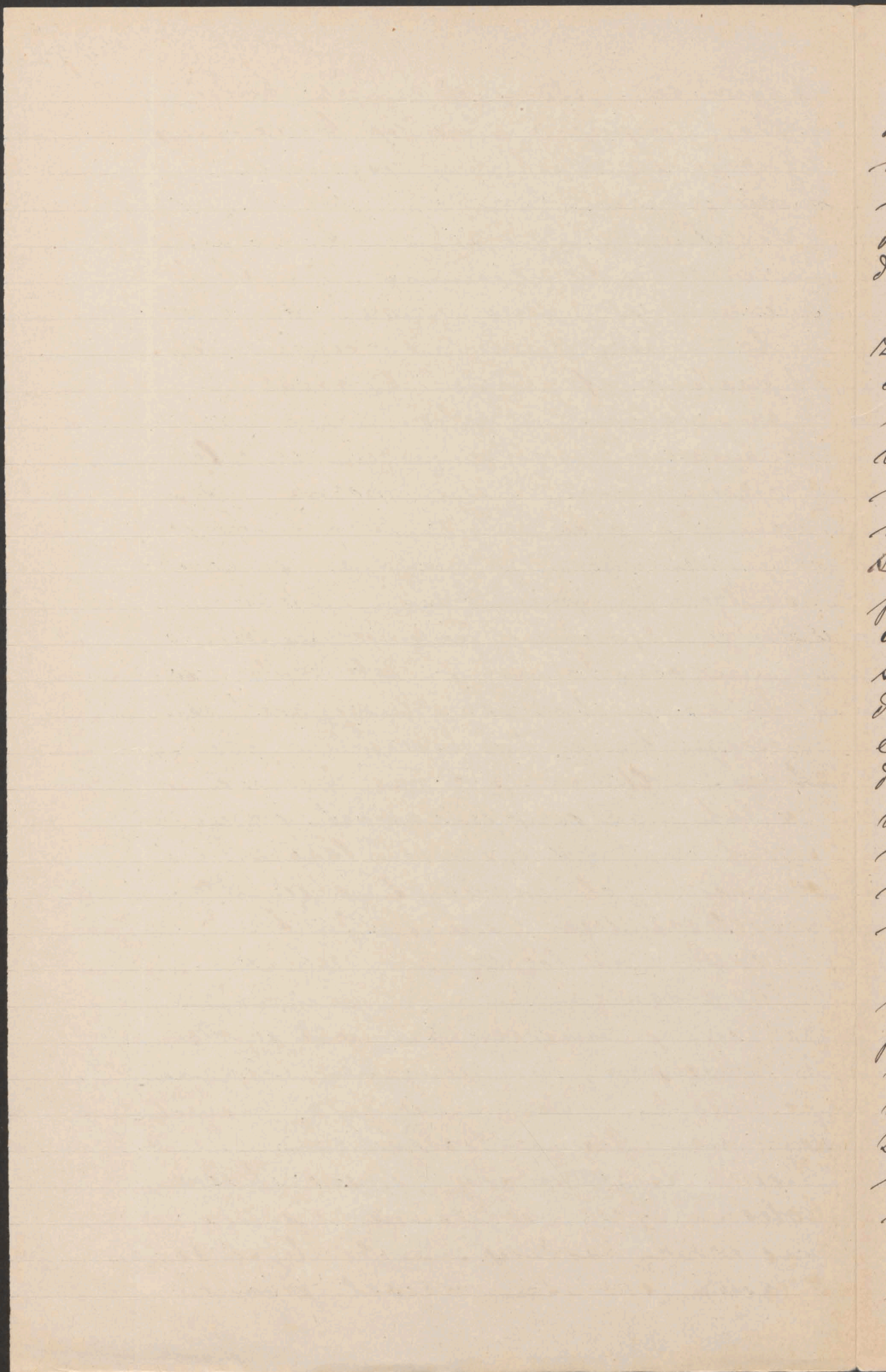

i bliższej natury, od dziecinnego zapału do nauk przyrodniczych, który się najczęściej objawia natykaniem motyli na szpilkę, przechodziliśmy do zaciekawienia się człowiekiem, do studyum historyi, do miłości poetów. Trzeba znużenia i przesytu, abyśmy zapragnęli odetchnienia w przyrodzie, abyśmy jej badanie uznali za najszczytniejszą umiejętność. + U Sienkiewicza zaś nie przerwał się chyba nigdy pociąg do dzikiej, obcej, potężnej przyrody. + Kiedy, będąc studentem, pisał pierwszą historyczno literacką pracę o Szymonie Szymonowiczu, przypuszczam, że nie przestawał marzyć o awanturniczem życiu amerykańskich osadników. + W każdym razie zachował całą dziecinną świeżość podziwu dla dziewiczego lasu. + Jeszcze teraz, przed wymarzonym w puszczy afrykańskiej, nie może on zasnąć na myśl, że jest nareszcie na świętym łędzie, o którym marzył i że głąb jego wnet pozna. Zdaje się, że w Sienkiewiczu odzywa się jakieś atawizm, po tych ludziach pierwotnych, którzy toczyć musieli nieustanną walkę z naturą, klimatem, z własnem utrudzeniem i z dzikiem zwierzęciem i w zwyciężaniu widzieli godność człowieka. — Dwa razy napada go febra, wie, że trzeci raz go zabije, ale postanawia sobie nie przyjść go i może po części dlatego

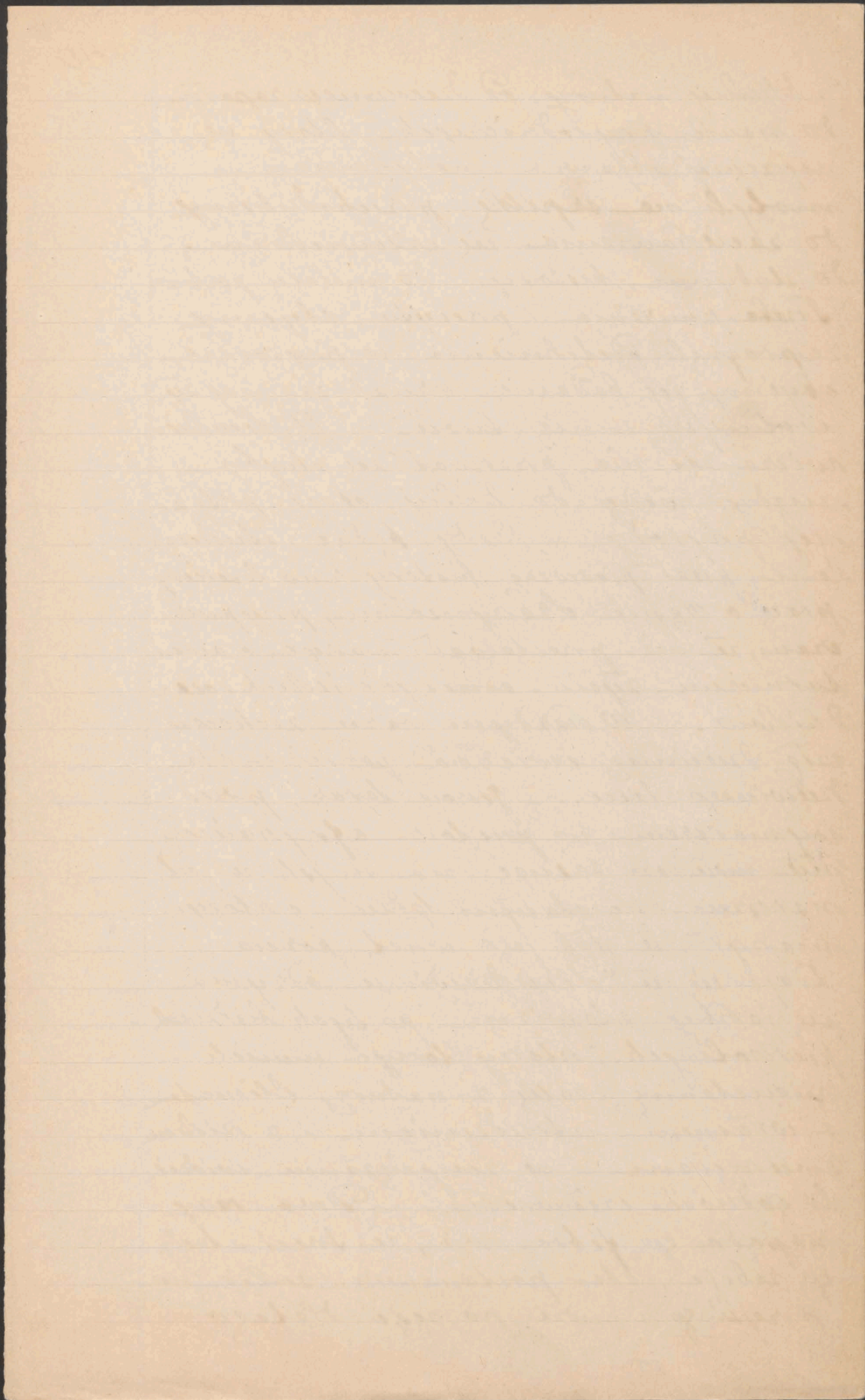

nie ulega już chorobie!
Inni współcześni pisarze, odzywają się do ludzi żyjących przeważnie gło-
wą, mieszkających po miastach, w pracy niemniej twardej, ale jedno-
stronnej; do ludzi już niepomnych pasowania się z naturą, pojmujących walkę o byt, jako wojnę człowieka z człowiekiem. + Sienkiewicz pisze także i dla tych, co czują w sobie zasoby niezużytkowanej muskular-
nej siły. = Brandes zauważył raz trafnie, że w najnowocześniejszem z arcydzieł, w „Fauście" Goethego, od-
waga osobista nie gra żadnej roli, ale światłość myśli niemieckiego bohatera, nie pobudza wyobraźni Sienkiewicza w tym stopniu, co męstwo rycerza. ≡ Jest to zapewne najbardziej epiczny i najbardziej męski talent w dzisiejszej Europie. ≡
Potrzeba mu przygód i trudów i dla swoich postaci i dla siebie. – Jak potężnieje ton jego amerykańskich listów, od chwili, gdy porzuca miasta, przebiera się koleją Dwóch Oceanów i zachodzi do koczowników i myśli-
wych! Poeta wydobywa się odrazu, jak motyl, z powłoki dziennikarza.
Czuje on to zresztą sam i już w kores-
pondencjach do „Gazety polskiej" zaz-
nacza ten szczęśliwy wpływ bez-
droża mórz i bezgranicza pustyni na własną zdolność i usposobienie.

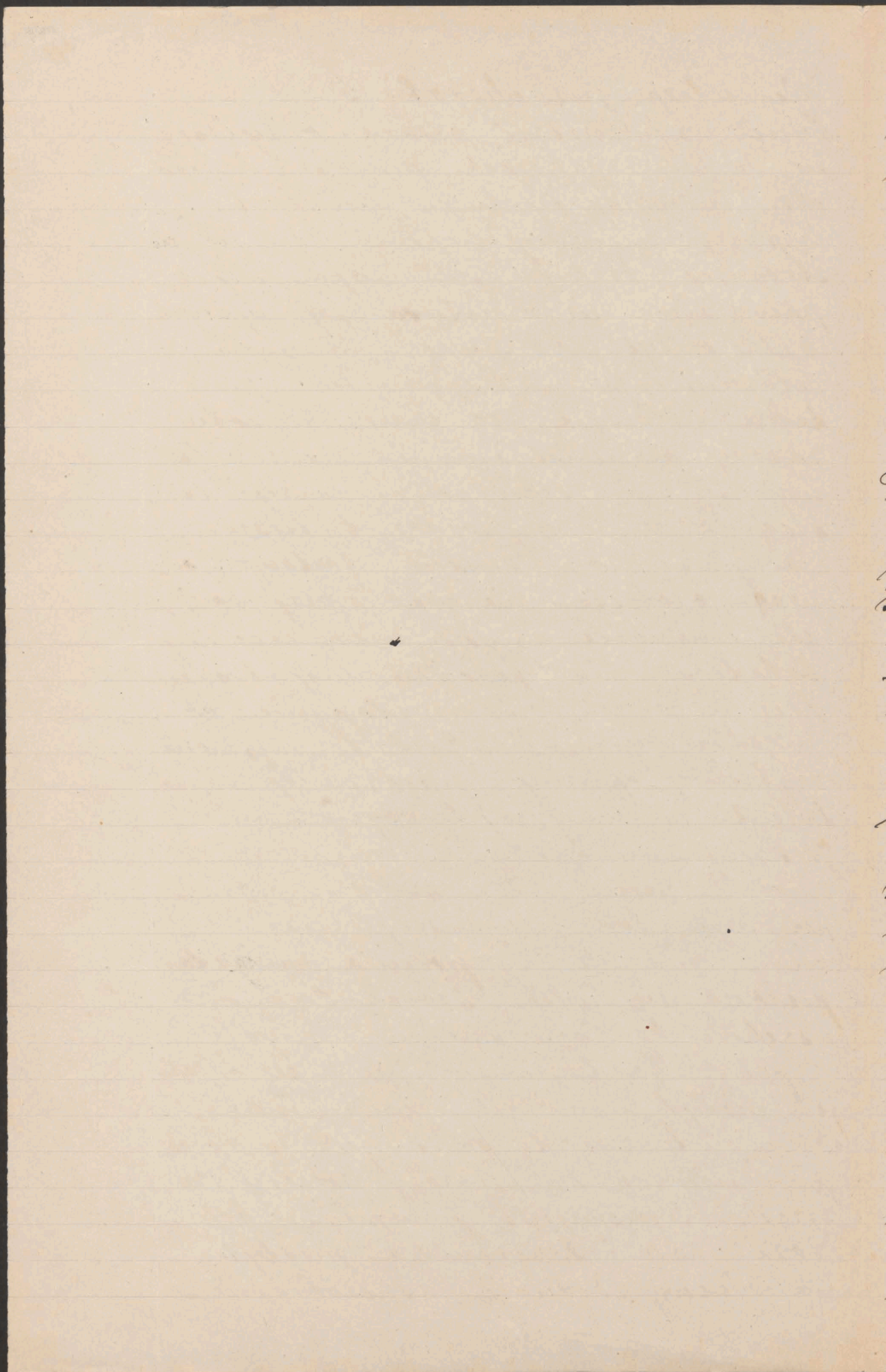

W ostatniej książce konstatuje on wyraźnie dobroczynne skutki dalekich podróży na pisarza, bo, jak każdy wielki artysta, tworzy on przedewszystkiem estetykę swego własnego talentu. Smutna poezya miasta, nędzy, płodnego a powolnego trudu, długiej i bezpłodnej niekiedy walki, szarego życia, nie pobudza go w tej mierze do twórczości. Tylko surowa, bolesna krytyka własnej natury i duszy pozwoliła mu wejść w głębie „Bez dogmatu" i negatywnego, jakby powiedział Edward Rod, typu Płoszowskiego. I byli ludzie, którzy uważali tę postać za apoteozę!

— Równocześnie z poetą obudził się w Sienkiewiczu na pustyni malarz. Zawdzięczamy mu opisy Kalifornii, potem ukraińskich stepów, a wreszcie obrazy mazowieckich pól w „Bez dogmatu"; spotykamy go zwłaszcza co krok w afrykańskich listach. Nie myślę i na razie nie mogę wdawać się w ocenę bezwzględnej wartości tego nowego literackiego kierunku, ani odgrzebywać Lessing'a, który zarzucony stosami nowych estetycznych studyów, leży w grobie skostniały i zimniejszy jeszcze, niż za życia. Być może, być bardzo może, iż chcieć malować słowami, jest to wkraczać w zakres sztuk plastycznych, mylić się co do środków

i celów, zbliżać się do baroku, który nie znał rozgraniczenia sztuk. - ale z drugiej strony wykwintniejsza publiczność dzisiejsza, zwłaszcza we Francyi, domaga się obecnie, aby jej i piśmiennictwo dawało te wrażenia kształtów, a zwłaszcza plam barwnych, które przed nią roztworzyło malarstwo. —
Jest dziś i u nas szereg ludzi, czy to bardziej znużonych jednostajnością literackich motywów, czy też przeczuwających nowe poetyczne szlaki, którzy pragną i szukają malowania natury nawet w piśmiennictwie.
Nie z myślą o nich, ale jednak dla nich, rozpostarł Sienkiewicz długi ciąg obrazów. + Ale jak piszę przy tej monografię o Płoszowskim, ustrzegł się śmiesznych a pedantycznych drobiazgowości Francuzów, tak umiał w malowaniu pozostać pisarzem, który dla nieswojskiego świata farb i połysków, nie wyparł się własnej dziedziny, ludzkiej duszy, jej usposobień i poczuć. Ztąd nie używa on jedynie nazwy barw, jak inni malarze piórem, ale i porównań i niekonkretnych wyrażeń.
„Łódka była gładka, nie tak <u>niemiłosiernie</u> modra, jak bywa czasem morze Śródziemne, ale raczej koloru niezapominajki, z odblaskami perły, opalu, miedzi, dymnego srebra." —

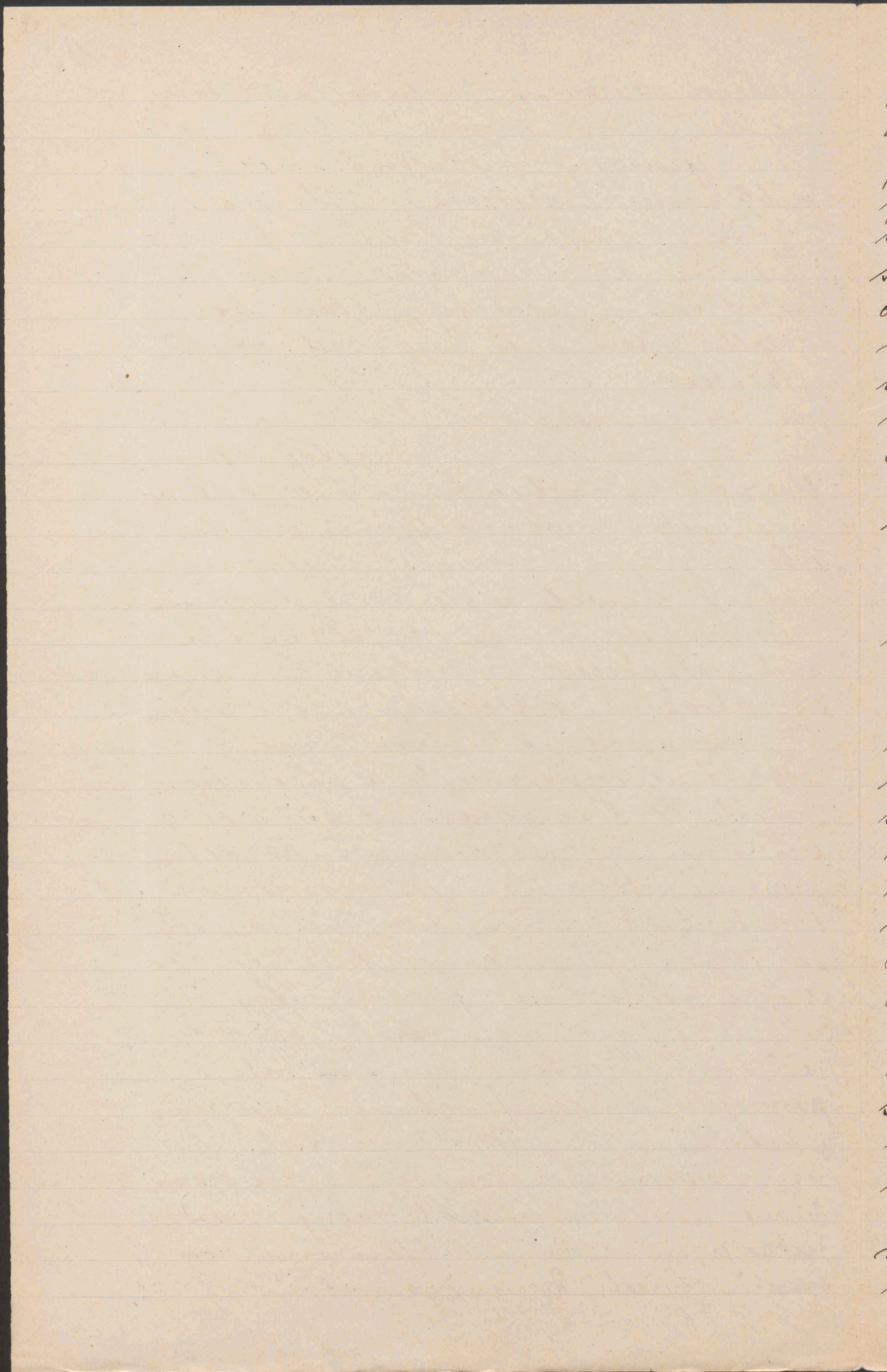

158

44.

„Cisza była zupełna – pisze on gdzieindziej – woda leżała ciężko, bez ruchu, jakby powierzchnia oceanu skrzepła pod śniegiem... Wszędy cicho, biało!... w tej białości nie było najmniejszego światła, ani jednego połysku; była ona matowa, jak całun. + Księżyc nie świecił. ++ Gwiazdy [illegible] pozór srebrnych gwoździ, ponabijanych w żałobne obicie, albowiem niebo, w przeciwieństwie do morza, wydawało się czarne jak kir." ++
Wzgórza wokoło Suezu „o zachodzie stają się coraz wyraźniejsze, omaszczone na czubach złotem i purpurą, na skłonach liliowe, powiewne, delikatne."
Podkreśliłem tu parę wyrazów na dowód, jak prostym i jak nowym umie być w opisach Sienkiewicz i wybrałem umyślnie dwa krajobrazy morskie na przykłady. + Bo i on zdaje mi się wzrastać, kiedy mu o morzu mówić wypadnie, o morzu, które jest tak zmienne i prawie tak żywe, jak dusza. I wtedy nie znać miejsca na humor. Ogarnia nas zupełna powaga, albo zupełna piękność, która jest także swego rodzaju powagą. – I ona stanowi, wraz z prostotą, główną różnicę między nowemi a pierwszemi listami z podróży. + Werwy i fantazyi amerykańskich korespondencyi, nie zdoła nikt naśladować, a ktokolwiek próbował, wzbudził rodzaj niesmaku u siebie i u drugich.

Tymczasem jednak jeżeli się nikomu nie uda dojść do malowniczych zalet afrykańskich wrażeń i obrazów, to możemy się wszyscy kusić o ich szczerość, o przyswojenie sobie ich prostoty. ++

„Listy z Ameryki" należą do tych książek, które nie powinny mieć naśladowców, bo wydadzą tylko epigonów; opisy afrykańskiej wyprawy mogą natomiast być źródłem stylu w najszerszem znaczeniu wyrazu, t.j. mogą uczyć prosto czuć, a co dopiero za tem idzie, prosto pisać. Czyli innemi słowy, jest to ostatnia książka klasyczna. ++

III

Tu muszę dotknąć specyalnej kwestyi języka, bo on to, mojem zdaniem, zapewni „Listom z Afryki" długotrwałość. — Każdy wielki pisarz był zresztą twórcą i nowatorem na tem polu; z naszych pierwszorzędnych autorów znam tylko jednego, co materyału językowego nie ~~odmówił~~ odnowił, a nawet nim nie zupełnie owładnął, Aleksandra Fredrę. —

Co się tyczy ostatniego dzieła Sienkiewicza, to wyznaję, że dzięki mistrzostwu i prostocie języka,

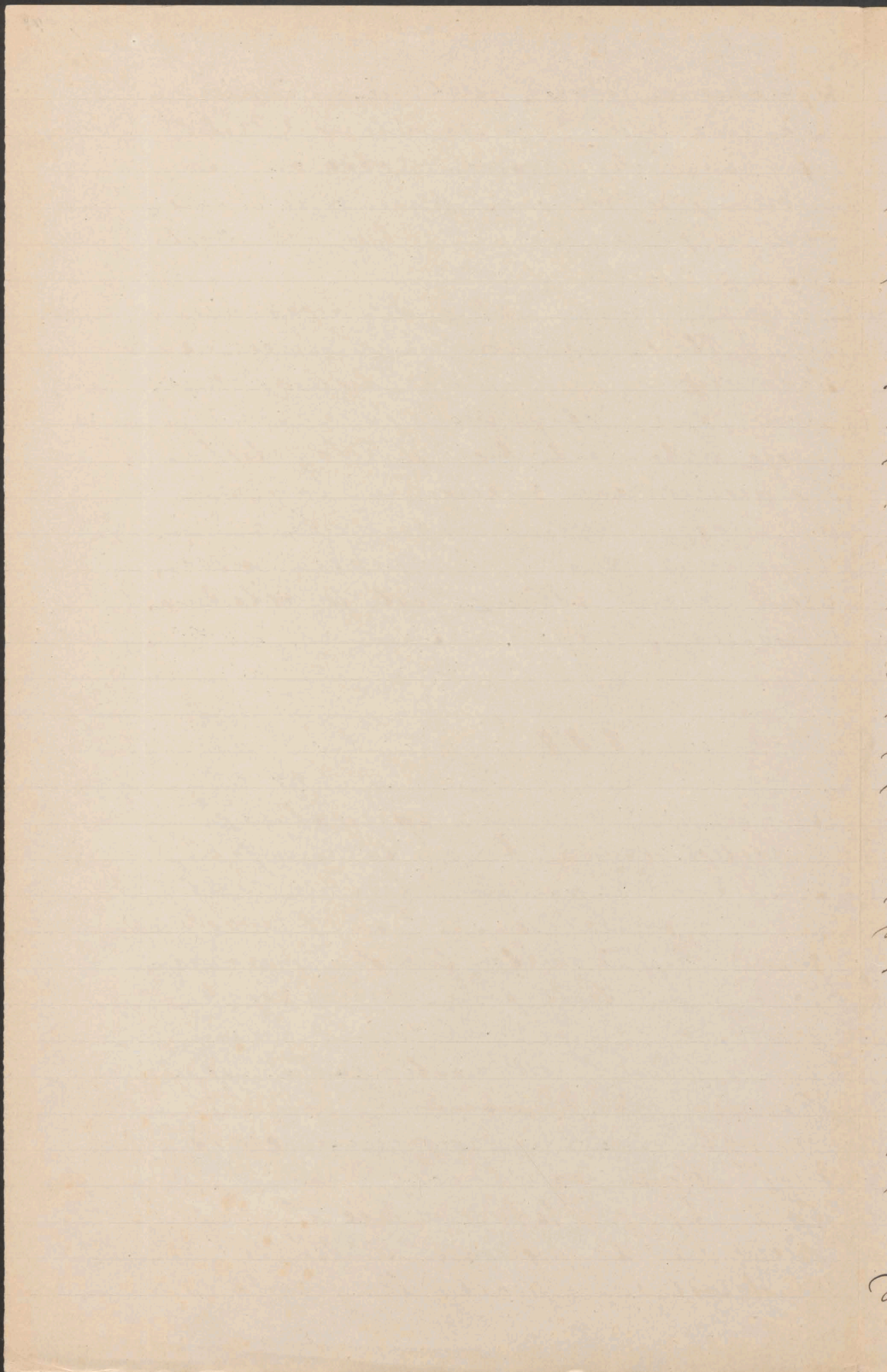

czytam z zajęciem nawet pobieżne szkice afrykańskiej fauny i flory, zamieszczone w drugim tomie. Bo i tam, mnie, który piszę, to jest gonię za wyrazami, oddającemi najwierniej to, co myślę i odczuwam, i tam zdumiewają mnie co krok proste fortele stylisty. — Rozśmieszę pewno czytelników, twierdząc, że nie jest to bynajmniej rzeczą obojętną, czy przedmiot następuje w zdaniu po podmiocie lub na odwrót i czy przymiotnik stoi przed albo po rzeczowniku. + A jednak tak jest i przyzna mi to nietylko każdy zawołany językoznawca, ale nawet psycholog. + A w tem właśnie bieda, że nie jest łatwo pogodzić w okresie, sprzeczne niekiedy interesa wyrazów i tak zdanie uprościć i dostroić, ażeby każdy wyraz doszedł do pełnego znaczenia. + Badźmy sobie szczerzy, pokrywając często okresy nadmiarem ozdób, błyskotek, barwnych przymiotników, nadając mu zadrój retoryczny, albo od poetów pożyczany i zatracamy ostatecznie istotę naszej myśli, jedynej naszej własności, byle jej nadać pozór świetny i przemycić pod fiołkową, ale cudzą flagą. — Zadawalniamy się literacką tendencją i pełnemi zęgłami płyniemy

do maniery. — Zapominamy, że jedna prostota, jedna zgodność myśli z wyrazem, może przetrwać do jutra. Zapominamy o lekcyi, którą Alfred de Musset dał autorce „Indjany", kiedy na pierwszych stronicach tej powieści powykreślał wszystkie narzucone błyskotliwe wyrazy, wszystkie, bez których mogło się było obejść.

Ale u Sienkiewicza odbywa się rozwój w przeciwnym kierunku: od świetności do szczerego nastroju, od maniery do prostoty. —

Jak wszyscy nasi znakomitsi styliści, przebył on tę szkołę Słowackiego, której El...y uległ w pierwszych utworach, z której się Konopnicka dopiero od kilku lat otrząsa. —

Listy z Ameryki pełne są jeszcze reminiscencyi z Beniowskiego, i na jednej z kilkunastu pierwszych stronnic spotykam poetyczne widzenie wiejskiego kościołka, utworzone z rysów, które już były w „Bieleckiem". — potem chodziło o to, aby zmieniając ton fantastyczny na bardziej prosty i realny, znaleźć odpowiedni nastrój, aby w ślad Słowackiego „język giętki, powiedział wszystko, co pomyśli głowa" i dowody tego artystycznego przeobrażenia widzimy w „Hani", „Szkicach węglem" i

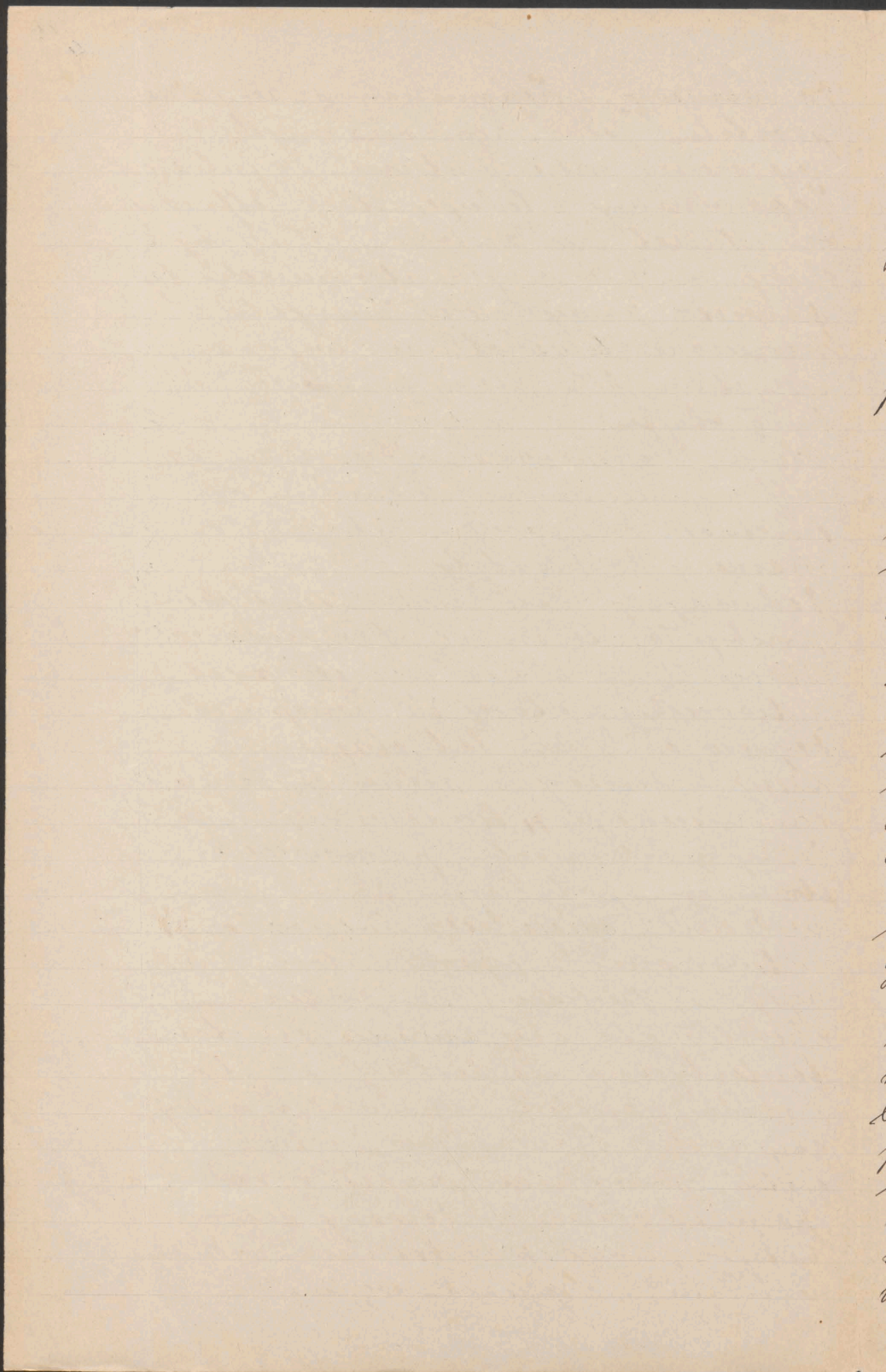

i „Farriole". – Nastała epoka, kiedy Sienkiewicz od „liliputowych bohaterów", jak sam mówił, przeszedł do historycznych postaci. – Musiał on wtedy przyswoić sobie język XVII stulecia i jeżeli „Niewolę tatarską", podziwianą ogólnie, uważam za nieszczęśliwą próbę odtworzenia tonu, to podzielam najzupełniej zachwyt, z którym powitano „Ogniem i mieczem" i nie mogę się dość nadziwić intuicji pisarza. Charakterystyczna, a tak żywa mowa bohaterskich powieści, przyczyniła się niemało do niebywałego ich powodzenia. „Ta trzecia" zbogaciła język literacki nowym zasobem humorystycznych, malarskich i malowniczych wyrażeń. – Naraz stanął Sienkiewicz przed najtrudniejszem zadaniem: rozpoczął wielką powieść obserwacyjną i nie mógł korzystać z żadnego wyrobionego języka, ani z poetycznego, ani ze staroświeckiego. Trzeba mu było stworzyć nową świeżą, dokładną mowę dla psychologicznej analizy i salonową mowę dla ludzi, którzy nie wytworzyli towarzyskiego tonu rozmowy. + Wydaje mi się, jak gdyby się wtedy Sienkiewicz był skupił, spotęgował swoją zdolność pisarską, to też rezultat odpowiedział wysiłkom. + Język salonowy odezwał się z wykwintnością, o której się nawet nie śni większości naszych komedyopisarzy; subtelność duchowa

objawiła się w kryształowym stylu. Mowa, którą Sienkiewicz włada, stała się dla niego wielkiemi organami, z których może wydobyć pełnię wszystkich dźwięków, nawet głos wiejskich skrzypek, gdzie do każdego akordu znajduje akompaniament i nadaje melodyi właściwy rezonans. Kiedy Sienkiewicz dziś gra, cały organ dźwięczy. + Od studyum chorej duszy Płoszowskiego, liczy się ta epoka językowej działalności, z której wszyscy moglibyśmy skorzystać, odtąd bowiem zaczyna się przejrzystość, skromność w szafowaniu efektami i prostota. W „Listach z Afryki" połączyły się te zalety. – Zdania są najzwyklejsze, krótkie, ale skądkolwiek się im przyjrzy, pozna, że żadne inne, nie zdołałyby ich zastąpić i wywrzeć tego wrażenia. – Wyrazy stoją w uświęconym, w najnaturalniejszym porządku, a występują silniej i działają skuteczniej, niż w sztucznie zbudowanych, rozwiązłych okresach. – Nie ma nadmiaru słów barwnych i rzadkich, mających stylizacyę uświetnić, ale, jak mówi niemiecki poeta, „ograniczeniem świadczy mistrz o sobie". – Jest wysoka artystyczna logika po za prostotą mądrze uszeregowanych zdań i wyrazów. + Przed kilkunastu laty stawiano przez Lucyana Siemieńskiego, jako wzór dla

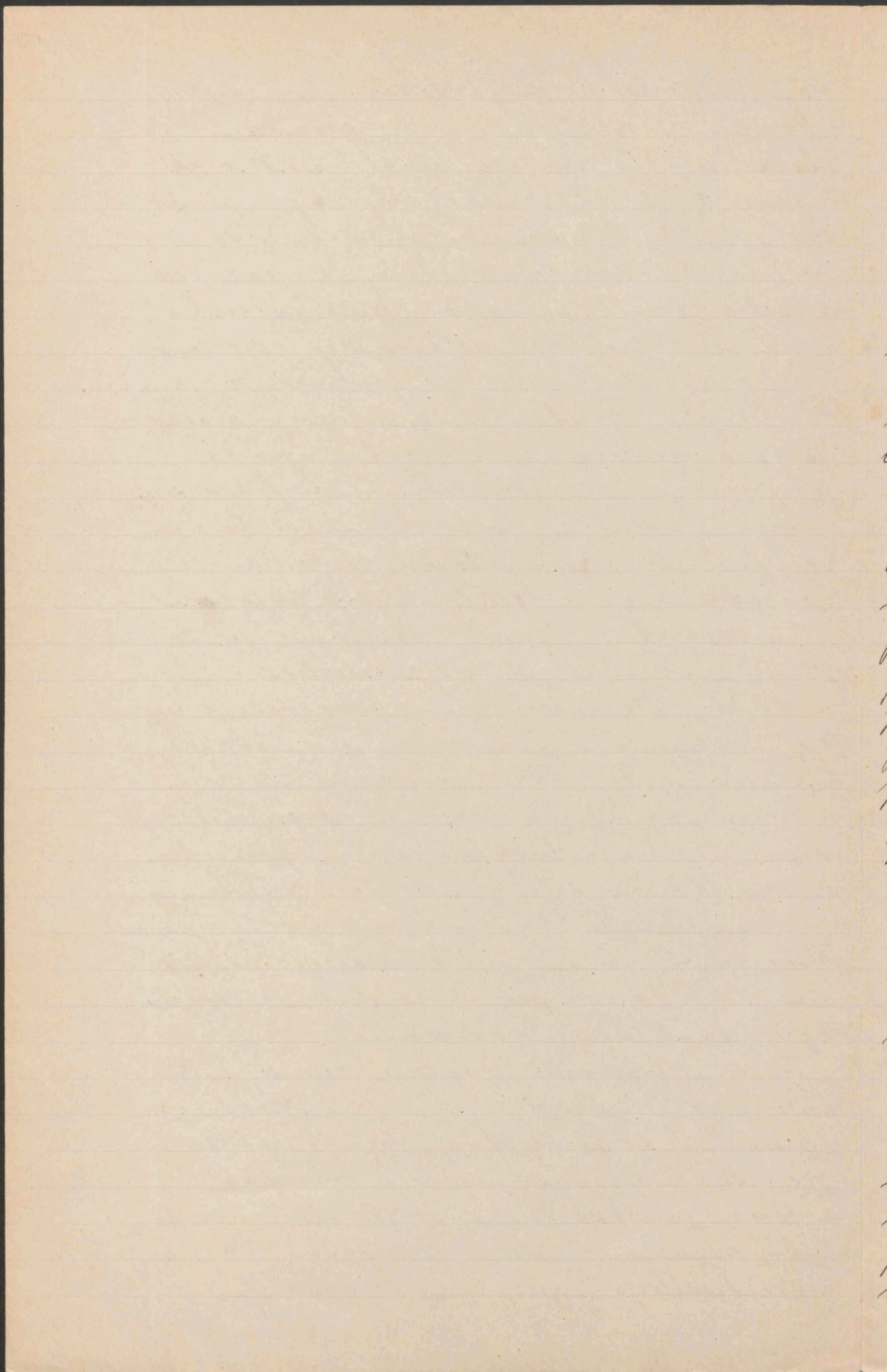

pierwszych: dziś wyda się ona ciężkiem nadto kolisersyjną i wyszukaną. —
Sienkiewicz, jak mówiłem, szuka efektu w innych stronach duszy i talentu. — Czuje się przytem tak zupełnym panem języka, że nadaje czasem wyrazom nowe znaczenie, tworzy słowa, jak „chwiejba" okrętu na morzu, albo „kwiśniowica". — Wszystko mu się staje obrazem. — Tam gdzie używając utartych wyrażeń, nie czujemy już porównania, on je odświeża i rozszerza po swojemu. — Więc kiedy np. ogół mówi: „płynę stąd tędy a tędy szukali," jemu podsuwają się pod pióro obrazowe zwroty, jak: „ze zbyt pospiesznych uogólnień płynę całe rzeki błędów". —
podróżnik w którym coś tkwi z pierwotnego człowieka, czuje silniej, głębiej od nas pierwotną ludzką mowę, zna jeszcze niejako jej źródliska. —
A z drugiej strony talent serdeczny i ciepły, objawia się najszczerszym, kiedy potrąci o bliskich, o swoich i dzienne wspomnienia. — Język jego nie jest nigdy tak przejmującym, jak kiedy opisuje wrażenie pieśni muzycznej ze zwrotką „Ave Maria" kaplicznej i nieszpory tam, gdzieś za morzami, albo kiedy w dzień wilii wspomni „o lesie zadrapienieśnim, jasno oświeconych oknach, o radosnych okrzykach dzieci na widok

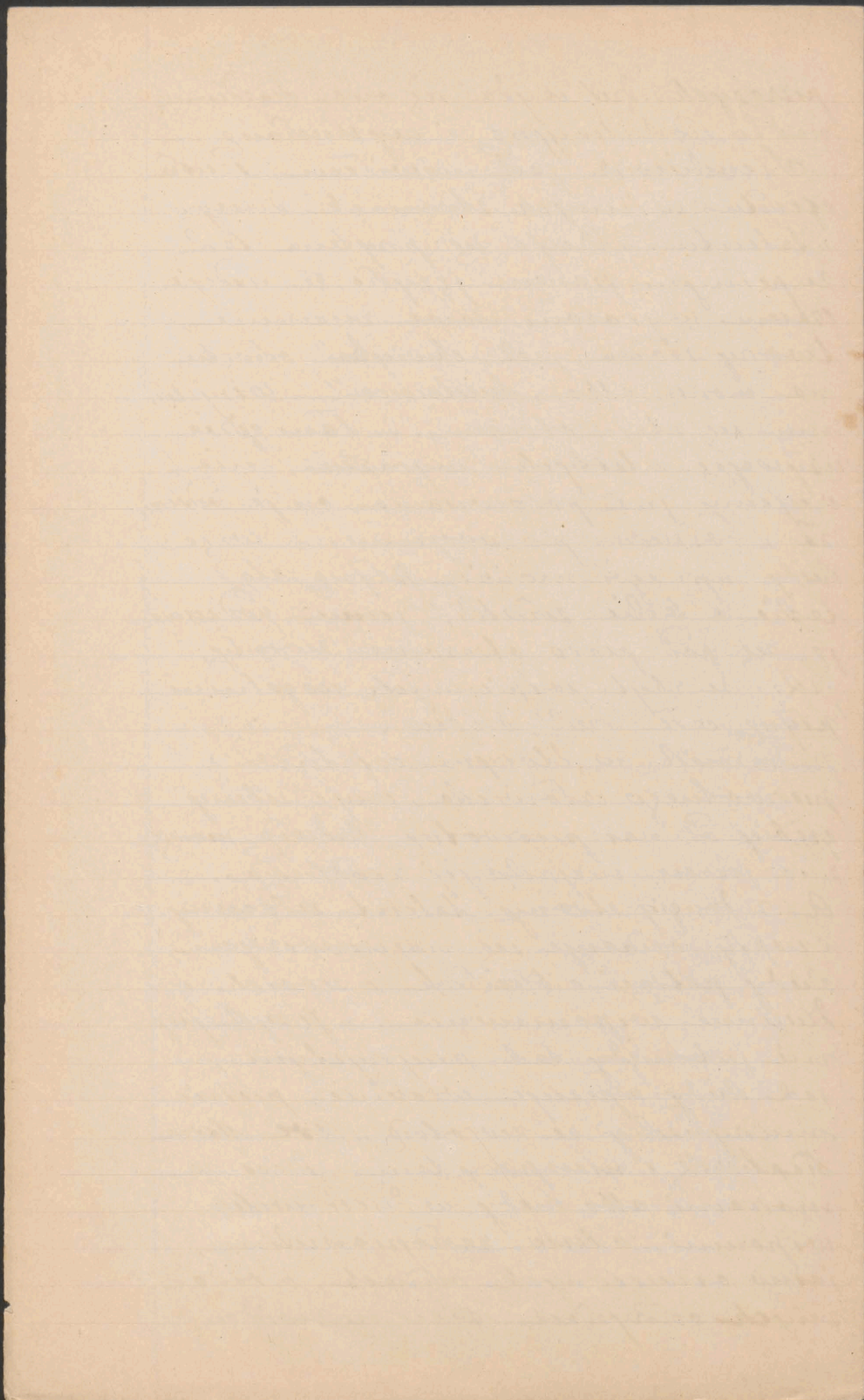

drzewdza." Mówiłem to już raz, przy innej sposobności, im szlachetniejszy temat obiera ten pisarz, tem większym jest pisarzem. –

IV.

Maurycy Barrès, autor francuski, nie tyle zrozumiały, co głośny, drukował przed półrokiem artykuł w „paryskim Figaro," gdzie zastanawiał się nad potrzebą zapoznania Francyi z większą ilością obcych pisarzy i poetów. – Końcowy ustęp wywodu porównywającego zagraniczną literaturę do gwiazd dalekich i mało znanych, uderzył mnie wtenczas różnością swego zapatrywania i artystycznej natury ze stronnicą zapamiętaną wśród „Listów z Afryki."

Na zakończenie uwag, które mi owe nastręczyły, ~~[illegible]~~ przytoczę dwa, te tak odmienne zdania, przytoczę je całkowicie, a już bez komentarza:

„Kiedy podróżnik przebył równik – pisze Barrès – i nowe gwiazdy noc rozświecą, budzi się w nim na pokładzie parowca, jakaś melancholia, upojenie serdeczne, których mu noce Europy oddawna nie umiały dostarczyć. – Czyż mamy dlatego twierdzić, że owe niebiosa są bardziej tajemnicze, niż po nad Montmartre?

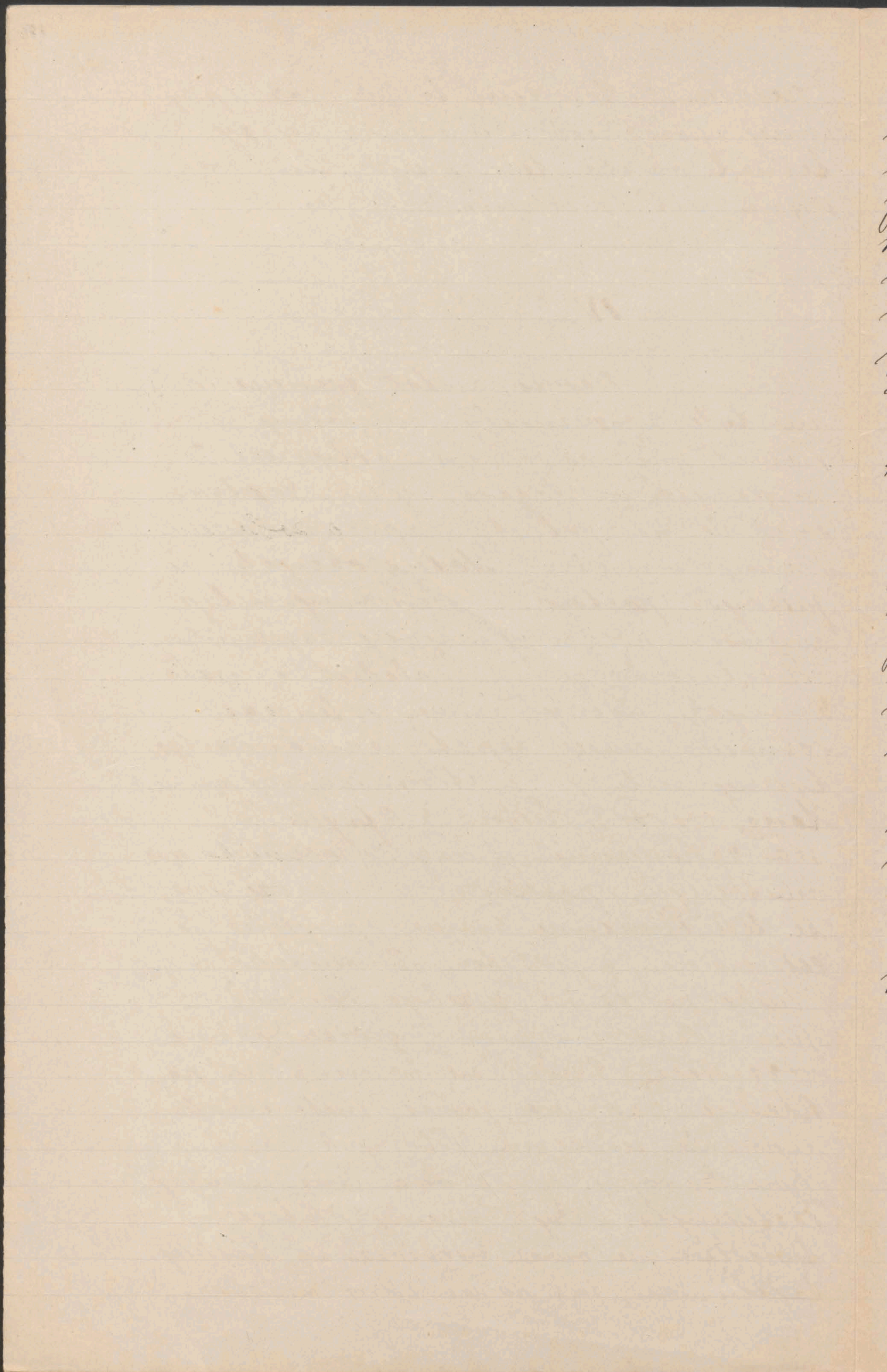

Nowe te gwiazdy zlewają na niego te same blaski i te same smutki, które nam rozpościerają nasze nad Paryżem. — A jednak powie on szczerze: „Tam to, tam daleko, noc mówiła do mnie lepiéj i powtórzyła mi to, co mi nasze gwiazdy nie przestały prawić, ale mnie już nie umiały skłonić do słuchania". 1/

Sienkiewicz zaś pisze:
„Nie przypuszczałem jednéj rzeczy: że może istnieć nostalgia do gwiazd. Długie lata marzyłem o zobaczeniu Południowego Krzyża, aż gdy mi go którejś nocy pokazano, stało mi się jakoś dziwnie i nieswojo. — Chciałoby się zapytać tych gwiazd: co wyście za jedne? Ani ja was znam, ani wy mnie, a z tamtemi żyłem się od dzieciństwa. — Człowiek podziwia te nowe, świetne, błyszczące hen! w ciemnych przepaściach nieba, ale po chwili ogląda się za siebie, czy nie zobaczy jeszcze starych przyjaciół — a gdy ich nie dojrzy, to mu i tęskno."

R. M. Górski

1/ „Figaro" z 4. Lipca 1892.

Czas z Czwartku 21 Czerwca 1894 r.

Przegląd Literacki.

Pisma Henryka Sienkiewicza. Tom XX: „Wyrok Zeusa." – „Z wrażeń włoskich." – „Organista z Ponikły." – „U źródła." – „Lux in tenebris lucet." – „Bądź błogosławiona." – „Pójdźmy za nim." – „Listy o Zoli" – U Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1894 r. –

II

Ten dwudziesty tom pism, wydany przed kilku miesiącami nakładem pp. Gebethnera i Wolffa, jest w istocie dwudziestym piątym tomem dzieł Henryka Sienkiewicza. – Nie liczę pierwszych młodzieńczych prób, na których przedruk sam autor może by dziś nie pozwolił, nie wspominam więc „Humoresek z teki Worszyłły," ani powiastki „Na marne," jakkolwiek się ona w Niemczech cieszy stałem powodzeniem. – Nie jest też moim zamiarem zwracać tu uwagę naszych firm księgarskich na „Mięszaniny literacko-artystyczne," rozrzucone po dawnych, bardzo dawnych rocznikach Niwy. Nie wiem czyby warto dziś było zebrać w tomik te krótkie luźne recenzye, w których nas przedewszystkiem zaciekawia osobistość samego

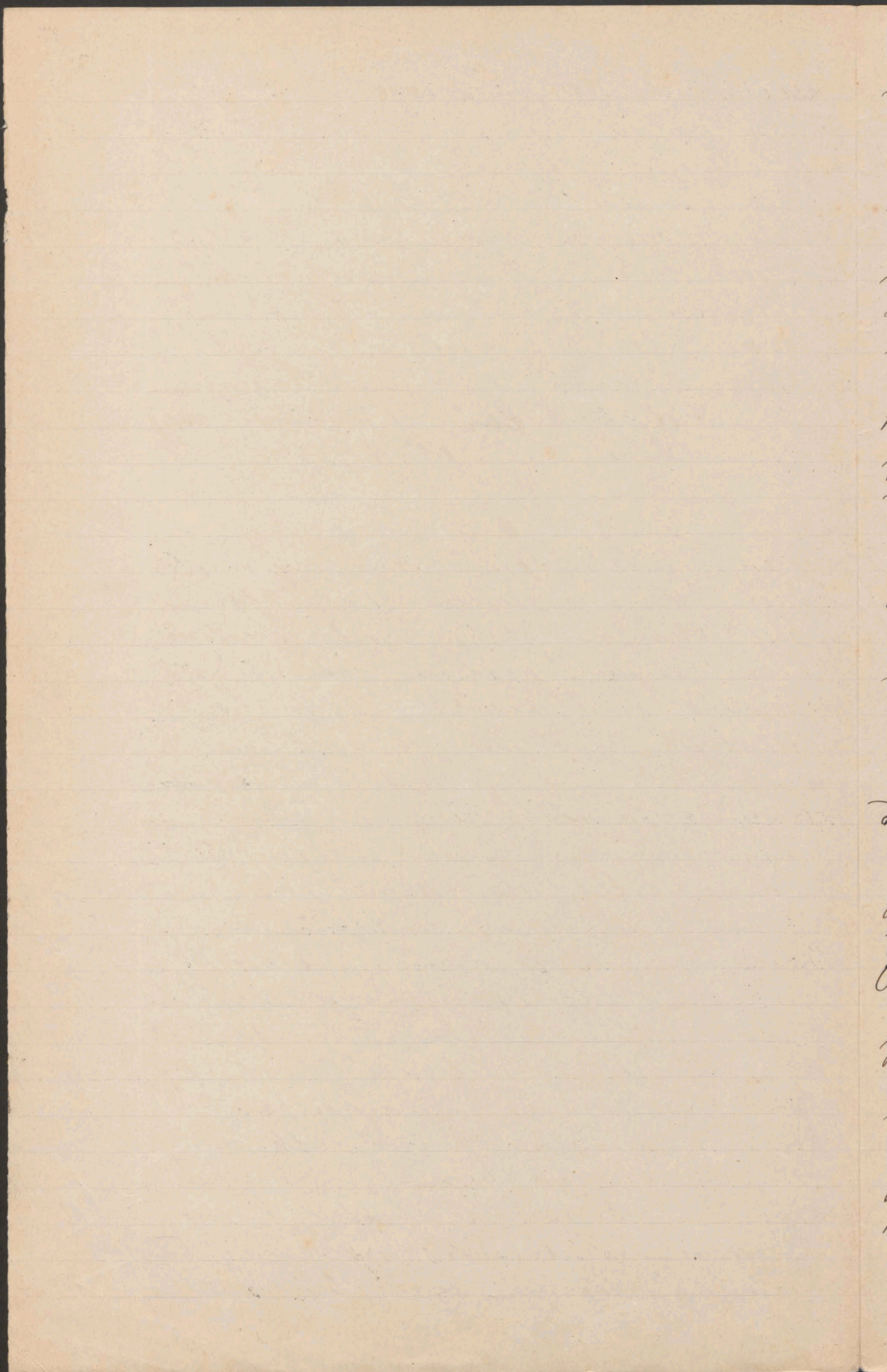

recenzenta, krytyki egotyczne, pełne nawpół wypowiedzianych zwierzeń, sprawozdania, pisane przez poetę-lirykiem tylko, bo sam je świeżo odczytałem, że przyjaciół oryginalnego piśmiennictwa mogą zachęcić do ponownego przejrzenia tych osobliwszych odcinków. — Jest sam artykuł o pewnej czeskiej noweli, gdzie wszystkie konwalie i dzwonki w borze pochylają się ku sobie, szemrzą i rozbrzmiewają cicho wyrazami: „Sława, sława!" — aż cały bór i świat tą pieśń kwietnych kielichów powtórzył. — Są ślady dzieł dzieł już zapomnianych i słabych, nie świecących same przez się, ale odkreślonych konturem zdobiącym, w którym je krytyk ustroił. —

Pominęłam sprawozdanie z niezdolnego przekładu Heine'owskich pieśni, artykuł, gdzie dopiero prozaik bierze poetę w obronę i daje go nam lepiej poznać od rymującego tłomacza. Pominęłam dużo słów serdecznych i odczutych. — Ale niech moi czytelnicy przekonają się o tem sami. —

Pomijam więc na razie „Mięszaniny", które tylko dzieła, osobno w książce wydane. — Do trzydziestu tomów pp. Gebethnera i Wolffa dodaję trzy tomy „Bez dogmatu", dwa „Listów z Afryki" i otrzymuję w ten sposób cyfrę trzydziestu pięciu dla drobnego tomiku, i których

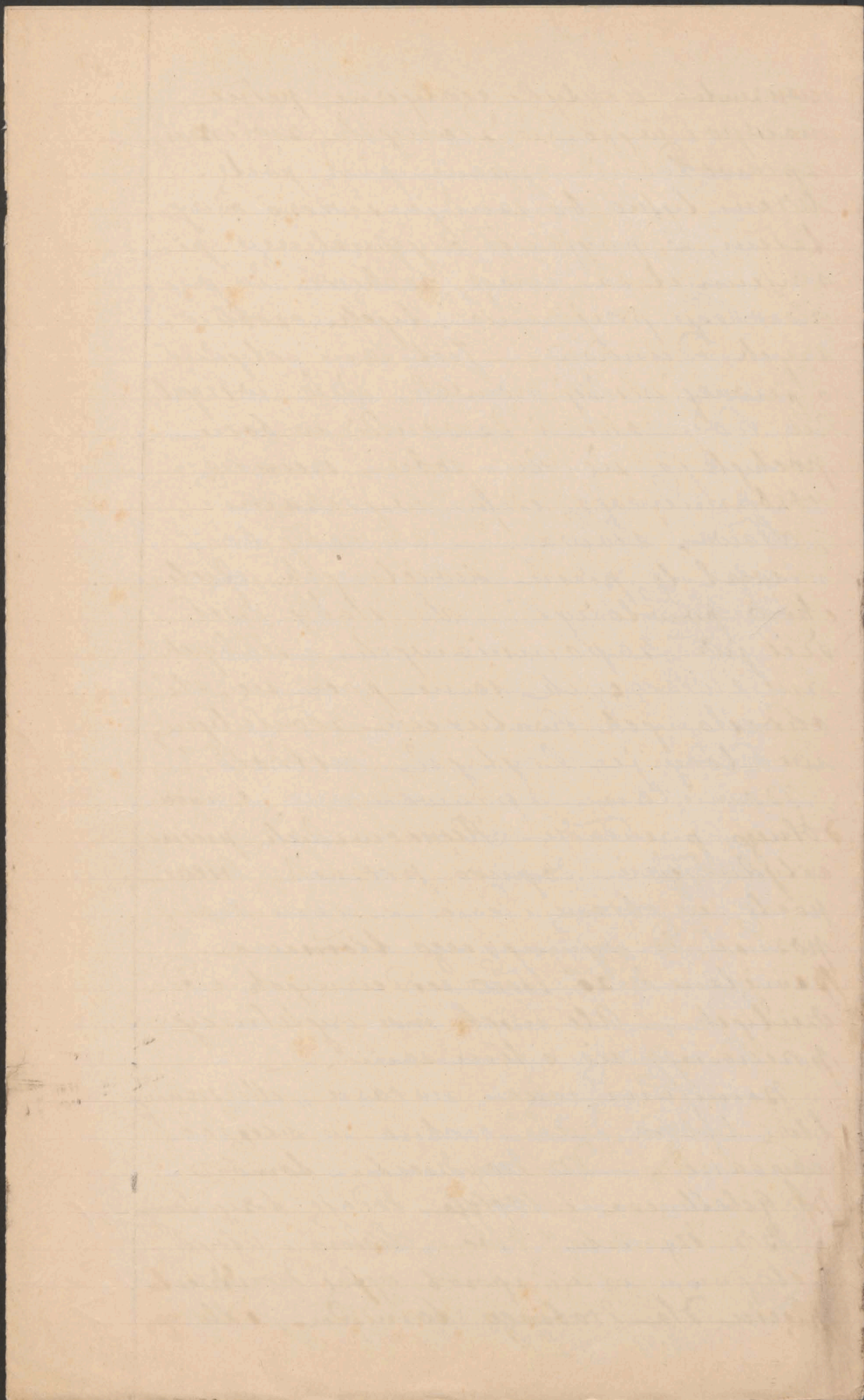

mówić zamierzam. —
Od piętnastu do dwudziestu lat literac-
kiej działalności i dwadzieścia pięć
tomów, napisanych — podnoszę w tej
chwili to tylko — najpiękniejszym
językiem, na jaki się nasi, współ-
cześni nam pisarze zdobyli. —
Dwadzieścia pięć tomów prozy mi-
strzowskiej, a wzorowej zarazem,
bo i śmiałej, osobistej i prostej. —
Dwadzieścia pięć dobrych książek,
posłanych w świat i powitanych
nietylko z podziwem, ale i z wdzię-
cznością, książek, gdzie są karty
szczęśliwsze lub mniej szczere, ale
~~niekształcić~~ niema ani jednej, gdzie-
by nie błysnął humor, szlache-
tność, urok, myśl jakaś krzepią-
ca, podniosłe jakieś uczucie.
Inny pisarz, byłby może powiedział,
że ten ostatni tom jest jubileuszo-
wym. — Ale Sienkiewicz patrzy
tylko w przyszłość, dba więcej
o dzieła, które napisze, niż o te, co
na domowych naszych półkach
leżą i odnawia swój talent, szuka-
jąc, może bezwiednie, nowych
zadań, tematów i kierunków. —
Świadczy o tem nietylko
„Rodzina Połanieckich", świadczy
o tem i tom dwudziesty piąty. —
Ktokolwiek umie czytać, zżyć
się z książkami, na tego patrzy z jej
stronic twarz pisarza, jakaś twarz

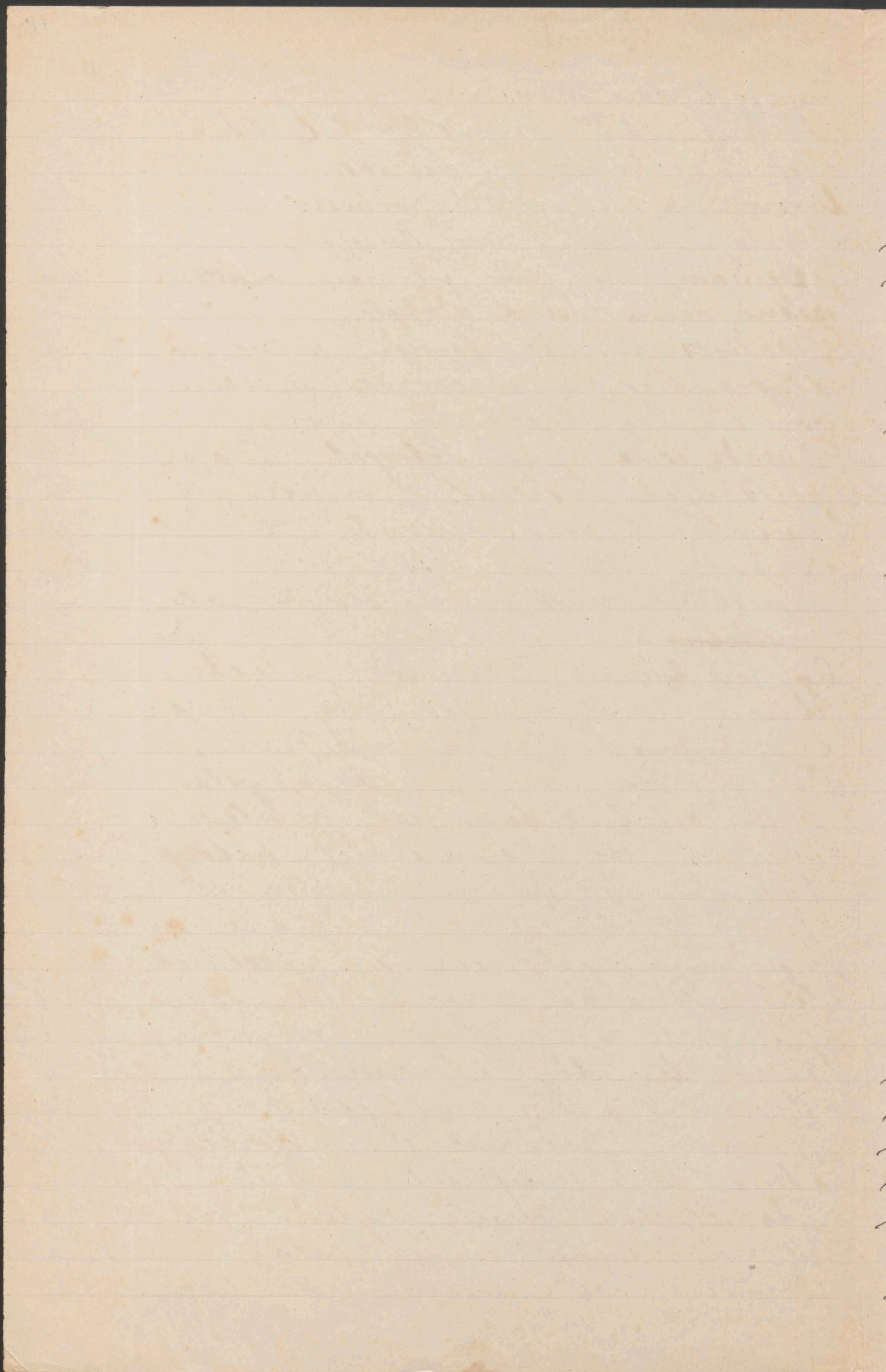

nie materyalna, ale żywa. — Otóż fizyognomia Sienkiewicza, jak ją z ostatniego tomu poznajemy, jest nieco odmienna od dawnej; niemal nowa. — Jeden rys, dotąd mniej wybitny, chcę tu z góry zaznaczyć. —
Są ludzie, którzy rzucają książkę po przeczytaniu, jak wypiwszy wino, zostawia się butelkę na stole. — Są inni, którzy przywykli czytać z ołówkiem w ręku, zakreślać ustęp, jeżeli ich uderzy. — Potem w godzinach spokoju, w chwilach, kiedy się potrzebuje podniety z zewnątrz i szuka dostrojenia się, współczucia w rzeczy tak naporów obcej i nad swej, jak książka, wracają oni do zaznaczonych ustępów, do odnaleźnych myśli, zrozumialszych dla nich samych, odkąd im pisarz dał wyraz; do własnych uczuć, silniejszych i naturalniejszych odkąd je w słowach cudzych odnaleźli. — Bo czasem zdaje się nam, zwyczajnym czytelnikom, że świat nasz wewnętrzny nie różni się wcale od widnokręgów niezwykłych nawet pisarzy i schlebiamy sobie ufając, żeśmy tylko mniej śmieli, mniej wyżsi od myślicieli i poetów, że jakiś wewnętrzny brak odwagi nie dał nam sformułować wrażeń

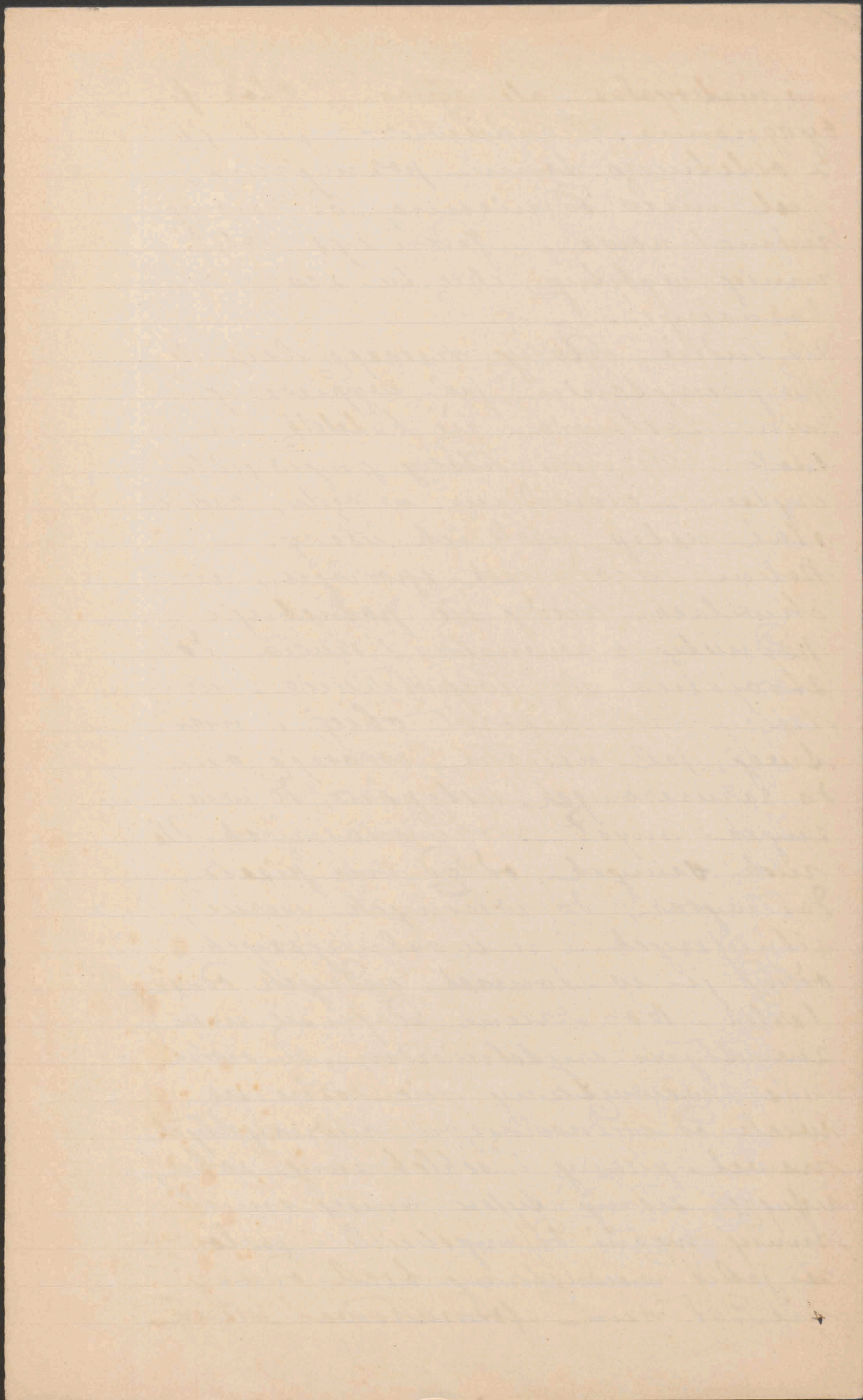

I w tem poczuciu jest pewno wielka część prawdy. – Ale kiedy to uświadamianie wydaje się nam śmiałością, dla tamtych ludzi jest ono potrzebą; oni nie domyślają się nawet, jak bardzo są odważni i nowi. – Muszą według słowa Mickiewicza „snuć miłość, jak jedwabnik swoją przędzę snuje." I tem się od nas całkowicie różnią; po tem poznajemy ich odrazu; dlatego stawiamy ich wysoko nad poziom ogólny. –
Na kartkach ich książek odnajdziemy ~~tak~~ nie ślady odświętnych, przypadkowych, głębszych wnikań w życie, lub poczuć wytworniejszych, ale całe żniwo myśli, wrażeń, nastrojów, umiejętnie zapisanych, bo zgłębionych. – I my zostawiamy coś na tych stronnicach. –
Jedni suszą tam kwiaty, drudzy przechowywują wspomnienia. – W żadnym tomie dzieł Sienkiewicza nie złożą ludzie tyle osobistych wrażeń, tyle cząsteczek swej duszy, nigdzie ich po latach, tyle nie odnajdą, co w tym ostatnim, najnowszym. –
Jest zapewne w trzech tomach „Bez dogmatu" więcej, niż kiedykolwiek, spostrzeżeń trafnych, ciętych, zwięzłe i misternie powiedzianych, jest dużo słów innych jeżeli nie zawsze do dna pogłębionych

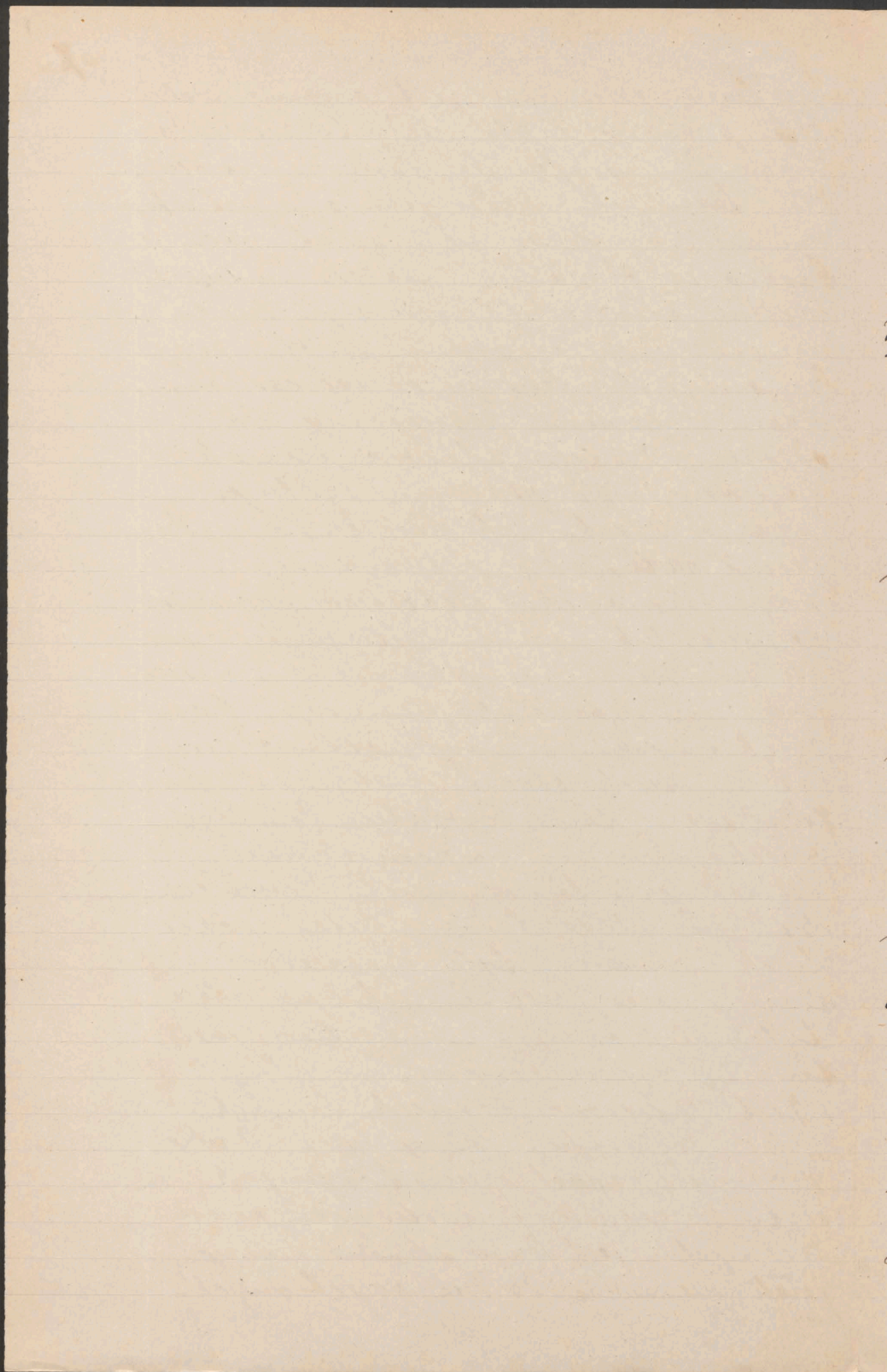

to opisanych ze sztuką niezrównaną dotąd w literaturze naszej. — Bo u nas psychologia powieściopisarzy wydaje się nieco zacofaną w obec bohaterskiego liryzmu i malowniczości poetów. Ktoby więc w najnowszem naszem piśmiennictwie chciał szukać aforyzmów, katalogować charaktery i głębokie osób, krajobrazy, ktoby w tym celu zbierał definicje ludzi, aby je potem do bliźnich stosować, ten niechaj wertuje dziennik Tłoszowskiego. Ale kto mniej złośliwy i samolubny, chce sobie do własnego użytku taką bibliotekę zgromadzić, aby mógł w każdej chwili wziąść książkę z półek i odnaleść w niej od razu coś, co go wprawi w zadumę lub w zapomnienie życia, stronnicę, która podtrzepi powagę i piękności nastroi, pozwoli mu wyjść z otaczających stosunków i wejść natomiast w siebie, to jest w tego lepszego człowieka, którego chwilami we wnętrzu swojem czujemy, ten niechaj pilnie chowa „U źródła,” „Lux in tenebris” i „Pójdźmy za nim,” niechaj zostawia na stronnicach książki, ślady swego czytania, znaki, kreślone ołówkiem, albo swą całą pamięć, albo przynajmniej zakładki i pamiątki. —

Zdaje się, że nowy człowiek obudził

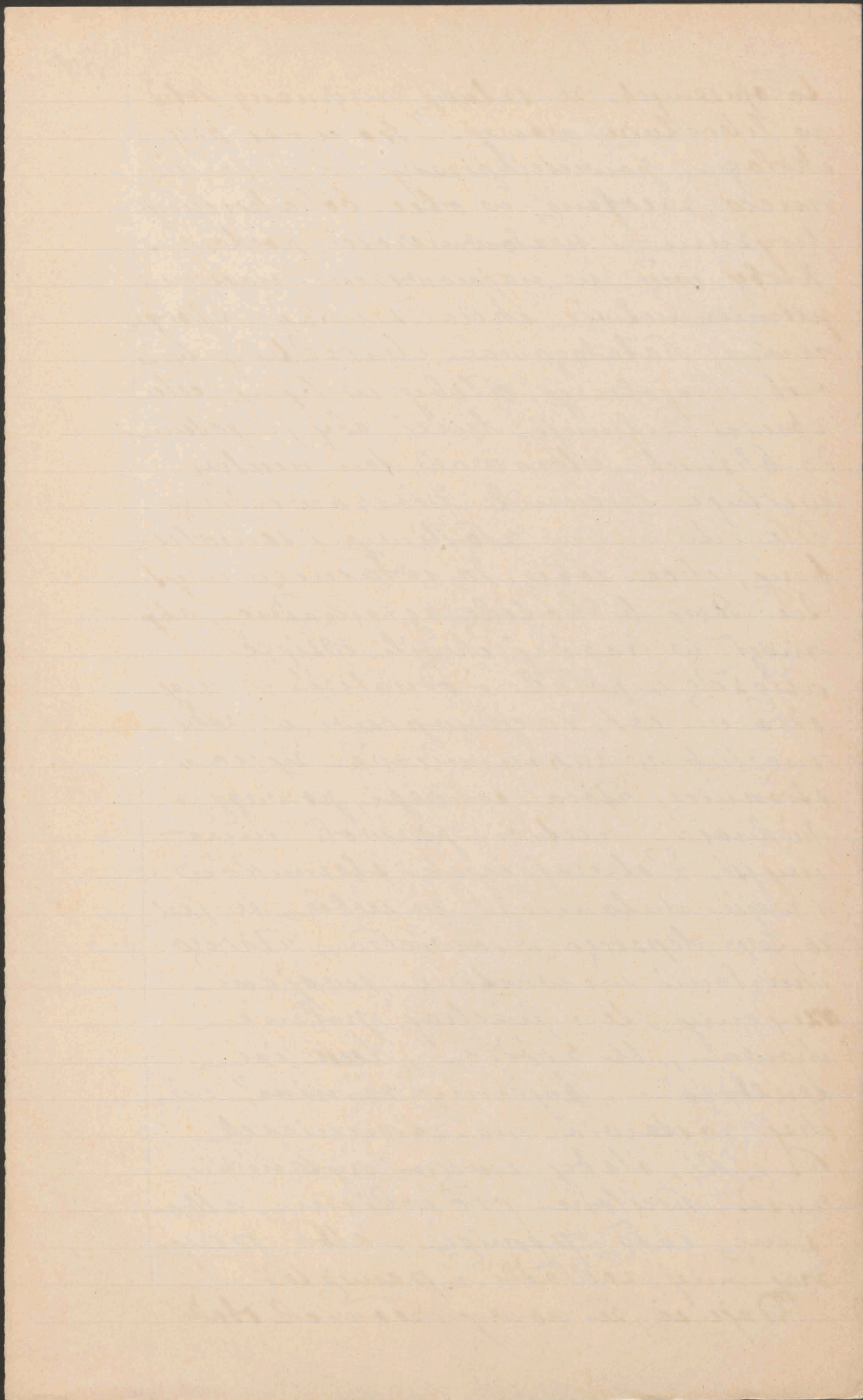

się od niedawna w Sienkiewiczu. – Być może, iż chwilowo odstrychnie się od niego dusza tłumu, która lubi się trzymać znanych dróg i kierunków; sądzę jednak, że pojedyncze i szybko powrócą do niego z tłumu wszystkie dusze. – A o nie tylko chodzi!
Bo odezwał się w Sienkiewiczu, obok artysty – głębszy ogólniejszy obserwator, a zwłaszcza obok epika – poeta liryczny. – Nie będę nad tem ubolewał, jakkolwiek doskonale oceniam usprawiedliwioną do niedawna skargę na zbytnią podniosłowość naszej „literatury pięknej". Ale dziś nie o to chodzi, jakie będzie poezya i chodzi o to, czy będzie i marzy się mi się, że społeczeństwa znużone – nie realizmem Zoli, ale jego karykaturą, nie malowniczością Lottiego, ale katalogami farb malarskich, nie „werzmem" i głębokością Ibsena, ale dziwactwem jego naśladowców, że społeczeństwa znienawidzą poezyę, która rozprawia i mędrkuje, chce malować, a nie odczuwa, archaizuje, lecz nie daje wrażeń, że się natomiast zwrócą do tego, czem poezya była z początku, czem jest w najgłębszej swej istocie, do wzlotu prostych, osobliwych wyrazów, do wewnętrznej melodyi, do pieśni. – Sądzę, że jeżeli poezya znajdzie jeszcze w przyszłości słuchaczy, będą oni powtarzali poetom słowo

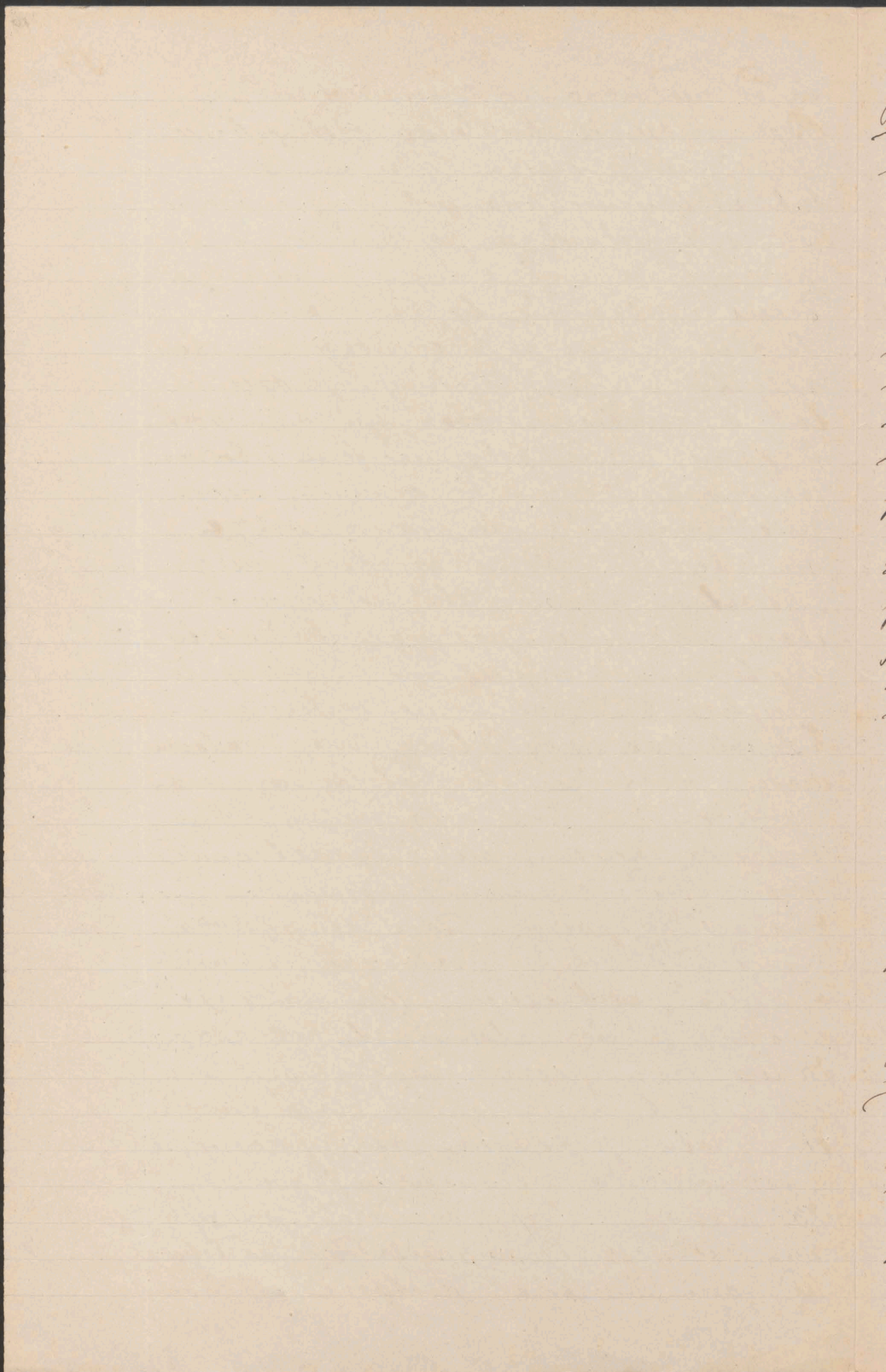

Pawła Verlaine'a, którego zbyt sur-
marycznym wyrokiem zaliczono do
niezrozumiałych dziwadeł:
De la musique encore et toujours!

I niech się nikt, ze stanowiska
społecznego, nie obawia podmiotowości Sienkiewicza. — Jest to liryzm
męski, pogłębiony znajomością życia,
myśleniem poparty, dotychczas
może nawet nieświadomy; liryzm
pisarza, który wiele drogami chodził,
wiele rzeczy zgłębił, dużo goryczy poznał, dużo błahostek wyśmiał, a
potem ujrzał, że dla człowieka,
jak on, niemasz, jak to zadanie:
ponad sprawami ludzkiemi „snuć
miłość," jak jedwabnik przędzie
swoje snuje. —

— — —

IV

Czy potrzeba cytatami dowodzić prawdy słów moich o częstszych, niż
dotychczas, Sienkiewiczowskich
zdaniach ogólnych, postrzeżeniach
głębokich i mimo swego idealizmu
tak prawdziwych, o nastrojach
duchowych, zanotowanych ręką
jeszcze swobodniejszą i szczerszą, niż
najtrafniejsze uwagi Płoszowskiego?
Pisząc o dziele Sienkiewicza, choćby
bardzo drobnem, ma się zawsze uczucie, że mówi się o utworze znanym,

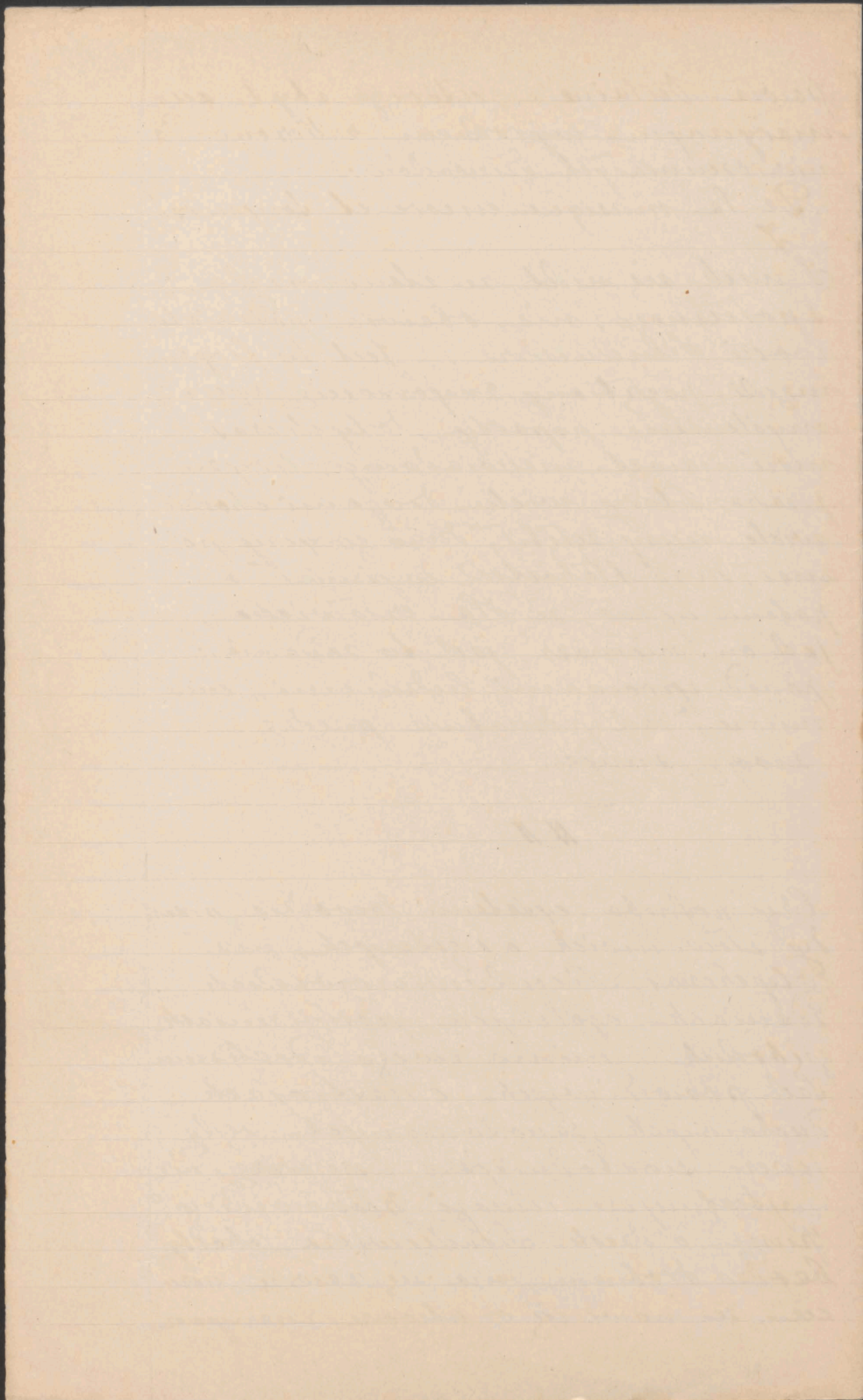

żyjącym w ogólnej pamięci. – Każde słowo, które się rzuca, jest wtedy podobne do kamienia, ciśniętego w stado tych wróbli, które się zimą kupią koło zabudowań – na jeden raz podnosi się odrazu skrzydlata gromada wspomnień. – Ale tym razem wolałbym mówić wyłącznie do takich, co raz i drugi odczytali nowele, zawarte w niniejszym tomiku. – Bo drugą jego odmienną charakterystyczną cechę, jest niezwykłość pomysłów, kompozycya powiastki, misterniejsza niż dotychczas, czasami sztuczna, czasem niemożliwa. – Zdarza się, że nowela nie posiada żadnego węzła, żadnej akcyi, niemal nawet treści, jak np. ów „Organista z Ponikły" – mojem zdaniem najmniej udatny utwór w tym zbiorze: dzieje człowieka, który w dniu, kiedy mu wreszcie miłość, szczęście, zajrzały w oczy, idzie łąkami, rozmarzony, trochę podochocony, idzie po śniegu, oddany muzyce i radości, a że mróz jest ostry, że los biednemu artyście nie sprzyja, zamiera (ra) z zimna przy gwiazdach. –

Prostotę treści, większym zwykle sentymentem, obrazkami ludowego życia i humoru, jakąś rozlaną po całym obrazku głuchą litością dla

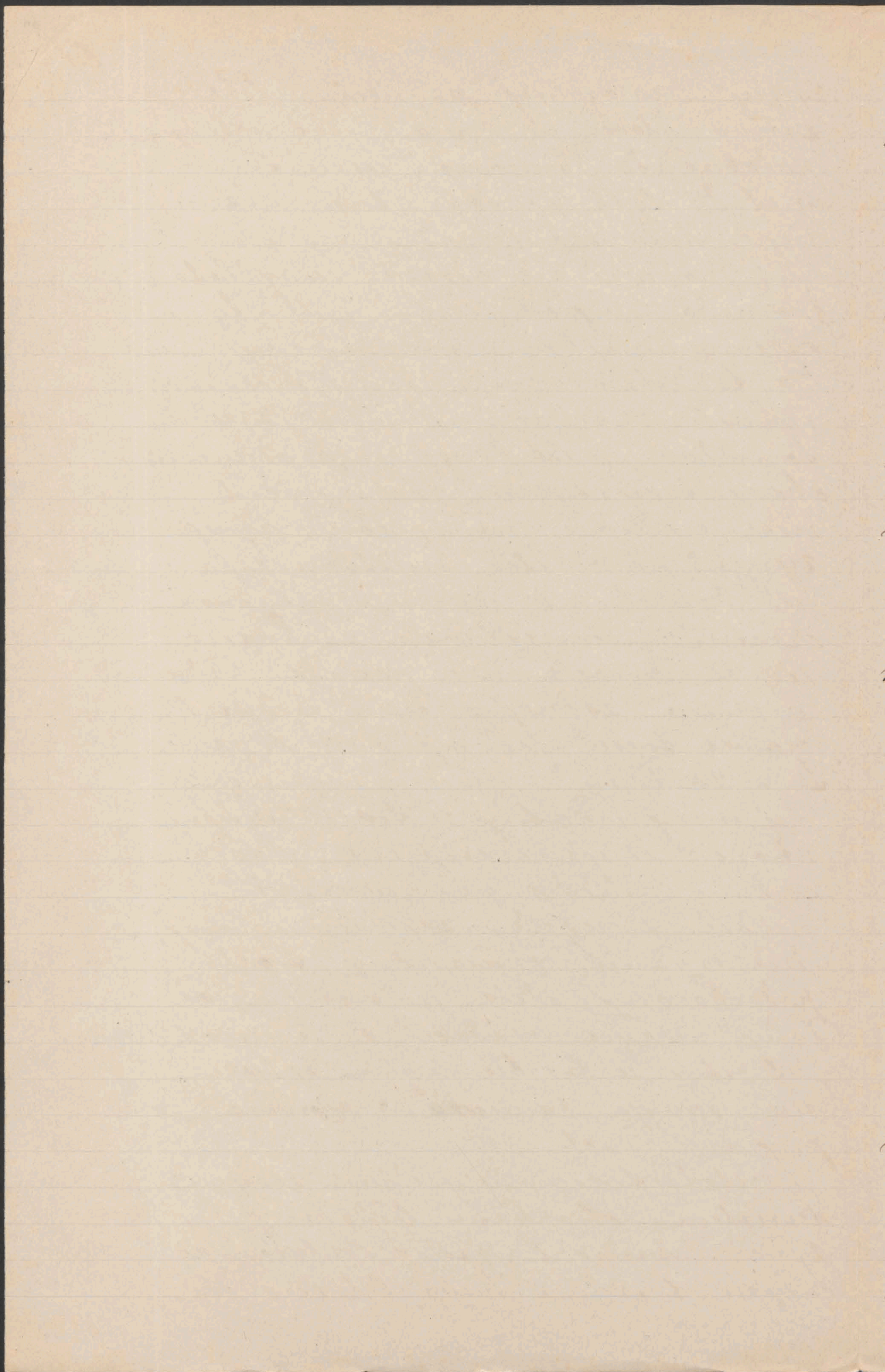

maluczkich i biednych przypomina „Organista" wczesne nowele autora i mimowoli przychodzi na myśl „Janioł". — Wydaje mi się jednak, że w porównaniu do takich dawnych powiastek, jest ta ostatnia mniej prosta i mniej bezpośrednia. Po pierwszem przeczytaniu, wydało mi się nawet, że oto jedyne dzieło Sienkiewicza, któreby od biedy mógł był kto inny napisać. Zapomniałem wtedy — pod ogólnem wrażeniem — i o sylwetce „chudziaka o długich nogach", czerniącej się na śniegu, i o opisie gry na organach, o oddaniu wrażenia, które ona wywiera na lud zebrany w kościele, na księdza Kanonika i samego pana Klenia, organistę, nie wziąłem w rachubę jednej z tych stronic, które sobie wypada zakreślić i spamiętać. — Czasami jest znów cała nowela obliczona na jedno zdanie końcowe, na to, co Francuzi w swym języku, a Niemcy z francuska zowią <u>pointe</u>, a co mi pewien wielki polski pisarz radził nazwać „końcówką". Kiedy się doczytało ostatnich wyrazów „Wyroku Zeusa", ginął zupełnie czarowny opis wieczoru i nocy ateńskiej. — A jednak, jaki to opis! „Białe marmury Propyleów, Partenonu, i Erechtejonu

wydawały się różowe i tak lekkie, jakby kamień stracił wszelką wagę lub jakby był sennem zjawiskiem. Ostrze włóczni olbrzymiej Ateny Promachos płonęło w zorzy, niby zapalona nad Akropolią pochodnia. Na niebie wisiało się na rozpostartych skrzydłach kilka jastrzębi, które leciały na nocleg do gniazd ukrytych w skałach."
Podkreślam, przepisując, te słowa, które ~~przy wysłuchaniu wszystkiem~~ mi się wydają najpiękniej dobranemi, słowa, które przy głośnem czytaniu trzebaby akcentem, tonem uwydatnić. — Cały ten tom, jest pełny ustępów, które się proszą o głośne czytanie — a czegóż to jest dowodem, jeśli nie liryzmu?
Gdyby sztuka głośnego czytania kwitnęła u nas, jak kwitnie we Francyi i Niemczech, nie zdziwiłbym się, gdyby jaki polski Legouvé dodał do swego repertuaru, złożonego z dzieł wierszowanych — także prozaiczne utwory, jak humorystyczny poemacik „Wyrok Zeusa" albo ów mistrzowski madrygał, noszący tytuł: „Bądź błogosławiona!" —
„Lecz mrok nie trwał długo — mówi dalej Sienkiewicz. — Wkrótce z archipelagu wynurzyła się blada Selene i poczęła żeglować,

jak <u>srebrna łódź</u>, po niebieskiem przestworzu. – I znów rozświeciły się marmury na Akropolu, tylko świeciły teraz jasnozielonem światłem i były jeszcze do sennego zjawiska podobniejsze." –

– A jednak wszystkie te i inne, równie cudne obrazy przy pierwszem czytaniu znikają na chwilę w pamięci. – Zostaje w niej zrazu sam żart końcowy, sam wyrok Zeusa:

„– Kobieta cnotliwa, zwłaszcza gdy kocha innego, może oprzeć się Apollinowi... Ale z pewnością i zawsze oprze mu się kobieta głupia"...

Dopiero za powrotem do noweli widzi się, że treści jej nie wypełnia to zdanie, ten „sens nie moralny", jakbym powiedział, gdybym nie miał pretensyi znać się cokolwiek na żarcie. – Dopiero wtedy rozkoszujemy się zupełnie opisem miasta, któremu wozy dowożą <u>beczki</u> jęczmienia, a wodę niosą dziewczyny „z amforami, wspartemi na ramieniu i ręką wzniesioną do góry, smukłe i wdzięczne, do nimf nieśmiertelnych podobne." I wtedy zaczynają także zdania, jak następujące, stanowić dla nas istotną wartość utworu:

„Głos boga poezyi brzmiał tak cudnie, że cud wywołał. Oto wśród ambrozyjskiej nocy zadrgała

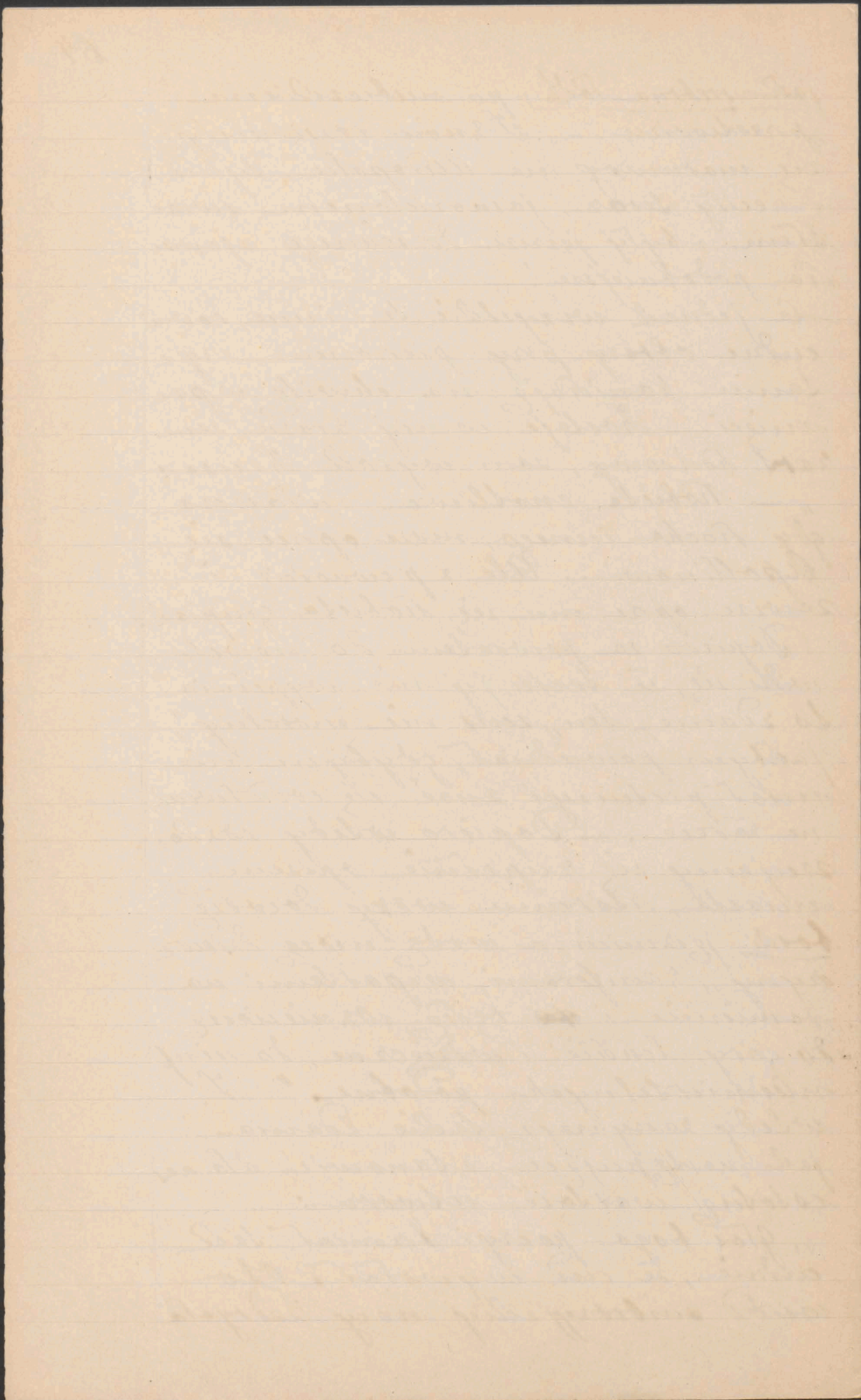

Zboczyła włócznia w ręku stojącej na
Akropolu Ateny i głowa olbrzymiego
posągu zwróciła się nieco ku Pentapolis
by lepiej słuchać słów pieśni...
Morze przestało szumieć i tylko cicho
przy brzegach, nawet blada Selene
przerwała nocną po niebie wędrówkę
i stanęła nad Atenami nieruchoma.
A gdy Apollo skończył, wstał lekki
wiatr i niósł pieśń przez całą Grecję;
gdziekolwiek zaś zasłyszało choć jeden
jej ton dziecko w kolebce, tam z tego
dziecka miał wyrosnąć poeta."
Jakiż? jakąż pieśnią wielki i sławny?
Czy to nie będzie może poeta
liryczny?
Dzieje się coś podobnego z czytelni-
kiem Lux in tenebris. — Nowela
ukazała się w pierwszym zeszycie
odrodzonej Biblioteki Warszawskiej, której
się z biegiem czasu udało drukować
„U źródła", „Bądź błogosławiona"
„Wersi," która nam wreszcie zdołała
dawać co miesiąc po kilka rozdzia-
łów „Połanieckich."
Pewnym jestem, że ktokolwiek rzucił się
na pierwszy różowy zeszyt czasopisma,
na nową pracę Sienkiewicza, ten ją
zazwyczaj odkładał z uczuciem ogrom-
nego zdumienia. — Po realistycznym
opisie pracowni, po beznadziejnym
obrazie życia zużytego artysty,
po owym nastroju dni jesiennych,
gdzie „krople wilgoci spadają wciąż

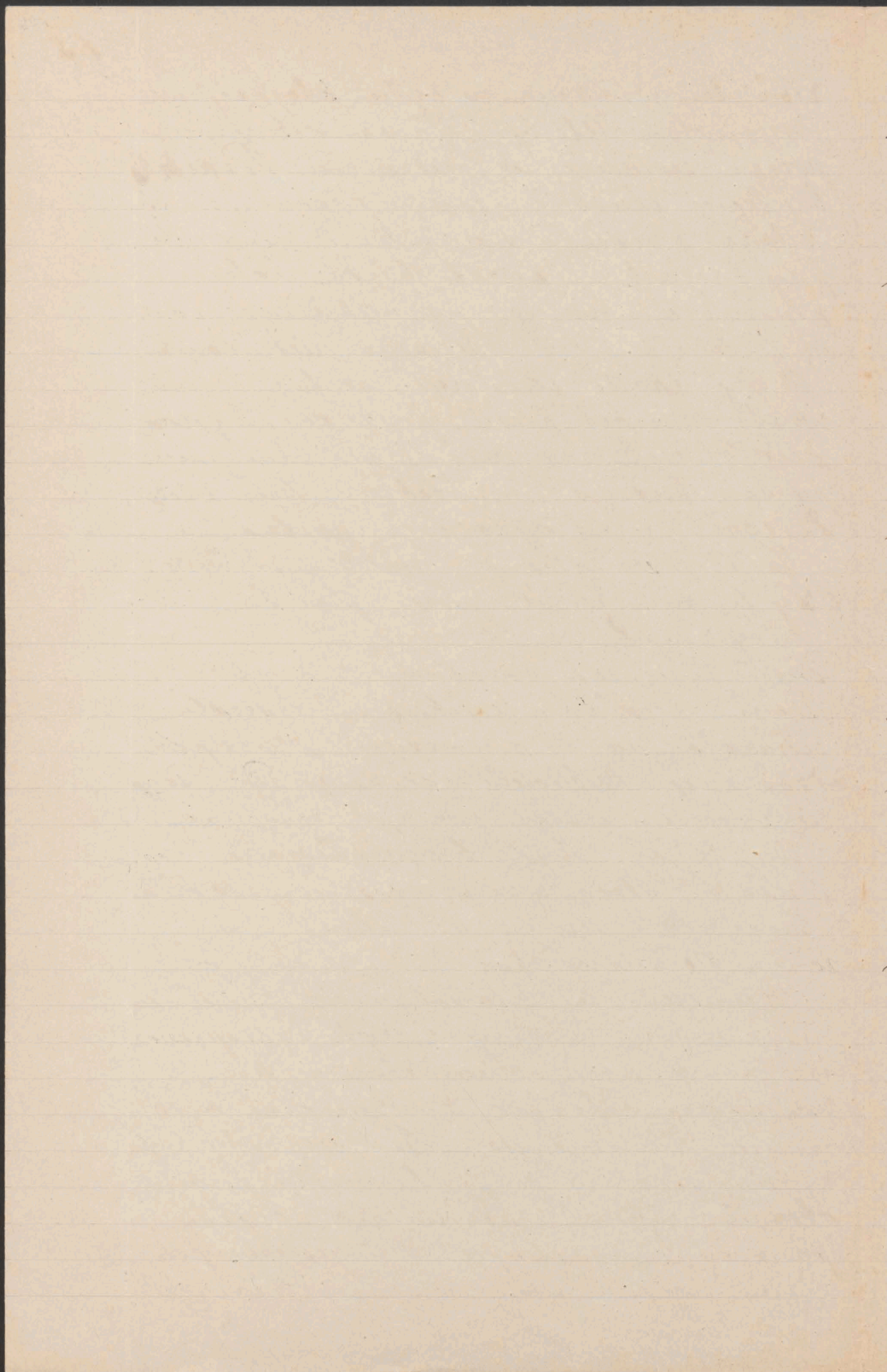

równo i tak posępnie, jakby przez
nie filtrował się mrok i smutek
całej natury" — zjawiały się nagle ja-
sność, blask, światło dni wiecznie
promiennych i kojących. — Doznawa-
liśmy wszyscy jakiegoś olśnienia,
oszołomienia, osobliwszego, słonecznego
udaru. — Ale pisma Sienkiewicza
mają tę moc w sobie, że się do nich
powraca, bo chce się znowu doznać
silnych wrażeń, jeszcze raz przebyć
ten nastrój, jeszcze się przyjrzeć chociaż
tym odcieniom. — Ha, szczegół, szcze-
gół często szablonowany, tak często
nudny i zbyteczny w życiu, obcią-
żający połowiczne, naukowe roz-
wody, szczegół żywy i drgający
w sztuce! Powracało się do Lux
in tenebris, aby jeszcze raz wejść
we mgłę jesienną, usłyszeć deszcz,
dzwoniący w rynnach, „krakanie
wron, które z lasów i pól ścią-
gały już na zimowe leże do
miasta i z wielkim łopotaniem
skrzydeł sadowiły się na nocleg
wśród konarów." Czuło się
wtedy, że cała nędza, rozpisana
na dziesięciu pierwszych stro-
nicach opowiadania, była
potrzebną, aby dać tło do dwóch
kart o świetlności niebiańskiej,
niezbędną, aby całą jasność
innego światła wydobyć.
Inna rzecz z nowelą „U źródła".

Żaden utwór tomiku, prócz powieści „pójdźmy za Nim", nie posiada dla mnie tyle pierwszorzędnych piękności, do żadnego też często nie powrócę. – Mimo to uważam jego kompozycję za nieudatną, wprost wadliwą. Mamy tym razem prawo gniewać się na autora, że bawił się nami; kazał nam przez kilkanaście stronnic wierzyć w rzecz nieprawdopodobną, oszukiwał nas i zwodził. Prawda, że robił to wybornie i że uwierzyliśmy mu zupełnie. Prawda, że nawet nie mógł robić inaczej, ani z odmiennej strony pochwycić tematu, ale pomimo to przedstawił nam szereg scen rzeczywistych i potem, na końcu, oświadczył, że te obrazy były tylko szeregiem gorączkowych urojeń. – W pomyśle samym jest wada, a chociaż Sienkiewicz zakrył kwiatami przepaść, przepaść ta jednak istnieje. – Możemy mu zarzucić, że żadnym niemal rysem nie zaznaczył gorączki, że jego obrazy są nadto realne, a z wyjątkiem kilku drobnych szczegółów, pozbawione cechy chorobliwych widziadeł. Z drugiej znów strony prawda, że kto powieść odczyta, zapomni o fortelu pisarza i żyje w niej tylko

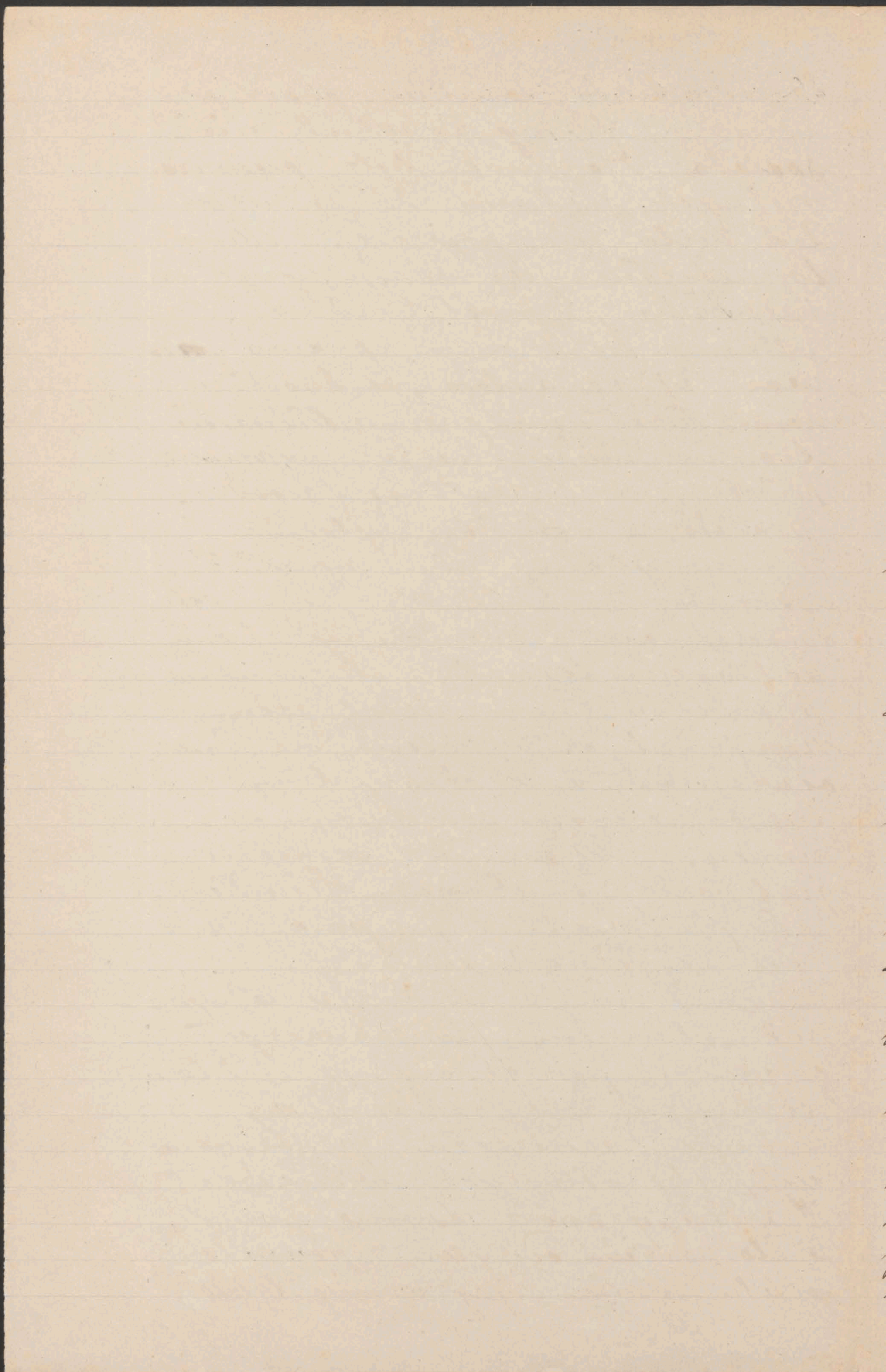

obraz ogromnego szczęścia i hymn na cześć miłości. — Biedny studenta może racyę, kiedy mówi:

„Ze wszystkich źródeł szczęścia, to, z którego piłem w gorączce, jest najczystsze i najprawdziwsze."

„Takie życie, którego miłość, nawet jako sen nie nawiedzi, jest jeszcze gorsze."

Cytuję znowu, cytuję zdania, które mają stałą wartość, nawet kiedy się je wyrwie z toku opowieści. — Miałem dać dowody, że tom zawiera ich dużo. — Niechaj mi wolno będzie jeszcze kilka zapisać, przytoczyć kilka przykładów, jak to Sienkiewicz umie mówić o rzeczach smutnych i o „rzeczach śmiesznych". —

„Wam ludziom, tak zwanym rozsądnym, dość na tem, gdy wynajdziecie puste słowo, czczą nazwę na rzecz, a że sam który brak ścisłej, przez rzecz samą, mniejsza o to. — Egzaltacya! Co mi za pociecha z nazwy, kiedy mi to szczęścia wnętrzności? Co mi pomożecie waszym słownikiem?... Gdy wam zęby wypadną z ust starych szczęk, przestajecie wierzyć w ból zębów. — Według was, reumatyzm, to istotnie coś poważnego; reumatyzm naprawdę boli, ale miłość — to tylko

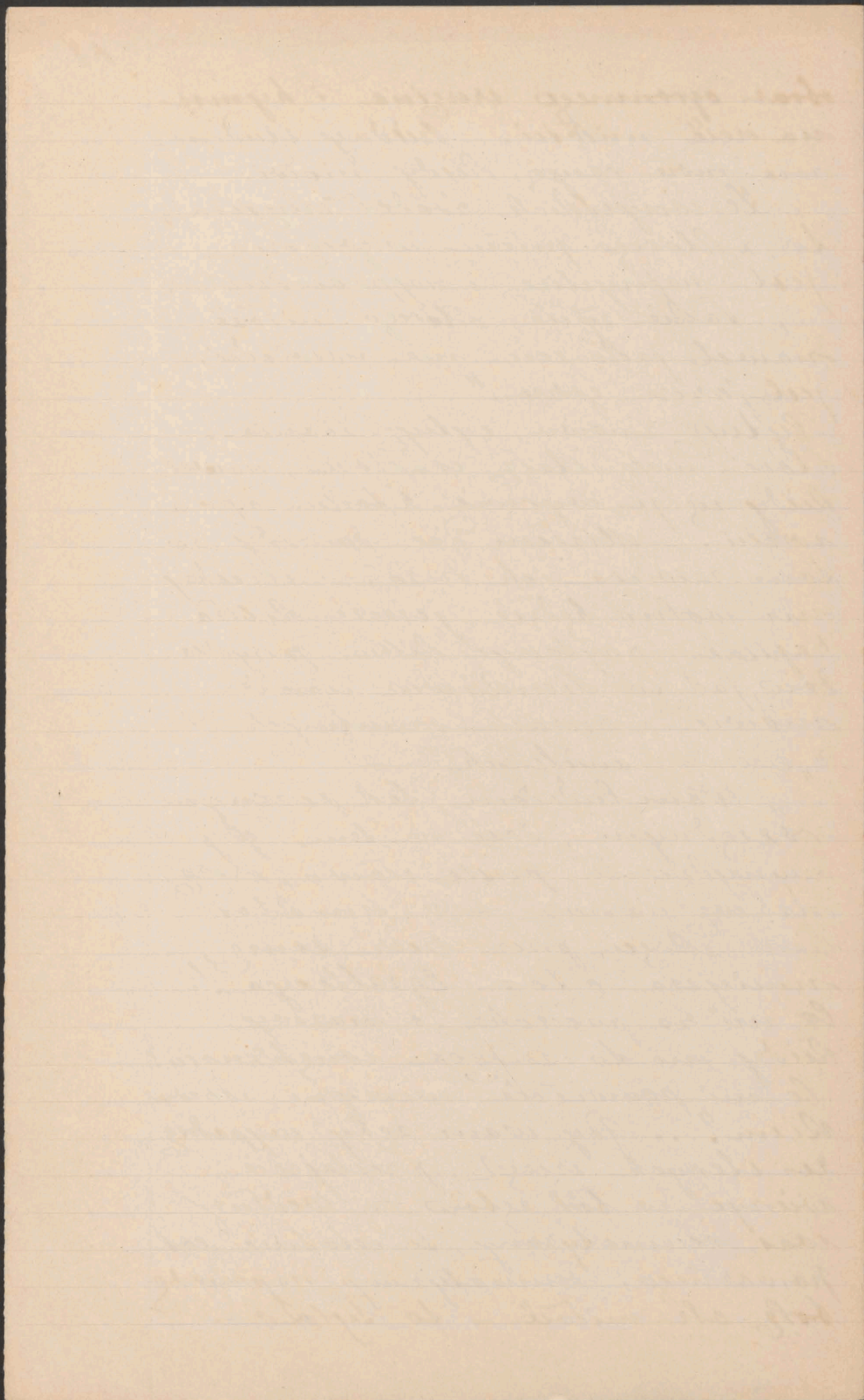

egzaltacya!" —
Nie chciałbym uprzedzać ogól-
nych zdań, ani zabierać głosu
w imieniu przyszłych sędziów,
ale mam ochotę powiedzieć, że
szereg stronnic, z których ten
drobny ustęp wyrywam, zali-
czę kiedyś do najpiękniejszych, naj-
bardziej ważnych myślami, w
całem „dziele" Sienkiewicza. —
Nie wszędzie stwierdza z jego prac
taka bezpośredniość uczucia.
I niech nikogo nie dziwi, jeżeli
podnoszę myśli tak proste, tak
wszystkim w głębi serca znajo-
me. — W tem właśnie odsłania się
naiwna śmiałość pisarza. —
Bo piękna to rzecz mówić do
kilku wybrednych, ale piękniej-
sza tak się odezwać do wszystkich,
ażeby im zadrżały serca, rafino-
wanym zarówno, jak prostacz-
kom. —
Ten sam student umie także
mówić innym językiem i
tonem, zna *pianissimo*, równie
dobrze, jak *forte*. Zrozumiano-
-tak mu się przynajmniej świdó-
jego egzaltacyę, obiecano mu rękę
panny Toli. „Będę bardzo młodym-
pisze on wtedy — i przeszłości mało,
nie miałem zapewne ciężkich
grzechów na sumieniu, ale jak stary
człowiek, nosiłem swoje brzemię

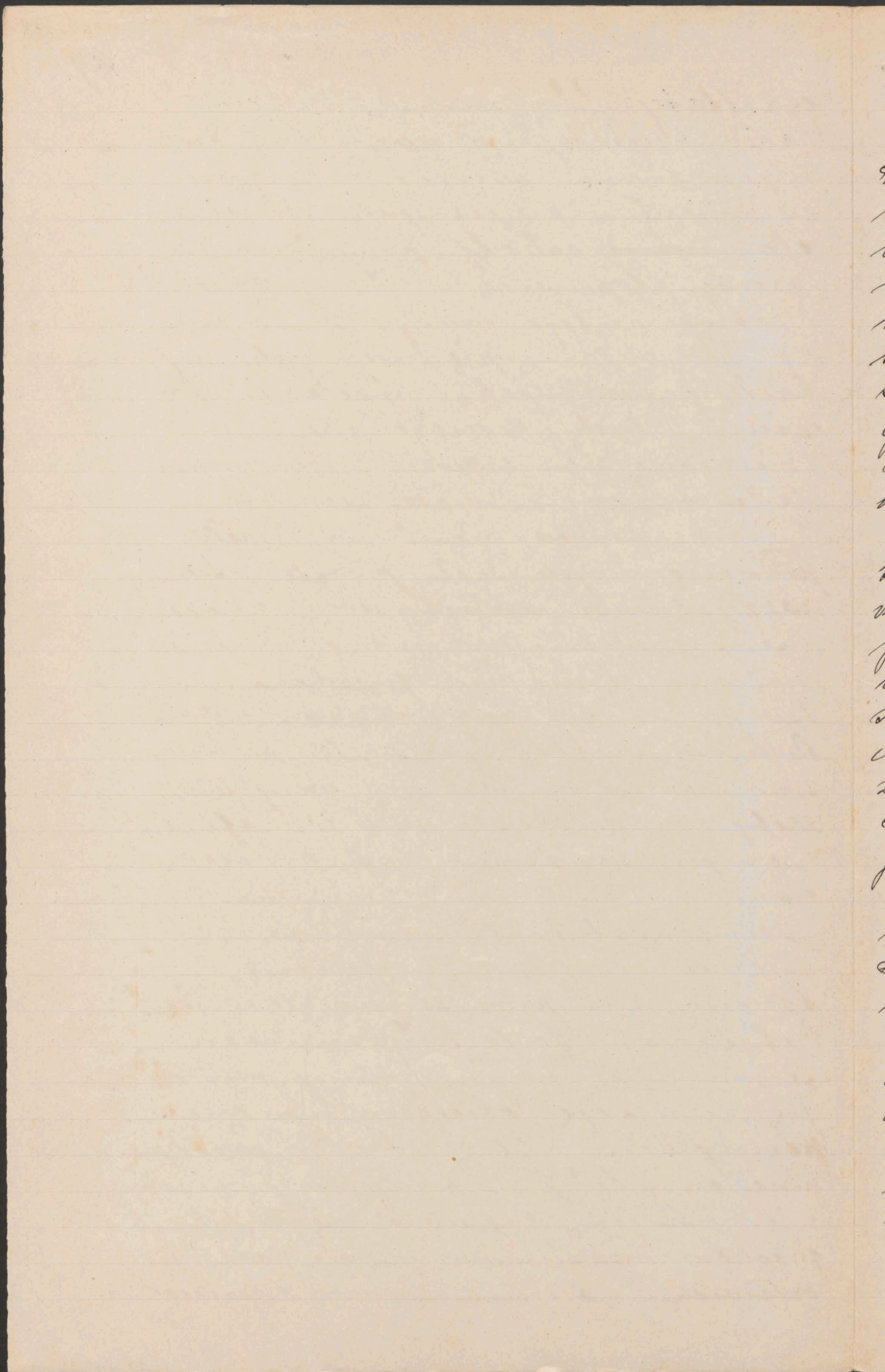

win, zboczeń i przywar. + Otóż w tej chwili to brzemię spadło mi z ramion.... Wszystkie małostki tego świata, liche ambicye, liche względy, wszystko to, co zniża i niedzi życie, co czyni je płaskiem i obłudnem, otrząsnęliśmy z siebie razem z poprzednią gorycz i zmartwieniem... Nie mogło mi się w głowie pomieścić, dlaczego ludzie odpychają to jedyne, największe dobro życia."

Innych znowu nastrojów, bolesnych i beznadziejnych, trzeba szukać w historyi rzeźbiarza Kamionki: pomiędzy smutne opisy jesieni w „duse in tenebris" wciskają się smutniejsze uwagi o najgorszych chwilach, „w których człowiek czuje, że czego miał dopełnić, to już dopełnił, co miał przeżyć, to przeżył i że nic się już nie w życiu nie zacznie."

„Ludzie, którzy utracili istoty bardzo kochane — mówi mimochodem Sienkiewicz — muszą zaczepić życie o byle co; inaczej, nie mogliby istnieć".

Pośród takich zdań — a nie najpiękniejsze, tylko najkrótsze przytaczam — odzywa się jednak i kojąca mądrość, szlachetna miłość tej sztuki, którą biedny Kamionka „głęboko szanował i zawsze był względem niej szczery."

Przez długie lata mego zawodu nie oszukał i nie ukrywał jej nigdy,

ani dla sławy, ani dla podziwu, ani dla pochwał, ani dla przygan. Tworzył zawsze tak, jak czuł. – „Gdybym nie był skazanym na to, aby jak Ruth biblijna, zbierać za żeńcami kłosy, zamiast być samemu siewcą i uczestnikiem odżynków, gdyby mnie Bóg uczynił nie kapłanem i wielbicielem, ale artystą i twórcą, nie pragnąłbym mieć żadnego innego nekrologu, tylko te słowa Sienkiewicza o rzeźbiarzu Kamionce. –

Miłość i wierność dla kobiety i dla sztuki, oto są dwie nuty, powracające stale w ostatnim tomiku. Odpowiadają sobie, jak strofy, z noweli do noweli. – Słychać je w „Organiście,” w „Lux in tenebris,” „U źródła,” „Bądź błogosławiona”. Stanowią jedność różnorodnej książki. –

***

Różnorodności książce tej nikt nie zaprzeczy. – Wiadomość, że autor odmienia tła i krajobrazy, prowadzi nas na Rivierę, pod Akropolis ateńską, do wsi polskiej, potem nad Ganges, potem do Judei. – Ale ze zmianą stref odmieniają się i pojęcia wierzenia jego bohaterów. Raz ukazuje nam Zeusa, jak siedzi na szczycie Idy, gdzie mu „ziemia

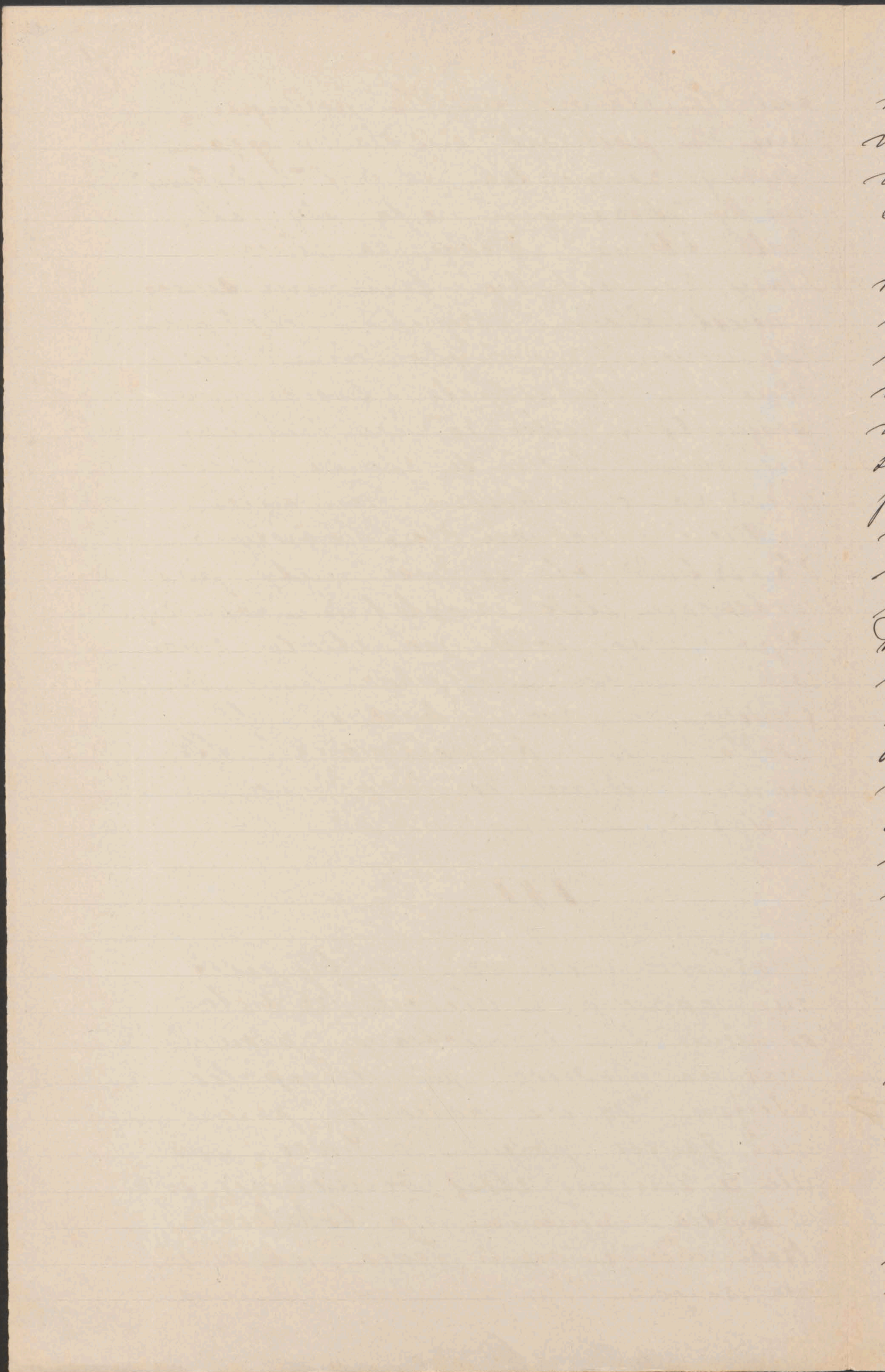

rodziła jasną majową trawkę i młode hyacynty... przebiegał palcami w Dziedziczowem biodrze i cieszył się w sercu wzniosłem."
To znowu w dalekich Indyach rozmyśla „w jasną noc księżycową mędry a wielki Kryszna" bóg potężny. — Potem w pracowni Kaźmierski „korona na głowie zakonnicy poczyna tracić swą białą szlachetność, drga po brzegach, topnieje, rozpływa się jak jasna mgła i zmienia się nadzwyczaj w światło;" wprawiona w ruch wyobraźnia czytelnika widzi dalej, jak się korona rozpromienia w aureolę, jak za tło głowie zakonnicy, służy nawał blaskdużych szpadel, białych jak śnieg, olśniewających, jak słońce. — I pośród tych mar i widziadeł ukazuje się nareszcie Rzeczywistość — sam Chrystus.
Ostatniemu tomowi Sienkiewicza czyniono wiele zarzutów zupełnie nieliterackiej natury. — Tych rosiła umiemiana swywola „Wyrodni Zeusa! tam tych zasiemskie „światło, co w ciemnościach świeci." — Wołano na pisarza z gniewem, że obniża swój talent i

i moralny poziom piśmiennictwa; ubolewano, że zwraca społeczeństwo na błędne, dawno porzucone tory mistycyzmu. — Ale Sienkiewicz nigdy się nie narażał na tyle zarzutów, nigdy tych obaw u najwierniejszych wielbicieli nie wzbudził, jak w chwili, gdy na kartach swoich pism postanowił wprowadzić — Chrystusa. —
Najmniej religijni przypomnieli sobie, jakim wielkim, olbrzymim chodem widziadła kroczy on u Heinego ponad lądy i morza, niosąc czerwone, płomienne słońce zamiast serca. — Wszyscy poczuli, że wprowadzić tę Postać już nietylko godnie, albo pięknie, ale wprost tak, abyśmy nie musieli odwrócić się od obrazu, będzie niepospolitą sztuką, niemal tryumfem autora.
W ostatnich czasach oswoiliśmy się, co prawda, z podobnemi próbkami. — Chrystus ukazuje się nieraz w opowieściach, zjawia się nie w apoteozie, jak u wspomnianego niemieckiego poety, ale na tle historycznem, promieniejący blado i nieśmiało, zdrobniały, sprowadzony do codziennych rozmiarów. — „Mistycyzm" stał się dziś przedmiotem handlu, religijna rzewność i naiwność

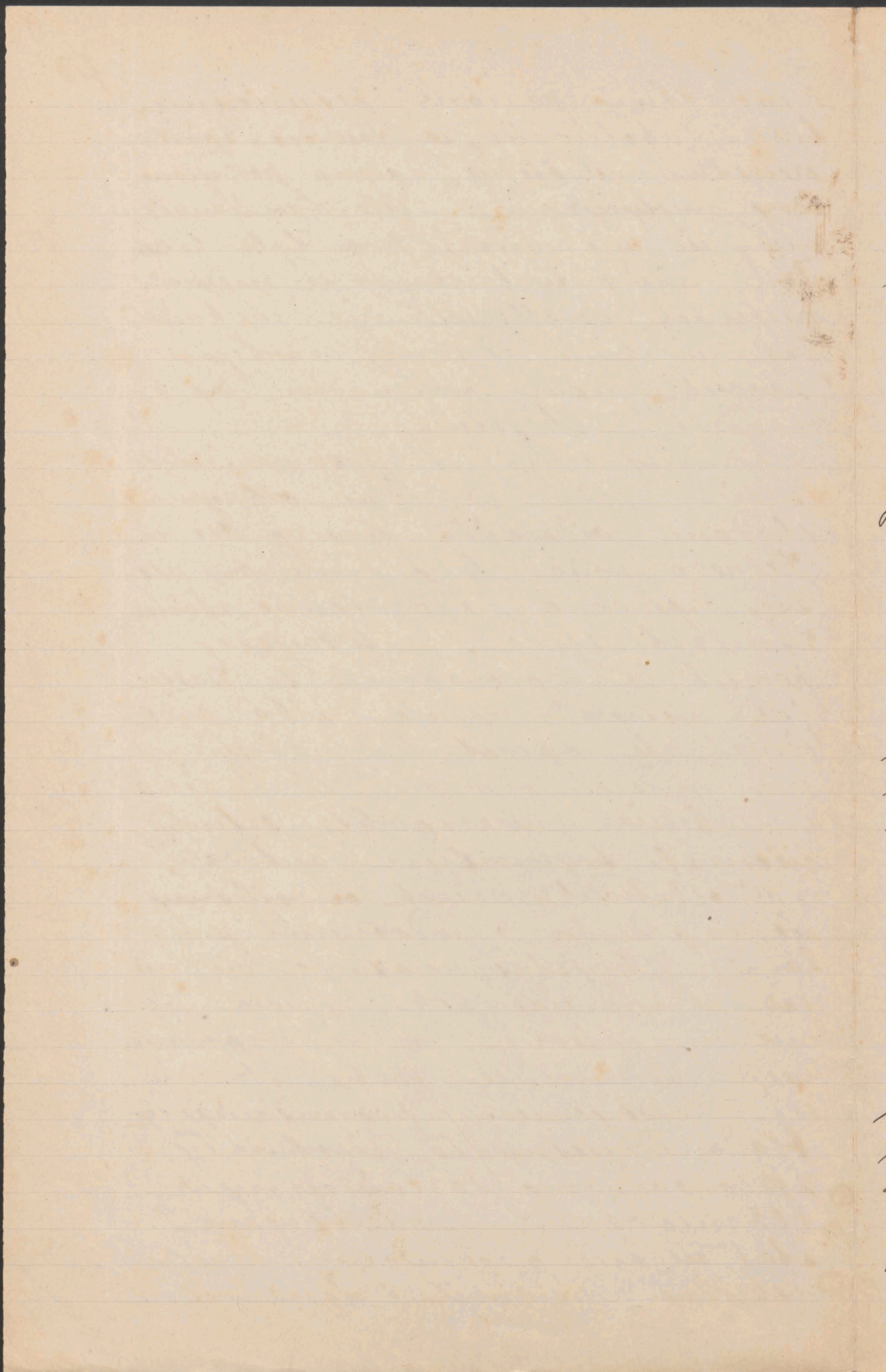

zerażają dziś paryskich dzienników, kupleeistów i reporterów.
Taki Armand Sylvestre, taki Theodore de Wyzewa (recte: Wyżewski), zabawiają się obrabianiem chrześciańskich dogmatów i legend i chcą także skorzystać z „neochrześcianizmu," oni, do których się nie odnosi sąd Sienkiewicza o Kamionce. – I dziwna rzecz! podczas gdy malarze starają się o to, aby postać Zbawiciela zbliżyć do tłumu, kiedy Fritz von Uhde lub Lhermitte sadzają świato Chrystusa w środku wiejskiej i w izbie robotnika, bezsilni gazeciarze, udający poetów, stroją Go w stare, wyblakłe, tradycyjne szaty i odziewają teatralnem światłem, które śmią nazwać „mistycznem".
Stawiają Go potem wśród nowelistycznych, miękkich, ckliwych sytuacyi, które nazywają prostemi, to niby naiwnemi, niby dziecinnemi świecie, któremu brak tylko wiary i szczerości. – Zapełniają przedsionek świątyni, ale są to tylko przekupnie. – ++ Jednego Anatola France nie śmiałbym do nich zaliczyć. –
Kiedy Sienkiewicz ogłosił „pójdźmy za Nim!" – odezwało się więcej zdań nieprzychylnych

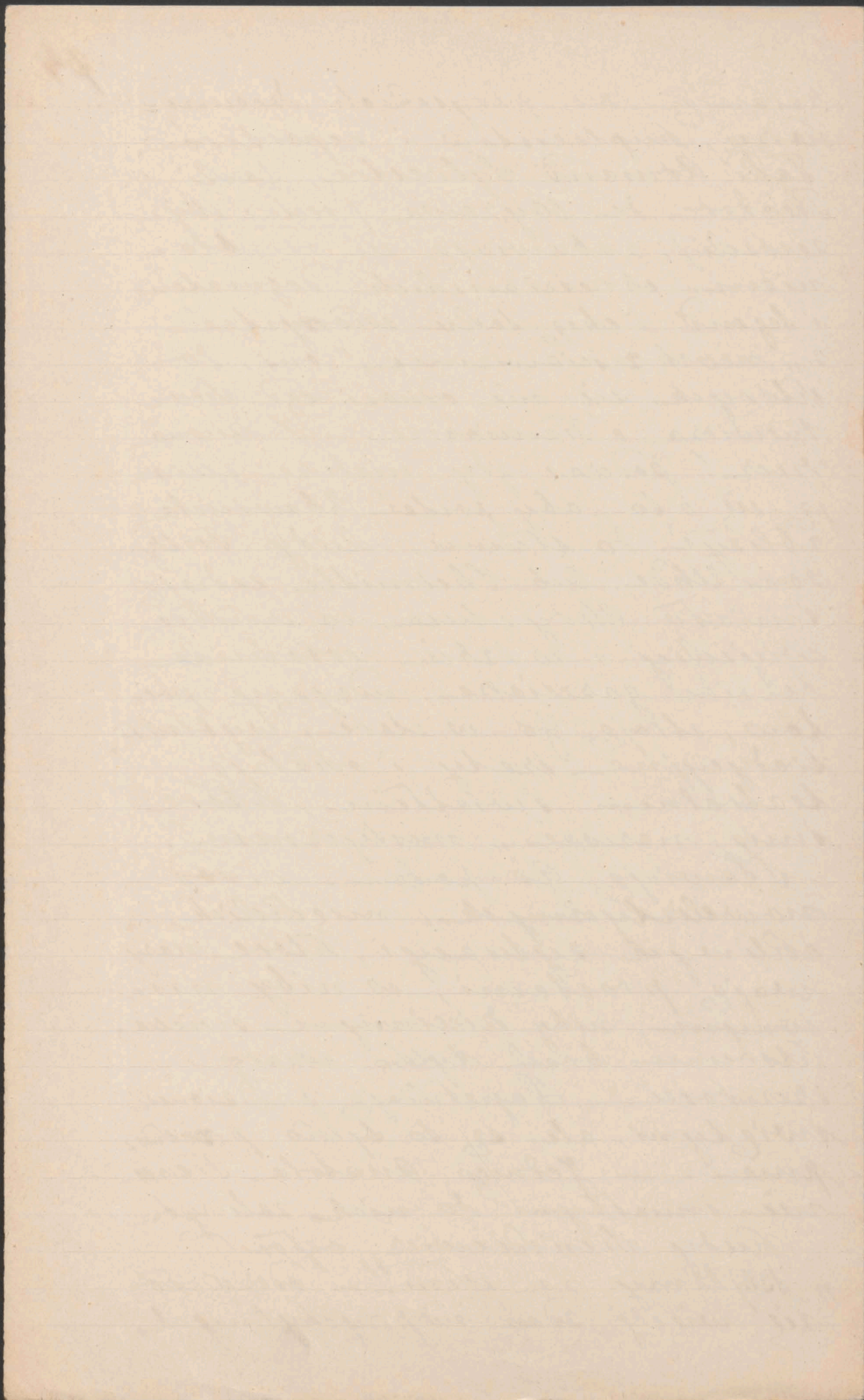

niż życzliwych. — Jednak — o ile mi wiadomo — nie powstał żaden głos, któryby obwiniał pisarza, że uległ modzie i szuka powodzenia, zwracając się do tematu z Ewangelii. — Nie będźmy zbyt tanimi optymistami, nie przypiszmy tego zaufaniu, któreby społeczeństwo powinno w takim pisarzu pokładać. — Stwierdźmy jedynie, że powaga, z jaką Sienkiewicz rzecz traktował, oddziaływa na wszystkich. —

Surowych krytyk, jak wspomniałem, nie brakło.
Jedni nazwali opowieść piękną, ale chłodnym, akademickim utworem; czy mógłbym ich prosić, ażeby kiedy odczytali ją na głos w ciszy, oczywiście nie uprzedzonym umysłem? Drudzy gorszyli się trochę śmiałością i odwagą autora. — Znalazł się recenzent, który rzucił w świat słowo dowcipne, ale z gruntu niesprawiedliwe: Oto jest Chrystus bez dogmatu! — Krytykom tej ostatniej kategorji ośmielę się zadać dwa pytania:
Po pierwsze. — Czy nie oceniając trudności, które powyżej podniosłem, nie chcą uznać ani talentu ani uszanowania, z jakiem się autor wziął do dzieła? — Czy

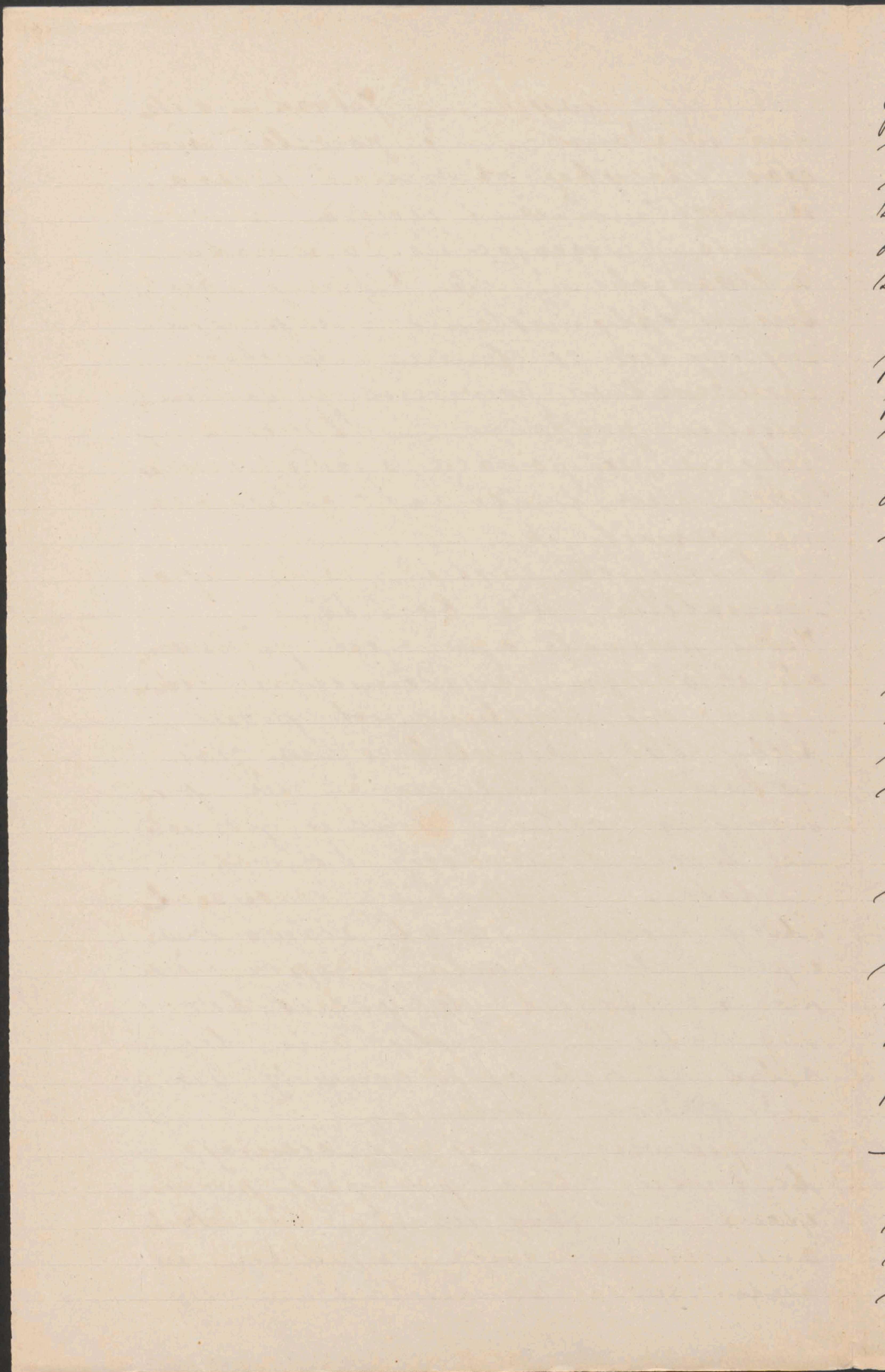

głęboko religijni, a świadomi prze-
wrotu, który się dziś w duszach
ludzkich odbywa, moglibyż szczere
ratować, że świętych rzeczy
dotknięto tak pośpiesznie i poważnie
zarazem? –
Powtóre: Dla czego artysta, który
pisze, ma być pozbawiony praw,
przysługujących od wieków ar-
tystom, którzy malują i rzeźbią? –
Do drugiego pytania muszę
dodać uwagę, parę słów objaś-
nienia. – Istnieje posąg niemal
zupełnie nagiego, muskularnego
Chrystusa, o ciele atlety, o
głowie efektownej, ozdobionej
bujnemi, gładko rozczesanemi
włosami, co twarzy niewyrazis-
tej, jakiejś dziwną, manierowa-
ną, sztuczną piękność nadaje. –
Nie wiem, czy się której idea
Zbawiciela wcieliła w kształt
mniej odpowiedni i nabożny.
A statua stoi jednak w Rzy-
mie, w kościele św. S. Maria
sopra Minerva, tuż obok wiel-
kiego ołtarza. – I pielgrzymom
pozwolono ją czcić; byliby od-
całowali nogę tego dziwacznego,
pozwolę sobie na zd. światy
artystycznym – niesmacznego
posągu. – Musiano ją ubrać w
sandał spiżowy. – Autorem
rzeźby jest sam Michał Anioł

Buonarrotti, największy z chrześcijańskich, może najbardziej chrześcijański artysta. Kto chce się przekonać o żywości religijnych jego uczuć, niech otworzy jego poezye, szczere wyznania, nie przeznaczone do druku, niechaj odczyta choć te wiersze, które Siemieński tłomaczył. ++ Nie protestowano więc przeciw temu Chrystusowi, jak nie gorszono się drugim, któremu na swym „Sądzie ostatecznym" dał Michał Anioł twarz, zbliżoną do typu Apollina. I Paolo Veronese mógł zamieniać prostą scenę w Kanie galilejskiej na pyszne uczty wśród marmurowych pałaców, mógł gromadzić w około Zbawiciela postaci hulaków. ++ Raz tylko kazano mu zamalować psy, które ustawił pod krzyżem. + Na kilkanaście lat przed reformacyą wolno było Dürerowi przedstawiać szereg pijących piwo kumoszek na drzeworycie „Urodzenia Najświętszej Maryi Panny."

Ten i ów dziwi się lub gorszy, że Sienkiewicz stawia w bliskości krzyża ubraną w kwiaty lektykę Antei... Kiedy jednak Piotr Brueghel malował „Niesienie krzyża," wysunął on na pierwszy plan gawiedź, tłum brutalny i wesoły; ze sceny religijnej zrobił swoim zwyczajem rubaszny, silny flamandzki

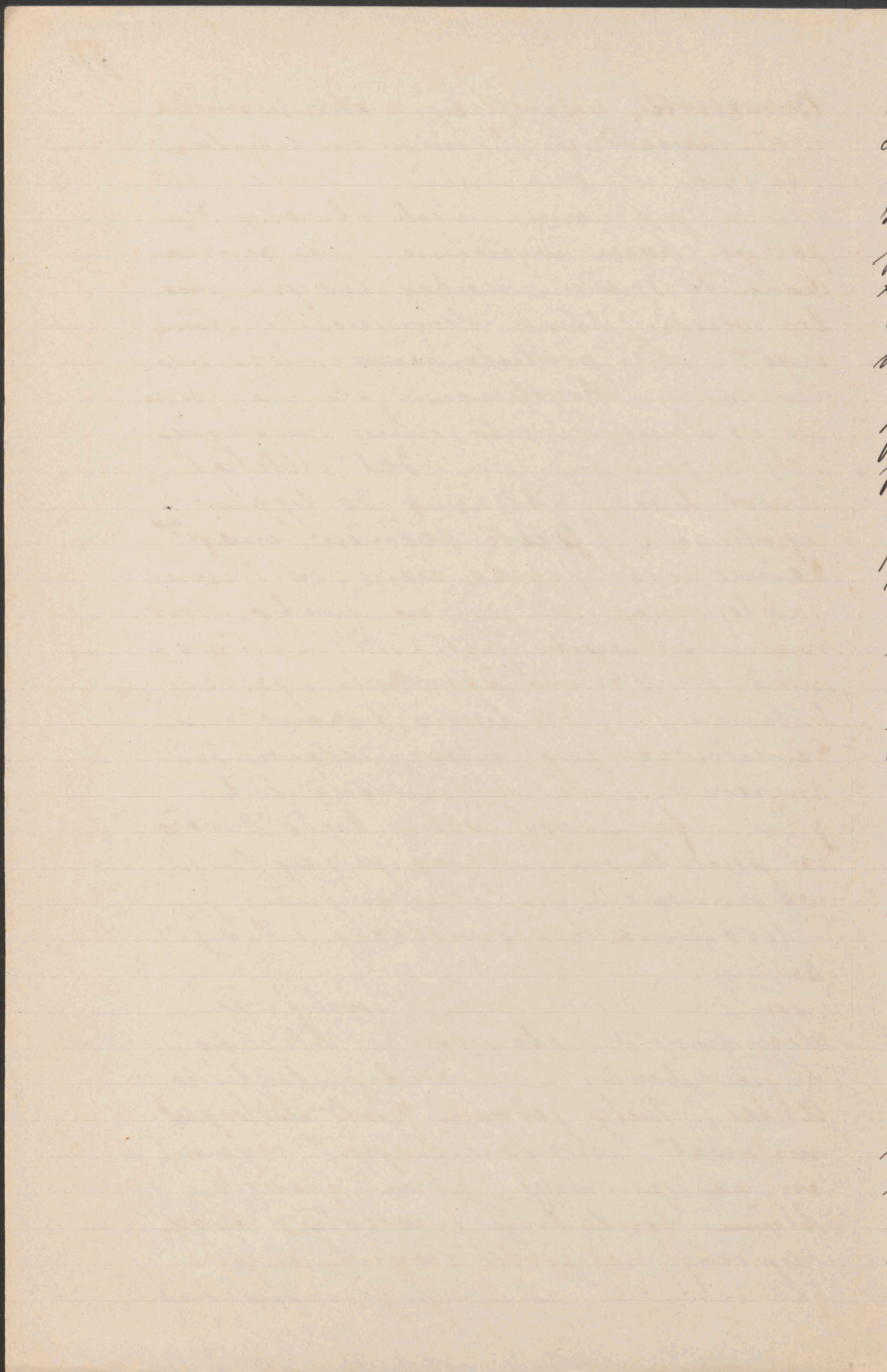

obraz rodzajowy. — A stary Piotr, ów trzeci Breugel (największy malarz w rodzinie, o którym widocznie zapomniała Telimena) nie był protestantem. — Malował w Antwerpii, pod okiem habsburgskich arcyksiążąt, w epoce, kiedy inkwizycja badała nietylko dzieła artystów, ale i życie ludzi. — Proszę się teraz oderwać od tych prac malowanych, w realizmie swoim nieraz grubych, choć jędrnych, proszę się wznieść do „Pójdźmy za Nim" i do tego „Chrystusa, co idzie nad miarę ludzkich przebaczań przebaczający, „nad miarę ludzkiej litości „litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie błoto wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny."

— „Prawdą jesteś! — wyszeptała drżącemi ustami Antea." —

Doprawdy, ilekroć się zapalę, ażeby właściwe stanowisko Sienkiewicza, istotną szlachetność jego pomysłów wyświetlić, dziwię się ~~bowiem~~ potem samemu sobie i nad moim zapałem śmiech mnie bierze. —

Ale przejdźmy do objektywnej oceny. —

Nie po raz pierwszy spotykamy

się w literaturze z taką postacią jak Cinna, z człowiekiem, który „nie należąc do szkoły sceptyków, był życiowym sceptykiem, ale zarazem hedonikiem, chociaż wiedział, że rozkosz nie jest szczęściem.” „Nie po raz pierwszy ukazuje się nam mędrzec w rodzaju Tymona, mąż, który wiedzę ludzką zgłębił, nie ukoił się nią i „wyciągnąwszy ręce przed siebie, szuka po omacku wyjścia.” Wyobraźnia przywykła nawet do zaludniania czasów przedchrystusowych takiemi postaciami. Lubimy sobie wystawiać dusze latające w te dni „po bezdrożach, w zabłąkaniu i niepokoju.” — Wszakże wytłomaczyliśmy sobie w ten sposób słynną czwartą sielankę Wergiliusza i widzieliśmy zaranie chrześciańskiego światła w łączności ze powrotem Astrei. Wydaje się nam, że znowu goniły, jak ptaki, za ciepłem i światłem, że dzisiaj „dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością i światła, które oznacza prawdę.” —

Są to więc sytuacye i typy, znane w życiu, napotykane już w literaturze. — Ale ich nigdy nie kreślono tak prosto, tak skromnie, bez romantycznych sztuk i okrucieństw. — W pierwszych rozdziałach „Pójdźmy za Nim” panuje wielki

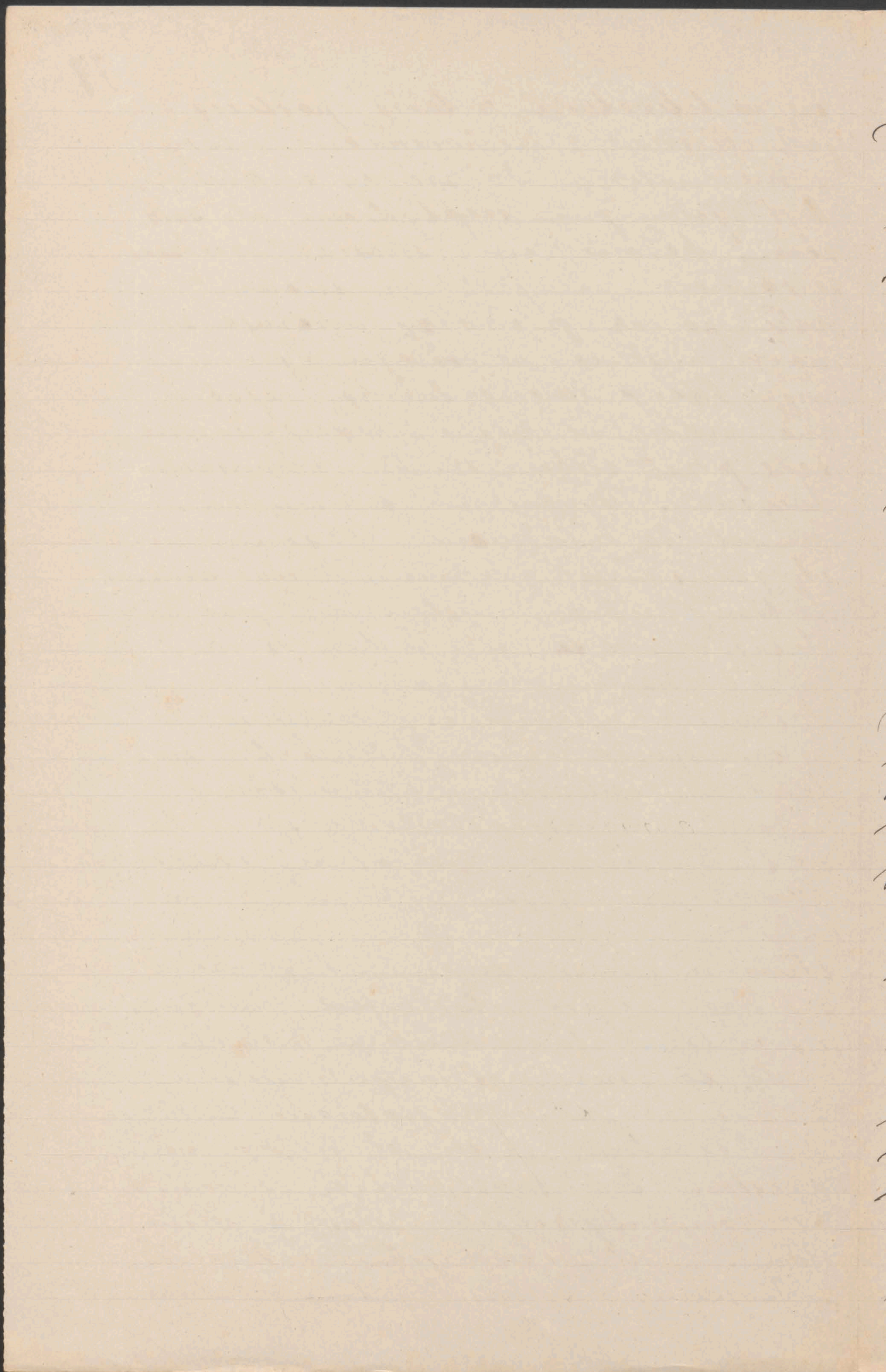

pisarz epiczny, którego znamy od dawna. – Od czasu „Listów z Afryki" przywykliśmy do jego niebywałej prostoty. – Ażeby dobrze ocenić jego powieść o Anieli, trzeba się wsłuchać w powolny tok tej prozy. Jak miarowo idą po sobie zdania mniej więcej równej długości, jak się układają, osiadają, jak się zrastają ze sobą! – Czuć, że autor buduje szeroką podstawę pod dla akcji, jak biegły architekt, umieszcza kamienne ciosane, z góry tak obrobione, aby się spoiły. – Czasami tylko uderzy on słowem, ażeby w bryłach zapowiedzieć pożar. – Czasami pojawia się zdanie zwarte, zaostrzone, kończące się silnym krótkim wyrazem. – Pomiędzy uwagi o naturze Anny wciska się przypomnienie rzymskiego okrucieństwa: „Gdy go rozprawy znudziły, szedł do cyrku patrzeć na krew." –

Jasno i prosto odsłania się nam naprzód Anna, potem Tymon Aleńczyk. – Opowieść idzie w wolnem tempie; nawet w rozmowie wzburzonych i srodze nych ludzi jest pewien rytm okrągły i spokojny; nawet charakterystyka Anieli nie przyspiesza okresów. – Artysta chowa

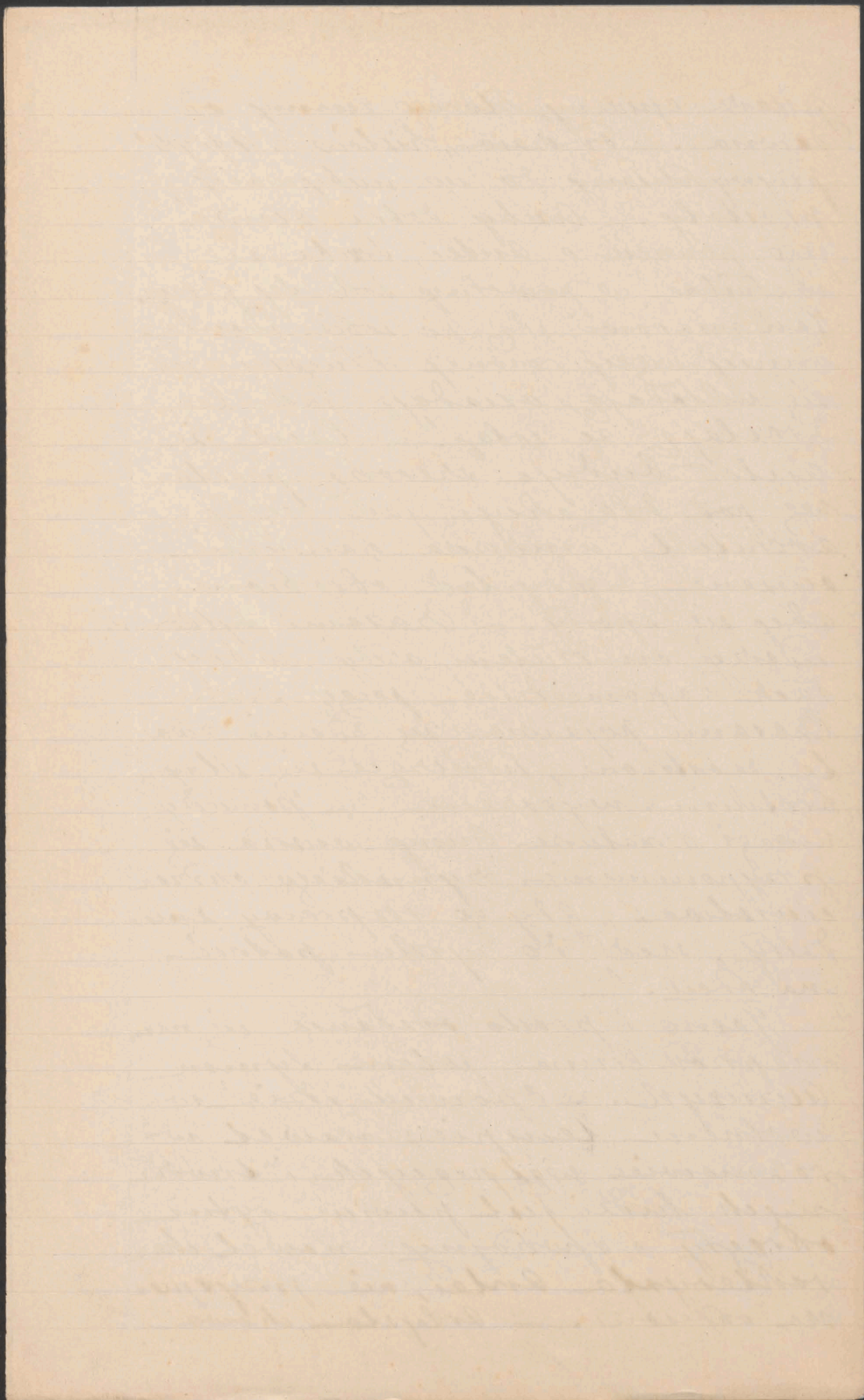

żywości idzie na scenę żywsze i gwałtowne. — Ale już od chwili, gdy Linna pokochał Grzegorz[?]..., zagotowało się w prozie Sienkiewicza. — Występiły zdania nagłe, szybkie, wrące, jak krótkie fale poruszonego morza. „Chciał ją posiadać bezwzględnie po to, aby ją czcić. — „Gotów zaś był oddać krew, by ją posiadać. — „Czuł, że wolałby być żebrakiem z nią niż cezarem bez niej. — I jak wir morski porywa z niepohamowaną potęgą wszystko, co znajdzie się w jego obrębie, tak miłość Linny porwała jego duszę, serce, myśli, jego dni, noce i wszystko, z czego się składa życie. Aż wreszcie porwała i Antę."
Takie spadki rytmiczne mowy tylko artysta. — Wielkim rysownikiem jest ten, co widzi linię w całej swej surowej powadze lub niesfałszowanej prostocie. — Wielkim malarzem, kto czuje, jak ma farbę nałożyć, ażeby się ramię zaokrągliło, chociaż płótno jest płaskie, ażeby zaświecił rękaw złotem przetykany. — Mistrzem opowieści jest ten, kto rytmowi swych słów, rytmu swych uczuć udzieli. —
Skoro się właściwa akcja zaczyna, Sienkiewicz przestaje niemal opowiadać o swoich bohaterach, każe im mówić za siebie. — Tymon zeszedł już wtedy z widowni, a Linna ustępuje niebawem w głąb, na dalszy plan kompozycji. — Przez całą, rzecz

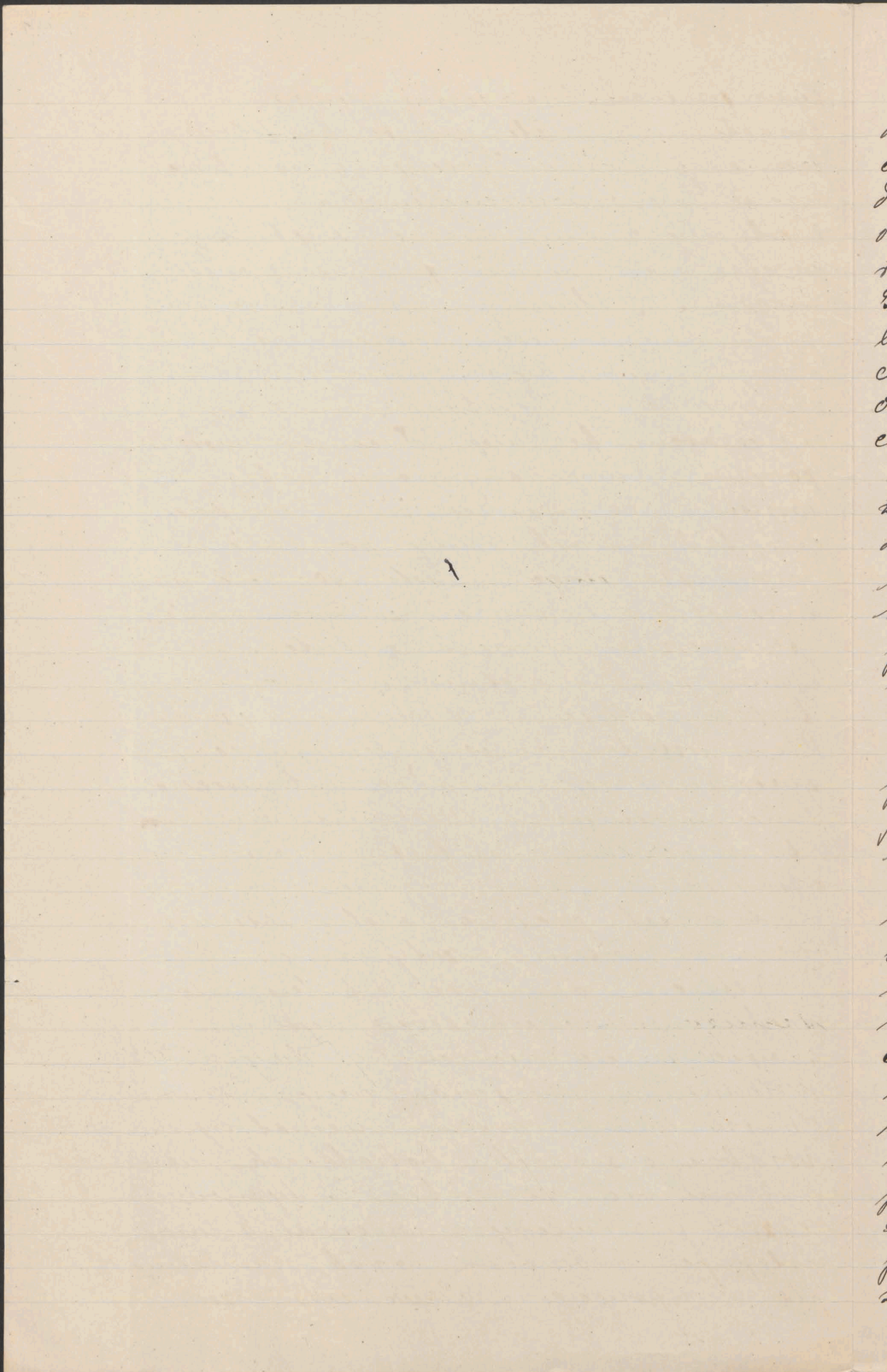

samą stanowi teraz przeciwstawienie dwojga istot: Piłata i Antei. — Wszyscy czujemy potrzebę rozróżniania między ludźmi, wszyscy dzielimy wszystkich przynajmniej na dwie kategorye, ale różnimy się nieraz co do zasady podziału. — Najprostszym byłby może taki. — po jednej stronie ci, co się oswajają ze złem, które ich otacza, godzą się czasem na wszystko, co życie brzydkiego i niskiego wytwarza. Wierzą w to, co jest, dlatego, tylko, że jest, nie przeto, że je uważają za dobre; uznają racyę stanu, szanują fakt dokonany. + Po drugiej stronie są ci, którym połowiczność i pół prawda nie wystarczą, ci, którzy pytają, czy poza tem, co oko widzi i ręka ze zwyczaju ~~robi~~ czyni, niema bezwzględnych praw i prawd, czy nie istnieje jakiś świat bardziej rzeczywisty, bo lepszy, czystszy, piękniejszy, jakieś królestwo Boże. — Nie cała ludzkość usłuchała głosu Chrystusa... Między czytelnikami Sienkiewicza niemasz pewno ani jednego, coby samego siebie nie zapytał: „A cóżbyś ty w owe dni był uczynił?" Wielkie pytanie, nie prawdaż? Warto je sobie postawić i może warto było napisać utwór, co takie pytania nasuwa. — Mistrzostwo Sienkiewicza polega na prawdzie, prostocie i żywości postaci, na tem, że jego Piłat nie jest maszkarą. —

Umiał uczynić żywą, indywidualną figurę z człowieka, którego imię powtarzają codziennie miliony i miliony ludzi, odmawiających „Wierzę w Boga." – przedstawił go nawet w ten sposób, że mógłby od biedy uchodzić za uczciwego człowieka, pełniącego sumiennie powierzony mu urząd, dbałego o dobro rzymskiego imperyum. Obok nienawistnych, którzy nie chcieli rozumieć, i nie słyszeli, choć mieli uszy ku słuchaniu, obok faryzeuszów, wołających „o krzyż dla Proroka, który opowiadał miłość," reprezentuje Piłat te dusze, które nie były w stanie pójść za Chrystusem. – Wdeptał się on był bowiem zbyt silnie w ziemski muł i tak się w obecnym świecie rozsiadł, że nie mógł pojąć nowego królestwa, które już nie miało być z tego świata.

Antea widziała tylko śmierć Chrystusa, nie oglądała jeszcze cudu, wieść o zmartwych-powstaniu nie doszła do niej, a już zaczęła przeglądać po za swoje, mroczne widnokręgi. – Wystarczyło jej zasłyszeć o nowej nauce, aby ją pokochać, ~~wystarczyła jej zasłyszeć o nowej nauce, aby ją pokochać,~~ wystarczyło zobaczyć boskiego skazańca, aby Mu zawołać: „Ty jesteś prawdą!" Córka Ateńczyka Tymona jest obrazem dusz, zmuszonych iść za głosem Tego, którego nauka

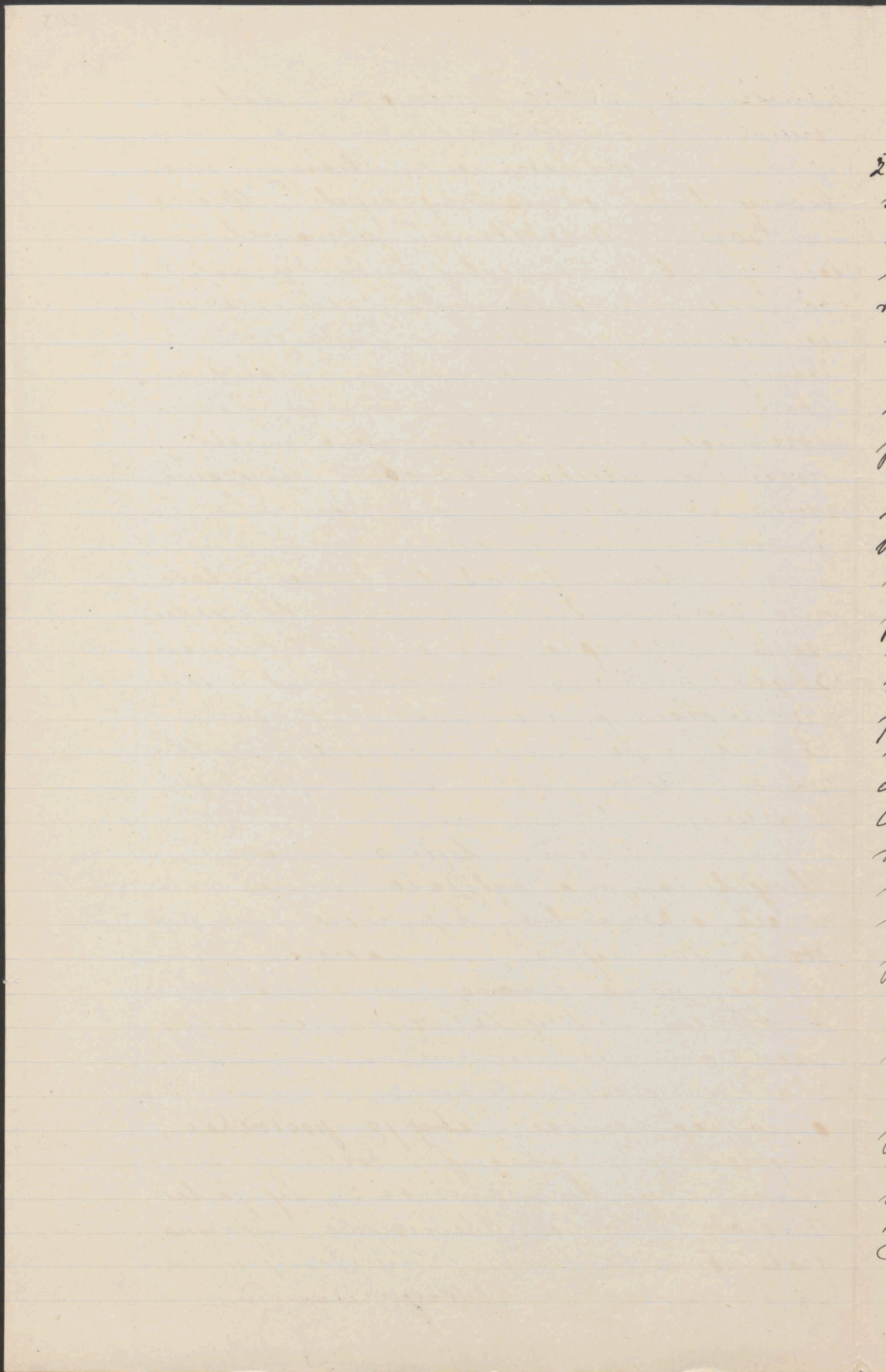

zowie się „dobrą nowiną."

Następuje w opowieści scena ukrzyżowania. — Trudno zdawać z nich sprawę. — Nie ma zapewne w całej współczesnej literaturze naszej kilku innych stronic, gdzieby tyle różnorodnych zjawisk i poczuć znalazło równie prosty, silny, jędrny wyraz: trzech małych żydziaków, gwarność i niepokój śmiesznej gawiedzi, zimna powaga faryzeuszów, służbowa obojętność centuryona. — Sienkiewicz tak panuje nad tymi wszystkimi objawami życia, tak rządzi swoją sztuką, tak włada swoją prozą, że żaden wrzask innych wrzasków przekrzyczeć nie zdoła, że kiedy chce, nastaje cisza w jego stylu, w toku zdań, w akcji, którą prowadzi. — W tej ciszy słychać chrzęst gwoździ, przebijających ręce i nogi Chrystusa. — A potem dzieją się rzeczy na niebie i ziemi, o których się takim, jak Pontski Piłat nie śniło. „Rzekłbyś, że ktoś z góry przesiewał na ziemię czerwonawą ciemność." „Grzmot zbudził się, wzrósł, przetoczył się ze straszliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem, jakby zapadł w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, w końcu huknął, jak grom, aż ziemia zatrzęsła się w posadach."

„Jednocześnie olbrzymia, sina

Błyskawica rozdarła chmury, roz-
świeciła niebo, ziemię, krzyże, zbro-
je żołnierzy i zbitą, jak stado owiec,
tłuszczę niespokojną i trwożną. —
Potem wśród coraz grubszej ciemności,
wśród blasku, kiedy „ciemny strop
rozdarł się i przez szczelinę lunął
nagle potok słonecznego światła”
kiedy „rozwidniła się wyżyna,
zalęknione twarze ludzkie i krzy-
że.” odzywają się głosy, urwane
zdania, jęki, zawodzenia i krzyki,
mową swą silną, żalem i rozpa-
czą takie semickie, podobne do
skarg, które się u nas czasem
w lecie słyszy przez otwarte
okna synagogi. — Z drugiej zaś
strony groźne i piękne, jak
nasza proza biblijna:
„Byłem trędowaty — uzdrowił
mię — przecz go krzyżują?”
„Ojah! oj lanu! Zali nie
Sprawiedliwego ukrzyżowano?”
— Który dał świadectwo praw-
dzie. Ojah!
— Który wskrzeszał umarłe! Ojah!
A inny głos zawodził:
— Biada ci, Jeruzalem!
Inny znów:
— Ziemia zadrżała!
Wśród takich głosów, wśród tak
przeraźliwych nastrojów i opisów,
jedyną kojącą nutę stanowi Antea.
Od pierwszej rozmowy z Piłatem
zaznacza się ta jej rola, rola
istoty prostej, dobrej, słodkiej.

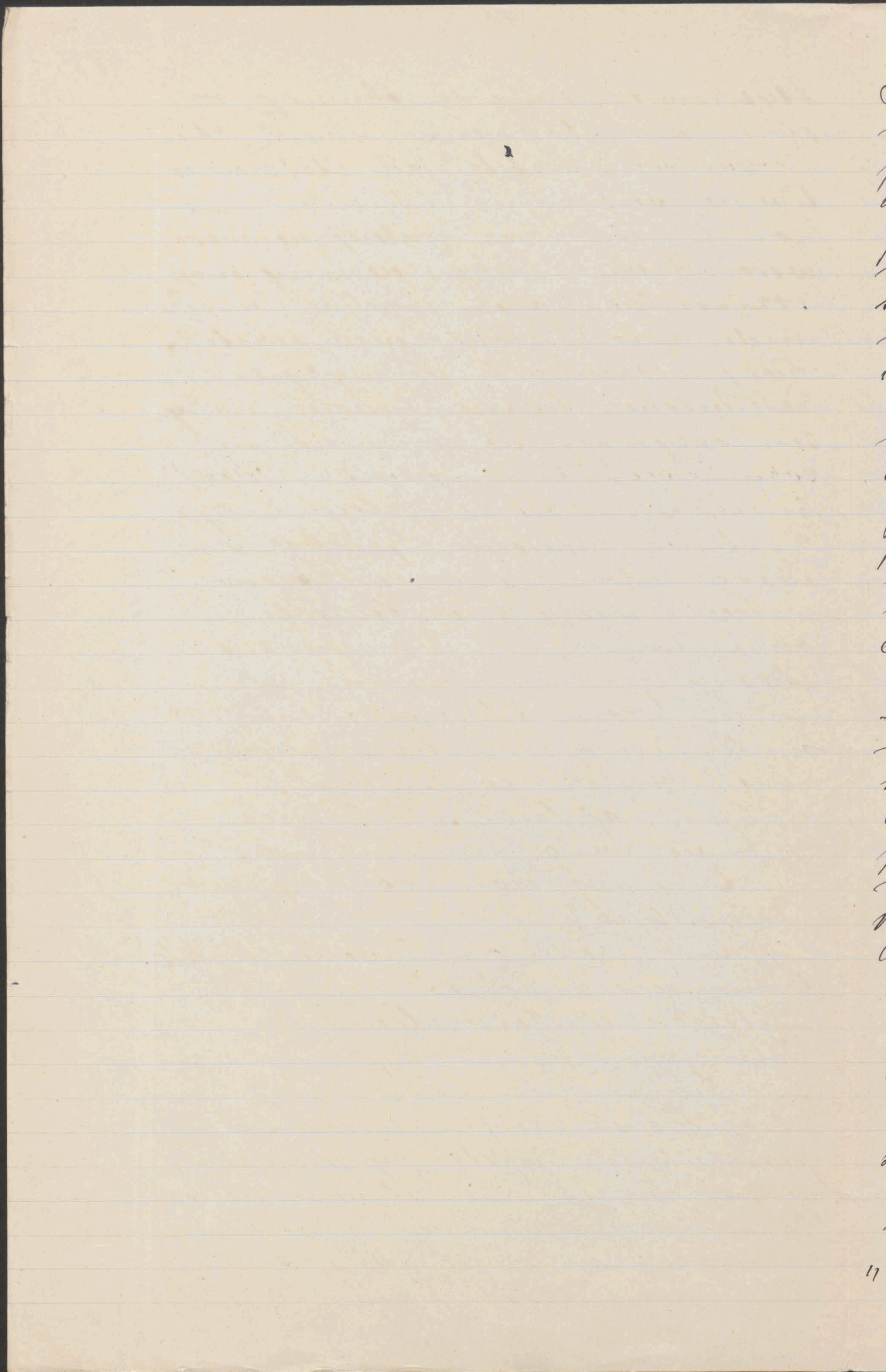

Sam sposób mówienia chorej sta-
nowi przeciwieństwo do tonu słów
prokuratora. + Piłat mówi dużo,
krótkiemi, urywanemi zdaniami,
jako człowiek umęczony, krążący
się ciągle myślą po swym małym
światku. + Odchodzi wciąż od przed-
miotu, bo mu się nigdy w ciasnej
i rozsądnej głowie. + Wie on, że
„ten dziwny człowiek ... naprawdę
nie popełnił nic takiego, przez
coby zasłużył na śmierć", zmusza
go jednak, aby się „zbyć kłopo-
potu, a zarazem nie poruszać
tego gniazda os, które brzęczą
naokoło świątyni ... Zresztą prze-
cież nie o obywatela rzymskiego
chodzi."
— „Ów człowiek nie będzie dlatego
mniej cierpiał." — Takiemi cichemi
słowy przemawiają ci, co mają
Chrystusa zrozumieć. + Nie
potrzebuje wywodów, tłumacze-
nia się przed drugimi, jak pro-
kurator. + Piłat przedstawia
Antei całą naukę Chrystusa, nie
domyślając się nawet, co ona
zawiera. —
Jako wszyscy ci, co poznali, że wy-
godniej jest życia nie zgłębiać
i nie odczuwać, widzi w każdym
silniejszym objawie — przesadę.
Podobnie o miłości widzieli sta-
rzy ludzie, zasiadający dotąd
„u źródła", prostą egzaltacyę. —
„Antea wysłuchała tego, co jej

pitał mówić o Chrystusie. Zrazu rzekła tylko dwa słowa:
„Dziwna nauka". —
Ale potem stanęła pod krzyżem i dwa razy pośród bolesnych obrazów, odzywa się cichy jej szept: „Ty jesteś prawdą!"
Charakterowi swemu, odłyszczanej mizyi, zostaje ona wierną aż do końca. — Młode chrześcijaństwo korzystało z praw, obowiązujących całą rzymską społeczność. — III
Grzebało się zrazu w innych rozporządzeń, szanujących świętość wszystkich grobów. + Potem opierało swe kościoły o mury dawnych świątyń pogańskich. + Między chrześcijańskimi archeologami trwa dotychczas spór o to, czy z początkiem czwartego wieku zamieniono istniejące bazyliki, to jest gmachy sądowe na kościoły, czy też wzorowano na nich budowę nowych świątyń. + Jak wyrastają rośliny, wśród wietrzejących marmurów Palatynu, tak wykwitało chrześcijaństwo pośród zmurszałych pojęć starożytnych. — Atoli wdarzywało się łudzące zjawisko, które po swojemu mogła zwać „Hekate", albo po naszemu „południca", zjawisko, któremu ludowa wyobraźnia nadaje inny kształt pod każdą strefą. — Jednak od chwili głębokiego, wewnętrznego przewrotu,

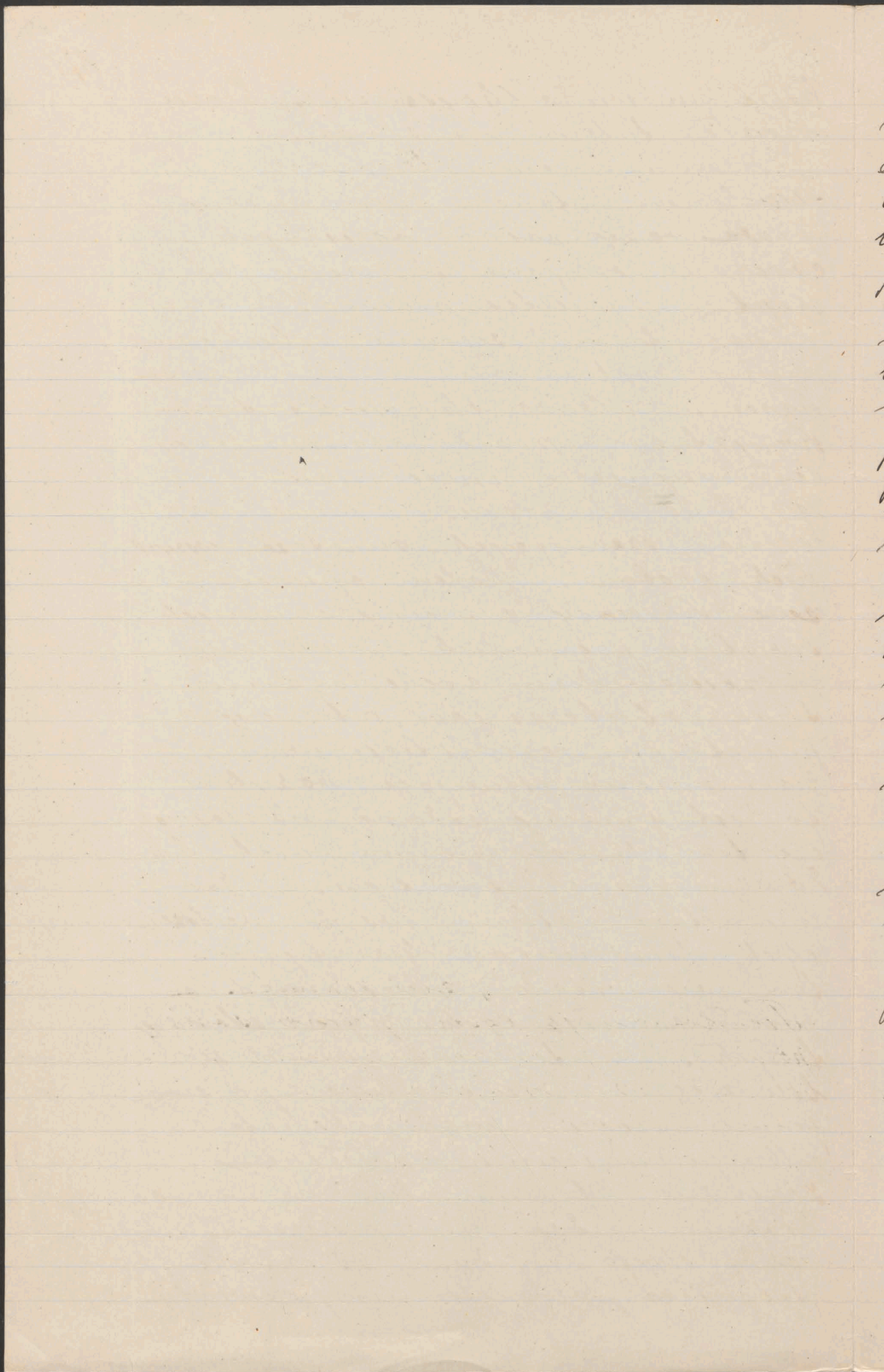

od chwili, w której Antea ujrzała Ukrzyżowanego, staje przed nią Bóg, a nie bogini. — Są tacy — musze o nich wspomnieć — którzy Sienkiewiczowi zarzucają, iż przeprowadził jakby patologiczny proces, zamiast cudownego przebiegu. + Ci sami oburzyliby się na pisarza, gdyby jęł w wyobraźni stwarzać i opisywać niesłychane dotąd cuda. + Organ papieski, Moniteur de Rome, drukuje francuski przekład: „Pójdźmy za Nim!" — rozpowszechnia po świecie „Chrystusa bez dogmatu."
Kiedy Antea ujrzała Zbawiciela w ciepłej jasności i chwale, rzekła do męża: „Cinno, On niesie mi zdrowie, zbawienie i wzywa mnie do siebie!"
I Cinna, dawny sceptyk i hedonik, powiada jej wtedy:
— Pójdźmy za Nim!
Piłat pozostaje wierny swej naturze. — Wiadomość o niezwykłem zdarzeniu przyjął chłodno. Wielki oportunista nie chciał jej ani przeczyć, ani uznać. — Traktował ją cum grano salis, położył ją naprzód na karb przesady: „Wyobraźcie sobie, co ci znowu rozpowiadają: „że zmartwychwstał." +++

XV.

Zacząłem od liczenia tomów,

203

89.

od spraw wydawniczych i księgarskich. — Muszę do nich na końcu powrócić. — Przywykliśmy wprawdzie do wielkiej niedbałości, z którą się u nas traktuje słowa pisarzy, do aktorów, którzy kaleczą tekst, do drukarzy i wydawców, którzy go przekręcają. — Ale są autorowie, dla których powinienby istnieć wyjątek, są zwłaszcza firmy nakładowe, po których nauczyliśmy się spodziewać większej troskliwości. — Nakładcy XX^go tomu pism Henryka Sienkiewicza tomu, przepełnionego tymi zdradzieckiemi błędami, które myśl samą kaźlawią, powinni pamiętać, że należy postępować starannie, kiedy się puszcza w świat pierwsze ~~książkowe wydanie~~ dzieł pierworzędnego pisarza. — Albo też, aby użyć mniej prostego, bardziej bibliograficznego zwrotu: większa dbałość przystoi każdej *editio princeps* książęcia naszej prozy. —

R: M: Go~~tt~~.

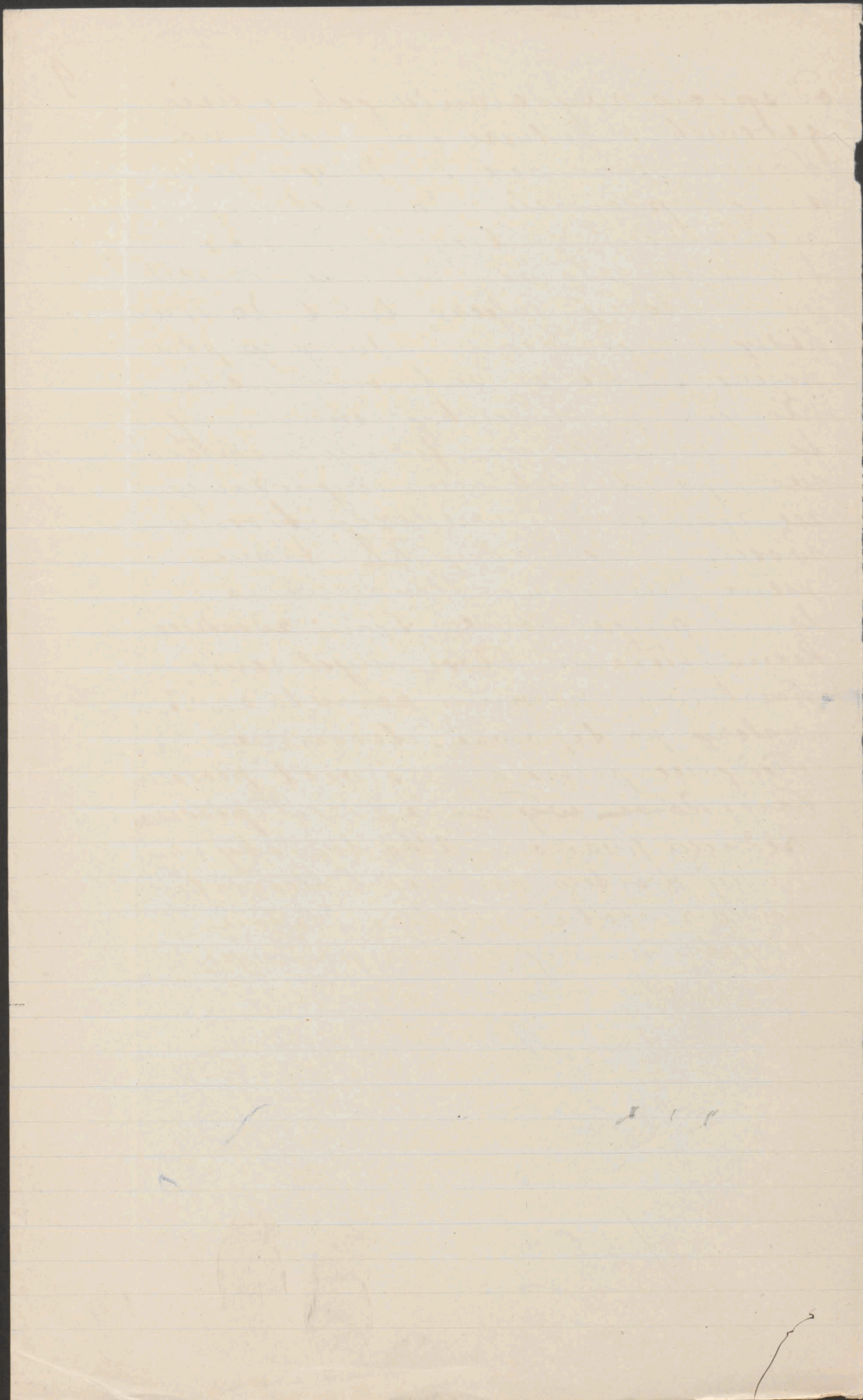

Czas z poniedziałku 19 Lutego 1900 roku.

Henryk Sienkiewicz.

Nie dziś, ale przed dwoma, a nawet trzema laty upływało ćwierć wieku od chwili, w której Henryk Sienkiewicz wystąpił ze swą pierwszą powieściową pracą. —
Zwolennicy i wielbiciele największego z naszych żyjących i naszych współczesnych pisarzy, zapragnęli podówczas obchodzić uroczyście tę piękną datę i tę szlachetną zasługę.
Było to jednak w przededniu Mickiewiczowskiego roku, roku pomników, jubileuszowych wydawnictw, przedsiębranych ku czci olbrzymiego poety, który „snuł miłość, jak jedwabnik nić z piersi swoich snuje."
Było to w przededniu roku, który miał całą Polskę napełnić odgłosem jednego imienia, echem jednej pieśni. Na wieść, że gotuje się obchód dla niego, Sienkiewicz wystąpił publicznie, zawołał wszystkich i bliskich i dalekich: „Nie mącić mi hymnu śpiewanego unisono! Ja teraz nie istnieję. – Onorate l'altissimo poeta!" —
Pomniki stoją, echa kantat przebrzmiały w powietrzu, wieńce poblakły — miłość, niezmienna, wdzięcznością podsycana miłość

204a

Czy ten artykuł drukować?
Czy nie zbyt aktualny?

nie zamarła. — Wśród względnej ciszy
można pomyśleć o hołdzie dla żyjącego
pisarza, poety w prozie. —
Warszawa, ta zawsze pełna zapału
ofiarna i szlachetna Warszawa,
powzięła zamiar, który wielu ludzi
zadziwia lub gorszy, a nas — wyzna-
jemy otwarcie — nas głęboko wzru-
sza. — Henryk Sienkiewicz ma
otrzymać od swych czytelników
kawał gruntu, kilkanaście pol-
skich zagonów, aby, jeżeli się kiedy
zestarzeje, miał nad sobą dach wiej-
skiego dworku, a przed oczyma własne
łany, kołyszące mu się falami złotych
pszenicznych kłosów. — Ten człowiek,
który ciągle myśli o obronie polskiej
roli i stawi pociąg do niej, ten wie-
śniak z dziada pradziada, a literacki
„król Jan bez ziemi", powinien
osiąść na szmacie polskiej gleby
i szmat ten nazwać swoim. —
„Teraz — mówi jego ulubiony
bohater połanieckich — samemu
mi się dziwnem wydaje, żeby
mieszkać na tej planecie, niby
coś mieć, a nie mieć trzech łokci
kwadratowych tej ziemi, o któ-
rych możnaby powiedzieć: „moje."
Sienkiewicz przyglądał się nie-
gdyś pirenejom i tłumowi ludowych
uroczystości w Hiszpanii, zachodom
słońca, koncertom barw, na
włoskiem wybrzeżu, kolumnom

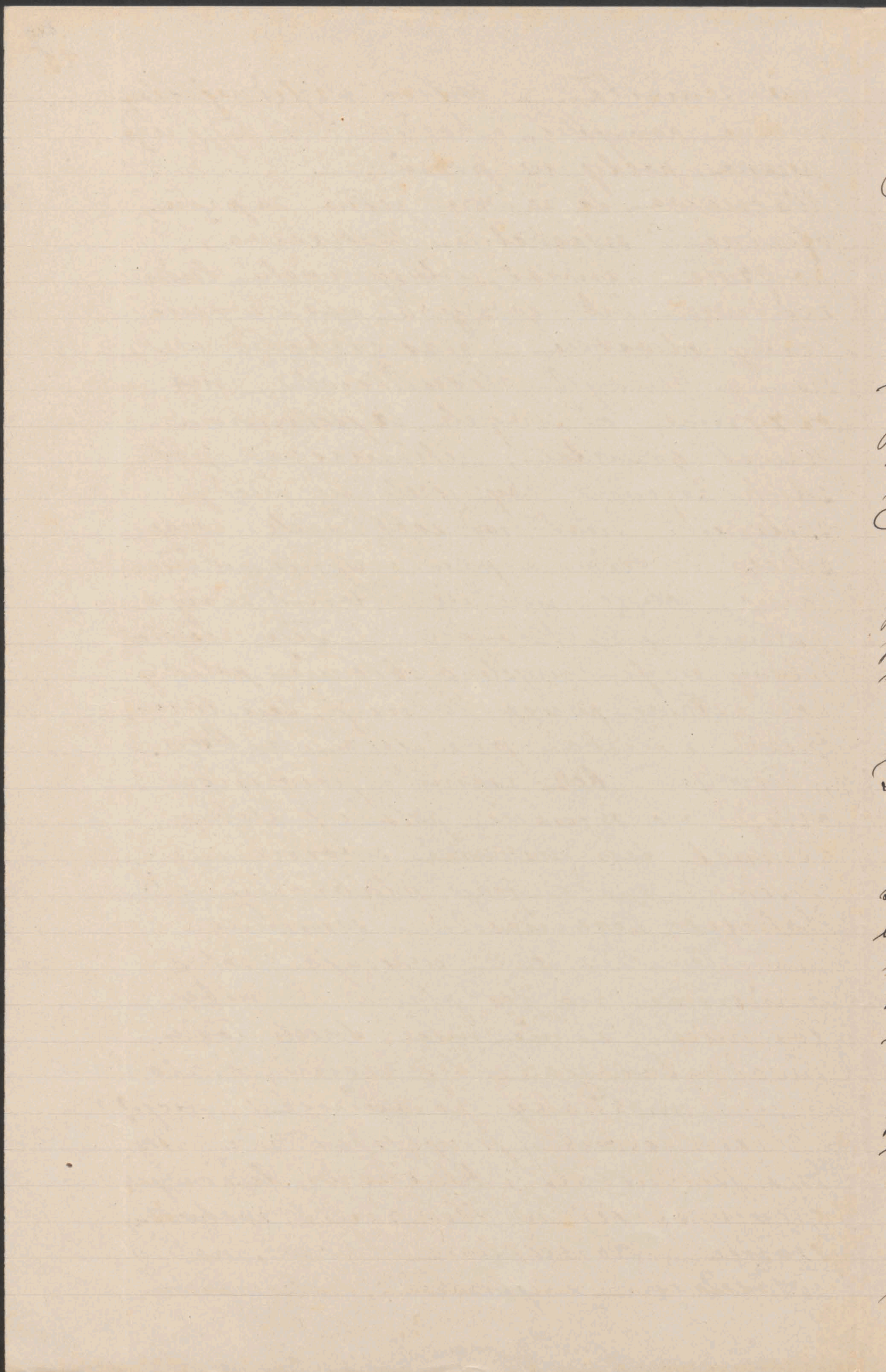

podlesiem, złotym we dnie, w nocy zielonawym). —
(Na piaskach pustyni, w pobliżu piramid rozmawiał z wielkim sfinksem; nurzał się w trawach amerykańskiego stepu, który się czasem wiosną zamienia na wielkie, różowe, chwiejne morze kwiecia... A jednak mimo wszystkiego, jak to niegdyś przez usta Połanieckiego wypowiedział, tęsknił za tremi łokciami tej ziemi, na której się urodził. —
Dajmy mu je, musimy mu je dać. — Nie, żeby naszego daru potrzebował, ale w nas budzi się potrzeba zrobić dla Henryka Sienkiewicza mniej więcej to samo, co Francuzi uczynili dla Lamartine'a i Wiktora Hugo, Anglicy dla Dickensa, Węgrzy dla Jokaya. —
Kawał ziemi, który ogół ma zamiar ofiarować ulubionemu swemu autorowi, otrzyma podobno nazwę „Krzemieni", nazwę majątku z „Rodziny Połanieckich". —
To pewno, że kiedy Sienkiewicz zajedzie do nowej swej włości, powita go i rola ciepłym oparem i sady kwiatami i sina wstęga lasu żywiczną wonią, i stojący na wzgórzu krzyż błogosławieństwem. Powiedzą mu: „My ciebie znamy tyś nasz, ty nas rozumiesz, tyś

207

87

nas malował w szczerości i kochaniu; miło nam, żeś Ty panem grzędy." A wśród wieczornej ciszy, jak na ostatniej stronnicy „Połanieckich" ozwą się żaby jednym wielkim chórem: „rade! rade! rade! —

Przykroby nam pomyśleć, że tylko Warszawa krząta się około złożenia Sienkiewiczowi hołdu, który mu się od wszystkich polskich dzielnic należy. — Z wielką zatem radością witamy dzisiejszy wieczór jubileuszowy, podjęty przez chór akademicki. —

Na obchodzie przemówi najwybitniejszy z polskich krytyków, najbardziej powołany do sądzenia Sienkiewicza, pisarz i prelegent, który nietylko odczuwa wielkie szlachetne linie, lecz i półtony, półsłowa ocenia. —

Od wczesnych prac „Litwosa", aż do ostatnich arcydzieł autora „~~Quo~~ „Quo Vadis?", obecny prezes Akademii śledził rozwój tego talentu, w którym odczuł pomnaż świeżości, prawdę, siłę, o którym jeden z pierwszych mówił gorąco i chlubnie, do którego sławy niemało się swą powagą przyczynił.

Wieczór dzisiejszy powinien być pobudką do dalszej akcji w sprawie jubileuszu. —

Gdyby wszyscy zachwyceni

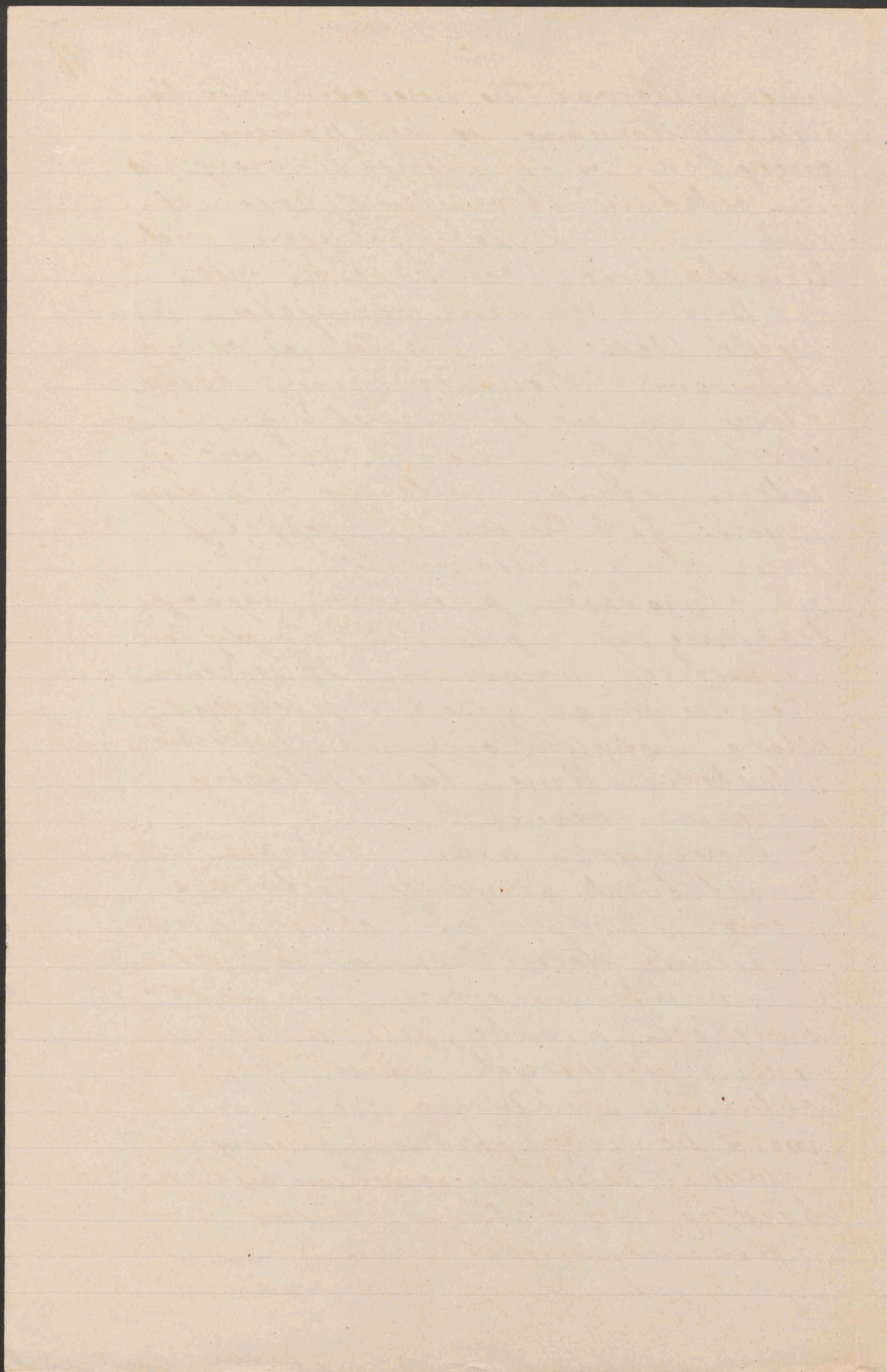

czytelnicy nowel i trylogji doli
po jedynym groszu — „Krzemień”
Sienkiewicza byłby o wiele
rozleglejszym od „Krzemienia”
Połanieckich. —

— — —

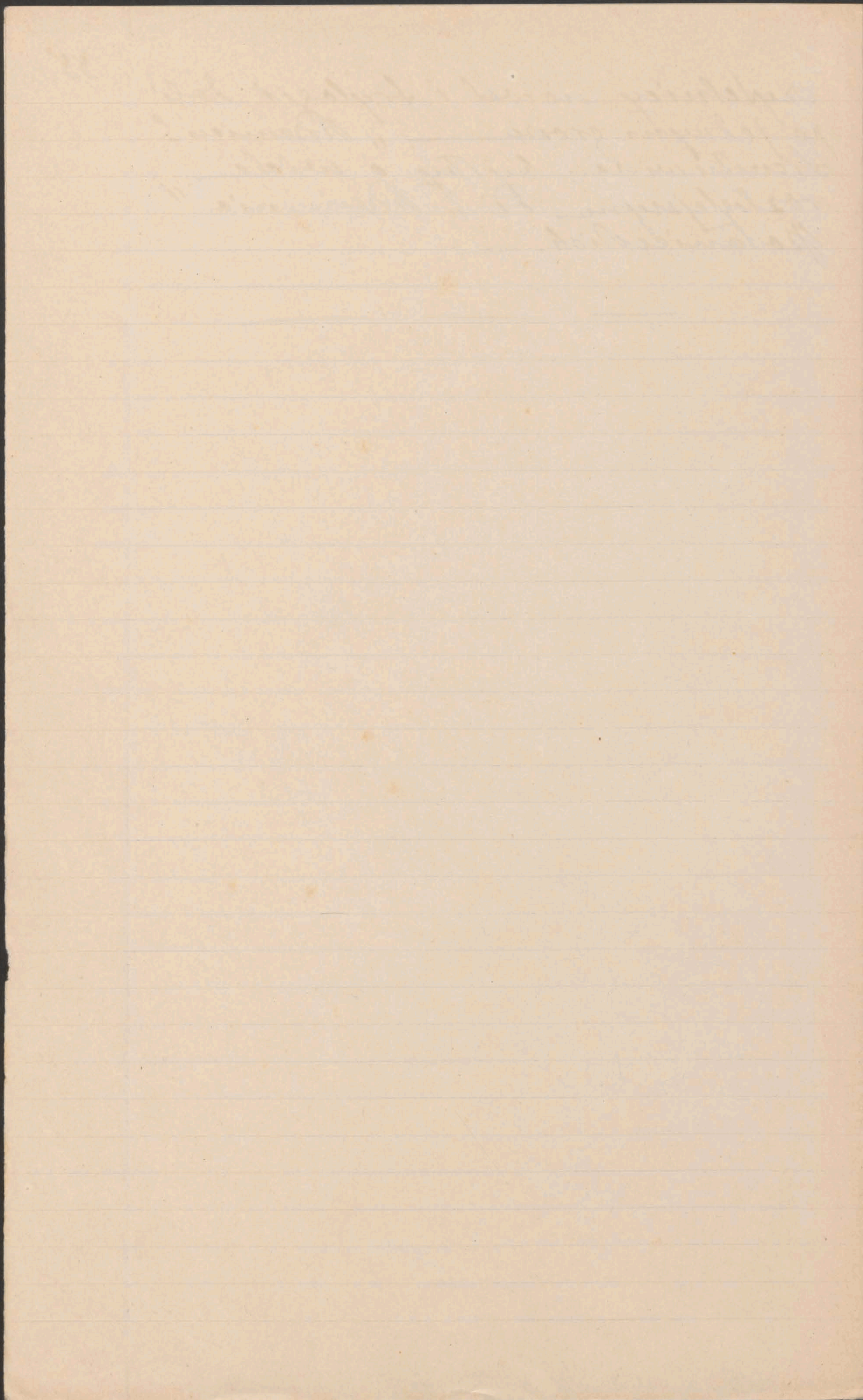

Czas z poniedziałku 24 grudnia 1900 r.

Krzyżacy.
Henryka Sienkiewicza.

— — —

Wczoraj, nie po raz pierwszy w życiu, musiał najsłynniejszy dziś na świecie Polak, stać jak ogłuszony radosnym pokłaskiem i okrzykami swoich. — Była to zapewne chwila ~~radosna~~ równie podniosła, jak ów hołd nagły, zrywający się z ust ludzkich, pochwalnych głosów po nominacji na honorowego doktora dumnej, pięciowiekowej wszechnicy. Obecnie zawrzało w Warszawie, a mimo wszystkich nieporozumień między dzielnicami, mimo tych gorzkich podpisów na rozbiory, to co Warszawa robi, znajduje jeszcze żywe echo w innych polskich stronach. — Jednego dnia, o jednej porze w miastach odległych o setki mil taki sam obchód zgromadził jednomyślne tłumy. I wszędzie wzlatał hymn pochwalny, wytrysnęły strumienie serdecznych życzeń, dziękczynień, błogosławieństw gorących. Zewsząd jednemu i temu samemu człowiekowi wołano z daleka: „Żyj i trwaj i działaj, zyskując nową chwałę. — Twoja sława jest i naszą sławą, jak nasze serca, wiesz o tem, są twoje."

— —

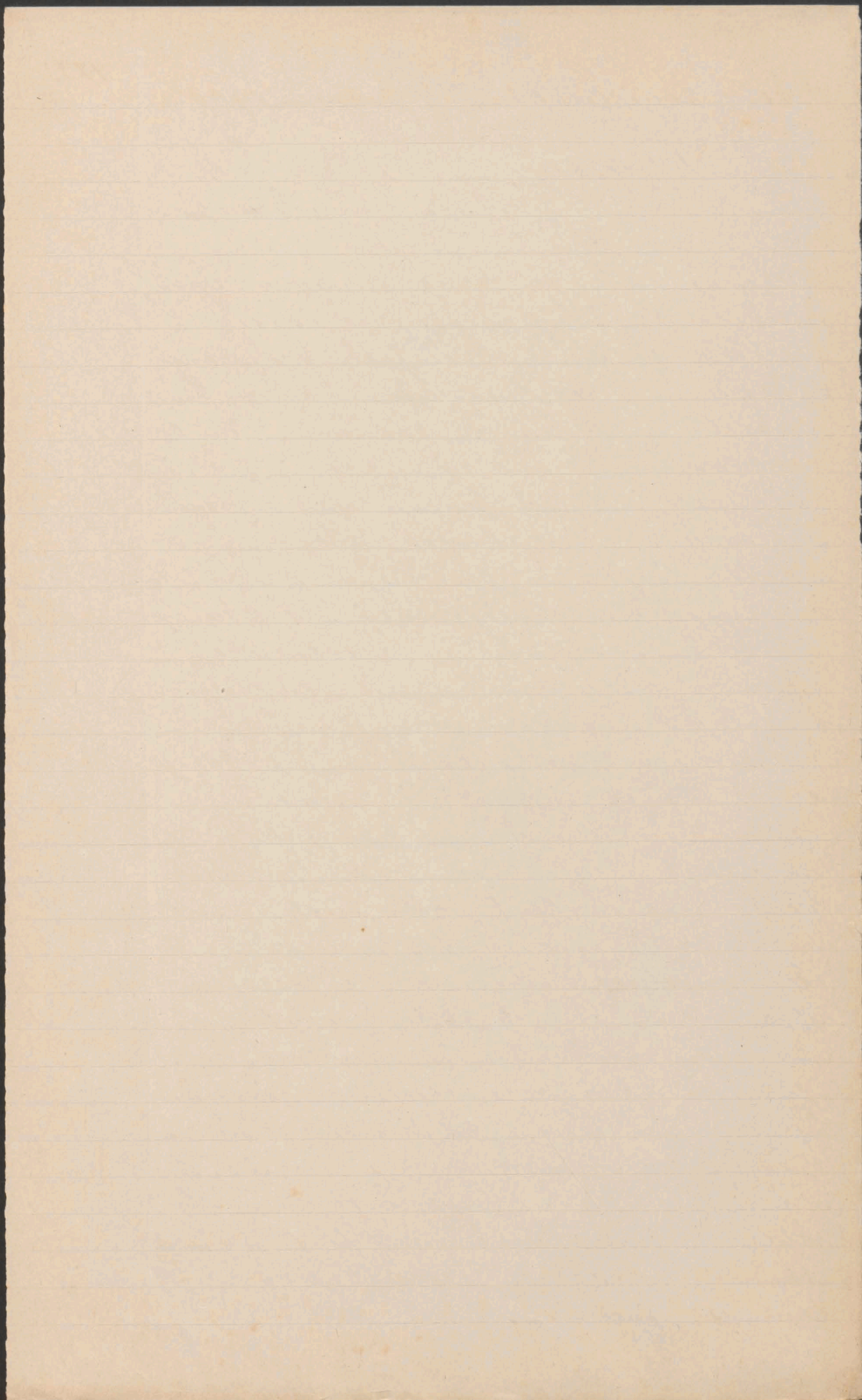

V

Od lat blisko dwudziestu jest ten
człowiek przedmiotem zajęcia, przy-
wiązania i czci, przedmiotem wdzię-
czności dużego narodu. — Od lat kilku
jest jednym z najgłośniejszych, i może
na obu półkulach najbardziej czyta-
nym żyjącym pisarzem. Jego to
zasługą, że ten przymiotnik, najdroższy
jaki mamy, przymiotnik „polski" od-
żywa się znowu i coraz częściej tam
gdzie go niechęć skazała na zamar-
cie. — Francya ostatnich lat usi-
łowała wycofać go z obiegu,
wykreślić ze słownika. — A oto
żyje, powraca do Paryża, dzwoni
na bulwarach. — Okrywa się pełnią
treści, żywotności i siły, bo Henryk
Sienkiewicz jest to poeta „polski"!
I nie wszyscy Włosi mieszają dziś
ze sobą takie geograficzne pojęcia
jak „Polonia" i „Bologna", a dzieci
amerykańskie wiedzą, że tam za
morzami, jest kraj zwany „Poland"
wiedzą, bo bawią się w polskich
rycerzy, w Skrzetuskiego, Wołody-
jowskiego, Podbipiętę. — A bliżej nas,
u ościennych wrogów, tysiące
niemieckich, setki tysięcy rosyjskich
czytelników, zapominają na chwilę
o nienawiści ku nam, bo z Rodziny
Połanieckich, z Quo vadis oczu
podnieść nie mogą. — Jeżeli co

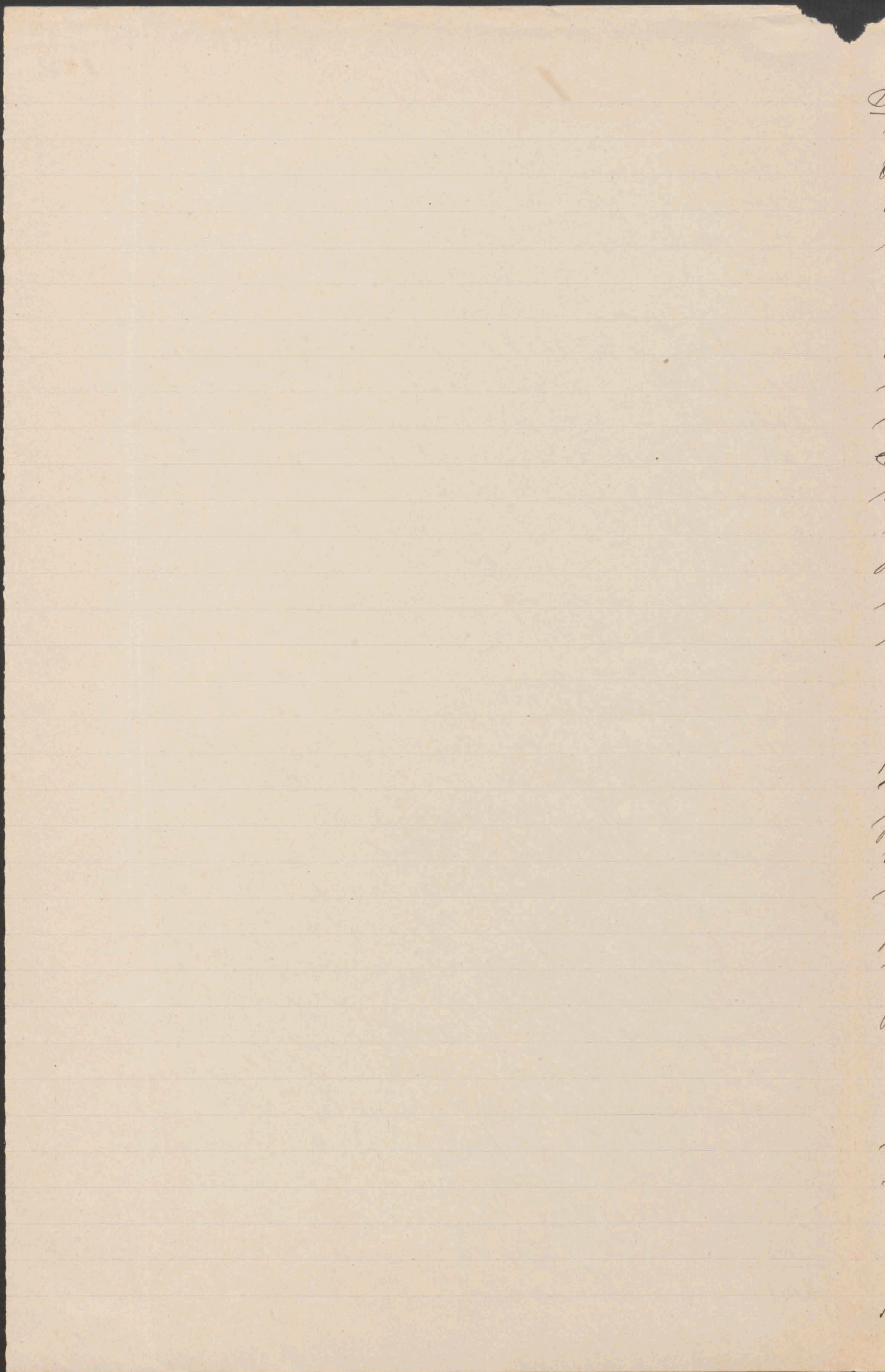

Hani są autobiograficzne rysy, to zapewne pan Bóg powierzył temu Henrykowi, który się bił z Selimem o Hanię: chłopiec dowiódł dobitnie i wygrał. — I żal tej Hani, że go nie kochała. —

Od wielu lat każdy człowiek, co się choć trochę zajmuje krytyką literacką, oceniał w pismach przynajmniej kilka dzieł Henryka Sienkiewicza. — Dziś miło jest niejednemu spojrzeć na dawne, wstępem sędziów zadrukowane dzienniki. — Na cichy głos szczerych ludzi odpowiadały bowiem liczne odgłosy ze wszystkich stron kraju, a nawet w tych, co głośno mówić nie mogą, jakby cichy szmer uwielbienia wstaje z ośnieżonych dworków, po nocy, per amica silentia lunae. Dzisiaj praca krytyka jest ułatwiona, jest przyjemnością. — Mówiąc po dawnemu, z przekonania, nie naraża się admirator na drwinki gazeciarzy o trochę tępym wzroku i nieco parafiańskim widnokręgu. Dziś ma się pewność zupełną, że najostrzejszy zarzut nie ujmie, najbezwzględniejsza pochwała nie przysporzy Sienkiewiczowi ani jednego czytelnika:
Ostatnia jego powieść nie obiegła jeszcze wszystkich ziem a w jednej

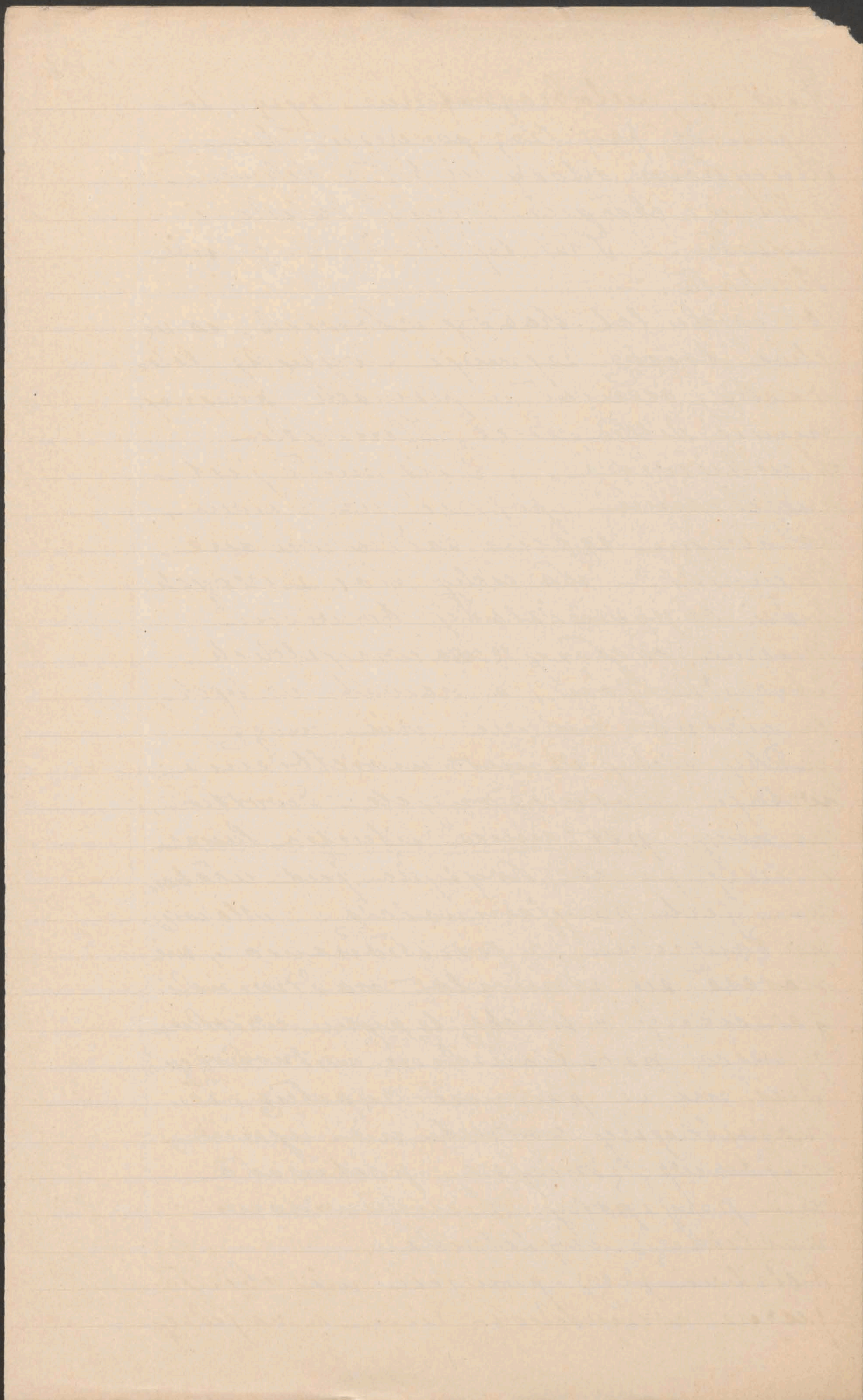

z nich nie dojdzie zapewne do popular-
ności. – Niemcy z przed lat dwudziestu
i piętnastu mogli podziwiać „Bitwę
Grunwaldzką" i „Hołd pruski" Ma-
tejki; stać ich było na to. W obecnej
dobie bezmyślnego zażarcia się i
wściekłości czy ocenią „Krzyżaków"
Sienkiewicza? Wątpię. – Ale i poza-
niemiecki świat jest, na szczęście
dość duży. –

~~III~~ II

Czem sobie Sienkiewicz zdobył naszych
czytelników? Zaraz szkicami obraz-
kami, jak na pierwszem miejscu
Janko muzykant, _Szkice węglem_,
lub _Hania_. – Cała generacya mężczyzn
kochała się za lat studenckich w
Hani, jak w żywej kobiecie. –
Równocześnie inna, nieco starsza,
widziała w _Szkicach_ nietylko arcydzieło
obserwacyi, malowania, humoru
i tragizmu naprzemian, lecz również
doniosły czyn społeczny. – Nad
Jankiem wylano tyle łez, że przyszły
autor _Potopu_ musiał się niemi
przerazić, pomyślał o innej twórczej
drodze. – W dziejach jego rozwoju
spotykamy raz jeszcze epokę, w któ-
rej zapragnął zarysować artys-
tycznie to, co jest; co jest obecnie,
na co wszyscy patrzymy. – W okresie
który wydał _Listy z Afryki_, ~~[illegible]~~

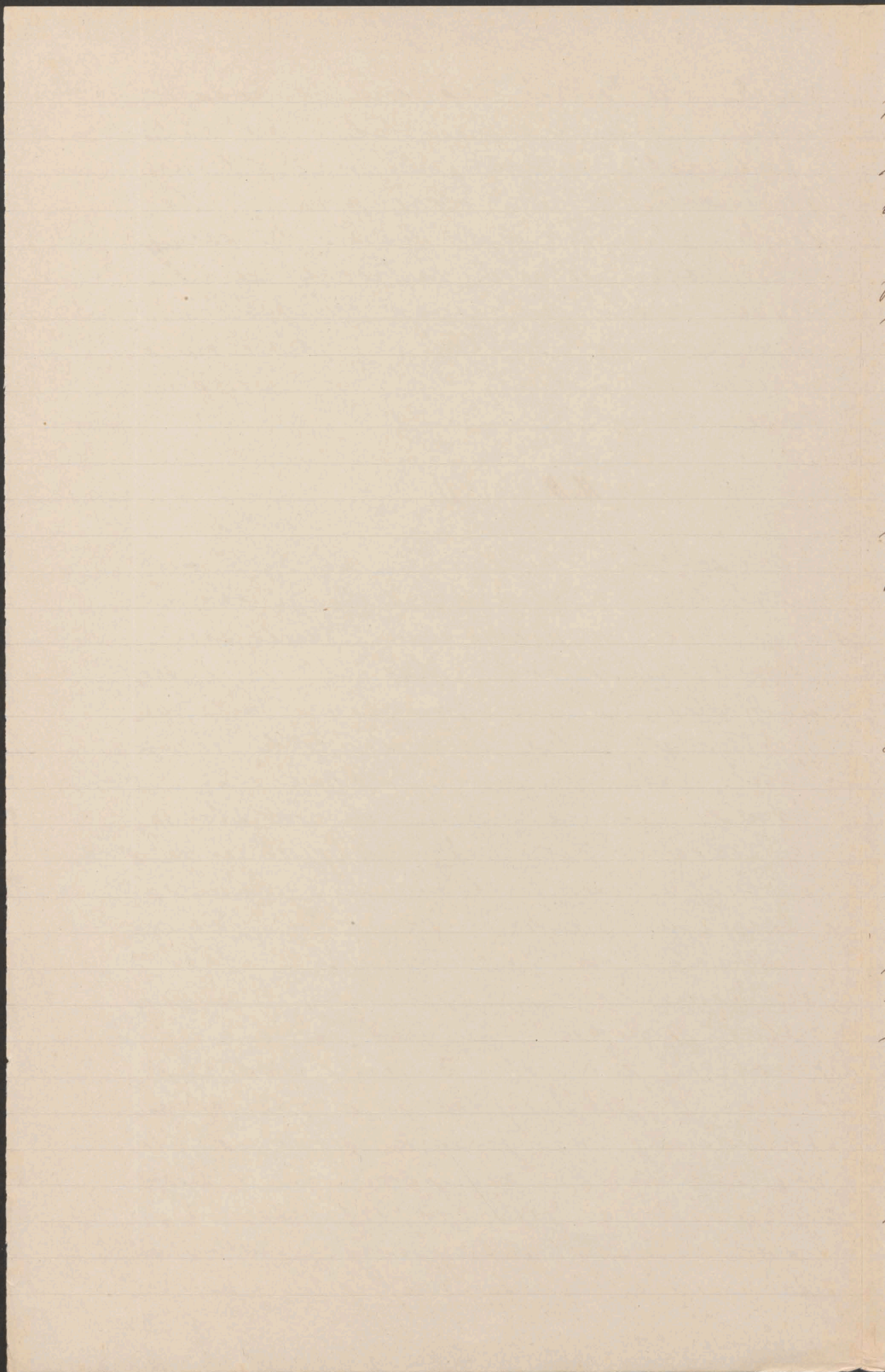

pierwszorzędny wzór polskiej prozy, pozo-
stały dwie powieści, z których chrono-
logicznie pierwsza nie wydaje mi się
do dziś dnia dość ocenioną. – A jednak
społeczne obawy przed zaraźliwym
przykładem Leona Płoszowskiego
były nieuzasadnione i płonne, książka
o dyletancie „bez dogmatu" nie wy-
wołała żadnej moralnej choroby,
żadnej, jak ją a priori nazwano...
Płoszowskitis acuta. – Społeczeństwo
okazało się ze bystrzejszem od więk-
szości krytyków, zrozumiało lepiej
przewodnią myśl Sienkiewicza.
Gdybym, po dziesięciu latach, –
eheu fugaces Postume, Postume –
miał po raz wtóry pisać o Bez
dogmatu, sądzę, że z dawnego sądu
nie wyrzuciłbym ani jednego słowa
nagany, ale wyrazy i powody podziwu
urosłyby mi w dziesięćkroć. Lata,
które mijają, nie przechodzą bez
wpływu.
Rodzina Połanieckich, drugie dzieło
tej twórczej epoki, źle skonstruowane,
a raczej przełamane w połowie, jest
mimo to najpiękniejszą polską
współczesną powieścią, najżywszą
w postaciach artystycznie zaś i
duchowo najbardziej szlachetną. –
Adam Asnyk, o którym wbrew
ludzkiemu gadaniu twierdzę, że wy-
soko cenił, szczerze podziwiał Sienkie-
wicza, radził mi kiedyś, abym przeczytał

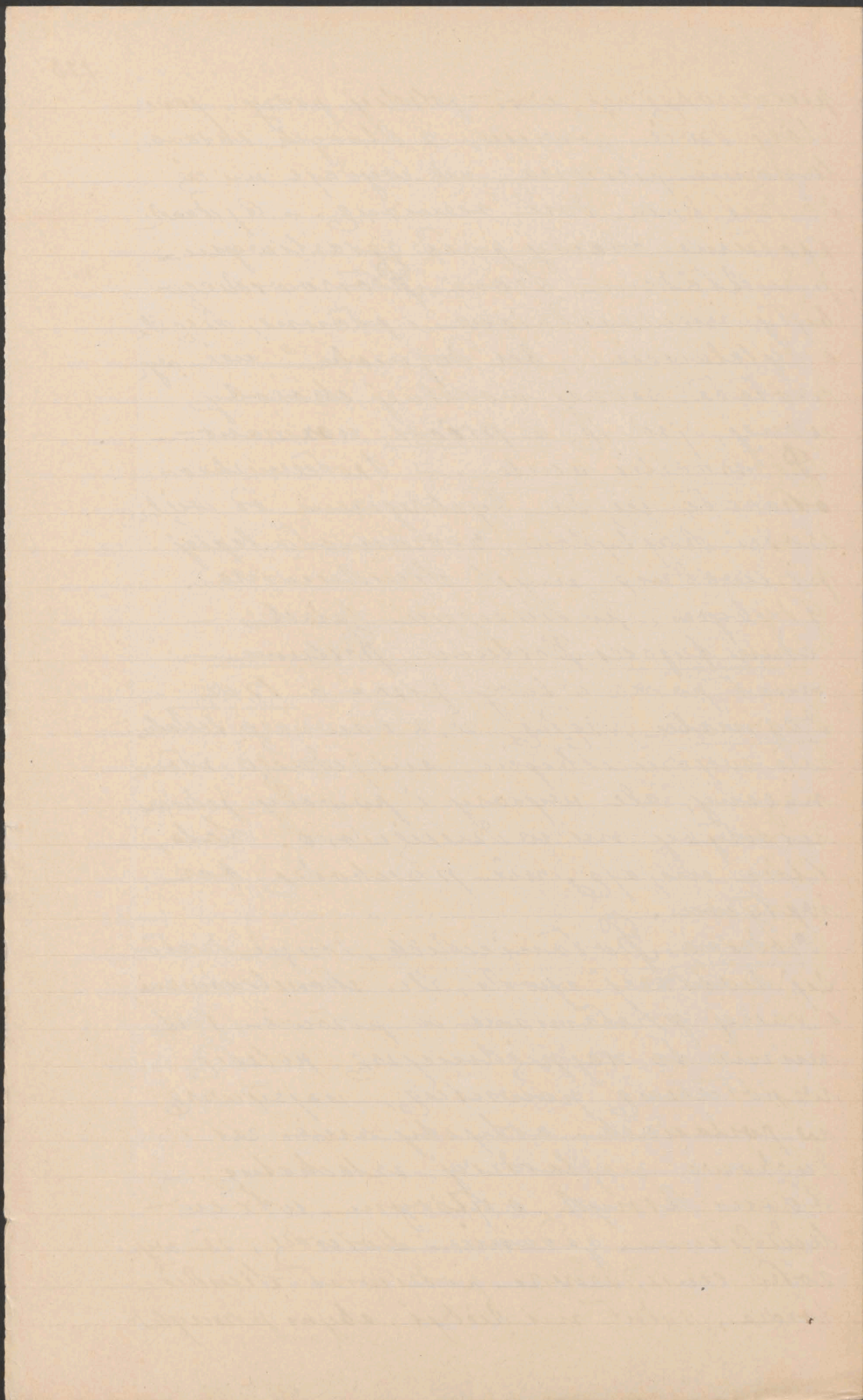

Daniele cortis Antoniego Fogazzaro.
„Zobaczy pan – mówił – jak to się zgadza z ludzkością, jaka w niej atmosfera podniosła i czysta, prawie jak w Rodzinie Połanieckich!" —
Przeczytałem, aby się raz jeszcze przekonać, że trudno być zarazem wielkim poetą i krytykiem, bo gdzież dziejom szlachetnego włoskiego polityka do historyi Maryni, gdzież temu nadmiernemu wyśrubowanemu bohaterstwu do całego, jasnego nastroju, pogody, wierności „służbie Bożej", – do zwykłego prostego poziomu takich Chwastowskich, albo pani Emilii? Dopóki Rodzina Połanieckich ukazywała się rozdziałami w Bibliotece warszawskiej, witano każdy nowy zeszyt mniej więcej tak jak list, pełen wieści o przyjaciołach i miłych znajomych. —
Odkąd ich historyę wydano w tomach, przedstawia się pamięci, jako wrażenie wrześniowego dnia bez zachodu, w pełni różanych oświetleń i złocistych blasków. —
A jednak nie te dzieła rozsławiły Sienkiewicza po świecie. —
Przekonać się, że na to się urodził, aby za dni dzisiejszych, wśród ciągłych zwątpień, bezpłodnej ironii i zgrzytów, które się zgłuszyć nie dadzą, opowiadać z przekonaniem, z całą szczerością, z olbrzymią kolorową wyobraźnią o tem co było i – jak to być musiało.

Po to, aby z przeszłości snuć ciągle nowe powieści piękne, wierne albo tak żywe i prawdopodobne, że dla nas czytelników są prawdziwe.

√ Po to aby z przeszłości snuć coraz to nowe powieści 215
piękne, wierne, albo tak żywe i prawdopodobne, że dla
nas czytelników są prawdziwe.

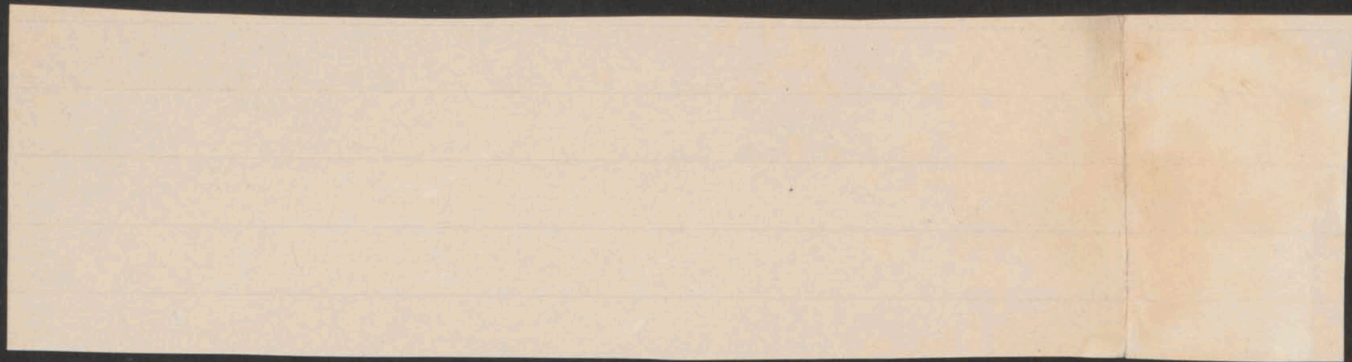

Po to, aby ktoś znowu prawił o bohater-
stwie mężów, o cnocie kobiet pięknych,
o walkach, klęskach, trwogach istot
leżących od dawna pod wiekiem sar-
kofagów i na wiejskich cmentarzach,
o niebezpieczeństwach zagrażających
ludziom i krajom, rodzinom i ojczy-
źnie, o okrucieństwie zamierzchłych
dni; o zapomnianem kochaniu, o
poświęceniach i pogardzie śmierci. —
Rzekłbyś, że epiczna poezya, ze
wszystkiemi siostrami, z baśnią,
z legendą, z rycerską powieścią i
anegdotą żołnierską, pomyśly, że
przeszedł już czas, przez który spać
im kazano i wyciągając z martwoty
ręce, przecierając oczy wróciły na
świat, upomnieć się o swe prawa.
I napastowały przed laty kołyskę
poety, uniosły się nad nią jako dobre
wróżki. — Dały mu moc tworzyć, wskrze-
szać, zabijać i uszczęśliwiać ludzi.
Okazało się, że poeta mężnego był
serca, zwolennik śmiałych wypraw,
trudnych przedsięwzięć, zakochany
w miłości, a nie tylko w sławie. —
Toteż dzieciom swojej fantazyi łez
swego życia nie dał, kazał im
walczyć bez przerwy, narażać się
na zgon okrutny, wielu umorzył,
jeszcze więcej szczęśliwie wybawił.
Bo jako mąż silny, jak i litosny,
wiąże po latach, dziesiątkach lat nie-
pokoju i męki, daje im raj na końca

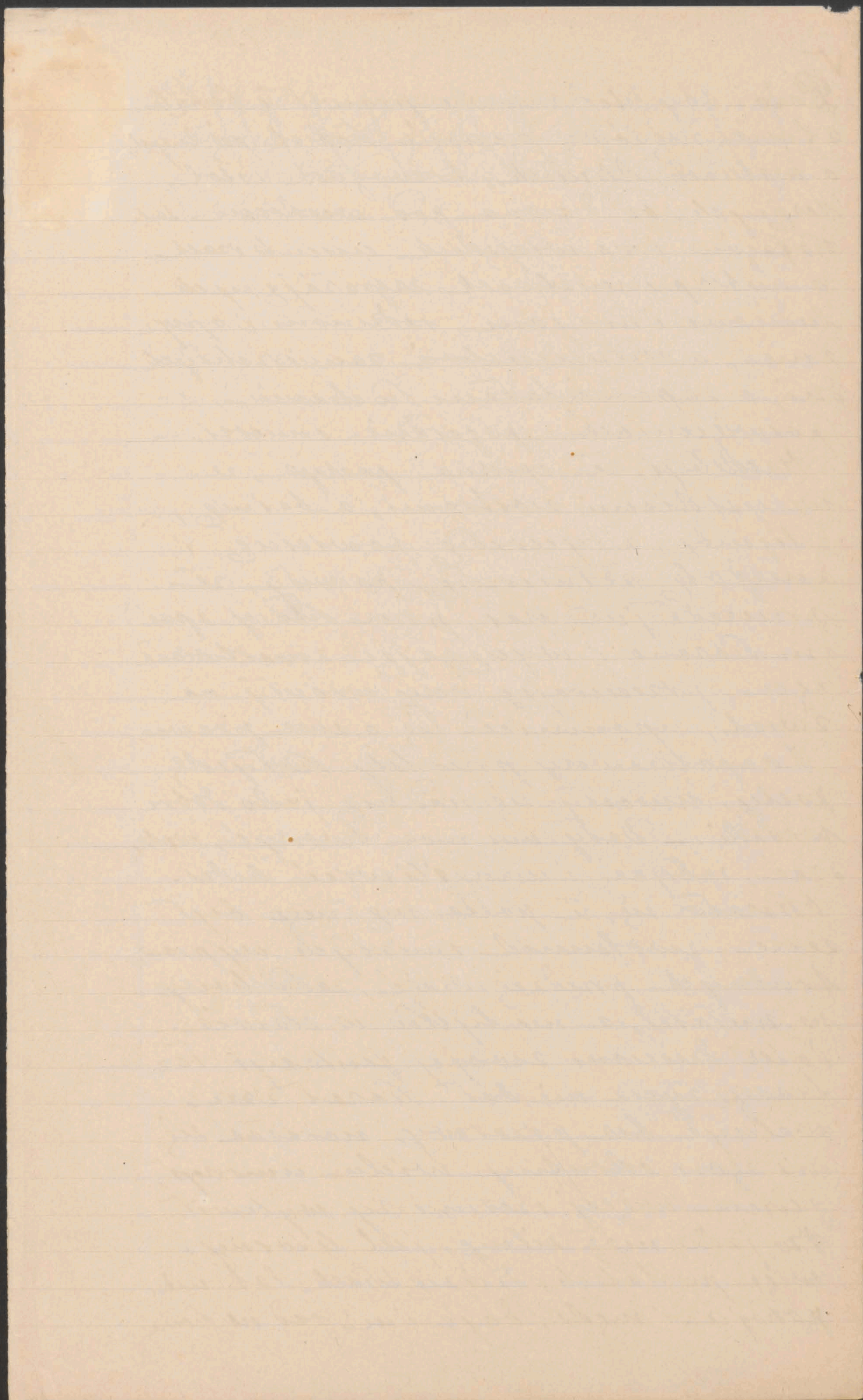

pogodę, ukojenie i miłość. — Okazało się również, że ten poeta, u którego wiarą rozliczne byty miały zawisnąć, jak pokazuje, iż o swoim narodzie myśli to samo, co ksiądz Kaleb w Krzyżakach o Jurandzie ze Spychowa: „co mu ostawili? Nic, tylko pamięć kim był i rozeznanie nędzy." —

I dlatego to w świecie postaci, które stworzył, w tym swoim, własnym świecie, Sienkiewicz niesie różne leki i dryakwie na rany. — przynajmniej dla grona duchowych swych synów, przynajmniej w literaturze nuci „pieśń szczęśliwą" Mickiewiczowskiego Konrada. —

I Krzyżacy są poematem, pełnym przygód, zdarzeń, najstraszniejszych „terminów," kończącym się radośnie dla wielu bohaterów, kończącym się, co ważniejsza, chwilą narodowego tryumfu. —

Złote baśnie i epopeje zwykły się zamykać majorowym tonem. Natomiast tak dramatyczny i tragik jak Matejko, nie zadowolnił się Bitwą pod Grunwaldem, musiał wymalować jej epilog, postawić bolesnego błazna i przewidującego przyszłość uczonego wśród blasku i przepychu, wśród pustych ceremonii zawodnego Hołdu. —

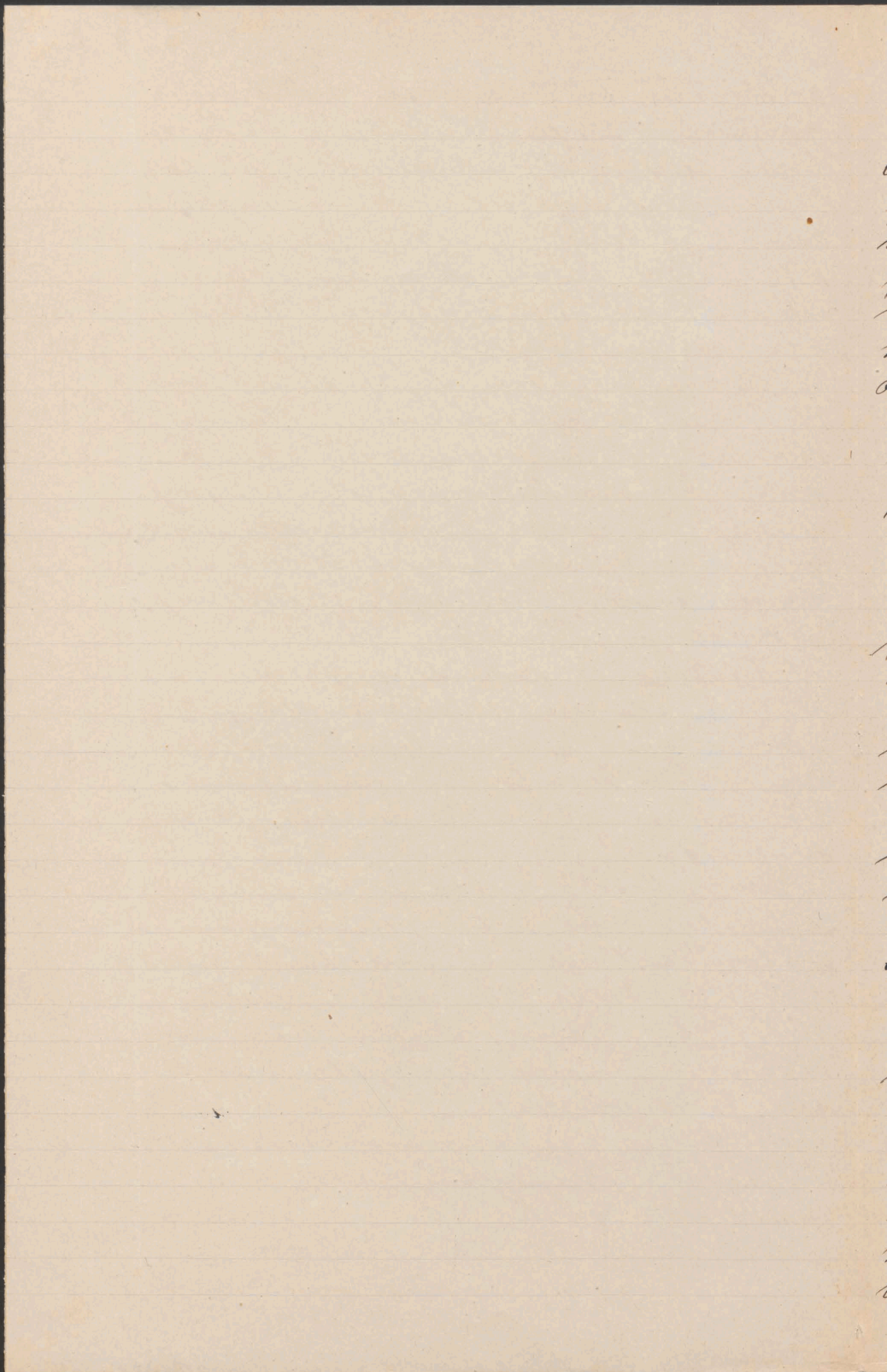

III.

Niebezpieczna to była sprawa pisać powieść ze schyłku połowy XIV i początku XV stulecia. – Łatwiej przedstawiać czasy Nerona, obyczaj rzymskiego społeczeństwa, tak dobrze zbadany przez niezliczonych archeologów i historyków starożytnej cywilizacji, świat katakumbowy, rozświetlony przez takich uczonych, jak Giovanni Battista de Rossi, cały zastęp jego towarzyszy i uczniów. Wyobraźnia, nieustannie podsycana ogromem znanych, ściśle zbadanych faktów, może się swobodnie obracać w odległej epoce. – Chodziło tylko o intuicyę, o zdolność wniknięcia w dwa dalekie, współczesne ustroje w dwie odmienne duchowe strefy. Swojski, krwią i czasem bliższy wiek Potopu, wymagał może większych badań, większego wysiłku, ale, jako rodzimy i nie tak odległy, sam się układał w obrazy, sam prosił o przedstawienie. Anegdotyczni, gadatliwi poeci, pisarze fraszek, autorowie pamiętników, jak Pasek, stawali za twórcą Zagłoby, i w miarę pisania podsuwali mu rysy obyczajowe, koncepta, zwroty jędrne, dobitne, życia pełne, zwroty, które on jedn wybrał, pojął, zużytkował. –

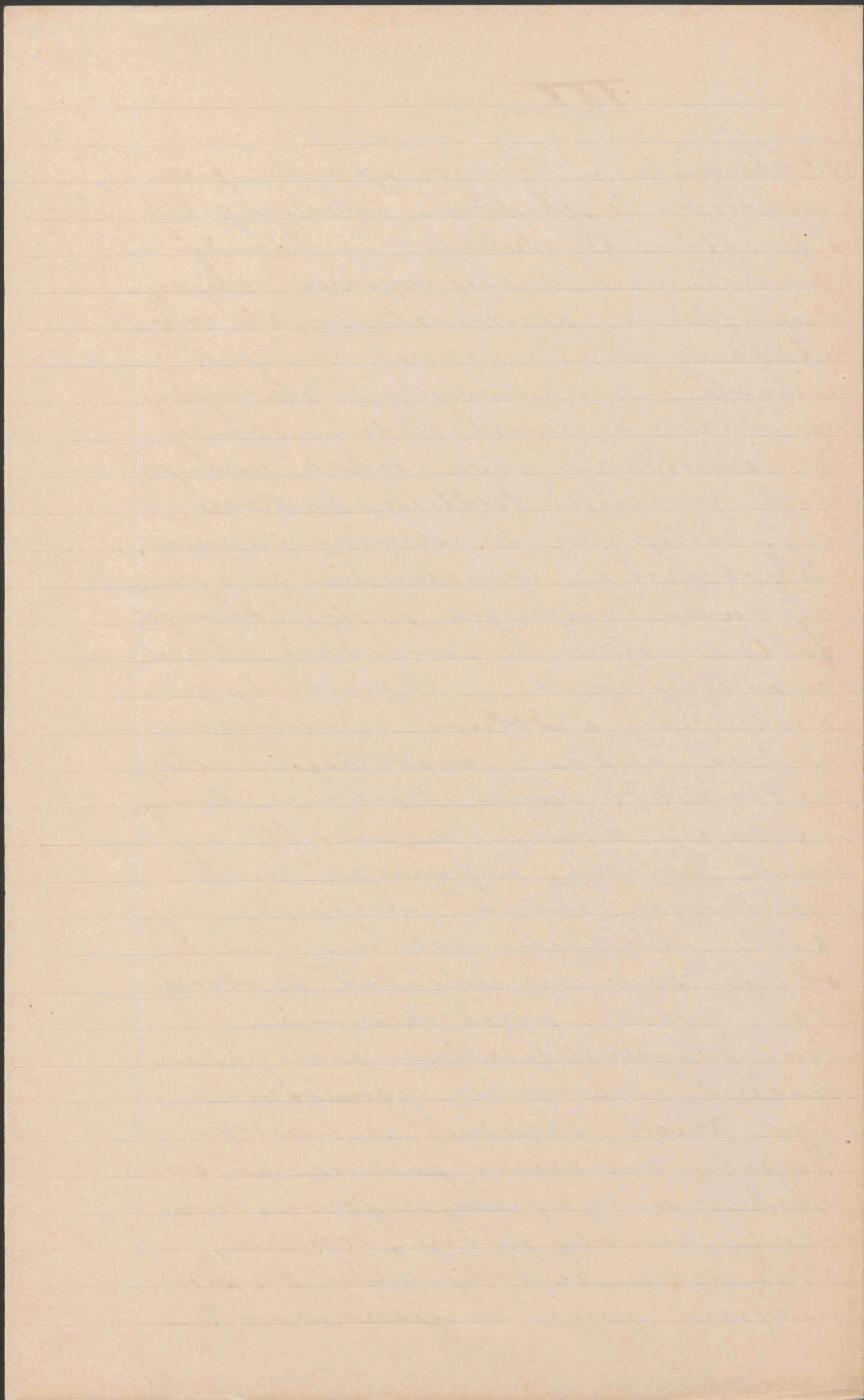

Stanęła za nim i Historya, pani o groźnej, najwspanialszej twarzy i wymieniała kolejno wielkie dane i wielkie przedsięwzięcia. —
Inaczej z epoką Jadwigi i Jagiełły. Dzieło Szajnochy nie daje dostatecznej ilości charakterystycznych szczegółów, żaden pamiętnik nie maluje obyczajów w kraju. — po księgach sądowych, po grodzkich zapiskach możnaby pilnie szukać wiadomości, ale rezultat nie odpowie podobno długiemu, żmudnemu badaniu. — Żeby swobodnie korzystać z obyczajowych rysów, musi powieściopisarz mieć ich pełno w zanadrzu, tak, aby nie potrzebował ich szukać, a mógł je wytrząsać z rękawa. Sienkiewicz uczynił więc słusznie, nie oddając się w drobiazgowe dociekania. — odrobiny, któreby ze starych aktów wyłowił, weszłyby jak kawałki świetnej mozaiki w jego śmiałe, szerokie malowidło *al fresco*, rozrywałyby tylko wrażenie. — Nie obeszłoby się zapewne bez objaśnień, bez przerw w spokojnym toku opowiadania. — Profesorowie historyi, nawet poetycznie uzdolnieni, obdarzeni wyobraźnią, bywają zwykle złymi powieściopisarzami, bo szczegół, drobiazg zanadto ich krępuje. — Zresztą, jak mi to świeżo mówił pewien znakomity znawca polskiego

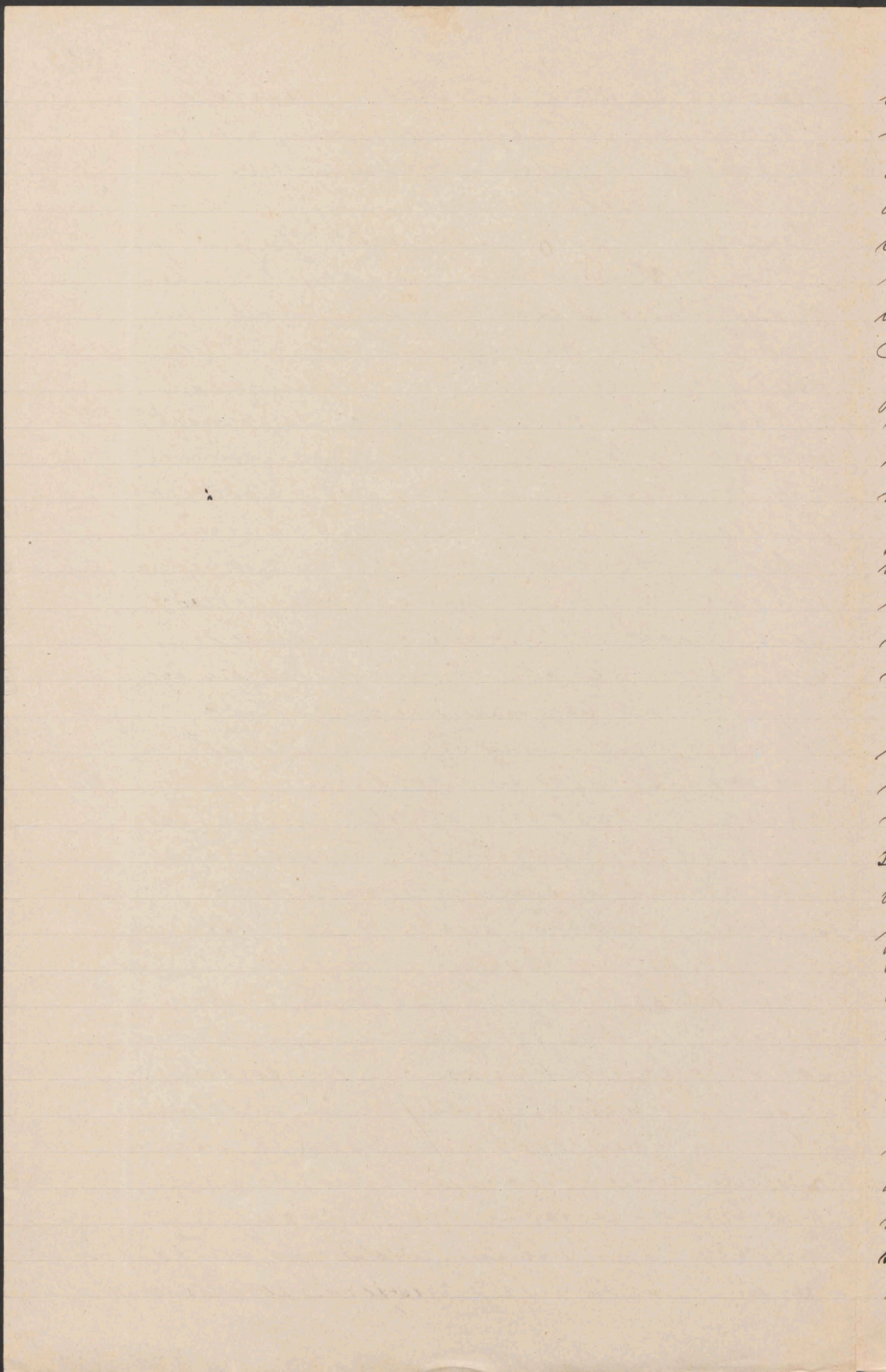

średniowiecza, jest w polsce pół tuzina najwyżej tuzin uczonych, zdolnych sobie w głowie wytworzyć jako tako obraz naszego życia w przededniu Grunwaldu, obraz niebardzo konkretny, prawie zupełnie indywidualny, na osobistych hypotezach oparty. —
Sienkiewicz zaś nie chce pisać dla garstki, nie powinien dla niej pisać i nie umie. — Swoją drogą pomimo wybranej epoki odbił się niekorzystnie na całym utworze. — Wie przeto, że prócz kilku ulotnych opisów grodów, kościołów, uczt albo turniejów, Sienkiewicz, który w Quo vadis tak hojną ręką naszafował scenami z codziennego życia, unika ich niemal w Krzyżakach. Ale dlatego, że uzupełniając rolę cywilizacyjnego tła w powieści, czuje się niejako w obowiązku poświęcić wszystko bogactwo malowideł i opisów przyrody. — Podczas choroby królowej Jadwigi ciągną po Krakowie procesye i „całe miasto zakwitło chorągwiami." —
Kiedy Danusia wyznała „niewinny zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. — pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu, wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal!" — Gdy Zbyszko z Maćkiem wjeżdżają do

Krakowa, proza poety poczyna się złocić, błyszczeć i mienić się od barw, wrzeć zgiełkiem, krzykiem i ~~gwarem~~ gwarem. Sienkiewicz przestałby być sobą, gdyby nie rzucał na kwiaty świateł, widm i tęczy. — Ale wyraźnych obrazów dawał niegdyś więcej, on największy polski pisarz-pejzażysta naszych czasów. — Największy znaczy tym razem tyle, co ogromnie wielki. Chwilami pokrewny Matejce, bywał z rozkoszą rywalem Chełmońskiego.

Pomijając tło obyczajowe i malarskie, autor Krzyżaków musiał całą swą uwagę poświęcić ludziom, a raczej ich losom. Bo dusza tych ludzi jest ciemna, jak ówczesny bór, który z całej przyrody jeszcze najczęściej ukazuje się w powieści, stanowi dla scen tylną dekoracyę albo okalającą ramę. — Tę duszę trzeba było odtworzyć — niemal z niczego, stworzyć niemal wyłącznie z intuicyi. — Na Zachodzie ileż poematów, ułożnych pieśni, kronik, nawet pamiętników i osobistych wyznań pozwala zajrzeć w usposobienie średniowiecznego człowieka! U nas suche annały, zapiski, dotyczące przeważnie historyi politycznej, w sądowych papierach ubocznie wzmianki o sposobie życia, stosunkach majątkowych i rodzinnych — oto wszystko, czem rozporządzamy. — Sienkiewicz poradził sobie w ten sposób, że

sięgnąwszy naprzód do zachodnich dwor-
skich przepisów, do prawideł walki na
polu bitwy i na „udeptanej ziemi," zaz-
nurzył całą się rycerskość w pewnem
swojskiem chłopstwie. – Mądrą, śmia-
łą ręką skojarzył nawpół ludowy,
grubszy pierwiastek z jakimś obcym
polorem, przywiezionym z współczesnej
Europy. – Taką drogą mógł osiągnąć
wrażenie prawdopodobieństwa, a
chociaż postacie, które wprowadza,
zdają się chwilami należeć do bardzo
różnych epok, wywołał pewien nastrój
ogólny, jednolity. – Zapominamy, że
towarzyni Jagienka, walcząca z nie-
dźwiedziem, ma pewne cechy kobiety
przedhistorycznej, niemal jaskiniowej;
że ojciec jej, Zych ze Zgorzelic, wesoły
improwizator piosnek, przypomina
językiem raczej swego prawnuka
Zagłobę, niż ludowego poetę.
Bo mowa stanowiła podobną, może
jeszcze większą trudność. – I tu można
było grzebać po dokumentach, aby
osiągnąć drobne, nieużyteczne zdobycze
i tutaj Sienkiewicz słusznie pogardził
zbytnim archaizmem. – Jednakże on
tak nawykły do władania całą
klawiaturą, a raczej całą orkiestrą,
poczuł, że musi mieć jakąś poważną
pewną językową podstawę, na
kształt tej, którą mu niegdyś dali
Pasek albo Wacław Potocki. –
O tuczanie Sienkiewiczem, jako

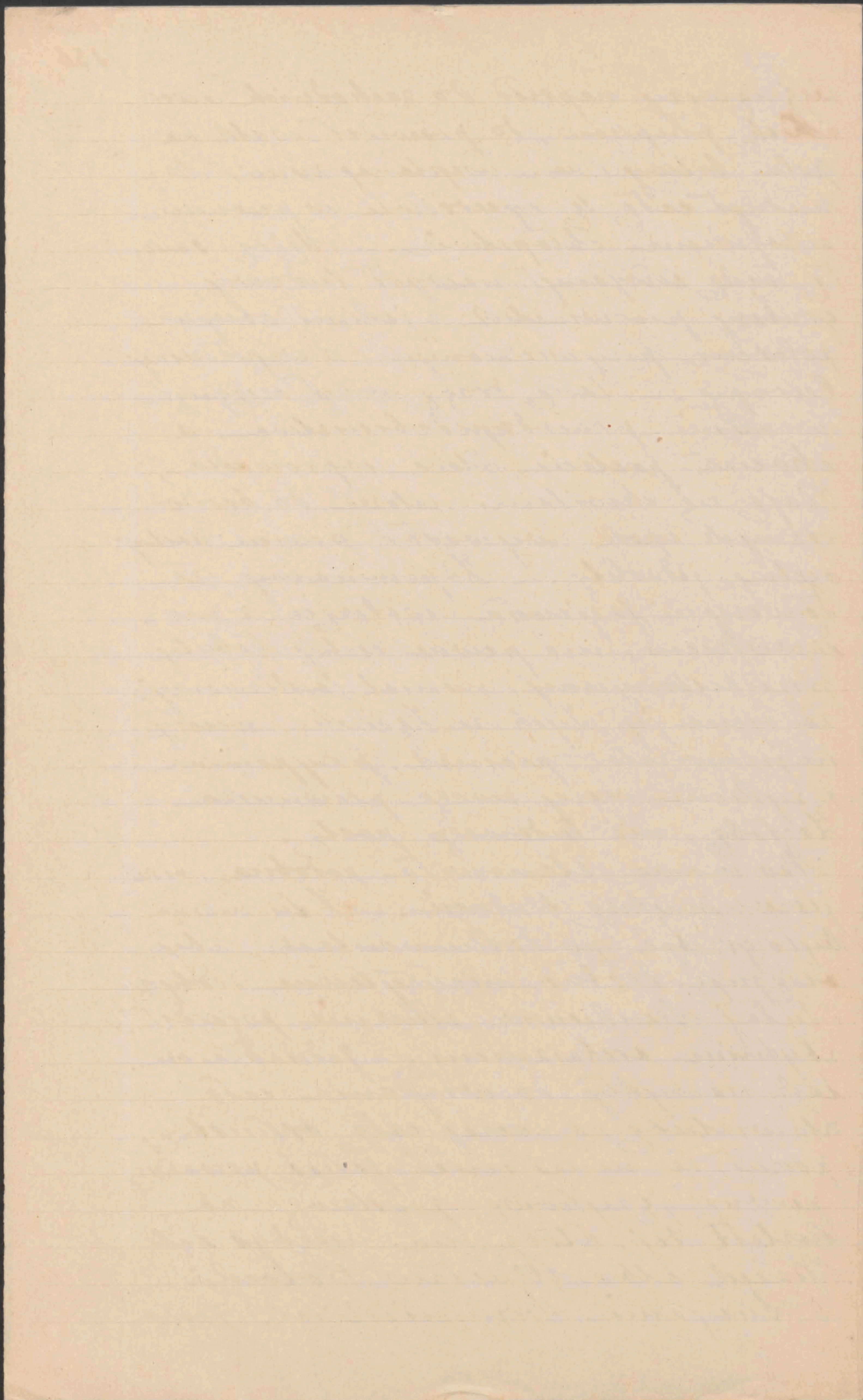

tłómaczu powiedziano: „że obmył język polski w żywem, rodzinnem źródle słowiańszczyzny, biorąc żywcem niektóre wyrazy i zwroty czeskie i ruskie." Sienkiewicz sięgnął do gwary zakopiańskich górali, użył wyrazów, których się musiał od Sabały nauczyć, dla niego i naszych „taterników" zrozumiałych, ogółowi obcych. — Trącą one przeszłością, mają jakiś smak staroświecki, ale nie starają za całą mowę wielką, jasną, bogatą. — Autor Potopu zapewne bezwiednie, ucieka się czasem nie tyle do swego własnego słownictwa, którem język ojczysty tak wzbogacił, ile raczej do wyrażeń i zwrotów XVII wieku. I znowu trzeba jego mistrzostwa w zestawianiu wyrazów, we wzajemnem oświetlaniu ich i rzucaniu refleksów — trzeba Sienkiewiczowskiej wielkiej sztuki, aby ta proza, powstała z różnorodnych składników, była tak bardzo śmiałą przejrzystą i gładką. —

XV.

Dokładny rozbiór Krzyżaków, śledzenie kompozycyjnej linii, ocena poszczególnych postaci — wszystko to wychodzi oczywiście poza zakres niniejszej dziennikarskiej zapiski. — Nie mogę jednak kilku uwag, figur i szczegółów przemilczeć. —

Powieść zamknięta między latem

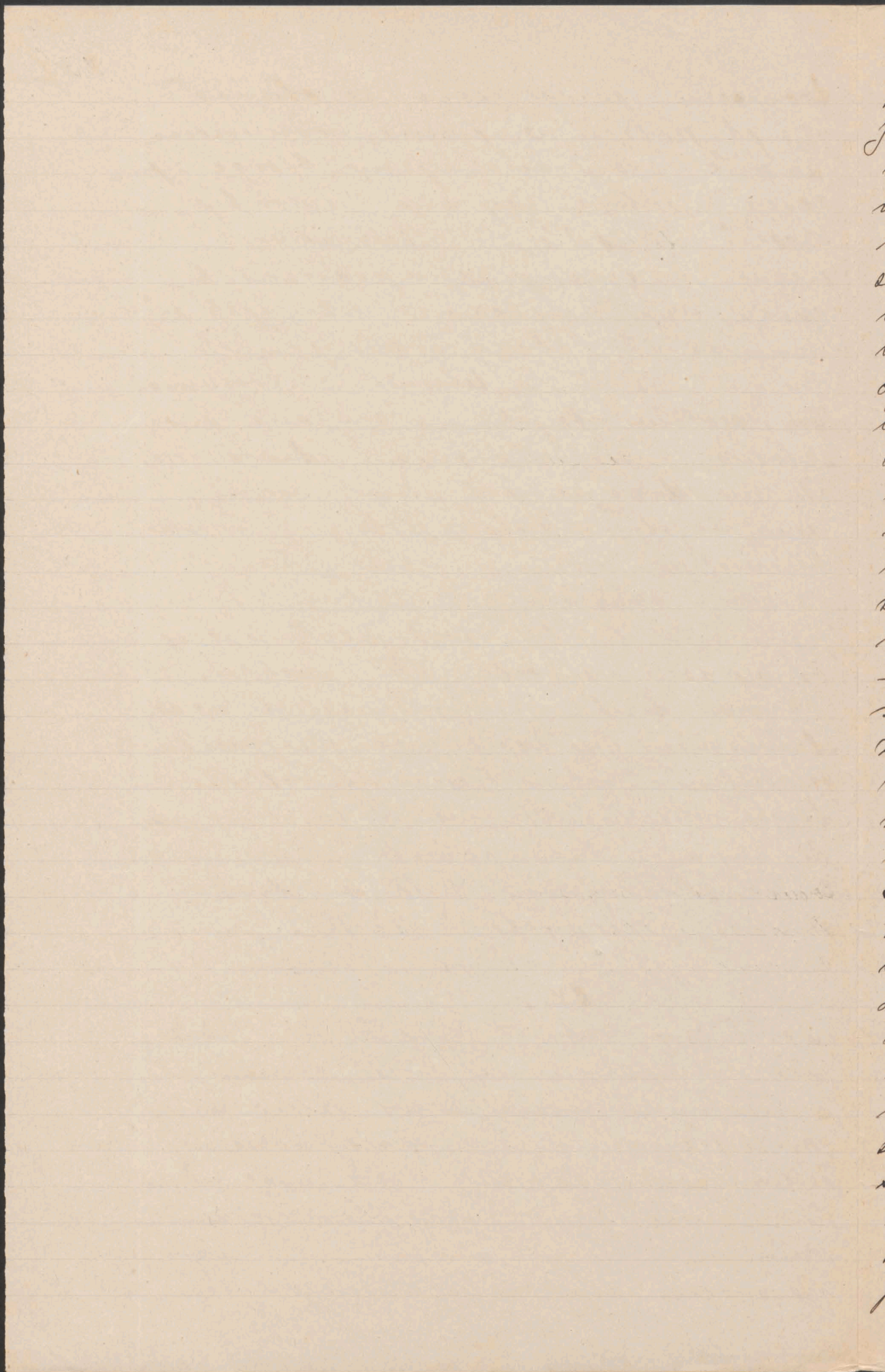

1399 roku, w ciągu którego umarła Jadwiga, a dniem 15 lipca 1410, dniem walnej bitwy pod Grunwaldem i Tannenbergiem, ociera się dłużej o polityczną historyę tylko w początku i na samym swym końcu. W pierwszym tomie z nieporównaną sztuką spleciono sprawę bohaterów z ogólnemi dziejami. — Po opisach Tyńca, karczmy i klasztoru, po wybornych obyczajowych obrazach, kreślonych ze swobodą epicznego poety, który sobie zrazu pozwala na drobne rysy, bawi się jeszcze szczegółami, po wolnym biegu powieści, rozlewającej się w szerokie koryto jak Wisła pod murami benedyktyńskiego opactwa, — następuje pierwszy wir, pierwsze zawikłanie. — Przygoda Zbyszka z Lichtensteinem wygląda jak rozdział z Don Quijote'a. — Na tem się zresztą kończy podobieństwo z Cervantes'em i żaden Sancho Pansa nie będzie towarzyszył rycerzowi z Bogdańca. Kupczący relikwiami Sanderus, gwałtowny opat, krotochwilny Zych ze Zgorzelic przesuną się tylko wśród opowiadania, żaden nie wyrośnie na wielką komiczną figurę. — Ni bladnie natomiast charakterystycznych postaci, jak ci dwaj praszczurowie Głowackiego, nieszczęśliwego wielbiciela Maryni Połanieckiej, Wilk z Brzozowy i Cztan z Rogowa. — Na pierwszym planie stoi poważny „stryk"

Maćko, stary krzepki rycerz o wilczej twarzy, chciwy na łup, w gruncie szlachetny ale twardy i przemyślny na kształt boskiego Odysa. –
Losy i jego i synowca wiążą się teraz odrazu z dziejami Królestwa, ze zdrowiem Jadwigi i nadzieją jej macierzyństwa. – Dopóki królowa nie powije dziecka, nie można ani ścigać chłopca ani się za nim wstawiać u Jadwigi, bo lekarze obawiają się dla niej „turbacyi."
Jak ten Sienkiewicz dba o spokój biednych kobiet, wyczekujących i słabych. – Widok wstrętnego idyoty w górach przeraża i pośrednio zabija Anielkę z Bez dogmatu, widok skazańca może zabić Jadwigi.
Umiera jednak otoczona, jako święta. Profesor Wojciechowski, który w spojrzeniu na przeszłość posiada bystrą wprawę wielkiego badacza, a zarem jakby intuicyę rozmiłowanego poety, słuszny sliczne brak starego godnego Jadwigi grobowca na Wawelu.
Naco jej budować mauzoleum, skoro myślano, że lada dzień, zaliczona w poczet świętych, legnie w katedrze godniej, na ołtarzu..
Obraz, tej rzeczy, którą współcześni otoczyli królową, obraz ludu stojącego godzinami przed zamkiem, aby się czegoś o jej zdrowiu dowiedzieć, należy do najpiękniejszych stronnic, jakie kiedykolwiek Sienkiewicz napisał.

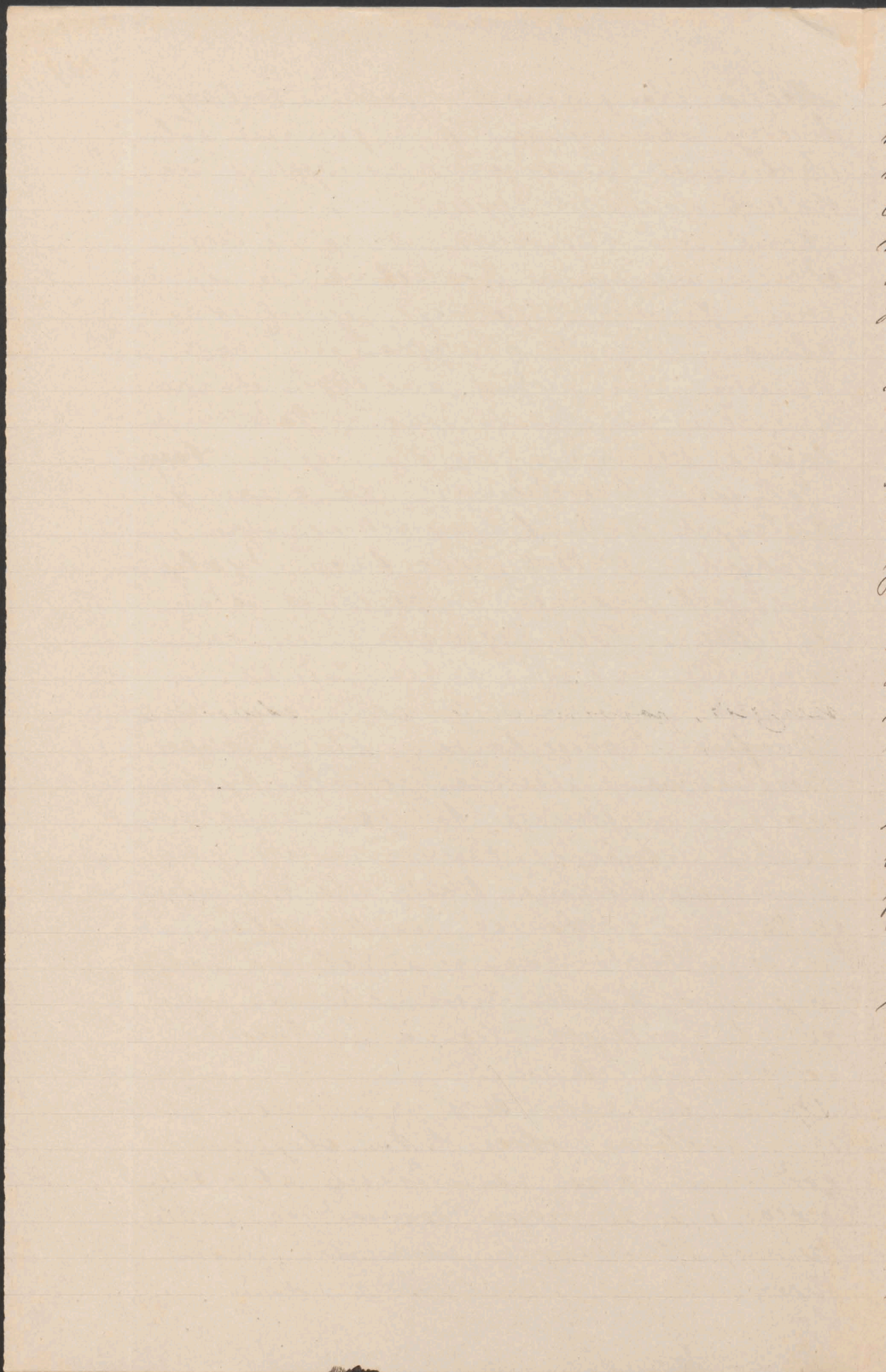

Widać, jak tam na fali ludzkiej tworzą
się za nową wieścią kręgi, jak przypływa
i odpływa powstaje... Aż wywieszono
czarne chorągwie na wieżach i dzwony
zabity... Teraz można przystąpić
do wykonania wyroku śmierci na
Zbyszku. – Stryj Maćko, nie mogąc
go uratować, zakupił przynajmniej
nowy płat czerwonego sukna – pod
pień katowski. – Zbyszko nie położył
jednak na nim szyi, bo na krótkie
własne szczęście, na własną długą nie-
dolę ocaliła go Danusia, córka
Jurandowa. –
Wspominałem tu kiedyś o niemieckiem
ludowem podaniu, jakoby stawiąc
dla nowożeńców dom, siedzibę trwałego
szczęścia, powinno się jakieś stworzenie
żywcem w niej zamurować.
Sienkiewicz jest chwilami również
bezlitosny, jak legenda. – Dziewczęt-
kom, jak Litka i Danusia, które
przedewszystkiem kochać, i potem ginąć
z miłości, której jeszcze ani rozumieć,
ani znać nie mogą. – potrzeba ich bólu
i śmierci, aby panna Marya Pławicka
poślubiła Połanieckiego, a Jagienka ze
Zgorzelic – Zbyszka. – poeta wyprawia
tym dzieciom pogrzeby, wspaniałsze
od tych, za którymi chodzimy wśród
dźwięków marsza i łopotania chorą-
gwi – mimo nic nad pogrzeb
Litki. – A jednak nie można się oprzeć
wrażeniu, że on także łagodny, z bólem

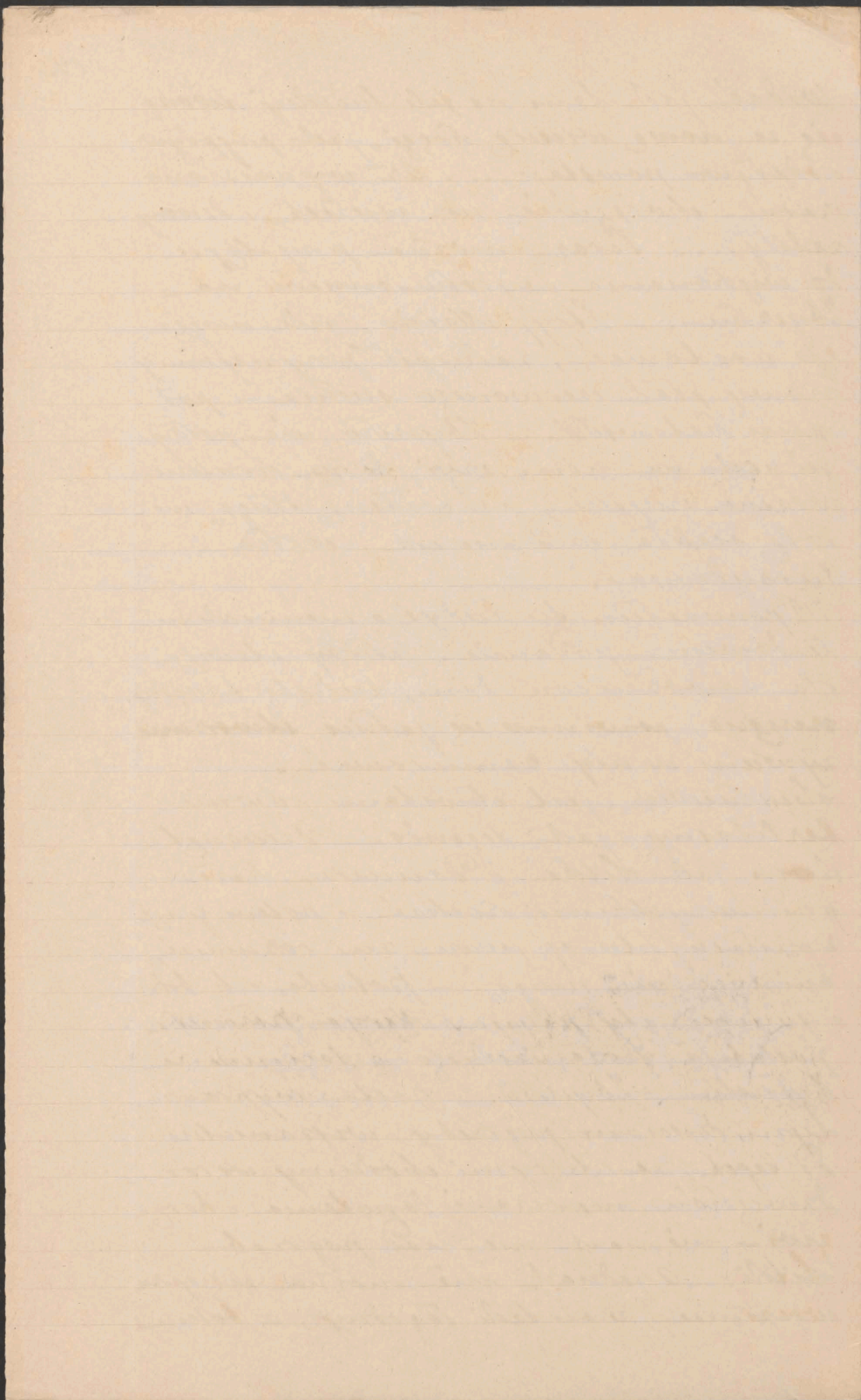

ludzkim współczującym, zabija te dzieci już rozmiłowane a jeszcze bezbronne.
Stary Maćko uraduje się wielce, kiedy po latach od zgonu Danusi, Zbyszko pojmie Jagienkę za żonę, bo dwa porządki powiększą rodzinny majątek, ale w radości nie zapomni o dawnych swoich ślubach pomsty, o nieustannych krzywdach kraju. — Naród, naród cały szamocze się pod bezczelnością i zdradą mnichów bez chrześcijaństwa, mnichów w pancerzu, a bez rycerskiej duszy. —
— „panie" — mówi do komtura stary kasztelan Tęczyński — „tak nastajecie na życie tego młodzianka, jakby on całemu waszemu Zakonowi był straszny. — Zali wy, Krzyżacy, już się i dzieci boicie?
— „My, Krzyżacy nie boim się nikogo!" — odparł dumnie komtur. —
„A stary kasztelan dodał z cicha:
— A zwłaszcza Boga.
Później Zbyszko pyta się Juranda o Niemców:
„Ojcze!... Toćby im lepiej było na miłość ludzką, niż na pomstę zarabiać. Po co oni tyle krzywd wszystkim narodom i wszystkim ludziom czynią?
„A Jurand rozłożył jakby z rozpaczą ręce i odrzekł głuchym głosem:
— „Nie wiem...
W istocie nie widzieć, co ich tak gna od wieków po cudze ziemie i ludzi

niewolników. — A chociaż Sienkiewicz z artystycznych względów w największych okrutnikach i szalbierzach, rozbudza czasem jakieś człowiecze serce, krzyżacki tłum, zbity murem, wygląda w jego opowieści jak elementarne bezprawie, przemoc, zdradę, jak Złe.

To też na końcu książki chodzi nam już nie tyle o swoich bohaterów, chodzi nam o krzywdę ogółu. — Boleść ludzka sączy się zrazu drobnemi strugami, potem tworzy potoki, rzeki wezbrane i groźne. — Wówczas, kto zalew powstrzyma? Ze wszystkich chat, z ostrokołem otoczonych grodów, z klasztornych twierdz, z książęcych i biskupich dworów wylewa się ciżba mężów uciśnionych, rozpaczy bliskich, mściwych. Kto ich powstrzyma?

Walka będzie nieubłagana, jak walka żywiołów. — Krzyżactwo, wsparte zasobami całego Zachodu, ufne w swą siłę, spróbuje stawić opór zalewowi. Bój będzie uporczywy i długi, lecz żywe wody obalą w końcu tamę.

Ostatnie rozdziały Krzyżaków, opis bitwy grunwaldzkiej stanowią jakby wielką klamrę, zamykającą równolegle biegnące linie, dzieje tylu ludzi, tylu dusz i utrapień. —

„I nietylko przeniewiercy Zakonu krzyżaccy leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala, nieszczęsne krainy

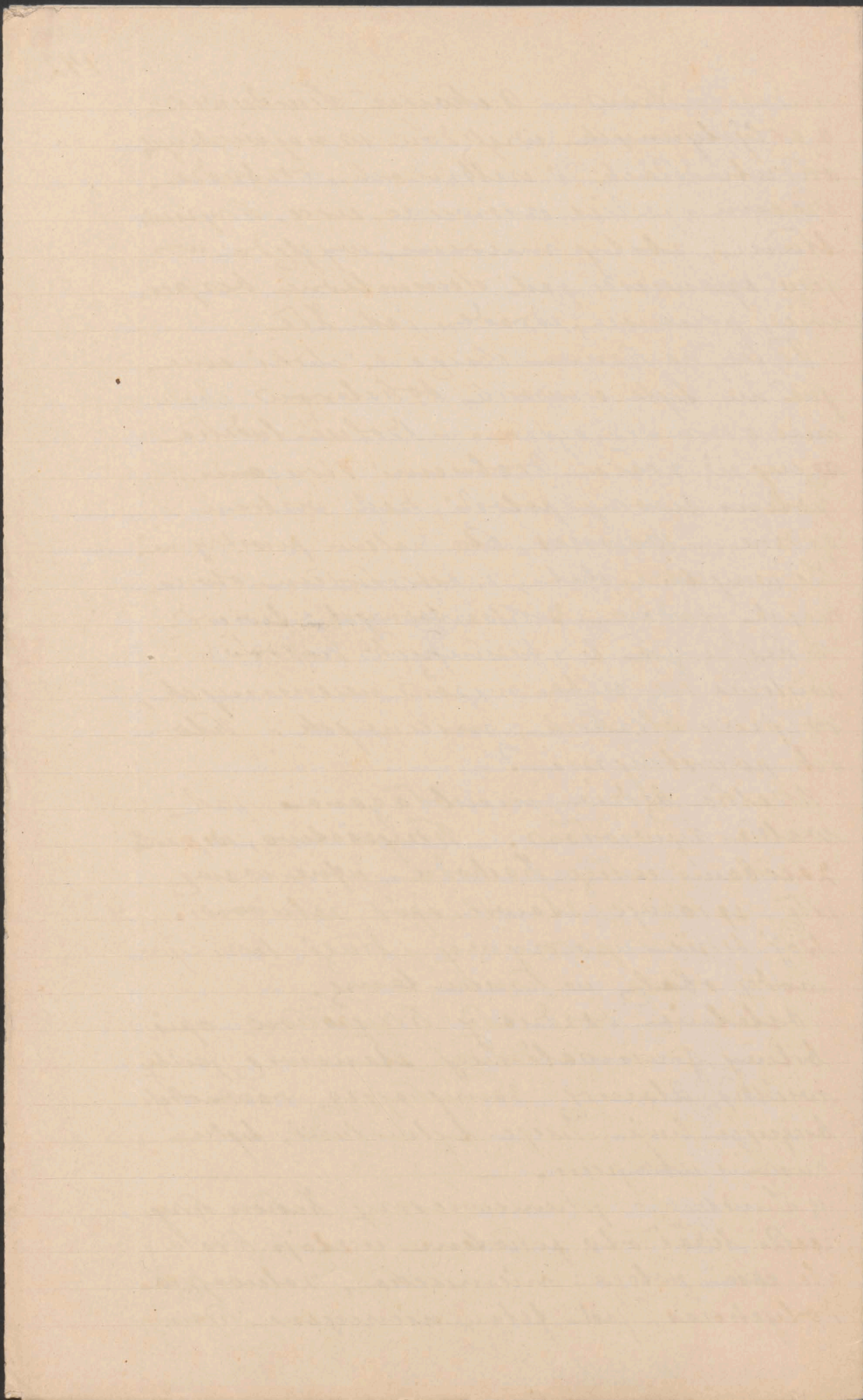

słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi ~~[illegible]~~ polskie".

. . . .

„Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy."

V.

Powieść taka,

Jak dawny, długi, lity pas Polaka. Rojnie w niej, gwarno, pełno przygód, umiejętnie, zdawna przygotowanych, a opisanych śmiało. — Wiele w niej mężnych potyka się wojowników i wiele bojów wewnętrznych. — Kiedy po zamknięciu książki, przymrużymy oczy, tłumy wołają, walczą, świecą zbrojami, trwożą groźne twarze. — Ale z biegiem czasu jedna postać ponad nie wyrasta, ogromna postać rycerza, wyraźny kolos na tle mglistego zamku i murów krzyżackiego Szczytna.

Jak w Iliadzie całe niemal księgi są poświęcone czynom jednego męża, tak w ramach tej powieści, tkwi osobna księga o Jurandzie ze Spychowa. — To on na barach swoich, to on przeniesie ostatnie dziecko poety aż w kraj daleki, do wrogów i prawników. —

Nie sądzę, aby którykolwiek z bohaterów Sienkiewicza tyle cierpiał, co Jurand, i tak pogardzał cierpieniem. Na końcu życia, oniemiony przez

też liczne przygody

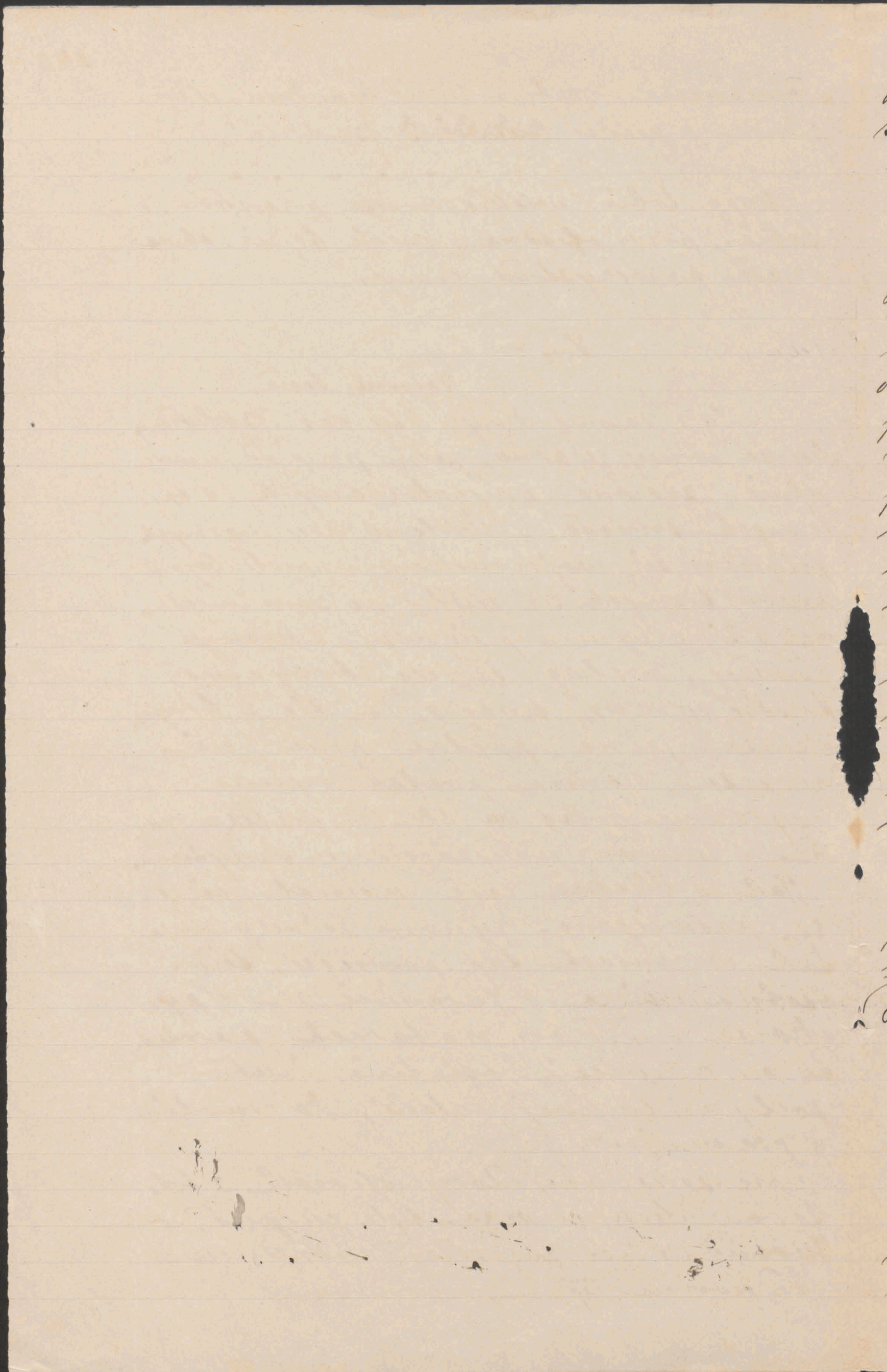

Kosa, miasto ręki posiadającej krwawy
trzon bez dłoni, przebacza wrogowi
i zbójcy, który go córki pozbawił. —
Ale w pamięci ludzkiej pozostanie
on na koniu, jadący do Szczytna,
gotów zrobić ze siebie ofiarę, poświę-
cenia pełny, a jednak nie nadludzki,
lecz człowieczy, olbrzymi, a prawdopo-
dobny. — Czytającemu, za każdym stą-
pnięciem konia, maleją mury krzy-
żackiego grodu, ku któremu się
jednak Jurand zbliża, a rycerz —
w tej dziwnej perspektywie — coraz
to bardziej zasłania sobą miasto;
tak rośnie. —
Z opisem dalszych nieszcz. wielko-
luda, można porównać tylko
śmierć Podbipięty. —
Przed kilkunastu laty jeszcze
pobożne dzieci, chciały dać na
mszę za duszę ~~Podbipięty~~ Lon-
ginusa. — Od tego czasu wzrósł
on w cenie i sławę, jest już —
jeśli tak rzec wolno — *in odore
sanctitatis.*
Jakiś kurhan, na który nikt dawniej
nie zwracał uwagi, staje się dla
wyobraźni ludzkiej mogiłą Podbi-
pięty. — Sienkiewicz dożył chwili,
w której wyśniona przez niego
mara, weszła w życie, ~~stworo się~~
zupełnie, weszła prawie w rzeczy-
wistość, stworo się dostała do świata
najświętszych narodowych uczuć,

jak historyczna postać, o której snuje
legendy. – To właśnie jest cechą po-
mysłów prawdziwie epicznych, że
albo z ludu wychodzą, albo do ludu
wracają.

Sądzę, że i Jurand ze Spychowa
będzie żył wśród tłumów, jak Barba-
rossa żyje. – Zostanie wciele-
niem walk na kresach naszych
zachodnich, walk uporczywych,
niezasłużonej męki. – I konny, zbroj-
ny, obrócony twarzą ku niemiec-
kiej stronie, będzie wciąż trzymał
straż, jak żywy. –

K. M. Górski. –

dzącego z Rosyi, jako rzecz wielce dla konsumenta niemieckiego pożądaną. Dzienniki te powołują się nie bez racyi może na anomalię, zachodzącą ciągle jeszcze w Niemczech przy ocleniu pszenicy i żyta, które to dwa gatunki, aczkolwiek nierównéj ceny, równe ponoszą cło, skutkiem czego naturalnie żyto, jako gatunek tańszy, względnie silniéj jest obciążoném. Jakoż przytoczone dzienniki domagają się wyrównania téj tendencyjnéj niesprawiedliwości, zarządzonéj przez ks. Bismarcka w swoim czasie, jakoby w celu dokuczenia Rosyi. Rzeczy naturalnie na seryo dyskutować jeszcze nie można, szerszéj bowiem dyskusyi nawet dotąd nie wywołała; służyć ona może i ma tylko za przyczynek do aktualnego stanu kwestyi ceł zbożowych w Niemczech. Zresztą cała rzecz przedstawia się jeszcze w bardzo niewyraźnych konturach, skutkiem czego niczego przesądzać nie można; zadanie sprawozdawcy staje się czysto relacyjném.

Niepodobna przy téj sposobności nie zaznaczyć, że powyżéj zrobiona uwaga co do znaczenia Niemiec, jako konsumenta, stosuje się znacznie mniéj do Królestwa; dla zboża polskiego naturalnym odbiorcą jest najbliższy sąsiad niemiecki, i dlatego nas kwestya ceł zbożowych niemieckich powinna nader żywo obchodzić. Brak wszelkich statystycznych danych (w ściślejszém znaczeniu tego słowa) co do udziału Królestwa w ogólnym wywozie zbożowym Rosyi, utrudnia stawianie wszelkich samodzielnych wniosków, i dopiero wtedy możnaby stąpać pewniéj, gdyby ktoś kompetentny podjął się mrówczéj pracy obliczenia i rozklasyfikowania podług gatunków i kierunku wysyłki ogólnéj ilości zboża, wywożonéj z Królestwa; zadanie to, jak wiadomo, czeka jeszcze wykonawcy.

Rzecz prosta, że najprawdopodobniéj całkowite zboże, zbywające w Królestwie, idzie do Niemiec na konsumcyę, z wyjątkiem chyba pszenicy, idącéj całkiem do Anglii, a zupełnie kwestyi nie ulega, że jakiekolwiek zmiany, korzystne dla naszego zboża, zajdą w przyszłości, to w każdym razie tempo ich będzie bardzo powolném, tak, że rolnictwo nasze nie ma powodu do żywienia z tego tytułu zbyt optymistycznych poglądów na przyszłość.

K. Rose.

Najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza.

Nie dla jednego tylko powodu jest „Bez dogmatu“ wypadkiem w literaturze naszéj, nietylko jako większy utwór Henryka Sienkiewicza, ale jako utwór odmienny, oznaczający może punkt zwrotny w jego działalności. Byli między najgorętszymi wielbicielami jego talentu i tacy, którzy żałowali, że autor „Szkiców węglem“ i „Latarnika“ opuścił maluczkich i powszednich swoich bohaterów dla wspanialszych a dalekich historycznych postaci. Zdawało się niejednemu czytelnikowi, że stała się tém krzywda codziennym i obecnym biedom, że boleści dnia dzisiejszego nikt już tak serdecznie na światło nie dobędzie. Mawiali przytém mniéj chętni — a nie potrzebujemy się z ust Śniatyńskiego dowiadywać, że niechęć idzie w ślad za każdym wybitniejszym talentem — mawiali, że nikt nie pójdzie sprawdzać, o ile są rzeczywistymi Kmicic i Zagłoba, że żadna nas siła w wiek XVII nie przeniesie i że usuwać w dal swoje postacie jest to poniekąd usuwać się od trudności samemu. I doprawdy nietylko nieżyczliwym przychodziło na myśl, że jest i w dzisiejszém życiu dość pytań, dość postaci, dość dramatów, ażeby ku nim zwrócić i oczy, i duszę. Życzono sobie przytém nowego dowodu wszechstronności Sienkiewicza. Wróżyła mu niegdyś krytyka, że wyjść nie zdoła po za drobne rozmiary pierwszych swych opowieści: odpowiedział jéj, pisząc „Ogniem i mieczem“. Czekano, aby wobec zarzutów, że fantastyczne tylko kreśli postacie, dał jakie dzieło, pełne obserwacyi.

Okazywał się rzeczywiście dotychczas nowellistą i historycznym powieściopisarzem, t. j. ostatecznie poetą. „Bo czemże jest nowella — mówił do Eckermanna Goethe — jeżeli nie opowieścią nadzwyczajnego zdarzenia?“ W szczupłych jéj ramach nie można objąć wielkiego zakresu rzeczywistości, a trzeba równocześnie dać całość poruszającą i skończoną. Życie, rzeczywiste życie, jest raczéj pretekstem, niż przedmiotem nowellisty; nie chodzi mu tyle o odtworzenie świata, jak o indywidualne jego pojęcie. Powieść zaś historyczna, zwłaszcza takiego jak u Sienkiewicza zakroju, mająca tyle tła i pejzażu, jest już niemal epopeją. Na wieść o współczesnéj powieści, którą autor „Potopu“ pisać zamierzał, pytano się zatém, czy posiada ten poeta dość objektywizmu i dość wytrwałéj obserwacyi, aby roztoczyć duży a żywy obraz istniejących stosunków, obraz, któryby w każdéj chwili z rzeczywistością zestawić było można. Czy język poety nagnie się do wymagań subtelnéj analizy; czy mowa polska, tak wyrobiona w podniosłym i bohaterskim kierunku, nabierze pod piórem jednego z wielkich swoich mistrzów dostatecznéj giętkości i precyzyi, aby zawikłane i różnorodne sprawy nowoczesnego naszego świata oddawać? A że po za ciekawością towarzyszy wogóle zamiarom Sienkiewicza ogromna w zdolność jego wiara, czekało wielu pośród nas — a wyznaję, że i ja do nich należałem — powieści współczesnéj, może obracającéj się w wykwintniejszych naszych sferach, powieści w każdym razie raczéj prawdziwéj i subtelnéj, niż „pięknéj“, raczéj wystudyowanéj, niż natchnionéj. I chociaż nie jest nikt bezkarnie poetą, doczekaliśmy się niepospolitego w tym kierunku dzieła.

Sam ten fakt ma już ogromną doniosłość. Jeżeli „Bez dogmatu“ nie odpowiedziało może wszystkim wymaganiom, które ideałowi naszéj współczesnéj powieści stawiamy, to najzagorzalszy wróg katalogowania dzieł sztuki, według subjektywnéj bądź co bądź skali, nie odmówi temu utworowi wyjątkowego w literaturze naszéj stanowiska. Ale jest i druga przyczyna, że powieść tę nową z osobliwszém witamy uczuciem. Oto zmieniło się koło czytelników, do których Sienkiewicz się zwraca. Umiejąc zawsze pozostać artystą niezwykłéj subtelności, przemawiał on dotąd do wyobraźni i poczucia wszystkich niemal sfer społecznych. W ostatniém swém dziele zdaje się miéć na oku szczuplejsze koło i bardziéj wytworne. Książka jego jest jednym z rzadkich u nas objawów owego piśmiennictwa, które Francuzi zową *littérature artiste*. Subtelniejsza i specyalniejsza od poprzednich, może ona wywrzéć zupełne wrażenie tylko wśród warstw bardziéj rafinowanych, zdolnych odczuć delikatną analizę i analizujących się nawet do głębi. Od czasu do czasu tylko odzywa się autor, przywykły do powszechnego wśród publiczności oddźwięku, i dodaje

kilka wyraźniejszych odcieni, robiąc pewne drobne szerokim kołom ustępstwa. Pomimo téj wyłączności, może jednak liczyć na ogromny szereg czytelników. Nie jest to pocieszającym, lecz jest podobno niewątpliwym faktem, że liczba natur, przypominających Płoszowskiego w ten lub ów sposób, zwiększa się u nas codziennie. Bez tego ani-by ta książka nie była potrzebną, ani-by nawet pod piórem czułego na społeczne objawy pisarza nie była powstała. „I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokracyę rodu lub pieniędzy — pisze bohater Sienkiewicza w swym dzienniku — zjawisko nie byłoby zbyt ważném. Ale do tego oderwanego świata należą mniéj lub więcéj wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka“. Trzeba i dla tych ludzi coś zrobić. Zapalną ich wyobraźnię i tak zapalne na krótki czas serce zajmuje ów Podbipięta, rycerz silny a czysty, ale dowodzi im dopiero czegoś — o ile książka dowieść może — los współczesnego, bliższego im Leona, chorego, jak wielka ich część, i nauczającego ich swoim przykładem. Oni nie mają, niestety, ani tego ramienia, zdolnego uciąć głowy trzem pohańcom, ani téj duszy prostéj, niezmąconéj i stałéj. Więc skłonni są do czytania dziejów Podbipięty, jako pięknéj, od życia oderwanéj legendy. Chory Płoszowski przyjdzie natomiast do swoich i swoi go poznają. Prawda, że zdrowi podniosą może okrzyk na widok tego człowieka, dotkniętego zakaźną chorobą. Przypatruję się wobec takich okrzyków temu, co u nas czytają, i widzę, że młodzież i kobiety, t. j. właśnie ci czytelnicy, którzy najłatwiéj wpływom uledz mogą, znają dokładnie stan duszy i dzieje osób innéj, zupełnie innéj moralnéj wartości, postaci, stwarzanych umiejętnie przez obcych pisarzy. Gdzie nie dochodzą tomiki oryginalne, w żółty papier oprawne, tam spotykam drukowane na bibule przekłady. Wobec tego czuję w krzykach oburzenia dużo świadoméj lub nieświadoméj hipokryzyi. Jest jednak i tyle nieporozumienia, że zbiera ochota wdać się w tę sprawę i starać się ją wyjaśnić. Artyści zarzucają krytyce zbyt często, że stawia tylko mury między publicznością a nimi; a jednak minęły czasy, kiedy ogłaszała ze swéj stolicy bezwzględne wyroki, i dziś nie wierzy ona sama w doniosłość swego powołania. Niechaj wolno będzie się pokusić o skierowanie jéj raz jeszcze ku najszlachetniejszemu z jéj zadań; niech się odważy zająć stanowisko pośrednika między wielkim pisarzem a szeroką publicznością.

I.

Jest to charakterystyczną dzieł Henryka Sienkiewicza zaletą, że stają się one odrazu zupełną własnością społeczeństwa i, jako takie, podlegają, nietylko w pismach i dziennikach, ale i w życiu prywatném, nieustannym roztrząsaniom i dyskusyom. Każdy ma u nas niejako prawo do Sienkiewicza. Pisarz, który nas do tego przyzwyczaił, że się nim ogół rozkoszuje i zachwyca, musi każde indywiduum z osobna zadowolnić. Tak-to się podziw i sławę opłaca. Wszystkie wyższe talenta wprawiają czytelnika w złudzenie, że on-to dopiero myśl autora prawdziwie zgłębił i rozumie. Ponieważ mamy tu prawo spodziewać się jeszcze dzieł niepospolitych, pragnąłby niejeden czytelnik, aby Sienkiewicz po jego myśli talent swój zużytkował. Pisywał on dotychczas „dla pokrzepienia serca", a daje teraz postacie chore i fabułę niemoralną. Dziennika, w którym wychodziła ostatnia jego powieść, nie mogli czasami ojcowie rodzin pozostawiać na stole.

I rzeczywiście, nie jest „Bez dogmatu" dla wszystkich warstw i osób wszelkiego wieku właściwą lekturą. Dziś leży jednak utwór w trzech tomach przed nami i zarzut utracił chwilową swą doniosłość. Bo nie będąc dla wszystkich odpowiednią, może być książka tém skuteczniejszą dla wielu. I nie pokrzepiając serc, może jednak sumienia oświecać. Wiem dobrze, iż ten i ów zgorszył się powieścią, sądząc, że jeżeli Sienkiewicz poświęca tyle pracy charakterowi Płoszowskiego, to chce zapewne idealizować chorą jego naturę. Miałby on może śliczny temat do nowéj powiastki we wszystkich tych dowodach niezrozumienia, gdyby go talent nie wiódł ku wyższym zagadnieniom i objawom. Wyzyskałby to jaki pisarz w rodzaju Gustawa Flaubert, owego malarza prowincyonalnych zakątków i zbieracza ludzkich śmieszności, którego Jerzy Brandes raczéj imbecylistą, niż realistą, nazywa. Bo znaczenie i pojęcie literatury powieściowéj zmieniło się z gruntu w ostatnich lat dziesiątkach, i kto wie, jak tenże Brandes powiada, czy nie wypadnie nawet wyrazu „powieść" jakim innym zastąpić. W belletrystyce szukają czytelnicy po wsze czasy rozszerzenia swego widnokręgu, wrażeń, których im szczupły zakres własnego życia nie daje. Ale kiedy Emma Bovary, wyhodowana jeszcze na romantyzmie, chciała przedewszystkiém czuć więcéj, niż na to jéj egzystencya pozwalała, żyć więcéj sercem, wyobraźnią może i zmysłami; to my, dzieci chłodniejszéj i bardziéj umysłowéj epoki, pragniemy raczéj *wiedzieć*, co się w innych duszach dzieje, szukamy nie tyle przejmujących uczuć, co poczuć subtelnych. Wyrażenie „bohater

powieści", dla oznaczenia głównéj działającéj osoby, jest dawnych, daleko sięgających czasów, spuścizną, dzisiejszy wyraz brzmiałby zupełnie inaczéj i byłby najpewniéj zapożyczony z naukowego języka. Codzienna mowa określiła zresztą najlepiéj stanowisko nasze wobec uczuciowéj powieści, nazywając wszelkie, napotykane nietylko w książkach, ale i w życiu, sentymentalne brednie romansami. Panuje dziś na ich miejscu studyum psychologiczne. Wobec naukowych pretensyi całéj téj literatury wystąpiły stany chorobliwe na pierwszy plan, nietylko jako ciekawsze, ale i jako ważniejsze. Znam tyle medycznych książek o chorobach, ale nie wiem, czy istnieje monografia, określająca zdrowie. A dzisiejsza literatura — nie mówię o rezultatach, ale o zamiarach — chce naśladować metodę naukową i ufa czasem, że do jéj wyników się zbliży.

Dziwno mi, że objaśniam takie stare dzieje. Jak to jednak i Płoszowski uważa, jest u nas tyle odrębnych kierunków i pojęć, tyle nowoczesnego pojmowania życia i tyle z drugiéj strony umysłowych nawyknień, że, chcąc mówić o dziele tego rodzaju i znaczenia, co „Bez dogmatu", potrzeba zaznaczyć stanowisko, z którego się wychodzi i które się poniekąd za stanowisko samego autora uważa.

Mamy tu oczywiście objaw choroby, nie nieuleczalnéj może, ale tak zaniedbanéj, że musiała się katastrofą zakończyć. Nie wdając się chwilowo w przyczyny groźnego stanu, zwrócę tylko uwagę na niektóre strony natury Płoszowskiego i na niektóre szczegóły w przebiegu jego dziejów. Jest to człowiek chory na „nieudolność życiową", natura w gruncie szlachetna i tém smutniejsza w upadku. Psychofizyologowie tłómaczą wolę, jako rozwiniętą i skomplikowaną formę odruchu, niby odpowiedź jednostki na wrażenia świata zewnętrznego. Otóż Płoszowski ma percepcyą tych wrażeń, ma ich zupełną świadomość. Odczuwa mnóstwo odcieni, z których sobie mniéj wytworna natura nietylko sprawy zdać nie może, ale ich wprost nie doznaje. Nie ma natomiast prawie wcale owego odruchu, owego czynnego wystąpienia wobec otaczającego go koła zjawisk, ma co najwyżéj porywy w tym kierunku, przelotne zapały i chęci, nie posiada zaś wcale owéj stałéj, przewodniéj i rozumnéj w skutkach swoich siły, którą w codzienném życiu nazywamy wolą. Gubi się on w różnorodności swych wrażeń, bo skala ich jest tém większą, że niepospolita inteligencya, zmysł estetyczny, wielkie oczytanie rozszerzyły jego horyzont, a z praw dziedziczności, z wychowania i z kolei życia musiał być wrażliwym. Porównywa się on sam do zamykającéj swe liście za lada dotknięciem mimozy. I przez ciekawą łączność zjawisk miewa on tejże mimozy nieubłaganą krwiożerczość, kiedy znudzony, doprowadzony do rozpaczy chaotycznością swych wrażeń, chce indywi-

dualność swoją wyraźnym faktem zaznaczyć. Niéma nic brutalniejszego nad niezgodne z sobą i wahadłowe natury: „słaby tylko rzeź wybiera“. W gonitwie za ustaleniem wrażenia, nie pyta on o zwykłą delikatność swych uczuć i poświęci wszystko dla chwili, nie z uczuciem Horacego, który każe z dnia korzystać i gotów może potém skutki swoich uniesień opłacić, ale z gorączką natury, szukającéj niezbędnych jéj poczuć nowych. Może on wziąć wtedy szał zmysłów za uczucie, a wyobraźni ma dosyć, aby jak Laura siebie samą, tak on swą miłość ubierać w słońce, poezyę i sztukę. Ale zna życie zbyt dobrze, aby już wśród zapału gorycz rozczarowania przeczuwać, a posiada naturę zbyt rafinowaną i szlachetną zarazem, aby uciec od boleści, następstw swego postępowania. Owszem skacze on, przymrużywszy oczy, jak nurek, w samą otchłań udręczeń. Czasami wobec rzeczywistego i głębokiego cierpienia doznaje on jakby potrzeby, moralnego przymusu, oddania się zupełnie goryczy, ma jakby punkt honoru w wyczuwaniu wszystkich swych boleści. Przytém szlachetniejsza to doprawdy istota, a zarazem syn narodu, o którym mówił kaznodzieja, że kobiety są w nim mądre a mężowie czuli, stary zaś książę Metternich powtarzał, że więcéj od innych społeczeństw wydaje rokujących świetne nadzieje młodzieńców. Jeżeli wyrobienie i wydelikacenie uczucia dostarcza mu coraz nowych przedmiotów boleści, to zdwaja ją jeszcze świadomość choroby moralnéj. Auskultuje się on nieustannie i rzuca raz wraz, jak z lekarskiéj lampy, promyczek światła do wnętrza ran własnych, zajęty wiecznie dyagnozą, a z góry wierzący w możliwość ozdrowienia. Bo wyniki swoich analiz uważa on znowu za przedmiot analizy i zachowuje się tak sceptycznie wobec własnéj niewiary, że już nie pyta nawet, gdzie jest prawda? Dla człowieka, oplątanego w taką sieć zwątpień, wplecionego w koło takich męczarni, niéma już rady, ni ratunku. Życia już nie może rozpocząć na nowo, ani go zwrócić na normalniejszą drogę, chociażby nawet ku większéj swojéj rozpaczy czuł ciągłą za prostém istnieniem tęsknotę.

Złudną jest nadzieja powrotu do zdrowia, budząca się w nim, kiedy napotkał kobietę, może równie, jak on, w naturze swéj wytworną, ale pod względem prostego pojmowania życia zupełnie odmienną. Zaczyna ją kochać, działa ona na niego uspakajająco i błogo. A że i Anielka go kocha, wyciągnąć więc mu tylko rękę po szczęście i spokój. Tu się odzywa jednak zaraz pierwszy grzech pierworodny Płoszowskich: nie znają wartości czasu, bo go nigdy nie rozmierzali na prace. Oddany wiośnie swego serca, Leon nie oświadcza się Anielce. Studyuje siebie samego, cieszy się naiwnym rozkwitem jéj duszy, daje jéj do zrozumienia, że ją kocha i że o jéj rękę poprosi;

ale nie ma owéj potrzeby ludzi normalnych zamienienia odrazu pragnień w rzeczywistość i, znając się dobrze, nie radby furtki zatrzasnąć odrazu za sobą. Objawia się przytém całe skomplikowanie, cała podwójność jego natury. Rzekłbyś, że raz sprawia mu pewną roskosz pokorne wyczekiwanie Anielki, raz znowu powstrzymuje go to i zawstydza, że potrzebuje wyrzéc jedno tylko słowo, aby mu otwarła ramiona. Więc trwa w wahaniu daléj. Mała to na pozór wina, jak na pozór niejedna wina Płoszowskiego, ale dowodząca istotnéj nieudolności życiowéj. Życie idzie naprzód, a kto, jak on, ciągle czeka, musi dożyć chwili, w któréj go zaskoczą przeszkody. Czyż będzie je ów Leon zwyciężał, który z pomyślnych warunków korzystać nie umiał? Zanim się zdołał Anielce oświadczyć, powołała go daleko ciężka choroba ojca. U jego łoża zaczął się znowu nad Anielką zastanawiać, bo z innéj perspektywy mógł się jej inaczéj przyglądać. Nie odmówił sobie rozkoszy marzenia o niéj z daleka. „Zarzucałem kobietom, że nad samo uczucie przekładają formy uczucia, a podobno i mnie chodzi o to, by się wypełniły wszystkie".—Czy jéj nie kochał? Owszem, po swojemu, całém swojém jestestwem, całą swą rozległą a nie głębszą zdolnością kochania. Przyszła śmierć ojca, znowu inne wrażenia, potrzeba samotności, zagłębienia się w bólu. Takie natury kochają się w rozpaczy; nieszczęście jest dla nich mniéj dotkliwe od codziennych przykrości, od nerwowych udręczeń, bo z pierwszego mogą układać sobie dramat, a drugie pozostają głuchą, martwą prozą. Przyszło wreszcie ukojenie po bólu, przyszło w postaci innéj kobiety, i zaraz, jeszcze wśród uciech, zaczęła powracać gorycz do ust i jął w głowie kołatać wyrzut zdradnego opuszczenia Anielki wraz z myślą o saméj Anielce. Wśród podobnych wahań, wśród błogiéj ciszy, po zerwaniu z tamtą kobietą, dochodzi go wieść o zamierzoném małżeństwie Anielki ze wstrętném Płoszowskiemu indywiduum, z Kromickim, i wtedy — jest to jedném z arcydzieł subtelnéj psychologii Sienkiewicza — cała niechęć do Kromickiego przenosi się odrazu na Anielkę. Bo dla Płoszowskiego ona nie jest ludzką istotą, ale arcydziełem, nie kobietą, ale postacią, i psuje ją w jego oczach myśl, że ktoś tak niski i wstrętny może wzrok na nią podnosić. Bo Leon nie kocha jeszcze wtedy uczuciem szczerém i głębokiém: zrodzi się ono dopiero z bólu i rozpaczy. Z czasem się on dopiero przekona, że kto nie zdołał wziąć sobie za dewizę słów Wiktora Hugo: „miłość—to czyn", ten musi poznać, że „miłość—to cierpienie". W téj chwili swego rozwoju pragnie tylko Płoszowski Anielki, jak źródła wody orzeźwiającéj i świeżéj, trochę jak wód źwierciadła, w którém swą postać odwzorzy. Postanawia wprawdzie jechać po nią, ale po namyśle wysyła tylko list — przez delikatność i lękliwość sumienia—

i list ten, dla różnych drobnych poczuć i odcieni, wypada zupełnie odmiennie, niż początkowo sam piszący pragnął. Myślę, że wstyd mu trochę iść z objęć Laury w ramiona Anielki. „Niewyczerpaném źródłem wahania się i słabości—mówi on raz słusznie—jest miłość własna, próżność i kokieterya względem innych“. U niego bywa ona często wyższego rodzaju: chce się podobać tak wybrednemu sędziemu, jakim jest sam, a chęci téj nie można potępiać. Nie istniałoby właściwie bez niéj poczucie honoru. „Przy całym swym sceptycyzmie— pisze on inną razą — posiadam zdolność odczuwania skrupułów, doprawdy godną płoszowskiego wikarego“. Dodajmy, że w umyśle jego zatarła się różnica między wielkiemi a drobnemi sprawami, i wszystko, co jego osobiście obchodzi, wydaje mu się równie ważném; bo człowiek ten, który nie jest bynajmniéj chłodnym z natury egoistą, nie zna właściwie nic na świecie, prócz siebie. Odwykł od patrzenia na świat, tak zajął się bolesną analizą swéj duszy, z niczém się nie zżył, niczego nie ukochał. Wszystkie sercowe potrzeby skupiły się dopiero dość późno, na pograniczu między młodością a podeszłym wiekiem, w jednéj kobiecie. A tymczasem „krytyka wszystkiego i samych siebie wyżarła w nas siły dodatnie, brak nam podstaw, brak punktu wyjścia, brak wiary w życie. Oto, dlaczego ja naprzykład nie tyle chcę posiadać Anielkę, ile boję się ją utracić“.

Stało się, czego się lękał. Anielka obiecała rękę Kromickiemu i żadne prośby i namowy nie zdołały skłonić jéj do cofnięcia przyrzeczeń. Płoszowski przeszedł wtedy przez dziesięć miesięcy tak elementarnego bólu, że przestał się nawet analizować i dziennika nie pisał. Odnalazł Anielkę jako kobietę zamężną. Łudził się czas jakiś, że go tym razem stan jego nerwowy od cierpień obroni, że pani Kromicka zabije miłość do Anielki. Niestety, taka jest prostoty siła, że się jéj wdziękowi najbardziéj skomplikowany z ludzi oprzéć nie może. Zapomina on o złotém widmie swém dawniejszém, ale zaczyna kochać kobietę. I doznaje całéj goryczy téj prawdy, że „miłość do cudzéj żony, jeżeli jest pozorną, jest podłością; jeżeli jest rzeczywistą, jest jedném z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może“. Dziwne zdania — nie prawdaż? — jak na niemoralną książkę.

Z początku żyje w nim jeszcze dawny zdobywca serc kobiecych, ale nie trwa to długo. Sceptyk wobec cnoty niewieściéj błaga, jak żebrak, o odrobinę współczucia i czystéj miłości. Pod wpływem Anielki zrywa się nawet przez chwilę do innego życia, któreby było użyteczniejszém i lepszém. „Większa część moich dawnych poglądów podarła mi się nakształt starego ubrania“. — „Czasem przypominam sobie, że Anielka mnie kochała, że mogłem się z nią ożenić i mieć życie ogromnie jasne, ogromnie szczęśliwe; że wszystko zależało ode-

mnie". Wracają mu wtedy szalone pomysły do głowy, i on, człowiek delikatny i rozumny, stacza się, przynajmniéj w myśli, na krawędź hańbiących czynów i zbrodni. Nie ma świadomości waryacyi, ale rozumuje z jednostronną, natężoną jasnością szaleńców. I wszystkie prośby, wszystkie zdrady, wszystkie porywy zamierają wobec téj kobiety, dość silnéj, aby się wydawać obojętną. „Z całą moją przebiegłością, z całą znajomością życia, uczuć, ich dyplomacyi, zostałem poprostu pobity przez tę istotę, prostszą ode mnie, mniéj świadomą taktyki życiowéj, mniéj przezorną i mniéj obliczającą każdy krok.. Zostałem pobity — niéma gadania!" I nie przyszły Anielce na pomoc żadne szczególne okoliczności. „Zbieram oto całą przytomność i pojmuję, że tych, co mają być zdruzgotani, druzgoce siła nadzwyczajnych zdarzeń; ale ze mną jest co innego. Mnie rozdziera zwyczajny tryb rzeczy. I im to jest bardziéj naturalne, tém straszniejsze". Tu dramatów nie można sobie układać. Bo oto dobił Płoszowskiego fakt, tak w najściślejszém tego słowa znaczeniu naturalny, że kobieta zamężna spodziewa się zostać matką.

Całą sztuczność życia rozbija życiowa prostota, całą sceptyczną i rafinowaną dyskusyę z obowiązkami życia rozsypuje w puch proste, naiwne ich pojęcie. Więc kiedy Płoszowskiemu zabrała śmierć Anielkę, jedyny cel widomy jego życia, zostało mu tylko bolesne poczucie nicości, i w nim, i dookoła niego, i pozbawiony w gruncie wiary, poszedł tam, gdzie absolutną nicość spodziewał się zastać.

Zupełne to bankructwo rzuca najlepsze światło na cały stan i całe postępowanie Płoszowskiego. Powiedziałem już, że winy jego wydają się czasem niewielkiemi, ale na dnie ich leży wielka próżnia, z win wszystkich największa. I mały stosunkowo grzech musi wtedy ściągać — nieubłaganie i tragicznie — w otchłań nieprzejrzanego nieszczęścia. W tém spoczywa wielka moralność utworu.

Czytelnik, który w ten sposób całość powieści pojmuje, musi i pojedyńcze jéj sceny uwzględnić. Bo cóż musiało na pierwszém miejscu rozwijać nieudolność i miękkość Płoszowskiego, jeżeli nie obcowanie z takiemi kobietami, jak Laura, i tego rodzaju Capua, jak w Peli? A przytém trudno chyba podobne sytuacye piękniéj na poezyę transponować i szybciéj zapuszczać na nie zasłonę. Odpowiadało to zresztą nietylko usposobieniu autora, ale i naturze bohatera. A musi być przecież w utworze tego rodzaju, co „Bez dogmatu", nietylko etyczna, ale psychologiczna i estetyczna prawda. Na te ostatnie chciałbym zwrócić po kolei uwagę.

II.

Ażeby sobie zdać sprawę z natury Płoszowskiego, musimy się przyjrzéć nietylko dziejom, ale uwzględnić rodzinę, wychowanie, słowem to wszystko, co od jakiegoś czasu nazywamy polskim wyrazem „środowisko“. Jest on synem starego, zamożnego, a podobno i nieco przeżytego rodu. Nie pod względem muskularnéj siły albo odwagi, albo nareszcie przelotnéj ochoty do czynu,—wyłącznie pod względem uzdolnienia do pracy. Matka umarła przy jego urodzeniu i kobiecą tę nawskroś naturę hodowali zrazu dwaj mężczyźni: włoski ksiądz, który zwracał, zdaje się, jego uwagę raczéj na estetyczną, niż na moralną stronę religii, i ojciec, nader ciekawy, a pysznie, choć w krótkich słowach, nakreślony typ zanikającéj epoki. Należy on do téj generacyi, która szuka prawdy w Berlinie, w metafizyce niemieckiéj, i chce na drodze czystego rozumowania dojść do odpowiedzi na wszystkie swe zagadki. Stary Płoszowski jedzie jednak potém do Paryża. Tam poznaje on potęgę, któréj my właściwie już nie znamy, salon, czyli, jak pisze mądra i wykwintna kobieta, zgromadzenie pięknych kobiet i mężczyzn świetnych, świetnych i zazwyczaj wpływowych zarazem. Ma on tam wielkie powodzenie, zową go „Léon l'invincible“. Nie przestaje jednak czuć wyższych w życiu interesów i pragnień. Zaznajamia się z Montalembert'em. Nie zrzekając się różnych poglądów swego wieku, zbliża się pewno do tak zwanego „liberalnego katolicyzmu“. Śmierć żony odwodzi go ostatecznie od metafizyki do wiary. O rodzinnych stronach nie przestaje myśléć za granicą, ale myśli zawsze w swój sposób. Należy do pokolenia, którego świetny i szlachetny przedstawiciel kazał sobie, jako dowód zasługi, wypisać na grobie te słowa: „żył w kraju“. Wierzy w Europę, jako w abstrakcyjne i piękne pojęcie. Osiada w Rzymie i doznaje tych specyalnych, pogodnych, umysłowych roskoszy, których każdy podróżny zakosztował choć trochę w pałacach pod Kapitolem i w willach na Gianicolo leżących. Zebrawszy całe muzeum starożytności, chce je przez miłość dla ziemi rodzinnéj gościnnemu Rzymowi zapisać. „Widzisz—mówi do syna—tam niktby ich nie widział, niktby z nich nie korzystał, a tu cały świat przyjeżdża i każdy przeniesie zasługę jednego z członków społeczeństwa na całe społeczeństwo“. Coby dał, za ileby sprzedał tę admiracyę obcych człowiek z innéj, z trzeciéj generacyi, naprzykład taki dr. Chwastowski, który na téj ziemi, gdzie wyrósł, budzi życie duchowe, nie dba może wiele o muzea, a z pewnością nic o sąd Europy, i łatając biedę, gdzie może, wydaje drobne hygieniczne pisemka dla ludu?

Takiego-to niepraktycznego ojca ma Płoszowski. Pyszna postać! Widzę go, pięknego, siwego patrycyusza, jak, na kilka dni przed śmiercią, z fotografią Anielki w ręku, prawi podniośle o piękności i dodaje, że najpiękniejszą na świecie rzeczą jest kobieta. Najpoważniejsze jego myśli, najgłębsze wierzenia mają w sobie jakąś estetyczną przymieszkę. W najszlachetniejszych uczuciach jest coś z duchowego sybarytyzmu szczęśliwszéj epoki. Był czas, kiedy wolno było myśléć, że się stosunkami z zagranicą, uniesieniami, podnoszeniem poziomu pewnego moralnego ciepła na świecie, sprawom bliższym służy. W wychowaniu młodego Płoszowskiego znać wyraźnie chęć wyrobienia w nim tych szlachetnych poczuć z jednéj, a nadania wytwornéj ogłady z drugiéj strony. Kiedy się tego okaże potrzeba, będzie wtedy mógł młody Leon zająć odpowiednie swemu rodowi i zdolnościom stanowisko, może jako ambasador, albo minister, chociażby bez teki. On został tymczasem „geniuszem bez teki", jak się sam wybornie nazywa. Bo o to, czy w każdym razie będzie użytecznym człowiekiem, nie zdawali się pytać jego przewodnicy. Kiedy, oddany do do kolegium do Metz, uciekł chłopiec do Don Carlosa, sprowadzono go wprawdzie do szkoły, ale widział on dobrze, że krok ten, dowodzący ostatecznie dzieciństwa, ale i szlachetności — jeden z rzadkich energicznych czynów jego życia —wzbudził w ojcu i w nauczycielach kolegium tajone zadowolenie. Dumni byli z takiego legitymizmu i z pochopności rycerskiéj, a nie trudzili się myślą, w jakim kierunku się zapał ten rozwinie. Cieszyli się przytém ogromną łatwością chłopca do nauki; pozostał on téż zawsze bardzo zdolnym, chociaż do niczego niezdatnym człowiekiem. Mniéj świetni od niego koledzy w Metz i na uniwersytecie warszawskim powychodzili na daleko użyteczniejszych ludzi. Szczęście, że go przynajmniéj przysłano na czas jakiś do Warszawy i że mógł poznać wtedy społeczeństwo i zawiązać długotrwałe stosunki. Jest to jedyny zdrowy i prosty pomysł w całéj jego edukacyi.

Po szkołach, gdzie z książek uczą, nastąpiła ówczesnym obyczajem druga szkoła. Była to epoka, kiedy kobiety kończyły jeszcze edukacyę młodzieńców. Płoszowski spędził te lata swego życia w wielkim świecie paryskim, schodząc od niego do półświatka, w Dumasowskiém i po części w naszém pojęciu wyrazu. Wyszedł ztamtąd zachwiany w swoich egzaltowanych zapatrywaniach na życie, które na to tylko, jak się zdaje, hodowano, aby się mogło stać łupem wszelkich poprzedniczek Laury Davis. Wyszedł więc pełen sceptycyzmu życiowego i niewiary w natury proste a czyste. Zachwiały się i te religijne przekonania, w których atmosferze wyrastał. Nie wiemy pod tym względem nic pewnego, ale nie sądzę, aby Płoszowski prze-

chodził przez wielkie wewnętrzne walki, zanim doszedł do swego religijnego sceptycyzmu, jeżeli można tak nazwać próżniacką jego obojętność. Słyszałem nieraz z ust mądrego człowieka, że o pracę myśli najtrudniéj jest w Polsce, i zdaje mi się, że Leon nie miał nigdy dość skupienia, aby rozważyć, czy i w co on téż wierzy? Dlatego zachował pewne pozory i zewnętrzne strony wierzącego człowieka, nie pozbył się nawet poszanowania dla religii, byle mu tylko nie zawadzała w życiu, a raz, w chwili, kiedy się los jego i Anielki rozstrzygał, dał przez jakieś odrodzenie się wspomnień na mszę u P. Maryi w Krakowie, „na intencyę Leona i Anielki.“ Nie zerwał otwarcie z religią, przez delikatność serca, ażeby ojca i bliskich nie zasmucać, a i po-za tém idzie krok w krok za nim poczucie lepszego życia i spraw podnioślejszych świadomość. Nie jest w tym stopniu „bez dogmatu,“ co „bez pracy.“ I chociaż twierdzi, że przyrodnicze dzieła stworzyły jego niewiarę, sądzę, że jest i w tém ów optymizm względem siebie samego, który się u najzapamiętalszych autokrytyków spotyka. Przyszła poprostu chwila, w któréj niewygodną religię na bok usunął, a stać się to mogło łacno pod wpływem atmosfery Paryża. „Nie znam żadnego miasta w świecie — pisze on — gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólnoludzkie, krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie, jak tam.“— „Wiadomości różnorodne a zawsze względne ulatują tam, jak rój niewidzialnych atomów—pisze podobnie Bourget w studyum swém o Renanie - oddychać w Paryżu, to połykać te atomy, to stawać się krytykiem, wychowywać się na *dyletanta*. Zapewne, wielu jest takich, co opierają się tym wpływom, ale ci muszą się przez reakcyę podnieść aż do fanatyzmu“ [1]). Rzecz prosta, że może to być tylko głębszych i bardzo samoistnych natur udziałem. Podobny podróżnikom, którzy, patrząc na coraz inne obyczaje różnych stref i lądów, dochodzą do obojętności dla wszystkich, począł sobie Płoszowski ważyć zarówno wszystkie zapatrywania i pojęcia. Działały na niego tak różnorodne, sprzeczne z sobą wpływy, że schronił się do indyferentyzmu, jak do cichego portu. „Być może—pisze on—iż takie uwzględnienie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energię w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym. Prąd umysłowy niósł mię—płynąłem.“

A daléj powiada: „Idę mniéj więcéj razem z ruchem umysłowym mego wieku.“ Zapewne, ale o ile światowiec iść może. Widuje dużo ludzi, pracujących umysłowo, uczonych i artystów, i czasem, kie-

---

[1]) Essais de psychologie contemporaine. Paris, 1886, str. 74.

dy mu życie bezczynne obmierźnie, zamknie się na dni kilka i zapomina godzin nad jaką nową książką. Są to przelotne szały. Cytuje on w dzienniku swoim kilka dzieł naukowych, ale to właśnie, że je cytuje, pozwala mi przypuszczać, że stoją one po-za nim, zwłaszcza, że cały dziennik dowodzi, iż jest on w jedném tylko — i to w mniéj korzystném znaczeniu wyrazu — „nowoczesnym człowiekiem.“ Słowa te mają dzisiaj podwójne znaczenie. Nazywamy niemi raz zdenerwowane, nie mające praw do jutra, tonące zupełnie w sceptycyźmie indywiduum, raz znowu istotę, ufną w przyszłość, istotę, któréj krytycyzm ma naukowe podstawy i któréj zostało jeszcze bardzo wiele wiary w naukę. Do ostatniéj kategoryi należy pewno d-r Chwastowski, zaledwo nakreślona sylwetka, do pierwszéj—oczywiście Płoszowski. Charakterystyczną cechą jest i jego admiracya dla „Hamleta“, i brak dowodów, aby rozczytywał się w „Fauście.“ Bo pierwszy mógł wprawdzie zaczerpnąć trochę niewiary w Wittenberdze, ale z własnych dramatów życiowych doszedł za młodu do swego wielkiego pytania; drugi posiwiał nad retortami, zanim się przekonał, że my niczego wiedzieć nie możemy. Płoszowski ginie też tragicznie, jak Hamlet, nie dostępując zbawienia, obiecanego w „Fauście“ tym, którzy się „w czynach trudzili.“

Otóż tego trudzenia się nie widzę nigdzie w Płoszowskim. Im więcej się zastanawiam nad nim, tém bardziéj wydaje mi się, że kluczem do zagadki tego duchowego stanu i tych losów są słowa, które on nie o sobie samym, ale o całéj sferze społecznéj i intelektualnéj wypowiada: „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mrówczéj pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów namiętności, codziennych wysileń—życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się, jak morze; a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, *wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich.*“ W tych słowach zawartą jest, mojém zdaniem, główna przewodnia myśl powieści.

Bo tylko brakiem zajęcia mogę sobie analizę Płoszowskiego wytłómaczyć. Nie dziwię się, że człowiek ten, jak ja go pojmuję, zapomniał choć chwilowo i nawpół tylko dla Laury o Anielce, owszem gotów jestem najwięcéj podobnych zapór przyjąć; ale nie zdaje mi się równie prawdopodobném, aby Anielkę „przefilozofował.“ Człowiek, który na trzydzieści pięć lat życia strawił przynajmniéj piętnaście na miłostkach, mniéj lub więcéj poetycznych, i na estetycznych wrażeniach, miewa zazwyczaj bardziéj syntetyczną, mniéj świadomą siebie naturę. Lęka się nawet pogłębienia uczuć swych i życia, bo lęka

się gorzkiéj prawdy. Żadna ze zwykłych przyczyn autokrytycyzmu nie da się do Płoszowskiego zastosować. Nie nauczył go analizy ani skrupuł religijny, ani rachunek sumienia, ani konfesyonał. Nie zaczął on też filozofować o świecie i sobie dlatego, aby wszystko przenicować i wydrwić, jak to czynią natury nawskroś zepsute, szukające wytłómaczenia dla swego egoizmu; w duszy jego pozostało jeszcze ogromnie wiele szlachetnych uczuć i popędów. Nie wprowadziła go też na te tory metoda naukowa i nauka, wątpiąca dziś o wszystkiém, ażeby jutro posiąść prawdę wszystkiego. Nie dziw, że analizują się ciągle bohaterowie Bourget'a, taki Greslou albo Claude Larcher—stało się to już u nich umysłowém nawyknieniem: pierwszy z nich zajmuje się najzawilszemi psychicznemi zagadnieniami, jako uczony, drugi jako obserwacyjny powieściopisarz. Spotykany nieraz zarzut, iż najnowsze dzieło Sienkiewicza powstało jakby pod wpływem Bourget'a, tłómaczy się właśnie owym nadmiarem analizy i może się na pierwszy rzut oka wydawać prawdziwym. Ale, badając autokrytycyzm Płoszowskiego, znaleźlibyśmy niewątpliwie odmienne w nim cechy, bo przyczyna jego jest inna. Tylko ciągła bezczynność, tylko to *ja* niezmienne, niby oś stała wśród wirującego koła wrażeń, sytuacyi i krajów, to *ja*, którego się pozbyć nie może i po-za którem właściwie zajęcia żadnego nie ma, ta jego stałość w wiecznéj niestałości, tylko takie czynniki mogły wywołać u Płoszowskiego zwyczaj rozkładania każdego uczucia. Pomimo zwątpień swoich i wewnętrznych niesnasek, pracują i Greslou, i Claude Larcher, jeden u naukowego, drugi u artystycznego warsztatu, kiedy nasz bohater, uznawszy swoją „nieudolność życiową", pociesza się tém, czemu wygodne miano „słowiańskiéj nieproduktywności" chce nadawać. Szczęściem jest to zupełny niemal frazes i Sienkiewicz wie, co czyni, stawiając na trzecim planie postacie Śniatyńskiego, Łukomskiego i braci Chwastowskich. Zwłaszcza ci ostatni wydają mi się mężami przyszłości. Generacya, oddana wyłącznie estetycznym roskoszom i przez samą swoją kulturę własnéj ziemi obca, należy już, ogółem wziąwszy, do przeszłości, i jeżeli nam jutro niebezpieczeństwo jakie grozi, to w małej chyba części z takiéj strony. Po ludziach „bez pracy" nastąpią może ludzie „bez dogmatu", i w tém, społecznie czysto rzecz biorąc, musi być w naszych warunkach niepokojący objaw. Pokolenia przejmują jednak wiele od siebie, i nie wiem, czy wahadłowość nerwowéj natury Płoszowskiego i w następcach jego się nie odbija.

Wracajmy jednak do saméj jego postaci, bo chociaż nie jest ona jutrzejszą, ma wszelkie prawo interesować nas dzisiaj. Bohater Sienkiewicza czuje, mówiąc trywialnie, przez skórę, że nowi ludzie zalewają swiat, a on w wieczném wahaniu rozprawia „na jakichś tara-

sach", wysoko ponad nimi. Imponują mu ogromnie Śniatyńscy i Łukomscy, bliżsi mu estetycznemi zajęciami z pośród ludzi pracujących; a jeżeli, zestawiając się z nimi, nie dochodzi nigdy do zbawiennej dla siebie pogardy, to dlatego, że w sądach o sobie samych zaliczamy stale do aktywów i dobre nasze zamiary, podczas kiedy osoby po-za nami stojące mogą w nich zapisywać tylko dobre uczynki. Stąd wielka różnica bilansów. Nie może on zresztą nie czuć istotnéj szlachetności swéj natury, a o skażeniu i wysuszeniu serca mówi słusznie, jako o nieszczęściu, które go spotkać byłoby mogło, ale nie spotkało. „Jest we mnie człowiek — pisze on po odebraniu szlachetnego listu od Klary Hilst—który umie odczuć i ocenić każde słowo tego listu." Bo chociaż kochać już wtedy nie umie, żyje w nim jeszcze najgłębiéj najmniéj samolubne z ludzkich uczuć, współczucie. W parę dni po tém wyznaniu opisuje powrót swój do Płoszowa, do choréj Anielki. Złamany zupełnie, w każdym serca zakątku dotknięty, nie czekający już niczego, prócz bólu, powraca do niéj i dla niéj jedynie. „Piękność jéj prawie zniknęła. Zostały tylko oczy dawnéj Anielki. Ale dla mnie to dosyć. Ta zmieniona twarz zwiększa tylko moją litość i tkliwość — i staje się témbardziéj ukochaną." Lepiéjby mu jednak było sto razy iść „światami", niż patrzéć na nią i wiedziéć, czemu się jéj twarz odmienia. Ale nie, on udaje przed nią ukojenie, nawet wesołość, ażeby nie być ciągłym dla niéj wyrzutem i przypomnieniem boleści. Poświęca to, na co kochającemu zdobyć się najtrudniéj: oto niemą skargę, wyraz choćby najskromniejszy miłości i cierpienia. I tu pyszny szczegół, zdradzający światowego człowieka, posuwającego aż do form zewnętrznych najdelikatniejszą przezorność. „Włosy moje posiwiały tak przy skroniach, że waham się, czy ich sztucznie nie przyciemniać. Nie chcę teraz być starym, ani wyglądać na starego." A niéma już jednak w nim złudzeń lub ufania. Robi się taki cichy, pokorny, uśmiechnięty. Na kartach jego dziennika jest atmosfera tego niezmąconego a trwożnego spokoju, którym otacza się osoby chore a ogromnie drogie. Kiedy odejdzie od Anielki, to na to, aby się naradzać, jakby Kromickiemu byt materyalny zapewnić, sprowadzić go do kraju i z Anielką razem na gospodarstwie osiedlić. „Bóg widzi, że cała dusza wzdrygała się we mnie na samą myśl jego obecności przy Anielce, ale, żeby ofiara była zupełną, postanowiłem wypić i tę truciznę". Gdybyśmy nawet bardzo wielką część téj szlachetności na karb czyśca złożyć mieli, przez który Płoszowski przechodził, pozostałaby jeszcze niepospolita zdolność do uczuć piękniejszych. Ale u natur bardzo chorych, jak u chylących się do upadku narodów, wszystko, nawet lepsze popędy, zdają się popychać do zguby. Rzekłbyś, iż w organizmach, do gruntu

strawionych, jedynym objawem istnienia może być choroba. Względna szlachetność Płoszowskiego utrzymuje go na powierzchni życia, ale nie daje mu znów zajrzéć do głębi. Najbardziéj dręcząca analiza nie odbiera mu ostatecznych złudzeń co do własnéj przyszłości. Bo jeżeli wie, że jest w gruncie dobry, to wie także, że jest bardzo zdolny. Powtarzają mu to do znudzenia przyjaciele i krewni. Jeżeli zaś jest nerwowy i czuły, jak mimoza, to znowu tém lepiéj i nic w tém nie masz dziwnego. Ci, co jak Płoszowski, muszą się w rozstroju swoim uciekać aż do chloralu, pogardzają jednak niemal ludźmi, w których nie wszystko drga i dźwięczy. „Chory wiek—pisze Śniatyński, człowiek, który nie jest ani bez pracy, ani bez dogmatu—chory wiek, w którym tylko osły mają jeszcze jakąś wolę, bo gdy ktoś posiada choć trochę rozumu, to go zaraz użyje do zwątpienia o wszystkiém i przekonania siebie samego, że naprawdę nie warto chcieć czegokolwiek.“ A oto, co mówi wprost Płoszowski: „Lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć najłatwiéj“. Dlatego przesiaduje za granicą. Rzecz to ciekawa, iż koła, w których jest mu swobodnie i dobrze, mają cechy zupełnie od dawnych wykwintnych towarzystw odmienne. Powstała po arystokracyi rodu, talentu i majątku, najnowsza arystokracya nerwów. Różni się ona tém od poprzednich, że wyraz „celowość“ zupełnie już w zakres jéj pojęć nie wchodzi. W Europie całéj, którą przebywa wszerz i wzdłuż, Płoszowski spotyka ludzi, których jedyném zadaniem życia jest uosabiać rafinowanie cywilizacyi i porozumiewać się między sobą językiem wtajemniczonych. Że Leon Płoszowski z Płoszowa ma inne obowiązki, o tém nie zawsze pamięta nasz bohater, a przytém czuje on może znowu tę fatalną wyższość swoją nad innymi. Fortuna, która mu z jednéj strony daje pewność, że nie okryje się on nigdy wstydem i niesławą, służy mu do zaspokojenia wyższych, estetycznych i intelektualnych potrzeb. Jest on napoły tylko, ale szczerze artystą. Jeżeli posiada zbyt wiele krytycyzmu, aby módz tworzyć, to ma znów nadto wyobraźni, aby na biernym stanowisku widza czy słuchacza pozostać. Wyobraźnia jego spełnia w życiu to, co u rzeczywistych artystów czyni w świecie sztuki: obmyśla akcesorya, dobiera tło, wynajduje efekta, tworzy jedném słowem wokoło niego dramat. Oto np. co pisze Płoszowski z powodu choroby ojca: „Bóg widzi, że, znalazłszy go prawie zdrowym, ucieszyłem się szczerze i serdecznie; a jednak, ponieważ przez drogę nabiłem sobie głowę prawdopodobną jego śmiercią, ponieważ widziałem go już wśród świec *i siebie klęczącego przy jego trumnie*, więc doznałem uczucia pewnego zawodu, jakby mi żal było tego napróżnego żalu.“ Wolałbym, co prawda, aby takich ustępów,

a nie wszystkie musiałyby być tak okrutne, było w powieści więcéj, a zwłaszcza, aby nam dano więcéj dowodów estetycznych upodobań Płoszowskiego. Dziwny jego gust dla Carlo Dolce — wprawdzie przez dziecinne lata usprawiedliwiony — i łatwowierność, z którą złotnicze wyroby u Laury Davis uważa za dzieła Benvenuta, rażą mię nawet trochę. Przykro mi, kiedy słowa poety przypominają frazesy literatów i kiedy się na kartach Sienkiewiczowskiéj powieści stary Dumas odzywa. Sądzę, że brak czysto estetycznych wrażeń tłómaczy się owemi ustępstwami dla szerokiéj publiczności, o których wyżéj wspomniałem, i na karb tychże koncesyi położę pewien nacisk na światowość Płoszowskiego. Zaręcza on o tém trochę częściéj, niżby to czynił w dzienniku istotny reprezentant sfer najwykwintniejszych. Czytelnicy, którzy do nich się liczą, zarzucają nawet pewną niedbałość w oddawaniu tonu wielkiego świata i wytykają szereg mikroskopijnych wykroczeń. Nie mogąc wdawać się w kwestye tak subtelne, zaznaczę tylko, że chodziło tu przedewszystkiém o indywiduum, nie o sferę, że taki wiecznie myślący Płoszowski, któryby w każdéj warstwie był niezwykłém zjawiskiem, może się zupełną obojętnością dla języka i form swego świata odznaczać. Zapytam nawet, gdzie większą jest arystokratyczna swoboda: czy w dzienniku takiego szlachcica, jak Płoszowski, czy też w powieściach Bourget'a, zwłaszcza pierwszych, gdzie w niektórych rozdziałach, arcyeleganckich, czuję jakoś nowicyusza w salonie, żeby nie powiedzieć — dekoratora? Wszakże dziś sam Bourget śmieje się w najnowszéj książce ze swoich opisów salonu.

Rafinowanie, szlachetność i wysoka kultura charakteryzują w każdym razie, i to w niezwykły sposób, bohatera téj powieści, na któréj poszczególne stronice, w braku głębszéj krytyki, położyłem obecnie akcenta. I sądzę, że wszystkie te zalety, z których przy olbrzymiéj swéj świadomości nie może Płoszowski nie zdać sobie sprawy, pozwalają mu ufać, że kiedyś jeszcze odpowie wymaganiom i nadziejom, które taki Śniatyński w nim pokłada. Trudno mu tylko zacząć coś robić wśród wiru wrażeń, którym, wprawdzie na chwilę, ale całą jednak swą duszę oddaje. Tak schodzą mu dni w oczekiwaniu jutra. I tak minęło lat trzydzieści pięć. Płoszowski doszedł do téj „połowy drogi ludzkiego życia,“ o któréj mówi Dante. Nastała ostatnia chwila, w któréj jeszcze może coś uczynić, a potém trzeba mu schodzić drogą, wiodącą już do zmroku, schodzić z podwójném brzemieniem: umęczenia i żalu.

Wtedy zachodzi mu drogę Anielka.

Płoszowski nie lubi Polek i rys to bardzo trafny, uzupełniający wybornie charakter. Nie lubi ich, jako człowiek, szukający po świecie

miłostek, bo kobiety u nas mają usposobienie chłodne, co najwyżéj do kokieteryi skłonne. Nadto wynika to niejako z definicyi takiego Płoszowskiego, że nie bardzo je ceni. Dla rafinowanéj jego natury kontrast jest może zbyt mały; Polki mają, zupełnie jak on sam, więcéj nerwów, wyobraźni, więcéj zalet intelektualnych, niż wielkiego elementarnego uczucia. Społeczna ich rola nie wchodzi tu w grę, Płoszowski uważa je tylko odnośnie do mężczyzny. I pod tym względem ma on może racyą, a Anielka, którą mimo jéj narodowości tak gorąco i zupełnie pokochał, nie zupełnie zadaje kłam jego zarzutom. Kiedy kochająca go Anielka oddaje rękę Kromickiemu, ma Leon prawo powiedziéć z goryczą: „Ten gatunek Polek woli złamać serce, niż słowo.“

Anielka jest to córka szlacheckiego domu, wyborny typ istoty, którą w potocznéj rozmowie określamy wyrazami „wiejska panna.“ Szkołą jéj był dom, otoczenie, pełne tradycyi obywatelskich, uczciwych i szlachetnych. Wytworność swéj natury zawdzięcza raczéj atmosferze, niż indywidualnemu wyrobieniu. Sądzę, że jeżeli bierze książkę do ręki, to częściéj, aby z niéj uczyć dzieci czytać, niż dla własnéj umysłowéj potrzeby. Istota bardzo czysta, naiwna i niewinna, wychowana na to, aby nic nie znać życia, w którém się swoją drogą, dzięki wielkiemu sprytowi, zoryentuje bardzo łatwo. Miłość nie jest ani marzeniem, ani celem jéj życia. Kiedy ją za dorosłą uznają i pozwalają kochać Leona, kocha go serdecznie i pięknie, prawie tyle z podziwu, co z serca. Ale bardzo śpiesznie oddaje rękę wstrętnemu człowiekowi, skoro się tylko zdawać może, że ją Leon porzucił, a przynajmniéj zaniedbał, i skoro sobie pozwolił na nieszczęsny okrzyk: „życzę panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim.“ Gra pewną rolę w przedwczesném tém postanowieniu uległość choréj i staréj matce, któraby los córki i rodzinnego majątku chciała widziéć zabezpieczonym, ale odzywa się tu i dotknięta godność osobista, miłość własna kobiety. Dlaczego nie ma odwagi choć potém zerwać z Kromickim? Polska ta panna nie zdaje sobie snadź z tego sprawy, że kiedy się jednego kocha, iść za mąż za drugiego, dla ochronienia swojéj niewieściéj dumy, nie jest ani szlachetnie, ani nawet zupełnie uczciwie. A jednak pytam, czy większość panien z téj saméj sfery społecznéj postąpiłaby inaczéj? Wiem natomiast, że nie uczyniłaby tego Klara Hilst, córka jakiegoś fabrykanta z Frankfurtu. Pojmuje ona tak dobrze, co jest miłość, że nie chce słuchać oświadczeń człowieka, którego jednak całém sercem kocha, kocha i czynnie, i cicho zarazem. Lęka się, że słowa jego pochodzą tylko z chwilowego rozczulenia i wdzięczności. Tak mądrą jest jéj uczciwość, że nie chce z chwili uniesienia korzystać. Bo by-

łaby może kiedyś kulą u nóg człowieka, którego szczęście ponad własne ceni, i to wystarcza, aby się zrzekła pragnień i marzenia. „Czy pan rozumie — pisze ona pod koniec ślicznego swego listu — że można kochać nietylko z całéj duszy, ale i z pokorą? Ja wiem, że można, bo tak kocham".

Odkąd została panią Kromicką, zmieniła się i sytuacya, i obowiązki Anielki. Wywiązuje się ona z nich z ogromnym taktem. Nie wysuwa tego jednak na pierwszy plan, że nie jest już dawną, wolną Anielką, nie zaczyna od rozmowy o mężu, wogóle nie mówi o nim prawie wcale przy Leonie. Czuje się ona naprzód trochę winną wobec niego, a zwłaszcza lituje się nad nim głęboko. Staje się więc względną, łagodną i słodką, przebacza mu winy. Czego dla szczęścia dwojga ludzi zrobić nie umiała, czyni to teraz — z litości. Istna córka kraju, gdzie się chwilowém miłosierdziem długi wobec życia opłaca. Bez wielkiéj subtelności umysłu i bez delikatności serca nie podołałaby jednak swéj roli. Musi ona oszczędzać Leona, a na żadną nadzieję mu nigdy nie przyzwolić; musi kryć się z miłością przed nim, a przed matką i otoczeniem z walką i oporem. Uwikłał ją Leon tak mądrze w swe sieci, że niepodobna jéj głośno i wyraźnie oddalić go od siebie i przeciąć węzłów żelazem. Dokonywa ona trudnego zadania, dzięki temu zwłaszcza, że, jak sobie z tego i Płoszowski zdaje sprawę, kocha go ona nie tak silnie, jak on ją. Broni ją zaś ciągle owa natura gronostaja, lękającego się zbrudzić białe futerko.

Bo jeżeli z wyżyn swych nie zstępuje, to nie dla religijnych uczuć, w najabsolutniejszéj ich formie. O ile mi ją dziennik Płoszowskiego odwzorowuje, nie widzę u niéj dowodów ciągłéj pobożności, ani nieustannego religijnego życia. Nie kocha męża, nie ma dzieci, w którychby miłość swoją całą mieścić mogła. Wszystko zaś, co jest w niéj wytworniejsze i podnioślejsze, ciągnie ją ku mężczyźnie, którego właściwie nie przestała kochać i któremu wierzy. Nie opiera mu się też w starém doświadczeniu, że krótkie chwile jednostronnego szalu opłaca się bólem z tysiąca stron, odnawiającym się ciągle. Zdawałoby się, że w takich warunkach upadek jéj nastąpić szybko musi.

Tymczasem tak nie jest. Walki świadoméj niéma wcale w Anielce. Myśl oddania się Płoszowskiemu nie powstała w niéj, nie przeszła przez jéj głowę nawet w formie przelotnego widzenia. Broni jéj siła inna: czysto obyczajowa i ogólna. Tradycya, otoczenie, wiejska ta atmosfera, nie bardzo może w myśli, ale w proste poczucie obfita, wyrobiła w niéj poczucie, że istnieją dwie niepojednane ze sobą siły: złe i dobre, dwa pierwiastki, któreby Płoszowski tylko za

dwa różnorodne objawy uznawał, a między któremi dla niéj istnieje niezapełniona niczém przepaść. Ginęły w niéj po kolei, jak w bezdennéj urnie Danaid, wszystkie Płoszowskiego rozumowania, podstępy i zapały. Pytać, gdzie dobre a gdzie złe, nie potrzebuje Anielka. Pojęcie świata i pojęcie moralności są u niéj równie nieskomplikowane, proste. Natura jej i postępowanie dowodzą najlepiéj, jaką potęgą może się stać dla społeczeństw „dogmat“ i ile im na wyrobieniu odpowiedniéj atmosfery niewzruszonych przekonań zależy. Indywidua, któreby jéj same stworzyć nie zdołały, żyć bez niéj nie mogą i, kochając się w jéj czystości, chcą ją wiecznie mieć wokoło siebie. Silniéj, niż negatywny dowód w naturze Płoszowskiego, przemawia do mnie nauka, płynąca z poznania mniéj inteligentnéj i mniéj świadoméj Anielki. Zarzutu bierności pojąć wprost nie mogę. W bezwiedności swojéj, w swojéj „czystości piór“ i łabędziéj białości, w cnocie swojéj, bez wielkich walk i bez wielkich może zasług, jest Anielka wybornym typem tego rodzaju kobiety, którego Płoszowski z góry znosić nie może i który go, właśnie dlatego, w szlachetném i piękném wcieleniu tak nęci.

Nie jest nieprawdopodobném, że, jak w przyszłości coraz mniéj będzie Płoszowskich, tak też i typ Anielki ginąć u nas pocznie. Być może, iż bezświadomość ustąpi przed świadomością, a pomimo chwilowego ścieśnienia kadr arystokratycznych, będzie się społeczeństwo stale demokratyzowało. Czcze już dziś formy salonu znikną wobec rozwoju drobniejszych kół towarzyskich i rodzinnego życia, z czém lepiéj będzie Śniatyńskim, Chwastowskim i innym pracującym ludziom. Wtedy postacie, jak Anielka, staną się rzadkim objawem. Nastąpi po niéj kobieta mądra, wyżéj ceniąca miłość indywidualną, bo na niéj oprze się jéj życie,—bardziéj dla trybu codziennego stworzona. Kobieta w rodzaju pani Śniatyńskiéj, a może raczéj zbliżona do Klary Hilst, równie czystéj i równie godnéj, jak Anielka. I poezya straci na tém tylko chwilowo, bo taki to kwiat cudny i żywotny, że może chyba wszędzie wyrość, a tylko—stosownie do otoczenia—różnorodnie zakwita.

III.

Prostemu charakterowi Anielki mogła każda powieściowa forma odpowiedzieć; Płoszowskiego trzeba było natomiast w specyalny sposób oświetlić. Nasuwała się wobec tego forma dziennika; Sienkiewicz wybrał ją.

Dwa razy w ciągu ostatnich stu lat rozwielmożniał się dziennik w literaturze, bo dwa razy zapanował w życiu. Powstaje on, ile razy poczynają się ludzie tém interesować, co się w skrytości duszy ich odbywa. Pod koniec przeszłego i na początku bieżącego wieku zajmowano się więcéj uczuciami; obecnie oddajemy się raczéj badaniu intelektualnych objawów i newrozy. W obydwóch razach wzmaga się stan chorobliwy, dzięki natężeniu świadomości, i sam materyalny akt pisania odrywa ludzi od zajęć i odwraca myśl od spraw, w których znaleźliby łacno zapomnienie, a może i lekarstwo. Ktokolwiek trawił wieczory nad kartkami swego pamiętnika, przyzna mi, że zwyczaj spisywania wrażeń zawdzięcza istnienie bezczynności, ale że naodwrót i próżniactwo z tego rodzaju piśmiennictwa rośnie. U Płoszowskiego jest więc dziennik bardzo prawdopodobnym objawem.

Artystycznie przedstawiał on pewne, nieuniknione niebezpieczeństwa. Przedewszystkiém ogranicza on pole widzenia; ścieśniają się ramy, w których obrębie roztacza nam autor obraz społeczeństwa. Nie zapoznajemy się bezpośrednio z osobami i faktami, widzimy je dopiero odbite w duszy Płoszowskiego, przeniesione na jéj tło, pojęte w jego sposób. Z wyjątkiem Anielki, któréj Leon całą swą uwagę poświęcił, nie powypadały też wszystkie postacie drugorzędne tak wypukło i żywo, jak to dotychczas u Sienkiewicza bywało. Epizodycznie bowiem występują kolejno Śniatyńscy i Chwastowscy, aby całą obywatelską nicość Leona silniéj uwydatnić. Czasami jednak posiadają te drugo i trzeciorzędne postacie swą niezwykłą, kilku rysami nadaną, żywotność i prawdę, któremi zwykł wielki nowellista ludzi swoich obdarzać: wspomnę tylko rzeźbiarza Łukomskiego, lub handlarza broni. Jeżeli w typowość Kromickiego nie wszyscy możemy uwierzyć, to widzimy wszyscy twarz jego szpetną, gest i monokl w oku. I nie pytamy, dlaczego dba tak ciotka Leona o wyścigowe konie, bo oto widzimy ją, kiedy głośno z sobą rozmawia, i poznajemy opryskliwość osób poczciwych i w gruncie kochanych.

I nie spuszczajmy tego z oka, że jedynie dzięki formie dziennika możemy wniknąć tak głęboko w duszę Płoszowskiego i mieć ciągłe dowody wiekuistéj jego analizy. Cały mechanizm duchowy bohatera odsłania się w ten sposób przed nami, a nadto objawia się nieustanna u niego świadomość. Ostatni ten rys, uzupełniający tak dobrze naturę, byłby się był wobec innego sposobu przedstawienia chwilami tylko przypominał. Należała się przytém nowożytnéj powieści forma, tak nawskroś uowoczesna. Wszakże w pogoni za najindywidualniejszemi poczuciami i najspecyalniejszymi stanami duszy, wydobywamy dziś na światło dzienne czysto osobiste pamiętniki i za-

piski. Powieść zamienia się coraz bardziéj na szereg zanotowanych spiesznie psychologicznych momentów. Niepospolity człowiek, który ani na katedrze, ani w naukowych dziełach, ani w poezyach nie wywierał silniejszego wrażenia i nie zdołał sobie za życia pozyskać nazwiska, został odrazu w całéj Europie sławnym, skoro wydano ustępy z jego dziennika, spisywanego sumiennie, pełnego zaciekłéj i bolesnéj analizy. W parę lat po śmierci zajął Amiel wybitne stanowisko wśród przedstawicieli współczesnéj psychologii, czyli, mówiąc praktycznie, pośród przewódców przyszłych generacyi. I podobnych przykładów możnaby wyliczyć dziesiątki. Nie ma więc dziś nikt prawa robić z formy dziennika zarzutu, bo jeżeli bezładny rzeczywisty pamiętnik budzi tyle zajęcia, to powinna i artystycznie zbudowana powieść, w kształt jego obleczona, zaciekawiać ogół. Przeczuwam tu zarzut: oto istotny dziennik jest niewątpliwym „życiowym dokumentem". Zdaje mi się, iż mogę się, miast odpowiedzi, do publiczności odwołać i zapytać: czy mniejszą praktyczną wartość mają niektóre, tak trafne, tak na gorącym uczynku schwytane, rysy w „Bez dogmatu"? Twierdzę to w przekonaniu, że trzeba tylko dobrze wsłuchać się w dzieło, a rozpozna się w niém szczere i prawdziwe tony. Bo któżby się z nas dzisiaj zajmował jeszcze krytyką, gdyby nie wiara, że powstaje zawsze jakieś duchowe pokrewieństwo, tajemne jakieś porozumienie się i niemal wspólnictwo, między pisarzem a czytelnikiem, bardzo pilnym i zupełnie nieuprzedzonym? Podniosłem już poprzednio kilka ustępów, dowodzących niezwykłéj subtelności obserwacyi, a mógłbym jeszcze przytoczyć ich bardzo wiele, że wspomnę tylko owo rozdrażnienie, w które wprawia Leona raz monokl Kromickiego, raz szelest gumowego płaszcza. Niepodobna mi tu natomiast przytaczać długich stronic na dowód, jak całe głębokie stany duszy są pochwycone i odmalowane. Zadowolnię się więc tą krótką uwagą, że ci, którzy czytali „Bez dogmatu" w odcinkach, nie mogą sobie zdać sprawy z artystycznéj wartości utworu. Gdzie mi najmisterniejszemi rysami kreślą wyjątkowe stany duchowe i chcą drobnemi środkami silny nastrój wywołać, tam nie mogę na całą dobę przerywać sobie wrażeń. Przybywam wtedy znieczulony dniem całym, wyrwany z atmosfery wczorajszego odcinka i, zupełnie nie przygotowany, poddaję się wpływowi autora. „Jakiego ja pragnę czytelnika?—pytał Goethe.—Takiego, co siebie, mnie i świat cały puszcza w niepamięć i w książce mojéj żyje". Do ideału tego zbliżyć się mogą tylko ci, co zagłębili się w owych trzech tomach, tak pięknie drukowanych; gdyby nie staranność wydawców, byłby się tekst w dwóch tomikach pomieścił.—I wtedy dopiero okazuje się, że mistrzowstwo języka nie zawiodło Sienkiewicza. Spotykałem się wprawdzie ze zdaniem, że

konwersacyjnego tonu najwyższych sfer towarzyskich nie oddał, ale gdyby to nawet miało być prawdą, to trudno winić autora, który czystą pisze polszczyzną, kiedy Płoszowscy mówią zazwyczaj po francusku, albo makaronicznym językiem. Pozostała w każdym razie Sienkiewiczowi niemała zasługa. Oto wyraził on szereg myśli najsubtelniejszych w klasycznéj mowie i formie, w polszczyźnie tak czystéj, że się aż kryształową stała. Wprowadził do literatury mnóstwo wyrażeń, nie mających przedtém obywatelstwa w języku książkowym, i stworzył szereg zwrotów i wyrazów, które weszły do ogólnego skarbca i z których ja już pewno nie pierwszy na tém miejscu korzystam. Publiczności potrzeba myśli jasnych w jasnéj formie; dla tego przechodzi tyle zdań z „Bez dogmatu" na własność powszechną. Sądy Płoszowskiego wprawiają mię nieraz w zachwyt głebokością, dziwią mnie nawet często jakąś jędrnością i wesołém zacięciem. Naprzykład, kiedy, porównywając Laurę do konstelacyi, nazywa ją *Wielką niedźwiedzicą* dla otoczenia, a *Krzyżem* dla męża. I czuję pewien szlachecki, zdrowy humor w ustępie o polskiéj zimie, w któréj jest jakaś siła i powaga, a przedewszystkiém szczerość. „Równie jak szczery przyjaciel tnie prawdę w oczy bez ogródek, tak i ona bierze za uszy, ani pyta". Wydaje mi się to bardzo jędrne i proste na Leona, zwłaszcza kiedy porównam styl rzeczywistych pamiętników i napotkam u Amiela takie np. zdanie: „Będąc tylko marzycielską medytacyą, goni dziennik wszystkiemi przydróżkami, a do celu nie zmierza. Rozmowa mego *ja* z sobą samym może być tylko stopniowém rozświecaniem się myśli. Stąd ciągłe powtórzenia, zawracanie się w drodze, poprawki i wahania Kto twierdzi, bywa zwięzłym, kto szuka — rozwlekłym; kto marzy, chadza linią krzywą". A przedtém tak mówi Amiel do siebie: „Widzisz zbyt dużo sposobów wypowiedzenia myśli; umysł bardzo zgodny z sobą natrafia odrazu na ton właściwy... Aby do niego dojść, potrzeba nie wątpić, a ty wątpisz nieustannie" [1]). Kiedy nadto napotkam ustępy takiéj poetycznéj siły, jak dysertacya, a raczéj hymn o miłości, lub opis wrażeń, doznanych podczas gry sonaty Bethowenowéj, rodzą mi się czasem w duszy pewne wątpliwości. Gdyby Płoszowski umiał wyrażać swe myśli tak jasno i dobitnie, a uczucia tak żywo, dystylowałby może aż do końca życie swoje na literaturę i znalazłby w tém ukojenie. Wszak przyznaje on sam, że sztuka „zdolna jest wypełnić życie człowieka zupełnie i zostać jego religią, może wszelako pod warunkiem, by on został jéj kapłanem" A są stronice całe „Bez dogmatu", które pisał wielki artysta, nie Płoszowski, ale Henryk Sienkiewicz.

Niektórzy czytelnicy powieści nauczyli się do tego stopnia szukać w pierwszych odcinkach owych wspomnianych ogólnych rysów i obserwacyi, że spotykał ich potém pewien zawód, kiedy z rozwojem akcyi nastąpiły uwagi indywidualniejsze i bardziéj specyalne. Początek pierwszego tomu, poświęcony biografii i charakterystyce Płoszowskiego, pisanéj przez niego samego, obfituje szczególniéj w tego rodzaju spostrzeżenia; w drugiéj części następuje już akcya i odegrywa się w Leonie cała tragedya, zakończona utratą Anielki. Drugi tom zawiera zaś dziennik miesięcy, spędzonych razem z panią Kromicką w Płoszowie i Warszawie. Wszystko się tam dzieje podczas nieobecności Kromickiego i pod okiem dwóch kobiet, o wyobraźni tak czystéj, że na myśl im nie przyjdzie możliwość jakiegoś romansu. Staje tu więc sama Anielka wobec Leona i rozpoczyna się ich walka cicha, prowadzona niemal półsłówkami, ukrywana przed otoczeczeniem. Wobec nieuniknionych analogii w sytuacyach, charakteryzują ten tom ciągłe epizody, jak cała nowella o Łatyszach, opis burzy, wyścigów, obraz niedzielnego poranku, tak powietrzny i pogodny, a tak na wzrok obliczony, jak jakie malowanie Chełmońskiego.— Pomiędzy temi dodatkowemi scenami rozwija się nieustannie analiza i boleść Płoszowskiego, które trzeba było, nie tylko wśród niezwykle ciężkich warunków, ale i wśród dni stosunkowo szczęśliwych, pokazać. Tu się nareszcie poznajemy na dobre z Anielką. Postać jéj odporna i bierna nadaje ton całemu tomowi. Wszak dramatyczność polega na ciągłéj niepewności, na którą się stronę szala ostatecznie przechyli. A tutaj w walce dwóch dusz, na którą zewnętrzne wypadki nie wywierają niemal wpływu, zwycięstwo Anielki przeczuwamy z góry. Bije morze o niewzruszoną skałę, ale wiemy, że oczy nasze tego nie zobaczą, iżby się kamień stoczyć miał do fali.

Dopiero trzeci tom sprowadza więcéj postaci i nawał wypadków. Sprowadza Kromickiego, a z nim cały szereg zawikłań i szalonych u Leona pomysłów, zamiarów niegodnéj frymarki i zbrodni. Sprowadza rozpaczliwsze walki z Anielką i coraz większe bole. Komplikuje się to wszystko całą majątkową sprawą Kromickiego, jego śmiercią, stanem Anielki, ucieczką Leona, jego chorobą i złamaniem. Po największéj boleści następuje względne uciszenie i ukojenie. Dni ciche i niesamolubne: roztopienie się w kochaniu, które jest już prawie braterską miłością. Tak przeprowadziwszy swego bohatera przez wszystkie nerwowe udręczenia, tuż obok szaleństwa i zbrodni, ukazuje go nam Sienkiewicz w końcu niemal skruszonym i godnym przedewszystkiém litości. Po boleściach, których widok rozstraja i trwoży, następują cierpienia serdeczne, które wzruszać muszą. Ćmi się chwilami w oczach przy czytaniu ostatniéj

części, tomu i nic mi nie daje wyższego pojęcia o wielkiéj sztuce Sienkiewicza, jak owo wprowadzenie uczucia litości po mękach i po grozie. Występuje tu owa tragiczność, o któréj od Arystotelesa rozprawiają estetycy. I pod wpływem rozrzewnienia, nie spostrzegamy, ani jak nagły jest koniec powieści, ani jak drobną zostawia Anielka Płoszowskiemu spuściznę: jedno słowo „kochałam".

Takie nagłe wydobywanie na wierzch szlachetniejszych uczuć, wśród okropności i mąk, charakteryzuje może wogóle twórczość Sienkiewicza. W „Ogniem i mieczem" bodaj czy nie najpiękniejszą jest ta drobna scena, gdzie pazik, wbrew zakazom, strzela do człowieka, wijącego się na palu. I wódz mu w milczeniu takie litośne nieposłuszeństwo przebacza. Trzeba było—dla czysto artystycznych powodów—uwolnić tego człowieka od męki. I w „Bez dogmatu" trzeba było, kiedy boleść do szaleństwa doszła, rozpostrzéć jakąś wielką łagodność i litość. Wśród uczuć tych ginie okropność samobójstwa Płoszowskiego. Tak giną wszyscy, przez wielkich dramaturgów stworzeni, samobójcy tragedyi.

Płoszowski mówi na wstępie o pisarzach, którym myśl zstępuje prosto przez ramię na papier. Otóż nigdy nie zdaje się ona spływać u Sienkiewicza tak łatwo, jak kiedy ma przedstawiać owe czyste i piękne pragnienia, które w codziennym języku *poetycznemi* zowiemy. Rzekłbyś, że najłatwiéj było mu te ustępy z powieści napisać, w których Leon, opuściwszy Laurę, wyraża swoją tęsknotę za życiem spokojném i lepszém, gdzie czuje potrzebę prawości uczuć, gdzie mu jest cicho, i smutno, i dobrze. Albo te stronice, pełne zwyciężenia samego siebie, po powrocie do Płoszowa, do biednéj Anielki. Jest w tym fakcie coś bardzo charakterystycznego dla naszéj literatury i sztuki, coś nauczającego zarazem. Potrzeba żywotności, obserwacyi, nieubłaganéj prawdy, budzi się u nas coraz więcéj wśród ludzi, i tworzących, i odczuwających. A jednak u wszystkich artystów, którzy nad wyobraźnią obecnego pokolenia panują, okazuje się nieustanna tęsknota do jakiegoś bezwzględnego dobra i niezmąconéj piękności, do jakiegoś zacisza, pełnego idealnych potrzeb i uczuć. Kiedy są podniośli, bywają najszczersi; po tém poznaję dążność ich i kierunek. Nie chcę doprawdy kuć jakiéjś doktryny, ale fakt stwierdzić mam obowiązek i prawo. Widzę, że uszlachetniają wszyscy ludzką nędzę, ludzką miłość i nienawiść. Czynią to na polu poezyi, jak Słowacki, który się teraz dopiero czytelników doczekał; na polu malarstwa, jak Grottger, Chełmoński lub Malczewski; na scenie, jak Modrzejewska. Są to duchy różnéj siły lotu, ale skoro ujrzą kawał błękitu, widoczny naraz wśród mgławic, wszystkie otwierają łabędzie skrzydła do lotu.

Całe to, zbyt długie, studyum, miało czytelnikowi przypomnieć, ile głębokiéj obserwacyi zawiera najnowsza powieść Sienkiewicza, a stwierdzić zarazem, jaka poezya opanowywała od czasu do czasu autora i przedostawała się przez nawał drobiazgów na światło. Dał on nam więc z jednéj strony całą tę życiową prawdę, za którą tęsknić musimy i mamy prawo, a z drugiéj to, za czém się zachodnie narody oglądają ze smutkiem, jako za dobrem niepowrotném, którego już tam nikt, gdzie zamarło, światu nie powróci.

Dr K. M. Górski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

X. dr. Stefan Pawlicki, C. R. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, *Historya filozofii greckiéj od Talesa do śmierci Arystotelesa*. Tom I-szy. Dzieło wydane z pomocą Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków. Księgarnia G. Gebethnera i Sp. 1890. in 8⁰, str. XI i 431.

„Ani praca naukowa, ani życie praktyczne nie mogą odbywać się trybem porządnym, cieszyć się ciągłym, normalnym rozwojem, bez asno sformułowanéj filozofii“... „Kto nie myśli, właściwie nie jest bo życia nie masz bez czynów, a czyny są myśli potomstwem“. Temi, równie pięknemi jak i prawdziwemi, słowy, motywuje autor zaraz na wstępie wydanie swego dzieła, mającego być pobudką i zachętą do poważnych studyów filozoficznych, tak bardzo u nas w ostatnich czasach zaniedbywanych. Sto lat temu, mówi autor, pokolenie *Szaniawskich, Śniadeckich, Jarocińskich* i tylu innych, pragnęło dźwignąć z upadku krajową oświatę i pogrążone w apatyi umysły obudzić do nowego polotu zachętą do studyów filozoficznych. Przypuszczali oni słusznie, że filozofia rozproszy u nas bezmyślną obojętność na wszystko, czém żyją i oddychają ludy zachodniéj Europy, że utrzyma naród, duchowo zleniwiały, w pragnieniu ogólno ludzkich ideałów. I w saméj rzeczy, raz poruszona ambicya nie ustała więcéj, a choć głuszona niejednym letargu umysłowego powrotem, przetrwała złe chwile i śmiało zdążała naprzód. Zjawiła się liczna plejada myślicieli, z *Cieszkowskim, Gołuchowskim, Kremerem, Libeltem* na czele, którzy siłę talentu i głębokość nauki wśród niekorzystnych warunków z podziwienia godną ofiarnością składali na ołtarzu szlachetnéj sprawy. Wszędzie za granicą byliby przyjęci skwapliwie, u nas zaś, niestety, łamać się mu-